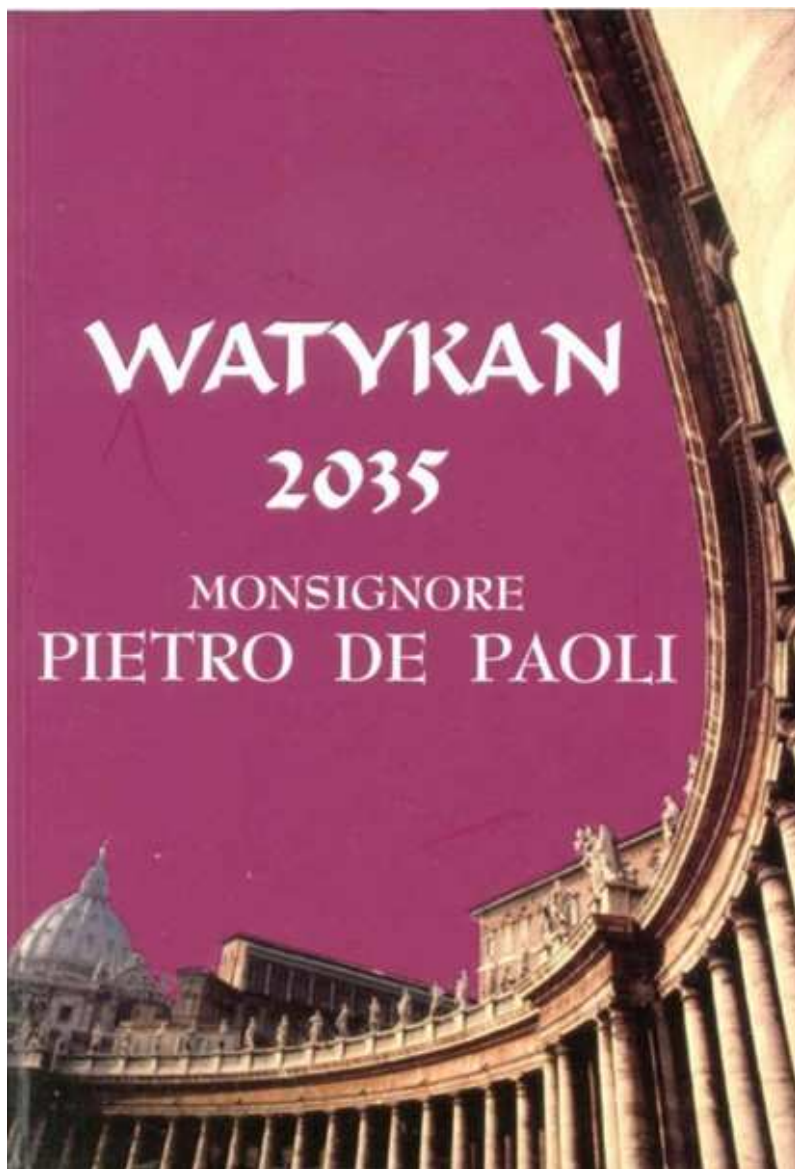
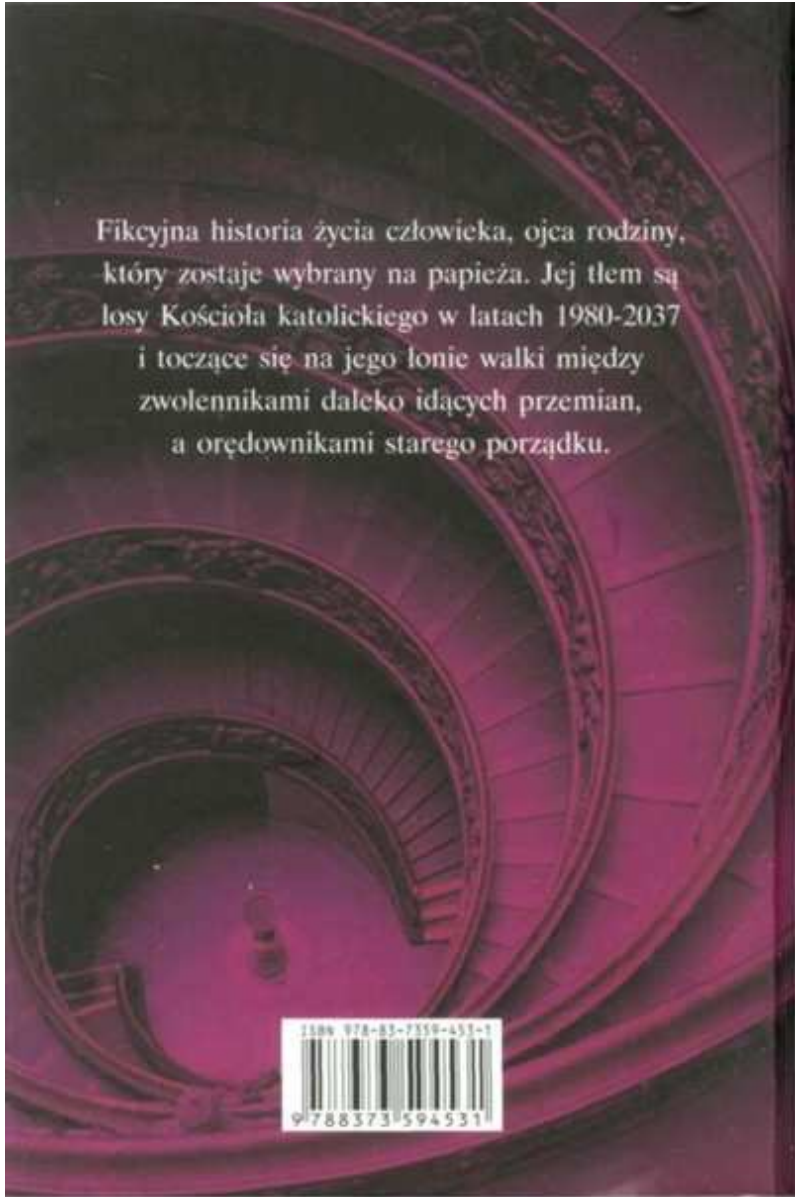


WATYKAN

2035

MONSIGNORE
PIETRO DE PAOLI





Fikcyjna historia życia człowieka, ojca rodziny,
który zostaje wybrany na papieża. Jej tłem są
losy Kościoła katolickiego w latach 1980-2037
i toczące się na jego łonie walki między
zwolennikami daleko idących przemian,
a orędownikami starego porządku.



MONSIGNORE
PIETRO DE PAOLI

WATYKAN

2035

Z francuskiego przełożyły

BARBARA JANICKA WIKTORIA MELECH

Tytuł oryginału: VATICAN 2035

Copyright © Editions Plon 2005

All rights reserved

Published by arrangement with Literary Agency Agence de l'Est

Polish edition © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2008 Polish translation
© Barbara Janicka & Wiktoria Melech 2008

Redakcja: Hanna Machlejd-Mościcka

Konsultacja religioznawcza: prof. Zbigniew Mikolejko

Zdjęcie na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-453-1

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Warszawa 2008. Wydanie I Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Jak pastor King, który niegdyś dostał tą nagrodę, miałem sen. I sądzę, że godność Człowieka polega na tym, że miewa sny większe niż on sam.

Przemówienie Giuseppe Lombardiego, papieża Tomasza I, podczas wręczenia mu pokojowej Nagrody Nobla w Oslo w 2034 roku.

Przedmowa

Święty gniew

Mówi się, że gniew to jeden z siedmiu grzechów głównych... I mimo że bohaterem tej książki jest człowiek popędliwy, krewki, nieraz gwałtowny, tematem opowieści, którą postanowiłem napisać, nie są jego wybuchy złości. Do jej napisania skłonił mnie natomiast bez wątpienia mój własny gniew.

Jakiś czas temu klęczałem w ciemnościach konfesjonału. I uczyniłem to wyznanie księdzu, którego twarzy nie widziałem, a on nie widział mojej: pienilem się z wściekłości, a moja dusza była smutna, bo doszedłem do wniosku, że mój Kościół nie jest zdolny do głoszenia ożywczej wiary, do ofiarowania nam słowa, którego sens byłby możliwy do przyjęcia i wiarygodny.

Podczas tej spowiedzi nie oskarżałem Kościoła i tak jak niektórzy bohaterowie tej opowieści, mówiąc o Kościele, nie mówiłem „on”, ale „my”. Oskarżałem więc samego siebie o to, że w owym milczeniu uczestniczę; spowiadałem się przede wszystkim z gniewu, który czynił mnie tak zgryźliwym, który podsycił moją złość, niezadowolenie, pesymizm.

Spowiednik, niewątpliwie zacny człowiek, oczywiście nie wiedział, do kogo się zwraca. Zalecał mi pokorę: „Rób to, co możesz, to, na co cię stać”. Wprawdzie mi tego nie powiedział, ale niewątpliwie myślał: „Jesteś tylko zwykłym sługą, zajmij się więc tym, co dotyczy ciebie samego”. Jego rada, jego rezygnacja wzbudziły we mnie jeszcze większy gniew i sądzę, że owego dnia dostałem rozgrzeszenie, nie czując skruchy...

Czy mówiłby do mnie tak swobodnie, gdyby wiedział, kim jestem?

Z pewnością nie. Odnosi się to także do tej książki: niech każdy ją przeczyta, skupiając się na tym, co relacjonuje, na tym, co proponuje; niech ją oceni, zważywszy na jej zalety i wady, nie sugerując się ani osobą autora, ani tym, co zrobił i czego zaniechał, kim jest i kim był.

Gdyby chodziło o traktat lub esej, na dalszych jego stronach można by się doszukać śladów mojej goryczy. Ale by śnić o przyszłości Kościoła, postanowiłem ostatecznie stworzyć osoby z krwi i kości — Giuseppe, Paddy'ego, Paula, Leah, Jeanne-Marie, Kate, Pietra, Monice, Simona, Marka... Owi chrześcijanie z pięciu kontynentów na pewno są wspaniali, choć czasami słabi, ograniczeni, bezsilni. Przypominają wielu ludzi, których znam. Niekiedy zrodzili się pod moim piórem ze wspomnień lub obserwacji przyjaciół i bliskich.

Starałem się skonfrontować tych wymyślonych bohaterów z okolicznościami i wyzwaniem, dramata, oczekiwaniami i sprawami, które wyłonią się może w przyszłych dziesięcioleciach.

Słowo, które niosę, jest większe ode mnie; wiara, która mnie ożywia, nie należy do mnie; pozwólcie, że będę zwykłym sługą, ustępującym przed tym, komu służy, pozwólcie, że moja tożsamość ustąpi na rzecz nadziei, której chciałem dać świadectwo na kartach tej książki.

Monsignore Pietro De Paoli

Prolog

Człowiek, który śnił

— Ojciec wraca do domu...

Pułkownik szepnął do walkie-talkie, a jego oczy nie odrywały się od białej, niemal świetlistej w blasku księżycy postaci zmierzającej w stronę kaplicy.

Na twarzy pułkownika widać niepokój. Był pewien dwóch rzeczy, że wbrew wymogom bezpieczeństwa, które wielokrotnie zalecał „ojcu”, nie przeszkodzi mu pójść, dokąd ten zechce, i że co najmniej dwudziestu zawodowych morderców dostało tej nocy zlecenie na ten biały cień, na tego papieża, który chce być ojcem jedynie dla swych córek i bratem dla innych...

Pierś pułkownika podniosła się... Westchnął, potem rzucił do talkie:

— OK, wrócił.

Człowiek usiadł. Tym razem już całkiem rozbudzony. Miał szeroko otwarte oczy ludzi, którzy śnią lub budzą się ze snu. W jego gęstych włosach srebrne nitki przeplatały się z jasnokasztanowymi puklami. Przez ubiegły dzień i noc na bladej skórze jego twarzy wyrosła rzadka, rudozłota, szpakowata broda.

Okrył nogi szorstką derką i trwał tak przez chwilę, objąwszy rękami podkulone kolana. Przez szeroką ramę wielkiego okna za ołtarzem rzucił okiem na wstający dzień. Okno zdobila kuta żelazna krata, łącząca motywy krzyża i kielicha, które splatają się i nakładają na widoczne w tle miasto.

Przetarł oczy i dotknął karku, jakby brak snu spadł mu na ramiona. Nigdy dotąd nie przeżył podobnej nocy. Wie, że nie spał w zwykłym tego słowa znaczeniu, chyba że usnął dopiero o brzasku.

Wyprostował się, jedną ręką dotknął lodowatej posadzki kaplicy.

Przez materac, który położono tu wczoraj, poczuł jej chłód. Decyzyję, że będzie spał w kościele Dominus Flevit, podjął dopiero pod wieczór, po zobaczeniu tego miejsca. Siostra Marie Simon, intendentka opactwa Abu Gosh, miała rację: kiedy się ma pięćdziesiąt pięć lat, nie należy już spędzać nocy w takich warunkach; członki mu zeszywniały, w plecach poczuł ból.

Przez ozdobne okno wpadło światło. Wydaje się całkiem nowe, jeszcze niepokryte kurzem upału i piasku. Błękitnawa poświata wciska się poprzez szare listki drzew oliwnych w ogrodzie, pieści trawę nadal pokrytą rosą i wnosi do kaplicy zapachy ziemi, która już się nagrzewa i jest jakby spękana.

Wstał, wyprostował krzepkie jeszcze ciało. Miał na sobie białe lniane spodnie i jedną z owych długich koszul ze stójką, jakie od przeszło stu lat noszą elity Półwyspu Indyjskiego. Nagie stopy wsunął w pantofle z miękkiej jasnej skóry, najwidoczniej robione na miarę. Cały świat zna ekstrawagancję, genezę, zasady tej kosmopolitycznej elegancji; przez wiele tygodni po jego wstąpieniu na papiejski tron media długo rozwodziły się nad szczegółami tego prostego i wystudiowanego stroju.

Wziął derkę, zrolował ją, zarzucił na plecy i wyszedł do ogrodu. Zna owe lodowate noce poprzedzające palący ciężar dnia; przez trzydzieści lat często zdarzało mu się sypiać w podobnych warunkach, na Synaju, na pustyni Negev, na wielkich stepach Radżastanu... Ale nigdy nie spał pod gwiazdami u wrót Jerozolimy.

Przy drzwiach kaplicy — zwykłej kamiennej dzwonniczki w murze ogrodu — odwrócił się i spojrzął na brunatne mury. Blanki i złota kopuła tonęły jeszcze w cieniu, nad minaretami i dzwonnicaми unosiły się krzyki małych drapieżnych ptaków... Jerozolima znowu się obudzi i znów stanie się Miastem... — pomyślał.

Dominus Flevit

Tej nocy, okryty wełnianą derką, wiele razy opuścił swe kościelne schronienie, by przechadzać się w wonnych ciemnościach ogrodu.

Chłodny wiatr, który poczuł na ciele, obudził jego umysł. Spacerował między młodymi drzewkami oliwnymi, pośród zapachu migdałów i akacji. Wydawało się, że jest obcy brunatnej ziemi, roślinom, nieczuły na wiatr. Wydawało się nawet, że nie widzi przycupniętego pod drzwiami małego kościółka mężczyzny w niebieskiej galabii i narzuconym na nią brązowym szalu z wielbłądziej welny. Strażnik spojrział na niego, paląc papierosa, i taktownie nie odezwał się, szanując chwile milczenia i pozornie chaotyczny dyskurs mędrca, prowadzącego rozmowę z samym sobą.

W zasięgu ręki miał czarną broń i bez słowa wodził oczyma za wysokim człowiekiem w białej koszuli, wydany na pastwę nocnych lęków... Zmagający się z wątpliwościami mężczyzna przypominał sobie o obecności czuwającego w ciemnościach przyjaciela. Wyprostował się. Niewątpliwie pomyślał o ostatniej nocy swego Mesjasza, przy którym, w tymże Ogrójcu, zabrakło towarzyszy czuwających z otwartymi oczami przed jego procesem, a potem przed straceniem. Dominus Flevit, Pan płacze. Łzy Boga, który stał się człowiekiem. Dominus Flevit, tak właśnie zwie się kaplica z kawałkiem ogrodu w niewielkiej zagrodzie na Wzgórzu Oliwnym przed Jerozolimą.

Ktoś, kto natężyłby słuch, poprzez urywki rozmowy, jaką w duchu prowadził ze sobą spacerujący nocą człowiek, poprzez skrzywienie gałęzi czarnych cyprysów i szelest liści drzewek oliwnych usłyszałby jeszcze inne dźwięki...

Pod murem, na skrawku otwartego terenu górującego nad ogrodem, kroki człowieka w białej koszuli, spacerującego tam i z powrotem, są przedmiotem komentarzy rzucanych ścisłym głosem do walkie-talkie.

Mężczyźni o wyglądzie morderców, z bronią pod lewą pachą, szeptem wydawali rozkazy do mikrofonów przyklejonych do ust czarnym, matowym przylepcem. Włosy mieli ostrzyżone na jeża, na uszach słuchawki, na oczach przydymione okulary zawodowych pracowników służb bezpieczeństwa.

Niektórzy byli członkami osobistej ochrony gościa z Watykanu, ludźmi pułkownika Altobello. Po zamordowaniu przed pięcioma laty poprzedniego papieża, który zginął od ciosów zadanych przez Chorwata Franjo Dranicia, wiedzieli, że nie ujdzie im płazem żaden błąd. Pozostali są członkami Mossadu i Czarnych Panter, lokalnych

służb bezpieczeństwa, których oba państwa oddały pod rozkazy włoskiego pułkownika policji, działającego wspólnie z siłami zbrojnymi Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych...

Owi ludzie, co najmniej w stopniu sierżanta, wiedzieli, że niektóre z najskuteczniejszych odłamów światowego terroryzmu wyznaczyły olbrzymie sumy za głowę tego mężczyzny w bieli — zwierchnik katolików byłby bowiem królewskim trofeum dla fanatyków starających się wzniecić dawne wojny religijne, wyprawy krzyżowe lub dżihad, drzemiące w podświadomości wszystkich narodów i we wszystkich duszach. Nie licząc tych, którzy myślą, że zmiecenie wszystkich religii i obalenie wszystkich bóstw zapewnią pokój, i których także skusił terroryzm...

Upłynęło już trzynaście lat, odkąd fundamentaliści trzech monoteistycznych religii i radykałowie ateizmu wzniecili na tym wzgórzu pożar. Zamach przeciwko murowi i wojna hadż o mało nie doprowadziły świata do wojny grożącej masową zagładą... I owi spece od nienawiści, owi integraliści manipulujący świętymi tekstami jak nitrogliceryną, mieliby teraz spokojnie patrzeć na fiasco swych zamiarów, nie próbując stoczyć o nie ostatniej bitwy? W sąsiedztwie ogrodu znów zaczął krążyć helikopter z niebiesko-białym gołdem Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Szum wirnika, odgłos wojny... To miasto zna dźwięk tnących powietrze łopat śmigła, przeszywający sygnał kogutów na dachach karetek i ich ostre światła.

Ale dzisiejszego ranka, w dzień Zielonych Świątek 2035 roku, których doczekania świat się nie spodziewał, na wieży Dawida powiewają obok siebie trzy flagi: niebieska gwiazda Dawida na niebieskim tle i czarno-zielono-czerwona flaga palestyńska łopoczą na wietrze obok błękitnej flagi NONZ jak wyzwanie rzucone tym, którzy przepowiadali, że nigdy nie będzie pokoju i sprawiedliwości.

Człowiek, dzięki któremu ten cud stał się możliwy, patrzył na flagi w błękitnawym świetle, które się rozprzestrzeniało coraz bardziej, dopóki murów obronnych nie zalało słońce.

Błogosławieństwa

Strażnik w niebieskiej galabii czekał, by jego gość usiadł. Mohammed ibn Mansur stał przed ułożonymi w koło kamieniami, pod

które dwie godziny wcześniej wsunął zapalone gałązki i rozżarzone węgle. Kawa z dodatkiem pachnącego kardamonu mruzczała w stalowym czajniku stojącym na największym z rozgrzanych kamieni.

Tomasz, pierwszy tego imienia katolicki papież, który przedtem nazywał się Giuseppe Lombardi, obywatel włoski, francuski, indyjski, honorowy obywatel Izraela i Palestyny, laureat pokojowej Nagrody Nobla w 2024 i 2034 roku, usiadł na beduińskiej ławce, czyli wielbłądzim siodle ze skóry i twardego drewna.

Szepnął po arabsku kilka słów błogosławieństwa nad pochylonym człowiekiem, który parzył kawę, a potem skierował parę słów dziękczynienia ku Bogu, który nie poskąpił ziarna, ognia i nowego dnia. Tomasz nauczył się tych słów daleko stąd, w slumsach Bombaju i Islamabadu, w czasach, gdy spotykał się z rzecznikami indyjsko-pakistańskiego dżihadu. W tamtej epoce formuły błogosławieństwa, owe *Baraka lahu fujik* czy *Hamdu li lah*, były zwrotami pozwalającymi skłonić rozmówcę do podjęcia decyzji i przekonać siedzące naprzeciwko siebie strony, że każdego z obecnych przy tym stole ludzi wierzących, nawet najokrutniejszych, najbardziej szalonych, najbardziej krwiożerczych, darzymy szacunkiem.

Tego ranka Tomasz wypowiedział je ze szczerością i powagą, prosząc, by Bóg otoczył swym miłosierdziem klucznika, człowieka, który wielokrotnie osłaniał go z narażeniem życia i za cenę biodra przeszytego trzynaście lat temu dwoma rewolwerowymi pociskami. Na pewno nie zapomniał też o innych błogosławieństwach, innych pojednaniach; wiedział, że los całego katolickiego, prawosławnego i protestanckiego chrześcijaństwa oraz wszystkich jakże licznych jego sekt będzie zależał od tego dnia.

Był tego pewien. Albowiem widział to we śnie.

Owej nocy

W homilii wygłoszonej tego popołudnia powiedział po prostu: — Dzisiejszej nocy w Dominus Flevit we śnie ukazało mi się Słowo Pańskie.

Opowiedział sen, ale nie zdradził nic więcej o naturze tego, co przeżył; nawet mnie, swemu *fratello*, swemu sekretarzowi. Ta noc pozostała jego tajemnicą. Szczegóły, które podaję, znam od ibn

Mansura i od Altobellego; ponieważ tamtej nocy postanowiłem spać u moich braci dominikanów we francuskiej Szkole Biblijnej i Archeologicznej w Jerozolimie.

Nie mogłem zgłębić tajemnic owej nocy, która zakończyła dzień soboty, sobotę 12 maja, i zapoczątkowała niedzielę, 13 maja 2035 roku, dzień Zielonych Świątek. Co dokładnie zobaczył? Czy sen ten miał miejsce, gdy spał? Czy też śnił na jawie? Powiedział tylko: „Miałem sen”. Tajemnicę zabrał ze sobą do grobu. Nie zdradził jej nawet swoim ukochanym córkom, kiedy go o to pytały.

Jednak Tomasz przeżył rzecz, której się nie spodziewał, której dotąd nie znał i która nim wstrząsnęła. Nieważne, że katolicy mówią, że Bóg przyszedł z nim porozmawiać, nieważne, że ateści tłumaczą to stanem umysłowym, psychicznym czy nawet guzem mózgu, jak twierdzi słynny neurolog Abel Dharmia. Ważne jest to, co stało się potem...

Człowiek ten, obdarzony przecież charyzmą i siłą przekonywania, dotychczas znany był jedynie z inteligencji, odwagi i postępowości; tymczasem w niedzielę 13 maja 2035 roku ów strateg, znający wagę każdego słowa oraz kruchą równowagę dyplomatycznych kompromisów, kilkoma zdaniem przekreślił wieki dyskusji i sporów. Zlikwidował tysiącletnie waśnie; tego dnia był prorokiem.

W wonnych oparach drzew oliwnych i kawy nie odezwał się do milczącego strażnika, który śledził jego ruchy, by uprzedzić ewentualne życzenia. Wyobrażam sobie, że chciałby, aby już było popołudnie i aby zaczął odprawiać mszę dziękczynną przed czekającymi od tygodnia kamerami mundowizji, w obliczu Jerozolimy świętującej swą trzecią, a może czwartą młodość. Czy już wiedział, jakie wypowie słowa? I czy wiedział, że trudno będzie w nie uwierzyć, że będą zaskakujące, gdy je wypowie, a staną się oczywiste, gdy już je wygłosi? Czy wyobrażał sobie, jakie wywrą wrażenie na tych, którzy je usłyszą, w Rzymie, w kościołach jego światowej diecezji i we wszystkich świątyniach niekatolickiego chrześcijaństwa? A może zastanawiał się, czy to rozsądne, by wypowiadał owe słowa, ufając jedynie temu, co mu się śniło?

Wtem przypomniało mu o sobie Miasto. Na przedmieściach, tam gdzie pierwszy muezin dojrzał blask wschodzącego słońca, zabrzmiał krzyk: *Allah akbar!* — Bóg jest wielki, Bóg jest największy; *Adonai elohenu, Gloria in excelsis Deo...* Od ilu wieków właśnie w tym miejscu trwa walka o to, by jedno z imion Boga

zatriumfowało nad innymi? Od zburzenia pierwszej Świątyni? Od kiedy spoczywa tu ojciec wierzących, Abraham? Dzięki Tomaszowi I nikt nie wydziera sobie tej ziemi, ponieważ przestała należeć do kogokolwiek.

Allah akbar... — pomyślał Tomasz, patrząc, jak przesuwając paciorki różańca, Mohammed wymienia dziewięćdziesiąt dziewięć imion Boga: Najświętszy, Najwyższy, Wszechmocny, Miłosierny... Wspomniał Jerozolimę: trzynaście lat temu, kiedy tu przybył, miasto to było centrum wojny, szczeliną, gdzie rozwierała się przepaść, która mogła pochłonąć ludzkość. Prawie natychmiast wszedł na to wzgórze. Było z niego widać gigantyczny lej, który powstał w esplanadzie po wybuchu, i odłamki, które podziurawiły złoto Kopuły; można rzec, że fundamenty Syjonu jeszcze drżą po tym wstrząsie. Słupy dymu wznoszące się ku niebu w każdej z dzielnic świadczyły, że znów doszło do starć między synami Sema. Na ulicach rozlegało się szczekanie uzi przerywane wściekłym terkotem kałasznikowów.

Allah akbar, cicho wołanie muezinów...

Wiedział, że dzięki niemu ludzie skończyli na pewien czas z tą zmorą; święta wojna, wyprawa krzyżowa na Jerozolimę, była już tylko wspomnieniem i, być może, przyszłe stulecia będą umiały rozciągnąć status Jerozolimy na wszystkie święte miejsca, na wszystkie granice świata. Przynajmniej na pewien czas...

Czas rozejmu

Pokój. Harmonia. Jedność. Czy jeszcze w nie wierzył tego ranka? Narzął dla nich życie i bez wahania zrobiłby to jeszcze raz.

Przez prawie dwadzieścia lat doprowadzał do spotkań przedstawicieli różnych frakcji, stosujących przemoc, terrorystycznych, fundamentalistycznych lub tylko pietystycznych. Widział, jak się zawiązują i rozpadają sojusze, jak się daje i cofa słowo, nie dotrzymuje zobowiązań. Osobiście udawał się na miejsce masakry w spalonych protestanckich świątyniach, meczetach, katolickich kościołach.

W ciągu ostatnich piętnastu lat był również świadkiem zażartych walk o władzę w Pałacu Watykańskim. Widział, że niektórzy są gotowi na wszystko, by zwyciężyła ich wizja świata. Znajdował się

dwa metry od miejsca, gdzie zamordowano jego poprzednika. Papież, z którym się przyjaźnił od przeszło czterdziestu lat, zmarł w jego ramionach i szeptem oznajmił mu swą ostatnią wolę... Wysłuchał triumfalnej spowiedzi mordercy, który nie okazał wyrzutów sumienia ni skruchy. Gdy został papieżem, osobiście musiał przeprowadzić w swej Kurii czystki skierowane przeciwko ludziom, którzy tak jak on poświęcili życie temu samemu Bogu. Przeciwno braciom...

Jeśli chodzi o sprawy bardziej osobiste, śmierć i żałoba odarły go ze złudzeń. Przekonał się, że za każdą radością ciągnie się smuga cienia. Od śmierci Chiary — jakże to było dawno! — wiedział, że za każdą ludzką miłość płaci się łzami... Wiedział, że jednego dnia człowiek może cieszyć się życiem i być szczęśliwy, a nazajutrz rano budzi się ze smakiem popiołu w ustach.

Jednak nie mógł zrezygnować ze swego marzenia, by choć na jakiś czas ludzkość zaznała pokoju. Nie wierzył, aby człowiek mógł zmienić świat. Czy mógłby sądzić, że się to uda jemu, skoro jego Pan, Jezus Chrystus, sam się przekonał, do jakich niegodziwości zdolny jest człowiek? Wiedział, że ziarno zasiane przed dwoma tysiącami lat wyda plon dopiero u kresu czasu. Ale czy ludzie nie mogą dać sobie choćby na kilka lat nieco wytchnienia, czekając na Jego przyjsięcie? I czy przynajmniej chrześcijanie nie mogliby zaprzestać wzajemnych walk?

Nie miał złudzeń, ale wierzył, że niektórzy pragną tak jak on zawieszenia broni i że potrafią do niego doprowadzić.

Wiedział, że ludzie zawsze będą wznosili nowe granice, narody wymyślały nowe wojny. Ale chrześcijanie?

Za chwilę, dziesięć lat po zaprowadzeniu pokoju w Jerozolimie, Tomasz zaproponuje pokój Ludowi Bożemu na całą Ziemi, „aby odtąd byli jedno”.

Potem będzie musiał liczyć na przyjaciół. Kiedy za chwilę usłyszy go Simon Cervin, Simon „Nauka”, natychmiast przewidzi konsekwencje tych słów. Wiedział, że kardynał Paul Assoumou, jego sekretarz stanu, zrobi, co trzeba. „Jego” kardynałki, Jeanne-Marie Carrière i Leah Nanah, na pewno będą umiały analizować, a potem upowszechniać obietnice, których załączki znalazły się w jego przemówieniu; a Bartolomeo, kulawy teolog, będzie gotów oświecać drogę, którą pójda.

Jeśli chodzi o jego „klikę”, był pewien ojcowskiej wyrozumiałości

don Enrica, który pewnego dnia zasiądzie z nim przy kieliszku wina, wspominając, jaki skutek miała jego „bomba”, a także gryzącej ironii pastora Froeligera, stwierdzającego, że w sprawie jego przemówienia „mała katolicka delegacja nie jest już jednomyślna; zatem całe chrześcijaństwo...”; inni będą pełni entuzjazmu... Ostatecznie wielu mężczyzn i kobiet dobrej woli, z jakimi się zetknął, to ludzie odważni i pewni. Wielu z tych, których znał jedynie z nazwiska, ale czuł, że jest im bliski, gdy czytał raporty, przysyłane przez nuncjuszy, było sługami człowieka i Boga. Mógł liczyć na miliony rąk i dusz.

Niewątpliwie także i tego ranka na myśl o odwadze, jaką chciał okazać, słyszał śmiech Chiary, który odnajdywał w śmiechu swych dwóch córek.

Człowiek, który wątpił

Ale czy wiara, jakiej potrzebował, nie była przede wszystkim wiarą w siebie? Musiał wierzyć, że nadzieja i przeświadczenie jednego człowieka, nawet jeśli jest papieżem, wystarczą, by zachwiać stuleciami walk i wykluczenia... A jeśli rozpocznie ten ruch, kto będzie mógł go zahamować? Może zepsuć to, co cierpliwie chroniło tylu innych przed nim.

Dobrze znałem Tomasza i byłem pewien, że tego ranka ogarnęły go wątpliwości. Czy to możliwe, by Bóg potrzebował go, by spełnić prośbę swego Syna: „Niech będą jedno”? Tego ranka ten człowiek wątpił.

Owe wątpliwości będą nachodziły Tomasza I jeszcze w tygodniach, które nastąpiły po jego przemówieniu i w ciągu dwóch następnych lat, byłem tego świadkiem. Nie rozwały się nawet wówczas, gdy postanowił zwołać sobór.

Wiedział, że droga ta będzie trudna: „Ci, do których wyciągam rękę, będą się jej bali, bo będą żałować, że nie oni pierwsi zburzyli mury...”.

Tomasz był przekonany, że Historię tworzą ludzie, a nie Bóg czy też jego Księga, i że Historia nigdy nie jest nieodwracalna, każdy postęp osiąga się jedynie na „pewien czas”.

Wiedziałem, że Tomasz się bał. Dwa lata później powiedział Simonowi Cervinowi: „Przed rozpoczęciem kazania jeszcze raz przypomniałem sobie, w jaki sposób ostrzegałeś mnie przed wszystkimi guru, mistrzami intelektualnymi, liderami opinii społecznej... i przewodnikami duchowymi. I powiedziałem sobie, że albo wszystko to definitywnie zdradzę, albo jestem jedynie sługą Bożym...”.

Czy człowiek ma prawo myśleć, że może zmienić przekonania i nadzieje ponad półtoramiliardowej rzeszy wierzących, opowiadając sen, który miał poprzedniej nocy? Czy wierzy, że Historia zawarta jest w tajemnicy jego snów i że potoczy się zgodnie ze wskazaniami jego głosu?

To, że ośmielił się wyjść do ludzi przekonany, że potrafi wraz z nimi napisać przyszłość, wyjaśnia niewątpliwie charyzma jego *dream team*.

Ale dlaczego nie zapytał o zdanie Leah Nanah, Simona Cervina, Jeanne-Marie Carrière oraz Paula Assoumou, Dietricha Froeligera, Enrica Morro i Bartolomea Lopeza, jeśli o jego sile stanowił związek z nimi? Dlaczego sądził, że tym razem został „wybrany”, by oznajmić to światu?

Właśnie poszukując odpowiedzi na to pytanie, napisałem niniejszą książkę: żeby zrozumieć...

Rosyjska ruletka?

Na początek dwie opowieści na temat poranka i popołudnia, które wstrząsnęły chrześcijaństwem.

Pierwsza jest krótka. Przed mszą, czekając w pokoju hotelowym na eskortę, z którą miały pójść na nabożeństwo, Clara i jej siostra Cecilia rozmawiały przez telefon z ojcem. Mówił im o ich matce w sposób, w jaki nie zdarzyło się to nigdy dotąd, jak ktoś, kto przekazuje swoje duchowe dziedzictwo, swą największą tajemnicę. Clara powiedziała mi: „Kiedy rozmawiał z nami o Zielonych Świątkach 2035 roku, zawsze łączył tę rozmowę z przemówieniem, z jakim wystąpił do całego świata... Jakby chodziło o dwa oblicza tej samej chwili”.

Druga opowieść, którą w dniu wydarzeń przekazali mi pułkownik policji Emiliano Altobelli, tak jak ja neapolitańczyk, dowódca

operacyjny służb bezpieczeństwa, oraz Mohammed ibn Mansur, strażnik miejsc świętych, jest równie wiarygodna, i ją również dotychczas trzymano w tajemnicy.

Wczesnym rankiem, gdy papież skończył poranną toaletę, Mohammed usłyszał hałas na cmentarzu znajdującym się powyżej ogrodu przy kaplicy Dominus Flevit. Wyciągnął broń i zawołał coś po arabsku; odpowiedział mu człowiek z palestyńskich tajnych służb. Potem Altobelli krzyknął do papieża, że wszystko jest w porządku. Pojawili się dwaj policjanci izraelscy i jeden palestyński z bronią w ręku, a helikopter mieszanej policji ustawił się w pozycji poziomej, jak wcześniej ustalono, na wypadek gdyby doszło do alarmu najwyższego stopnia.

Tomasz wysłał Mohammeda, żeby zobaczył, co się stało. Strażnik wrócił w towarzystwie Altobellego i dwóch ludzi z osobistej ochrony papieża. Trzymali na muszce zakutego w kajdanki więźnia, którego Altobelli prowadził na długim łańcuchu.

Mężczyzna, a właściwie młodzieniec, nazywał się Fausto Gimondi i był Włochem z Rzymu. Altobelli poinformował papieża, że schwytano go, kiedy czołgał się między grobami z pistoletem P38 Beretta w lewej dłoni. Wykręciwszy chłopakowi ręce, zmusił go, by ukucnął w trawie i pochylił się do przodu, z twarzą zakrytą długimi kosmykami czarnych włosów. Tomasz spytał:

— Chciałeś mnie zabić?

Chłopak spojrzał na niego, drżąc od razów, których mu nie szczędzono.

— Tak, chciałem cię zabić. Tak jak twój Bóg zabił tylu ludzi przede mną...

Według relacji Altobellego papież potrząsnął głową i rzekł:

— Zostawcie nas samych.

Uzbrojeni mężczyźni z wyjątkiem Mohammeda, który w Jerozolimie towarzyszył papieżowi jak cień — cofnęli się nieco... Tomasz pochylił się nad więźniem i mówił do niego szeptem. Długo. Potem wezwał Altobellego.

— Pułkowniku, wyjawilem temu chłopcu, co zrobię i powiem dzisiaj po południu, żeby wiedział, czy warto mnie zabijać... — Papież uśmiechnął się. — Teraz, kiedy już wie, niech zdecyduje, czy jestem groźniejszy żywy czy martwy... Proszę też, by wydał pan rozkaz, aby nikt go nie zabił, jeśli on zabije mnie. Oczywiście, jeśli to uczyni, pójdzie na długo do więzienia, ale niech nikt nie odbiera mu życia.

Mimo protestów pułkownika Tomasz rozkazał coś po arabsku Mohammedowi, który podał swoją broń Faustowi Gimondiemu.

Watykański policjant zobaczył, że młody anarchista bierze rewolwer, długo waży go w rękę, a potem upuszcza w trawę.

Według Altobellogo między przycupniętym w trawie pięćdziesięcioletkiem i młodzieńcem w T-shircie, którego zabrała policja, doszło jeszcze do krótkiej wymiany zdań. Gimondi odwrócił się i spytał:

— Naprawdę powie im pan to wszystko...?

Tomasz zmrużył oczy i odpowiedział po włosku:

— Tak właśnie postanowiłem.

Czy jest możliwe, by papież opowiedział Faustowi Gimondiemu o „zielonoświątkowym Śnie”? Wszystko skłania do przypuszczenia, że Tomasz postanowił sprawdzić, czy słowa, jakie zamierzał skierować do chrześcijan, przede wszystkim do wiernych swego Kościoła, mogą uśmierzyć nienawiść zdeterminowanego młodzieńca, mordercy nafaszerowanego ideologią małych europejskich bogobójczych grup, i uważającego Olivera Elmwooda, człowieka, który wysadził w powietrze Wzgórze Świątynne i meczet Al-Aksa, za wizeronera i męczennika... Byłoby to w jego stylu, zawsze bowiem uważał, że życie Kościoła dotyczy wszystkich ludzi.

Ale Tomasz I nie grał swym „Snem zielonoświątkowym” w rosyjską ruletkę. Owego ranka w żadnym wypadku nie czuł się męczennikiem.

Jeszcze wieczorem tego samego dnia Mohammed ibn Mansur i Tomasz, śmiejąc się, powiedzieli mi, jak było naprawdę: gdy Tomasz po arabsku rozkazał strażnikowi, by podał zamachowcowi broń, dorzucił jeszcze:

— Wyjmij magazynek...

Twarz Chiary

Oto co powiedział Tomasz I, oto co robił w godzinach poprzedzających zielonoświątkową mszę...

To wszystko, czego się dowiedziałem. Słońce pięło się po brunatnych, glinianych murach i oświetlało pozłacaną kopułę, dzwony i mur; trzy flagi łopotwały w coraz gorętszym powietrzu, a odgłosy miasta zastępowały wołanie muezinów; autobusy pełne wiernych,

turystów i gapiów kierowały się w stronę esplanady, na której nie wybuchały bomby; lekki wietrzyk prześlizgiwał się między ciemnymi liśćmi drzew oliwnych.

Tomasz patrzył na to wszystko z zielonej oazy Dominus Flevit, w cieniu dwóch wysokich cyprysów, zasłaniających budynek. Wszedł pomodlić się do kaplicy, gdzie spędził noc, a potem długo siedział po turecku na łące w ogrodzie, niewątpliwie oddając się medytacji.

W milczeniu pił kawę z Mohammedem i jadł daktyle. Sądzę, że musiał wspominać momenty życia, które go tu przywiodły, twarze, które mu towarzyszyły. Podobno tak zachowują się ludzie szykujący się na śmierć. I z pewnością ze wszystkich tych twarzy najbliższa mu była twarz Chiary; była w nim, towarzyszyła mu, uśmiechała się do niego. Późnym przedpołudniem Tomasz postanowił przed udaniem się na nabożeństwo zostać w kościele i w ogrodzie. Spędził dziewiętnaście godzin w miejscu, gdzie poszedł na parę chwil. Dziewiętnaście godzin, których tajemnicy do końca nie zgłębił nikt, nawet on sam.

JAKUB

1

Spotkanie

Pas de deux

Aby zrozumieć Tomasza I, aby pojąć, jak Giuseppe Lombardi wszedł w skórę tego papieża, jak jego idee stały się dla ludzi drogą do pokoju i apelem o wyznawanie wiary chrześcijańskiej, ja także muszę cofnąć się o pięćdziesiąt pięć lat i odtworzyć razem z nim nazwiska ludzi, którzy dochowali mu wiary lub którzy z nim zerwali, nazwiska kobiet i mężczyzn, którzy liczyli się w jego życiu.

Ale niewątpliwie dlatego, że nie znałem Chiary, nie ją pierwszą wezwę na świadka. Jestem klerkiem, „a więc klerykałem”, powiedziałby Simon Cervin... Spędziłem prawie piętnaście lat z Giuseppe. Znałem blisko Sylwestra III, papieża, który był dla niego więcej niż przyjacielem i po którym wstąpił na tron Piotrowy... I oczywiście pierwszy rozdział tej książki postanowiłem umieścić w paryskim gimnazjum, w dniu, gdy spotkali się mężczyzna i dziecko, dwaj przyszli papieże.

Wielu widziało w Tomaszu I spadkobiercę, „syna” papieża Sylwestra III. Psychoanalitycy i psychologowie, watykańscy i teolodzy starali się dotrzeć do sekretu ich relacji, spojrzeć na nich jak na ojca i syna, wyróżnić podziw i rywalizację.

Znałem ich obu, spotkałem się z wieloma świadkami i rozmawiałem z ludźmi, którzy obcowali z nimi na co dzień, wyrobiłem więc sobie pogląd wiele spraw. Temu, kto chce zbytwno wnikać we wzajemny stosunek tych nieprzeciętnych osobowości, umyka tajemnica ich przyjaźni. A wydaje mi się, że ów związek jest po prostu braterstwem dusz i przyjaźnią dwóch niezależnych i wolnych umysłów

najwybitniejszych postaci Kościoła rzymskokatolickiego w tym stuleciu.

Nie sądzę, by właśnie Villepreux ukształtował Lombardiego. Niewątpliwie starał się to zrobić, ponieważ przeczuwał, że chłopca czeka niezwykle los. Ale mu się nie udało i owa klęska sprawiła, że monsignore Lombardi stał się najważniejszym ogniwem „francuskiego klanu” Sylwestra III.

Katecheta

W czasach, gdy Giuseppe Lombardi przybył z rodziną do Paryża, Jean-Baptiste Villepreux wrócił z rocznego pobytu w Rzymie [*W 1984 r. Villepreux (ur. w 1961 r.) wstąpił do seminarium w swej diecezji, to znaczy diecezji Langres. Ponieważ w departamencie Haute-Marne nie było właściwych struktur edukacyjnych, studiował na paryskim wydziale teologii, a potem w Rzymie. Pracę duszpasterską zaczął w Saint-Germain-des-Pres. Został wyswięcony na diakona w czerwcu 1990 r., a na księdza w czerwcu 1991 r.] i przyjął święcenia diakońskie. We wrześniu 1990 roku proboszcz kościoła Saint-Germain-des-Pres zaproponował mu, by został katechetą w pobliskim gimnazjum imienia Jacques'a Preverta. „JB” miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Wysoki, szczupły, elegancki, wyróżniał się nieco światowym wyglądem, jaki koloratka nadaje mężczyznom o dobrej prezencji. Jego spojrzenie było dziwną mieszaniną bystrej inteligencji i flegmatyczności.*

Kilka dni po powrocie z wakacji diakon zagadnął nowego, dziesięcioletniego wówczas ucznia.

— Podobno jesteś z Bolonii? Słyszałem, jak ostatniej niedzieli śpiewałeś w Saint-Germain-des-Pres...

Giuseppe Lombardi podniósł ze zdziwieniem oczy na człowieka, który zwrócił się do niego po włosku.

— Ja księdza nigdy nie widziałem — odpowiedział.

To były pierwsze słowa, jakie zamienili dwaj przyszli papieże.

Dlaczego się spotkali? Czy należy mówić o intuicji dorosłego, czy o charyzmie dziecka? Sądzę, że w grę wchodziła raczej strategia... Villepreux postanowił zaskarbić sobie sympatię malca w taki sam sposób, jak robił to zawsze: wybierał w każdej klasie dziecko, które pomogłoby mu trafić do reszty. Młody Lombardi lepiej od innych

nadawał się do tego zadania, dzięki któremu nowi uczniowie łatwiej zaakceptowałyby katechetę: Na niedzielnej mszy rzeczywiście widać było niewiele uczniowskich twarzy, natomiast młody śpiewak na nią uczył. Diakon miał nadzieję, że się z nim zaprzyjaźni, bo znał włoski, a Giuseppe uczył się francuskiego. Pierwsze spotkanie nie było więc dziełem przypadku, ale „duszpasterskiej taktyki”. A także muzyki.

Muzyka

To właśnie muzyka, a zwłaszcza śpiew, przyciągał na niedzielne nabożeństwo chłopca, który dotychczas nie interesował się religią. Oczywiście słyszał, jak w gronie rodzinnym mówiono o takim czy innym dogmacie lub takiej czy innej wierze, ale nie wykazywał wyraźnego pociągu do jakichkolwiek praktyk religijnych. W ostatniej klasie szkoły podstawowej, od jesieni 1989 roku do lata następnego roku, chodził na mszę jedynie z uwagi na chór. Nie przystępował do komunii ani się nie modlił.

Natomiast śpiew kościelny był jego prawdziwą pasją; przez całe życie Giuseppe miał szczególny stosunek do muzyki i śpiewu. Muzyka była dla niego sposobem nazwania koloru i smaku życia. Każda chwila, każde wydarzenie miało jakąś „melodię”: muzyka stała się dla niego czymś w rodzaju metajęzyka, kiedy, pogwizdując, będzie bezwiednie informował tych, którzy go znają, w jakim jest humorze, o czym myśli, co wspomina... Co więcej, muzyka jest wyrazem jego teologii, jego filozofii. Zapytany o tę silną więź między muzyką a duchowością, papież Tomasz I oświadczył:

— Muzyka jest komunią. Jestem przekonany, że ze wszystkich sztuk właśnie ona jest szczególnym darem Bożym, „pierwszym porrywem tego, co niewysłowione”. [*Autorem tego wyrażenia jest włoski kompozytor Giacinto Scelsi*] Dlatego jest tak głęboko związana z modlitwą i liturgią. Wierzę, że muzyka należy także do świata Bożego, że anioły śpiewają i że na pewno przyłączymy nasze głosy do chórów anielskich.

Chrzest (chrzty)

Giuseppe Lombardi mógłby jeszcze dodać, że dzięki śpiewowi odkrył wiarę, a przynajmniej ukryte dotąd skłonności do przeżyć duchowych.

W lecie 1990 roku Giu zadał swoim rodzicom pytanie o sens jego chrztu, [*W ostatnim roku szkoły podstawowej dwóch uczniów z jego klasy przyjęło chrzest w noc Zmartwychwstania w kościele Saint-Germain-des-Pres. Podczas tej nocnej uroczystości Giuseppe śpiewał i był wyraźnie poruszony ceremoniałem i przeżyciami swoich dwóch rówieśników*] a nawet spytał ich, czy są naprawdę pewni, że ceremonia ta rzeczywiście się odbyła... Tak, byli tego pewni. Księgi kościoła San Domenico w Bolonii zaświadcniają, że został ochrzczony w niedzielę 19 września 1982 podczas niedzielnej mszy, [Można również odszukać, jaki tekst Ewangelii wówczas odczytano. To Ewangelia wg św. Marka, 9,37, która kończy się słowami: „Kto przyjmuje jedno z tych dzieci w imię moje, Mnie przyjmuje”] kiedy miał już nieco ponad dwa lata (urodził się 4 lipca 1980 roku).

Tego roku, gdy skończył dziesięć lat, Pietro i Monica, jego rodzice, odnoszą „wrażenie, że żałuje, iż został ochrzczony, bo teraz, gdy poczuł przemożne pragnienie, by to zrobić, nie może sam o tym zadecydować”. Świat chrześcijaństwa zaczął nagle fascynować ich Giu. Przez cały sierpień 1990 roku Monica co rano widziała swego syna zatopionego w lekturze ogromnej Biblii. Kiedy chłopczyk przebiegał wzrokiem kilka stron, zapalał na stoliczku w swym pokoju świecę, a wkrótce zawiesił nad drzwiami drewniany krzyż. Na pytanie ojca: „Cóż to, czy Chrystus zszedł z twego krzyża?”, Giu przytaknął. W następnych tygodniach rodzice starali się wyciągnąć z niego coś więcej, ale syn miał zawsze jedną odpowiedź: „Teraz wiem, że to prawda”.

Niezależnie od tego, kto wyzwolił to uczucie, jedno było pewne: chociaż wielu biografów [Przed wszystkim Philippe Fevrier w swej znakomitej biografii Sylwestra III Papież zamordowany, Plon, Paryż 2032. Moim zdaniem jest to najlepsze dzieło dla zrozumienia stanowiska Jeana-Baptiste'a; Villepreux na synodzie europejskim w 2008 r., w Black Decade; jest też dobrą syntezą na temat cichej wojny między „Francuzami” i „Meksykanami” w całym dziesięcioleciu 2020–2030] uważało, że Lombardi zawdzięcza swą wiarę Villepreux, fakty temu przeczyły. Giuseppe „wiedział”, zanim jeszcze spotkał Villepreux...

Rodzice przyjęli jego oświadczenie i nie dążyli dalej — w gruncie rzeczy zadowolili się twierdzeniem, że ich liberalne wychowanie zostawiło synowi swobodę pozwalającą odpowiedzieć „we własnym imieniu” na pytanie o Boga. A w owym obcowaniu z Biblią Monica widziała przejaw „rozumnej religii”. Państwo Lombardi myśleli również, że wyznanie wiary Giu będzie musiało przejść przez próbę wieku młodzieńczego, kiedy każdy wybiera swoją drogę... Ale o tym, co wydarzyło się pod koniec tego lata w życiu i duszy ich syna, nie wiedzieli nic więcej.

Kościół i ładne dziewczęta

Prawdę mówiąc, państwo Lombardi byli wprawdzie wierzący, ale niezbyt pobożni. Oczywiście, życie rodzinne toczyło się w rytmie wielkich chrześcijańskich świąt, ale Pietro i Monica praktykowali nieregularnie, nie okazwali specjalnych względów duchowieństwu ani zainteresowania tekstami przychodzącymi z Rzymu — i chociaż uważali się za chrześcijan, wcale nie starali się być dobrymi katolikami...

Pietro, urodzony w 1950 roku, w dzieciństwie chodził jeszcze na nabożeństwa odprawiane po łacinie, znał na pamięć katechizm sprzed Soboru Watykańskiego II; w wieku młodzieńczym grał na gitarze na nabożeństwach, jak było przyjęte w owych czasach. Ale w latach siedemdziesiątych XX wieku jako student medycyny zarzucił regularne praktyki religijne. W tym czasie wszędzie w Europie młodzi ludzie dystansowali się od wszelkich instytucji i władzy — a społeczeństwo odkrywało „swobodę seksualną”, emancypację kobiet i łatwo dostępną, lecz potępioną przez Kościół pigułkę antykoncepcyjną. Pietro był ładnym chłopcem, a dziewczęta nie były trudne... Mając wybór między Kościołem instytucjonalnym a ładnymi dziewczętami, wybrał dziewczęta.

Miał prawie trzydzieści lat, kiedy na swej drodze spotkał Monicę. Jako osoba młodsza od niego o dziesięć lat nie znała posepnych i wspaniałych akntów przedsoborowej mszy. Była wykształconą, nowoczesną dziewczyną, zaangażowaną katoliczką działającą we wspólnotach u bolońskich dominikanów. Wprawdzie oboje zakochali

się w sobie od pierwszego wejrzenia, ale to ona nalegała na ślub. Młody lekarz odniósł się życzliwie do wiary swej *bella donny* i za jej przykładem zaczął brać udział w spotkaniach u dominikanów, gdzie mógł dyskutować z teologami moralistami na temat konsekwencji wspomaganej medycznie prokreacji, będącej naonczas w powijakach. Ale ostatecznie Monica nie przyciągnęła Pietra do Kościoła; to ona się od niego oddaliła.

Młoda Włoszka sama przyznała że „coraz mniej wierzy słowom instytucji, która arbitralnie potępia seksualność, która wprawdzie nawołuje do odpowiedzialnego ojcostwa i macierzyństwa, ale odmawia najmniejszego ustępstwa w sprawie zakazu pigułki antykoncepcyjnej...”. Dystansowała się od „hierarchii, która nadal twardo potępiała pewne postawy, podczas gdy historia dowiodła, że często się myliła; jeśli chodzi o polskiego papieża, który zachęcał nas, byśmy „się nie lękali”, słyszeliśmy, jak oskarżała nowoczesność w imię tego, co nazywał „kulturą śmierci”.

Owe zarzuty nie były dla Moniki powodem do definitywnego zerwania więzi z Kościołem... Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku miała jeszcze nadzieję, że nastąpią zmiany. Wierzyła, że klerykałizm sam się wyczerpie i Kościół zacznie szanować kobiety i ostatecznie je pokocha. Pietro, z grubsza biorąc, też miał taką nadzieję. Ale chociaż państwo Lombardi mówili dzieciom, że są chrześcijanami, chociaż w domu rozmawiało się czasem o tych sprawach, to po przyjeździe do Paryża nie nawiązali kontaktów ze swoją parafią i nie posłali dwojga starszych dzieci na naukę katechizmu.

Giuseppe nie im zawdzięczał ową wiarę, która będzie kierowała jego życiem.

„Wiedziałem”

Zapytywany znacznie później o narodziny swojej wiary, Giuseppe powie: „Jako dziecko chodziłem na mszę w naszej parafii we Francji, śpiewałem w chórze... Uważałem, że to piękne oraz interesujące, no i lubiłem śpiewać. A poza tym nie mam pojęcia dlaczego, ale wiedziałem, że w wierze tkwi prawda. Wiedziałem, ot i wszystko”.

Co było katalizatorem tej wiary? Lektura *Notatek i zeszytów*, [Owe źródła znajdują się dzisiaj w rękach młodych badaczy. Chodzi o zeszyty, które Lombardi prowadził przez całe życie. Są to kompilacje tekstów opatrzonych notatkami. Dość trudno z nich korzystać, ponieważ nie są to długie zapiski, ale komentarze odnoszące się do bieżących spraw. Te opasłe zeszyty są ułożone w sposób chronologiczny, każdy z nich obejmuje jeden rok] których byłem pierwszym czytelnikiem, rzuciła nieco więcej światła na to nagłe objawienie.

W 2013 roku, to znaczy w czasie studiów w seminarium w Bolonii Giuseppe napisał: [Na marginesie psalmu 63, zaczynającego się od słów: Boże, Ty Boże mój, Ciebie szukam. Ciebie pragnie moja dusza. Jest to jedna z najdłuższych adnotacji w tym zeszycie] „Wysłuchałem recitalu wielkiego francuskiego chóru Abbattia, [Pośrednio powstał z dziecięcego chóru, do którego Giuseppe należał w Paryżu w latach dziewięćdziesiątych XX wieku] który wykonał utwór Sharon Achnak *Augustinus*. [Kompozytorka amerykańsko-francuska. Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku napisała muzykę do tekstów św. Augustyna]

Przypomniałem sobie, że wykonywałem to dzieło zaraz po jego powstaniu. Śpiewając: *Stworzyłeś nas dla siebie, Panie, i nasze serca nie zaznają spokoju, dopóki nie spoczną w Tobie, doznałem naglej pewności, że »to prawda«, jak zawsze mówię. Zatem Bóg dotknął mego serca i mojej duszy poprzez muzykę. Do dzisiaj o tym nie wiedziałem. A jednak zdaję sobie sprawę, że kieruje mną i trzyma przy życiu właśnie owa pewność, że Bóg jest, że nas pragnie i czeka na nas i że w nas wszystkich mieszka pragnienie takiej przyszłości w Bogu”.*

Powtarzam jeszcze raz, że za wydarzeniem tym nie stali ani rodzice Giuseppe, ani Villepreux. Natomiast bez wątpienia jemu pierwszemu, po Piętrze i Monice, Giuseppe zwierzył się z narodzin swojej wiary. Od Jeanne-Marie Carrière wiemy, że znacznie później Villepreux powiedział jej, że to, co usłyszał, zdumiało go: „To dziecko uświadomiło mi, że to Duch Święty go natchnął. Zrozumiałem, że nikt nie może przypisywać sobie zasługi za jego nagłe spotkanie z Bogiem. Jedynym wyjaśnieniem jego nawrócenia jest spotkanie, podobnie jak na tajemniczej drodze do Damaszku”. Villepreux dodał jeszcze: „Parę dni po powrocie uczniów z wakacji zagadnąłem Jakuba, [Pod pretekstem, że imię Giuseppe jest dla Francuzów trudne do wymówienia, Jean-Baptiste Villepreux nigdy nie nazywał Giuseppe inaczej niż imieniem Jakub. Nadał mu je od ulicy Jakuba (rue Jacob), gdzie mieszkała rodzina Lombardich] ale to on przyszedł później do mnie z

mnóstwem pytań po prostu dlatego, że byłem »człowiekiem Bożym, do którego miał najłatwiejszy dostęp...« „.

Zatem jego przyjaźń z Villepreux wzięła się stąd, że odkrył Boga — nie zaś na odwrót, jak utrzymuje wielu biografów...

Na tekście

Ale to katecheta czuwał nad religijnym rozwojem chłopca, który usiłował zaspokoić swój głód wiedzy: mały Włoch pragnął czytać, uczyć się, rozumieć to, w co wierzył. I był w tym nienasycony.

Giuseppe przede wszystkim interesował się Biblią. Pożerał wszystkie dzieła na temat egzegezy, które pożyczał mu Villepreux; [Villepreux nie jest specjalistą od tekstów biblijnych; swoją pracę, doktorską poświęcił eklezjologii, przede wszystkim miejscu i roli świeckich i księży] ale również smakował owe teksty jak na ucznia jego matki, humanistki, przystało, przywiązując wielką wagę do języka, słów, poetyckości przypowieści... Do tego stopnia, że zaczął kupować kilka tłumaczeń, najpierw włoskich, potem francuskich i że stworzył na własny użytek Nowy Testament: dla każdej księgi wybrał wersję, która najbardziej mu się podobała, i oprawił w skórzane okładki. Widziałem, że przez całe życie miał go pod ręką. Jako trzynastolatek błagał, by umożliwiono mu naukę języka starogreckiego, bo chciał czytać teksty w wersji oryginalnej. Monice udało się namówić pewnego młodego nauczyciela, Williama Budę, żeby udzielał mu lekcji: „Mój uczeń był tak zdeterminowany, że się zapaliłem i opracowałem dla niego starą metodę, gdzie nauka języka odbywa się wprost na tekście. *A priori* nie wkuwa się tu reguł ani gramatyki, a jedynym przewodnikiem jest sam tekst. Elementarzem Giuseppe był Nowy Testament”.

Villepreux był poruszony gorliwością ucznia, zachwycony jego pracowitością, zaskoczony poetyckim rozumieniem tekstu — widział, z jak wyjątkową osobowością miał do czynienia.

Przeświadczony, że chłopiec zasługuje na szczególną uwagę, katecheta dość szybko zaczął myśleć, że może tu chodzić o jedno z owych zadań, dzięki którym jego kapłańska posługa nabierze sensu.

Będzie poświęcał Giuseppe nieustanną uwagę. Po sześciu miesiącach, w lutym 1991 roku, wysłał do Pietra i Moniki list: zaprosił ich do libańskiej restauracji, by porozmawiać o ich synu. „Wiem, że nie dzielają państwo pewnych trosk i niepokojów, które są moim udziałem, jestem jednak pewien, że będziemy mogli porozmawiać o przyszłości i wyjątkowych uzdolnieniach Giuseppe...”.

Pokrewieństwo

Próba adopcji

O kolacji, na którą Pietro poszedł z oporami, a Monica z dziwnym niepokojem, opowiadali mi oboje rodzice... Zobaczyli naprzeciwko siebie inteligentnego, pełnego zapału, wspaniale wykształconego młodego człowieka, który po włosku dzielił się z nimi swymi wspomnieniami z Rzymu. Przy deserze Villepreux przystąpił do sedna sprawy: ich syn Giuseppe jest niezwykłym dzieckiem; chłopcem, który znalazł wiarę i ma „prawie genialne podejście do tekstów i Biblii”. Monica, literaturoznawca, zaczęła dyskusję z diakonem o sposobie, w jaki jej syn podchodził do lektur. Pietro okazał więcej rezerwy, był niemal chłodny. W końcu rodzice spytali wprost Villepreux, czego od nich oczekuje.

— Chciałem państwa prosić, byście pozwolili mi iść drogą, na którą wkroczył; jestem przekonany, że odpowiada ona jego inteligencji, duszy, że znajdzie na niej szczęście...

Dziwnie uroczysty ton, dziwna prośba: do tej pory nic nie pozwalało podejrzewać, by państwo Lombardi chcieli przeszkodzić synowi pójść obraną przez niego drogą... Monica wspomina: „Prosił nas o to, jakby pragnął, byśmy oddali mu naszego syna, tak jak błaga się rodziców, by wyrzekli się wszystkich swych marzeń o potomstwie, chwale, karierze swego dziecka. Według niego Giuseppe powinien zostać księdzem, a więc kawalerem...”. Odpowiedź Pietra jest niczym kubał zimnej wody:

— Nigdy nie zamierzaliśmy zabraniać naszemu dziecku samodzielnie myśleć, odkrywać, kochać i rosnąć; a może pan, drogi panie, właśnie tego pragnie?

Zapadła cisza. Villepreux zaczerwienił się, zaczął coś jąkać.

Chcąc nieco złagodzić ostre słowa męża, Monica zapewniła, że są ludźmi wierzącymi, mimo iż oddalili się od religii i Kościoła... Pietro przerwał żonie:

— Słyszał pan moją odpowiedź i moje pytanie... Jaką mam gwarancję, że nie zechce pan manipulować tym chłopcem. Bóg powierzył nam opiekę nad nim, przede wszystkim w intencji takiej, abyśmy zapewnili mu wolność.

„Jean-Baptiste zrobił się wówczas niemal fioletowy, jakby społkała go zniewaga. Przysięgłabym, że się udusi — opowiadała z uśmiechem Monica. — Zastanawiał się długą chwilę. Potem rzekł do Pietra z powagą: »Jedyną gwarancją, jaką mogę panu dać, jest moje słowo«. Pietro równie poważnie odpowiedział: »Pańskie słowo mi wystarczy«. Zamówił trzy kieliszki alkoholu, jakby dla przypiętowania złożonej przez nich obietnicy... W pełnej zaangażowania ciszy czekaliśmy, aż go nam podadzą, i wypiliśmy bez słowa, a potem powróciliśmy do przerwanej rozmowy”.

Owa wymiana zdań między mężczyznami, ojcem i człowiekiem, który niewątpliwie chciał nim być, ustaliła ich relacje na następne lata. Czy Giuseppe czuł kiedykolwiek pokusę, by wybrać sobie ojca duchowego? Czy Villepreux musiał się temu opierać? Sądzę, że chłopiec był zbyt niezależny, by szukać sobie mistrza.

Jedynie fakt, że Villepreux wówczas zmienił chłopcu imię i zaczął nazywać go Jakubem od nazwy ulicy — tak jak ojciec nadaje imię synowi — świadczył o tym, że być może pragnął adoptować syna Pietra. A Giuseppe do końca życia Jeana-Baptiste'a uznawał, że miał on do tego prawo.

Różne rodzaje niezależności

Gdyby Villepreux chciał odsunąć od Giuseppe rodziców i skłonić go do rezygnacji z niezależności, miałby z tym duże trudności, albowiem Monica i Pietro od najwcześniejszych lat wyrabiali w swym pierwotnym skłonność do brania za siebie odpowiedzialności.

Obydwoje byli godnymi reprezentantami wolnych, nowoczesnych, wykształconych laickich Włoch. Pietro Lombardi został lekarzem, ale nigdy nie praktykował; jeszcze przed ukończeniem studiów

profesorowie skłonili tego zdolnego młodego człowieka do obrania drogi naukowej. Rozpoczął więc doświadczenia *in vitro*, którym na początku lat osiemdziesiątych XX wieku poświęcił większość swych prac. Sam nie leczył i nie stykał się z chorymi na AIDS, ani potem z ludźmi umierającymi z powodu wirusa zachodniego Nilu. Całe jego życie zawodowe było nastawione na uwolnienie ludzkości od chorób i nie zawahał się ryzykować osobiście, kiedy trzeba było pracować nad szczepami, o których wiadomo jedynie tyle, że zabijają... Ale nie należał do lekarzy, którzy codziennie zmagają się z nieszczęściem i śmiercią pacjentów.

Monica Pitti, jego żona, kobieta obdarzona inteligencją mniej twórczą, była czystym wytworem pięciu wieków kultury literackiej. Specjalizowała się w Dantem Alighierim, była też jedną z pierwszych badaczek uniwersyteckich zajmujących się fantastyką Primo Leviego oraz twórczością Dina Buzzatiego... Dla niej życie przeplatało się z literaturą.

Nie przypominała jednak owych studentek, od których roilo się na uniwersytetach północnych Włoch i które wyglądały tak, jakby zrezygnowały z wdzięku na rzecz wiedzy. Monika była obdarzona zarówno inteligencją, jak urodą, i chociaż w sprawach czysto naukowych zdawała się na Pietra, panowała nad całą resztą.

Czy trzeba pisać, że pociąg do spekulacji intelektualnych Giuseppe odziedziczył po Piętrze Lombardim? I że umiłowanie poezji, muzyki i ową tak rzadką umiejętność sztuki życia zawdzięczał Monice Pitti? Ale to doszukiwanie się podobieństw wydaje mi się naciągane...

Nie da się natomiast zaprzeczyć, że państwo Lombardi wprowadzili swe dzieci w świat o wyraźnie zakreślonych normach socjokulturowych, z jakiego sami wyszli, świat zamożnej burżuazji, która przywiązuje wagę do wykształcenia i pozycji zawodowej, oddając przy tym należne miejsce kulturze, pięknu, i naukom ścisłym. Pieniądze nie stanowiły dla nich sprawy najważniejszej, ale dalecy byli od tego, by nimi gardzić — wiedzieli, że zapewniają piękne apartamenty, dobry stół, podróże, literaturę i sztukę.

Tomasz I, odziedziczy ową spokojną pewność, że nie należy się martwić sprawami materialnymi ani przesadnie się nimi przejmować — taka pewność właściwa jest ludziom, których rodziny od wielu pokoleń nie zaznały nędzy ni głodu.

Co do reszty, utrzymywanie, że rodzice ukształtowali Tomasza, byłoby nieprawdą. Przez całe życie Monica i Pietro starali się wychować dzieci (chłopca i dwie dziewczynki) na ludzi dojrzałych, samodzielnych, niezależnych, aktywnych... I zarówno ich syn, jak obydwie córki sami pokierowali swym życiem, a ich dzieciństwo ani im w tym nie przeszkodziło, ani o tym nie przesądziło.

Między dziećmi i rodzicami zawsze istniała bardzo silna więź, wolna od jakiegokolwiek przymusu — jedną z najbardziej osobliwych (moim zdaniem) oznak owej przyjaźni było zwracanie się przez Giuseppe po imieniu do rodziców.

Giu

„Od pierwszych tygodni życia — opowiadała Monica — zdawał się patrzeć na świat z wyjątkową ufnością”. I rzeczywiście na zdjęciach z okresu niemowlęcego zdumiewa ogromne czoło małego Giu i intensywne spojrzenie jego okrągłych, bardzo ciemnych oczu; spojrzenie palące, prawie gorączkowe, którym zdaje się przesywać fotografa. Monica uważała, że właśnie z powodu owych poważnych oczu zarówno dorośli, jak i dzieci zwracali się do niego jak do kogoś sobie równego.

Pierworodny syn państwa Lombardich w dzieciństwie nie odnosił spektakularnych sukcesów jak Mozart ani nie wykazywał wybitnych uzdolnień; był to raczej posłuszny i zrównoważony malec, który zdawał się czerpać przyjemność z dziecięcych radości — lubił pieścić się z rodzicami i płatać figle. Zresztą żadna z osób zawodowo zajmujących się dziećmi, które się z nim zetknęły, nie odnotowała niczego godnego uwagi. Giuseppe przeszedł przez szkołę bez kłopotów. Był koleżeński i potrafił zjednać sobie nauczycieli...

Ludzie szczęśliwi nie mają żadnych problemów i dzieciństwo Giuseppe upływało w radosnej atmosferze. Poza dwiema cechami charakteru nic nie zapowiadało człowieka, jakim stał się później...

Chłopczyk o jasnych oczach i mrocznym spojrzeniu, zazwyczaj łagodny, wpadał nieraz w złość. Były to niepokojące ataki gniewu. „Drżał na całym ciele, gryzł wargi, robił się przezroczysty, jakby uszła z niego krew — wspomina jego młodsza siostra Anna. — Wiedziałam, jak kurczowo zaściska pięści, a czasem tupie nogami.

Wściekał się”. Wszyscy pamiętali, jak nagle zrywał się, biegł do swego pokoju i wyładowywał złość, bijąc pięścią w poduszkę. W przyszłości dorósł Giuseppe, a potem papież Tomasz, miał straszne napady złości — publiczne, hałaśliwe, nieukrywane i niepowstrzymane.

Drugą jego osobliwą cechą było manifestowane od najwcześniejszych lat upodobanie do tego, co jego rodzina nazywała z humorem „medytacją”, ów dziwny zwyczaj, który zachował do końca życia i który mnie tak intrygował w początkach naszej znajomości. W owych czasach myślałem, że to jakaś przywieziona z Indii technika relaksu i oddychania. Istotnie, już w wieku dwóch lub trzech lat co najmniej raz dziennie, często zaraz po przebudzeniu, Giuseppe brał Bibi, swego pluszowego królika, i siadał po turecku na kanapie; potrafił tak trwać czasem nawet pół godziny, oddychając spokojnie, z wyprostowanymi plecami, wzrokiem wbitym w dal, jakby w coś się wpatrywał. A przede wszystkim jakby nic nie słyszał...

Czterdzieści lat później Giuseppe powie mi o tym „medytowaniu”: „Pozwalam, by wolno płynął czas. Pozwalam, by moje ciało żyło w czasie terazniejszym. Pozwalam, by mój umysł zdał sobie sprawę z faktu, że tu jest, że żyje. Nie modłę się, to nie jest czas na relaks. Potem mogę znowu żyć dla innych, dla świata. Jeśli tego nie robię, po paru dniach ogarnia mnie wściekłość”.

W lecie 1990 roku mówiono o Giu, że jest dzieckiem zdolnym, inteligentnym, radosnym; na pewno osobliwym, ale nie genialnym.

Markiza

Wszelako nad losem chłopca pochylila się już „wróżka”. Dziwna wróżka... Anne-Louise Millet d'Argentre, zwana „Almą”, [Almę znamy z biografii pióra Maxime'a d'Argentre, jednego z jej dalekich krewnych, który wielokrotnie spotykał u niej Jakuba: Książka *La Marquise de Saint-Germain* (Paryż 2031) ukazała się po wyborze Tomasza na papieża. Szeroko korzystałem z tego dzieła i z niego zaczerpnąłem wiele cytatów, które przypisuję Tomaszowi. Uważam natomiast, że nikt nie podkreślił decydującego wpływu, jaki wywarła markiza d'Argentre na młodego Giuseppe Lombardiego, a zwłaszcza jak bardzo chrześcijaństwo jej zawdzięcza to, że był... chrześcijaninem] pochodziła z niemal zaginionego świata. Z dziewiętnastego stulecia. Z paryskiej arystokracji, która istniała już tylko we wspomnieniach.

Wiosną 1989 roku Instytut Pasteura postanowił skrzyknąć kilku najlepszych europejskich badaczy, by wspólnie pracowali nad lekiem na AIDS. [Tempo wzrostu seropozytywnych na HIV na Zachodzie i w Trzecim Świecie jest tak duże, że wynalezienie leku staje się dramatycznie pilne i będzie niezwykle rentowne dla laboratorium i kraju, które zwyciężą w owym „wyścigu po szczepionkę”] Amerykańskie zespoły już przechwyciły wiele mózgow z Starego Kontynentu... W swym bolońskim laboratorium Pietro Lombardi dostał propozycję, by dołączył do paryskiego *dream team*.

Monica natychmiast zatelefonowała do francuskiego uniwersytetu z zapytaniem o możliwość pracy; Pietro musiał poszukać mieszkania dla rodziny składającej się z trojga dzieci w wieku od dziesięciu lat do paru miesięcy – najmłodsza, Marina, urodziła się na początku roku, a Anna skończyła sześć lat. Właśnie wówczas na scenę wkroczyła ekscentryczna markiza d'Argentre...

Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku Alma dysponowała jeszcze pokaznym majątkiem i zamierzała oddać ducha w materialnym komforcie, z niczego nie rezygnując, nie posiadając w chwili śmierci już nic, bo ustanawianie spadkobierców „nudziło ją”. Starsza pani raz na kwartał spotykała się ze swym adwokatem i lekarzem, by skoordynować zmierzch swego życia ze zmierzchem swych dóbr; jej rodzinna fortuna była jednak znaczna... Aby ją elegancko pomniejszyć, a nawet doprowadzić do ruiny, Alma robiła więc darowizny z ową maestrią, jaką mają niektórzy, owijając swe prezenty w reguły tak skomplikowane, że raczej wątpimy, by podarunek sprawił przyjemność komukolwiek poza nimi... W tym czasie poznała Lombardich, pozwoliła bowiem Fundacji Pasteura korzystać z apartamentu położonego na pierwszym piętrze pałacyku przy ulicy Jacob, gdzie sama mieszkała. Przeszedł on na własność Fundacji po śmierci markizy i dopiero wówczas mógł zostać sprzedany.

Na razie Instytut Pasteura powinien udostępnić go jakiemuś zagranicznemu uczonemu (pod warunkiem że „będzie pochodził z naszego kontynentu, a nie z kolonii...”), który przyjedzie wraz z rodziną pracować w stolicy Francji. Oczywiście ów naukowiec musiał uzyskać jej aprobatę, „ponieważ będziemy mieszkać pod jednym dachem”. Tym lokatorem został Pietro Lombardi.

Giuseppe poznał Almę, kiedy miała siedemdziesiąt lat i od czterdziestu pięciu była wdową. Niegdyś piękna, uchodziła za osobę, która nie stroniła od miłosnych przygód, ale nadużywanie ziemskiego pożywienia zrobiło z niej grubą damę ubierającą się z przesadną elegancją ocierającą się o zły gust.

Chociaż widać było po niej nadmierne upodobanie do makaronu i upływ czasu, który „to, co szlachetne, poświęca dla tego, co pożyteczne, a to, co elitarne, dla tego, co wulgarne”, pozostała jednak markizą: jej dowcipy były uszczypliwe i okrutne, a lud dzieliła na „swój dwór”, „salon”, który prowadziła wbrew i przeciwko wszystkiemu, oraz „lud”... Anachroniczna moralistka, estetka elitaryzmu, cudownie opowiadająca anegdoty stała się dla młodych Lombardich najbardziej ekstrawagancką starą damą.

Salony

Już pierwszej jesieni po ich wprowadzeniu się do domu przy ulicy Jacob Alma zaproponowała Monice, by wykorzystywała jej starzejącą się służbę do opieki nad dziećmi, kiedy wykłady zatrzymywały ją dłużej poza domem. Szlachetny odruch? W rzeczywistości markiza zapalała dziwnym uczuciem do Giuseppe, swego „włoskiego rycerzyka”, do którego zwracała się po łacinie (on odpowiadał jej po włosku) i któremu godzinami kazała słuchać różnych kawałków ze swej niebywale bogatej płytoteki. Uważała, że bywanie w jej „salonie” może okazać się wielce korzystne dla chłopca, zetknie się tam bowiem z językiem francuskim i paryskim esprit, które uszlachetnią jego edukację. Zwierzyła się z tego pomysłu Monice, jakby chodziło o rzadkie wyróżnienie.

Monica uśmiechnęła się: jeśli jej syn również tego pragnie... Dwa razy na tydzień w porze podwieczorku Giuseppe udawał się do „salonu” pani d'Argentre, typowo francuskiej osiemnastowiecznej instytucji, która na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku mocno trąciła myszką. Spotykał tam myślicieli, młode talenty, przyszłych twórców lub już uznanych artystów, uczonych u progu lub schyłku kariery, lekarzy humanistów, czasem jakiegoś deputowanego lub duchownego. Giuseppe, który siedział w kącie salonu i miał za zadanie głaskać kota, żeby ten nie przeszkadzał gościom, szeroko otwierał oczy i uszy, słuchając dialogu Myśli, Smaku i Inteligencji.

A po wyjściu ostatniego z gości uczył się od samej Almy jadownego i złośliwego dowcipu, kiedy komentowała wieczór...

Tak oto „młodziutki włoski rycerzyk” zawdzięczał markizie swoje pierwsze kroki w Saint-Germain-des-Pres, a po nich nastąpiła cała reszta.

Albowiem Alma „od sześćdziesięciu pokoleń” ultramontańska katoliczka, chodziła na mszę, której „funkcjonariuszy” serdecznie nienawidziła, z cudowną wytrwałością nudziła się na nabożeństwach. „Nikt tam niczego nie rozumie i cholernie nudne jest to wszystko”, zwykła mawiać. Z miłości do muzyki i piękna, które „zbliżają do sacrum, tak jak oddala od niego nowoczesność księży w akrylowych swetrach”, co niedziela szła do kościoła Saint-Germain-des-Pres, by posłuchać dziecięcego chóru.

Jako wielka przeciwniczka kleru zaczęła usilnie namawiać Pietra i Monice, by nie zapisywali syna do tych „strasznych zakładów odmóżdżenia, którymi stały się katolickie szkoły”. Giuseppe nie trafił więc do liceum Stanislas, ale został uczniem publicznego liceum imienia Jacques'a Preverta w swojej dzielnicy. Natomiast zabierała Giu do kościoła z przyczyn niemających nic wspólnego z rzeczonymi „księżmi w akrylowych swetrach”.

Alma, zagorzała melomanka, odkryła bowiem pewnego dnia, że jej „rycerzyk” ma cudowny, krystalicznie czysty głos... Oddaję głos Monice, by opowiedziała, co było dalej: „Nazajutrz stara dama wystrojona jak królowa, pachnąca jak bukiet kwiatów, zaszła na nasze piętro: Giuseppe musi chodzić na chór przy kościele przy Saint-Germain, oświadczyła, a ona będzie mu tam towarzyszyła każdej niedzieli”. Niech się państwo Lombardi nie niepokoją, »przypilnuję, żeby księża nie zwerbowali ich syna...«„

Markiza nie do końca dotrzymała obietnicy: właśnie poprzez śpiew i uczestnictwo w chórze przy Saint-Germain Giuseppe Lombardi stanie się orędownikiem religii chrześcijańskiej. A dzięki temu, że kazała go zapisać do liceum imienia Jacques'a Preverta, spotkał Villepreux.

3 Saint-Germain-des-Pres

Zuch

Od czasu rozmowy w restauracji u Libańczyka Villepreux był stałym bywalcem przy rodzinnym stole Lombardich; to niebezpieczne miejsce, gdyż trzeba było nie tylko stawiać czoło pytaniom Giuseppe, ale również wątpliwościom Moniki i kąśliwej ironii Pietra... „Rozmawialiśmy o etyce, o odejściu od Kościoła pewnej części katolików — wspominała Monica. — Wkrótce zaczęliśmy również mówić o tym, że naukowcy nie chcą, aby ktokolwiek poza nimi ustalał reguły... Początkowo Jean-Baptiste bardzo się bronił; potem on z kolei zaatakował, wykazując nam nasze niezdecydowanie i rozleniwienie”... Villepreux był w tym czasie częstym gościem na ulicy Jacob. Przez trzy lata, które spędził poza Paryżem, [Ksiądz Jean-Baptiste Villepreux studiował na Uniwersytecie Katolickim do 1992 r., potem na dwa lata wrócił do swej diecezji i jednocześnie kończył pracę doktorską; następnie pojechał na rok do Monachium (1994–1995). Po tej kolejnej podróży jego biskup zrozumiał, że nie może zrobić z tego intelektualisty wiejskiego proboszcza. Villepreux wrócił do Paryża i ostatecznie w 1998 r. został pełnoetatowym profesorem teologii; w owych czasach znowu zamieszkał w dzielnicy Saint-Germain-des-Pres] będzie utrzymywał stałą korespondencję z Giuseppe, a z jego rodzicami rozmawiał telefonicznie. Kiedy został papieżem, zaliczył Lombardich do grona swoich bliskich, tych, którzy nie przestaną nazywać go „JB”.

Ale przyjaźń między Villepreux i „Jakubem” rozkwitła w pełni dopiero po powrocie Jeana-Baptiste'a do Paryża jesienią 1995 roku. Giuseppe wyglądał teraz tak, jak będzie wyglądał do końca życia:

był obdarzony smukłą, lecz mocną sylwetką... Kiedy jako dziewięcioletni chłopiec przyjechał do Francji, zaczął trenować karate. Rodzice sądzili, że pomoże mu to w opanowaniu impulsywnego charakteru. Rzeczywiście, odtąd nie czuł już potrzeby maltretowania poduszek.

Miał zawsze rozczochrane, jasnokasztanowate włosy, szerokie ramiona, bardzo duże ręce, głośno się śmiał, często śpiewał i w zależności od tego, gdzie spędzał letnie wakacje, po amatorsku uprawiał żeglarsstwo i wspinaczkę.

Westchnienia

Mimo literackich i artystycznych uzdolnień Giuseppe uparł się, by odnieść sukces w naukach ścisłych. Podczas pierwszej samochodowej podróży z Paryża do północnych Włoch w lipcu 1990 roku pojechał ojcowskim fiatem „autostradą Tytanów”, tym jej odcinkiem, gdzie jedzie się na przemian wiaduktami i tunelami. Zafascynowany nimi młodzieniec natychmiast postanowił, że nauczy się budować drogi i mosty, którą to obietnicę ponawiał przy każdym powrocie do kraju. Właśnie wierność owej przysiędze sprawiła, że po maturze zapisał się na kursy przygotowujące do studiów inżynierskich.

Na razie był jednak cenionym przez kolegów i profesorów licealista; bardzo podobał się dziewczętom... Miał wielu kolegów, których onieśmiała jego charyzma; nikt nie uważał się za jego przyjaciela. Jeśli chodzi o dziewczęta, bardzo mu to odpowiadało. „Moje kumpelki szalały za nim — opowiadała Anna. — Niektóre starały się dostać zaproszenie do naszego domu tylko ze względu na niego. A dziewczęta z jego klasy patrzyły i wdychały. Ale ponieważ wydawało się, że Giuseppe niewiele się tym przejmuje, wszystkie sądziły, że jest zakochany w jakiejś dziewczynie z innej szkoły...”. Otoczony wianuszkami wielbicielek młody Lombardi traktował je przyjaźnie, ale one miały nadzieję na coś więcej. Taki obrót rzeczy zachwycał jego katechetę, który sądził, że przeznaczeniem Giuseppe jest celibat w stanie kapłańskim.

O jakiej miłości marzył młodzieniec? Często wyrażał wdzięczność ojcu, że kazał mu kochać kobiety i że nauczył się od swej matki kochać mężczyzn. Niewątpliwie rodzicom zawdzięczał również wiarę

w miłość. Prawie trzydzieści lat później, kiedy poznałem państwa Lombardich, uderzyło mnie silne promieniowanie płynące od tego stadła. O Monice mąż mówi, że „najpierw jest jego wierną przyjaciółką, potem kochanką, którą uwielbia, potem towarzyszką życia...”, a poza tym matką jego dzieci, ale że jest jej za to wdzięczny na ostatku, najpierw oczarowała go całą resztą”. Spiorunowany wzrokiem przez swą elegancką małżonkę szybko dodał, że jest ona również „najbardziej niepoprawną kokietką, jaką zna”. Właśnie ta para i ta miłość posłużyły Giuseppe Lombardiemu jako busola w przyszlých latach — i w Jerozolimie odkryłem, że nieobce mu są tajemnice uwodzenia i miłości. Ale czas idylli jeszcze nie nadszedł.

Paul Assoumou

Po powrocie Villepreux postanowił powierzyć kilkorgu licealistom opiekę nad młodszymi uczniami. Był przekonany, że wśród wybranych przez niego chłopców przynajmniej połowa ma powołanie do stanu duchownego.. Zwłaszcza co do jednego był tego pewien — co do Jakuba.

Wiosną 1990 roku, w drugiej klasie gimnazjalnej, Giuseppe przyjął sakrament bierzmowania. Na kartkach pamiątkowych, które wydrukował na rodzinnym komputerze, umieścił cytat ze świętego Pawła: „Wiem, komu uwierzyłem”. [List do Tymoteusza 1,12, Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Wydawnictwo Pallotinum 1990 (dalsze cytaty wg tego wydania)] Giuseppe rzeczywiście dał swoją wiarę, swoje zaufanie Chrystusowi, był dla Chrystusa. Był również dla Kościoła, odkąd spotkał innego katechetę, człowieka, który przez trzy lata zastępował Jeana-Baptiste'a... charyzmatycznego Paula Assoumou.

W połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku Paul jest jednym z „olbrzymów”, którzy towarzyszą wierze Giuseppe; znacznie później, w dniach nieszczęść, walki, morderstw nigdy nie zawiodą się na wzajemnym zaufaniu.

Assoumou, urodził się w roku 1963. Jako młody chłopiec był utalentowanym środkowym obrońcą w różnych klubach futbolowych w Jaunde. W 1982 roku dziesiętnastoletni Assoumou grał

jako rezerwowcy w drużynie Niepokonanych Lwów Kamerunu, która po raz pierwszy brała udział w zawodach o Puchar Świata w piłce nożnej w Hiszpanii. Odrzucił propozycję kontraktu od AS Roma i wrócił do Kamerunu; rok później wstąpił do seminarium. Poza imponującą posturą zachował ze swej przeszłości czempiona poczucie obowiązku, odwagi i wysiłku, z których jest znany jeszcze do dzisiaj. [Właśnie w Rzymie w 1990 r. namiętnie śledził wyczyny futbolowe swojej drużyny, która w ćwierćfinale przegrała z Wielką Brytanią. Na początku zawodów Lwy zwyciężyły Argentynę, posiadaczkę tytułu. Parę godzin przed meczem Paul zdał egzamin ustny na Uniwersytecie Gregoriańskim. Pewien argentyński seminarzysta zażądał zdawania przed nim z powodu meczu. Nie przestał powtarzać: „Jestem Argentyńczykiem”. Dostało mu się za to, gdyż czarny olbrzym chwycił cwaniaka za kołnierz i powiedział: „Jestem Kameruńczykiem”. Jeśli istniał temat, na który nie żartowało się z Paulem, była nim piłka nożna.]

Na polecenie biskupa skończył część studiów teologicznych w Rzymie, a potem w roku 1993 w Instytucie Katolickim w Paryżu zrobił doktorat. [Jezus Chrystus, mrówka przewodniczka. Esej z chrystologii afrykańskiej, Desclee, Paryż 1999] Właśnie wówczas poznał Giuseppe. W Saint-Germain-des-Pres ksiądz student objął po Jeanie-Baptiście miejsce katechety w gimnazjum i liceum. Jako człowiek wywodzący się z młodego katolickiego Kościoła i rodziny, która niedawno przyjęła sakrament chrztu, Paul darzył Kościół uczuciem głęboko synowskim. [Kiedy miał dwa lata, jego rodzice opuścili Doualę i wrócili w okolice jeziora Czad, skąd pochodził jego ojciec; edukację syna powierzili palotyńskim misjonarzom] Kocha Kościół, który przyszedł do niego z Ewangelią i pozwolił mu poznać Chrystusa. Znacznie później, gdy będzie się zdawało, że Kościół stał się zakładnikiem „Meksykanów”, napisał do Giuseppe takie oto gorące słowa: „Wiesz, że nigdy nie wyzwolę się z tej podległości wobec mojej Matki; albowiem wszystko otrzymałem od Kościoła, to on dał mi wszystko, słowo, kulturę, naukę, wiedzę, które sprawiły, że idę naprzód. Jakże mógłbym się obrócić przeciwko tej, która wykarmiła mnie własną piersią; która jednym palcem trzymała moją rękę, kiedy jeszcze niepewnie chwiałem się na krótkich nóżkach, ucząc się chodzić; która pokazała mi horyzont, kiedy stałem się mężczyzną?”

Pewnego dnia Giuseppe spytał Paula: co to za dziwna bransoleta, którą nosi na nadgarstku? „To jedna z owych żelaznych obręczy,

które zakładano na ręce moim murzyńskim przodkom w Kamerunie przed wywiezieniem ich do Ameryki. Ale zobacz: jest to obręcz złamana... Abym zawsze, ilekroć na nią spojrzę, pamiętał, że byłem niewolnikiem śmierci i że zmartwychwstanie Chrystusa uczyniło ze mnie wolnego człowieka. Właśnie to chcę głosić razem z Kościołem, Matką naszą...”

Kameruńczyk jest trzecim członkiem „tria z Saint-Germain”. Giuseppe, który miał za sobą liczącą prawie dwa tysiące lat kulturę chrześcijańską, z ogromnym szacunkiem odkrył wiarę Paula. Oto świadectwo Moniki: „Począwszy od spotkania z Pauliem, Giu nigdy więcej, mówiąc o Kościele, nie powiedział »on« czy »oni«, ale »my«... Po powrocie Jean-Baptiste nie miał już żadnych wątpliwości: Jakub będzie księdzem. Ale czy młody człowiek też o tym myślał?

„Przyszli seminarzyści monsignore”

Anna, młodsza siostra, a zarazem powiernica, była przekonana, że w owych czasach nie przychodziło mu to do głowy. Brat wciągnął ją w działalność charytatywną. W niedzielę towarzyszyła mu na mszę, czasem czytali razem Biblię. Nigdy nie znalazła w nim cienia niepokoju tym problemem. „Nie wydaje mi się, by rzeczywiście zadawał sobie to pytanie. Ale wiedział, że Jean-Baptiste marzy o tym, by został księdzem”.

Przez pięć lat, między 1995 a 2000 rokiem, żaden z nich nie podjął próby podjęcia decyzji co do przyszłości. Oczywiście, kiedy Villepreux mówił Jakubowi o jego „powołaniu”, chodziło jedynie o powołanie do stanu kapłańskiego. Ale na razie Jakub wspaniale grał rolę lidera i starszego brata, powierzoną mu przez Villepreux, i podczas paryskich Światowych Dni Młodzieży w 1997 roku wykazał się wyjątkowymi zdolnościami organizacyjnymi. JB uważał, że niebawem będzie „gotów”...

Wiosną 1998 roku Monica Lombardi nawiązała kontakty z wydziałem literatury współczesnej uniwersytetu w Bolonii. Pietro natomiast dostał nominację, na którą miał wielką ochotę: włoski minister zdrowia zaproponował mu objęcie programu badań immunologicznych w Bolonii... Nadeszła godzina powrotu do kraju. Oczywiście licealistka Anna i uczennica szkoły podstawowej Marina

pojają z rodzicami. Natomiast Giuseppe, który był w klasie matematycznej, nie chciał tracić roku; prawdę mówiąc, cała trójka zgodnie stwierdziła, że jest to okazja do usamodzielnienia się. Żadne z nich nie miało zamiaru zestarzeć się, będąc na garnuszku u rodziców.

Wtedy wkroczył Villepreux. Katecheta był w zażyłych stosunkach z proboszczem, który nie stawiał przeszkód, by oddać do dyspozycji młodego, zdolnego wikariusza wolne pomieszczenia parafialne.

O co mu chodziło? O zapewnienie paru studentom mieszkania, by mogli pracować, żyć we wspólnocie i rozwijać swe życie duchowe. Oczywiście JB myślał o przygotowaniu grupy młodych ludzi do podjęcia decyzji w sprawie ewentualnego powołania do stanu duchownego. Jakub, podobnie jak inni, był świadomy owych ledwo skrywanych zamiarów. Młodzi ludzie, którzy wprowadzili się do pomieszczeń na Saint-Germain, z humorem ochrzcili się sami „przyszłymi seminarzystami monsignore Jeana-Baptiste'a”.

Konfuzja

Nie mam informacji dotyczących dwóch lat, które Jakub spędził w pomieszczeniach Saint-Germain. Nie udało mi się odnaleźć współlokatorów „domu świętego Villepreux”; mogę co najwyżej przytaczać wspomnienia i świadectwa, jakich Jakub będzie się w owym okresie dostarczał Annie e-mailem i przez telefon.

Przez dziesięć pierwszych miesięcy, od września 1998 do czerwca 1999 roku, Jakub wyłączył się z życia; po wykładach zamykał się z książkami, podręcznikami i zeszytami do ćwiczeń. Zwierzał się siostrze, że nie może patrzeć, jak uciekają tygodnie, a potem miesiące. Mówił o uldze, jaką poczuł, dochodząc wreszcie do ogniowej próby, czyli egzaminów konkursowych, które wymagały dwuletnich przygotowań. Sukces był dla niego wyzwoleniem: nie musiał spędzać kolejnego roku, ucząc się matematyki wyższej, mógł „powrócić do życia”.

Paryska Szkoła Główna, do której ostatecznie wstąpił, cieszyła się opinią tej pośród szkół inżynierskich, która umożliwiała najwięcej dróg na skróty. Młody Lombardi zwolnił tempo pracy, dał sobie więcej luzu, popadł w dyletantyzm. Uczelnia podpisała wiele

porozumień o współpracy z różnymi szkołami wyższymi o profilu humanistycznym bądź artystycznym... Każdy student mógł poświęcić kilka miesięcy na pogłębienie swej wiedzy z innej dziedziny, naukę języków lub eksperyment zawodowy... Jakub nie omieszczał skorzystać z tej okazji.

Na razie Villepreux, uszczęśliwiony, że może pokierować tym niemającym sobie równego żywiołem, powierzył Jakubowi zadanie, na które młody człowiek zgodził się z entuzjazmem: miał przygotować dla studentów szkół wyższych z Saint-Germain-des-Pres podróż do Rzymu na Światowe Dni Młodzieży roku 2000. Musiał się zająć całą intendenturą, przygotowaniem materialnym, stosunkami z Włochami. Jednym słowem, Villepreux postanowił definitywnie pasować Jakuba na rycerza, zrobić go na dwa tygodnie swoją prawą ręką w Rzymie. Niewątpliwie chciał zadać mu zuchwałe pytanie: „Co chcesz zrobić ze swym życiem?”.

Villepreux nie przyszło do głowy, że Jakub znajdzie w Rzymie odpowiedź na to pytanie — i że ich głęboka przyjaźń zostanie na dziesięć lat poddana dużej próbie...

CHIARA

1

Czerwona księżniczka

Pierwsza pomoc

Tego roku upalne rzymskie lato bardzo dało się we znaki setkom tysięcy pielgrzymów przybyłych z Paryża, Krakowa, Dublina, których organizatorzy ŚDM roku 2000 ulokowali na rozległych rzymskich polach i na kampusie pełnym jak czasem błonie w Tor Vergata. Na polach namiotowych, w dymie pierwszych obozowych ognisk, panowała braterska atmosfera. Uczestnicy nosili wodę w kanistrach, gotowali na butlach z gazem, brali prysznic pod osłoną wiat.

Młodzi musieli żyć w brunatnoczerwonym pyłe, gdyż trawa została zdewastowana przez dziesiątki tysięcy przejazdów, przemarsze, postoje, gdzie młodzież modliła się i śpiewała. Ciała, twarze, ubrania pokryły się drobnym pyłem z glinki.

Wkrótce władze sanitarne i policyjne stwierdziły z niepokojem, że liczba porażeń słonecznych i hospitalizacji cały czas wzrasta.

Zacząły więc mobilizować ratowników, zwracając się też o pomoc do Czerwonego Krzyża. Każdy obóz szukał wolontariuszy. Giuseppe, który potrafił udzielić pierwszej pomocy, zgłosił się do jednej z infirmerii zorganizowanej w namiocie przez młodych Włochów.

Zobaczył tam młodą dziewczynę, pochylającą się nad grupą uczestników i cierpliwie tłumaczącą każdemu, co ma robić, by umożliwić dystrybucję wody i kapeluszy oraz przeprowadzać ewakuację. Niewysoka, w dżinsach i T-shircie, na ramieniu miała opaskę ratownika.

Giuseppe widział tylko jej plecy i jasny kark. Dziewczyna upięła swe ciemnorude włosy w kok, którego opadające loki przytrzymywał

zwykły ołówek. Miała szczupłe, dobrze umięśnione ramiona, długie ręce. Usłyszał ciepły, lekko zachrypnięty głos, który pytał, kto mógłby tłumaczyć jej słowa na angielski i francuski. Giuseppe powiedział po prostu: „Ja”.

Dziewczyna odwróciła się i drgnęła, widząc na wprost siebie w otworze namiotu wysokiego młodzieńca. Ta nagle uniesiona twarz jego także wprawiła w drżenie: oczy zielone jak woda, skóra usiana piegami, wystające kości policzkowe, dziecinne usta o delikatnie zarysowanych wargach. Tak wyglądała Chiara na wielu zdjęciach, które udało mi się zgromadzić w ostatnich miesiącach. Na każdym uśmiecha się nieco ironicznie.

— Francuski czy angielski? — spytała.

— Obydwa i trochę niemiecki.

— Podejdz tu — zaśmiała się.

Giuseppe kucnął obok i przez pół godziny tłumaczył jej polecenia na dwa języki.

Właśnie tak opowiadał o ich spotkaniu. Zawsze też dodawał:

— Pierwszą rzeczą, którą musiałem zrobić, było głoszenie jej dobrego słowa. Ale było mi trudno się skoncentrować. Słyszałem tylko jej głos i śmiech.

Dwie gwiazdy

Został długo po zakończeniu tłumaczenia poleceń Chiary. Rozmawiali. Wieczorem poszedł na spotkanie z Villepreux i powiadomił go, że organizatorzy potrzebują ratownika znającego trzy języki. Ksiądz znalazł mu zastępcę. Do końca Świątowych Dni Młodzieży Jakub zawsze towarzyszył dziewczynie o miedzianych włosach i nieco zachrypniętym głosie...

Kim była Chiara Sassetta, z którą właśnie zetknął go los?

Miała siedemnaście lat, była przed maturą i została zwerbowana do grup ochotników; przebywała w Rzymie od kilku tygodni i uwiłajała się od świtu do późnych godzin nocnych, by dać świadectwo i nie zawieść włoskiej gościnności, zaufania swego mediolańskiego proboszcza, który zatrudnił ją mimo młodego wieku.

Chiara musiała pokrótce opowiedzieć mu o sobie: znający ją ludzie opisywali ją jako osobę gadatliwą, darzącą zaufaniem rozmówcę, obdarzoną dowcipem, który dodawał jej wdzięku i sprawiał,

że wybaczano jej kokieterię. Co mu zwierzyła przez te parę dni? Zapewne historię swego życia, wierząc, że Giu zostanie z nią na dobre i złe.

Urodziła się w czerwcu 1983 roku jako córka Iva i Simony Sassetto. On był agentem handlowym, ona nauczycielką. Kiedy po wielu staraniach o potomstwo pojawiła się w ich życiu Chiara, obydwójce byli starzejącymi się ludźmi. Mieli już jedną córkę, Camille, urodzoną piętnaście lat wcześniej na początku ich małżeństwa i wychowywaną w atmosferze surowości, która nasilała się po kolejnej nieudanej ciąży Simony.

Wraz z pojawieniem się tego żywego, zabawnego dziecka starsza siostra uświadomiła sobie to wszystko, czego sama w dzieciństwie nie zaznała. Sfrustrowana opuściła Mediolan w ramionach niejakiego Roberto, starszego od siebie o dwanaście lat, z którym zamieszkała zaraz po osiemnastych urodzinach. Od tej pory wszystkie nadzieje i ambicje rodzice przenieśli na Chiare.

Przy Chiarze Ivo i Simona szybko zrezygnowali z surowych wymagań, które dały się we znaki Camilli; zależało im tylko na rzeczach zasadniczych, chcieli przekazać młodszej córce to, co wydawało im się ważne: wiarę w Boga, ciekawość świata, gościnność, szacunek dla rodziny i tradycji, nieprzywiązywanie wagi do pieniędzy i kariery, ale przy tym dość drobnomieszcząską troskę o bezpieczeństwo i wygodę...

Z tej edukacji Chiara przyswoiła sobie to, co uważała za najlepsze. Ciekawa, otwarta, gościnna, ale również wesoła, lekkomyślna, czarująca i uwodzicielska, obracała się w wymiarze całkiem innym niż jej nieco ograniczeni rodzice. Lubiła ludzi, których spotykała, i oni też na ogół darzyli ją sympatią, cenili jej siłę przyciągania i zaraźliwą śmiałość. Kiedy jednak spotykała się z wrogością, mogła na długo zachować urazę. Oto Chiara: dziewczyna porywająca w swoją orbitę wszystkich, których pociągał jej promienny i ciepły uśmiech.

Giuseppe nie mógł stać się nowym satelitą w owej galaktyce przyjaciół i wielbicieli. On też był słońcem, miał równie olśniewającą charyzmę, równie niezniszczalne przyjaźnie, równie zaraźliwe przekonania. Między tymi dwójkiem mogłoby dojść do rywalizacji, ponieważ byli nieprzeciętnymi osobowościami. Tymczasem przeciwnie, natychmiast wiedzieli, że są dla siebie stworzeni... Chiara często obruszała się na milczącą powagę swego Giu, a Giuseppe

piętnował gadatliwą i ekstrawertyczną niecierpliwość swej ukochanej. Ich relacja to nic rozpięta między podenerwowaniem i oczarowaniem...

Wydzieńczony

Ostatniego dnia przed zamknięciem Światowych Dni Młodzieży Giuseppe poszedł do Villepreux i powiedział: „Muszę zostać parę dni w Rzymie, żeby załatwić przeniesienie na uniwersytet La Sapienza... Czy jestem ci jeszcze potrzebny?!”. Mając nadzieję, że Giu poczuł powołanie, które zwiąże go z Rzymem, katecheta spytał, co go skłoniło do tej decyzji. Jakub odpowiedział: „Spotkałem tę, którą Bóg mi przeznaczył”. Jednym zdaniem przekreślił dwa lata życia we wspólnocie, intelektualne i duchowe braterstwo, nadzieje, jakie młody ksiądz w nim pokładał, owe godziny spędzone na dyskusjach, plany na przyszłość, które snuł JB.

Villepreux nie chciał poddać się bez walki. Jako człowiek inteligentny wiedział, że nie ma sensu podważać tego miłosego objawienia. Sięgnął więc po narzędzie subtelniejsze, argumentował, że przekonanie się o uczuciu wymaga czasu, może więc odległość, jaka ich rozdzieli, jeśli Jakub zostanie w Paryżu jeszcze rok, jest niezbędna przed podjęciem tak poważnej decyzji. Oddalenie pozwoliłoby im umocnić ich miłość. Ale Jakub był nieugięty. „Już postanowiliśmy. Jesteśmy po słowie. To, o czym ci mówię, to czas zaręczyn, kiedy przygotowujemy się do sakramentu, który chcemy przyjąć...”.

Reakcja Villepreux była brutalna. Jakub zawiódł go, Jakub zszedł z drogi, którą nakreślił mu jego „ojciec”... Kiedy będą o tym rozmawiali wiele lat później, powiedzą, że była to scena przekleństwa w stylu antycznym. JB powiedział do Jakuba, że potrafi się bez niego we wszystkim obejść. Jakub tylko kiwnął głową; potępiony syn odmówił przyjęcia od ojca błogosławieństwa, domu, spadku. Z ust Villepreux padły słowa:

— Sądzę, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Zabierz swoje rzeczy. Zwolnij pokój w parafii do końca sierpnia, żeby ktoś inny wykorzystał szansę, którą ty dostałeś. Czy mam zawiadomić twoich rodziców, czy zrobisz to sam?

— Zrobię to sam — odpowiedział Jakub i wyciągnął do katechety rękę, którą ten chłodno uściśnął.

Plecak był już spakowany, stał przed namiotem. Jakub zabrał go w przelocie, nie oglądając się za siebie. Przez dziewięć lat obaj mężczyźni nie zamienili ze sobą ani słowa...

Jeszcze tego samego wieczoru Jakub zatelefonował do rodziców. Monica zrelacjonowała mi ten długi dialog, podczas którego syn wyjaśnił matce, dlaczego już nie będzie rządzić jego sercem — dla Włoszki, nawet Włoszki z Bolonii, był to ciężki cios; tym bardziej że Giu oznajmił, iż zamierza wrócić do Włoch i zamieszkać w Rzymie, daleko od rodzinnego domu. „Mówił o Chiarze jak mężczyzna wracający z podróży mówi o wybrzeżach, do których przybijał; spokojnie, wstrzemięźliwie, pewien, że nie może z tymi, którzy go słuchają, dzielić się zamorskimi cudami...”. Potem Giu oznajmił matce, że za dwa tygodnie przyjedzie do nich z Chiarą, jeśli sobie tego życzą.

Chiara po powrocie do Mediolanu powiedziała do matki: „Przyjdzie do nas pewien chłopiec. Nazywa się Giuseppe. Wyjdę za niego za mąż zaraz po studiach”.

Giuseppe wrócił na tydzień do Paryża, by zorganizować przeniesienie na inny uniwersytet i oddać klucze dozorczy. Znalazł jednak czas, by wstąpić do Almy. Markiza była w siódmym niebie, marzył jej się książęcy ślub. Poleciała mu „wspaniałego kreatora mody, który uszyje suknię w kolorze powietrza, księżycy i słońca, jak w *Oślejkę skórze*, tyle że lepiej”. Giuseppe wyjechał ze starym pierścieniem ze wspaniałym szafirem i paroma brylantami „dla księżniczki”.

Naftalina i biała suknia

Młody człowiek zrobił świetne wrażenie w starym mediolańskim mieszkaniu Iva i Simony Sassetów. Wysoki, przystojny, spokojny, dobrze wychowany, delikatny, był bardziej milczący i zrównoważony niż większość przyjaciół Chiary. Był od niej starszy o trzy lata, a jego rodzice mieli dobre pozycje zawodowe. Poza tym powiedział, że jest zdecydowany poślubić ich córkę, co więcej w kościele — czym zyskiwał w porównaniu z Robertem, partnerem Camilli, „tym niepoprawnym komunistą”.

Ale czy ich skarb, Chiara, która się tak bezgranicznie zaangażowała, całkiem nie straci swojej pięknej główki? Czy nie zaniebda się w nauce? A przede wszystkim, czy nie dopuści, żeby ten „flirt” nie zaszedł za daleko? W swoim czasie Simona z wysoko podniesionym czołem nosiła niepokalanie białą suknie. A Chiara? Czy teraz, gdy miłość wzburzyła jej serce, wyrzuci za burtę białą suknię? Ivo i Simona ani przez chwilę nie zamierzali kontrolować córki. Ale od tego spotkania z troską myśleli o przedmałżeńskiej czystości, od której odstąpienie stanowiłoby według nich pogwałcenie chrześcijańskiego życia córki.

Oczywiście Monica i Pietro nie mieli podobnych trosk.

W wielkim apartamencie, który kupili po powrocie z Paryża, przyjęli Giuseppe jak syna marnotrawnego, a Chiara jak królową. Dziewczyna szybko zdobyła ich sympatię. Już drugiego dnia należała do rodziny. Wychowana w bardzo drobnomieszczańskiej rodzinie, zachwycała się meblami i przedmiotami zwiezionymi z całego świata przez państwa Lombardich. Pomagała w kuchni, uczyła się — rozmawiała z „Monicą” o literaturze oraz o swych przyszłych studiach na wydziale nauk politycznych. Była uprzedzającą grzeczną dla Anny i Mariny, sióstr Giuseppe, z których starsza, Anna, była prawie jej rówieśnicą. Po dziesięciu dniach wszyscy wiedzieli, że Chiara będzie umilała ich przyszłe lata.

Obietnice

Sierpień dobiegł końca w serdecznej, rodzinnej atmosferze. Chiara i Giuseppe wałęsali się pod portykami kościołów romańskich, podziwiali zachód słońca na emiliańskiej wsi; razem z oczarowanymi młodą parą młodszymi siostrami, które niczym wesołe przyzwoitki siedziały na tylnym siedzeniu starego ojcowskiego fiata, pojechali aż na wybrzeże Adriatyku. Zwiedzili Rawennę, którą dobrze znała Chiara.

Pewnego wieczoru młodzi poszli sami do San Domenico, bazyliki, gdzie jest grób naszego założyciela, św. Dominika, i gdzie Giuseppe został ochrzczony. Po ich powrocie Monica zauważyła na palcu Chiary wspaniałą nieznany jej klejnot. „O nic nie pytałam, powiedziała po prostu: »Jest piękny, ale trzeba będzie go zmniejszyć, żebyś go nie zgubiła. Jeśli pozwolisz, zaniosę go do mego jubilera«.

Giu wyraził zgodę poważnym skinieniem głowy, Pietro uśmiechnął się, a ja wzięłam dziewczynki do kuchni, żeby przygotować deser i zabronić im jakiegokolwiek komentarza”.

Wydawało się, że czeka ich przyjemna i spokojna przyszłość. Pod koniec pewnego upalnego popołudnia pojechali wykąpać się do Rimini... Giuseppe, śmiejąc się, powiedział przy siostrach do Chiary, która paliła kolejnego marlboro: „Musisz rzucić papierosy, moja *principessa*... Nie chcę zostać wdowcem w wieku czterdziestu lat”.

Studenci

Tajemnica łóżka

Pierwszego września 2000 roku Giuseppe postawił swe walizki w robotniczej dzielnicy Rzymu. Zamieszkał na szóstym i ostatnim piętrze (na które wchodził na piechotę, bo winda była ciągle zepsuta) czynszowej kamienicy, dzisiaj rozebranej już od prawie dwudziestu lat. Jego kawalerka, duży, widny, wysoki pokój o białych ścianach i ciemnej, drewnianej podłodze, była przytulnym pomieszczeniem.

Chiara mieszkała w ognisku dla dziewcząt sąsiadującym z jakimś zakonnym zgromadzeniem. Pensjonariuszki musiały wracać do domu przed godziną dwudziestą trzecią; później drzwi były zamknięte. Mogły jednak spędzić noc poza domem i nikt nie miał o to do nich pretensji, pod warunkiem że o tym uprzedzą.

Jak wyglądał pobyt dwojga młodych w Rzymie? Czy dzielili życie i łóżko? [Po ukazaniu się w 2004 r. dzieła Raimondy Massafry Prawda o rzekomym papieżu opowiadano wiele rzeczy. Autorka stwierdziła w nim przede wszystkim, że w latach spędzonych w Mediolanie i Rzymie Jakub żył w konkubinacie ze swą przyszłą młodziutką żoną]

Odnalezieni przeze mnie przyjaciele wspominali, że często widywali Giuseppe i Chiarę trzymających się za ręce i wychodzących z kawiarni, kina, koncertu. Nikt z nich nie wątpił, że Giuseppe i Chiara mieszkają i śpią razem...

Niektórzy zastanawiali się głośno, czy przyszły papież stosował się do nauk swego polskiego poprzednika na temat czystości. Papież Tomasz zawsze miał w tej sprawie zabawną odpowiedź:

„Czy byłem posłuszny? Mój Boże, tajemnica, którą uważam za jeszcze większą od tajemnicy spowiedzi, to tajemnica łóżka kobiety i jej mężczyzny...”. Nigdy nic nie wyjawiał ze swego miłosnego życia z Chiara, nigdy nie będzie go stawiał innym za przykład.

Rzymskie wieczerniki

Obydwoje studiowali, Chiara nauki polityczne, Giuseppe filozofię. Jak prawie wszyscy studenci w owych czasach, musieli również pracować. Chiara miała stypendium, ale brała zastępstwa w bibliotece uniwersyteckiej, żeby mieć na kino, papierosy, kawę. Giuseppe, któremu rodzice opłacali mieszkanie, trzy razy w tygodniu pracował jako szofer, a zarazem dostawca w pralni chemicznej. W ten sposób zarabiali na wakacje.

Ale ich życie upływało gdzie indziej, na długich przechadzkach po mieście, jakby wymarzonym dla zakochanych, i oczywiście na spotkaniach ze wspólnymi przyjaciółmi z parafii San Giovanni.

Proboszcz, salezjanin nazwiskiem Ignacio Dolfuss (pochodził z Triestu), stworzył grupę dyskusyjną pod patronatem wspólnoty Sant'Egidio. Spotykali się regularnie, żeby nie tylko się modlić, ale także dyskutować. Giuseppe i Chiara należeli do jej najaktywniejszych uczestników, zarówno jeśli chodzi o modlitwę, jak dyskusje.

Coraz więcej studentów z tego grona zaczynało interesować się polityką, geopolityką, dyskusjami na tematy kulturalne czy społeczne. Wielu z nich to ludzie niewierzący, agnostycy lub obracający się w kołach dość odległych od oficjalnego Kościoła; byli po prostu zadowoleni, że mogą przy kolacji pogadać na jakiś ciekawy temat... Jednym ze stałych bywalców był Gianluca Premonti.

Wybrać swój obóz

Gianluca, starszy dwa lata od Giuseppe, jako jeden z nielicznych naprawdę z nim dyskutował — większość pozostałych słuchała przemysłów Jakuba. Natomiast między *Francese* i turyńczykiem dochodziło do ostrej wymiany zdań i burzliwych sprzeczek. Gianluca był zagorzałym komunistą. I to właśnie ów chłopak kończący

socjologię uzupełniał edukację polityczną Giuseppe. Nie dlatego, iżby go „przekabacił” na swe zapatrywania, nie dlatego, iżby wskazał mu autorów, których należy czytać, mistrzów, za którymi należy iść, rewolucje, które należy przeprowadzić. Z nich dwóch Jakub był tym, który siłą refleksji narzucił swą postawę, wywierał wrażenie na Gianluce. Ale Premonti miał zmysł działania, zacięcie do dyskusji politycznych, którego brakowało Jakubowi...

Dotychczas Jakub, paryżanin, miał podobny stosunek do polityki jak młodzi Francuzi jego pokolenia, którzy w wieku młodzieńczym grzecznie jej unikali czy nawet ignorowali... Jeśli chodzi o Chiare, rodzice nie rozmawiali z nią o polityce, chyba że po rzadkich odwiedzinach Camilli i Roberta; żeby „sprostować to, co usłyszała”, mawiał Ivo.

Młodzi ludzie musieli więc się otrząsnąć i wyjść z długiego snu, by zainteresować się „sprawą”.

Dyskusje między Gianlucą Premontim i Giuseppe nieuchronnie obracały się wokół refleksji na temat właściwych środków i właściwego celu. Obydwaj młodzi ludzie nie mogli uzgodnić stanowisk. Inżynier, a zarazem filozof, chciał doprowadzić do jakiegoś programu sprawiedliwości i demokratycznie wybranego pokoju, student socjologii wierzył w wielki zmierzch. Dyskusja, jaką ze sobą prowadzili, była głęboka, zaangażowana, subtelna. Od Gianluki Giuseppe dowiedział się, że toczy się walka i że trzeba opowiedzieć się po którejś stronie, wybrać swój obóz.

Most

Pod koniec pierwszego roku w Rzymie Giuseppe namawia Chiare, żeby pojechali pod namiot do Francji na „pustynię” w Larzac. Chciał zobaczyć miejsce, gdzie zacznie się budowa mostu w Millau, który zapowiada się jako najwyższe dzieło sztuki na świecie.

Na Causse jedynie parę buldożerów i geometrzy, robiący pomiary na pagórku, zapowiadały, że będzie tu budowany wiadukt. Nasz inżynier ze Szkoły Głównej nie mógł tu niczego zobaczyć, musiał sobie wyobrazić cienką wstęgę asfaltu i stali, przerzuconą, by połączyć dwie części płaskowyżu...

Nagle wrócił pamięcią do owych wakacji, kiedy jechało się po mostach autostrady Tytanów i alpejskimi tunelami, i odnalazł w swoich dzieciennych marzeniach głęboki sens. Postanowił, że będzie „budowniczym mostów”.

Odrodziły się ambicje niedoszłego inżyniera. Było za późno, by od września zacząć się kształcić na „budowniczego”. Giuseppe musiał czekać do następnego roku, kiedy paryska Szkoła Główna zaproponowała mu ekwiwalentne studia na mediolańskiej Politecnico. Dopiero za trzy lata został inżynierem.

Ale owe zawodowe ambicje zmusiły zakochanych do tego, czego Giuseppe odmówił Villepreux: do rozstania. Chiara niezbyt chętnie wróciłaby do Mediolanu, chyba że jako mężatka — w przeciwnym razie musiałaby znów zamieszkać z rodzicami. Nie było również mowy, żeby żyła pięćset kilometrów od Giuseppe.

Zdaje się, że pomysł zamieszkania w Bolonii wyszedł do państwa Lombardich: Chiara mogłaby zapisać się tam na świetny wydział nauk ekonomicznych i politycznych i zająć kawalerkę, którą właśnie kupili pod swym apartamentem. I tak Giuseppe w Mediolanie, a Chiara w Bolonii będą w swych nowych siedzibach doprowadzali do pomyślnego końca to, co zaczęli oboje w Rzymie.

Biblia i białe wino

Oczywiście młodzi ludzie spędzali weekendy razem, niekiedy w Bolonii, od czasu do czasu u rodziców Chiary; jeśli chodzi o pozostałe soboty i niedziele, zachowali sekret. Znamy jednak człowieka, który był świadkiem tego, co robią: prawie we wszystkie soboty, które spędzali w Mediolanie, uczestniczyli zazwyczaj w „aperitifie don Enrico”.

Kiedy Giuseppe poznał ojca Enrico Morro, miał on czterdzieści osiem lat i był proboszczem w San Pio V, parafii państwa Sassetich. Jako młody wikariusz ochrzcił Chiare i widział, jak dorastała. To on postanowił zabrać dziewczynę ze swą grupą wolontariuszy i ratowników na rzymskie ŚDM. Człowiek ten bardziej niż ktokolwiek inny wpłynął na życie Giuseppe. Co najmniej trzy razy młody Lombardi zawdzięczał małemu, chudemu człowiekowi z lwią grzywą wkroczenie na drogę, która zawiodła go na tron Piotrowy. Przynajmniej raz zawdzięczał mu to, że wrócił do życia.

Don Enrico był osobliwym pasterzem, prowadził każdego silną ręką i manipulował ludźmi tak, że nie zdawali sobie z tego sprawy. Miał osobliwy talent, dzięki któremu potrafił w kilka minut ocenić zalety i wady człowieka — i właśnie temu talentowi zawdzięczał kardynalską purpurę i dzięki niemu stał się cennym doradcą dla wszystkich, którzy będą rządzili Kościołem. W rzymskim okresie był dla Giuseppe największym autorytetem.

Ale jesteśmy jeszcze daleko od tych lat. Tej jesieni 2002 roku Enrico Morro był zwykłym proboszczem, który z radością spotykał się ze swą „małą Chiara”, dziewczyną, która niegdyś zachwycała go swą pobożnością. [„Jej przyjaźń z Chrystusem mogłaby stać się przedmiotem prawdziwej teologii”, powiedział mi Morro] Pewnego jesiennego dnia zastukała do drzwi jego parafii po dwóch latach nieobecności. Towarzyszył jej „wysoki młodzian o pięknej twarzy”. Proboszcz od San Pio V szybko zorientował się, że ma do czynienia z kimś wyjątkowym.

Między proboszczem i studentem natychmiast nawiązała się głęboka i silna więź. „Wystarczyło mi, że Chiara chce wyjść za mąż za Giuseppe, żeby go właściwie ocenić — mówi don Enrico. — Gdy go poznałem, zrozumiałem, że jest wart jeszcze więcej; ale dopiero po śmierci Chiary swym zachowaniem dowiódł, że mimo utraty wszystkiego jest człowiekiem zdolnym się podnieść, człowiekiem stworzonym dla innych”. Oczywiście stali się sobie bardzo bliscy. Jednak Morro nigdy nie będzie mówił o Giuseppe jak o synu: „Dla mnie celibat i ubóstwo oznaczały, że nie trzeba niczego mieć, niczego zostawić w spadku; że ważna jest tylko moja praca w imię Ewangelii”. Enrico był zawsze starszym bratem, który wierzył w młodszego, Giuseppe młodszym bratem, który wiedział, że może liczyć na starszego. To oni najlepiej znali Chiare...

W każdą sobotę przed południem, około jedenastej, zakochani regularnie przychodzili do parafii i spędzali tam czas przy kieliszku białego, dobrze schłodzonego wina. Chiara mówiła, że pragnie przychodzić do don Enrica, aby przygotować się do sakramentu małżeństwa, Giuseppe twierdził, że nie trzeba przygotowywać tego, co już istnieje.

— Nasz ślub będzie jedynie uroczystością potwierdzającą to, co przeżywamy — i dodawał: — Ale jeśli mamy razem zaświadczyć o

tym, czym jest miłość Boga dla ludzi, lepiej byśmy razem nauczyli się ją odkrywać.

— To jest właśnie moje zadanie — mówił z uśmiechem proboszcz i wyciągał z kieszeni Biblię.

Jak Giuseppe mógłby się oprzeć człowiekowi żyjącemu z Biblią pod ręką?

Weszło w zwyczaj, że co drugą sobotę, zanim naleją sobie wina, czytają razem na głos jeden z rozdziałów Nowego Testamentu i jeden psalm.

3 Rozgniewany Szwajcar

Bozon Higgsa

W okresie, gdy między dwoma mężczyznami zawiązała się prawdziwa przyjaźń, doszło do nowego spotkania, może równie ważnego dla przyszłości.

W mediolańskiej Politecnico studenci organizowali wykłady, na które zapraszali znanych naukowców; między innymi miał przyjechać Szwajcar nazwiskiem Simon Cervin. Uchodził za geniusza lub wariata i miał dyskutować z jednym z członków Papieskiej Akademii Nauk na temat słynnego bozonu Higgsa. *Czy Bóg może pogodzić cząstki i kosmos!* Oto tytuł dyskusji. [Parę lat po tej konferencji Simon Cervin figurował wśród głównych uczonych skuszonych pewną formą konkordyzmu wiary i wiedzy w myśli: brał udział w badaniach prowadzonych pod Genewą w Europejskim Ośrodku Badań Jądrowych nad wyizolowaniem słynnego bozonu Higgsa, fundamentalnej cząstki, która starałaby się połączyć rozumienie sił fizycznych i nasze rozumienie wszechświata. Czyż laureat Nagrody Nobla z fizyki, Leon Lederman, nie nazwał bozonu Higgsa „boską cząsteczką”?]

Giuseppe opowiedział mi o tym marcowym wieczorze z 2003 roku: „Widzę, jak wchodzi jakiś szary mężczyzna i sadowi się za stołem; szary, bo jego włosy, twarz, oczy były jednolicie szare. Wrażenie to wzmagają garnitur w cienkie antracytowe prążki na popielatym tle, jaki noszą szwajcarscy urzędnicy. Mężczyzna ten niczym się nie wyróżniał, dopóki nie otworzył ust”.

Również dziś, chociaż Simonowi Cervinowi urosły włosy i broda, nie wygląda na proroka. Co najwyżej przypomina owych mężczyzn, którzy na starość próbują żalonych eksperymentów w nadziei, że

ożywią swój bezbarwny wygląd. W jego oczach nie lśni żaden blask; nie emanuje zeń żadna aura genialności. „To szwajcarska neutralność w ludzkiej postaci, jeśli Cervin jest rzeczywiście człowiekiem”, wiele lat później sztychował kardynał Assoumou.

Ale kiedy Simon „zaczął mówić, wówczas zagrzała Bóg, uderzył piorun, popękały skały. Ten głos palił, a zarazem drżał. Mówca był ożywiony gniewem świętym, ogromnym, niepowstrzymanym; kipiała w nim lawa, trawił go ogień”. Tego wieczoru w Mediolanie Simon powalił swego papieskiego przeciwnika, jak się przegania nieprzyjacielską armię, zanim się ją rozgromi. Dlaczego szukać harmonii, dlaczego szukać wyjaśnienia, dlaczego w nauce lub w historii szukać dowodów na istnienie Boga? Szwajcarski fizyk mówi do włoskich studentów kilka suchych, brutalnych, skandalizujących zdań: „Bóg ma gdzieś, że podejrzewacie, że jest w cząstkach, Bóg śmieje się z waszych mikroskopów. Jego wola nie jest zawarta w badaniach atomowych. Nie mieszajcie Boga do Hiroszimy i Czarnobyla, i bez tego dość zrobił... Za dnia Bóg nigdy nie ma czasu zajrzeć do laboratoriów. A wieczorem większość z was nie ma czasu zajrzeć do kościoła. Więc z Bogiem i nauką jest tak jak z małżonkami: ponieważ mijają się bez słowa, po pewnym czasie jedynym rozwiązaniem staje się rozwód”.

Nie mogąc tego dłużej słuchać, papieski wysłannik nie podjął dyskusji i opuścił aulę, ścigany złośliwymi szyderstwami Cervina... Cisza. Simon spojrzął na audytorium bezbarwnymi oczami i oznajmił bez uśmiechu: „Zwycięstwo Nauki nad obskurantyzmem! Wytnij — jeden : zero. Trzeba to uczcić francuskim szampanem!”. Zamilkł, a potem powiedział: „A co wy o tym myślicie?”. Szare oczy, w których nic się nie iskrzyło, zatrzymały się na pierwszych, potem na dalszych rzędach słuchaczy, niczym zimne ryby. Gniew w jego głosie umilkł, znów jest szwajcarskim urzędnikiem gotowym zanotować wyniki *brain storming*, by zrobić z nich memorandum.

Prowadzący debatę oznajmił, że teraz można zadawać pytania.

Po pierwszym pytaniu Cervin podniósł głowę, spojrzął wokół siebie: „Może ktoś zechce odpowiedzieć? Jestem pewien, że wiecie coś na ten temat... Nie, nie ma chętnych? Więc ja też nic nie powiem”. Autor pytania milczał, zgromadzeni zaśmieli się niepewnie...

Drugie pytanie spotkało się z taką samą reakcją. Z rzędów podniósł się szmer dezaprobaty. Simon odwrócił się do studentów. I zacytował Biblię, jak zawsze niedosłownie: „Czego szukacie na pustyni? Niezwykłego człowieka, który czyni cuda? Człowieka odzianego w piękne szaty? Nie... Czego zatem szukacie na pustyni?”.

Cisza w ławkach. Cervin wybuchł szyderczym śmiechem: „Widzicie, jacy jesteście... Dobrzy katolicy... Zaczynacie szumieć przeciwko mnie, ale wystarczy, że będę głośno mówił, że zacytuję świętą Biblię, i milkniecie... Bo ciągle szukacie mistrzów, chylicie głowy w oczekiwaniu, by ktoś powiedział wam, jak działać, co myśleć, co robić...”.

Wstał wzburzony. „Uchodzę za tego, który wie, ale czy wy nie wiecie więcej? I jeśli to, co wiecie wy, przeczy temu, co wiem ja, to i tak wszystko może być słuszne, prawdziwe, piękne — i to, co wy wiecie, i to, co ja wiem”.

Tym razem jego głos nie był ognistą magmą, ale zagrział: „Czy wiecie, że przyroda przeczy tym, którzy ją rozumieją? Einstein zrozumiał kosmos, pojął, że czas jest elastyczny, giętki, plastyczny. Ale nie wziął pod uwagę, że mechanika kwantowa powiada: na poziomie cząstek czas jest stały, nieruchomy, absolutny, i wówczas królem jest przypadek. Co Einstein powiedział na ten temat? »Bóg nie gra w kości«. Ależ owszem, gra, Albercie... Kiedy Bóg zaczyna zajmować się cząstkami, jest najbardziej obsesyjnym graczem w kości, jakiego znam... Czasem Bóg gra w kości, czasem nie... I jest więcej szans na pogodzenie świętej inkwizycji z hiszpańskimi Żydami niż na uspokojenie sił rozdzierających kosmos... Bóg jest drogą, prawdą, powiadają teksty. Jeśli więc ktoś mówi, że zna drogę, jest to, dobry Boże... bluźnierstwo...”

Wskazał palcem sufit. Był purpurowym, śmiesznym szwajcarskim urzędnikiem, ale nikt nie zamierzał z niego sztydzić... „Szukacie kogoś, za kim będziecie mogli iść — wtedy będziecie spokojni. Ale nie ma porządku, nie ma drogi. Jest przypadek, kości do gry, chaos... Kiedy tylko znajdziecie nauczyciela, którego szukacie, przestaniecie uważać go za sprawiedliwego. Zgubicie siebie i jego zgubicie także, bo nikt nie ma powołania do bycia ojcem; nikt nie ma powołania do bycia Bogiem. Jeśli idą za tobą barany, nie znaczy, że jesteś pasterzem; nie ma pasterza, jest tylko jeden jedyny pasterz,

jeśli wierzycie w to, co tu jest napisane”. Uderzył dłonią w Biblię. Jego głos ucichł, wyczuwało się w nim tłumioną groźbę...

„Milczycie, kiedy mówię to wszystko. Bylibyście gotowi wybrać na nauczyciela człowieka, który wam mówi, że lepiej nie mieć nauczyciela. Nie władujecie mi się na plecy, nie zgubicie mnie...”. Simon wziął ze stołu teczkę, odsunął krzesło i opuścił aulę bocznymi drzwiami, zostawiając za sobą zaskoczone audytorium.

Giuseppe powiedział mi: „Wyszedłem, zobaczyłem, że siedzi w kawiarni naprzeciwko przy stoliku pod oknem. Wyglądał na człowieka wykończonego i zagubionego; patrzył na spływający po szybie deszcz. Wszedłem do środka. Myślałem, że obsypie mnie gradem obelg. Uważałem, że przesadził, ale że miał wiele racji... To on nauczył mnie później być nieufnym wobec ludzi, którzy chcą za tobą iść i cię słuchać. I Bóg jeden wie, jak bardzo potrzeba mi dzisiaj tej nieufności...”

Wierzę w chaos

Giuseppe już wtedy przeczuwał, że ten człowiek został zraniony i stąd się bierze jego gniew. Kiedy wszedł do kawiarni, odsunął krzesło, usiadł naprzeciwko Simona i powiedział:

— Byłem w auli. — Cervin spojrział na niego z owym osobliwym brakiem światła w głębi źrenic. — Uważam, że to dziwny i niewłaściwy sposób zmanifestowania swego sprzeciwu, po prostu wyjść i odrzucić wszelką dyskusję...

— Nie wierzę w debatę, chłopcze. Wierzę w chaos.

— Nie mówiłem o debacie... A jeśli chodzi o chaos, rzeczywiście zostawiłeś nas trochę w takim właśnie stanie...

Giuseppe zaśmiał się. Simon patrzył na niego, jakby był przeczyszty. Giuseppe nie spuszczał wzroku. Ustąpił Simon:

— Więc czego chcesz, chłopcze?

— Po prostu chciałbym pogadać. Interesuje mnie to, co powiedziałeś. Postawisz mi kawę?

Potem pada to niezwykle śmiałe zdanie.

— Wydaje mi się, że gdybym wycierpiał tyle co ty, byłbym równie wściekły, może nawet bardziej. Może zabiłbym tego typka z

Akademii Nauk, kiedy powiedział: „Co człowiek taki jak pan może wiedzieć o miłosierdziu?”.

Giuseppe zauważył moment, gdy dyskusja naukowa przekształciła się w załatwianie rachunków, *ad hominem*, i zadał Simonowi nieuniknione pytanie:

— Co zaszło między tobą a Kościołem? Jak wyglądają wasze rachunki?

Kiedy Cervin relacjonował mi tę rozmowę, oświadczył: „Odkąd wyjechałem z Lozanny, nigdy nie zetknąłem się z mądrością ducha. Zamówiłem kieliszek mocnego alkoholu dla siebie i kawę dla niego, i w tamtej kawiarni w Mediolanie wszystko mu opowiedziałem”.

Potwory i ich uczniowie

Pierwsze czterdzieści lat życia Simona Cervina są historią mentalnego odgradzenia. Jest fizykiem atomowym, specjalistą od mechaniki kwantowej, pracuje w genewskim CERN, [CERN (Conseil Européen pour la Recherche Nucleaire) — Europejski Ośrodek Badań Jądrowych] gdzie prowadzi badania nad cząstkami, posługując się synchrotronem. Pochodzi z mieszczańskiej rodziny z kantonu Vaux, w wieku dwudziestu trzech lat ożenił się z Marie-Elisabeth, zwaną Marisą, i został ojcem sześciorga dzieci noszących biblijne imiona. Podczas ostatniego porodu nastąpił taki krwotok z macicy, że konieczne było jej usunięcie. Oboje z żoną tak komentują orzeczenie lekarzy: „Trzeba nosić swój krzyż”. Simon mówi, że w owych czasach na widok biednych tego świata znajduje ukojenie w myśli o zbawczym cierpieniu, o cierpiących i świętych obcowaniu. „Można być twardym, wymagającym naukowcem i oddać się słodczy wierzenia we wszystko, być pobożnym laikiem bez udręk i pytań, poddanym nieomylnemu autorytetowi. Albowiem wiem, że wiara wymaga pokory serca i rozumu przed wielkością Boga”.

Po tej drodze prowadził Simona i Marisę ich ojciec duchowy, Edmond Garchy, lozański wikary ich rówieśnik. „Wierzyłem we wszystko, przeczytałem wszystkie dogmaty, kochałem Tradycję, nieustannie i bezsprzecznie czerpiącą natchnienie z Boga.

Tłumaczyłem, że historię Kościoła trzeba czytać niczym jakiś Nowy Testament, historię świętą. W obliczu nieszczęścia utrzymywałem, że Bóg oznajmia nam swoją wolę, że interweniuje, kiedy chce. Może czynić cuda lub ich nie czynić — zmienił bieg kuli, którą turecki morderca wystrzelił do papieża, [W tej aluzji Cervin mówi o trajektorii, uznanej za cudowną, pocisku wystrzelonego przez tureckiego terrorystę Ali Ağcę do papieża Jana Pawła II, 12 maja 1981 r. Podróż do portugalskiego sanktuarium w Fatimie, którą odbył papież w następnym roku, przekonała wielu wiernych, że przeżył dzięki interwencji Matki Bożej. Nieco dalej Cervin powołuje się na ukazanie się Najświętszej Marii Panny w Medziugore w Chorwacji: tam również Najświętsza Pani miała ukazać się podczas wojen na początku 1990 r., kiedy katolicka Chorwacja starła się z prawosławną Serbią. Kościół, który zawsze „uznawał” pojawienia się w Fatimie, był o wiele ostrożniejszy w sprawie ukazania się Matki Boskiej w Medziugore. Nie udało mi się ustalić, do czego Cervin pije, mówiąc o fali błota w Kolumbii...] zawrócił fale błota w Kolumbii, ale pozwolił, by gdzie indziej przyplływ wszystko zalał, albo wysłał swą Matkę, Najświętszą Marię Pannę, by ukazała się w Jugosławii podczas czystek etnicznych. Oszczędzał Sprawiedliwych lub też ich doświadczał, by mieli swój udział w Jego krzyżu. Dla mnie wszystko było Łaską, wszystko Opatrznością, wszystko miało sens... co Kościół, Matka nasza, interpretował i tłumaczył. W owych czasach w Kościele przeszkadzało mi tylko jedno: że wyrażał skrucę za grzechy, podczas gdy przecież nie mógł ich popełniać. Jeśli się czasem politycznie mylił, czyż nie trzeba było upatrywać w owych błędach woli Bożej?”.

Gdy doszedł do tego punktu, zaczął mówić bezdźwięcznym głosem.

„To, co powiedział mi mój syn Timothee w październiku 1999 roku, nie podważyło tej wiary. Zwrócił się do mnie, prosząc, by Edmond Garchy dał spokój jego młodszym braciom, którzy mieli pojechać na obóz harcerski, gdzie był katechetą... Ten pedał przez trzy lata, od dwunastego do piętnastego roku życia, wykorzystywał mego syna. Chociaż Edmond Garchy był księdzem, okazał się chorym człowiekiem, może nawet draniem... Poczulem się ugodzony tym, co zrobił memu synowi, wstrząśnięty, że niczego nie zauważyłem. Zawiódł moje zaufanie, ale budowla się nie zachwiała. Byłem gotów jeszcze mocniej kochać Kościół, Matkę naszą, dotkniętą tak jak ja... Udałem się do prokuratora Lozanny i złożyłem skargę. Poprosiłem o audiencję u biskupa, który mnie dobrze znał, mnie, sławnego uczonego i pobożnego, wierzącego człowieka... Powiedziałem

mu to, czego się dowiedziałem; z bólem pokiwał głową i rzekł, że rozumie, że zrobi coś »dla spokoju naszej rodziny«. Poinformowałem go o złożonej skardze, powiedziałem, że będziemy się domagać sprawiedliwości i żeby Edmond Garchy poszedł do więzienia. Poprosił, abym wycofał skargę, aby »skandal nie sprawił, że upadną mniej mądrzy i mniej wierni niż pan...«. Powiedziałem, że nie ma o tym mowy; głos mu się zmienił, uszło z niego całe współczucie, widziałem w nim tylko irytację — a może strach... Oto wszystko, co się liczyło dla tego człowieka — uniknąć skandalu. Budowla się zachwiała. Wróciłem do domu, gdzie zastałem moją żonę we łzach. Powiedziała: »Musisz wycofać skargę. Kościół nie powinien cierpieć jeszcze bardziej z naszego powodu«. Płakała na moim ramieniu. Odsunąłem się od niej, jakby jej lzy mnie parzyły. Wziąłem ją za ramiona i potrząsałem, chciałem, żeby otrzeźwiała. Ale ta kobieta była martwa od dawna, może od zawsze. Wyraźnie zobaczyłem fundamenty budowli... Zobaczyłem, na czym się to wszystko opiera: uleganie kłamstwu, strach, pasterze, którzy nie ścigają wilków, ale tropią i zarzynają zbiegłe barany. A wszyscy inni, którzy wiedzą, ale którzy po prostu zostają w swych owczarniach i tylko beczą ze stadem. Postanowiłem, że będę walczył, dopóki nie zniszczę tych fundamentów”.

Simon Cervin podtrzymał swoją skargę. Jego żona została przyjęta przez biskupa i przez trzy miesiące usiłowała złamać męża. Zmuszony do wyboru między rodziną i skargą, Simon Cervin opuścił swój dom.

Z dochodzenia dowiedział się, że biskup był wszystkiego świadomy: Edmonda Garchy'ego już dwa razy pospiesznie przenoszono; skargi wycofywano *in extremis*. Dowiedział się, że Marisa spotkała się z Garchym, przeniesionym do górskiej parafii w ich kantonie; dowiedział się, że jego syn Timothee wycofał swoje zeznania, oświadczył sędziemu, że „wszystko wymyślił, żeby się zemścić na księdzu, bo chciał być jego ulubieńcem, a on go od siebie odsuwał”.

W wieczór Bożego Narodzenia 2001 roku Cervin udał się do genewskiej kostnicy. Rozpoznał ciało syna, który powiesił się w ubikacji na dworcu w Cornavin, miejscu spotkań gejów. Oddano mu pogniecioną kartkę. Na kawałku kratkowanego papieru jego syn

koślawymi literami spisał dla niego swą ostatnią spowiedź, dwadzieścia linijek, w których mówił, jak strasznie jest być homoseksualistą i jak strasznie boi się potępienia...

W wywiadzie, którego nagranie odnalazłem, jakiś dziennikarz znacznie później zadał mu pytanie: „Do kogo ma pan największy żal, do tego, kto wykorzystał pańskie dziecko, czy do tego, kto kamufłował jego występkę?”.

Cervin mówił spokojnym głosem uczonego, który roztrząsa hipotezę matematyczną.

„Dzisiaj do nikogo nie mam pretensji. Jednak wiem, kto był najbardziej winien: nie człowiek, który nadużył władzy, wykorzystał swoje stanowisko; nawet nie ten, kto pod pretekstem, że jest pastierzem, prznosił wilka z jednej owczarni do drugiej... Ale ci, co przyznając im prawa, jakie ma tylko Bóg, obdarzając ich zaufaniem, na jakie nie zasługuje żaden człowiek, i okazując im posłuszeństwo — wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wszelkiej myśli, wszelkiej niezależności — uczynili z nich idoli. Byłem jednym z tych czcicieli, którzy przyczyniają się do powstawania potworów. Wiem, że nie ma guru bez uczniów. W Kościele żaden duchowny nie uwodzi, jeśli wokół niego nie ma owieczek, które przyznały mu prawo uwodzenia.

Dzisiaj przyznaję, że także ja, mój syn i moja żona, bojąc się, że utracimy naszych mistrzów, staliśmy się zabawkami w ich rękę i bluźniliśmy przeciwko Bogu, jednemu Panu. Niech Bóg nam wybaczy”.

Dwadzieścia lat przed tym wywiadem, w kawiarni naprzeciwko mediolańskiej Politecnico, Giuseppe niewątpliwie usłyszał bardzo podobne słowa. W ten sposób poznał fundamentalny anarchizm Simona Cervina, dla którego wszelkie duchowe ojcostwo jest groteskową karykaturą Boga, jedynego Ojca; [Parodiując hasło francuskich anarchistów „ni Boga, ni Pana”, na frontonie swego domu i w gabinecie w Papieskiej Akademii Nauk Simon Cervin kazał umieścić lapidarną i gramatycznie wątpliwą formułę: „Jeden Bóg, bez panów”] dla którego wszelka władza staje się gruntem, na którym rodzą się grzechy ludzkie.

Tego wieczoru między Lombardim a Cervinem [Obydwaj nadal zwracali się do siebie po nazwisku, a jednocześnie mówili sobie ty, nawet wtedy, gdy obaj piastowali znane nam stanowiska w Kościele katolickim] zaczęła się rozmowa na temat zdania, prawdopodobnie najbardziej brutalnego, jedynego przekleństwa w Ewangelii: „...biada temu, przez którego przychodzą [zgorszenia]. Byłoby lepiej dla niego,

gdyby kamień młyński zawieszono mu u szyi i wrzucono go w morze, niż żeby miał być powodem grzechu jednego z tych małych”. [Ewangelia wg Św. Łukasza 17,1.] Rozmowę tę prowadzili przez ponad trzydzieści lat i nigdy się ze sobą nie zgodzili.

Happy end

Giuseppe pomyślnie zaliczył trzy lata studiów, które mu pozostały, Chiara także zrobiła magisterium.

Wiedzieli, co będą robić przez dwa najbliższe lata. Postanowili podpisać pewien kontrakt. Zaproponowano im pracę przy kompleksowych badaniach hydraulicznych i technicznych oraz socjologicznych, na temat skutków wzniesienia Tamy Asuańskiej i zatopienia terenów w górze rzeki.

W lipcu 2005 roku wzięli ślub w kościele San Pio V w Mediolanie; przysięgę małżeńską odebrał od nich Enrico Morro.

Czy o tej sobocie 16 lipca można napisać jeszcze coś, czego by nie powiedziano? Po wyborze Tomasza na tron Piotrowy długo i szeroko na temat tej ceremonii [Prawdą jest, że były to pierwsze w historii reportaże ze ślubu papieża...] rozwdziły się książki, [Amatorom polecam album *La vieprivee du pape. Antom Lisa*, zbiór nieoficjalnych zdjęć Giuseppe Lombardiego od urodzenia do śmierci. Edtions nr 1, Paryż 2037.] telewizja, gazety... Co można by dodać do zdjęć udostępnionych przez rodzinę i przyjaciół, do różnych relacji i świadectw? Nic, albo prawie nic, chyba tylko tyle, że na powitanie Chiary, którą do ołtarza prowadził ojciec, Giuseppe zaśpiewał a capella *Ecco ridente in cielo*, miłosną pieśń Hrabiego do Rozyny z *Cyrulika sewilskiego*.

4 Asuan

Oaza

Aby opowiedzieć o Asuanie, dysponuję jedynie wspomnieniami Moniki i Pietra, Anny i Mariny, którzy odwiedzili nowożeńców podczas ich miodowego miesiąca trwającego dwa lata. Mam także elektroniczny „dziennik podróży” prowadzony regularnie przez Chiare – weszły wtedy w modę blogi i może w ten sposób Chiara poddaje pomysł przyszłemu blogerowi z Delhi...

Ten dziennik podróży od trzydziestu lat drzemał na dysku Pietra i Moniki: od 2012 roku nikt do niego nie zaglądał.

Zamieszczam tu parę jego fragmentów – z pewnością mój wybór padł najpierw na linijki zapowiadające dramat. Czasem porbrzmiewa w nich niepokojąca ironia...

Wrzesień 2005 roku, pierwszy rozdział blogu z podróży...

Jesteśmy na miejscu!

Ludziom, którzy nie znają Asuanu, trudno będzie wyobrazić sobie spokój i piękno naszej nubijskiej stolicy... Przypomina oazę pośród niezliczonych odnóg Nilu, w których siatce kryje się mnóstwo zielonych wysp. Kiedy wyprawiamy się tam feluką, widzimy pierwsze wydmy wznoszące się prawie pionowo nad rzeką, tuż nad naszymi głowami; pustynia wydaje się gigantycznym łóżem dla rzeki Boga (zob. zdjęcia).

Posągowa uroda mieszkańców przypomina pierwszych czarnych faraonów, ich sylwetki są jak figurki Giacomettiego. To wprost cudowne...

Nasz dom stoi w dzielnicy przeznaczonej dla klas średnich i funkcjonariuszy, o dwa kroki od słynnego hotelu Old Cataract. Jest mały, ale ogród, na który wychodzi maleńka weranda, przypomina eden. Pachnie tu wonią drzew granatu i drzew cytrynowych... A w Asuanie żyje się na dworze, i to zdaje się we wszystkich porach roku.

Już kilka razy spaliśmy pod gołym niebem, pod palmami. Wkrótce będą nam potrzebne dobre pierzynki: dzisiaj rano chłód przypomniiał, że bardzo blisko stąd są kamieniste pustynie.

Grudzień 2005 roku

Dukamy trochę w jakimś dialekcie, który wystarcza nam na ulicy i pozwala prowadzić coraz dłuższe rozmowy... Na szczęście ubiegłego roku zaczęliśmy się uczyć arabskiego! W tutejszym arabskim jest dużo słów nubijskich, gwary' chłopskiej, wiejskich metafor.

Zaczynamy żyć własnym rytmem i opowiem o nim, żebyście mogli być myślami blisko nas, moi znani i nieznanymi czytelnicy.

Rano, kiedy Giu medytuje, ja piję kawę z mnóstwem fusów na tarasie Old Cataract i próbuję czytać arabskie gazety. Nasz hotel ma staroświecki urok, coś pośredniego między fin de siècle'em a szalonymi latami dwudziestymi. W ogromnych salonach duch Agathy Christie pisze jeszcze na skrzypiącym remingtonie.

Koło dziesiątej spotykamy się, aby zaplanować pracę na dany dzień. W moim przypadku polega ona na odwiedzaniu chłopów, rybaków czy kapitanów feluk; czasem robię również obchód szkół, spotykam się ze służbami socjalnymi urzędów miejskich... Giuseppe spędza poranki z inżynierami hydraulikami. Jedzie motocyklem do ogromnego betonowego muru w Sadd al-Ali (Wielka Tama Asuańska wzniesiona przez Nasera na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku).

Dwa popołudnia w tygodniu poświęca na opracowanie alternatywnych „modeli gospodarczych „: budowa zapór poza miejscami zamieszkania, koszty, produkcje...

W południe jemy na suku albo z paroma ludźmi, z którymi zaprzyjaźniliśmy się w wiosce nubijskich rybaków (zob. zdjęcia). Ale wieczory spędzamy w domu tylko we dwoje; i to ja gotuję (prawie) codziennie! Staję się „wzorową żoną”!

Marzec 2006 roku

Oto pierwsze zdjęcia podwodne, jakie zrobił Giuseppe! Zaczął nurkować w ostatnim miesiącu w wodach Jeziora Nasera... Trzeba go sobie wyobrazić w błękitnym półcieniu i dziwnej ciszy pod algami i pęcherzykami, które zdradzają obecność karpi i monstrualnych okoni... Jeśli się dobrze przyjrzyecie, rozpoznacie ślady domów i murków raju utraconego Nubijczyków. Opowiadają mi o tym chlopi, rybacy i rzemieślnicy, których wypytuję dla naszych badań: w imię niezależności energetycznej Egiptu wszystkich tych ludzi zmuszono do opuszczenia ich ziem, terytoriów lowieckich, pagórków i równin ich przodków, domów i drzew.

Monica (matka Giuseppe, przypominam moim nieznanym czytelnikom) na pewno chętnie przeczyta po naszym powrocie te wspomnienia piękne jak baśnie dla dzieci. [Znajdziemy je w pierwszej części ich memoriału opublikowanego pod tytułem: Assouan ou la memoire engloutie, Alternatives, Mediolan 2008. Jest tam także dość udana propozycja utworzenia światowej agencji i międzynarodowego Trybunału Wodnego] Odnotowuję dla Historii: wkrótce ostatni pozostali przy życiu mieszkańcy górnego odcinka rzeki wymrą. Mężczyźni i dojrzałe kobiety utrzymują, że pamiętają swoje dzieciństwo sprzed jeziora; młodzi nieustannie wymyślają na nowo okruchy genealogii, strzępy złotego wieku, które dzieci powtarzają jak dziedzictwo.

A propos: Giuseppe obiecał mi, że będzie unikał krokodyli!

Wirus

Maj 2006 roku

[...] Trzeci raz opowiadają mi tę samą historię... Podobno, kiedy wiosną wrócą komary, trzeba chronić przed nimi krowy, ponieważ te insekty przekazują im dziwną chorobę dziesiątkującą stada. Podobno tak jest od wielu wieków. Spotkałam nawet bogatego wieśniaka, który płacił chłopcu, żeby szedł za stadem i wymachiwał dużym palmowym liściem, wierząc, że tym sposobem przegna komary! Mam nadzieję, że nie przekazują tej choroby człowiekowi, bo w niektóre noce dosłownie nas pożerają...

Poza tym nic nowego; dzisiaj rano pokłóciliśmy się z Giu, bo mu powiedziałam, że nie rozumiem, co też może robić podczas swych medytacji. Odpowiedział mi: „Spróbuj trochę pomilczeć, a może zrozumiesz...”. Wydaje mi się, że nie dość się nim zajmuję, że trochę za dużo mówię o moich krowach i o tym wszystkim... Ale przecież na długo przed naszym przyjazdem tutaj wiedział, że „upajam się” ludźmi, których kocham. A jego kocham ponad wszystko...

Czerwiec 2006 roku

Miałam rzeczywiście rację, a wolarze się nie mylili... Właśnie wpadłam w Internecie na ślad wirusa Zachodniego Nilu, [Termin SZWN, Syndrom Zjadliwego Wirusa Zachodniego Nilu, który zastąpił WZN, kiedy epizootia [choroba zakaźna zwierząt] przekształciła się w światową epidemię, jest wynalazkiem mediatycznym] który odpowiadałby za śmierć wielu tysięcy zwierząt (oraz kilkudziesięciu ludzi! Niektórzy historycy sądzą, że to właśnie ten wirus zabił Aleksandra Wielkiego...) rocznie u nas i wzdłuż całego biegu górnego Nilu. [W stanie endemicznym w regionie górnego Nilu, WZN występował rzadziej w Górnym Egipcie] Wszystko to wysłałam do Pietra. Nie wiem, czy mógłby teraz odmówić rzucenia na to okiem, bo przecież przyznał mi się, że ma trochę czasu... [Pietro Lombardi miał wtedy pięćdziesiąt pięć lat, jego laboratorium prosperowało świetnie, kierował pracami młodszych badaczy nad udoskonaleniem triterapii w walce z AIDS. O prośbie swej synowej powiedział mi po prostu: „Nikt nie mógł oprzeć się Chiarze”]

Giuseppe zasugerował mi, żebym dała jego ojcu czas na zastanowienie i przestała go ponaglać. Ale mamy tu kontrakt tylko na dwa lata i wyjeżdżając, chcę być pewna, że zrobiliśmy wszystko, co było można. Mam nadzieję, że będziecie mogli przeczytać na żywo relację z odkrycia szczepionki weterynaryjnej.

No dobrze, przestaję trochę opowiadać wam o krowach, aby [...].

Listopad 2006 roku

Wspaniała nowina! Zatelefonował mój teść Pietro z wiadomością, że on i jego rumuński asystent Tytus Liwiusz Rustu [Były rumuński asystent Lombardiego pracował nad szczepionką wyhodowaną na mózgu myszy, która pozwoliła z sukcesem leczyć krymską gorączkę] narazie opatentowali szczepionkę. Wyjaśnił mi coś, czego dotychczas nie rozumiałam à propos mózgu gołębi, które miałyby być

zdrowymi nosicielami WZN i posłużyć jako baza dla szczepionki.

Wszyscy, którzy chcieliby mieć dokładniejsze informacje na temat sławnego już patentu nr AP. V 196 026 0.2 i gołębiego mózgu, znajdą w tym blogu link do siedziby Włoskiego Instytutu Ochrony Własności Intelektualnej i Przemysłowej. Korzystam z okazji, żeby podziękować wszystkim moim czytelnikom, którzy w ostatnich tygodniach byli łaskawi przekazywać mi informacje o WZN lub o sposobie jego leczenia... Strasznie mi przykro, blogersi, ale mój teść był pierwszy! Jest najlepszy! Mimo wszystko tysięczne dzięki; w tym blogu wszystkie linki, które mi wskazaliście, przekazuję osobom, które sobie tego życzą [...].

Wygraliśmy!

Kwiecień 2007 roku

Na tych stronach znajdziecie zdjęcia naszej asuańskiej „fabryki „ (na razie jest to jeszcze garaż) i parę fotek, które zrobiłam podczas naszego pierwszego objazdu ze szczepionką z Sammym Lebronsteinem. Sammy przyjechał dwa tygodnie temu, jest pierwszym stałym pracownikiem Noah Nubia Inc., [Stowarzyszenie, będące w 100% filią laboratorium Noah Incorporated (Izrael), było założone na prawie egipskim. Jego jedyna działalność polega na produkowaniu na miejscu szczepionek weterynaryjnych dla wszystkich krajów Rogu Afryki. Sammy Lebronstein jest tam nadal dyrektorem generalnym i kierownikiem produkcji w fabryce farmaceutycznej zatrudniającej pięćdziesięciu trzech egipskich pracowników] filii francusko-izraelskiego laboratorium, „ wymyślonego „ przez Giu.

Zaczęliśmy prace zmierzające do utworzenia małego laboratorium produkcyjnego za pieniądze od francusko-egipsko-izraelskiej joint venture. Sammy uważa, że za jakieś dziesięć lat epidemia w górnym Egipcie powinna zostać zlikwidowana. Niebezpieczeństwo polega na tym, że sudańskie lub etiopskie komary mogą przechodzić przez granicę... Trzeba będzie zawiadomić celników.

Ten pierwszy objazd obfitował w emocje... Świadomość, że wystarczyło parę miesięcy, aby definitywnie uporać się z „plagą egipską”, która od wielu stuleci dziesiątkowała stada, robi niezwykle wrażenie. I wzrusza.

Przy okazji uroczycie i publicznie przepraszam wszystkich, których w ostatnich miesiącach ponaglalam do pośpiechu. Proszę ich o wybaczenie i dziękuję za wszystko, co zrobili, przede wszystkim dziękuję Piętrovi Lombardiemu i panu Rustu, którzy scedowali swój patent na Noah Inc.; Davidowi Lemansowi, [David Lemans, były kolega Giuseppe, w 2006 r. stworzył w Tel Awiwie własne małe laboratorium, Noah Incorporated. Za pośrednictwem tego laboratorium ów młody badacz i Lombardi zorganizowali finansowanie „fabryki” przez Izrael — w połączeniu z egipską pomocą rządową i humanitarną oraz finansowym wkładem Francuskiej Szkoły Weterynarii w Maisons-Alfort] który zaangażował swoje laboratorium w tę przygodę; przede wszystkim jednak przepraszam mego Giu. Dzisiaj rozumiem, jak bardzo miał rację, chcąc zagwarantować finansową przyszłość [Przyszłość finansową i polityczną... Tworząc filię Noah Incorporated w 100% egipską, Giuseppe słusznie przewidywał: fabryka przetrwa handlowe embargo Black Decade, a nawet wielkie „polowanie na Żydów”, które nastąpiło w Egipcie po zamachu z 6 sierpnia 2022 r.] naszej „fabryce”.

Jeszcze raz wszystkim dziękuję. Będziemy mogli spokojnie spędzić trzy ostatnie miesiące, myśląc za każdym razem, kiedy zobaczymy krowę: „ Wygraliśmy! „,

Czerwiec 2007 roku, ostatni rozdział blogu Chiary...

Nie odzywałam się od prawie dwóch miesięcy i dzisiaj kończę mój dziennik podróży. Bagaże są spakowane, ostatecznie zdecydowaliśmy, że w drodze powrotnej do Bolonii zboczymy do Jerozolimy. W ciągu dwudziestu czterech miesięcy, jakie tu spędziliśmy, nie zdążyliśmy nawet zwiedzić sąsiednich krajów, ledwo widzieliśmy resztę Egiptu...

Nie opowiem wam o tej podróży. Oficjalnie kończę mój blog i trochę mi z tego powodu smutno, ponieważ przyznaję, że opowiadanie o naszych przygodach, zarówno naszym bliskim, ale również nieznanym, którzy czasem stawali się korespondencyjnymi przyjaciółmi, sprawiało mi wielką przyjemność...

Ale mnie znacie: skorzystam z tego, by napisać ostatnią jadowitą stronę z myślą o wszystkich moich włoskich czytelnikach: dziewczęta, warto tego lata stosować dietę, w przeciwnym razie to ja będę najpiękniej wyglądała w kostiumie kąpielowym... W kwietniu miałam poważny atak gorączki, prawdopodobnie to

malaria — ciągle te komary, nigdy się od nich nie odczepię! A może było to jakieś zatrucie pokarmowe... [Ten ostatni rozdział, podobnie jak wiele innych, jest napisany w żartobliwym tonie. Sygnalizuje jednak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jedyny symptom, który stwierdza Chiara po zarażeniu się SZWN. Gdyby chodziło o WZN, wyszłaby z tego i byłaby zdrową nosicielką wirusa, przeciwko któremu jej organizm produkuje teraz antyciała. Tymczasem atak gorączki i wymioty są łagodnym objawem zmutowanego wirusa. Dzisiaj uważa się, że Chiara Sassetta należała do pierwszych ofiar zarażonych SZWN, zidentyfikowanego po przeszło dziewięciu latach po tamtym ataku] *Tak czy owak schudłam trzy kilo i odtąd Giuseppe uważa po prostu, że jestem doskonała.*

Opieram się chęci umieszczenia w tym blogu zdjęć z naszej krótkiej romantycznej podróży po Morzu Czerwonym, ale jedynie dlatego, że nie jestem ani trochę egocentryczką i że Giù mi tego zabronił, z całą furą straszliwych gróźb w perspektywie.

5 Przybywa szczęście

Clara

W ostatnim rozdziale swego blogu Chiara nie wspomiała o najważniejszym. Podczas ich eskapady do Jerozolimy na początku lipca była w trzecim miesiącu ciąży. Spodziewała się Clary, która przysłała na świat w ostatnich dniach grudnia.

Po powrocie do Włoch nie nikomu nie powiedzieli... O ciąży poinformowali dopiero z okazji powrotu Anny, która wróciła ze stażu w Ameryce i która przez najbliższe dwa lata była ich najbliższą towarzyszką. Na lotnisku brat chwycił ją w ramiona i szepnął: „Chiara już na pewno będzie matką, Anno...”. Ta trochę dziwna formuła wiele mówiła o obawie obydwójga młodych małżonków, że Chiara może nigdy nie będzie matką, [Jej matka czekała na dziecko przez piętnaście lat, a jej starsza siostra miała trzy poronienia] i o ostrożności, jaką oboje zachowywali do końca.

Nie mieli problemów finansowych. Na początku października Giuseppe dostał pracę w firmie Ripetti & Suger. Na jesieni 2007 roku znana pracownia architektoniczna postanowiła stanąć do konkursu na budowę gigantycznego mostu między Banda Aceh i dużą sąsiednią wyspą. Państwo indonezyjskie pragnęło, by most stał się pomnikiem ku czci ofiar katastrofy, która wydarzyła się podczas świąt Bożego Narodzenia 2004 roku. [26 grudnia 2004 r. po trzęsieniu ziemi na Oceanie Indyjskim powstało gigantyczne tsunami, które zalało wybrzeża w Tajlandii, Indiach, Sri Lance, a przede wszystkim w Indonezji. Katakлизм zrujnował całą tę strefę, zginęło prawie trzysta tysięcy ludzi, w tym połowa w Indonezji, głównie w prowincji Banda Aceh, na wyspie Sumatra. Był to jeden z najbardziej morderczych katakлизмów w historii, który wywołał odruch solidarności o zasięgu naprawdę światowym]

Trzeba było zaprojektować gigantyczny, najdłuższy w świecie most uwzględniający najbardziej rygorystyczne normy antysejsmiczne i zdolny wytrzymać „nawet olbrzymią falę, równie silną jak ta, z którą mieliśmy do czynienia”...

Ale bezpieczeństwo finansowe, jakie młodzi Lombardowie sobie zapewnili, nie zmniejszyło obaw, że ciąża może się źle skończyć. Anna mówiła, że przez wiele tygodni byli kłębkim nerwów, kłócili się o byle co. Uspokoiли się dopiero rankiem 22 grudnia, kiedy Chiara dwa tygodnie przed terminem urodziła dziecko...

Pierwszego wieczoru, gdy Chiara i Clara już spały, [Imię jego córki jest przedziwną odmianą imienia Chiara, co było podobno wyraźną wolą Giuseppe, a co wydało się co najmniej dziwaczną jego bliskim] Giu po powrocie ze szpitala powiedział do młodszej siostry: „Kiedy trzymałem ją w ramionach, wiedziałem, że spada na mnie ciężar bardzo miły, lecz straszny: teraz aż do śmierci jestem odpowiedzialny za moją córkę... I zacznę się bać...”. Niektórzy utrzymywali, że Giuseppe poczuł się ojcem dopiero pół roku po śmierci Chiary, kiedy wrócił, by zająć się swymi dwiema córkami, które wcześniej opuścił; nie sądzę, by je „zaadoptował” w owej chwili, jak napisała pewna sławna specjalistka od psychoanalizy. [*Sarah Goodgrass, Paternità symbolique et lien du sang, Londyn 2034*] Jestem przekonany, że ojcostwo stało się dla Giuseppe Lombardiego absolutnym obowiązkiem od 22 grudnia 2007 roku, o wpół do dziesiątej rano. Ów człowiek o niewątpliwie poważnym, lecz pogodnym charakterze zawsze był ojcem, który czuł niepokój.

Saint Villepreux

Podczas gdy młoda rodzina Lombardich pławała się w szczęściu, świat i Kościół szły nadal swoim torem. W październiku 2007 roku w pięciu krajach Europy ukazała się książka opublikowana przez ostatnich katolickich wydawców, którzy przetrwali... Nawet niewyspecjalizowane media dostrzegły i skomentowały dzieło zbiorowe

zatytułowane *Sami ich nakarmcie*: [Dzieło to, podpisane przez kilkunastu upoważnionych biskupów i teologów, było owocem paryskiego kolokwium zorganizowanego miesiąc wcześniej pod prowokacyjnym tytułem Zniknięcie katolicyzmu z Europy. Zorganizował je Jean-Baptiste Villepreux, mianowany w wieku czterdziestu czterech lat prorektorem paryskiego Instytutu Katolickiego. Wypowiadający się na nim teologowie, filozofowie i socjologowie zgodnie stwierdzają, że powodami zmierzchu religii są: rozczarowanie światem, wypalenie się wielkich ideologii, indywidualizm, materializm, brak zrozumienia między Kościołem a wierzącymi, przede wszystkim w kwestiach moralności osobistej i seksualnej. Ich ton był pesymistyczny i pełen rezygnacji. Ale podsumowanie, którego dokonał Jean-Baptiste Villepreux, zadziwiło swą gwałtownością. Zaczynało się słowami, które stały się sławne: „Lud jest głodny”. Trzy tygodnie później nowy papież Jan XXIV zwołał europejski synod — i wtedy do mediów trafiły wnioski z kolokwium...] po niespodziewanej abdykacji Benedykta XVI [Ku powszechnemu zdziwieniu Benedykt XVI złożył rezygnację 16 kwietnia 2007 r., w dniu swoich osiemdziesiątych urodzin. „Zwykły sługa”, jak sam siebie określił w dniu wyboru, zastosował się do obowiązującej zasady, która wyklucza kardynałów z kolegium elektorskiego po osiągnięciu osiemdziesiątego roku życia. Cały świat, początkowo zdumiony, przyklasnęła decyzji tego człowieka] i prawie natychmiastowym zwołaniu synodów kontynentalnych przez nowego papieża Jana XXIV [Szkocki kardynał Paul Cameron, wybrany na tron Piotrowy w maju 2007 r. po odejściu Benedykta XVI, przyjął imię Jana XXIV, a większość obserwatorów dostrzegła w tym zapowiedź zwołania powszechnego soboru ekumenicznego — poprzedni Sobór Watykański II, został zwołany przez papieża Jana XXIII. Ale nowy papież wybrał inne rozwiązanie: dwa miesiące po wstąpieniu na tron zwołał na rok następny synody kontynentalne, które zgromadziły biskupów, teologów i przedstawicieli różnych wspólnot na pięciu kontynentach...Komentatorzy natychmiast zaczęli mówić o „odrzuceniu teokracji” przez dominikanina Camerona oraz o „powrocie do subsydiarności”] dzieło to wzbudzało ogromne zainteresowanie. Było traktowane jako symptom kryzysu i propozycja jego rozwiązania. Widniały w nim podpisy niemieckie, belgijskie, włoskie, hiszpańskie, węgierskie... Ale Anna dała je w prezencie bratu jedynie ze względu na autora, który prezentował to dzieło: koordynator prac, prorektor paryskiego Instytutu Katolickiego — Jean-Baptiste Villepreux.

Anna włożyła książkę do opakowania, na którym nabazgrała takie oto szydercze słowa: „Jak święty Villepreux chce zbawić Kościół!”. Giuseppe zainteresował się przede wszystkim tym, co pisał człowiek, który przed piętnastu laty był jego przyjacielem i którego

nie widział od spotkania z Chiara. Główny temat książki wcale go nie zdziwił. [Większość sygnatariuszy przypomina, że przez prawie tysiąc lat księża zazwyczaj byli żonaci i że jeszcze dzisiaj w obrządkach wschodnich żonaty mężczyźni wyświęca się na kapłanów — i wobec tego celibat kapłański należy stricte do rygoru kościelnego, a od rygoru mogą być wyjątki. W książce stwierdza się, że zapewnienie narodom europejskim księży, dobrych księży, jest rzeczą pilną, i proponuje, by europejscy biskupi zebrani na synodach skorzystali z okazji i zastanowili się nad propozycją, by zrobić w Europie lokalny i okolicznościowy wyjątek od rygoru celibatu] Natomiast zaskoczyło go to, co napisał Villepreux. W gruncie rzeczy, nigdy nie przestał być Jakubem — wierzącym młodzieńcem, pozostającym pod wrażeniem jakości i rozległości wiedzy swego starszego przyjaciela.

W konkluzji paryskiego teologa zabrzmiał ton inny aniżeli w tekstach współautorów. Był krzykiem, prawie błaganiem: „Wierzę w boskie miłosierdzie — pisał Villepreux — ale Bóg uzna nas za winnych, bo nie zrobiliśmy tego, o czym w swym sumieniu wiedzieliśmy, że trzeba zrobić. Twierdzimy, że się modlimy o powołania, ale poprzestajemy na wołaniu: Panie, Panie. [...] To nie księża tworzą Kościół, to Eucharystia. Jeśli nie odprawiamy Eucharystii, życie boskie nie ożywia już ciała Kościoła, wysycha ono, staje się suchym pędem winorośli, który przestał wydawać owoce i trzeba go wyciąć. [...] Od lat, od dziesiątków lat, zarządzamy niedostatkiem w zależności od liczby księży, jakimi dysponujemy. A księża są wyczerpani, tracą wszelką wewnętrzną radość. Niektórzy ludzie odpowiedzialni za Kościół ośmielają się szeptać, że dla niewielkiej reszty chrześcijan, którzy przetrwali, zostanie dość księży. To wizja głupców. [...] Chrystus chwalił rozrzutnych, szczodrych, tych, którzy nie bawią się w drobne rachunki. My natomiast stosujemy arytmetykę do rozliczania dóbr, które Bóg nam powierzył. Powtarzam, lud jest głodny, głodny chleba Pańskiego, głodny Słowa Bożego i w moich uszach nieustannie brzmi nakaz Chrystusa: »Nakarmcie ich sami«,,

Czytając te słowa, Giuseppe nie mógł powstrzymać uśmiechu: Tak, co tu dużo mówić, święty monsignore Villepreux zawsze miał klasę.

Włoski groch

Młode stadło zaczęło interesować się przygotowaniem do historycznego synodu z maja i czerwca 2008 roku, gdyż obydwójce pełnili w pewnym sensie misję specjalną przy nowym arcybiskupie Bolonii,

który niedawno został kardynałem: samym monsignore Enrikiem Morrem.

Od października 2007 roku Chiara i Giuseppe widywali się znowu ze starym towarzyszem biblijnych lektur. Okazało się, że don Enrico błyskawicznie awansował. To, że był teraz purpuratem, zawdzięczał, jak mówił, długoletniej przyjaźni z kardynałem Paulem Cameronem; [Poznali się, kiedy Enrico był seminarzystą w Mediolanie i gorliwie uczęszczał do biblioteki dominikanów, gdzie Cameron przygotowywał pracę o świętym Ambrozym] kiedy szkocki dominikanin został Janem XXIV, przypomniał sobie o swym dawnym koledze z Mediolanu obdarzonym przenikliwą inteligencją... Nowy papież musiał jak najszybciej zorientować się, na kogo może liczyć w korytarzach Kurii, by pomyślnie doprowadzić do końca swoje dzieło. Kto będzie umiał lepiej oceniać ludzi i dusze aniżeli proboszcz z San Pio V? Szkot skorzystał z faktu, że na biskupim tronie w Bolonii, gdzie kapelusze kardynalskie dostaje się prawie automatycznie, był wakat, i usadowił na nim Morra. Już w lecie *Sua Eminenza* Morro został jednym z książąt Kościoła ze szczególnym zadaniem oceniania wszystkich innych członków kolegium kardynalskiego pod względem roli, jaką odgrywają w kularowych walkach Watykanu. [To wyjaśnienie jego ultraszybkiej kariery znam od samego Morra. Wydaje mi się, że papież uznał go również za kogoś z bezdyskusyjną klasą, dzięki której został jedną z najważniejszych osobistości włoskiego Kościoła...]

Po powrocie z Egiptu Chiara i Giuseppe zastali więc don Enrica jako kardynała arcybiskupa ich własnej diecezji. Pewnego wrześniowego dnia, podczas jednej z pasterskich wizyt monsignore kardynał wpadł w ramiona dwojga nieznanym innym parafianom młodych ludzi. Jak relacjonowała mi Anna, zaczęli ze sobą rozmawiać w sposób równie familiarny jak dawniej; Morro zawołał: „Widząc twoje obfite kształty, Chiaro, przypuszczam, że albo ciężko grzeszyłaś przez te dwa lata, opychając się włoskim grochem, albo, Bogu dzięki, czekałaś krócej aniżeli twoja matka i siostra, by urodzić dziecko...”

Kardynał wyciągnął kalendarzyk i spytał młodych małżonków: „Czy mogę przyjść do was na aperitif w przyszłą sobotę? Przyniosę wino...”. Zapisał adres. Tak więc w pierwszą październikową sobotę 2007 roku dozorca przy ulicy Mazziniego zobaczył zatrzymującą się

pod bramą berlinkę. Wsiadł z niej niewysoki mężczyzna w duchownym stroju, z białą grzywą rozwianą przez jesienny wiatr i butelką lambnisco pod pachą. [Lambnisco jest winem czerwonym, lekko musującym. To odstępstwo od białego wina, które z reguły pijali, jest żartobliwą aluzją Morra do purpurowej barwy tradycyjnego stroju kardynałów]

Podszedł do portierki i spytał: „Niech mi pani powie, *signora*, na którym piętrze mieszkają Chiara i Giuseppe? Chodzi mi o młode małżeństwo, ona jest czarująca i w bardzo zaawansowanej ciąży... Strasznie mi przykro, zapomniałem ich nazwiska. Ona z domu nazywa się Sassetta...”.

Złudzenia władzy

Zostawmy na boku nieco swobodny styl monsignore Enrica Morro. Wbrew cechującej go beztroscie w sprawie manier, przyszedł odwiedzić Giuseppe i Chiare z całkiem poważnego powodu; kiedy znów ich spotkał, wiedział, że znalazł to, czego poszukiwał...

Morro tak relacjonował mi to spotkanie: „Zapytałem, czy chcieliby być mi pomocni. Dzieląc swój czas między Kurię a pałac biskupi, byłem odsunięty od wielu spraw, a chciałem nadal wiedzieć, jakie problemy nurtują ludzi”. Morro wiedział, że władza zmienia; nie miał złudzeń co do komedii ludzkiej, która rozgrywała się w Watykanie. Uważał, że mogą z tego wybrnąć (i to nigdy nie wychodzą z tego cało) jedynie ci, którzy potrafią sobie zapewnić regularne ucieczki w „prawdziwe życie”. Dlatego też oczekiwał po młodej parze, że pozwoli mu tkwić jedną nogą w „świecie”, i owa szczerość, której się domagał, była osobliwym prezentem Morra dla Lombardiego. Tym sposobem młody człowiek dowiedział się, że trzeba mieć pewną umiejętność „spojrzenia z zewnątrz”, a ten, kto zagłębi się w meandry świata za zamkniętymi drzwiami, musi je otworzyć dla paru przyjaciół, jeśli chce zachować integralność. Lekcja została zapamiętana.

Wrócili do tradycji sobotnich aperitifów... Tym razem to Morro przychodził do swych młodych przyjaciół. Giuseppe i Chiara mówili mniej niż dawniej. Ich dawny przyjaciel czuł najpierw potrzebę powiedzenia bez ogródek tym ludziom, którzy nie okazywali mu żadnej czolobitności, o tym, co widział, co go przerażało, niepokoiło...

Kiedy urodziła się Clara, z kolei Chiara i Giuseppe mówili, a don Enrico słuchał. Potem, po „przymusowej przerwie” („w pierwszych tygodniach po przyjściu na świat Clary mieli tak podkrążone oczy, że chętnie dałbym im komunię, nie budząc ich...”), wrócili do wielkich spraw Kościoła i coraz bardziej do kwestii, nad którymi zastanawiał się Morro w związku z synodem europejskim. „Wydawało mi się, że podczas tych paru tygodni przygotowaliśmy się do życia wiecznego. Oni tak do tego nie podchodzili. Patrzyli tylko na pewne sprawy w innej perspektywie”.

„Kamienie krzyżyć będą”

Zdaniem Giuseppe najważniejsza decyzja synodu, udzielanie święceń kapłańskich żonatym mężczyznom, była decyzją zdroworozsądkową, ale niewiele zmieniła... Uważał on, że staramy się przyciągnąć ludzi do kościołów, nie zastanawiając się, czy zniechęcenie katolików ma coś wspólnego z tym, co się działo i mówiło w kościołach, oraz z tym, co się tam nie działo i czego się tam nie mówiło. Zdaniem Giuseppe, europejskie chrześcijaństwo było w głębokim kryzysie...

Dyskusje z Morrem nieustannie obracały się wokół tematu: w co wierzymy, co głosimy? Jedno ze zdań, które przeczytał w Ewangelii i do którego wiele razy wracał, prześladowało dwudziestoosmioletniego już Giuseppe: „Jeśliby ci milczeli, kamienie wołać będą”. [Ewangelia wg św. Mateusza 19,40] Tymczasem — mówił — my milczymy, Kościół milczy, ale swoje milczenie ukrywamy za językiem tak kwiecistym, że nie staramy się już go rozumieć. I bardzo dobrze, bo gdybyśmy musieli tłumaczyć słowa, kto z nas mógłby nadać im jakiś sens? Głosimy Dobrą Nowinę, ale co jest dobre, co jest nowe? Słowa, powtarzane do znudzenia tyle razy, kryły ogromną pustkę...

Morro łapał go za słowo, zmuszał do wyjaśnienia: „A co ty powiesz, jaka jest Dobra Nowina?”. Zdziwiła mnie jego natychmiastowa odpowiedź: on, człowiek, który zawsze powoływał się na Ewangelię, zacytował List do Hebrajczyków: „...Chrystus, zjawił się

jako arcykapłan przyszłego szczęścia...”. [List do Hebrajczyków 9,11. Chodzi o tłumaczenie liturgii francuskiej... Inne tłumaczenia, bliższe oryginalnego tekstu, mówią raczej o „dobrach przyszłych”] Zdziwiło mnie to tym bardziej, że nie znalazłem tego tłumaczenia, a kiedy Giuseppe cytował Pismo, zazwyczaj wybierał wersję najbardziej zbliżoną do greckiej. Wyjaśnił mi to następująco: „Chcę, byśmy mówili o przyszłym szczęściu, ponieważ wtedy dostrzegamy, że chodzi o ruch, który już się zaczął, który zawiera obietnicę czegoś więcej. To tłumaczenie kreśli kontur obietnicy, którą daje nam Bóg: nie, nie jesteśmy istotami przeznaczonymi do nieszczęścia, do śmierci; jesteśmy istotami przeznaczonymi do życia”.

— To jest chrześcijaństwo łatwe dla ciebie, Giuseppe. Takie, jakie może głosić człowiek, który kocha żonę, ma zdrową córkę, interesującą pracę, pieniądze... który już jest szczęśliwy.

— Mówisz, że tym samym przypisuję mieszczański charakter Ewangelii, monsignore?

— Wydaje mi się, że idea szczęścia została trochę skompromitowana... Co najmniej tak jak określenie Dobra Nowina, prawda?

— Powiem ci, w co jeszcze wierzę, Enrico. Wierzę, że tę obietnicę niesie Chrystus, ucieleśnia Chrystus. Wierzę też, że wystarczy, byśmy postępowali za nim po jego ludzkiej drodze, by stwierdzić, że w owej obietnicy szczęścia nie ma nic ekliwego. Ale masz rację, może powinniśmy strzec się słowa „szczęście”. Więc powiem ci wyraźniej: w każdej chwili swego życia Jezus był „człowiekiem dla innych”, jak mówił Bonhoeffer; do końca zrealizował to, co głosił: „Nie ma dowodu większej miłości niż oddanie życia za tych, których kochamy”. Znam mniej wymagające zaproszenia do szczęścia...

Morro znał przyjaciela. Jego przekonania, jego wymagania nie dziwiły go. W jego słowach dostrzegł przede wszystkim płomień, uniesienie. Dotychczas widział, że młody człowiek swe przemyślenia zostawiał dla samego siebie. Teraz Morro czuł, że Giuseppe był gotów dawać, przekazywać — dziwił go nawet jakiś wyjątkowy stan ducha, jakaś niecierpliwość; jakby *subito* powinien dzielić się szczęściem, jakie daje wiara w obietnicę otrzymaną od Boga.

Kardynał przede wszystkim zwrócił uwagę na to, że mówiąc o Kościele, Giuseppe — przeciwnie aniżeli tyłu chrześcijan — używał słowa „my”. To odkrycie nasunęło mu pewien pomysł...

6

Wezwanie

Apel don Enrica

Pewnej soboty w sierpniu 2008 roku Enrico Morro zadzwonił do drzwi swych młodych przyjaciół. Wyglądał inaczej niż zawsze: miał proste płócienne spodnie i bawełnianą koszulę, a na nogach ulubione sandały. „Wyjaśniłem im prosto z mostu, że razem z biskupami postanowiliśmy wystąpić na Boże Narodzenie z pierwszymi apelami o wyświęcanie na kapłanów żonatych mężczyzn. Musieliśmy znaleźć w każdej diecezji pięciu lub sześciu mężczyzn, którzy byliby chrześcijanami, nie będąc dewotami, facetami młodymi i inteligentnymi, zadowolonymi z życia, małżeństwa, mającymi ładne, szczęśliwe żony, dzieci, interesującą pracę; jednym słowem, ludzi, o których nie można by powiedzieć, że kapłaństwo jest dla nich sposobem na polepszenie sobie życia...”

Chiara wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

— Chcesz znaleźć królewicza z bajki, monsignore...

Giuseppe dodał:

— Zwracam ci również uwagę, że każdy z tych mężczyzn, jak zauważyłeś, jest skarbem, którego ostro broni jakaś młoda Włoszka... A dobrze znam Włoszki, codziennie wieczorem bywa u mnie jedna z nich... Jeśli więc ty i twoi koledzy znajdziecie mężczyzn, których opisałeś, będziecie musieli rozważnie grać, żeby przekonać każdą z tych pięknotek.

Morro popatrzył mu prosto w oczy i powiedział:

— Właśnie ostrożnie gram...

Chiara zrozumiała pierwsza. Zobaczył, jak otwiera szeroko usta,

bez słowa potrząsa głową, potem wzdycha głęboko. Odwróciła się do swego męża i rzekła:

— Wydaje mi się, że don Enrico chce mi capnąć męża, Giu... Wtedy zrozumiał.

Morro wysuwał argumenty, tłumaczył... Nie ma żadnej ochoty, aby w jego nowej grupie znaleźli się sfrustrowani mężczyźni, którzy przez całe życie marzyli tylko o tym, by zostać księżmi. Przeciwnie, szukał mężczyzn — i kobiet, przyzwolenie żon liczyło się w najwyższym stopniu — którzy rzuciliby się w tę przygodę dla wspólnoty, dla swych braci, a nie po to, by zaspokoić sekretne ambicje...

Ale młodzi Lombardi opierali się. W końcu nie zostało mu nic innego, jak wyznaczyć prawdę.

— Potrzebujemy paru facetów, którzy pójdą tam jak zwiadowcy... Nie wiemy, co przeżyjecie, bardzo możliwe, że między momentem, gdy was wezwiemy, i momentem, gdy zostaniecie wyświęceni, wszystkie reguły ulegną zmianie... [Synod przyjął trzy reguły. Kandydaci powinni zostać powołani przez swych biskupów; mieć ponad trzydzieści lat i być żonaci co najmniej od pięciu lat w chwili wyświęcenia na diakonów, a w chwili przyjmowania święceń kapłańskich mieć co najmniej trzydzieści pięć lat, być diakonami od co najmniej pięciu lat i być żonatymi od dziesięciu lat. Znaczyło to, że pierwsi żonaci księża będą wyświęceni za osiem lat: trzy lata, żeby przygotować się do diakonatu, potem pięć lat, żeby zostać wyświęconym na księdza, to znaczy najwcześniej w 2016 r. Postanowiono również, że komisja ad hoc będzie sporządzała roczne raporty z eksperymentów prowadzonych w różnych krajach] Robicie to na własne ryzyko. Jedynie możemy zapewnić was, że zawsze będziemy za wami stali...

W tym miejscu Giuseppe wybuchnął śmiechem.

— Nie znam dokładnie historii Kościoła, ale wydaje mi się, że nie zawsze stał on u boku tych, których wysyłał do walki. Nie mówię tego do ciebie, Enrico... Do ciebie mam zaufanie.

Giuseppe i jego żona wyrazili zgodę. Może apel don Enrica obudził w nich pragnienie prowadzenia wędrownego trybu życia, które na pewien czas musieli odłożyć po założeniu rodziny.

„Jestem”

Rano w dzień Bożego Narodzenia 2008 roku w pięćdziesięciu katedrach europejskich stało około pięciuset młodych mężczyzn,

a dwa kroki za nimi ich żony. Prawie o tej samej godzinie pięćdziesięciu biskupów wezwało tych pionierów, aby złożyli życie w służbie swoim braciom w uroczystym odprawianiu sakramentów i głoszeniu Ewangelii...

Obok Neapolu i Florencji Bolonia była jednym z trzech włoskich miast, które wykazały najwięcej dynamizmu w poszukiwaniu owych debutantów, jak nazywały ich między sobą Anna i Chiara. Poza Giuseppe Morowi udało się znaleźć jeszcze ośmiu „zwiadowców”.

Telewizja RAI nadała około półtorej minuty o pierwszym apelu w Bolonii. Oglądałem kasetę z tym reportażem z 25 grudnia 2008 roku, wyświetlanym wielokrotnie w chwili wyboru, a potem śmierci Tomasza I. Kamera RAI zatrzymała się na postawnym młodzieńcu wyższym od innych, o chłopięcym wyglądzie, rozwichrzonej płowej czuprynie, plecach zapaśnika i twarzy rozświetlonej spojrzeniem jasnych oczu. Śpiewał pełną piersią. Na następnym ujęciu młodzieniec o spokojnej twarzy postąpił krok do przodu i powiedział: „Jestem”. Kamera zatrzymała się wówczas na stojącej za nim młodej kobiecie; miała łagodną i promienną urodę Madonn fra Philippo Lippiego. Trzymała w ramionach roczną dziewczynkę, która uważnie przyglądała się tej scenie, by ją sobie dobrze wbić w pamięć.

Dobra baza

Apel w Boże Narodzenie 2008 roku był pierwszym etapem w marszu do wyświęcania żonatych mężczyzn. Drugie święcenia diakańskie, trzy lata później, a dopiero potem ostatni krok: święcenia kapłańskie. Ale na razie powołani musieli się kształcić; program był obszerny i obejmował studia biblijne, teologiczne, liturgiczne, moralne.

Giuseppe nigdy nie uczęszczał na zajęcia z zakresu teologii — ale Morro wiedział, czego się trzymać, wiedząc o jego regularnym czytaniu Biblii, o jego zrozumieniu tekstu, kontekstu, o jego świetnej znajomości interpretacji Ojców Kościoła, i innych lekturach. Od czasu, gdy w wieku młodzieńczym Giuseppe zaczął pasjonować się greką, nadal interesował się językami biblijnymi, uczęszczał jako wolny słuchacz na kursy hebrajskiego i aramejskiego. Po aperitifach w sobotnie południa, długich dyskusjach z Assoumou i Villepreux

oraz dwóch latach filozofii na uniwersytecie Sapienza, „rekrut Lombardi” miał według swego biskupa „dobre podstawy”.

Przewidywano, że po wakacjach, we wrześniu 2009 roku, kandydat na księdza zapisze się na nowy cykl studiów, który właśnie wprowadzono. Jednocześnie nastąpił wszędzie w Europie renesans trzeciego zakonu dominikanów i w wielu miastach biskup i dominikanie działali ręką w rękę i wspólnie się kształcili. Tak właśnie stało się między innymi w Bolonii. [Papież Paul Cameron, czyli Jan XXIV, sugerował swym dominikańskim braciom, by wskrzesili pierwotne powołanie zakonu, to znaczy kaznodziejstwo, przede wszystkim odbudowując trzeci zakon składający się z braci i sióstr świeckich stanu wolnego lub będących w związkach małżeńskich, specjalnie przygotowanych do głoszenia kazań]

Chiara także postanowiła pójść na ten pierwszy cykl studiów z tym, którego odtąd nie nazywała inaczej jak don Pepe. Ale te piękne, ledwo zarysowane projekty brutalnie przerwały dwa wydarzenia... [Anna wspominała: „Mówiła to, składając ręce i mrugając powiekami z miną spłoszonej dziewczyny... Początkowo trochę to denerwowało Giu, potem bawiło. W zamian on nazywał ją »księżą gospodynią«”]

Nieszczęście

Na początku marca Chiara nagle dostała wysokiej gorączki, której towarzyszyła biegunka i krwotok... Skarżyła się na ostre bóle brzucha, w ciągu godziny gorączka wzrosła o kilka kresek; Giuseppe w środku nocy wezwał pogotowie; ambulans zawiózł ich na sygnale do szpitala. Pietro, który natychmiast pojawił się u wezłowania Chiary, stwierdził objawy przypominające pewne choroby tropikalne... Jakby system immunologiczny załamał się w wyniku zatrucia krwi. „Zmienialiśmy się przy niej z dwoma kolegami, specjalistami od chorób zakaźnych, których wyciągnąłem z łóżka. Na szczęście po ataku trwającym dziesięć godzin ciało gwałtownie zareagowało, Chiara walczyła jak lwica, gorączka szybko spadała, krwawienia ustawały. Najgorsze minęło...”. Po raz pierwszy w życiu Pietro czuł przy łóżku jednego ze swych pacjentów — tą „lwicą” była jego ukochana synowa.

Lekarzy dziwiły te objawy... Według ich diagnozy był to atak wątrobowy, ale nie potrafili określić przyczyny. Badania wykluczyły guz. Ostatecznie obaj specjaliści wezwani przez Pietra stwierdzili ostre zatrucie pokarmowe, ale nie było wiadomo, jaką substancję chora przyjęła... Profesor Lombardi polecił przeprowadzić analizy biologiczne i hematologiczne pobranych próbek w swym laboratorium, on i jego ekipa pracowali nad nimi przez długie tygodnie. Bez rezultatu... Nikt, w tym Pietro, nie podejrzewał, że atak zapowiadał pojawienie się jadowitego wariantu wirusa, który zarażał krowy nad Nilem; świat nie znał jeszcze SZWN...

Chiara myślała tylko o jednym: atak przerwał trzymiesięczną ciążę; musi więc wiedzieć, czy jeszcze będzie mogła mieć dzieci. Kiedy wreszcie ginekolog mógł rozwiązać jej obawy, nie zastanawiała się nad tym, że medyczna zagadka nie znalazła rozwiązania... Jej optymizm natychmiast wziął górę.

Natomiast do umysłu Giuseppe wkradła się myśl, że szczęście jest zagrożone. Regularnie rozmawiał z ojcem; czy jego badania nad „złem” robią postępy? „Informowałem go o naszych hipotezach... Ale nie mieliśmy żadnego powodu, by sądzić, że cała sprawa się powtórzy”, przypominał sobie Pietro.

Po trzech tygodniach wyczerpana młoda kobieta wróciła do domu. [Ilekcio Giuseppe wspominał chorobę i śmierć Chiary, używał tego prostego określenia: „zło”. „Zło”, które ją trawiło. Nie mówił o wirusie, syndromie, nie używał żadnego terminu medycznego. Ten sposób wyrażania tego, co wówczas przeżył, wydaje się potwierdzać wizję, którą kreśli Pietro: Giuseppe miał poczucie, że walczy z nieprzyjacielem i że został pobity... To, co mu się przytrafiło, rzeczywiście było dla niego „złem”, czystym, skoncentrowanym... Ale nieszczęście nawet tak spersonifikowane, zwalcza nauka, a nie mity albo woda święcona...]

Powrót Jakuba

Wielka Paryska Sala Koncertowa

Inne wydarzenie, tym razem światowe, zbulwersowało życie Lombardich.

Wiosną 2009 roku decyzja „grupy dwudziestu pięciu”, by uruchomić niedawno uchwaloną ustawę o upadłościach międzynarodowych na rzecz państw nadmiernie zadłużonych wywołuje prawdziwe trzęsienie ziemi. Trzydzieści krajów w tej sytuacji oświadcza, że oddaje się pod ochronę Międzynarodowego Administratora. Korzysta z tego Indonezja: po tsunami z 2004 roku dusiła się pod ciężarem płynącej z całego świata pomocy humanitarnej i pod kontrolą instytucji międzynarodowych. Zawiesza płatności...

W pierwszych dniach kwietnia 2009 roku wszystkie ekipy pracujące od półtora roku nad projektem gigantycznego mostu w Banda Aceh dowiedziały się, że ich zaangażowanie pozostanie na etapie badań; most nigdy nie będzie zbudowany.

Szef międzynarodowego działu Ripetti & Suger, *dottor* Gianfranco Pizzoli, widział dla firmy tylko jedno wyjście: ucieczkę do przodu... Ponieważ mer Paryża zapowiedział w Boże Narodzenie, że rozpoczyna budowę Wielkiej Paryskiej Sali Koncertowej (WPSK), chciał zdobyć ten kontrakt, potencjalnie najbardziej lukratywny w Europie. [Paryż cieszący się sławą kulturalnej stolicy świata miał dwie opery, ale w owych czasach nie miał wielkiej sali koncertowej. Mimo że kandydatura tego miasta na zorganizowanie Igrzysk Olimpijskich w 2012 r. odpadła, państwo, region i miasto dalej prowadzili prace nad przebudową schematu transportu miejskiego w stolicy. Zamknęli dzielnicę Dworca Wschodniego, by umożliwić poszerzenie ultranowoczesnej podziemnej kolei sąsiedniego Dworca Północnego. Wielka sala koncertowa powinna powstać nad dawnym dworcem, dwa kroki od nowego teatru franciszkanów, zachowując charakterystyczną dla końca XIX wieku architekturę kutego żelaza i przeszklone ściany, bez szkody dla akustyki... Warunki przetargowe przedstawione architektom przewidywały również wyeksponowanie fresków ilustrujących wymarsz francuskich wojsk w 1914 r. na front wschodni]

Ale trzeba było zabrać się szybko do roboty, ponieważ Włosi startowali z półrocznym opóźnieniem w stosunku do konkurentów... Pracownicy, którzy zgadzali się przeprowadzić do Francji przed końcem maja, mieli zająć się przygotowaniem projektu na międzynarodowy konkurs; pozostali dostali wymówienie przewidziane w umowie. Chiara i Giuseppe, którzy dopiero co zagospodarowali się w Bolonii, musieli wybierać: Francja albo bezrobocie...

W rzeczywistości alternatywa niezupełnie tak wyglądała. Giuseppe marzył o pokazaniu Chiarze miasta swej najwcześniejszej młodości. Chiara cieszyła się, że może uciec z Bolonii, od szpitala i zjaw, które jej tam od lutego zagrażały.

W następną sobotę po propozycji złożonej przez firmę Ripetti & Suger Giuseppe spotkał się z don Enrikiem. Nie prosił o zezwolenie, ale o radę: czy może myśleć o tym, by we wrześniu rozpocząć studia biblijne raczej w Paryżu niż w Bolonii? [Od pierwszego dnia biskup i jego kandydat uzgodnili, że o życiu Lombardich nie będzie geograficznie decydowała diecezja, ale że będzie ono prowadziło ich od diecezji do diecezji] Czy monsignore Morro mógłby znaleźć mu tam mentora, który zająłby się jego studiami? Niski, chudy człowiek uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawiły się dołeczki. Giuseppe potrząsnął głową: „Rozumiem...”. Tym razem Chiarze trzeba wyjaśnić, o co chodzi. „W Paryżu mogę powierzyć twego męża tylko jednemu człowiekowi: prorektorowi Katolickiego Instytutu, Jeanowi-Baptiście Villepreux” – powiedział kardynał.

Oczywiście żadnemu z ich trojga nie umknęła ironia sytuacji: Villepreux będzie musiał przyjąć na swój wydział, do grona „swoich” przyszłych żonatych księży człowieka, którego potępił, uważając, że nie da się pogodzić kapłaństwa i małżeństwa. Morro skomentował: „Widząc rozbawienie w oczach Giuseppe, zrozumiałem, jak bardzo był ciekawy tego spotkania po latach, zwłaszcza w takich

okolicznościach...”. Giuseppe, Chiara i Clara wyruszyli w drogę do Paryża z oficjalnym listem od kardynała arcybiskupa Bolonii. W zamian kandydat na diakona obiecał biskupowi, że opowie mu, jaką minę będzie miał Villepreux, kiedy zobaczy go w drzwiach swego gabinetu...

Ossobucco

Czerwiec i lipiec 2009 roku to chyba najszcześniejszy okres w życiu młodych Lombardich... Jakub oprowadzał żonę i córkę po swoim mieście. Chiara napisała do Anny, że chyba wyszła za mąż za rodowitego paryżanina. „Mówiła mi, że Giu czuje się tu u siebie i jest szczęśliwy, mogąc dawać jej w prezencie to miasto, tak jak kochanej kobiecie daje się w podarunku domy, zapachy swego dzieciństwa”.

W wieczory i weekendy Giuseppe zabierał swą *princesse* do Dzielnicy Łacińskiej. Było pięknie i ciepło, mieli wrażenie, że to niekończący się początek lata. Giuseppe poznał Chiare ze swymi dawnymi przyjaciółmi i kolegami ze szkoły, z katechezy i z Saint-Germain-des-Prés... Pewnego wieczoru pod koniec sierpnia ktoś rzucił wreszcie pytanie, które każdy miał ochotę zadać: „Czy widziałeś się z Jeanem-Baptistą?”.

Do ich spotkania doszło w pierwszych dniach września...

Giuseppe wysłał neutralny w tonie list do paryskiego Instytutu Katolickiego. Prosił o przyjęcie przez prorektora i dołączył list polecający od monsignore Morra. Nawiązaniem do przeszłości było tylko jedno: pod jego wydrukowanym nazwiskiem widniało imię Jakub.

Po trzech dniach przyszła odpowiedź: „Przyjęcie na studia nie będzie następczo żadnych problemów”; prośba Giuseppe, by na wydziale teologii zaliczono mu dwa lata filozofii, które zrobił w La Sapienza, „jest rozpatrywana”; prorektor „zgadza się Pana przyjąć w celu przedyskutowania specyfiki nowatorskiej inicjatywy Kościoła, na uczestnictwo w której zdecydował się pan w Boże Narodzenie 2008 roku... Prorektor przyjmie Pana w przyszłą sobotę rano, aby spotkanie to nie kolidowało z Pańską pracą zawodową”. Widziałem ten list, zachowany w archiwum Tomasza I. Podpisał go z upoważnienia prorektora jego sekretarz.

W oznaczonym dniu Giuseppe Lombardi zjawił się w lokalach administracji. Do portfela włożył zdjęcie żony z córeczką, a do torby kilka prezentów z Bolonii — butelkę wina wybraną przez jego ojca i garnek z zamrożonym *ossobucco* ugotowanym przez matkę oraz kilka książek...

Po raz pierwszy miał się spotkać z wikarym z Saint-Germain-des-Prés, od kiedy stał się mężczyzną, człowiekiem dojrzałym w wierze i w życiu.

Spotkanie było krótkie, ostre, „absolutnie śmieszne, i to tylko z mojej winy”, powie później Villepreux. Prorektor przyjął studenta, jakby chodziło o pierwszego lepszego Włocha, który przyjeżdża studiować w Paryżu — z tym tylko, że mówili sobie po imieniu. Ksiądz miał na biurku teczkę Lombardiego, trochę notatek zrobionych ołówkiem i wszystko pozwalało przypuszczać, że traktował tę wizytę jak wiele innych. Jakub podjął grę, myśląc, że to wybieg, przez który Villepreux chce nawiązać do ich dawnych stosunków. Ale nagle Giuseppe zdał sobie sprawę, że Villepreux zamierza... poprzestać na tym. Prorektor zamknął teczkę, zrobił torsem ruch jak ktoś, kto szykuje się do pożegnania z gościem.

Lombardi niedowierzająco potrząsnął głową.

— Jean-Baptiste, chyba mi tego nie zrobisz? Duchowny obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

— Słucham?

Giuseppe spojrzał na zegarek i powiedział:

— Chcesz mi poświęcić osiem minut, tak? Po dziesięciu latach milczenia tylko osiem minut? Kpisz sobie ze mnie...

Villepreux przełknął ślinę, bębnił palcami po skórzanej podkładce leżącej na biurku. Nie patrzył na rozmówcę. Jakub zaczął mówić trochę podniesionym głosem:

— Nawet gdybym nie był Jakubem, dałbyś mi więcej niż osiem minut, po prostu jako kandydatowi do kapłaństwa... Po prostu, żeby się dowiedzieć, jak nas uczą w Bolonii... I żeby sprawdzić, czy przeczytałem twoje książki... — Włożył rękę do torby. — Po patrz, przeczytałem je! — Wyjmuje prezenty od rodziny. — Masz wino od Pietra, książki od Anny... Pamiętasz tych ludzi? To moja rodzina!

Krzyczał. Chwycił żeliwny garnek, gwałtownie postawił go na biurku, plamiąc nieco swoją leżącą na nim teczkę.

— Zobacz, moja matka ugotowała dla ciebie cielęcę *ossobucco*

z marchewką... Takie, jakie kiedyś lubiłeś. O tym też zapomniałeś? — Odsunął krzesło, wstał. — Możesz jednym pociągnięciem wykreślić ludzi ze swego życia, bo przestali ci się podobać? Po prostu dlatego, że robili co innego, niżbyś sobie życzył?

Dwaj woźni uchylili drzwi do gabinetu, przestraszeni jego podniesionym głosem. Villepreux bez słowa odprawił ich szybkim ruchem dłoni.

— Ha, ha, ha! Wystarczy ci machnąć ręką? Bez słowa, nieprawdaż... Nikogo już nie znasz, bo taki jesteś ważny! — Giuseppe śmiał się z wściekłości owym straszliwym, ironicznym, a zarazem głośnym śmiechem, na którego dźwięk będą drżeli ważni dyplomaci ze Środkowego Wschodu, a potem wielu kacyków z Watykanu... — Widzisz to *ossobucco*, panie prorektorze? Przywiozłem je dla ciebie z Bolonii... No cóż, zabieram je z powrotem... Jeśli do jutrzejszego wieczoru nie znajdziesz czasu, żeby do nas przyjść na kolację, znieważysz moją matkę, która przygotowała dla ciebie to danie, i moją żonę, która chciała cię zaprosić. A wtedy nie będziemy już mieli sobie nic do powiedzenia.

Włożył garnek do torby i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami pod osłupiałym spojrzeniem pracowników administracji, którzy nie słyszeli w tych murach podobnego ultimatum, odkąd... Odkąd one istnieją.

Różowy królik

Chiara zobaczyła, że jej mąż wraca w stanie, który jest jej dość dobrze znany... Domyśliła się, że spotkanie było nieudane; widząc zdecydowane spojrzenie męża, wiedziała, że dał sobie parę godzin na podjęcie decyzji. Giuseppe postawił garnek w kuchni, mówiąc, że w ten weekend nie będą jeść poza domem, a potem zamknął się w sypialni służącej im za bibliotekę i nastawił na cały głos *Małą Mszę* Rossiniego...

Koło siódmej wieczorem ciągle jeszcze siedział w swoim pokoju. Był sam z muzyką, na uszach miał słuchawki. Ktoś zadzwonił do drzwi. W drzwiach stał szczupły, wyprostowany, elegancki mężczyzna i patrzył na Chiare z miną, jaką mają ludzie, którzy bardzo zawinili i za żadne skarby nie potrafią się do tego przyznać... W dłoniach trzymał bukiet kwiatów, a w torbie butelkę burgunda.

Przestępował z nogi na nogę, trzymając w ręku okropnego, różowego pluszowego królika, najwyraźniej przeznaczonego dla Clary. Wyciągnął rękę do dziecka, które gaworzyło na podłodze.

— To Clara?

Chiara uśmiechnęła się, a potem potakująco kiwnęła głową.

— A pan jest pewno Jeanem-Baptistą?

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Nic pani nie powiedział?

— Nie, ale bardzo proszę, niech pan wejdzie... Proszę mi dać kurtkę i się rozgościć...

— Nie ma go w domu? — spytał jeszcze Villepreux.

Chiara pokazała ręką pusty salon, jakby chciała powiedzieć:

„Jak pan widzi...”. Usiadła w fotelu na wprost swego gościa.

— Może tymczasem otworzymy pańskie wino? — Naląła sobie i jemu, patrzyła, jak pije, i powiedziała z uśmiechem: — A teraz, jeśli chodzi o Giuseppe, w rozgrywce z jego losem prowadzi pan dwa do jednego...

Zaskoczony Villepreux przeprosił, że nie rozumie.

— Kiedy mnie wybrał, był pan zły, bo przyszłość strzeliła panu gola, tuż przed pierwszą połową meczu wynik wynosił jeden do zera... Ale teraz narzucił pan Europie swoją wizję kapłaństwa żonatych mężczyzn i widzi pan, że Jakub staje się księdzem; nie w taki sposób, jak pan myślał, ale tak, jak pan myślał... To znaczy, że ma pan na swoim koncie dwa gole, jest dwa do jednego, prawda? — Prorektor był zbyt zdziwiony, żeby coś wykrztusić. Młoda kobieta ciągnęła: — Rozumiem, że urażona ambicja człowieka, który omylił się co do przyjaciela, przeszkadza w kontynuowaniu przyjaźni; szkoda, ale to rzecz ludzka. Jednak jeśli tak nie jest, jeśli nie omylił się pan co do człowieka, dlaczego odmawia mu swej przyjaźni? Czy rościł pan sobie prawo do wskazania mu drogi jak dziecku? Lub pragnął pan spotkać się z nim na drodze, bo myśli pan, że jest do tego stworzony i że wobec tego będzie użyteczny dla siebie i dla innych?

Chiara wstała...

— Może wtrącam się do uczuć bardziej skomplikowanych. Nie wiem, co mu pan powiedział w swoim gabinecie. Wiem tylko, że Giuseppe przyniósł z powrotem *ossobucco* Moniki. Chyba je teraz odgrzeje? — Potem uśmiechnęła się, otworzyła drzwi do sypialni i zawołała: — Giu! Mamy gościa.

Oniemiały Villepreux zobaczył wysoką postać we framudze drzwi do sypialni. Giuseppe odłożył słuchawki, które wisiały mu jeszcze na szyi, i wszedł do salonu z uśmiechem na ustach.

— Wybacz, nie usłyszałem dzwonka. Słuchałem muzyki. Cieszę się, że przyszedłeś...

Czy możliwe, by związek tych dwóch mężczyzn, trwający prawie ćwierć wieku, zależał od tego zaproszenia, które w istocie było ultimatum? Aby zależał od tego okropnego, różowego pluszowego, kupionego pospiesznie królika i od kilku słów wypowiedzianych przez młodą kobietę, kiedy sęczyli burgunda?

Izaak i Jakub

Oczywiście sprawy nie sprowadzały się do tego odnalezienia się, do tej kolacji. Przez następne miesiące między oboma mężczyznami i młodą kobietą nawiązały się bardzo bliskie stosunki, zaczęły się wspólne dyskusje, których duszą był Villepreux. Kiedy zostawali sami z Giuseppe, dawali popis abstrakcyjnego myślenia, roztrząsali kwestie teologiczne: kiedy Jakub i „Izaak” byli z Chiara (to ona, niewątpliwie kpiąco, tak ochrzciła Villepreux), rozmowy bardziej trzymały się ziemi... Rodzina Lombardich, która w czerwcu 2010 roku po urodzeniu się Cecilii powiększyła się o nowego członka, stała się dla Jeana-Baptiste'a przyjaznym portem, domem, do którego mógł przyjść bez uprzedzenia, czasem po prostu wpaść wieczorem na kieliszek wina po męczącym dniu. Dom młodej pary, pełen drobnych trosk o dzieci, śmiechów i zabaw niezaprzeczalnie stawał się po trosze jego domem, którego nie miał i w którym nie miałby czasu mieszkać.

To, co naprawdę przeżywał przyszły papież Sylwester III przez dwa lata, było nie tylko wielką przyjaźnią, ale prawdziwym nawróceniem; jeszcze do tego powrócimy.

W sierpniu 2011 roku rodzina znowu zaczęła się pakować... Projekt Wielkiej Paryskiej Sali Koncertowej okazał się tym razem sukcesem. Małżonkowie musieli teraz wybierać między Francją i Włochami. I chociaż ich serca wahały się, Chiara była twarda: nie chciała już zadowalać się jakimiś okruciami pracy... Giuseppe miał możliwość powrotu do Bolonii jako konsultant firmy Ripetti & Suger, a ona znalazła pracę jako młodszy wydawca w redakcji nauk

humanistycznych jednego z uniwersyteckich wydawnictw... Wracają więc „do siebie”, do miasta Lombardich, do diecezji don Enrica.

Diakon

W sobotę 31 grudnia 2011 roku rodzina Lombardich dziwnie świętowała sylwestra.

W półcieniu katedry oświetlonej mnóstwem świec było ich ośmiu, ośmiu mężczyzn w białych albach, leżących krzyżem na zimnej posadzce, podczas gdy nad nimi rozlegały się słowa błogosławieństwa, misji i apelu, rzucane chrapliwym głosem przez monsignore Morra.

Przy ołtarzu towarzyszyło mu dwóch mężczyzn w fioletowych biskupich piuskach: jeden był wysokim, chudym, nieskazitelnym mężczyzną o wyglądzie, jaki mają arystokraci myśli; na jego pektoralu spoczywał tylko całun, położony na dwóch ramionach krzyża. Obok monsignore Villepreux uśmiechał się nowy biskup, który został wezwany do Kurii rzymskiej jako sekretarz Kongregacji do spraw Duchowieństwa — fioletowa piuska wydawała się malutka na krótko obciętej kręconej czuprynie tego mężczyzny o herkulesowej budowie. Olbrzym dopiero co przyjechał z Jaunde, z Kamerunu. Przed dwoma dniami, nazajutrz po rzymskich uroczystościach bożonarodzeniowych, z ust samego Villepreux dowiedział się o święceniach Jakuba... Obok Jeana-Baptiste'a Paul Assoumou był jednym z młodych księży szkockiego papieża; a obok don Enrica jednym z bojowników oddanych sercem i duszą Paulowi Cameronowi. Papież dominikanin wiedział, że będzie teraz potrzebował wokół siebie ludzi, aby kruszyć kopie z obozem reakcji, który zbierał siły i z dnia na dzień zaczynał przemawiać coraz twardszym językiem. [Europejski Kościół wiele oczekiwał po wprowadzeniu święceń dla żonatych mężczyzn. Tak media, jak pasterze wyolbrzymiali znaczenie tego faktu, a tymczasem na owoce trzeba będzie czekać... Wszędzie czuło się ogromny zawód, na miarę nadziei: wielu wierzyło, że synod zapowiada niesłychaną rewolucję, nadejście nowej ery... Kolejny raz Kościół katolicki wiele oczekiwał od swych księży, myśląc, że dozna metamorfozy, ponieważ oni się zmieniają] W pierwszym rządzie wśród rodzin siedziała Chiara, wzruszona, lecz spokojna; wierzyła, że to, co się dzieje, obchodzi

zarówno Boga, jak ludzi, że nie są to tylko wewnętrzne walki umierającej, przynajmniej na tym kontynencie, instytucji.

Młoda matka trzymała na rękę śpiącą Cecilie. Natomiast Clara wpatrywała się wytrzeszczonymi oczami w ojca leżącego na posadzce twarzą do ziemi. Kiedy podczas ceremonii zawołała: „Tatusiu!”, wszyscy obecni uśmiechnęli się... Mała trzymała za rękę Monicę. Co myślała matka tego młodego mężczyzny leżącego na ziemi, korzącego się przed instytucją, której ona wcale nie nosiła w sercu? Co myślał Pietro o swym synu, który za pięć lat miał zostać „ojcem”? Za pierwszymi szeregami i w bocznych rzędach krzeseł widać było parę zaproszonych osób o znanych twarzach... Na twarzy Simona Cervina, który ostatecznie postanowił przyjść, ironiczny uśmiech wykrzywił dolną wargę; jak to rozumieć?

Dwa krzesła dalej jakaś kobieta z kwaśną miną patrzyła na młode stadło. Była tutaj, bo towarzyszyła Jeanowi-Baptiste'owi Villepreux w Rzymie. Jej czoło zdawało się zasępięte myślami; może wybiegały już w przyszłość, może obmyślały przyszłą konstytucję dla duchowieństwa parafialnego... Któż to mógł wiedzieć, gdy chodziło o Jeanne-Marie Carrière?

Tego dnia Giuseppe Lombardi skończył trzydzieści jeden lat; przekroczył już połowę życia. Wokół niego zgromadziło się około dwudziestu mężczyzn i kobiet, niektórzy byli tu przypadkiem, może dlatego, że go znali jako pełnego entuzjazmu młodzieńca, młodego działacza, męża i szczęśliwego ojca.

Ci ludzie będą mu towarzyszyli w ciemnościach, które niebawem zapadną nad nim, nad jego Kościołem, nad światem...

To oni w ciągu dwudziestu nadchodzących lat dokonali rewolucji w Kościele. Byli tu wszyscy dlatego, że myśleli, że tak czy inaczej skorupa nie jest zgrzybiała ani pusta; wszyscy byli przekonani, że to, czego są świadkami, nie jest rozwiązaniem, a tylko początkiem przyszłej odnowy...

8

Młoda kobieta i śmierć

Rozpalone czoło

Chiara była szczęśliwa w nowym życiu zawodowym; mówiła, że teraz musi nauczyć się „niezwykle trudnego zawodu”, zawodu żony diakona. Będzie kobietą stojącą u boku sługi, gotowa służyć razem z nim, gotowa poprowadzić go tam, dokąd nie chodził, iść za nim tam, dokąd nie poszłaby sama. [Właśnie tak sformułowała swoją wizję miejsca, jakie ma zająć, w piśmie, o które poprosił ją Enrico Morro parę tygodni przed wyświęceniem Giuseppe na kapłana] „Będę zawsze tam, dokąd zawiódą cię twoje kroki, don Pepe”, napisała na pierwszej stronie iluminowanej edycji „Fioretti”, którą ofiarowała mu na pamiątkę jego ordynacji. Dotrzymała obietnicy... przez pełne dwa miesiące, jakie będzie jeszcze trwało jej życie.

W środę 7 marca 2012 roku od rana dręczyła ją migrena; zaczęła się zwykłym bólem głowy, potem stała się nie do zniesienia. Chiara postanowiła wrócić do domu, o czym zawiadomiła Giuseppe, który był w pracy. Kiedy dwie godziny po jej telefonie mąż przyjechał do domu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, znalazł swoją *principesse* leżącą w salonie przy zaciągniętych zasłonach. Zapytał, czy potrzebuje lekarza, ale wydawało się, że Chiara nie jest zdolna powiedzieć słowa.

Giuseppe dotknął ręką jej czoła: było rozpalone. Ręce były białe i zimne jak lód. Gorączka rosła w błyskawicznym tempie, Chiara nie mogła poruszyć szyją; wywiązało się ostre zapalenie mózgu.

Gdyby nie gwałtowny wzrost temperatury, objawy te nie miałyby nic wspólnego z atakiem wątrobianym sprzed trzech lat, który spowodował poronienie. To raczej symptomy zapowiadające zapalenie opon mózgowych. Jednak Giuseppe, który natychmiast zatelefonował na pogotowie, a zaraz potem do ojca, powiedział, że „zło” powróciło... Czy już zdał sobie sprawę, że będą musieli wydać decydującą bitwę?

Ambulans na sygnale pędził ulicami Bolonii do szpitala. Ostre światło „koguta” zakrawało na szyderstwo; w świetle słonecznego dnia niczego nie oświetlało, rzucane przez niego błyski były milczącymi dzwonami żałobnymi.

Głos syreny, ciasnota ambulansu, zapach leków... wszystkie te szczegóły wryły się w pamięć Giuseppe. W 2036 roku, w Moskwie, widziałem, jak jego oczy napełniły się łzami, gdy usłyszał syreny ambulansów.

— Nic na to nie możesz poradzić, nie jesteś za to odpowiedzialny — powiedziałem, widząc jego rozpacz.

Potrząsnął głową.

— Ten dźwięk wtrąca mnie w ciemności, *fratello*. Do końca życia będzie mi przypominał ostatnie godziny Chiary.

Przejazd na sygnale przez ulice Bolonii nie trwał nawet dwunastu minut.

Pogotowie zostało już telefonicznie zawiadomione przez Pietra Lombardiego. Leżąca na noszach Chiara nuciła półgłosem, nękana gorączkowymi majakami. Morfina uśmierzyła pulsujący ból. Temperatura ciała groziła śmiercią; lekarzom pogotowia nie udawało się jej zbić mimo podawania ogromnych dawek leków przeciwgorączkowych.

Kiedy zjawił się profesor Lombardi, ekipa zajmująca się jego synową wreszcie opanowała gorączkę, która zaczęła spadać bardzo powoli, stopniowo. Ponieważ utrzymywały się ostre objawy zapalenia opon mózgowych, natychmiast zapadła decyzja o punkcji lędźwiowej.

Utrzymywanie w tej książce fałszywego suspensu na temat paru następnych dni i daremnej walki z chorobą prowadzonej przez lekarzy i pacjentkę byłoby absurdem. Absurdem i nieprzyzwoitością.

Wszyscy, którzy trochę się interesują życiem Tomasz I, wiedzą, że Chiara Lombardi, jego żona, zmarła w ostatnich dniach zimy 2012 roku (dokładnie 18 marca, jedenaście dni po przyjęciu do szpitala) w wyniku ostrego zapalenia mózgu; że Chiara była jedną z pierwszych ofiar SZWN.

W strasliwym drugim dziesięcioleciu XXI wieku wielu z nas musiało towarzyszyć komuś z bliskich na pogotowie z powodu identycznej agonii. Wiele z nas, którzy przeżyliśmy kolejne udręki — dramatyczne wyniki analizy płynu mózgowo-rdzeniowego; natychmiastowe próby wykonania biogramu wrażliwości drobnoustroju na antybiotyki, by próbować zwalczyć infekcję i zmniejszyć ciśnienie płynu mózgowego; szybka i nieuleczalna koma, ostatnie próby lekarzy próbujących obniżyć temperaturę ciała — prawdziwy wyścig z czasem, by uchronić mózg. Potem, kiedy wyścig zostaje przegrany, następuje załamanie się wszystkich funkcji fizjologicznych, posocznica. I śmierć.

Za dobrze znamy ten ciąg porażek, tę walkę ze śmiercią prowadzoną przez lekarzy, te zadyszane ekipy leczące, zawsze opóźnione w stosunku do jednego z symptomów. Znamy to, ponieważ w ciągu tych lat SZWN zabijała mniej więcej jedno istnienie ludzkie na tyśiąc. [Ostre zapalenie mózgu i zapalenie opon mózgowych są główną przyczyną zgonów chorych na SZWN. Zabiły ponad 63% ofiar, dwa razy więcej niż spektakularne krwotoki wewnętrzne, a zwłaszcza zewnętrzne, które pozostaną jednak jako strasliwy dowód Syndromu Zjadliwego Wirusa Zachodniego Nilu]

W przypadku Chiary Lombardi kontakt z czymś nieznanym, osłupienie i irracjonalna nadzieja aż do końca towarzyszyły temu horrorowi, ponieważ należała do pierwszych ofiar kłęski, która nie miała jeszcze nazwy.

Przeciwnie aniżeli wielu chorych, którzy w następnych latach byli przyjmowani do szpitala w trybie nagłym, Giuseppe i Chiara nie mieli czasu, by przygotować się na zbliżającą się śmierć, ani świadomości, że trzeba to zrobić. Chiara straciła przytomność 8 marca, nie wiedząc, że może nie otworzyć już oczu — po prostu mówiła, że strasznie ją boli. Kiedy Giuseppe czuwał przy niej przez dziesięć dni, wiedział, że stanie się coś złego, ale dopiero w ostatniej chwili pojął, że jego przeczucie było zwiastunem śmierci.

„Chiara nam umarła”

Nie wiem, jak Giuseppe przeżył dziesięć dni, kiedy Chiara była w śpiączce, dziesięć przejmujących dni nadziei i strachu. Nigdy mi o tym nie mówił, prawie nigdy nie wspominał o Chiarze i nigdy nie mówił o niej w czasie przeszłym.

Pietro Lombardi zamilkł, kiedy wymieniał marcową datę 2012 roku. Ponieważ jest lekarzem, powiedział mi o zabiegach, o protokołach. Monica poprzestała na faktach, zresztą prostych: wzięła do siebie Cecilie i Clarę.

Poza tym niewiele mi powiedzieli. Pietro zauważył mimochodem, że tym razem „nasza lwica nawet nie mogła walczyć, zbyt szybko usnęła”.

Z Mariną, młodszą z siostr, było tak samo jak z Monica i Pię-trem; nie chcieli powracać do wspomnień... „Przez dziesięć dni zajmowałam się dziewczynkami. Wyobrażałam sobie, że jestem *baby-sitter*, to wszystko; tata nie chciał nam powiedzieć, jak poważna jest sytuacja, a ja na pewno też nie chciałam o tym wiedzieć... Potem Chiara umarła; pochowaliśmy ją nazajutrz. Wkrótce Giu wyjechał”.

Dużo więcej dowiedziałem się od Anny: „Giu nie opuszczał szpitala, a nawet jej pokoju. Prawie nic nie jadł. W ciągu dziesięciu dni dwa razy wyszedł na kilka chwil na ulicę przed szpital. Poruszał się jak niedowidzące zwierzę, mrużąc oczy na słońcu... Wydawało się, że chce zaczerpnąć trochę powietrza, zanim wróci bez tchu do tego pokoju. Na oddział, gdzie walczyła ze śmiercią Chiara, oddział chorób zakaźnych, nikogo nie wpuszczali — nie wiedzieli, co to za choroba. Giuseppe mógł przebywać w pokoju Chiary, bo nasz ojciec był tam kimś ważnym”.

Powiedziała mi jeszcze:

„Za drugim razem, kiedy go zobaczyłam, poznałam jego wysoką postać na ostatnich stopniach schodów. Pamiętam, że na jego widok zdrętwiałam: przypominał boksera po mocnym ciosie, ręce zwisały mu wzdłuż ciała, dłonie poruszały się, jakby chciały coś schwytać. Zachwiał się i oparł o ścianę. Podeszłam bardzo blisko niego, długo patrzył, jakby mnie nie widział. Potem zadrżał, wymówił moje imię, złapał mnie za ramiona i uściśnął. Prawie mnie dusił, czułam, że jego ręka bezwiednie miażdży mi ramię. Szepnęła mi na

ucho, że zostały jej tylko trzy, cztery godziny. Potem puścił mnie i widziałam, jak odchodzi jak automat”. Chiara walczyła jeszcze przez trzy dni.

Anna: „Chiara umarła w niedzielę o jedenastej rano. Marina chyba była z Clarą w cyrku. Tata natychmiast zawiadomił nas telefonicznie; kiedy do domu przyszedł Giu, nic nie mówił, był zdruzgotany, on także został pokonany. Wziął na ręce Cecilie i przez przeszło godzinę stał ze swoją młodszą córką przed oknem. Trzymał ją na jednym ręku i pokazywał jej palcem każdy przejeżdżający samochód, mówiąc, jaki ma kolor i jaki jest śmieszny”.

Marina: „Przysłałam koło trzynastej. Trzymałam Clarę za rękę. Drzwi otworzył mi Giuseppe, uśmiechnął się do mnie, podziękował mi, chwycił małą i bez trudu podniósł ją do góry wolną ręką. Pomyślałam, że ciągle jest silny — że trzyma się dla swoich córek... Potem pozostał w salonie, przed oknami, i bez przerwy, aż do wieczora gaworzył z dziewczynkami, a my rozmawialiśmy półgłosem o przygotowaniach do pogrzebu. Koło ósmej położył dzieci spać, ucałował je i zajrzał do kuchni. Powiedział: »Idę do Morra«, i wyszedł”.

Morro: „Giuseppe przyszedł o ósmej wieczorem, żeby porozmawiać o pogrzebie, który miał się odbyć nazajutrz, w poniedziałek. Poprzedniego dnia, kiedy zrozumiał, że Chiara umrze, powiedział, że chce ją pochować zaraz następnego dnia. W ciągu jednego dnia załatwiłem to, co trzeba... Rozmawialiśmy po prostu o paru szczegółach, o tekstach, które mieliśmy przeczytać. Nawet się nie starałem coś mu powiedzieć na pocieszenie...”.

Anna: „Przez całe popołudnie telefonowaliśmy do osób, które naszym zdaniem należało powiadomić. Nie miało to dla Giu żadnego znaczenia, ale mówiliśmy sobie, że świadomość obecności tylu ludzi będzie później dla niego swego rodzaju pociechą... Zatelefono wałam do jakichś dwudziestu osób w Rzymie i piętnastu we Francji. Poprosiłam, żeby zawiadomili tych, których znają. Obiecali, że będą nazajutrz rano. Jechali całą noc...”.

Paul Assoumou: „Obaj jechaliśmy samochodem nocą z Rzymu. I pamiętam, że Villepreux przez całą drogę mówił jakimś dziwnym

głosem. Mówił o Jakubie, o jego żonie... Mówił o powołaniu Jakuba, i było to tak, jakbyśmy mieli to powołanie pogrzebać...”.

Simon Cervin: „Zadzwonił do mnie Morro. Powiedział to dziwne zdanie: »Chiara nam umarła«, jakby ta dziewczyna była częścią nas samych... A ja, który widziałem ją trzy razy, tylko trzy razy przez kilka godzin, poczułem, przysięgam ci, poczułem, że »nam« umarła... Jak się czuje w przypadku swoich własnych dzieci, widzisz — coś w tobie gaśnie”.

Morro: „Niewątpliwie kilkoro z nas nienawidziło Boga owej nocy. Wątpiliśmy w jakakolwiek sprawiedliwość, w jakakolwiek miłość. Wszyscy mieliśmy Bogu za złe. »Ty, który nie odbierasz życia, ty, który je dajesz, zrób tym razem wyjątek; weź moje życie za jej życie«. Powiedziałem te słowa ja, musiał powiedzieć je Pietro Lombardi i Ivo Sassetta, i oczywiście Giuseppe; i z pewnością jeszcze pięć, dziesięć lub sto osób nazajutrz w kościele...”.

Lamma sabactani

Pogrzeb odbył się w poniedziałek 19 marca o godzinie jedenastej w katedrze bolońskiej. Wzięło w nim udział kilkaset osób, z których wiele przyjechało z Rzymu, oczywiście z Mediolanu, z Paryża, z innych miejsc z Włoch i z Francji...

Camilla Sassetta: [Starsza siostra Chiary] „Zanim przyniesiono trumnę, panowała dziwna cisza. W katedrze były setki mężczyzn i kobiet, których nigdy nie widziałam, wszyscy milczeli. Nie chodzę często do kościoła, ale wydaje mi się, że była to cisza szczególna, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Pamiętam też, że pomyślałam: »Znam tak mało tych twarzy... Nie znałam mojej siostry«. Don Enrico wyszedł z zakrystii, przywitał się z rodzicami Giuseppe, moimi, z jego siostrami. W chwili gdy ścisnął nam z Roberto ręce, usłyszałam jakby hałas, który brał się gdzieś z głębi”.

Anna: „Nagle wszyscy wstali. Wszedł Giuseppe z córkami”.

Camilla: „Widziałam, jak idzie gdzieś z głębi, szedł tuż przed trumną. Na rękę trzymał Cecilie, Clarę posadził sobie na ramionach, ubezpieczał ją lewą ręką. Spojrzałam na jego twarz, na twarze dziewczynek. Nie można było nie poczuć buntu, widząc ich troje bez niej...”.

Anna: „W owej chwili pojęłam, że on także umarł... Wiedziałam, że stracę brata”.

Morro: „Powiedziałem mu, żeby usiadł, i że jesteśmy tu wszyscy po to, by mu towarzyszyć. Potrząsnął głową, jakby nie rozumiał... Pomyślałem: On nie ma już żadnego powodu, by tu zostać, nie ma nic, co by go z tym miejscem wiązało”.

Camilla: „W rzeczywistości wydawał się zgaszony. Jakby w jego twarzy nie było już miejsca na ból, jakby nic się już nie liczyło... Dopiero kiedy zaśpiewał tę pieśń, chyba był to psalm, zrozumieliśmy, co czuje”.

Assoumou: „Było to nabożeństwo niezwykle krótkie, msza za zmarłych. Odprawiał ją Morro. Widać było, jak bardzo się stara wytrwać do końca. Wydaje mi się zresztą, że był to problem wszystkich obecnych: wytrwać do końca tej liturgii. Po pierwszym czytaniu zobaczyłem, że Jakub wchodzi na ambonę, by odśpiewać Psalm. Powiedziałem sobie: Przecież nie on będzie śpiewał”.

Morro: „W przeddzień powiedział mi: »Nie chcę, byśmy zdezerterowali w obliczu tego, co się dzieje. Chcę, byśmy odczytali Słowo«. Popatrzył na mnie i powiedział: »Zaśpiewam Psalm XXII, Enrico«. Kiedy wszedł na ambonę, pamiętam, że modliłem się, modliłem, żeby mógł dośpiewać do końca. Potem zaczął: »Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił/ Daleko od mego Wybawcy słowa mego jęku...«”.

Camilla: „Było to nieludzkie albo nadludzkie, nie wiem. Coś, co wychodziło z ziemi, co do niej wracało...”.

Morro: „Rozlany jestem jak woda/i rozłączają się wszystkie moje kości;/jak wosk się staje moje serce...” [Psalm XXII, 15-A].

Anna: „Nie czytał psalmu, było to tak, jakby psalm został napisany, aby wpadł w jego usta; w owej chwili Słowo było jego słowem, jego własną pieśnią...”.

Morro: „Kładziesz mnie w prochu śmierci/Bo [sfora] psów mnie opada...” [idem, 17].

Assoumou: „Pamiętam, że pomyślałem, iż Chrystus powiedział tak na Krzyżu, zanim umarł. Villepreux spojrział na mnie, wiedziałem, że pomyślał to samo...”.

Morro: „»Wybaw mnie od lwiej paszczyki/i od rogów bawolich... mnie biednego !« [idem, 22]. Potem przerwał, podniósł głowę. Nie powiedział ostatnich strof... Przerwał bez słowa nadziei, w jego głosie nie było łkania. Wołał przerwać w tym miejscu”.

Camilla: „Był to śpiew doskonały, śpiew tragiczny, pełen rozpacz”.

Morro: „Wśród zgromadzonych nie było wielu ludzi znających dobrze ten psalm, wiedzących, co Giuseppe świadomie pominął; cztery ostatnie strofy, strofy nadziei, gdzie psalmista mówi, że zostanie zbawiony... Tych strof nie zaśpiewał. Spojrzał mi prosto w oczy, porzucił wszelką nadzieję”.

Anna: „pamiętam, że pomyślałam spokojnie: Teraz Giuseppe także odejdzie. Kto się zajmie dziewczynkami?”.

Assoumou: „Cała reszta ceremonii nie miała żadnego znaczenia. Żadnego”.

Pod koniec ceremonii Giuseppe i Pietro Lombardi, Ivo Sassetta i Enrico Morro wzięli każdy za jeden uchwyt trumny i postavili ją na ramionach... Poszli do czarnej furgonetki zakładu pogrzebowego. Za nimi szły kobiety i dwie dziewczynki.

Assoumou: „Położyłem rękę na jego ramieniu. Wsunąłem mu na rękę moją bransoletę niewolnika. Chyba nawet tego nie zauważył. Modliłem się, by pamiętał, że Chrystus złamał moc śmierci, aby on znów mógł kiedyś uwierzyć”.

Potem garstka ludzi, może z dziesięć osób, najbliższa rodzina, pojechała na wieś w regionie Emilii. [Będzie to jeden z sekretów tej książki... Sekret poliszynela, ponieważ ci, którzy naprawdę chcieli go odkryć, wiedzą oczywiście, gdzie znajduje się grób Chiary i Giuseppe. Ale papież przed śmiercią prosił, by nikt nie zdradził, gdzie będzie spał, aby tłumy nie zakłócały porządku i spokoju tego miejsca. I, rzecz zadziwiająca, do tej pory wszyscy dotrzymali słowa] W owej wsi spoczywała wygasła część rodziny Enrica Morra, gdzie miał on jeszcze dwa miejsca w grobie i gdzie teraz na wieki musiała spać Chiara, czekając, aż dołączy do niej mąż. [Giuseppe nie poprosił rodziców ani państwa Sassettów o miejsce w ich rodzinnym grobie. Nigdy nie wyjaśnił, dlaczego wybrał ten grób. Może po prostu rozmawiał o tym z Morrem, przygotowując pogrzeb. Może tylko Morro miał odwagę poruszyć tę delikatną kwestię w ostatnich dniach...]

Giuseppe jeździł tam i z powrotem samochodem don Enrica. „Właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą przez całą drogę”, opowiadał mi ten stary człowiek.

Dwa dni później Giuseppe zostawił na pewien czas swoje córki u rodziców. Spakował się („Wziął jedną walizkę i tylko przydatne ubrania; nic pięknego, nic, co przypominałoby Giuseppe”, powiedziała Anna), opróżnił mieszkanie, zdeponował trochę rzeczy w piwnicy Lombardich.

Przyszedł uścisnąć rodziców. Monica wspominała: „Spytałam, dokąd się udaje. Powiedział mi po prostu, że chce znaleźć jakieś miejsce, które nie będzie mu przypominało Chiary. Powiedział dokładnie tak: »Poszukam miejsca, gdzie pada deszcz, gdzie ziemia jest szara i nie obiecuje niczego dobrego, ani zasiewów, ani zbiorów«. Obiecał mi, że zatelefonuje, kiedy będzie miał jakiś tymczasowy adres”.

Odchodzący mężczyzna zostawiał za sobą wszystko, w grobie w Emilii, w piwnicy i w mieszkaniu w Bolonii: pamięć o żonie, córkach, pracy, misji, jakiej się podjął w swym Kościele...

Wszystko. Nadzieję także.

9

Ostatnie strofy

Turbiny wiatrowe

Cisza trwała pół roku. Długie opuszczenie, zniknięcie — nawet w jego własnych oczach.

Przez dwadzieścia pięć tygodni Monica i Pietro Lombardi, Anna i Marina, rodzina Sassettów, Morro nie mieli o Giuseppe żadnych wiadomości poza wysyłanym raz na miesiąc e-mailem.

Każda wiadomość przynosiła parę rzeczowych informacji: znalazł pracę na wyspie polderowej na Morzu Północnym, na polu turbin wiatrowych. Opisywał bez entuzjazmu na poły sztuczną wyspę, na której zainstalowano stację; później napomknął o wypadku przy pracy, który sprawił, że zbliżył się do swoich ludzi, „świetnych facetów”.

Nie wspominał, co się dzieje w jego duszy. Milcząca trwoga, autystyczne cierpienie. Brak zapowiedzi i chęci powrotu. Nic. Każdy list kończył się niezmiennie zdaniem: „Ucałujcie moje dwie książeczki od ojca”.

Pojechałem zobaczyć to pole turbin wiatrowych. Jedno z pierwszych, jakie zainstalowano na wyspach Fryzji, kiedy w 2010 roku Holandia postanowiła zdobyć niezależność dzięki energiom odtwarzalnym. Gigantyczne łopaty śmigieł nadal się obracały. Ich uderzenia były tak silne, że wydawało się, że serce chce się do nich dostosować: tłoczyło krew do żył w ich rytmie; a ciało inkasowało wstrząs ich stłumionego pomruku.

Wiatr... Wiatr znad Morza Północnego, lodowaty, wilgotny. Wiatr szarpał skrzydłami, że można oszaleć. Uderzał w polder, w sztuczną część wyspy, tak mocno, że poza atroficzną roślinnością i,

kto wie, może kamieniami, na tych słonych nieużytkach nic nigdy nie będzie mogło wyrosnąć. Nie ma koloru z wyjątkiem bieli śmiegieł; niebo i ziemia mają szary kolor, który niekiedy barwi się na bladoniebiesko, na niezdecydowany róż, jeśli rzadkie słońce przebiję się przez chmury. Błoto ziemi i brudna szarość nieba kładą się równym ciężarem.

Pracowało tu już tylko trochę robotników imigrantów z Surinamu— wiosną 2012 roku owi imigranci, którym Holandia odebrała niedawno obywatelstwo holenderskie, stanowili główny trzon ekipy. W owych czasach w barakach mieszkało jeszcze kilku muzułmanów przybyłych niegdyś z Turcji, a teraz podlegających tym samym regułom migracyjnym. [Dwa lata wcześniej, w 2010 r., Haga wycofała się z przestrzeni Schengen; rząd utworzony przez narodową prawicę i skrajną prawicę w niespełna rok doprowadził do przyjęcia jednej z najostrejszych legislacji na świecie o migracjach]

Do owych ludzi bez przyszłości dołączył nowy wyspiarz. Ten włoski inżynier, który tu wylądował, był jedynym człowiekiem Zachodu.

Miał dyplomy niemające związku z zajmowanym stanowiskiem i mówił pięcioma językami. Pewnego dnia zjawił się w Kompanii, podpisał kontrakt, nie kłócąc się ani o pensję, ani o warunki. W gruncie rzeczy tak jak jego towarzysze, był imigrantem, który wszystko stracił. Nikt z małej kolonii nie dowiedział się, z jakiej osobistej klęski uszedł ten skryty, zamknięty w sobie, lecz koleżeński człowiek.

Okazał się wytrzymały przy pracy; chętny do pomocy. Nigdy nie słyszeli, by podniósł głos, nigdy nie krzywił się, gdy trzeba było taplać się z innymi w błocie. Był jak dowódca w okopach.

Dzielili z nim ciężkie prace konserwacyjne, kiedy wszystkie ręce podnosiły rurę jak jeden mąż, gdyż w przeciwnym razie istniało ryzyko, że któryś z nich zostanie zmiażdżony przez śmigła. Tak jak inni potrafił kurczyć palce w roboczych rękawicach, aby lepiej trzymać lodowaty metal; zaklinować robocze buty w koleinie mułu, by oprzeć całe ciało.

Po rurowaniu otworu klepał ich po plecach, dziękując za dobrą robotę. Podczas przerwy dzielił z nimi butelkę piwa, z gołą głową, kaskiem w dłoni... Był jednym z nich. Ale z nadejściem wieczoru zamykał się w domu przysługującym nadzorującemu inżynierowi

— wcale nie wygodniejszym, ale lepiej chronionym przed głuchym hałasem śmigieł.

Czasem słyszał, jak wyznają swoje niedole — wszyscy byli jak Adam, wygnani ze swych ogrodów Edenu; wszyscy jak Kain naznaczeni pieczęciami infamii, jakimi stały się ich zbyt ciemna skóra i ich trudne do wymówienia nazwiska; wszyscy mieli nadzieję na Ziemię Obiecaną. A on nigdy nic o sobie nie powiedział...

Wyspa była ostatnim schronieniem dla tych „meteków”; dla niego dobrowolnym wygnaniem, pustelnią bez nabożeństw, bez kaplicy. Prawdą jest, że wybrał swój los, podczas gdy oni byli ofiarami swego, ale co za różnica? Zostawała im tylko praca, dni zorganizowane w kolejne wachty odmierzone wyciem syreny z dachu kantyny; samotność ogromna, rozpaczliwa.

Królestwo śmierci

Podróże z wyspy na stały ląd były rzadkie. Prom pływał codziennie w obie strony, kiedy pozwalała na to pogoda. Lombardi nie jeździł na ląd, wolne dni spędzał na dzikiej części wyspy, uzbrojony w notes, potężny aparat fotograficzny — nikt nie wiedział, jakiej pracy się oddawał, nie znalazłem żadnego z robionych przez niego zdjęć poza jednym... [Zazwyczaj inżynierowie po dwóch tygodniach pracy mieli tydzień wolny. Ale nowo zwerbowany pracownik zgodził się pracować bez urlopu, dopóki firma kogoś nie znajdzie]

Jego towarzysze wygnania sądzili, że obserwuje ptaki: może mieli rację.

Pustka, cisza i śmierć duszy. Listy były zawsze takie same... Nic nie wskazywało, by człowiek, który pisał te e-maile bez nadziei, otrzymywał listy od rodziców, sióstr czy też rysunki od starszej córki — dlaczego jest tak zamknięty w sobie, czy to wysiłek, do którego się zmusza, czy też po prostu tak jest?

Monica postanowiła go odwiedzić.

Zapowiedziała się e-mailem. W odpowiedzi dostała krótki telefon: niech nie przyjeżdża, to niczemu nie służy. „Nie ma tu nic do zobaczenia, nic do powiedzenia. Nie staraj się mnie przekonać, Monico, to nie ma sensu”.

„Zdumiał mnie ton mego syna”. Jeszcze po dwudziestu pięciu latach z głosu Moniki przebija ból. „Nie chciał mnie widzieć, powiedział mi to jako oczywistość nie podlegającą dyskusji. Uważał, że nasze spotkanie jest niemożliwe, jakby nie miał do niego prawa. I zrozumiałam: opuścił świat żywych, zabronił mi, żebym go zobaczyła, jak zjawia zabrania tym, których kocha, dotknąć się, ze strachu, że to ich zgubi”.

W Monice zawsze była obecna czytelniczka Dantego. Ta matka musiała więc znaleźć sobie Wergiliusza, który będzie trzymał za rękę jej syna, by wyprowadzić go z Piekieł. Nazajutrz zatelefonowała do pałacu arcybiskupiego.

W owym lecie 2012 roku monsignore Morro mało udzielał się w swej diecezji; jednak w ten piątek znalazł trochę czasu... „Przekonywałam go, że do mojego syna powinien pojechać przyjaciel. I że tylko on może się tam udać, żeby go poszukać w królestwie zmarłych”, powiedziała Monica. „Spytałem, dlaczego tym jednym jestem ja — opowiadał mi dostojnik Kościoła. — Odpowiedziała: Ponieważ on zrobiłby to dla księdza, a ksiądz zrobiłby to dla Chiary, i on o tym wie”.

„Każdą latorośl, która przynosi owoc, oczyszcza”

[Ewangelia wg św. Jana 15,2.]

Wielu dziwi się jeszcze dzisiaj, że Giuseppe Lombardi mógł opuścić swoje dwie córki. Sądzę, że wyjaśnienie podane przez Monicę jest dobre, jeśli sieje trochę oczyści z literackich upiększeń: Giuseppe był przekonany, że może im tylko wyrządzić coś złego. Powierzył córki rodzicom, mówiąc po prostu: „Nauczcie je śmiać się, nauczcie je szczęścia. Ja już nie potrafię tego zrobić”.

Nie czekał, aż powróci radość. Nigdy w ciągu tych sześciu miesięcy nie dał ani słowem znać, że wierzy w jakieś „potem”. Jego dusza zgasła, był o tym przekonany. Ostatni żar nieodwracalnie wypalił się.

Jak wytrwał podczas tej próby? Nie mam pojęcia.

Dwaj robotnicy z Surinamu, z którymi się widziałem i którzy wyznają wiarę chrześcijańską, dopiero gdy przybył Morro, dowiedzieli się, że wyznawał ją również *ingeniere*. Ci, którzy weszli do

jego domu z okazji wypadku przy pracy, nie zobaczyli tam krzyża czy ikony... Nic nie wskazywało, że jest człowiekiem wierzącym.

Było jednak parę śladów świadczących o tym, że wdowiec nie odwrócił się od Boga. Paul Assoumou wiele razy dostawał SMS-y, których pochodzenia początkowo nie znał.

Nie zachował ich, ale dwa zapamiętał. Pierwszy, który otrzymał, brzmiał: „Bóg jest miłością, a miłość jest bezsilna”. Dwa miesiące później, gdy Assoumou zaczynał się już domyślać, kim jest tajemniczy nadawca, zastanowiło go przesłane zdanie wyjęte z Ewangelii według św. Jana: „Każdą latorośl, która przynosi owoc, oczyszcza”.

Według tego, co ustaliłem, Giuseppe wysłał ten SMS w piątek, 7 września 2012 roku; w dniu, gdy się nie zgodził, aby matka przyjechała go odwiedzić. „Tym razem byłem pewny, że to Jakub — powiedział Paul. — Zatelefonowałem wtedy do jedynego człowieka, który mógł namierzyć Jakuba, gdziekolwiek był, do kardynała Morra”.

Jednego i tego samego dnia dwie osoby błagały go, by pojechał po swego przyjaciela...

„Nie, tego nie możesz”

W niedzielę, o świcie 9 września 2012 roku w porcie Harlingen było nieprawdopodobnie pięknie. Promienie słoneczne końca lata padały na brudną pianę w bruzdzie wodnej utworzonej przez mały trałowiec. Morze było spokojne.

Na dziobie trałowca stał Morro i patrzył na zbliżającą się wyspę umarłych, szarą, płaską ziemię, która z trudem oddzielała się od bardzo jasnego nieba. Z białą grzywą i wielkim krzyżem kardynał wyglądał jak posąg, wprawiając w zdumienie dwóch czy trzech Surinamczyków, którzy podbiegli, by uniemożliwić przycumowanie do brzegu zbliżającemu się intruzowi, gdyż istniał zakaz lądowania na wyspie dla wszystkich z wyjątkiem statków w niebezpieczeństwie.

— W każdym razie my byliśmy w niebezpieczeństwie — powiedział Morro z uśmiechem.

Kardynał wyskoczył z trałowca, trzymając w ręku torbę i w swoim marnym angielskim rzucił kapitanowi:

— Jutro o świcie wsiądę na prom; w przeciwnym razie zatelefonuję... — Potem odwrócił się do robotników: — Przyjechałem zobaczyć się z inżynierem Lombardim.

Giuseppe wyszedł ze swego schronu w chwili, gdy przyjaciel przybył do wioski, brnąc w słonym, nigdy niewysychającym błocie. I zanim Lombardi miał czas zastanowić się, jak zareagować, don Enrico chwycił go za ramię i objął bez słowa. Trwali tak w uścisku parę sekund, potem Enrico zdecydowaną ręką wciągnął go do środka.

— Muszę z tobą porozmawiać, braciszku. A mam mało czasu.

Spodziewałem się, że Enrico Morro zasłoni się w sprawie tego dnia tajemnicą sumienia. Jednakże zdał mi szczegółową prostą relację:

— Mówię ci to, bo jestem jak kobiety w poranek wielkanocy. Czy trzeba trzymać język za zębami, kiedy wchodzimy do ogrodu i widzimy, że grób jest pusty?

„Wszedłem za nim, jednym spojrzeniem ogarnąłem jego włości; składały się z pokoju służącego za sypialnię, gabinet, jadalnię i kuchni. Obok łóżka rzucony worek marynarski, parę sztuk ubrania ułożonych na drewnianych półkach... Na ścianie ani krucyfiks, ani zdjęcie, nic poza paroma książkami i Biblią leżącymi na biurku.

Przysunąłem krzesło i kolejno brałem do ręki książki — dwa Steinbecki, którego tak lubiła Chiara; oczywiście Dante; parę podręczników technicznych o energiach odnawialnych... i gruba Biblia z adnotacjami, którą miał od zawsze, poza tym jego notatniki w skórzanych okładkach...

Giuseppe wyszedł z kuchni z dwiema parującymi filiżankami kawy. Od mego przybycia nie odezwał się słowem. Postawił filiżankę i usiadł po turecku na łóżku.

— Czy przysyła cię Monica, czy Paul? — spytał. Uśmiechnąłem się, mówiąc:

— Obydwoje, braciszku. A także moja własna troska... Pokiwał głową:

— OK. Słucham — i dodał z bladym uśmiechem: — Widzę, że nie mam wyboru...

Wyciągnąłem ze swej torby papiery, położyłem je na stole. Uprowadziłem go, że mam przed sobą tylko jeden dzień i jedną noc i że nazajutrz wsiadam na prom.

— *Blitzkrieg*, he? — powiedział.

Teraz ja się uśmiechnąłem...

— Nie chcę się z tobą bawić w żadną taktykę, Giuseppe. Przywiozłem potrzebne papiery, żebyś mógł wrócić do stanu świeckiego. Abyś mógł rozpocząć nowe życie, kiedy sobie tego zażyczysz. Możesz mi odpowiedzieć, że je podpisujesz, ponieważ chcesz znaleźć kobietę, która zgodzi się zająć tobą i twoimi córkami. Możesz mi też powiedzieć, że je podpisujesz, ponieważ bez Chiary, z którą podjąłeś to zobowiązanie, nie chcesz już służyć Kościołowi.

Milczał, a ja mówiłem dalej:

— Możesz mi też powiedzieć, że ich nie podpiszesz. Ponieważ Bóg zupełnie się już nie liczy w twoim życiu i masz w nosie, czy będziesz w porządku, czy nie. — Patrzył na mnie twardo. Zainte resowałem go... — Albo nie podpiszesz, ponieważ wrócisz do Bolonii, powrócisz do życia, weźmiesz do siebie córki... A kiedy będziesz gotowy, sam podejmiesz wątek tego, co rozpoczęliście razem.

Giuseppe nadal milczał. Wydawał się ważyć odpowiedź.

— Mogę również nic ci nie odpowiedzieć, Enrico... — oznajmił spokojnie.

Potrząsnąłem głową, zareagowałem brutalnie, niemal gwałtownie:

— Nie, tego zrobić nie możesz... Ponieważ nie będę ciągle mówić tego samego Chiarze za każdym razem, kiedy udaję się na jej grób i przekazuję wiadomości o tobie.

Jego oczy nagle rozbłysły, wargi zadrżały. Nigdy nie widziałem, by płakał; nigdy nie słyszałem łkania w jego głosie, ani podczas choroby, ani podczas pogrzebu.

Tymczasem teraz siedział na łóżku i płakał. Powoli. Przez pół godziny patrzył na mnie bez słowa, a po jego policzkach płynęły łzy”.

Ostatnie strofy

Potem zaczęli rozmawiać. Aż do wieczora. Razem przygotowali południowy posiłek, zjedli jakieś proste potrawy. Giuseppe postawił na drewnianym stole trzy kieliszki, nalał do nich białego słodkiego

wina, które Morro wyjął z torby. Każdy pił w ciszy, myśląc o nieobecnej, patrząc na kieliszek, w którym wydawało się drżeć wino.

Wyszli i Giuseppe zaprowadził Morra w stronę dzikiej części wyspy. Pokazał mu pełne morze okryte mgłą, niewyraźne, brudne, które wiedzie żeglarzy do lodowych królestw, gdzie znikło wszelkie życie. Mówili powoli, ważąc słowa.

Wrócili wieczorem, usiedli jak poprzednio, jeden na łóżku, drugi na krześle. Don Enrico otworzył grubą, zniszczoną Biblię z komentarzami, Giuseppe wyciągnął z kieszeni skórzany notes, gdzie zbierał teksty, dzięki którym jeszcze oddychał, które przytrzymywały go jedną nicią nad przepaścią.

Otworzyli swoje strony na tych samych wierszach. Podjęli rozmowę tam, gdzie ją przerwali przed sześcioma miesiącami... Zaczął kardynał: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił? Daleko od mego Wybawcy słowa mego jęku...”. Lombardi odpowiadał śpiewając: „Boże mój, wołam poprzez dzień, a nie odpowiadasz,/wołam, i nocą, a nie zaznaję pokoju...”.

W chwili, gdy doszli do ostatnich strof, zamilkł na długie sekundy, może minuty. Potem Morro usłyszał jego głos, napięty jak łuk, drżący i brutalny, który podjął recytację: „Będę głosił imię Twoje swym braciom, i chwalić Cię będę pośród zgromadzenia: Chwalcie Pana wy, co się go boicie...”.

Nad Fryzją, nad domem inżyniera zapadła noc. Czytali słowa prawie w całkowitym mroku, słowa, których właściwie nie musieli widzieć, tak dobrze obaj je znali: „[...] opowiem przyszłemu potomstwu chwałę Pana i jego potęgę, i cuda, których dokonał”. [Księga Psalmów 22,2; 23,3; 22,23; 78,4.]

„Zaniknął swój skórzany notes z suchym trzaskiem. Powiedziałem sobie, że zamyka także pół roku swego życia. Wstał, zapalił lampę. Podeszedł do stołu, wyciągnął rękę po trzeci kieliszek... pił go powoli. Zobaczyłem, że płacze.

Powiedział:

— Nie mogę wrócić do Bolonii przed końcem miesiąca. Najpóźniej przyjadę dziewiątego października. — Potem jego oczy poweselały. Jeden tylko cień już ich nigdy nie opuścił. — A jak postępują sprawy z twoim papieżem i twoimi kardynałami, monsignore? Nie jestem już *au courant* niczego...

Czekałem na to zdanie od wielu miesięcy. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo mi brak Chiary i Giuseppe. I muszę wyznać, że ja z kolei zapłakałem”.

Ci, którzy zeszli

Dwa tygodnie później Giuseppe opuścił polder; dzięki niewykorzystanym wolnym dniom mógł przyspieszyć zakończenie podjętych zobowiązań.

Pojechał do rodziców, którzy czekali na niego na wybrzeżu Adriatyku — tam gdzie jako dziecko spędził tyle szczęśliwych wakacji; tam dokąd zawiózł Chiareę na ich pierwsze wycieczki zakochanych, w których towarzyszyły im jego siostry, jadąc razem z nimi na tylnym siedzeniu ojcowskiego samochodu.

Monica patrzyła z czułością na syna, który znów delektował się słońcem, posiłkami na świeżym powietrzu, morzem i piaskiem.

Mówił niewiele. Czasem jego spojrzenie gasło na kilka chwil, przerywał ledwo zaczęte gesty czułości. Jakby się bał, że za każdą chwilę spokoju, każdą radość dzieloną z Clara i Cecilia może drogo zapłacić. „Widziałam, jak powoli, ostrożnie zaczyna znów czuć grunt pod nogami; jakby szedł doliną mroku i śmierci, i jakby powrócił. W jego spojrzeniu była powaga, jaką mają tylko ludzie, którzy poszli na samo dno i którzy wynurzają się na powierzchnię”. Pewnego dnia posadził swoje córki każdą na innym kolanie. Monica usłyszała takie oto proste słowa: „Myślałem, że umrę, kiedy wasza mama odeszła. Nie chciałem, byście znowu cierpiały. Dlatego wyjechałem. Teraz nauczymy się być szczęśliwi razem, ponieważ kochamy mamę i ona zawsze będzie nas kochać”.

W połowie października dzięki specjalnej dyspensie kardynała arcybiskupa wstąpił do bolońskiego seminarium. Musiał jeszcze ukończyć dwuletni cykl studiów, żeby zostać księdzem...

Rekonwalescencja

Przezroczystość

Życie, jakie prowadził w następnych miesiącach, było w jakimś dziwnym zawieszeniu.

Giuseppe Lombardi koncentrował się na „tym, co należy zrobić”, zapuszczał korzenie — stopień po stopniu, naginając się do tego uregulowanego i pracowitego życia, jakie sobie narzucił; starał się przyswajać nauki w seminarium i stosować się do wskazówek swego opiekuna z rzymskiej Gregorianki poza nauką wolny czas poświęcał córkom. [Kardynał Morro wziął pod uwagę szczególną drogę swego podopiecznego: klasyczne wykształcenie duszpasterskie i duchowe w seminarium oraz uniwersyteckie i intelektualne pod kierunkiem wspa- niałego teologa Philipa Wunscha.]

W seminarium nikt go nie zauważał; był „przezroczysty”, powiedział mi jeden z profesorów. Giuseppe jeszcze nie wrócił, to tylko jego cień wolno przyoblekał się w ciało i codziennie na nowo uczył się żyć.

Clara i Cecilia nadal mieszkały u jego rodziców. Za zgodą swego biskupa wieczory spędzał z córkami, a noce w kawalerce, gdzie niegdyś mieszkała Chiara; nie nocował w seminarium, ponieważ miał obowiązki rodzinne, a także dlatego, że wyrósł już z wieku owych wspólnot, gdzie każdy musi znosić każdego — *a fortiori*, kiedy chodzi o wspólnotę czysto męską...

Morro poprzestał na otwarciu mu drzwi do świata żywych, uproszczeniu spraw związanych z tym powrotem — pozałatwiał

wpisy, wyjaśnił jego sytuację. [Z żonatego diakona, wyświęconego dla celów duszpasterskich, Giuseppe stał się (z uwagi na wdowieństwo) kandydatem do stanu księzowskiego — jego ordynacja nie była już związana z pięcioletnim terminem, który musi oddzielać namaszczenie na diakona, ani minimalnym wiekiem trzydziestu pięciu lat, według reguł kapłaństwa żonatych mężczyzn.] Ale kardynał nie wtrącał się do jego studiów, o niczym nie wypowiadał swej opinii. „Nie chciałem, aby tylko na mnie polegał. Wiem, jak miło jest powierzyć swoją duszę, jak wzruszająco jest otrzymać takie zaufanie i jakie niebezpieczeństwo alienacji i manipulacji czyha na każdego. Ale niecierpliwie czekałem na powrót do naszych rozmów, ponieważ korytarze Kurii były ruchome niczym piaski”.

Niepowodzenia

Po latach pluralizmu i nadziei przypuszczono na pontyfikat Jana XXIV ataki ze wszystkich stron. [Zawartej w tym, co w swej pierwszej homilii papież nazwał „otwarcie się na Ducha”.]

Chrześcijańska Europa była w agonii, cała Afryka, ze swymi chrześcijanami włącznie, była w agonii; Azja nie rozkwitała tak, jak oczekiwano; jedynie Ameryka Łacińska opierała się, a nawet zdobywała wiernych tam, gdzie mnożyły się sekty ewangeliczne.

Na Starym Kontynencie usiłowano różnymi sposobami przyciągnąć wiernych. Gromadzono ludzi na stadionach, w amfiteatrach. Naciągano statystyki chrztów i ślubów, starano się wynaleźć jakąś „obecność kulturową”. Ale nic nie pomagało: lud odchodził. Kościoły pustoszały. A księża umierali.

W procedurę wyświęcania żonatych mężczyzn na księży zaangażowało się niecałe dwa tysiące ochotników. A i to owe dwa tysiące zwerbowało w ciągu pierwszych osiemnastu miesięcy. Ponieważ europejscy reformatorzy uczynili z liczby przyszłych księży kryterium i jądro odnowy, ich niedostatek staje się symbolem porażki.

Murzyńskie wspólnoty

W Afryce klęska była mniej widoczna, przynajmniej Kościół afrykański dawał oznaki żywotności.

Na synodzie w Jamusukro we wrześniu 2011 roku zostali wyświęceni przez Camerona dwaj biskupi, [Przeciwnicy synodu twierdzili, że właśnie po to ich wyświęcił — żeby wykonywali zlecone zadanie; oraz że obrońcy subsydiarności i „różnic w kolegalności” mieli łatwe zadanie, zachwalając otwartość, by następnie tym bardziej manipulować każdym synodem.] którzy rozpoczęli prace misyjne na swoich ziemiach. Pracom przewodziły dwie osobistości, Kameruńczyk Paul Assoumou i Nigeryjczyk Augustine Gowon. Jako najbardziej wykształceni eklezjolodzy i specjaliści od patrystyki, dawali wskazówki apostołom wśród struktur murzyńskich. [Europejczycy potrafili zrobić z demokracji, z ustanowienia praw człowieka, ze stanu prawa czy nawet z własności prywatnej kanały, którymi Duch Święty przeszedł, by zapewnić ciągłość Kościoła i aby mogło się wyrazić miłosierdzie. Co trzeba dostrzec wśród struktur murzyńskich, by ofiarować to światu? Jakiego skarbu potrzebuje katolicka uniwersalność, której szkatułką byłaby Afryka, a której sekret miałyby tradycyjne wspólnoty?]

Ich propozycje były proste: należy wyrazić zgodę na wyświęcanie żonatych mężczyzn, ale z zastrzeżeniem, że mogą pracować tylko w swych wspólnotach. Niech w każdej parafii rady starszych wysuną kandydatury kilku prawych mężczyzn, wyślą ich na kształcenie do siedziby diecezji, skąd potem wrócą do swych wspólnot i będą im służyć.

Siedzący naprzeciwko Paula Assoumou i Augustine'a Gowona brazylijski biskup Nelson Falcao, przewodniczący konferencji episkopatu Angoli, bronił pozycji „integrystycznych”: wszędzie, w każdym okresie i po wsze czasy ta sama doktryna, ta sama liturgia, ta sama dyscyplina: „Jezus Chrystus jest fundamentem uniwersalności; w nim mamy tylko jedną kulturę — Chrystusa; jedną ojczyznę — Niebo; jedną matkę — Kościół. Będziemy mówić tym samym językiem, którego dar zesłał nam w Zielone Świątki Duch Święty i którego Matka Boska naucza swych synów”.

Assoumou grzmiał: „Jeśli chcemy przekreślić różnice kulturowe, to znaczy, że chcemy zaprzeczyć Wcieleniu Syna Bożego. Kiedy Bóg przybrał ciało człowieka, mówił po aramejsku, przestrzegał szabatu

i czcił Paschę, był synem Izraela. A czy my bylibyśmy ważniejsi od niego, by prowadzić dialog bezpośrednio z Bogiem bez pomocy naszych opowieści?”

Ale ten argument nie byłby wystarczający – gdyby akurat nie ujawniono, że kasy diecezji Nelsona Falcao obficie skorzystały na praniu brudnych pieniędzy pochodzących z przemytu diamentów. Bohater afrykańskich „integrystów” zostaje strącony z piedestału podczas trwania synodu; dwaj młodzi biskupi mieli oczyszczone przedpole...

Po drugiej wizycie w Kamerunie Morro powiedział o swoim przyjacielu Paulu: „Ten człowiek to kolos. Sam jeden może wzbudzić entuzjazm ludów i przywrócić nadzieję milionom ludzi; w ponad tysiącu wsi jego wierni zrobili z niego starca, podczas gdy nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki. Boję się rumoru, jaki zrobi jego ciało, padając, kiedy go zamordują”.

Parę tygodni później don Enrico jedzie do Ottawy. Na początku roku 2013 zbierają się tam na synodzie biskupi z Kanady, Stanów Zjednoczonych, Meksyku. Zapowiadała się jeszcze subtelniejsza rozgrywka: nie chodziło już o przepchnięcie reform, ale o powstrzymanie kontrreformacji.

Zanim Morro wsiadł do samolotu do Quebecu, szepnął do Giuseppe: „Jan XXIV jest chory, Giuseppe. Atak serca może w każdej chwili go zabić. Pracujemy nad przygotowaniem sukcesji po nim, ale nasi wrogowie pracują nad tym także”.

Przykładni pasterze

Pod wpływem monsignora Salomona Jefferies-Browna [Arcybiskup i kardynał Chicago jest pierwszym Afroamerykaninem, który przewodniczył konferencji episkopatu Stanów Zjednoczonych.] biskupi z Kanady i ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych zgodzili się zatwierdzić wyświęcanie żonatych mężczyzn. Dla wielu „reformistów” pilna była jednak inna sprawa: Kościoły na kontynencie amerykańskim nieustannie się bogaciły. Wyświęcali anglosaskich księży menedżerów, których pensja była wyższa od średniego dochodu ich

wiernych, zwłaszcza hiszpańskojęzycznych... „Czy można służyć Bogu i mamonie?”, pytał młody prałat z Quebecu, monsignore Albert Longdesbois. „Czy możemy twierdzić, że jesteśmy pasterzami, kiedy sami śpimy w wielkich domach, których potrzebują nasi wierni dla swych bliskich?”.

Biskupi z diecezji latynoskich przyszli z pomocą krucjacie ubogich, chociaż spodziewano się, że będą nieufni wobec tego społecznego apelu. [Zwalczają oni „marksizm” jezuickiej Ameryki Środkowej oraz jego mocne akcenty „sprawiedliwości społecznej”, widoczne również w łonie kleru.] Owi dostojnicy kościelni z San Francisco, Los Angeles, Miami i hierarchowie pochodzenia kubańskiego lub meksykańskiego reprezentowali większość amerykańskich katolików. Tworzyli „koalicję integrystyczną”, która zatwierdziła pierwsze decyzje i zauważyła mimochodem, że uświęcenie i przykładność duszpasterzy jest warunkiem uświęcenia ich wiernych. Jednak później biskupi hiszpańskojęzyczni blokowali każde głosowanie. Wychodząc z głosowań, nie pozwalali uzyskać kworum.

Duszą i inicjatorem tej strategii obstrukcji był nowy kardynał z Meksyku. Monsignore Juan Maria Villaverde y Baron przyjechał — jak mówi — „bronić idei, że młodzież i energia są na Południu. Powinniście słuchać wezwania tych Kościołów... Stare, uśpione katedry z Północy odnajdą tam początkowy rozmach Dziejów Apostolskich”.

Po pierwszych starciach Villaverde ujawniał swą strategię i wystąpił jako rzecznik południowoamerykańskich katolików. Zwrócił się w ostrych słowach do swych „braci z Północy”: „Zbierając się kilka miesięcy wcześniej, zanim uczyni to Południe, jakiej nauki chcieliście udzielić, jakiego zarzutu chcieliście uniknąć? Posłuchajcie ożywczego powiewu unoszącego się z naszych przepelnionych kościołów, naszych sanktuariów, posłuchajcie modlitwy tłumów kłęczących przed Madonną z Guadalupe.

A ponieważ chcecie powrócić do ewangelicznego ubóstwa, popatrzcie na nas, ubogich sług Chrystusa: nie mamy ani waszych wieżowców, ani waszych limuzyn, ale praktykujemy przykładne ubóstwo i dobrowolne wyrzeczenie się bogactw. My, którzy wybraliśmy czystość w świecie użycia, ubóstwo w chciwym świecie”. [Nazajutrz wiele tytułów prasowych podchwytuje ten zręczny chwyt, publikując zdjęcie „limuzyny monsignora Villaverde”, starego, beżowego, poobijanego i marnie polakierowanego mercedesa, który kontrastuje z wielkimi, pokrytymi metalicznym lakierem, klimatyzowanymi, wyposażonymi w automatyczny układ kierowniczy samochodami jego „braci”.]

Templariusze

Villaverde, podobnie jak Nelson Falcao, był członkiem pewnej konfraterni, znanej jako Templum Christi, której status zaledwie trzydzieści lat temu został uznany przez Kościół katolicki. Organizacja ta, która powstała w Meksyku, rozszerzyła się na wszystkie kontynenty i święciła triumfy pod koniec pontyfikatu papieża Polaka, a po dojściu do władzy Jana XXIV straciła na znaczeniu. Templariusze wiedzieli, że ich przetrwanie w następnych latach zależy od przyszłego papieża. [Wybuchwały różne skandale związane z pedofilią i korupcją. Rzym wszczynał dochodzenia, które nigdy nic nie dały. Templariusze podnieśli krzyk, że to potwarz. Pojazd jednego z papieskich śledczych wypadł za balustradę na zakręcie górskiej drogi w Meksyku, a miejscowe władze orzekły, że był to nieszczęśliwy wypadek.]

Jednak większość analityków uważała, że ze strony meksykańskiego kardynała nie była to próba lobbingu. Chodziło mu nie tyle o zwycięstwo templariuszy, co o zwycięstwo Świętego Kościoła. Kardynał mocno wierzył, że najlepszym sposobem doprowadzenia do triumfu Ewangelii jest wzbudzenie zapалу pasterzy, ludzi dążących do doskonałości, prawdziwych żołnierzy Chrystusa, całym sercem podległym nieugiętej dyscyplinie. Za świętym Pawłem przypominał, że „wiera jest walką”. Owa falanga nieposzlakowanych pasterzy poprowadzi stado i je uświęci.

15 marca świat dowiedział się, że północnoamerykański synod odrzucił te wnioski i zanim „zajmie stanowisko”, postanowił zaczekać na nowe „orientacje braci biskupów z południa kontynentu”.

Równowaga sił została zachwiana.

Morro, obserwator bez uprawnień (ale nie bez wpływu), wrócił z Ottawy trzy dni przed przyjęciem owych wniosków. Usiłował dodać śmiałości tym, którzy chcieliby „reformy amerykańskiej”, ale przekonał się, że był to trud daremny.

Niebawem zaprosił Giuseppe na kolację; właśnie wtedy przyszła wiadomość o odroczeniu decyzji północnoamerykańskiego synodu, po której zarysowały się w prasie europejskiej dwa stanowiska. Morro ocenił konsekwencje meksykańskiego puczu: Villaverdego, biskupa templariusza z Meksyku, który umocnił swą pozycję po odniesieniu znacznego sukcesu politycznego, nie będzie można pominąć podczas przyszłego konklawe; udało mu się zjednoczyć oba kontynenty amerykańskie i jeśli uda mu się jeszcze sprawić, by przemówiły jednym głosem, będzie miał za sobą tłumy oraz finanse, a więc siłę uderzeniową bez porównania większą aniżeli Święte Kolegium...

— A Kościół szuka mocnych ludzi, Giuseppe... Wyznanie słabości, na które zgodziliśmy się, przyspieszyło krwotok. Niektórzy tylko czekają na pojawienie się jakiegoś męża opatrznociowego...

— Czy mógłby nim być Villaverde?

— Villaverde może stać się człowiekiem, który dzięki swej prawości i charyzmie sprowadzi Kościół na właściwą drogę.

— Czy jest uczciwy?

— Jest szczerzy... Naprawdę wierzy, że zbawienie zależy od świętości i doskonałości pasterzy. Jeśli pasterze są doskonali, powiodą stado tam, gdzie powinno się paść.

— To uproszczenie.

— To infantylizm. Ale w czasach, jakie przeżywamy, Kościół niewątpliwie odda się w ręce ojcu autorytarnemu, jeśli tylko będzie opiekuńczy... Villaverde ma wygląd herosa.

— Powiedziałeś, że jest templariuszem... Nie jest intelektualistą, więc...

— Ale to świetny mówca. A ponieważ myśli jak wieśniak, jego mowa odznacza się pseudoewangeliczną prostotą.

Morro wyjął z torby rulon papieru.

— Chrześcijanie mają dość zawłości i niuansów. Potrzebują drogi prostej, bez zakrętów, a o Villaverdem można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest skomplikowany. Popatrz...

Morro rozwinął plakat. Na glansowanym papierze biegnąca pośrodku biała linia oddzielała dwa obrazki. Po lewej stronie jakiś źle ogolony i rozchełstany mężczyzna, może *indio*, stał obok tłustej kobiety trzymającej na biodrze brudnego bachora, a na ziemi pojawił się starszy, zasmarkany chłopiec; po prawej stronie uśmiechał

się młody, krótko ostrzyżony mężczyzna w biało-złotym nienaganym ornacie.

Giuseppe prosił Morra, by przetłumaczył widniejące na plakacie hasło. Don Enrico zwrócił uwagę „swemu” seminarzyście, że hiszpański jest językiem, który ma w Kościele przyszłość i że powinien zacząć się go uczyć. Potem przetłumaczył.

— Pytanie brzmi: „Którego z tych dwóch ludzi chcecie mieć za pasterza?”; a hasło: „W Kościele katolickim od wieków ludzie oddają za was życie”. Za dwa tygodnie plakat ten zawiśnie na murach wszystkich dużych miast w Ameryce Łacińskiej.

— Rozumiem... Kto płaci?

— Templum Christi, świecka organizacja templariuszy. Należą do niej przemysłowcy, patroni, politycy, czasem wyżsi wojskowi. Południowoamerykańska śmietanka; śmietanka raczej paternalistyczna i autorytarna, ale nieprawdopodobnie bogata...

— I twoim zdaniem uda się?

— Wielu ludzi szuka Boga, który by ich pocieszał — wyjaśnił Morro i dodał z goryczą: — Jeśli do tego dać im jeszcze religię, bogactwo, przepych, kadzidło, tajemnice, magiczne gesty i słowa... Więcej, jeśli dać im dobro i zło, dobrych i złych, znajdą Boga, z którym można mieć uregulowane rachunki. W ostatecznym rachunku religia służy im do chronienia się przed Bogiem.

Czas gróźb

Lato 2013 roku... Pierwsze prawdziwe wakacje dla Giuseppe, który spędził je ze swymi córkami. Poprzednie lato tkwił we fryzj-skim błocie.

Zarezerwował na trzy tygodnie willę, którą jego rodzice wynajmowali między Rimini i San Marino. Clara, która wtedy nie miała jeszcze sześciu lat, wspominała: „Tata parę razy zabierał nas na przejażdżkę statkiem... a wieczorem często robiliśmy sobie piknik na plaży, kiedy już opustoszała. Na położonej na kolanach ściereczce robił kanapki, opowiadając różne historyjki o marynarzach...”.

Rekonwalescencja była na dobrej drodze.

W ostatnich dniach lipca Giuseppe zobaczył nadjeżdżającego nieśmiertelnego fiata swego ojca — przeszło tydzień przed umó-wioną datą.

Za kierownicą siedział Pietro, był sam.

Nadbiegały do niego Cecilia i Clara, ale Pietro wysłał dziewczynki, żeby się pobawiły w ogrodzie. Wyjaśnił synowi sytuację... Najpóźniej za dwa miesiące Światowa Organizacja Zdrowia zarządzi alarm sanitarny, organizacja musi zrobić ostatnie weryfikacje danych. Ale wszyscy specjaliści są już pewni: na Zachodzie i w Afryce wybuchła epidemia o ogromnym zasięgu.

— Świetnie znasz opisane objawy, Giu. Porównałem parę próbek krwi z materiałem, który pobrałem od Chiary po ataku i w chwili jej śmierci... Moim zdaniem, nie ulega wątpliwości, że była jedną z pierwszych ofiar choroby, z którą będziemy musieli walczyć. Będzie wiele tysięcy ofiar, Giuseppe. Praktycznie co druga z nich umrze. I na razie nie mam pojęcia, w jaki sposób choroba jest przekazywana...

— Chcesz powiedzieć, że możemy...

— Tak, jedno z was trojga, a nawet wszyscy troje... Nie wiem, jak się przekazuje tę chorobę, nie wiem nawet, czego powinienem szukać, gdybym musiał was przebadać... Ale to, co zaatakowało Chiare, zabije dziesiątki tysięcy ludzi. To zakażenie, niezależnie, w jakiej formie do niego dochodzi... A wy jesteście potencjalnie zakażeni.

Zakażenie

Uderzenie

Owa wiosna 2013 roku to okres szerzenia się choroby...

Giuseppe Lombardi zdawał sobie sprawę, że historia jego życia i historia jego stulecia były tragicznie powiązane; śmierć Chiary, jego osobiste cierpienie, należały już do Historii. Przypomniawszy sobie przysięgę, jaką złożyli z Chiara: „Nigdy nie pozostać obojętnym”. Ale na razie musiał ukończyć studia, na nowo zorganizować dom. Tymczasem sprawy wokół niego nabierały przyspieszenia.

Rozprzestrzenianie się tego, co nie nazwano jeszcze SZWN, oraz zwycięstwo ludzi, których nie nazywa się jeszcze „Meksykanami”, biegły dziwnie równoległym torem. W obliczu choroby i obskurantyzmu padają linie obrony, powstaje chaos.

Decydujące uderzenie Villaverdego nastąpiło na początku września 2013 roku. Na zaproszenie głównego programu meksykańskiej telewizji prywatnej kardynał odpowiadał na pytania ustalone wcześniej z redakcją. [Własność rodziny Rozario, należącej do głównych animatorów i sponsorów Templum Christi]

Ale nagle pod koniec rozmowy hierarcha powiedział:

— No cóż, widzę, że ani Europa, ani Afryka nie potrafią znaleźć dostatecznej liczby żonatych mężczyzn, by zapełnić seminaria. Oświadczam też, że w Kościele brak powołań, bo nie śmie on o nie apelować...

Potem poważnym głosem rzucił następujący apel:

— Jezus powiedział: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladowuje”. Bracia, ja, Juan Villaverde y Baron, kardynał arcybiskup Meksyku, występuję z tym apelem w imię Jezusa. Począwszy od czwartku, po celebrowanej przeze mnie Świętej Eucharystii, będę się modlił w mojej katedrze przed wystawionym Przenajświętszym Sakramentem. Będę się modlił bez przerwy do soboty 14 września, święta Podwyższenia Krzyża. Będę się modlił z wiernymi płci obojga, którzy zechcą się do mnie przyłączyć, o to, by Pan przysłał robotników do swych żniw. I obiecuję wam, że tych, którym Duch każe wstać i dołączyć do nas, by służyć Kościołowi, będzie ponad tysiąc. Tak, młodzi ludzie z całego kontynentu, wzywam was w imię Chrystusa. Czekam na was w niedzielę 6 października tutaj, w mojej katedrze. Razem oddamy się w ręce Panny Marii, matki wszelkiej łaski, w święto Najświętszej Marii Panny Różańcowej, które będziemy wspólnie obchodzić nazajutrz, 7 października.

Poprzedniego dnia w największym pośpiechu przewieziono Jana XXIV do kliniki Gemelli.

W Kurii zapanowała panika... Morro komentował przez telefon:

— Tym razem zdradził nas, Giuseppe. Nie widzę nikogo, kto mu przeszkodzi w realizacji jego planów, to koniec synodu.

— A inni biskupi?

— Poza tymi, którzy należą do jego zwolenników, i tymi, którzy wiedzą, że już wkrótce będą musieli złożyć mu hołd, nie zostało ich wielu...

— To kto mu przeszkodzi?

— Jezuici... Wczoraj wieczorem biskupi Buenos Aires i Managui oraz rektorzy jezuickich uniwersytetów wydali wspólny komunikat, by przedstawić swoje stanowisko w tej sprawie.

— Czy to wystarczy?

— Oczywiście, że nie.

Wystąpienie Villaverdego transmitowały wszystkie telewizje na kontynencie. Czy sprawa została mediatycznie przygotowana? Już pierwszego wieczoru został utworzony rachunek, którego numer nadawano na okrągło na pasku u dołu ekranu wraz z napisem

wzywającym do wpłat na rzecz przyszłych powołanych; niektóre telewizje prywatne umieszczały numer rachunku u góry swych obrazów kontrolnych.

Na protesty jezuitów sekretariat kardynała Villaverdego odpowiedział bez mrugnienia okiem, że wszyscy biskupi z kontynentu będą mogli sami zaapelować do kandydatów pochodzących z ich diecezji. W publicznym komunikacie dodał także: „Jezuici są sługami papieża, niech więc go spytają, czy potępią ten apel do Ducha Świętego”.

Watykan cały czas milczał. Kuria nie chciała zaryzykować pomylki, stawiając na jeden lub drugi obóz, bo przecież Rzym będzie tego, kto zwycięży w tej batalii...

Środki wyjątkowe

Kardynał templariusz klęczy niczym w ekstazie u stóp ołtarza w swej katedrze. Dwa razy na dzień wstaje z kolan, trzeba mu pomóc w poruszaniu się, jego członki sztywnieją bowiem od trwania w tej pozycji. Na dziesięć minut znika z pola widzenia kamer. Potem wraca na stanowisko...

Gdy w sobotnie południe, w święto Podwyższenia Krzyża, Villaverde wstał, by odprawić mszę, wiedział, że jego „zamach stanu” udał się nadspodziewanie dobrze — w utworzonym w tym celu punkcie zgłosiło się pięć tysięcy trzystu osiemnastu młodych mężczyzn. [Po paru tygodniach w Meksyku zgłosiło się 5462 młodych mężczyzn, by „oddać się pod opiekę Maryi”, jak zaproponował kardynał...] Katedra była pełna aż po krużganki, tłum wylewał się daleko na esplanade. Tylko w jednej sprawie monsignore Villaverde nie dotrzymał słowa: 6 października uroczystość wezwania ochotników nie odbyła się w katedrze, która okazała się zbyt ciasna. Trzeba ją było zorganizować na monumentalnym stadionie Azteków, miejscu Igrzysk Olimpijskich w 1968 roku i rozgrywek o Puchar Świata w piłce nożnej w 1986 roku.

Nazajutrz, 7 października, w Campo Santo w Nowym Meksyku Madonna ukazała się czterem mężczyznom, którzy chcieli nielegalnie przedostać się do Stanów Zjednoczonych.

Nie dotykając stopami ziemi, stała kilka centymetrów nad małą *cantina*, gdzie mieli się spotkać z człowiekiem, który obiecał przeprowadzić ich przez granicę. Madonna zwróciła się do nich po hiszpańsku i w narzeczcu *quechua*.

Tak jak zapowiedział synowi Pietro, 10 października 2013 roku WHO ogłosiła komunikat wprowadzający na całej kuli ziemskiej stan pogotowia – od czternastu miesięcy w wielu miejscach na świecie stwierdzono występowanie tajemniczej choroby atakującej głównie kobiety i małe dzieci. Ofiary miały gorączki krwotoczne, silne biegunki i zapalenie opon mózgowych w ponad połowie przypadków kończące się śmiercią.

Większość chorych nie miała ze sobą kontaktu, a ogniska choroby były rozsiane w Europie Zachodniej, wokół basenu Morza Śródziemnego, w Kanadzie, na Florydzie i w Zatoce Meksykańskiej.

Różnorodność objawów i rozrzut chorych tłumaczyły, dlaczego alarm sanitarny nastąpił z takim opóźnieniem. Światowa Organizacja Zdrowia zażądała wprowadzenia nadzoru sanitarnego i środków wyjątkowych: liczbę podejrzanych zgonów w roku ubiegłym szacowano na cztery tysiące.

15 października biskup Buenos Aires, jezuita, monsignore Ziegler, oznajmił, że „łączność duchowa między narodowymi Kościołami amerykańskimi została poważnie naruszona w wyniku inicjatyw naszego brata, arcybiskupa Meksyku. W tych okolicznościach wydaje nam się celowe, by synod kontynentalny na porządku dziennym swoich prac umieścił powrót do kolegalności i łączności duchowej...”. [Był przewidziany na listopad, ale jego datę wiele razy przesuwano. W końcu odbył się w lutym 2014 r.]

23 października jeden z mężczyzn, którym w Campo Santo ukażała się Matka Boska, wystąpił w telewizji w towarzystwie biskupa de Gallup i wyjawiał treść jej przesłania. Miało ono miejsce przez

piętnaście dni w trzech powtarzających się cyklach trzydniowych objawień: „Wiedźcie, że Sędzia stoi u wrót. Jedni zostaną zabrani, inni pozostawieni. Módlcie się, módlcie się, gdyż nie znacie dnia ani godziny”. [Na ten temat można przeczytać znakomitą książkę amerykańskiego dziennikarza Clive'a Sorensonna: *Le Dossier Campo Santo, Oszustwa, kłamstwa i manipulacje państwa. Jest ona znakomitym kompendium faktów dotyczących ośmiu lat afer, chociaż pod koniec książki wysuwa kontrowersyjną tezę, której później nie potwierdziły fakty, że owe oszustwa z pewnością nie płynęły z niskich pobudek.*]

Na początku listopada Cecilia dostała bardzo wysokiej gorączki, której towarzyszyła biegunka.

Natychmiast została przyjęta na ostry dyżur. Giuseppe mógł się tam przekonać, jakie skutki wywołał kryzys sanitarny u jego współobywateli. Na pękający w szwach oddział setki rodzin przywiozły swoich bliskich z powodu dolegliwości gastrycznych, które jeszcze przed paroma tygodniami nie zasługiwałyby nawet na wizytę u lekarza rodzinnego.

W ślad za swymi francuskimi i włoskimi sąsiadami szpitalne władze włoskie zażądały, by utworzono dzielnicowe punkty ostrych dyżurów, kierowane przez prywatnych lekarzy ogólnych, którzy dokonywaliby pierwszej selekcji osób chorych na „gorączkę z Miami” i do placówek szpitalnych kierowali jedynie nagłe przypadki. W Mediolanie personel szpitalny zastrajkował, ujawniając warunki, w jakich przyjmowani byli pacjenci oraz ryzyko, na jakie byli narażeni leczący... [Ponieważ jeden z pierwszych alarmów został wszczęty przez znakomity amerykański system nadzoru lekarsko-sanitarnego dotyczącego dziesięciu podejrzanych zgonów w regionie Miami, była to pierwsza nazwa, pod jaką zidentyfikowano SZWN.]

Choroba Cecylii okazała się po prostu ostrym niezłym żołądka.

18 grudnia 2013 roku WHO opublikowało krótki tekst: w ciągu tego roku infekcja prawdopodobnie była „bezpośrednią lub pośrednią przyczyną co najmniej dwudziestu tysięcy zgonów w Europie, Ameryce i Afryce Północnej”.

Choroba rozprzestrzeniła się błyskawicznie; zabijała jak dżuma i nadal była równie tajemnicza. Nieznana była jeszcze jej nazwa i sposób przekazywania.

Człowiekiem szczególnie predestynowanym do zidentyfikowania wroga był Pietro Lombardi, który drobiazgowo zbadał próbki krwi pobrane podczas pierwszego ataku choroby Chiary. Kiedy doszły do nich inne próbki krwi, niektóre punkty wspólne przypomniały mu o pewnej dawno już wykonanej, ubocznej pracy. Wrócił do swego laboratorium i skontaktował się z Tytusem Liwiuszem Rustu. Chorobę, w której występowała gorączka, ataki krwotoczne i silne, uporczywe bóle głowy, wywoływała mutacja innego znanego wirusa; zakażenie nim było o wiele wolniejsze i znacznie rzadziej prowadziło do śmierci.

Od dawna było wiadomo, że Wirus Zachodniego Nilu atakował nie tylko bydło; jego nosicielami było wiele kobiet i mężczyzn, u których choroba się nie rozwijała.

Ale mutacja, z którą miał teraz do czynienia świat, była zjadliwa, a czas inkubacji różny, nie u wszystkich choroba się rozwijała, ale każde nowe zakażenie przyspieszało proces i stać się mogło wszystko — od braku jakiegokolwiek objawu do śmierci w ciągu paru dni...

Zanim w początkach stycznia 2014 roku Pietro podał do publicznej wiadomości swoje pierwsze odkrycia, znów rozmawiał w cztery oczy z Giuseppe: „Najpierw chciałem zbadać na okoliczność wirusa mego syna i obie wnuczki”.

Kiedy Pietro wyjaśnił mu, co ma na myśli, Giuseppe natychmiast spytał:

— Czy jest możliwe, aby osoby wracające z nad górnego Nilu mogły spowodować rozprzestrzenienie się wirusa i jego mutacji?

W tym pytaniu między wierszami krył się podtekst: „Czy nieświadomie przyczyniliśmy się do powstania epidemii?”. Pietro przecząco potrząsnął głową.

— Nie sądzimy, aby można się było zarazić od innego człowieka... Na chorobę zapadają prawdopodobnie ptaki, a nosicielami zarazków są komary, które kęsają ptaki, a potem ludzi. Tak przynajmniej było w przypadku Wirusa Zachodniego Nilu...

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego u Chiary ta mutacja rozwinęła się wcześniej niż u innych?

– Nie, chyba tylko zbieg czynników ułatwiających owe mutacje: była kobietą, była młoda i za każdym razem, kiedy choroba ją zaatakowała, była w ciąży. Znajdowała się też w najróżniejszych miejscach, musiała zostać wielokrotnie pokąsana przez komary w Asuanie... I z pewnością została znowu zakażona we Włoszech lub we Francji... Zauważyłem, że między próbkami krwi pobranej w 2009 i w 2012 roku są mutacje, których nie potrafię wyjaśnić... chyba że wirus ewoluował albo doszło do nowego zakażenia.

– Co zrobisz?

– Opublikuję wyniki moich badań. Bardzo szybko. Najpierw trzeba będzie zabezpieczyć się dzięki temu, co już wiemy o Wirusie Zachodniego Nilu: eliminując znanych nosicieli zarazków, a więc ptaki i komary... Będziemy też starali się ustalić, czy mutant ma innych nosicieli, i szybko opracujemy test na wykrywanie... Liczę na Rustu. Ten facet to geniusz, Giuseppe.

Nim upłynęło czterdzieści osiem godzin, Pietro był już pewien, że w krwi syna i obu wnuczek nie ma śladu zmutowanego wirusa. Po kilku tygodniach cała Ziemia знаła już nowy skrót: SZWN Syndrom Zjadliwego Wirusa Zachodniego Nilu.

Jak owce pośród wilków

Zbliżyły się święcenia Lombardiego; zanim Jakub został pasterzem, był świadkiem, jak dwaj inni członkowie „tria z Saint-Germain-des-Prés” zostali księżętami...

Albowiem wszystko znów nabierało przyspieszenia... W styczniu 2014 roku papież Jan XXIV miał kolejny atak serca, na tyle poważny, że niektórzy kardynałowie niepokoiли się o jego „zdolność do dalszego rządzenia”. Templariusze i ich przyjaciele czuli się teraz dostatecznie silni, by przypomnieć, że poprzedni papież abdykował.

Na powstrzymanie działań konserwatystów, których nazywał „obrońcami religii”, a czasem po prostu „ludźmi religii” Janowi XXIV zostało tylko parę miesięcy. Wszędzie gdzie mógł, lokował ludzi wiary, pewnych, zaprawionych w bojach, którzy „będą prowadzić firmę”.

Przypadek zrządził, że w wyniku dokonanych owej zimy nominacji zwolniły się dwa miejsca prymasów — arcybiskupstwo Lyonu powierzył Villepreux, a arcybiskupstwo Buenos Aires argentyńskiemu jezuitcie, Felipe Arrau. Owa „zabawa w komórki do wynajęcia” przyniosła pewien skutek: dwaj umiarkowani kardynałowie wzmacniali ludzi, którzy jeszcze „prowadzą” Kurię; dołączeni do ich grona dwaj ludzie młodszy, lepsi taktycy, rozpoczęli partyzancką wojnę na „wrogim terytorium”. [Philippe Barbami, ongiś prymas Galii, został mianowany dyrektorem nowej dykasterii do spraw młodzieży; Claudio Ziegler, dawniej arcybiskup Buenos Aires i główny przeciwnik „puczu” Villaverdego, stał na czele dykasterii Sprawiedliwości i Pokoju. Obydwaj zostaną usunięci w listopadzie 2015 r. podczas wielkiej czystki przeprowadzonej przez templariuszy w Kurii rzymskiej.]

W Zielone Świątki 2014 roku zostali mianowani czterej kardynałowie: Paul Assoumou i Augustine Gowon, dostojnicy kościoła z Afryki, oraz Felipe Arrau z Buenos Aires i Jean-Baptiste Villepreux z Lyonu. Czterej purpuraci, aby utrzymać trzy kontynenty...

W wielkiej papieskiej jadalni Jan XXIV zgromadził swych zaufanych współpracowników. Są to: Morro, sekretarz stanu, Giuseppe Cadorro, oraz jego „kluczowi kardynałowie” w Afryce i Europie, Paterne Manding w Beninie, Stanislas Donking w Kolonii, Luis Faria w Lizbonie... „Klan” zwiera szeregi wokół „czterech nowych muszkieterów”.

Papież bez żadnej żenady mówił o swej śmierci; pod koniec kolacji zwrócił się do czterech nowych purpuratów:

— Wróćcie tu, by wyznaczyć mego następcę. Zanim się to stanie, chcę, abyście trwali na waszych ziemiach, byli czujni pośród swoich wiernych, odwiedzali waszych braci biskupów, umacniali tych, na których możemy jeszcze liczyć, dawali baczenie na wszystko, co templariusze przedsięwzięją, by osłabić waszą władzę, podkopać inteligencję, przestraszyć nasz lud... Będą was przypierali do muru, bądźcie nieposzlakowani; chcę, by ludzie świeccy wrócili do dewocyjnej pobożności, rozwijajcie więc w nich inteligencję, wiedzę, wolność; oni chcą uratować niewielką resztę, wy płyncie na pełne morze; chcę się z nami rozprawić, pokażcie im plecy, nie zganiajcie karku, bądźcie ostrożni, odważni, ale nie zuchwali; żarliwi,

ale nie wojowniczy... Macie chronić nasze owieczki przed ich wilkami...

Nazajutrz Assoumou wyleciał do Jaunde.

Morro namówił Villepreux, żeby zatrzymali się w Bolonii. Pietro, Monica, Anna i Giuseppe czekali na nich z obiadem.

— Będzie *ossobucco*... — szepnął do Villepreux.

Cisza pewnego grobu

To był posiłek pełen powagi, uczestniczyli w nim ludzie, którzy trzymali ster dwóch statków pośród szalejących dwóch burz; którzy wiedzieli, że najbliższe miesiące zapowiadają się jeszcze bardziej ponuro od tych, które właśnie upłynęły.

Anna, młoda konsultantka WHO, opowiedziała mi, z jakim sceptycyzmem przyjęto artykuły o Wirusie Zachodniego Nilu, które jej ojciec opublikował wspólnie z Rustu. Badacze amerykańscy opublikowali przeciwtezę. [Wiemy, że okazało się, iż prace ekipy profesora Malkovicha były mocno „inspirowane” przez prace ekipy włosko-rumuńskiej. Batalia o uznanie odkrycia Lombardiego obróciła się ostatecznie na korzyść Europejczyków po Noblu, jaki otrzymali w 2016 r. Rustu i Lombardi.] Pietro był wściekły — znał batalię o AIDS i wiedział, że wszystko to oznacza zmarnowany czas, podczas gdy wszędzie mogłoby już dojść do pierwszych prób pokonania choroby.

Niektóre kraje zaczynały zabijać przelatujące wędrowne ptaki, wprowadzać środki eliminujące komary. Ale Unia Europejska była podzielona... Koalicja Zielonych w Holandii skierowała skargę do Trybunału Europejskiego, uważając, że środki ochrony zdrowia, stanowiące poważne zagrożenie dla niektórych rzadkich gatunków — i sprzeczne z celami ochrony przyrody, jakie dzięki niej zostały wpisane do niedawnego traktatu z Utrechtu — są bezprawne.

Chiny, gdzie dotychczas choroba w ogóle nie wystąpiła, podjęły dopiero co decyzję o wprowadzeniu embarga na wszystkie towary i zakazie wjazdu dla osób przybywających z Zachodu — słodka zemsta po siedmiu latach od wybuchu grypy azjatyckiej.

Wydaje się, że ani Organizacja Narodów Zjednoczonych, ani Światowa Organizacja Zdrowia nie były zdolne do podjęcia środków

adekwatnych do rozmiarów epidemii. Jeden ze specjalistów wspominał o wskaźnikach zachorowalności, wynoszących 0,2/1000 w Europie, 0,25/1000 w Ameryce Północnej, 0,35/1000 w Afryce od tego roku... „To spójne cyfry — mówił Pietro. — I według naszych modeli statystycznych podwoją się za rok. Przy jednym zgonie na dwa zakażenia. Mówimy o epidemii, która zabije setki tysięcy mężczyzn, kobiet, dzieci...”.

Anna opowiadała: „Kiedy mój ojciec skończył mówić, Jean-Baptiste odwrócił się do Giu i spytał:

— Czego oczekują po nas, Jakubie, ofiary, bliscy ofiar, rodziny, które okryją się żałobą?

Zapadła długa, krępująca cisza... Odkąd Giu wrócił z Fryzji, nikt z nas nie zadawał mu pytań.

Na twarzy mego brata malowało się skupienie: jak wyjaśnić innym to, co sam głęboko przeżył? Uśmiechnął się nieśmiało:

— Niczego, Jean-Baptiste, nie trzeba robić niczego poza głoszeniem Ewangelii. Tylko nadal mówić: w naszej historii Słowo stało się ciałem, poszło naszymi drogami, aż do absolutnego, całkowitego zejścia — do śmierci: ciało Boga zostało złożone pod naszą ziemią, w ciszy grobu... — Mówił cicho, ledwo słyszalnie. — I oczywiście był ten pusty grób w paschalny poranek, ale ci, którzy tracą swych bliskich, nie od razu nas usłyszą... — Jego głos stał się silniejszy. — Wystarczy do każdego z nich wysłać kardynała, by czytał z nimi psalmy, a wtedy znów uwierzą, że nadzieja jest możliwa...

Jean-Baptiste patrzył na niego, jakby Giu wcale nie żartował.

— Don Enrico będzie musiał wskazać mi ten sprzyjający moment, kiedy będę mógł pójść po kolei do każdego... — powiedział po chwili.

Ksiądz

W sobotę 14 czerwca 2014 roku Giuseppe Lombardi został wyświęcony na księdza w bolońskiej katedrze. [Nie będę przypominał tutaj szczegółów tego dnia. Można je znaleźć, podobnie jak świadectwa Assoumou, w *Ce pape père de familie*, Anetta Zetti, Rzym 2032.]

Współ z kardynałem Morrem mszę koncelebrowali dwaj inni purpuraci: Jean-Baptiste Villepreux i Paul Assoumou. Afrykański

olbrzym, który na parę dni wrócił do Rzymu, za nic by z tego nie zrezygnował – podobnie jak „Izaak”. Już sam ów triumwirat, który zebrał się dla męża Chiary, wystarczyłby, żeby zwrócić uwagę na owego diakona, wdowca i ojca rodziny, księdza o dość zagmatwanej biografii... Adwersarze Jana XXIV, przyjaciele kardynała Villaverdego, już postarali się zakarbować w swej pamięci nazwisko nowego księdza i zaliczyć go w poczet wrogów.

Wrogowie

Dżuma i zadżumieni

Nikt nie przewidział tak szybkiej elekcji Villaverdego. Figurował na liście faworytów, liście *papabili*, to pewne. Kto by się jednak spodziewał, że Meksykanin zostanie wybrany już pierwszego dnia?

Ostatni kardynałowie przybyli w dniu otwarcia konklawe, z lotniska przyjechali wprost do Kaplicy Sykstyńskiej. Wielu z nich nie wzięło udziału w obrzędach pogrzebowych Jana XXIV na niemal pustym placu Świętego Piotra... Nieobecność ludu była dla templariuszy dowodem potępienia jego pontyfikatu. Ale zapewne należało odczytywać ją jako wynik polityki różnych zakazów wprowadzonych w celu ograniczenia postępów SZWN... Od lata krążyły najbardziej zwariowane pogłoski. W XXI wieku ludzie Zachodu nie chcieli wierzyć, że ich życie zależy od komarów — naukowcy musieli wymyślić coś innego, jakiś sekret genetyczny, jakieś dziedziczenie... Najbardziej zadziwiające było niewątpliwie to, że w ich ślady szły rządy i pochodzące z wyboru władze. Mimo zapewnień, że nie można zarazić się od innego człowieka, zamykano granice, ludzie przestawali podróżować...

Osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo sanitarne, posiadające wątpliwe kompetencje, wspominają o przewożeniu zarazków, które ułatwia, jak twierdzili, transport lotniczy. Jesienią 2014 roku przewozy wewnętrzne w Ameryce Łacińskiej prawie ustały; poza sytuacjami wyjątkowymi nikt nie opuszczał Afryki, [W braku transportu lotniczego większość afrykańskich kardynałów płynęła statkami z Algieru i dotarła drogą morską do Rzymu trzy dni po śmierci papieża... Państwo włoskie wyraziło zgodę, by ta dziwna załoga złożona z dwudziestu purpuratów mogła zejść na ląd.] przekształconej przez inne państwa w terytorium zamknięte, od kiedy wskaźniki zachorowalności sięgnęły tam

szczytu. Niektóre państwa amerykańskie wprowadziły ścisłą kwarantannę dla przybyszów...

Przez kilka tych osobliwych tygodni, gdy każdego cudzoziemca podejrzewano o przywleczenie zarazy, Rzym i Włochy były na szczęście mniej zwariowane... Półwysep należał do najmniej bezpiecznych miejsc w Europie. A ponieważ Rzym nie miał się czego obawiać, jako że niewiele było miejsc (poza Afryką) bardziej dotkniętych zarazą niż on, nie zabraniał wjazdu cudzoziemcom (chyba że są Afrykanami). Tym bardziej że wprowadzenie pierwszych środków sanitarnych rząd powierzył człowiekowi odpowiedzialnemu za walkę z chorobami zakaźnymi w Bolonii, odkrywcy SZWN, profesorowi Piętrovi Lombardiemu.

Pietro sięgnął po wszelkie pozostające do jego dyspozycji środki, by nie dopuścić do paniki i rozruchów społecznych... Codziennie zabierał głos w dziennikach telewizyjnych, by obalić jakąś nową plotkę; występował w zwykłym fartuchu, trzymając pod ramię jednego z chorych... Ten człowiek, który większość czasu spędzał w laboratorium, po prostu chciał, by chorzy uniknęli ostracyzmu, jaki dotyka zadżumionych. [Podczas wręczania Rustu i Lombardiemu Nagrody Nobla mędrcy ze Sztokholmu złożyli hołd nie tylko osiągnięciom naukowym, ale także „osobistej odwadze i zaangażowaniu obydwu badaczy w walkę z tą plagą”.]

Niektóre amerykańskie stany postanowiły utworzyć dla ofiar SZWN obozy sanitarne, odseparowane od reszty szpitala; w Czadzie i w Boliwii palono domy zmarłych, aby choroba nie przetrwała dzięki zarazkom; ale gdzie indziej ludzie zaczęli rozumieć, że prawdziwym wrogiem są komary.

„Wybór Boży”

Cztery tury wystarczyły. Gdyby kardynałowie mogli się konsultować, oceniać, nie byłiby tacy zgodni co do powołania owego Meksykanina szermującego wytartymi hasłami... I niektórzy na pewno optowaliby za ostrożnością. Czy mimo wszystko zostałby wybrany? Czy wstąpiłby na tron Piotrowy, gdyby nie ów osobliwy moment,

kiedy nawet Kościół szukał sobie zbawców lub przewodników? Lobby reakcyjne wspaniale wykorzystało strach, przedstawiając Villaverdego jako człowieka wskazanego przez Opatrzność, pozwalając, by w umysły wślizgnęła się myśl, że jest to „wybór Boży”... [Na ten temat zob. pierwsze rozdziały znakomitej książki Villaverde ou le pape des peureux pióra dominikanina Georges'a Hélie-Marchanda, Paryż 2023.]

Giuseppe czytał, śledził wydarzenia, słuchał... 21 stycznia 2015 roku ujrzał nowo wybranego papieża na balkonie w paradnych szatach zapomnianych od czasów papieża Pawła VI, jakże dalekich od prostej dominikańskiej szaty, którą już pierwszego dnia przywdział Jan XXIV. [Tradycja białego stroju papieskiego wzięła się od dominikańskiego habitu Piusa V. Zgodnie z nią Jan XXIV pozostał wierny prostocie swej dominikańskiej szaty.] Czekał na pierwsze przemówienie Villaverdego. „Tak jak Jan Paweł Wielki przede mną mówię wam i powtarzam: Nie lękajcie się! Nie bójcie się o wasze ciała, gdyż Pan Nasz naprawia to, co zostało zepsute, przekształca nasze śmiertelne ciała, by uczynić z nich ciała, które zmartwychwstaną... W obecnym czasie próby, gdy każdy stara się ratować swoje ciało, nie drzyjcie, ale bójcie się o wasze dusze, które znajdują się w większym niebezpieczeństwie, jeśli oddalą się od jaśniejszej twarzy Pana. Nie popełnijcie omyłki. Otwierają się przed wami drogi śmierci: są szerokie i przyjemne. Szatan, kusiciel, sprawia, że rozkwitają tam fałszywe obietnice łatwego i pozornego szczęścia. Wy, wierni i szczerze wierzący, którzy boicie się Boga, wnijdźcie w prawdziwą podległość synów i córek Bożych; z ufnością powierzcie się w ręce waszego Ojca w niebiesiech. W swym miłosierdziu Bóg przysłała wam swoich świętych kapłanów. Obiecuje wam pocieszenie, jeśli powierzycie się rękóm Kościoła Świętego, Matki Naszej, który piękny i jaśniejący jak Madonna rozwieje wasze wątpliwości, uśmierzy obawy”...

— A przede wszystkim, bracia moi, zawierzcie pobożnej głupocie; moi księża i moi templariusze dokonają reszty...

Właśnie tymi słowy Giuseppe skwitował przemówienie nowego papieża Piusa XIII [Już przyjęcie tego imienia było programowe. Poprzedniego Piusa, dwunastego tego imienia, krytykowano za milczenie w sprawach nazistowskich obozów; kanonizowany Pius X był wielkim konserwatystą, który narzucił przysięgę antymodernistyczną; Pius IX był papieżem, który sporządził wykaz obejmujący ważniejsze błędne poglądy napiętnowane w encyklopediach (zob. Syllabus Errorum).] — i wściekły

wyszedł z salonu, trzaskając drzwiami. Anna, siedząca na kanapie przed telewizorem, znieruchomiała z wrażenia, przed pustymi szklankami i pełną butelką...

Cnota przykładności

Tego wieczoru Anna wybierała się z bratem na kolację do Pietra i Moniki, gdzie czekały na nich dziewczynki. Ale usłyszeli, że nad dachami Watykanu pojawił się biały dym... I znowu Giu zjawiał się za późno. Mógł już tylko otulić kołderkami swoje córki i ucałować je we śnie.

W owym czasie jego życie było podzielone między trzy zadania, dwa mieszkania, kilka egzystencji.

Parafia, gdzie Morro mianował go wikariuszem, dała mu do dyspozycji czteropokojowe mieszkanie. Ale 22 października, gdy wybrano papieża, niecałe dwa miesiące po wprowadzeniu się, Giuseppe zdał sobie sprawę, że prowadzenie potrójnego życia księdza, ojca i inżyniera będzie niemożliwe. [Giuseppe chciał wrócić do pracy i pracować trzy dni w tygodniu, by utrzymać rodzinę. Przez dwa lata, kiedy studiował w pełnym wymiarze godzin, jego córki korzystały z pomocy finansowej Pietra i Moniki, u których mieszkały, a on z mizernych subsydiów, jakie diecezja dawała seminarzystom... Kiedy został wyświęcony, firma Ripetti & Suger zgodziła się zatrudnić go w niepełnym wymiarze godzin.] Dziewczynki — Clara nie miała jeszcze siedmiu lat, a Cecilia skończyła właśnie cztery — nie chcą spać w parafialnym mieszkaniu, mają swój pokój u Pietra i Moniki. Giuseppe zgodził się pozostawić je w domu dziadków, do którego prawie co wieczór przychodził na kolację.

Pasquale Barbarigo, jego proboszcz, był święcie przekonany, że nie można być jednocześnie księdzem i ojcem rodziny. Ale Giuseppe był nim z przyczyn duchowych i nigdy nie starał się, by to co niemożliwe, było możliwe.

Spędzając zbyt wiele czasu z papieżem Janem, Morro stracił z oczu niektórych swych proboszczów — nie docenił siły szkodenia Barbarigo, ale Giuseppe zdał sobie z niej sprawę już pierwszego dnia...

Tej wrześniewej niedzieli Barbarigo przedstawił „swego” wikariego „swojemu” ludowi podczas „swojej” mszy, mówiąc: „Mamy

szczęście przyjąć do naszego grona nowego księdza, jeszcze młodego, gdyż skończył dopiero trzydzieści pięć lat... To dla nas prawdziwa przyjemność, trzydziestolatek przy ołtarzu staje się we Włoszech tak rzadkim towarem...”. Wszystko to zostało powiedziane żartobliwym tonem. Dalszy ciąg był bardziej zaprawiony jadem: „Ów młody ksiądz jest też wielkim przyjacielem naszego biskupa, który jest również wielką rzadkością w Bolonii. Ponieważ jednak monsignore Morro powierzył ojca Lombardiego naszej ojcowskiej trosce, witamy go wśród nas; będziemy dbali o dokończenie jego wykształcenia, wiemy bowiem, w jakim stopniu pierwsze lata kapłaństwa są prawdziwą formacją duchową księży”. Po owej pierwszej mszy Barbarigo ubolewa w zakrystii:

— Czy ksiądz uważa, że w tych czasach nie do końca przemyślanych reform postąpił ksiądz właściwie? Wielu naszych wiernych niepokoją podobne sytuacje, a także pasterze, którzy nie są już ucieleśnieniem cnoty przykładowości.

Giuseppe patrzy na niego zbity z tropu. Przed paroma minutami kazał Clarze i Cecilii podejść do ołtarza, żeby je przedstawić parafianom.

— Rzeczywiście nie zawsze byłem przykładowym ojcem dla moich córek, ale mam nadzieję, że nim będę.

— Niezbyt dobrze ksiądz zrozumiał, ojczu Lombardi. Dajmy temu spokój...

Po tej pierwszej wymianie zdań stosunki między obydwojma mężczyznami nigdy się nie ułożyły. A przecież mogliby ze sobą chociaż dyskutować. Barbarigo, starszy od Giuseppe o piętnaście lat, był intelektualistą i wielkim lektorem Biblii. Szczycił się swym pochodzeniem z rodziny świętego Gregoria Barbarigo, nieprzeciętnego umysłu i uczonego swej epoki. W XVII wieku był on biskupem Padwy. [Okazuje się, że św. Gregorio miał na swoim koncie pewien wątpliwy czyn: odmówił otrzymania doktoratu z teologii Elenie Piscopii, która jako pierwsza kobieta napisała pracę doktorską z filozofii. Mimo że Uniwersytet Padewski zaakceptował kandydaturę tej weneckiej szlachcianki, biskup postawił weto. Jednak w owym 2014 r. Giuseppe jeszcze o tym nie wiedział. Powiedziała mu to znacznie później Jeanne-Marie Carrière, która uważała Piscopię za swoją „świętą patronkę”.]

Monsignore Morro, który 23 października wrócił i pracował pełną parą w swej parafii, nie szczędził dobrych rad, by zachęcić przyjaciela do cierpliwości. „Barbarigo jest w naszej diecezji okiem,

uchem i ustami naszych nowych władców...”. Kardynał Bolonii odkrywa, że w jego własnej diecezji i wśród jego włoskich braci biskupów wielu duchownych słucha z prawdziwą przyjemnością bardziej wojowniczych akcentów. „Kościół znowu stanie się wielką latarnią, która prowadzi ludzkość w tych czasach ciemności i burz”, cieszy się Barbarigo.

„I moja pięść na twojej gębie...”

Była środa, 18 marca 2015 roku, trzecia rocznica śmierci Chia-ry... Giuseppe odprawiał mszę w jej intencji. Przyłączył się do niego Barbarigo — czy jako przyjaciel? W czasie ostatniej antyfony proboszcz przeczytał liturgiczną modlitwę: „Naucz nas, Panie, przeżywać z tobą żaloby i radości, przyjmować je z równą odwagą; naucz nas rozumieć Twoją wolę i zawsze się z nią zgadzać”.

Anna: „Zobaczyłam, że Giuseppe pobładł... Zdawało mi się, że chce coś sprostować, ale zamknął oczy i głęboko zaczerpnął powietrza w płuca”.

Kiedy obaj księża zdjęli swe szaty w zakrystii, Giuseppe zapytał swego „szefa” — swym spokojnym, bezdzwięcznym głosem, który zawsze poprzedzał u niego wybuch.

— Ojciec Barbarigo, co chciał ojciec powiedzieć w swym końcowym upomnieniu?

— Tylko to, co powiedziałem, przyjacielu...

— Mówił ksiądz o woli Bożej?

— Oczywiście. Czyż nie jest naszym celem, by ją...

— A gdzie ksiądz widzi ową wolę w SZWN?

— Nawiązywałem do niedawnej deklaracji naszego Ojca Świętego. Pamiętajcie, że SZWN jest „próbą, którą zsyła na nas Pan Bóg, ponieważ zbłądziliśmy”... [Pełny tekst tego cytatu brzmi następująco: „Niektóre choroby przypominają nam, że jesteśmy śmiertelni; niektóre choroby są jak próby, które zsyła na nas Pan Bóg, by nas doświadczyć, abyśmy odnaleźli jego drogę”. Na audyencji publicznej dla personelu rzymskiej Służby Zdrowia. 18 lutego 2015 r.]

— To idiotyzm...

— Ojciec Święty dawał do zrozumienia, że...

— Mam w nosie, co dawał do zrozumienia. Czym jest według

ciebie wola Boża? Żeby moja żona umarła, żeby umarła w imię czego? Za grzechy tego świata?

— Nie za grzechy tego świata, nie...

— A więc za swoje? Za moje? Kogo Bóg twoim zdaniem ukarał? Barbarigo nie podniósł głosu, nie zauważył tykania, zasugerował:

— Sądzę... Sądzę, że Bóg zsyła nam znaki w naszej ludzkiej historii... I czyż nie jest możliwe, że przez śmierć pańskiej żony, Bóg zsyła nam znak... Że dołącza do niego łaski i...

— Znak! Znak czego, wielkie nieba?! — wrzeszczał Lombardi. Ale proboszcz nie stracił kontenansu, wręcz przeciwnie.

Oznajmił:

— Czy próba, która pana dotknęła, nie jest znakiem, że Bóg nie chce żonatych księży?

Giuseppe zamknął oczy, przesunął ręką po twarzy; potem wymierzył mocny cios w podbródek wysokiego, chudego proboszcza, jeszcze na poły zaplątanego w swe szaty, który osunął się na ziemię, oszłamiony.

— A czy moja pięść na twojej gębie nie jest znakiem, że powiedziałeś straszny idiotyzm?! — wykrzyknął Giuseppe.

Zniknąć

Wybiła godzina dziewiętnasta... W tym momencie Lombardi stał się banitą — i pozostał nim przez siedem lat...

Anna, Marina, rodzice i córki doganiali go na ulicy; słyszeli dochodzące z zakrystii urywki wymiany zdań i widzieli, że przeleciał przez kościół jak pocisk.

Pietro chwycił go za rękę, wziął go za ramiona i patrzył na swego syna wydanego na pastwę zimnej wściekłości.

— Dałem Barbarigowi w gębę, bo ten kretyn stwierdził, że Bóg pragnął śmierci Chiary... — wyrzucił z siebie Giu.

Pietro szepnął:

— Zrobiłeś cholerne głupstwo, synu... I teraz oni każą ci za nie zapłacić.

Około dwudziestej pierwszej ktoś dobijał się wściekle do drzwi Lombardich. To don Enrico, tym bardziej purpurowy, że był jeszcze

w czerwonej sutannie. Wskoczył do swego samochodu, wychodząc z jakiejś ceremonii, kiedy oznajmiono mu, co się stało.

— Gdzie on jest?

Monica cofnęła się nieco, pokazując palcem salon. Biskup przeszedł jej przed nosem i wpadł do wielkiego, jasnego pokoju.

— Wiesz, co zrobiłeś, Giuseppe Lombardi?

Dziesięć minut później Morro i Giuseppe siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, a Pietro i Monica po ich obu stronach. Kardynał zdjął sutannę i czerwoną piuskę i był w samej koszuli.

— Przecież chodzi o księdza, Giuseppe, na dodatek twego proboszcza...

— Znieważył Boga i znieważył śmierć Chiary, Enrico.

— Wiem, ale kicham na to... Znasz ich... Zajmą się zbawieniem twojej duszy i przypomną ci twoje śluby posłuszeństwa. Ostro się do ciebie zabiorą.

Do rozmowy wtrącił się Pietro:

— Jest ksiądz jego biskupem, może ksiądz go chronić... To ksiądz go wyświęcił.

Enrico zrobił ruch ręką.

— Nie mogę zrobić nic przeciwko maszynie, którą uruchomią. Giuseppe wpakował się w niezłe tarapaty... A jeśli będę go bronił, pogrążę i siebie.

— O nic cię nie proszę.

— Daj spokój, Giuseppe... Świetnie wiesz, że będę cię bronił... Ale to nic nie da i jedyny tego skutek będzie taki, że położą rękę na tej diecezji.

— O kogo się boisz, Enrico?

— O ciebie, a także o wszystkich księża, których wyświęciłem i w których teraz uderzą. O tych, którzy cię ukształtowali i których będą przez ciebie przesłuchiwać. O wszystkich wiernych z tej diecezji, którzy potrzebują czegoś innego aniżeli głupiej pobożności i dewocji...

Monica przerwała mu.

— Ale jest ksiądz przecież biskupem...

— Odtąd jestem tylko człowiekiem, który wyświęcił tego chłopca i pozwolił mu myśleć, że można dołożyć swemu proboszczowi... Jestem również jednym z najbliższych towarzyszy Jana XIV... Ale nie w tym problem... Problemem jest to, że nie mamy prawa podłożyć im się tak łatwo, jak zrobił to Giuseppe. W przeciwnym razie dobrze to wykorzystają. Musisz wyjechać, Giuseppe. Zniknąć. Szybko. I to na tak długo, jak będzie trzeba, żeby się uspokoili albo żeby stracili władzę.

— Nie uciekam przed wrogami.

— Brawo, mój bohaterze... Ale jak będziesz chronił swoje córki? Nie uciekniesz przed domem dyscyplinarnym dla księży, na pewno cię tam wsadzą... Czy Clarze i Cecili jest to potrzebne?

— Nie mogą mi nic zrobić, jeśli nie zechcą ich słuchać...

— A za tydzień nie będziesz już księdzem. Czy po to od września bez szemrania znosisz Barbariga? Czy po to od sześciu lat studiujesz i prawie nie widzisz swoich córek? — zamilkł na chwilę. — Czy po to wróciłeś z wyspy zmarłych, Giuseppe?

— Ile czasu mi dajesz, Enrico?

— Jedną noc. Jutro rano zjawią się w moim gabinecie. Powiedz, czy wyjeżdżasz, czy postanawiasz wszystko przerwać. Muszę to wiedzieć, kiedy będę z nimi rozmawiał...

Nazajutrz, w czwartek 19 marca o dziesiątej, Pasquale Barbarigo zjawił się przed gabinetem swego biskupa w towarzystwie kanonisty templariusza, wciśniętego w czarny dwurzędowy garnitur, z nieodłączną teczką w dłoni. [Specjalista prawa kanonicznego, wewnętrzne-go prawa kościelnego.]

O tej samej godzinie Giuseppe i jego obie córki siedziały w samolocie do Genewy. Do Clary i Cecili dotarły jedynie okruchy informacji: jadą na parę tygodni na narty w szwajcarskie Alpy, do jednego z przyjaciół ojca, bardzo miłego pana, który udostępnił im swój dom położony pośród śniegów. Szkoła została zawiadomiona, panie nauczycielki wyraziły zgodę.

„Wakacje” w pustelni

„Wakacje” trwały dwa miesiące, w położonym na ustroniu domu Cervina, który mieszkał wówczas w Stanach Zjednoczonych i otrzymywał trochę e-maili z wiadomościami.

Lombardi jeździł na nartach z córkami. Dom był prawdziwym górskim domem, w całości zbudowanym z drewna, ze spadzistym dachem i wąskimi oknami przypominającymi otwory strzelnicze, które izolują od zimna i śniegu... W pobliżu nie było żadnego ośrodka sportów zimowych, a jedynie zwyczajne schroniskogospoda, w którym zahartowani amatorzy gór mogli zaopatrzyć się w sprzęt, by korzystać z dzikich przestrzeni.

Małżeństwo prowadzące schronisko dobrze pamiętało mężczyznę, który wylądował tu pewnego dnia z dwiema dziewczynkami, zamieszkał w „domu uczonego” i już nazajutrz wypożyczył sprzęt do jazdy na nartach i wędrówek.

Raz albo dwa razy na tydzień jedli u nich kolację. „Byliśmy przyzwyczajeni do uczonego, który wcale się nie odzywał albo zalewał nas potokiem słów, jeśli znalazł się klient, który chciał go słuchać. Trochę wydawało nam się to dziwne, że jest tu z dwiema dziewczynkami, które powinny chodzić do szkoły; wszyscy troje byli jakby trochę poza czasem...”.

W Bolonii don Enrico udawał, że nie ma najmniejszego pojęcia, co się dzieje z jego „zbiegłym księdzem”. Przyjaciele Pasquale Barbariga dali do zrozumienia, że przed uciekinierem stoją dwie możliwości: albo pokuta w specjalnie do tego przeznaczonym domu w Rzymie, gdzie przyda mu się ojca duchowego, albo roczny pobyt w klasztorze Karmelitów.

Morro usiłował negocjować: znajdujący się w tarapatkach ksiądz, którego dobrze zna, nigdy nie zgodzi się na rozstanie z córkami. Z Rzymu nadchodzi odpowiedź, że istotnie biskup bardzo dobrze zna tego księdza — a ponieważ Morro wybrał wyświęcanie ojców rodzin, powinien teraz przekonać zainteresowanych, że ich życie rodzinne nie może usprawiedliwiać wyjątków od wspólnej kościelnej reguły... A może Jego Eminencja pochwala lub rozgrzesza jego gest?

Cecilia i Clara były szczęśliwe: nigdy nie miały ojca tak zupełnie dla siebie. Giuseppe nadrabiał wszelkie nieobecności, wieczory, kiedy wracał, a one już spały, poranki, gdy wcześniej wychodził z domu...

— Całe dni spędzali na śniegu, pokazywał im, jak jeździć na nartach, uczył je gór... Przez telefon komórkowy rozmawialiśmy prawie tylko o tym, jak wspinać się na stoki wokół domu, gdzie są niebezpieczne podejścia... — opowiadał Cervin.

Nikt go nie odwiedzał. Pietro nie miał na to czasu, pochłonięty postęпами SZWN. [Zrzekł się wówczas odpowiedzialności za organizację profilaktyki przed wirusem, zamknął się w laboratorium i opracowywał z Rustu testy na wykrywanie...] Monica i obydwie siostry stosowały się do absolutnego zakazu kontaktowania się z nim, jaki wydał Morro: dopóki sytuacja nie zostanie uregulowana, nikt nie może wiedzieć, gdzie przebywa ich syn i brat.

Patriarcha Bolonii nadal negocjował, dawał do zrozumienia, że nikt nie jest zainteresowany rozgłaszaniem wiadomości o incydencie w zakrystii. „Wiele historii z Kurii mogłoby wówczas wyjść na światło dzienne...”. Po wielu dyskusjach z kardynałem odpowiedzialnym za dyscyplinę kościelną, pełnych różnych niedomówień, Morro wreszcie usłyszał: „Jeśli Eminencja wie, gdzie przebywa Lombardi, proszę go powiadomić, że moglibyśmy zatuszować sprawę, gdyby pojechał jako Fidei Donum [Status Fidei Donum pozwala księżom diecezjalnym pojechać na określony czas na misję, oddając się za zgodą swego biskupa do dyspozycji jakiejś uboższej diecezji, zazwyczaj w Trzecim Świecie.] na jakieś obce terytorium... Oczywiście, jeśli znajdzie biskupa, który zechce go przyjąć...

Ucieczka Józefa

Był początek maja, śnieg topniał i na alpejskie stoki wkroczyła błotnista wiosna. Morro skontaktował się z Giuseppe. Jego przyjaciel Renato Benelli, nuncjusz w New Delhi, wyraził zgodę na przyjęcie zbiega jako swego sekretarza. Na razie don Enrico czekał na zgodę starego indyjskiego jezuitę, który kierował diecezją. Wydawało się, że kardynał Delhi nie będzie widział przeszkód, aby pozwolić odprawiać nabożeństwa w swej diecezji wyświęconemu na księdza

mężczyźnie, który podniósł rękę na któregoś z templariuszy ; [W tym czasie przygotowuje się w Rzymie dekrety przeciw jezuitom i krążą pogłoski o rozwiązaniu zakonu.] a monsignore Godfrey Anil nie bał się już nikogo ani niczego, bo miał raka płuc.

Natychmiast nastąpiła ożywiona wymiana e-maili z domem w górach.

Każdy starał się przekonać Giuseppe. Że to wygnanie nie będzie ucieczką. Cervin, Morro, Paul opowiadali się za tym rozwiązaniem – trzeba być gotowym na dzień, gdy wiatr zmieni kierunek. Pietro, Monica i jego siostry podkreślały fakt, że na razie Indie zostały oszczędzone przez SZWN. Dziewczynki już straciły matkę, lepiej je oddać od miejsc zarazy.

Ostatecznie Jakuba przekonał Villepreux, który wysłał do niego zwykłą kartkę pocztową, reprodukcję obrazu Breughla *Ucieczka do Egiptu*. Na odwrocie Jean-Baptiste przepisał tekst Ewangelii według świętego Mateusza: „Gdy oni odjechali, oto anioł Pański ukazał się Józefowi we śnie i rzekł: »Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu; pozostań tam, aż ci powiem; bo Herod będzie szukał Dziecięcia, aby Je zgładzić«. On wstał, wziął w nocy Dziecię i Jego Matkę i udał się do Egiptu; tam pozostał aż do śmierci Heroda. Tak miało się spełnić słowo, które Pan powiedział przez Proroka: Z Egiptu wezwałem Syna mego. [Ewangelia wg św. Mateusza 1,13.]

Jean-Baptiste nie dodał żadnego komentarza. Od momentu gdy ochrzcił Cecilie w Paryżu, wiedział, że Giuseppe oddał swe ojcostwo pod opiekę świętemu Józefowi. Jean-Baptiste zaadresował kartkę: „Józef, który mieszka u Simona Cervina”. Giuseppe uległ, zgodził się wyjechać z kraju, by uchronić skarby, które powierzył mu Bóg; zgodził się czekać. Przez wszystkie te lata, gdy był z daleka od domu, zachował w sercu obietnicę, która kończyła ewangeliczny tekst: wróci.

W środę 27 maja z Bolonii przyjechali Monica i Pietro Lombardi – ich samochód był pełen ubrań, książek, a przede wszystkim zabawek... tuż za nimi nadjechały Anna i Marina. Giuseppe wynajął dom na francuskim wybrzeżu.

Przez trzy dni czas im upływał między przygotowaniami, radami przed wyjazdem, wzajemnym świadczeniem sobie uczuć. Oto co zapamiętała Monica: „Rozmawialiśmy o czekających nas miesiącach rozstania, ale wiedzieliśmy, że potrwa ono długo... Chciał, żeby dziewczynki, a zwłaszcza Cecilia, spędzały z nami czas, żeby pamiętały tam o swoich dziadkach. Pietro obiecywał, że przyjedziemy do nich i zwiedzimy Indie, ale świetnie wiedzieliśmy, że każde z nas wróci do swego życia: Pietro nie opuści swego laboratorium, dopóki nie skończy z SZWN, a ja nie opuszczę Pietra. Giu wiedział, że od przeszło trzech lat nasze życie jest całkowicie podporządkowane jemu i jego córkom. Powiedział do mnie: »Masz dwie córki, to że są dorosłe, nie znaczy, że cię nie potrzebują«. Ostatni dzień spędził ze swymi dwiema siostrami, a mnie i Pietra zostawił z dziećmi. Była wspaniała pogoda, wiał chłodny wietrzyk... Wszystko pamiętam. Późnym popołudniem obchodziliśmy z jednodniowym wyprzedzeniem piąte urodziny Cecylii”.

1 czerwca 2015 roku Giuseppe Lombardi i jego dwie córki wyleciały do Delhi. Tam czekali na śmierć Heroda...

PADDY

1

Róże Delhi

Nuncjusz Apelli

Monsignore Renato Benelli , [Chodzi o dalekiego kuzyna kardynała Benellego, arcybiskupa Florencji i jednego z papabili podczas elekcji Jana Pawła I i Jana Pawła II.] ambasador Stolicy Apostolskiej przy Unii Indyjskiej, był jednym z owych nuncjuszy starej daty, czystym produktem watykańskiej dyplomacji i administracji. Jednym słowem, można było powiedzieć, że był wszystkim, ale nie awanturnikiem. Doskonale znał kraj i jego administrację, i wprawdzie jako ambasador podlegał Rzymowi, ale miał własne zdanie i był oddany ludziom, którzy na to zasługują. Benelli, wyświęcony w roku 1980 przez Jana Pawła II, u zarania polskiego pontyfikatu, pod koniec panowania Wojtyły został jednym z administratorów w Watykanie i kiedy mówił o Ojcu Świętym prywatnie, nigdy nie miał na myśli Meksykanina, lecz zawsze Jana Pawła Wielkiego.

Jednego jedynego człowieka Benelli cenił na równi z dawnym krakowskim kardynałem; był nim kardynał Bolonii, Enrico Morro. Pobierali razem lekcje hebrajskiego, którym jeden zamierzał posługiwać się dla odkrywania tajemnic Biblii, a drugi dla rozszyfrowywania tajemnic Środkowego Wschodu. Benelli uważał Enrica Morra za świętego; i wprawdzie potrafił być kłamliwy i przebiegły jak dyplomata, ale umiał także okazać się wierny w przyjaźni jak najbardziej uparty z mieszkańców Abruzji.

Kiedy przyjechał Giuseppe, nuncjusz Delhi przyjął go serdecznie i nazywał synem. Okazał wielkoduszność, na jaką mogą sobie pozwolić wielcy panowie posiadający olbrzymie pałace, w których

każdy ma swój apartament, i wezwał cieśli i dekoratorów, by wyszykowali apartament na jednym z pięter dla nowo przybyłego. Nuncjusz przyjął wygnańca w imię przyjaźni łączącej go z Mor-rem, w imię prawa azylu udostępnił mu swą siedzibę — a sam zaproponował, że zostanie „dziadkiem” dla Cecylii i Clary. W wielkiej limuzynie, która przyjechała po przybyszów z Bolonii na lotnisko, rozmawiał tylko z dziewczynkami. Pozwolił Cecylii zaspokoić ciekawość, jaką budził w niej jego wielki srebrny pektorał, a potem pierścionek z serpentynem — zdjął je, by dziewczynka mogła sobie dokładnie obejrzeć. Przez ten czas wypytywał Clarę o podróż. Po pół godziny, kiedy limuzyna zbliżyła się do celu, przystąpił do rzeczy:

— Ilu masz dziadków, Claro? Dwóch? Na pewno? Widzisz, tutaj w Indiach, jest taki zwyczaj, że dzieci wybierają sobie jeszcze trzeciego dziadka... Znasz kogoś takiego? Nie? Może ja się nadam, dopóki go sobie nie znajdziesz...

— Powiedz mi wobec tego, jak się nazywasz? — pyta ani trochę niespieszona Clara.

W chwili gdy długi, czarny samochód wjechał w bramę watykańskiej ambasady, nuncjusz był już „Papellim”, wybranym na papieża przez „najładniejsze konklawe”.

Gdy podjechali pod nuncjaturę i szofer w liberii, trzymając czapkę w rękę, otworzył drzwi staremu dyplomacie, na próg wybiegły dwie młodzianki zakonnice. Uśmiechnęły się do dziewczynek, a Papelli powiedział:

— Idźcie z nimi, moje dzieci, pokażą wam, gdzie są huśtawki...

Giuseppe skinął głową Clarze, która czekała na jego zgodę. Benelli odwrócił się do ich ojca.

— Pozwoliłem sobie polecić, żeby za bugenwillami zbudowano portyk... Zresztą sam pan zobaczy... Wasze mieszkanie jest na ostatnim piętrze, będzie wam tam wygodnie, ale czekamy jeszcze na malarzy, żeby wykonali prace wykończeniowe... Zechce pan zajść do mego gabinetu?

Idąc pospiesznie przez marmurowe schody, a potem przez wysoki, jasny krużganek na pierwszym piętrze, nadal wyrzucał z siebie różne informacje:

— W tym skrzydle budynku mieszka dwadzieścia zakonnice... Widział pan dwie z nich, to nowicjuszkę... Będą doskonałymi nauczycielkami dla Clary i Cecylii, jeśli chce pan, żeby nauczyły się

trochę języka hindi i tamilskiego... Jeśli chodzi o szkołę dla pańskich córek, pozwoliłem sobie zapisać je wstępnie do włosko-indyjskiego zakładu religijnego; ale wszystko to można jeszcze zmienić... Zobacz pan, nasza mała wspólnota funkcjonuje dość dynamicznie; oczywiście nie jest wielka, ale mamy wielu wybitnych biskupów w Bombaju i w Delhi... A propos, czy ma pan jakieś nowe wiadomości o kardynale Morze?

Błazeństwa Bollywoodu

Nuncjusz z trzaskiem zamknął drzwi do swego gabinetu; jego głos się zmienił, spojrzenie stało się badawcze. Milczał chwilę, przewracając kartki otwartego dossier, leżącego na biurku...

— Wiem, dlaczego tu przyjechałeś, synu, wiem, że potrzebne ci jest bezpieczne miejsce. Czuj się jak u siebie w domu, bo przysłała cię Enrico Morro. Będziesz moim sekretarzem... Morro powiedział, że potrafisz wszystko robić... — Po chwili podniósł głowę. — Ale nie powiedział, co chcesz robić!

— Być. pożytecznym tam, gdzie Wasza Eminencja zechce...

— Jesteś dobrze wychowany i czekasz, aż zobaczysz, z kim masz do czynienia... To dwie mądre zasady dyplomacji. Dobrze. — Zabębnił palcami po dossier. — Zobaczmy, zobaczmy... — Potem odwrócił się ku trzem fotelom z wysokimi oparciami, stojącym przy małym stoliku, gdzie parowała już herbata. — Najpierw przedstawię cię młodzieńcowi, któremu kontakt z tobą dobrze zrobi. Na próżno wyjeżdżał do naszego kraju, pozostał upartym ignorantem o bardzo bramińskiej arogancji, niezdolnym do zrozumienia czegokolwiek poza przepychem i wspaniałością religii jego dalekich przodków. Ten chłopak nie będzie zadowolony, dopóki nasze nabożeństwa nie będą przypominały wszystkich błazeństw Bollywoodu, świąt Ganesii i Kamasutry razem wziętych.

Na jego ustach widniał blady uśmiech, niby narysowana ołówkiem kreska. [„Była to forma humoru typowa dla nuncjusza, który lubił stawiać gościa w niewygodnej pozycji człowieka zastanawiającego się, czy będzie latami pracował dla jakiegoś rasistowskiego imbecyla”, komentował Thomas Poopaddy.] Giuseppe nie wiedział, czy te okropieństwa są wypowiedane żartem.

Thomas Poopaddy, w owych czasach zwykły ksiądz, przeciął te wahania: wstał z jednego z foteli w salonie i trzymając w ręku filiżankę, powiedział:

— Monsignore Benelli ma na myśli swego pokornego księdza, który niewątpliwie nie ma dość gustu, by zachwycać się prostymi złoceniami jego włoskich sprzętów lub delikatną prostotą jego weneckiego żyrandola... Ponieważ miałem szczęście nauczyć się w Rzymie, w szkole Berniniego, upodobania Włochów do prostoty, mogę ci się przedstawić w twym języku estety.

Młody człowiek wyciągnął do Giuseppe Lombardiego rękę.

— Thomas Poopaddy. Kolega po fachu, ale także, niestety, ku memu wielkiemu wstydu, tubylec.

Niewątpliwie mogłem pozostawić napisanie tych stron Thomasowi Poopaddy'emu, którego humor i werwą wskrzesiły dla mnie ich przyjaźń, a potem lata wspólnych walk. Ale po czterech długich rozmowach nowy papież oświadczył mi:

— Wybacz, ale także i chrześcijaństwo trochę na mnie czeka... Napisałem je więc sam...

Renato Benelli mówił dalej:

— Twój okropny kolega po fachu weźmie cię do siebie na obiad... Jesteście w tym samym wieku, ja jestem starcem: pomyślałem, że będziesz zadowolony, mogąc dzisiaj z nim zamieszkać, i że dla twoich córek będzie mniej przykre, jeśli będą tam się bawić w oczekiwaniu na dokończenie ostatnich prac.

Giuseppe zgodził się bez słowa. Poopaddy już zmieniał temat:

— Jego Eminencja obawia się, że dzisiaj może przyjść malarz, i przypuszcza, że Clarze i Cecilii będzie przyjemniej spać u mojej matki niż w jakiejś celi u zakonnic...

Małpa

Kwadrans potem Thomas zszedł ze schodów z Cecilia na ramieniu i kluczykami do samochodu w dłoni. Ruchem ręki pokazał Giuseppe starego mitsubishi, którego przednie i tylne zderzaki przypominały zderzaki buldożera.

— To samochód do polowania na bawoły... Podoba ci się? — Potem chwycił dziewczynki i usadowił je na tylnym siedzeniu. — Strasznie mi przykro, ale skoro nasz patriarcha nie chciał mi dać

swego rollsa, musiałem wziąć wóz terenowy... — powiedział i wskazał siedzenie pokryte sfatygowaną skórą. [Alan Poopaddy rzeczywiście miał staroświeckiego rolls-royce'a. To prawdziwy klejnot znaleziony w garażach wicekróla w chwili odzyskania niepodległości. Przywódcy Partii Kongresowej przekazywali go sobie z rąk do rąk, kiedy pojawiali się brytyjscy kurierzy żądający zwrotu tego wojennego łupu. Ostatecznie samochód wyładował w garażu nieposzlakowanego Poopaddy'ego, który go nie sprzedał — i który nawet odmawiał używania go w ruchu ulicznym w Delhi, bojąc się, by jakiś kiepski kierowca nie zadrapał tej relikwii.]

Przez dziesięć minut, jakie trwał przejazd samochodem, podskakującym na wyboistych, chociaż świeżo wyasfaltowanych ulicach, Giuseppe mógł do woli przyjrzeć się mężczyźnie, który wykonywał gwałtowne skręty. Thomas miał ciemną cerę Hindusów z południa, czarne jak węgiel włosy, duży nos, wydatne usta. Cała jego fizjonomia budziła spontaniczną sympatię. Wydawał się flegmatyczny, a zarazem podekscytowany, kpiący, ale nie szyderczy.

— No nie, musicie to zobaczyć! — zawołał nagle.

Wóz stanął w miejscu z piskiem opon, a potem zaczął pędzić na wstecznym biegu między trąbiącymi samochodami. Wreszcie zatrzymał się znowu. Nie bacząc, że za chwilę dojdzie do wypadku, kierowca odwrócił się ku swoim pasażerkom i pokazał im palmę.

— Spójrzcie na to drzewo, przyjrzyjcie mu się uważnie.

Kiedy dziewczynki krzyczały z zachwytu, ruszył, zapalając dunhilla ze złotym ustnikiem, podsunąwszy uprzednio srebrną papierośnicę Giuseppe.

— Byłoby szkoda, żeby nie zobaczyły pierwszej indyjskiej małpy na swojej drodze, nie uważasz? Wydaje mi się, że nie zostało ich już wiele na ulicach Bolonii... We Włoszech macie takie cholerne zanieczyszczenie...

Po dziesięciu minutach, kiedy odwracając się niebezpiecznie, Thomas zdążył już opowiedzieć Clarze i Cecilii kilka legend o kolejnych wcieleniach bóstwa, jakim jest małpa, samochód znowu zahamował. Thomas długo trąbił i wreszcie szerokie drzwi z rzeźbionego drewna otworzyły się na zieloną, jasną przestrzeń.

— Jesteśmy na miejscu, panienki...

Giuseppe nie zdążył wysiąść, gdy Clara i Cecilia już zniknęły mu z oczu.

Spomiędzy gałęzi wychyliła się głowa Thomasa.

— Chcesz tu zaczekać, aż twoje córki wszystko zwiedzą?
Giuseppe uśmiechnął się i wysiadł także, pochylając głowę, by nie zahaczyć o gęste listowie...

Róże Mary Poopaddy

Po wielu latach Giuseppe Lombardi wprowadził mnie do swojej „indyjskiej rodziny”. Teraz ja pchnąłem ciężkie drzwi z rzeźbionego drewna, przywiezione ze stanu Kuchi Bandar, gdzie klan miał rodzinne lenno w czasach kolonizacji. Zobaczyłem postać Mary, która czekała na mnie w odświętnym sari w kolorze szafranu. Wszedłem za nią przez ostro sklepione drzwi ozdobione po bokach delikatnymi płaskorzeźbami przypominającymi *moucharabieh*.

Przeszedłem z nią przez chłodne, cieniste pomieszczenia, gdzie surowy brąz palisandru i blade złoto bambusa rysowały ciche odpowiedzi na ognisty krzyk różów i zieleni, ciemnych błękitów i złota widniejących na ścianach; obchodziłem niskie stoliki, siadałem na matach; klęcząc na dywanach, obłożony jedwabnymi poduszkami z Majsuru, piłem pieprzną herbatę; podziwiałem batik z Tamil Nadu; z zapadnięciem nocy zapalałem z naszą gospodynią latarnie z meczetów w Radżastanie; zaprowadziła mnie aż do pogrążonej w ciszy, wielkiej, pokrytej kurzem biblioteki z wykładanymi drewnem półkami, gdzie w dymie jasnego angielskiego tytoniu i cynamonowym zapachu wosku zdawał się jeszcze pracować cień patriarchy Alana.

Mary pokazała mi i „Brotherowi Giuseppe” swoje ciągle świeże róże; milcząca postać z gołymi stopami w delikatnych sandałach raczej ślizgała się, niż szła po puszystym gazonie między krzewami angielskich róż, pod zwisającymi gałęziami drzewa tykwowego...

W czerwcu 2015 roku, kiedy Giuseppe wszedł do jej domu, Mary miała sześćdziesiąt jeden lat — i powitała go w języku angielskim, życząc miłego pobytu owemu „przyjacielowi”, o którym opowiadał jej syn, zanim jeszcze ten przyjechał do Indii. Giuseppe przeprosił ją za tak nagłe wtargnięcie do jej domu; poprosił, by nie nazywała go „ojcem”, ale „Giuseppe”. „Już i tak jestem ojcem moich żywych

jak srebro panienek, więc nie chcę brać na siebie jeszcze innego ojcostwa”. Nawet kiedy odwiedził ją jako papież , [Po powrocie do Włoch, a nawet po wstąpieniu na papieski tron, Giuseppe Lombardi starał się wracać co roku na trzy lub cztery tygodnie do Delhi, do ogrodu Poopaddych, z dala od chaosu świata, pod opiekę liści bananowca i róż Mary. Nazywał owe podróże „swymi powrotami do domu”. O wyrażeniu tym poinformowała mnie Monica, jego matka, ze źle ukrytą nutą zazdrości.] Mary nadal będzie go nazywała Brotherem Giuseppe. [Nadal nazywając swego syna „Father Thomas”, jak robi to jeszcze dzisiaj.]

Piękna kobieta w sari była już wówczas matriarchinią bardzo licznej rodziny, której dwanaścioro członków mieszkało pod jej dachem — i od której niezliczonych rozgałęzień roilo się niegdyś we wszystkich faktoriach w Indiach i teraz przysyłano różnych kuzynów, siostrzeńców, bratanków i innych bliskich, by odwiedzili jej dom.

Od stuleci wszyscy oni wyznawali wiarę chrześcijańską i każde pokolenie rodziny Poopaddy dało Kościołowi indyjskiemu wielu księży i zakonników. Ale człowiek, którego odwiedzali wszyscy ci goście, nie był duchownym; na dźwięk jego imienia z szacunkiem pochylały się głowy w politycznych i administracyjnych kołach indyjskiej stolicy. Alan Poopaddy miał wtedy dziewięćdziesiąt lat; prawie nie ruszał się ze swego gabinetu urządzonego w najczystszy angielskim stylu. [Alan Poopaddy urodzony w 1925 r. w rodzinnym lennie, wyjechał z Indii przed końcem II wojny światowej i skończył studia uniwersyteckie w Cambridge. Był gorącym zwolennikiem procesu pokojowej niepodległości prowadzonego przez Mahatmę Gandhiego, a dokończonego przez Partię Kongresu. Kiedy w 1949 r. wrócił do kraju, był adwokatem, wstąpił do stronnictwa Jawaharlala Nehru, i jako prawnik brał udział w redagowaniu Konstytucji Unii, promulgowanej 26 stycznia 1950 r. Nie opuścił już centrum administracji Nehru, był radcą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, potem bezkonfliktowo kontynuował karierę pod administracją Gandhich, matki i syna. Wycofał się z administracji i życia politycznego Indii w 1989 r., jednocześnie z Rajivem Gandhim po jego klęsce wyborczej.] Pił herbatę w porcelanie Wedgwooda, chrupał *scones* i sandwicze z ogórkiem, których okruchy zmiatał pergaminową ręką ze swych skarbów, wyciąganych z szaf i półek. Od dwudziestu pięciu lat stary mędrzec uciekał w studia i pisał swoje pamiętniki polityczne. Tajemnicę gabinetów zamienił na ciszę biblioteki, w której zamurował się żywcem, czekając za długim biurkiem, aż ktoś przyjdzie po jego rady.

Chociaż tak utalentowany, Alan zdobył się na jedno tylko genialne posunięcie: w roku 1970, mając czterdzieści pięć lat, poślubił

inne Indie, które strząsnęły z siebie zimną Anglię, nic nie zmieniając w swych szalonych barwach, swych upojnych zapachach, swych jedwabiach i malowanych boazeriach...

Mimo że Mary Panakall była katoliczką i pochodziła ze świętej rodziny, miała we włosach zapach pogańskich ofiar, a na ciemnej skórze, na smukłej szyi i delikatnych przegubach, nosiła dziką urodę bóstw.

Wychodząc za mąż, miała szesnaście lat; staremu uczoneму, którego mocno kochała (bo mądrze jest nauczyć się kochać tego, kto cię wybrał), urodziła ośmioro dzieci. Za jej sprawą w ich domu bardzo prędko zaczął roznosić się upojny zapach kadzidla, kardamonu... i róż, bo jednak trzeba ukorzyć się przed tym, co najlepsze ma Anglia.

Mary była wesoła, wspaniałomyślna, gadatliwa i zmysłowa; okazała się wyrozumiałą matriarchinią dla tego kolorowego, rojnego, niezliczonego plemienia... Giuseppe natychmiast uległ czarowi owej kobiety, będącej dokładnym przeciwieństwem jego matki; Mary od razu zaczęła darzyć sympatią tego pełnego rezerwy, czasem poważnego młodego człowieka, niemal bliźniaka jej Thomasa, który był od niego taki różny.

„Jak poranna chmura”

Na obiad, który jedli razem tego pierwszego wieczoru, było zwykle *tanduri* przyprawione zieloną cytryną. Ale obydwie dziewczynki patrzyły zdumione na „wujka Paddy’ego”, który pokazywał im, jak obrócić prawą ręką, żeby chwycić kulki z ryżu.

— Czy można jeść palcami? — spytała Clara.

— Trzeba. Tylko ludzie źle wychowani tego nie wiedzą — uśmiechnął się Thomas, zabierając im widelce.

Na deser były owoce mango z własnego ogrodu, jeszcze ociekające wodą, a potem Mary zaprowadziła do ogrodu Giuseppe, żeby mu pokazać swoje róże. Dwie młodsze siostry Thomasa zabrały dziewczynki do kuchni, gdzie miały zobaczyć rajskie ptaki. Thomas przyłączył się do swego „kolegi”, podał ramię matce, a z drugiej strony wziął pod rękę Giuseppe.

— Chyba się zaprzyjaźnicie; wydaje mi się, że zostaniecie

przyjaciółmi wiernymi niczym woda i piasek. — Potem nagle powiedziała spontanicznie: — Chodźmy do mego męża i monsignore Benellego, którzy siedzą w bibliotece...

— Jest tu nuncjusz? — zdziwił się Thomas.

— Mój Boże, przecież jest zawsze, kiedy tata wyciąga cherry i cygara... — zaśmiał się Thomas.

Oto jak wyglądało bezpieczne sanktuarium Giuseppe Lombardiego. Zawsze były tu świeże róże, krągłe, słodkie owoce, wytwornie podana herbata. Wiedza Alana, mistrza negocjacji, stanowiła cenne wsparcie dla sekretarza nuncjusza. Mary i Giuseppe połączyło umiłowanie muzyki. To ona nauczyła go grać na sitarze, pięknym instrumencie o ośmiu strunach, a Giuseppe okazał się pojętym uczniem.

Ten ogród i te róże, duży pokój ze świeżą pościelą, który czekał na niego, kiedy wracał późno z dalekich podróży, łagodność Mary i zapachy jej kuchni, śmiech córek domu, wesołość, wyrafinowana inteligencja, przyjaźń i humor Paddy'ego stały się źródłem młodości, powrotem do życia, zmartwychwstaniem...

Wiele lat później Mary opowiedziała mi o tym takimi oto pięknymi słowy: „Kiedy go poznałam, była w nim owa powaga serca, owa zasłona na jego głębokiej nadziei. W naszym spokojnym ogrodzie cień Chiary stał się miłym, promiennym towarzyszem, jak poranna chmurka”.

Bliźniacy nuncjusza

„Paddy” i jego „starszy brat”

Od pierwszej chwili Paddy mówił: „Jestem jego młodszym bratem”. W rzeczywistości urodził się dwa tygodnie przed Giuseppe. „Ale — wyjaśniał — ponieważ doświadczył miłości kobiety i przeżył śmierć ukochanej, jest moim starszym bratem”.

Przez siedem lat „hollywoodzki konsultant” Benellego będzie *alter ego* jego sekretarza, jego nierozłącznym towarzyszem w dobrych i złych chwilach... Nuncjusz Benelli prawie natychmiast ich skojarzył; na jego polecenie razem podróżowali po kraju. [Thomasa Poodaddy'ego oddała do dyspozycji nuncjusza Konferencja Episkopatu Indii.] Oficjalnie odpowiadali jeden za drugiego i byli nierozłączni. Przez kilka lat przemierzali Indie, odwiedzali chrześcijańskie wspólnoty, spotykali się z biskupami, aby informować nuncjusza, który z kolei informował Rzym.

Thomas, piąte dziecko licznej, szczęśliwej rodziny, był niezależnym i promiennym odpowiednikiem Giuseppe, jego optymizmem... U niego powołanie objawiło się inaczej niż u Giuseppe. Od najmłodszych lat mówił, że chce zostać księdzem. Nie przeszkadzał mu celibat, od jego planów mogłyby go odwieść jedynie ukochane konie; ostatecznie wybrał kapłaństwo, „ponieważ sutanna trwa dłużej niż skakanie przez przeszkody”.

Profesorowie Thomasa rozwijali jego wielkie zdolności intelektualne, lotność, błyskotliwość — i starali się nieco przykrócić lenistwo swego podopiecznego, aby jego wielkie możliwości nie okazały się jedynie słomianym ogniem. „Kocham być leniuchem, ale mi nie pozwalają leniuchować”, usprawiedliwiał się później wobec ludzi, zdumionych jego wytrwałością w pracy.

Mary powstrzymała go przed zbyt wczesnym wstąpieniem do seminarium i poradziła, by pojechał „do kolonizatorów” zobaczyć, czy nie można czegoś od nich się nauczyć: między osiemnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia chodził na uniwersytet w Oksfordzie, gdzie studiował teologię i nauki o religii. Wyniósł stamtąd żywe zainteresowanie teologią feministyczną i oksfordzki angielski, z którym to akcentem mówił w sposób zamierzony, by podkreślić cechy swego flegmatycznego humoru. Wykształcony w Rzymie przez jezuitów z Uniwersytetu Gregoriańskiego, w 2005 roku został wyświęcony na księdza w New Delhi. Jako człowiek z dobrej rodziny i świetny teolog był wręcz stworzony do objęcia katedry w Delhi...

Giuseppe i Thomas mieszkali w Rzymie w tym samym okresie, w 2001 i 2002 roku, ale nigdy się tam nie spotkali. W odstępie dwutygodniowym jeden przyjął święcenia kapłańskie, a drugi się ożenił. Nie wydawało się, by Włochowi i Hindusowi, synom szlacheckich rodów, był pisany ten sam los... Ale Thomas został bratem, którego nigdy nie miał Giuseppe. Kochali się, śmiali, robili sobie kawały. „Była to przyjaźń pełna dowcipów i kuksańców”, powiedział Paddy. Dla Giuseppe była to niemal druga młodość.

Wielki błąd siostry Marii Magdaleny

Thomas był wielkim amatorem dowcipów, zwłaszcza wątpliwych... Pewnego wieczoru, trzy tygodnie po wprowadzeniu się trojga Lombardich do apartamentów na drugim piętrze nuncjatury, Thomas przyszedł do Giuseppe z zafrasowaną miną.

— Giuseppe, muszę z tobą porozmawiać. Na pewno zauważyłeś, że niektóre z tych młodych nowicjuszek są bardzo ładne. — Zdumiony Giuseppe milczy. — Nawet bardzo ładne... — Włoch kiwa głową, pozwala przyjacielowi mówić dalej. — Jest zwłaszcza jedna,

siostra Maria Magdalena... Ja... No cóż... Jesteśmy bardzo blisko... I chciałbym ci ją przedstawić.

Giuseppe spytał spokojnie:

— Jak to, jesteście bardzo blisko, Paddy?

— No cóż... Kilka razy dzieliliśmy już pokój, a nawet łóżko... I widzieliśmy się nago... Musisz ją zobaczyć, wtedy lepiej zrozumiesz.

Obydwaj wyszli z pokoju i w ciemnościach zeszli piętro niżej. Paddy zaprowadził Giuseppe do jeszcze oświetlonej kuchni. Przed filiżanką herbaty siedziała młodziutka nowicjuszka o anielskiej twarzy, miała na sobie habit, pod kruczoczarnymi włosami widać było ciemną skórę... Kiedy weszli, wstała i opuściła ramiona. Paddy pocałował ją i powiedział:

— Giuseppe, przedstawiam ci siostrę Marię Magdalenę... A to mój przyjaciel, ojciec Lombardi...

Młodzi ludzie spojrzeli na siebie, ona była onieśmielona, on nie bardzo wiedział, jak się zachować. Cisza przedłużała się i tylko słychać było, jak kuchenny zegar odlicza sekundy...

— Pomyślałem, że musisz poznać moją młodszą siostrę, ostatnią z rodu, zwłaszcza że mieszkacie o niecałe sto metrów od siebie — powiedział Thomas.

— Twoją młodszą siostrę? — Giuseppe pojął w końcu żart.

— Tak, Indire Poopaddy... Słyszałeś już o niej u nas w domu, prawda? Ale ponieważ tata nadał jej bardzo mało katolickie imię, przyjęła inne, składając śluby zakonne... — I Thomas zaczął się śmiać jak szalony, podczas gdy Giuseppe i Maria Magdalena zawie-rali znajomość przy herbacie.

Dla Thomasa te permanentne żarty były odreagowaniem, jakby reakcją przeciwko zachowaniu jego „kolegów po fachu”, którzy czuli się w obowiązku „zachować godność”. Powiedział mi: „Giuseppe był prawdziwym księdzem, wystarczyło zobaczyć, jak odprawia mszę. Nie potrzebował żadnych komedii, by utwierdzić swą pozycję...”.

Giuseppe nauczył się odplacać Paddy'emu pięknym za nadobne. Pewnego dnia, kiedy przyjechali do jakiejś zapadłej parafii, przedstawił Paddy'ego proboszczowi jako „monsignore Benellego, nuncjusza apostolskiego...”. I przez całe odwiedziny tytułował go eminencją, zmuszając do zachowania powagi, mimo że dusił w sobie szalony śmiech w obliczu wspólnoty zachwyconej, że ma takiego młodego nuncjusza, na dodatek rodaka.

Kardynał jezuita

Przez cztery pierwsze miesiące współpracy „bliźniaków kardynała” Giuseppe Lombardi nie mógł odprawiać publicznie mszy... Nie został przydzielony do żadnej parafii i Benelli poprosił, by zaczekał, aż monsignore Anil „wyzdrowieje lub umrze”, by kardynałowi jezuitcie lub jego następcy można było przedstawić sprawę działalności duszpasterskiej wyrzutka.

Na początku wiosny 2015 roku, dokładnie 15 września, Godfrey Anil znowu cudownie uzdrowiony [Biskup Delhi, urodzony w Ahmadabadzie przed sześćdziesięciu trzema laty, cierpiał na raka płuc, raka palaczy; od trzech lat wydawało się, że gaśnie, ale nadal pracował (i cmił te straszne indyjskie papierosy z szarego tytoniu, które zaczął palić, kiedy miał piętnaście lat). W chwili tej wizyty skończył właśnie trzecią chemioterapię, która miała być jego „ostatnią szansą”: lekarze byli przeświadczeni, że jego organizm nie znieśie tego leczenia...] przyjął wreszcie księdza Fidei Donum, któremu jego diecezja „udzieliła azylu”... Poprzedniego dnia, 14 września, w dzień święta Podwyższenia Krzyża Świętego, dwa lata po jego „latynoamerykańskim puczu”, a niecały rok po swym wyborze, Pius XIII zapowiedział zniesienie Towarzystwa Jezusowego [Towarzystwo Jezusowe (jezuici), na pierwszym miejscu w swym statucie umieściło posłuszeństwo papieżowi. W imię owego posłuszeństwa Pius XIII rozwiązał Towarzystwo, którego potęgą w Ameryce Łacińskiej zaczęła ograniczać jego działalność.] — natychmiast rozwiązanego w Ameryce, a następnego roku w reszcie świata. Według Villaverdego decyzja ta była „światłem dla świata—teraz każdy jezuita odda się służbie w jakiejś parafii czy diecezji z talentem i charyzmą, na które jego zakon nie może mieć wyłączności; i słabości, które naprawią jego bracia”...

Każda diecezja musi organizować „recykling” uniwersytetów, kolegiów i szkół, bibliotek i księży Towarzystwa...

Rozmawiając z Giuseppe, monsignore Anil nie bawił się w owijanie rzeczy w bawełnę.

— A więc rąbnął ksiądz jednego z tych... I to w czasie nabożeństwa?

— W zakrystii, po mszy...

Podał Lombardiemu jakiś dokument i powiedział:

— Proszę, oto co przysłali mi ludzie, którzy chcą księdza zawiesić...

Monsignore Anil wymachiwał otrzymanymi z Rzymu rozkazami,

które nakazują jezuitom dołączyć do diecezjalnego duchowieństwa „w służbie swych biskupów, będących strażnikami apostolskiego dziedzictwa, którego gwarantem jest następca Piotra. W ten sposób pozostaną wierni podjętemu zobowiązaniu, że będą wszędzie sługami papieża”. Następnie były szczegółowo wyliczone polecenia: Jezuita mają zostać rozproszeni w różnych parafiach; żaden z nich nie może być proboszczem w parafii, gdzie byłiby inni członkowie Towarzystwa; że rozproszeniu mają ulec także ich biblioteki... Chodzi o unicestwienie Towarzystwa, zniszczenie wszelkiego załączka odrodzenia...

— Niektórzy zawsze zazdrościli wolności tonu i myśli waszego Towarzystwa, monsignore.

— Rzeczywiście, wielu nas nienawidzi. W Ameryce nasi wrogowie od dziesiątków lat szykowali się do zajęcia naszego miejsca. Nadeszła ich godzina... Ale ci, którzy atakują Towarzystwo, nie na długo zatriumfują.

— Proszę mi wybaczyć, monsignore, ale... Czy Jego Eminencja będzie posłuszny?

— A czy zostaje mi jakiś wybór? Nie mogę dostarczyć im niczego, co pozwoliłoby mnie usunąć. Mogę być azylem dla niektórych z moich braci jezuitów i kto wie, pożytecznym elektorem podczas następnego konklawe...

— Jeśli przyjęcie mnie może przeszkodzić Jego Eminencji w udzieleniu schronienia innym braciom...

— Nie martw się o to. W diecezji w Delhi przyjmuję, kogo mi się podoba, mogę otworzyć drzwi, komu zechcę... Jednak proszę sobie wbić do głowy rzecz następującą, Lombardi: jeśli zechce ksiądz ruszyć do walki z nimi, pod żadnym pozorem nie może się przyznać do jakiegokolwiek związku ze mną... W przeciwnym razie zguba księdza pociągnie za sobą wiele innych w tej diecezji.

— Nie myślałem rzucić się do walki z...

— Nie mogę cię ani do niej zachęcać, ani ci jej zakazać... Ale ponieważ chciałbym, aby Towarzystwo liczyło tutaj tylu młodych ludzi co w Argentynie, i tak zdeterminowanych... [Kardynał jezuita Buenos Aires, Felipe Arrau, zapowiedział utworzenie „zamkniętego jezuitckiego uniwersytetu, który zawsze będzie popierał walkę pokojową, inteligentną, otwartą”: „zszedł do podziemia” w argentyńskim Chaco wraz z około dwustu jezuitckimi studentami z całej Ameryki Łacińskiej... W owych czasach plotka głosiła, że inne szkoły i nowicjaty Towarzystwa stawiały opór w brazylijskiej dżungli i w peruwiańskim Alti Plano.]

Zaproszenie do podziemia

Stary, zdyszany biskup o zachrypniętym głosie wyglądał teraz jak stary generał bez żołnierzy, który znajduje sobie przypadkowych sojuszników, by wydać walkę partyzancką...

Monsignore Anil wziął ze stołu kolejną kartkę:

— Czytałeś to? Pozwól, że przeczytam ci to jako pierwszemu... Kaszle...

— „Bądźcie silni, bądźcie wierni! Ten, który jest miłosierdziem, wyciąga rękę do swego stworzenia, widzi zasmucony, że grzech panuje nad jego stworzeniem. Czy nie usłuchacie jego krzyku? Bracia moi, słowami samego Piotra i tych wszystkich, którzy nastąpili po nim, pozwólcie mi wezwać was. Upokorcie się więc pod mocną ręką Boga, aby was wywyższył w stosownej chwili. Wszystkie troski wasze przekażcie mu, gdyż Jemu zależy na was. Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący kraży, szukając, kogo pożreć. Mocni w wierze przeciwstawcie się jemu! Wiecie, że te same cierpienia ponoszą wasi bracia na świecie. A Bóg wszelkiej łaski, Ten, który was powołał do wiecznej swojej chwały w Chrystusie, gdy trochę pocierpicie, sam was udoskonali, utwierdzi, umocni i ugruntuje. Jemu chwała i moc na wieki wieków! Amen”.

Kardynał jezuita podniósł oczy znad kartki i popatrzył na swego rozmówcę; w jego spojrzeniu płonąła buntownicza furia.

— Wiesz, kto napisał te słowa, Lombardi?

— Sądzę, że chodzi o zapowiadaną encyklikę...

— Istotnie, oto co napisał Meksykanin w swojej encyklice *My, którzy jesteśmy grzeszni*, ogłoszonej tego samego dnia, gdy oznajmił o śmierci Towarzystwa.

Giuseppe milczał.

— Jesteś księdzem, Lombardi. Biskup, na którego ręce złożyłeś śluby posłuszeństwa, powierzył mi ciebie i byłbym zadowolony, gdybyś mógł odprawiać mszę i zostać z nami tak długo, jak będzie to potrzebne. Ale...

Biskup znowu zaniósł się gwałtownym kaszlem, od którego w kącikach oczu pojawiły się łzy.

— Ale osądź, czy dobrze ulokowałeś swoje zaufanie. Albowiem od tego dnia moje posłuszeństwo następcy Piotra jest czysto formalne. Będę nieposłuszny, ile tylko będę mógł, jeśli to przy spieszy upadek naszych wspólnych wrogów; wiedz o tym, z miłości

dla Chrystusa jestem nieposłuszny. Tak oświecony na temat mych zamiarów możesz uczciwie ocenić, ile jest warta moja biskupia władza.

Giuseppe spojrział na tego starego człowieka, którego słowa, gdyby zostały rozpowszechnione, naraziłyby go na największe niebezpieczeństwa. Tak jak w dniu swych święceń złożonych na ręce Morra, klęknął na jedno kolano i włożył dłonie w ręce starego jezuitę.

— Nigdy gościna nie wydała mi się bardziej szczerą od gościny Waszej Eminencji, monsignore. I nigdy posłuszeństwo, które mi Wasza Eminencja proponuje, nie było dla mnie takim wyzwaniem.

— Żyjemy w czasach, gdzie lepiej, by sługi Chrystusa okazały się wojownikami wytrzymałymi, inteligentnymi i wolnymi, a nie dobrymi ograniczonymi żołnierzami...

— Zapamiętam to, monsignore...

Anil skończył, potrząsnął z uśmiechem głową i wstał.

— Dobrze... Wydaje mi się, że wolność twoja i moja zakładają, że już się nie zobaczymy. [Rzeczywiście, do śmierci Piusa XIII zobaczyli się jeszcze tylko dwa razy: po uwolnieniu Lombardiego, w 2018 r., biskup oficjalnie przyjął oswobodzonego zakładnika — ale czy mógł zrobić mniej? — i został zaproszony na ślub Josepha z Mariną.] W ten sposób wybory jednego nie będą narażały drugiego. Ale wiedz, że masz całą moją przyjaźń, całą moją braterską przyjaźń.

W drzwiach Godfrey Anil znów zaniósł się kaszlem i uśmiechnął ironicznie.

— A ponieważ podobno zaprzyjaźniłeś się z moim „następcą”, postaraj się wpoić temu błyskotliwemu człowiekowi nieco odporności na zło... Jak dotąd, jego życie ani trochę nie przygotowało go do walki. Tymczasem jestem przeświadczony, że może być jednym z ludzi, których Indie będą potrzebowały... [Lombardi opowiadał tę końcową część rozmowy takim tonem zimnego humoru, że Poopaddy nigdy nie wiedział, czy ją wymyślił, czy też dosłownie powtarzał.]

Ściskają sobie dłonie...

Trzy dni po tym spotkaniu Giuseppe Lombardi opublikował pierwszy rozdział blogu podpisany Tomasz. Przystąpił do ruchu oporu i pierwszym aktem jego walki był tekst zatytułowany *My, którzy jesteście my ocaleni*.

3

Black Decade

Powrót przypadku

Podczas wręczania pokojowej Nagrody Nobla w Oslo Giuseppe Lombardi oświadczył: „Oby ta nagroda była zapowiedzią długiego okresu pokoju po straszliwych doświadczeniach, które były naszym udziałem od przeszło dziesięciu lat. Tym światem za długo rządził strach; oby do swych praw mogła powrócić nadzieja”.

U genezy owej długiej nocy, owych dziesięciu lat, nazwanych przez historię Black Decade, [Na ogół przyjmuje się jako granice chronologiczne lata 2013–2014 do 2023–2024 — od pierwszych alarmów wszczętych przez WHO z powodu SZWN do rozwiązania wielkiego kryzysu jerozolimskiego.] leżał SZWN, który dotknął przede wszystkim Afryki, a ta niestety poddała się nieszczęściu, i poraził kraje zachodnie i rozwinięte, które od przeszło czterdziestu lat widziały, że co roku zyskują trzy miesiące życia.

Na wiosnę 2016 roku Światowa Organizacja Zdrowia opublikowała tę przerażającą statystykę — w Europie Zachodniej wirus rozwijał się u 4,5% kobiet w ciąży i prawie 3% z nich zmarło. Owego roku Unia Europejska zarejestrowała 170 000 zgonów na SZWN. Był to szczyt: dzięki środkom całkowicie eliminującym gołębie miejskie i kilka innych gatunków ptaków, rozpylaniu przez samoloty środków na komary udało się ograniczyć liczbę zakażeń — oczywiście przyczyniła się do tego również owa dziwna moda na wielkie tiulowe woalki, które nosiły miliony ludzi.

Szok wywołany SZWN był najpierw szokiem sanitarnym. Ale dla krajów północnych, chronionych przez zaawansowane systemy ochrony zdrowia, którym zazwyczaj udawało się uniknąć nieszczęśliwego zrządzenia losu, był to wstrząs psychologiczny. Handlarze złudzeń, zwłaszcza religijnych, robili furorę. Niektórzy naukali lub werbowali za pieniądze; wielu robiło to po prostu dla przyjemności, jakiej dostarcza owa władza nad duszami.

Kościół katolicki był, niestety, jednym z aktorów tego wybuchu obskurantyzmu. Katolicyzm zachodni od trzydziestu lat trwał w agonii, a SZWN rzucił nagle ludzi na kolana w kościołach. Kiedy Pius XIII ogłosił „rok skruchy”, monsignore Villepreux, wówczas arcybiskup Lyonu, napisał: „Zamęt w naszych miastach zdawał się czekać na te słowa; od czterdziestu lat burżuazje zachodnie przestały się bać gwałtownej śmierci, która uderza na chybił trafił. Mężczyźni i kobiety czekają na wyjaśnienie nieszczęścia, na winowajcę; chcą znać jego przyczynę; będzie im łatwiej, jeśli sami poczują się winni i okażą skruchę, by uniknąć nieuchronnego gniewu”.

Rekonkwista i „rechrystianizacje”

Pius XIII ofiarował Kościołowi to, na co czekał — i na Zachodzie zobaczono długie procesje pokutników bijących się w piersi, klęczących mężczyzn ze wzniesionymi ramionami i płaczących, w nadziei, że uratują życie dziecka czy żony. Widziano mężczyzn, kobiety i młodzież czekających długie godziny przed konfesjonałami na spowiedź i pokutę, by uśmierzyć gniew Boga, którego długo lekceważyli. Wielu duchownych, którzy cierpieli z powodu obojętności, a czasem nawet pogardy, znalazło w tym słodki odwet.

Strach przed chorobą odkrył również najgorsze strony ludzkości. Wirus niszczył nie tylko życie; niszczył w ludziach człowieczeństwo. [W 2016 r. wielu przewodniczących narodowych konferencji episkopatów zastanawiało się, czy nie należy tymczasowo zabronić wstępu do miejsc kultu i nabożeństw chorym i ich rodzinom, przynajmniej dopóki nie będzie absolutnej pewności co do nosicieli zarazków, pod pretekstem, że „nie wolno ryzykować zdziśiatkowania ludu Bożego...”.] Wracały czasy dżumy i szalonej paniki. Każdy człowiek stawał się wrogiem.

Widziano matki odsuwające się ze zgrozą od swych dzieci, mężów odmawiających wzięcia pod swój dach chorej żony.

Na Zachodzie katolicycy dostojnicy kościołni zainicjowali lub popierali agresywną politykę rekonkwisty. Zajmowali przestrzeń publiczną, stadiony, place kościelne, esplanady; „odzyskiwali” miejsca kultu, które stały się zwykłym dziedzictwem narodowym, [Niektórzy organizowali modlitewne czuwania przed dziełami sztuki sakralnej, przede wszystkim w muzeach Luwru i Prado.] organizowali procesje na ulicach, byli nieustannie obecni w mediach, gdzie zaczęto zapraszać biskupów, tam gdzie niegdyś zapraszano by lekarzy... Owa strategia podboju miała ogromny skutek przyspieszający, radykalizując dwa bardzo różne ruchy, które powstały przed tym okresem.

Śmierć Bogu!

Ruch bogobójczy powstał z okazji kolokwium zorganizowanego w Tiranie (Stolica Albanii, gdzie lokalny komunistyczny tyran ośmielił się nakazać dekretem „śmierć Boga”.] w kwietniu 2010 roku. Wzięli w nim udział „laicy bojownicy” i „myśliciele ateizmu” zajmujący się radykalnie anty-religijną „biblią”, pióra jednego z francuskich filozofów. [Michel Onfray, *Traiti d'athéologie*, Paryż 2005.] Manifest Europejskiej Międzynarodówki Bogobójczej, opierał się na następującym postulatcie: „Monoteizm kocha śmierć, uwielbia śmierć, cieszy się śmiercią, jest nią zafascynowany. Daje ją, masowo ją rozdziela, grozi nią, przechodzi do czynu: zakrwawionym mieczem Żydów mordujących Kananejczyków na użytek liniowych samolotów jako latających bomb w Nowym Jorku, poprzez zrzucenie ładunków atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, wszystko dzieje się w imię Boga, z jego błogosławieństwem, ale przede wszystkim z błogosławieństwem tych, którzy się o to upominają. [Michel Onfray, op.cit.]

W 2010 roku ateści oświadczyli, że ich celem jest ostateczne uśmiercenie idei Boga w naszych społeczeństwach, w naszych instytucjach, w naszej filozofii, moralności, w naszych łóżkach, we wszystkich zakątkach, gdzie opiera się jeszcze racjonalizmowi i

postępowi. [*Charles Dieuleveux, Pour la mort de Dieu, manifeste deici-taire, Bruksela 2010.*] Radykalizacja terroryzmu wystąpi pod koniec Black Decade, po tym, jak przez dziesięć lat usiłowali bronić cywilizacji przed religijnym szaleństwem.

Natomiast Reforma zrodziła się w środowisku studentów magrebińskich na Półwyspie Iberyjskim i pakistańskich na wyspie brytyjskiej. [Chodzi o jedno z możliwych, choć zazwyczaj kontestowanych tłumaczeń. Na ogół tłumaczone jako „walka”, słowo „dżihad” opisuje najpierw wysiłek osobisty, „wojnę” osobistą, jaką musi prowadzić każdy wierzący, by stać się pobożnym i przykładowym wiernym. Słowo „reforma” jest wyraźnym odniesieniem do dżihadu wewnętrznego, wewnętrznej reformy proponowanej przez Koran — napiszą jej założyciele — moim zdaniem ci, którzy widzą w niej raczej aluzję do ijthadu, owej stworzonej przez muzułmańskich prawników możliwości „ponownego odczytania”, dającej wszystkim wierzącym możliwość reinterpretacji świętych tekstów, dokonują... reinterpretacji.] Hasłem do niej stał się zamach z listopada 2012 roku na nową katedrę Historii Porównawczej Religii Europejskich na bełkotliwym uniwersytecie Al-Andalous w Toledo... Owi młodzi muzułmanie odkrywają, że stali się celem terrorystycznego islamu salafijskiego. [Salafia — reformistyczny ruch arabsko-muzułmański z końca XIX w., głoszący powrót do pierwotnej doktryny.] W okresie kilku miesięcy w Toledo i Londynie studenci socjologii, psychologii, historii religii rozpoczęli dyskusje dotyczące dwóch pytań: Dlaczego krajom o muzułmańskiej większości nie udaje się wprowadzić prawdziwej demokracji? Dlaczego demokracjom nie udaje się zrobić miejsca dla swych muzułmańskich obywateli?

W owych małych kołach intelektualnych pojawia się pewna wyjątkowa osobowość; Nur Saighi-Morales staje się rzecznikiem, duszą i głosem Reformy... „Rechrystianizacja” społeczeństw protestanckich i katolickich sprawi, że Reforma rozpocznie „akcje bezpośrednie”.

Koszmary Ameryki

Od września 2016 roku władze sanitarne poznały już sposoby rozprzestrzeniania się SZWN. Nagroda Nobla przyznana w październiku Lombardiemu i Rustu położyła kres ostatnim wątpliwościom społeczności naukowej, czy choroba jest istotnie zjadliwą

mutacją Wirusa Zachodniego Nilu. Nauka zdała sobie sprawę z wagi przeciwnika...

W Europie niektóre Kościoły zaczęły pustoszeć. Ale gdy powróciła nadzieja, „powrót do religianctwa” przyjął nowy obrót.

Od piętnastu lat niekończąca się kampania znaczonej salafijskimi zamachami zmęczyła opinie publiczne w krajach zachodnich. Mimo obietnicy „zwalczania wroga zgodnie z prawem i według międzynarodowych ustaw” demokratyczna pani prezydent Stanów Zjednoczonych nie uzyskała spodziewanych wyników. 11 września 2016 roku wybuch (nieudany) przy pomniku Ground Zero i atak (udany) informatycznych piratów na wielkie światowe systemy odradzają koszmary Ameryki. Dochodzenie ujawniło, że do owych obu zamachów podżegali młodzi amerykańscy Arabowie zamieszkujący Stany Zjednoczone.

Analitycy zgodnie dzisiaj przyznają, że odpowiedzialność za ten nowy 11 września ponosi zwycięstwo pastora Jamesa w listopadowych wyborach prezydenckich. W pełni zadziałał odruch strachu i amerykańska *middle class* rzuciła się w ramiona człowieka, który gwarantował Ameryce, że będzie z nim pod opieką samego Boga.

Historia osądziła już, że pastor James był bezsprzecznie jednym z najgorszych podżegaczy w długiej drugiej połowie Black Decade. Ale trzeba przyznać, że odpowiedzialność nie była jednostronna. Kraje Unii Europejskiej i Chiny przyspieszyły Jamesowskie usztywnienie i ekstremizm. Narody Zjednoczone, zmarginalizowane przy rozwiązywaniu konfliktu izraelsko-palestyńskiego, [Powstanie państwa palestyńskiego w 2013 r. z błogosławieństwem pani prezydent Stanów Zjednoczonych pozwoliło przypuszczać, że kwestia palestyńska została rozwiązana. Owa „Palestyna”, kuperek, prawdziwy Bantustan na granicach Gazy na północy i wschodzie, poszerzona o kawałek pustyni Synaj ofiarowanej przez Kair palestyńskim braciom (w rzeczywistości kupiona po cenie złota przez Tel Awiw), nie mogła jednak na długo zaspokoić marzeń o państwie palestyńskim...] niezdolne do odegrania decydującej roli w kryzysie sanitarnym z 2014 roku [WHO nie koordynowała środków kwarentanny i powstrzymania epidemii; poszczególne państwa nie uważały za stosowne uzgodnić z Radą Bezpieczeństwa zamknięcia granic, wprowadzenia embarga itp.] zostały w końcu potępione głosem swego sekretarza generalnego, gdy oznajmiły, że są wrogie kandydatowi republikańskiemu.

„Śmierć ONZ” z wiosny 2014 roku jest jedynie oficjalnym odnotowaniem oczywistego stanu rzeczywistego. [Miesiąc po wygaśnięciu swego mandatu James poprosił wszystkich urzędników, pracowników etatowych, funkcjonariuszy i dyplomatów ONZ, żeby podpisali „deklarację lojalności” wobec Stanów Zjednoczonych-pod karą zakazu wstępu do Nowego Jorku i do siedziby ONZ. Oznajmił: „Niektórzy dyplomaci państw zbójceckich są prawdziwą piątą kolumną, która tylko czeka, kiedy będzie mogła jeszcze raz tchórzliwie uderzyć w Nowy Jork”. W kwietniu, po dwóch miesiącach ostrego kryzysu, kiedy sekretarz generalny poinformował o swej „niezdolności do zagwarantowania płac”, kraje członkowskie, które wyjątkowo zebrały się na zgromadzeniu ogólnym, zadeklarowały „śmierć ONZ” i wezwały do odtworzenia gdzie indziej międzynarodowej organizacji. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i Chin byli tego dnia nieobecni.]

Radykalizm religijny, islamski terroryzm, profetyzm rodem ze Stanów Zjednoczonych, poniżające środki wobec amerykańskich Arabów, wyłonienie się wzmożonej świeckiej reakcji, zniknięcie światowego *leadershipu*... Wszystkie te sprawy, które doprowadziły nas do „krwawej Wielkanocy” z 2019 roku, a po trzech latach do wielkiego kryzysu jerozolimskiego, były już obecne w 2017 roku.

Niech żyje zaraza!

Drogi nawrócenia

Ukazanie się na jesieni 2015 roku encykliki Piusa XIII zbiegło się z pierwszymi oznakami katolickiej „rekonkwisty”. List był o wiele krótszy od listów jego poprzednika, intelektualisty Jana XXIV. W owym napominaniu do skruchy papież nawoływał wierzących, by ze swej bezpośredniej historii uczynili historię Zbawienia. Encyklika rozpoczynała się takim oto zadziwiającym rozdziałem:

„DO NAS, KTÓRZY JESTEŚMY GRZESZNIKAMI, Bóg nie przestaje wysyłać znaków. Jeszcze dzisiaj straszliwe doświadczenia, przez które przechodzą ludzie, są dla tych, którzy potrafią odczytywać znaki czasu, ostrzeżeniem danym od Boga. Ale oślepieni grzechem wierzą tylko swemu rozumowi i pokładają nadzieję jedynie w nauce, odrzucając Boga i jego miłość, uciekają od prawdziwego życia, by szukać schronienia u nowoczesnych bożków.

Dzisiaj wszechświat stworzony przez Boga, grzmi przeciwko naszym grzechom”.

Tekst kończył się przejmującym wezwaniem do nawrócenia i ogłosił rok skruchy od 8 grudnia 2015 roku do 8 grudnia 2016 roku. Pius XIII wybrał datę Niepokalanego Poczęcia Dziewicy Maryi, gdyż zanim światło Zbawienia załało Ziemię, umiała powiedzieć „tak” na wezwanie Boga i współdziałać przy tajemnicy Zbawienia, by świat został uratowany. „Powierzmy się więc mądrości i miłości Dziewicy Maryi, wzorowi wszelkiego posłuszeństwa, która, jedyna obok Pana Naszego, została poczęta bez grzechu. Niechaj ona, której

zostało dane być przy synu jednorodzonym przepotężną pośredniczką i obrończynią całego świata, będzie przewodniczką Kościoła i całej ludzkości ku drogom nawrócenia i zbawienia”. [Pius IX, bulla Inefabilis Deus: Acta Piusa IX, tom I, część 1, s. 617, cyt. w encyklice Ad Diem Illum Piusa X.]

Wrogie Piusowi XIII media podważają fundamentalistyczną interpretację, jaką papież daje SZWN, traktując go jako karę Boską. Sprzyjający Meksykaninowi teolodzy odpowiadają, że te słowa przekręcają to, co napisał papież. Rzeczywiście Pius XIII nie mówi, że choroba jest karą. Według niego jest znakiem, aby oszczędzić nam kary o wiele większej; jest „łaską”.

Podziemny uniwersytet jezuicki w Argentynie odpowiedział: „Znakiem, jaki daje Bóg, jest miłosierdzie w sercach ludzi, którzy służą ludziom i ich pielęgnują. Bóg nie przemawia poprzez wirusy lub mikroby, komunikuje się z nami za pośrednictwem swego Ducha. — Po miłości, jaką będziecie mieli dla siebie nawzajem, poznają, że jesteście moimi uczniami”.

„My, którzy zostaliśmy zbawieni”

Biskupi afrykańscy próbują ogłosić kontrtekst. W braku konsensusu, ośmiela się przemówić jeden tylko głos: kardynał arcybiskup Jaunde oświadcza 1 października 2015 roku:

„Ja, Paul Assoumou, nie głoszę chrześcijaństwa pokuty, ale chrześcijaństwo miłosierdzia. »Nawróćcie się do Pana Boga naszego! On bowiem jest łaskawy i miłosierny...«, pisał apostoł. Ja zę swej strony zaklinam was: nie róbcie z Boga karykatury waszego strachu... [Księga Joela 2,3.]

Ja, Paul Assoumou, biskup, ochrzczony i Murzyn, głoszę Nadzieję. Nadzieja, którą wykazujemy my, Afrykanie, którzy przeżywamy od pięćdziesięciu lat epidemie i wojny, ludobójstwo i zapomnienie. Na naszej ziemi zmarli chowali zmarłych, a żywi nadal głosili światłość, nie błagając Boga o powstrzymanie swego ramienia, ponieważ wiedzieli, że nie odpowiada za nasze nieszczęścia.

Ja, Paul Assoumou, biskup, ochrzczony i Murzyn, świadek Nadziei, jaką wznosi nawet w swej agonii czarny kontynent, powiadam wam, bracia: obraża imię Boże ten, kto uważa, że Bóg potrzebuje widoku naszej krwi i naszych łez, by obudzić się i nas wysłuchać!”

7 października 2015 roku, dokładnie trzy tygodnie po wydaniu encykliki, ukazuje się krótki tekst — pierwszy rozdział blogu autorstwa Tomasza. Jest zatytułowany: „My, którzy jesteśmy uratowani...”.

„Czy jesteśmy grzesznikami? Niestety tak. A jednak nie jesteśmy grzesznikami, jesteśmy przede wszystkim »zbawieni«, »umiłowani«. I ponieważ jesteśmy zbawieni, miłowani, ulubieni, możemy uznać nasz grzech, nasze grzechy i wołać do Ojca: »Oddaj mi radość bycia zbawionym«. Bycie grzesznikiem nie definiuje nas, nie oznacza nas względem Boga. Bóg nie interesuje się naszymi grzechami, interesuje się tylko naszym powrotem. Tak jak ojciec z przypowieści, który czeka na powrót syna i nie żąda od niego rachunku za roztrwoniony majątek, za rozpustne życie, jakie prowadził, Bóg na nas czeka i nas przyjmuje, nie zwracając uwagi na nasze grzechy. Powrót syna jest dla ojca radością. To, co nas określa wobec Boga, to miłość, którą nas obdarza, to radość niebios, gdy zwracamy się ku naszemu Ojcu. Przejrzyjmy się w zwierciadle, jakie podaje nam Bóg. Mamy w nim przepelnione szczęściem oblicze synów i córek, patrzy na nas nasza przyszłość. Nie pozwólmy, by oszpecili nas ci, którzy rzucają nam w twarz nasze grzechy. Radujmy się w Panu, który nas ukochał”.

Nikt nie wie, jak Giuseppe tego dokonał; nie odnalazłem nikogo, kto go wspierał, kto pomagał „Tomaszowi” w zorganizowaniu informatycznych zapór, by nie dopuścić, aby odkryto, kim jest autor tekstu. [Zjawisko blogów jako narzędzia „globalnej kontestacji” było już analizowane, zwłaszcza błogi Tomasza w dziele zbiorowym *Blogs... Les samizdats électroniques pendant la Black Decade, Barcelona 2033.*]

Wybrał anonimową walkę:

„Niektórzy odpowiedzieli mi, że synowie światłości nie kryją się w cieniu, że ich dzieła nie zrodziły się z milczenia i tajemnicy. Ale

znam ludzi, którzy są dzisiaj przeciwnikami Nadziei w naszym Kościele. Nie bałbym się stawić im czoła w bezpośrednim starciu, gdybym nie miał bliskich, którzy mogą ucierpieć od ich nieprzejednania. Ja jestem nieuzbrojony, moi bliscy nie mają tarczy. Sądzę, że moja zguba byłaby mniej pożyteczna niż moje życie, że nieszczęście moich bliskich spadłoby na tych, którzy by w nich uderzyli...”. [W chrześcijańskiej tradycji Niewierny Tomasz jest apostołem, który zewangelizował Indie.]

Oczywiście przybrany przez niego pseudonim ma znaczenie. Wskazuje miejsce, skąd płynie elektroniczny przekaz, wraz ze związanym z tym ryzykiem — wkrótce się przekona, jak bardzo jest ono realne... Czy jest to już odwołanie się do niewiernego apostoła, który odrzuca Zmartwychwstanie, a potem korzy się przed swym Bogiem i Panem; oraz do bliźniaka, który może stać się bratem wszystkich?

„Wszyscy handlarze złudzeń”

Rozdziały blogu podpisane przez „Tomasza” mogły przejść niezauważone... Ale tak się nie stało. Teksty te zostały podchwyczone przez kilka zachodnich mediów i komentowane w środowiskach katolickich, które opierały się autorytetowi Meksykanina. Dlaczego? Paul Assoumou wytłumaczył to później tak: „Głosił to samo co my, bez pompatyczności. Był to cichy głos wiary, który występował w imieniu jakichś »nas«. My, chrześcijanie, mogliśmy mówić po prostu o tym, w co wierzyliśmy i co wiedzieliśmy o Bogu. My, Kościół ludzi ochrzczonych, nadal istnieliśmy — poza kilkoma biskupimi gębami, które się ścierały”.

Podczas gdy na Zachodzie szalał SZWN, „blogger Tomasz” czuł coraz silniejszą pokusę, by „wykorzystać” chorobę dla zdobycia klientów. Ujawnia „religię tego, co cudowne, i religię tego, co użyteczne”... [Jak nigdy dotąd. W tym straszliwym roku w Europie zmarło prawie sto tysięcy osób, a na świecie prawie milion — w następnym roku liczbę zgonów trzeba będzie pomnożyć przez dwa.]

W środku zimy pisał:

„To wielki powrót tego, co religijne. Od tak dawna zapowiadały to ogromne tytuły gazet, a kościoły nadal były puste. Tym razem strach dokonał wielkiego dzieła! I cieszą się z tego wszyscy handlarze złudzeń. Dalej, wyciagniemy ślady dawnej świetności, różańce, kadzidło, monstrancje, złote kapy, relikwie, medaliki, świece, cuda. Oto wspaniały powrót złotego wieku. Niech żyje zaraza”.

W tym okresie wiedział już, że templariusze są niebezpieczni, ale nie zdawał sobie jeszcze sprawy z potęgi ich projektu rekonkwisty. Podróż, w którą wyruszył ze swym bliźniakiem Paddym do diecezji Bangalore, w stanie Karnataka, otworzyła im oczy.

Monsignore Nao, biskup Bangalore, przysłał po nich na lotnisko swego szofera. Po czterdziestu długich minutach stania w niekończącym się korku wielki klimatyzowany lexus podjechał pod katedrę. Na przedkościelnym dziedzińcu wiła się długa procesja; mężczyźni o nagich torsach bili się w piersi, a długi wąż płaczek posuwał się wolno po wielkim placu.

— Co to za wyglupy? Deszczowe tańce? — spytał Poopaddy szofera.

— Ksiądz biskup codziennie organizuje procesje pokutników z powodu komarów. Tak kaže Ojciec Święty... — padła odpowiedź zażenowanego kierowcy, którą Poopaddy przetłumaczył przyjacielowi.

Monsignore Nao przyjął ich w gabinecie w nowym pałacu biskupim. Miał jasną cerę kasty braminów, smukłe ręce... Patrzył na swych gości spod oka, delikatne okulary w złoczonej oprawie zsuwały mu się na koniec nosa. Poopaddy natychmiast spytał biskupa:

— Dlaczego kaže Eminencja defilować wszystkim chrześcijanom w tych pogańskich procesjach, przecież wirus wcale tutaj nie dotarł?

— Mam wrażenie, że nie dezaprobuje ksiądz naszej wiernej podległości Ojcu Świętemu, gwarantowi naszej jedności? — zdziwił się biskup. Odpowiedział mu Lombardi:

— Było to tylko pytanie, Eminencjo, i jeśli Eminencja pozwoli, postawię je jeszcze raz: dlaczego uważa Eminencja za celowe organizowanie tych procesji każdego dnia?

Monsignore Nao uśmiechnął się.

— Jest ksiądz subtelny i bystry, ojciec Giuseppe — powiedział i ściszył głos: — Powie ksiądz nuncjuszowi, że na temat organizacji tych marszów negocjowaliśmy bezpośrednio z Bharatiya Janata1... [BJP, główna religijna formacja hinduistyczna, nacjonalistyczna i ksenofobiczna, powstała w 1951 r. Jej zasięg długo pozostawał konfidencjonalny, zaczęła ciążyć na indyjskiej polityce na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. i była przyczyną wielu gwałtownych niepokojów zarówno przeciwko chrześcijanom, jak muzułmanom.] Ponieważ nie dotyczą one chorób indyjskich, partia hinduistyczna zgadza się na nie nawet poza okręgiem episkopalnym i zapewnia nam służbę porządkową przeciwko atakom muzułmanów... To precedens polityczny, ojciec Giuseppe; trzeba zajmować przestrzeń publiczną, którą nam ustępują — zakończył triumfalnie już nie szeptem.

— Rozumiem — powiedział Lombardi z zaciśniętymi ustami. — Niech Eminencja będzie pewny, że nuncjusz zostanie poinformowany o tej inicjatywie.

W ten sposób Thomas i Giuseppe zapoznali się z nowymi praktykami chrześcijaństwa w owych czasach Wielkiego Strachu.

Tysiąc zgonów

Bliźniaki nuncjusza wiedzieli, że Zachód czuje tysiąc strachów. W kwietniu 2016 roku monsignore Benelli po cichu i bez komentarzy dał im do przeczytania papieski dekret przywracający stare praktyki biczowników. Następca Piotra zniósł niedawno zakaz tradycyjnych procesji na Sycylii i w Kastylii.

Czy wyobrażał sobie, że rozpowszechnią się one na całe chrześcijaństwo, że znów rozkwitną na przykościelnych placach w północnej Europie i w Ameryce? Czy to on je organizował? Świat ze zdumieniem odkrył potęgę Templum Christi, ich ogromną umiejętność mobilizacji i inscenizacji.

Kiedy po powrocie z Bangalore bliźniacy poinformowali nuncjusza o inicjatywach biskupa Nao, wierzyli jeszcze w jednostkową

i niemądrą gorliwość jednego człowieka. Ale Renato Benelli nie miał złudzeń: „Monsignore Nao jest tylko jednym spośród tysięcy, moje dzieci. W tym tygodniu we wszystkich europejskich katedralnych miastach rozpoczęły się procesje z okazji miesiąca Maryjnego. Tam gdzie biskupi wahali się, z inicjatywą procesji wystąpili niektórzy proboszczowie. W całej Ameryce Środkowej pucuje się posągi Matki Boskiej z Gwadalupe. Opierają się tylko niektóre miasta w Argentynie, trzymane po cichu przez jezuitów... ale potrwa to już niedługo, moje dzieci, już niedługo. W całym chrześcijaństwie skropimy bruk krwią biczowników”.

W następnym tygodniu do nuncjatury przyszedł list z Lyonu.

Pismo było pełne niepokoju i ostrzegawcze.

„Dzisiaj po południu widziałem, jak pod moimi oknami przeciągają dziesiątki moich rodaków boso w ubraniach ze zgrzebnej wełny albo w samych koszulach i obwiniają się o popełnione grzechy... Widziałem podrostków i młodych, mniej więcej dwudziestoletnich ludzi, którzy szli na czele i przyrzekli, że do ślubu zachowają dziewictwo, że będą żyli w czystości, aby przypodobać się Bogu. Nie ośmielają się jeszcze powiedzieć »by uśmierzyć kaźną rękę Boga«, ale wkrótce do tego dojdzie.

Im ostrzejsze będą słowa Piusa XIII i jego templariuszy, tym bardziej tchórze będą spieszyli przed ołtarze; pyszni staną się tchórzami, a cynicy mięczakami.

W Europie pozostało jedynie trochę uczciwych mężczyzn i kobiet, którzy wiedzą, że śmierć jest wrogiem, ale nigdy karą, nagrodą czy usprawiedliwieniem...

Jesteśmy słabi, ale nie możemy żyć twarzą w twarz z absurdem, musimy stawiać mu czoło i odmówić racji”.

List był podpisany „Izaak”.

W ciemnościach głupoty i obskurantyzmu, spowijających Zachód, Rzym nie stał się zatem miejscem, skąd przyszło światło.

Czas katakumb

Rok 2016 źle się zaczął, a skończył jeszcze gorzej. Oczywiście, we wrześniu 2016 roku Światowa Organizacja Zdrowia potwierdziła, że zakażaniu ludzi są winne jedynie komary, a Nigeryjczyk Augustine Gowon mógł wziąć odwet na wszystkich, którzy nawoływali do

wykluczenia chorych: „Błogosławię wszystkich, którzy pójdą pielęgnować chorych, teraz gdy chorzy nie budzą w nich lęku. Ale wierzą oni tak jak «Niewierny Tomasz»... Szczęśliwi, szczęśliwi, którzy uwierzyli, nie widząc...”.

Ale już rozpoczęła się nowa wojna... W małych parafiach dwaj emisariusze nuncjusza spotykali zaniepokojonych wiernych, którzy czasem wydawali kuriozalne sądy o hinduistycznych lub muzułmańskich „mordercach”. Powszechna psychoza? Wszędzie, gdzie to możliwe, tworzono chrześcijańskie getta. Podwyższano mury wielkich posiadłości; gromadzono w nich zapasy jedzenia. Na handlowych ulicach organizowano obchody straży, ponieważ „policja przymyka oczy”. Niekiedy ludzie się również zbroili „na wszelki wypadek”. Ale stosunek sił był tak niekorzystny, że raczej należało pomyśleć o strategiach ucieczki...

Od wielkiej kampanii salafijskiej, kampanii intoksykacyjnej z września 2016 roku nuncjatura była w stanie permanentnej mobilizacji. [11 września 2016 r. wirusowi udało się sforsować pewne wielkie siatki informacyjne i spowodować wylanie się potoków nienawiści antychrześcijańskiej i antyzachodniej na komputerach całego świata, powołując się na bohatera Osamę-męczennika. W owych czasach nie było wiadomo, czy Osama ben Laden żyje. Nazajutrz gigantyczna kampania elektronicznej destrukcji sparaliżowała większość siatek informatycznych ambasad, służb rządowych, administracji i ujawniła kruchość ich łączności... Zaatakowane zostają również siatki Watykanu, nuncjatur i większości diecezji.] W obliczu gróźb kaszmirskich i indyjskich islamistów oraz przechwałek hinduskich nacjonalistów wiele społeczności chrześcijańskich apelowało o pomoc. Niektóre z tych Kościołów nie zależały od Watykanu — tak było w przypadku protestantów ewangelicznych, a przede wszystkim syryjskiego Kościoła Mar Thoma z Malabaru. Ten mały nestoriański i hierarchiczny Kościół Bombaju miał prawie trzy miliony wiernych. [W V w. biskup Konstantynopola Nestoriusz ogłosił, że Dziewica Maryja była tylko matką Jezusa-człowieka, więc nie może być nazywana Matką Bożą, przez co przyjął istnienie dwu odrębnych natur, ludzkiej i boskiej. Doktryna ta, potępiona na soborze efeskim, cieszyła się jednak wielkim sukcesem i rozpowszechniała się w Persji, a potem w Indiach i w Chinach. Dzisiaj istnieją jedynie dwa Kościoły nestoriańskie: w Malabarze jest również asyryjski katolicki apostołski Kościół Wschodni, który przed prześladowaniami z lat 2018 i 2019 miał 150 000 wiernych w Iraku i w Kurdystanie. Jego zwierzchnik, chaldejski katolikos, został zamordowany w 2018 r. przez Strażników Rewolucji w Kotchanès (Iran). Podczas starć większość perskich nestorianów przyłączyła się do ewangelicznych Kościołów Christian Pride Coalition.] Nestorianie prosili Rzym o

jakieś znaki poparcia, które by powstrzymały dwukrotnego agresora...

Dwa dni później nuncjusz otrzymał zaszyfowaną odpowiedź Watykanu: „Proszę powiadomić wspólnotę, że przyjmujemy tych, którzy chcieliby wrócić do katolików zależnych od arcybiskupstwa w Kerali. Przyłączeni do stolicy Piotrowej będą we wszystkich okolicznościach korzystali z troski, jaką otacza Kościół swoich synów...”. [W XV w. część chrześcijan Kościoła nestoriańskiego przyłączyła się do Rzymu, a od końca XIX w. miała hierarchię i diecezje oddzielne od „zwykłych” katolików; owi „katolicy wschodni” praktykowali obrządek chalcedoński i odprawiali nabożeństwa w języku syriackim, zbliżonym do aramejskiego, w którym Chrystus mówił w Palestynie w I wieku.]

Nuncjusz Benelli napisał najpierw odpowiedź pełną gniewu, a potem ją podarł. „W gruncie rzeczy, jakie to ma znaczenie — powiedział. — Jeśli zostaniemy zaatakowani, nie będą bronić ani nas, ani nestorianów. Nie liczymy się dla nich. — Potrzásając głową, dodał: — Ale co by im szkodziło powiedzieć po prostu: »Będziemy z wami. My, chrześcijanie, będziemy razem podczas nawałnicy«,.. — Zaklął i wałnął pięścią w stół. — Skąd brać nadzieję, że zostaniemy uznani za prawdziwych uczniów Chrystusa, kiedy mamy do czynienia z takimi kretynami w naszych biurach?

Był to jeden z nielicznych przypadków, gdy Renato Benelli nie potrafił opanować swojej porywczności...

W październiku 2016 roku ukazał się kolejny rozdział blogu, inspirowany bezpośrednio przez aferę z nestorianami:

„Czy poza Kościołem nie ma zbawienia?

W tych bolesnych czasach podobno trzeba policzyć swoich. Rzym liczy tylko tych, którzy są gotowi położyć podpis pod integralnym wykładem Katechizmu. Taki jest stan dzisiejszej inteligencji w rzymskim Kościele katolickim, wszystko podpisuje, o niczym nie dyskutuje, nie pyta, nie zadaje sobie pytań. Albowiem biada temu lub tej, [To przejście do rodzaju żeńskiego jest niewątpliwie aluzją do kobiety teologa Jeanne-Marie Carrière, która decyzją Rzymu została właśnie pozbawiona prawa nauczania w Lyonie mimo protekcji swego biskupa monsignore Villepreux.] którzy ośmieliliby się podważać to, co jest pewne. W imię tej koncepcji Rzym zgodził się na znieważanie, a może wydawanie na śmierć, naszych braci z Kościoła syromalabarskiego, który od piętnastu stuleci nie nazywa Maryi »Matką Bożą«.

Łatwo sobie wyobrazić, że matczyzna czułość Maryi jest wielce usatysfakcjonowana widokiem swoich niegrzecznych dzieci rzucanych lwom na pożarcie przez funkcjonariuszy religijnych, którzy nami kierują!”.

„Niech Bóg ma nas w swojej opiece!”

Ale owej jesieni 2016 roku uwaga świata skupiła się na wyborach prezydenckich w Ameryce.

Watykan uznał za stosowne umocnić pastora Jamesa w jego zapowiedziach, popierając hałaśliwie jego kampanię, wzywając amerykańskich katolików do głosowania na kandydata moralności i sumienia, nawet jeśli była to moralność wymagająca; i do unikania kandydata dążącego do iluzorycznego uspokojenia, zawierającego karygodne transakcje i haniebne układy między tymi, którzy wybierają światło a synami ciemności. [Jest to przemówienie Edouarda Francisca Zabaletta, arcybiskupa Miami i nowego przewodniczącego konferencji episkopatu Stanów Zjednoczonych po złożeniu dymisji przez bardzo krytykowanego Jefferies-Browna. W przeddzień wyborów powiedział jeszcze: „Chrystus przyszedł przynieść ogień na Ziemię i wszyscy ci, którzy wybiorą pokój domowy na przekór wielkości Jego Słowa, będą sługami popiołu i śmierci, a nie sługami tego ognia”.]

Ostatnie przemówienie w kampanii Jamesa mogłoby rzeczywiście zadowolić Watykan:

„Czy chcielibyśmy nadal trzymać pod korcem lampę Ameryki? Bóg chce, aby Ameryka znowu stała się owym płonącym ogniem na szczycie góry, który przynieśli ojcowie założyciele! Bóg chce spalić ziemię swoim pożerającym ogniem, aby poza oceanami, poza Górami Skalistymi, pod Kanałem Panamskim, za lodami Alaski, poza granicami ziemi amerykańskiej i jeszcze dalej nikt bezkarnie nie znieważał jej imienia. Ameryka znowu stanie się owym młodym, męskim, czystym narodem bez plamy, narodem pod Bogiem, [Po angielsku *Under God.*] światłem dla narodów”.

I rzeczywiście Ameryka wybiera ogień.

5

Far West

Szalony Szwajcar u ewangelistów

W dniu inwestytury pastora Jamesa Giuseppe zjrzał do blogu Simona Cervina. Od 2012 roku szwajcarski uczony mieszkał w kampusie amerykańskiego uniwersytetu w Princeton niczym geniusz dotknięty autyzmem. [W 2014 r. dostał Nagrodę Nobla za swoje prace nad materią hadroniczną, które prowadził we współpracy z Fermi-Lab.] Poza pracami naukowymi zajęty był obserwowaniem energii, którą ożywia hiperemoc, zgubnym popędem do autodestrukcji. Na okrągło słuchał symfonii Mahlera, upajając się germańskim, romantycznym bluesem, i wysyłał tysiącom zdumionych czytelników kronikę życia katolickiego Szwajcara anarchisty zmuszonego egzystować w kraju ewangelicznej pobożności, nacjonalistycznego mesjanizmu.

Tego dnia Cervin napisał ostami rozdział swego amerykańskiego blogu: „Co proponuje owa Ameryka, która ofiarowuje swoją biblię i swe przysięgi operetkowemu grzesznikowi? Wyliczę tylko parę zadanych mi ran, ja, który zostałem zamknięty na trzy lata w laboratorium imperium szaleństwa...

Z człowieka ekscentrycznego i genialnego przez sześć miesięcy kampanii stałem się *maverick*, potem *freak*.

Oryginalna myśl staje się groźna. Ten kraj, który stworzył najbardziej liberalne struktury uniwersyteckie, najmocniej integrujący *melting-pot*, rozmyślnie zaciąga zasłonę, by zachować jedynie nieokrzęsany idiotyzm, w którym *middle class* zawsze się nurzała i którym teraz chce wymachiwać jak pochodnią, żeby

oświecić narody... Mieliliśmy już »oś zła«, a teraz przemówienie o »zarażaniu dobrem«. Kiedy się narzuca dobro, następstwem jest to najgorsze...

Uznając, że myśl i inteligencja ostatecznie wycofały się z Far West, wkładam do szafy stetsona i sześciostrzałowego colta i wracam do zaśniewzonego aszramu w szwajcarskiej Jurze, gdzie będę usiłował przeżyć jakiś czas w neutralności...

Zamilknę teraz, moi »ukochani bracia«. Zamilknę... Nie wiem, dlaczego miałbym zamięczać się kazaniem na pustyni. Nie zasługiwali na mnie, nie będą mnie już mieli...". [Po wybraniu pastora Jamesa Simon opuścił Stany Zjednoczone, gdzie nie wspominało się o nim przez wiele lat. Dostał stanowisko badacza w prywatnej fundacji w Bazylei.]

Inne echa trzęsienia ziemi w Waszyngtonie dotarły do Indii z Lyonu...

Dwa dni po złożeniu przysięgi przez Jamesa Izaak pisał do Jakuba: „Nasi dobrze poinformowani przyjaciele są teraz pewni, że James wprowadzi swe groźby w czyn. [Prawdopodobnie chodzi o monsignora Morra, który informował niektórych kardynałów o rzymskich plotkach i kulisach różnych spraw.] Kazaliśmy głosować na tego, który doprowadzi nas do bankructwa; [Zanim jeszcze pastor James został wybrany na prezydenta, żartował sobie w Baltimore z „catholicos, z Kościoła Latynosów, tego Kościoła, który potrafi tylko doprowadzać do nędzy, a potem na niej prosperować”. W Detroit: „Latynosczy księża, którzy potępiają sukces dzieci Ameryki, nienawidzą dolara i dobrym Amerykanom wkładają do głowy strach przed prosperity”. W Denver: „Doprowadzimy do skazania księży gwałcicieli i sprawimy, że za to zapłacą”... Między swym wyborem a objęciem władzy James rzeczywiście rozpoczął z Rzymem negocjacje, które upodabniają się do racket: „Zabierzcie swoich księży z mego terytorium, a nie będę ścigał przed sądami cywilnymi każdego skazanego księdza pedofila”... Ponieważ Rzym nie chciał się na to zgodzić, w miesiącu, który nastąpił po wyborze Jamesa, jego administracja wszczęła pierwsze procedury. Doprowadzi to do bankructwa prawie wszystkie diecezje i do zniknięcia na całe dziesięciolecie amerykańskiej „pompy finansowej”, głównego źródła dochodów Watykanu.] wybraliśmy fundamentalistę, który zmusi nas do oddania tego, co wzięliśmy, ponieważ nasze i jego odczytanie Biblii nie są identyczne. [...] Założyliśmy, że jego purytańskie propozycje są na użytek wyborów... i bez wątplenia rozczarujemy się również w tym punkcie. Czy potrafimy przeciwstawić się nienawiści do ciała i seksu, jaka wypływa z jego walki z grzechem?”.

Przyjaciółka od serca

— Delhi z niepokojem patrzono na wycofujące się z Afganistanu wojska amerykańskie, które zostawiały mudżahedinom i plemionom pasztuńskim władzę w górach, a potem w miastach.

James zapowiedział, że Ameryka nie czuje się powołana do odgrywania roli żandarma, który pilnowałby przestrzegania decyzji Narodów Zjednoczonych. „Jedynym ważnym dla nas prawem jest prawo określone przez nasz Kongres, a jego gwarantem jest Sąd Najwyższy; jedynym ustawodawstwem, które zamierzamy realizować, są postanowienia naszej konstytucji i prawo Boże”.

Wokół Kabulu i we wschodnim Afganistanie nie było już rozjemcy między wojskami, wspólnotami etnicznymi, panami wojny; zostały tylko twierdze, klany i uzbrojone bandy.

Równie brutalnie James zakręcił krany z pomocą finansową dla państw „niemoralnych” (głównie muzułmańskich). Państwo pakistańskie, od trzydziestu lat korzystające z pomocy finansowej, niebezpiecznie się chwiało.

Na rynkach kapitałowych Delhi powiał wiatr paniki. [Które właśnie wtedy staje się główną giełdą dla notowań wielonarodowych „grupy 25”.] Zapowiedzi „szalonego pastora” wystarczyły, by przekonać inwestorów, że trzeba się wycofać. Państwowa pomoc humanitarna, uzależniona od przychodów finansowych, załamała się i już w następnym miesiącu zaczęło brakować chleba, dachu nad głową, pracy dla biedaków. [Za przykładem europejskich rynków kapitałowych „grupa 25” postanowiła wprowadzić podatek Tobina na operacje finansowe. Wpływy z niego przeznaczono w całości na spłacenie długu oraz na opiekę socjalną i edukację najbiedniejszej ludności.] W takich okolicznościach Lombardi poznał obywatelkę Stanów Zjednoczonych, niewątpliwie najmniej projamesowską, najmniej arogancką, najmniej izolacjonistyczną — a także najmniej łatwą, uważał Paddy.

Pewnego marcowego poranka w 2017 roku Thomas zaprosił Giuseppe do swego starego jeepa. „Chcę, żebyś kogoś poznał...”. Odwrócił się do Włocha i puścił oko: „To Irlandka, bracie, najprawdziwsza ruda Irlandka urodzona na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych...”. A kiedy Lombardi powiedział z uśmiechem:

„Jeszcze jedna twoja przyjaciółka od serca?”, Paddy za-krztusił się ze śmiechu.

Ten, kto widział Kate Finley, zrozumiał, dlaczego mówienie o niej jako o „przyjaciółce od serca” było aż tak komiczne.

Kręgi piekła

Oddalając się od śródmieścia, stopniowo zagłębiali się w inne miasto — ogromne, rozciągające się tuż przy ziemi, ledwo na wysokość człowieka.

W miejsce bungalowów, które zastąpiły budynki, pojawiły się lepianki.

Teraz było to królestwo baraków, falistej blachy, kartonów; ludzie, którzy mieli największe szczęście i odznaczeni się niesłychaną zręcznością, potrafili wykorzystać arkusz papy. Kiedy wiał monsun, trzeba było spać pod osłoną prowizorycznych zadaszeń, gdyż ziemia była tak namoknięta, że sączyła się z niej woda.

Jechali teraz bardzo wolno. Paddy wyciągnął do towarzysza swoje dunhille.

— Zapal, nawet jeśli nie masz ochoty... Strasznie tu śmierdzi...

Cuchnęło zgnilizną.

To umieralnia...

Wokół, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się ogromny, rojący się cmentarz, którego pierwsze zbocza Lombardi widział już w wielkiej dzielnicy nędzy, ciągnącej się wzdłuż drogi na lotnisko. Ale bliżej, po drugiej stronie zakurzonej drogi, terytorium nędznego życia ustąpiło miejsca terytorium powolnej śmierci.

Tchalte hue Tamil Ka shahar — Miasto wędrownych Tamilów

[Ta wielka dzielnica nędzy powstała w ciągu kilku miesięcy 2011 r. na południu Delhi. Setki tysięcy chłopów pozbawionych tego roku środków do życia przez monsun w Tamil Nadu, w nieprzerwanym exodusie rozprysnęły się, powodując interwencję sił zbrojnych. Zainstalowali się tutaj w nadziei, że w stolicy znajdą pomoc, która do nich nie docierała...]

Im dalej w głąb, tym bardziej wynędzniały były ciała; przypominały wielkie kościste ptaki, których nabrzmięte brzuchy były

niczym buklaki leżące pod wąską klawiaturą żeber; czaszki, z których odpadły włosy; skóra kleiła się do szczęk, drażyła szyję. Trąd znaczył ręce, zjadał wargi, dziąsła żebraków. Zresztą poza nielicznymi obcymi nikt już tu nie żebrał; tutaj nikt nie dawał ci jałmużny, każdy musiał przetrwać do wieczora. Dygotać, żuć kawałek skóry, zaciskać palce na skórcie owocu przyniesionego z błota, poczekać jeszcze trochę, by go zjeść, wytrzymać jeszcze godzinę, by potem oddalić głód.

Dzieci i muchy kręciły się wokół umierających, żeby wziąć, co zostanie jeszcze do zabrania.

Tutaj ludzie zdychali.

„Zobaczyłem, że Giuseppe blednie, zaciska zbielełe wargi — opowiadał Paddy. — Nie znam nikogo, kto przeszedłby pierwszy raz przez miasto wędrownych Tamilów, nie wątpiąc w niebo i ludzi, nie wypierając się tego, co mówił o współczuciu. Stoisz tu przed tymi ludźmi i mimo wszystko, w co wierzysz, wszystkich wypowiedianych przez siebie pięknych słów, nie możesz wyciągnąć ręki i po prostu ich dotknąć. Są nietykalni, poza kastą, niedosięgli, poza wszelką empatią... Z wyjątkiem, oczywiście, owych dziewcząt w sari”.

Irlandka, której nie spodobały się pantofle Giuseppe

Jeep zatrzymał się raptownie przed dużym wojskowym namiotem. Pod jego płótnem z półmroku wylaśniały się kształty polowych łóżek i leżących na nich ciał. Pośród nich kręciły się dwie młode kobiety w białych sari z niebieską lamówką, uzbrojone w kubły: dwie Hinduski o subtelnym ruchach, nietkniętych ciałach, cudownych twarzach. Przybyłych księży, niczym cios pięścią w twarz, uderzył zapach środków odkażających, kadzidła, leków, gangreny.

Z wnętrza namiotu dochodził mocny głos; wydawał polecenia w języku hindi, ale z bostońskim akcentem. Nagle zaklął, potem wrócił do profesjonalnego tonu i poprosił o zastrzyk z morfiną. Cisza. Znowu głos, który kazał umyć ciało jakiejś kobiety. Thomas wszedł do namiotu, Giuseppe dwa kroki za nim.

— Thomas, a ty co tu, kurwa, robisz?

W przekleństwie zabrzmiało coś z dublińskich nabrzeży, „Praw-

dziwa ruda Irlandka ze wschodniego wybrzeża”... Kate Finley, biała postać w półmroku, odepchnęła Hindusa stanowczą ręką.

W świetle stanęła kobieta z płomienną grzywą, nagą szyją. Białe sari wydawało się za małe dla jej postury wysokiej dziewczyny, studentki najlepszych uniwersytetów na wschodnim wybrzeżu. Jej różowe, krwiste ramiona usiane piegami wydawały się stworzone do pracy w dokach.

— Thomas, do licha, nie chcę, żeby widzieli, że wchodzi do nas ksiądz! Nie chcę, żeby sobie wyobrażali, że kradniemy ich zmarłych, cholera!

Thomas uśmiechnął się, zdecydowany ścierpieć ten irlandzki gniew.

— A tamten, co za jeden? Turysta w krainie nędzy? Inspektor z Rzymu, który przybył sprawdzić, czy nasi ubodzy są koszerami?

Za plecami Paddy'ego Giovanni zeszywniał.

— To mój kolega z nuncjatury, włoski ksiądz, banita... Giuseppe Lombardi.

Kate rzuciła krótkie spojrzenie na przybysza, lustrując go od stóp do głów.

— Powiedz mu, że ma wziąć inne buty, kiedy się tu zjawi następnym razem. Te sobie pobrudzi, a są warte więcej, niż nam trzeba na wyżywienie wszystkich tych biedaków przez cały tydzień.

I zniknęła w namiocie.

— To właśnie moja „przyjaciółka od serca” — zaśmiał się Thomas. — Kiedy zostanę arcybiskupem, ustawię jej posąg w swojej katedrze.

Była jedyną, która zawsze mu się opierała...

Kate Finley nigdy nie uległa charyzmie Giuseppe Lombardiego, jego braterskiemu urokowi. Giuseppe wiedział, że drogi, którymi chodzi Kate, są dla niego niedostępne, zakazane; to drogi, którymi on pójść nie mógł.

Był mężczyzną, patrycjuszem, mieszczuchem, intelektualistą... Miał za dużo wad dla tej dziewczyny przekraczającej zakazy, która mając dwadzieścia pięć lat, wyruszyła w drogę zaraz po zdobyciu dyplomu medycyny, by wylądować najpierw w Kalkucie, a potem w Delhi.

Nigdy nie wybaczyła ojcu i braciom, że byli panami, urodzony mi,

by przedłużać ród — łącząc się z kobietami inteligentnymi, dobrze wychowanymi i uległymi, które miały im rodzić dzieci i elegancko rozprawiać o karierze swych mężów albo o ostatniej wystawie sztuki współczesnej...

Nigdy nie wybaczyła matce, że odgrywała komedię szczęścia ze srebrną smyczą na szyi.

Opuściła Amerykę, nie oglądając się za siebie.

W Indiach szukała, schodząc coraz niżej, samotnie pokonując drogę ku pariasom. Zajęła się pomocą dla biedaków, a potem pracą w ambulatoriach w slumsach... [Z indyjską drogą Kate Finley można się zapoznać w książce: *Teresa et ses continuatrices: Finley, Nayrac, Rahvijtz...* [Teresa i jej kontynuatorki: Finley, Nayrac, Rahvijtz...], Clarisse Fay, Boston 2035.]

Kiedy spotkała na swej drodze starą Albanekę w biało-niebieskim sari, najpierw potrząsnęła głową, odmówiła: raczej wróci do siebie, zacznie leczyć bogate grubasy, nie będzie towarzyszyć umierającym.

Dwa razy powracała do Kalkuty zobaczyć się z Teresą i dwa razy wyjeżdżała.

Za trzecim razem długo płakała i została. Zaczęła chodzić w sari, złożyła te śluby, które nic jej nie kosztowały — gdy człowiek wszystkiego się już wyrzekł, ubóstwo wydaje się łatwe, czystość jest niczym trudnym dla kobiety, która patrzy na mężczyzn jak na dra pieżne zwierzęta...

Przed wszystkim zgodziła się na coś, co jest dla terapeutki najtrudniejsze: zgodziła się czuwać przy umierających, nie starając się ich leczyć. Od tego dnia czuwała nad wielką agonią świata, gdzie głaszcząca ręka jest cenniejsza od całej nauki. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego wszyscy, którzy nazywają się „braćmi ludzi”, tego nie robią.

Brakująca część

Kate była dla Giuseppe policzkiem. Zniewagą bycia bogatym w kraju absolutnego ubóstwa. Wstydem bycia tym, który będzie posiadał zawsze, cokolwiek by zrobił.

Dla Kate najpierw był tylko parą markowych butów, które przywiózł z Bolonii, przekonany, że wszystko opuścił; ona zobaczyła w nim jedynie to.

Kate na zawsze stała się wyrzutem; „nieczystym” sumieniem, jakie zachował przez całe życie... Dużo później Lombardi napisał tekst o ubóstwie, o ubogich, którzy jako jedyni mogą pomóc innym ubogim; przejmujący tekst, o bezsilności, jaką poczuł w chwili, gdy spotkał Kate. [*Des pauvres vous en aurez toujours* [Zawsze znajdziecie biednych], przedmowa papieża Tomasza I do raportu Papieskiej Rady *Justitia et Pax*, Rzym 2034.]

Giuseppe Lombardi kultywował to poczucie; nie chciał zapomnieć, wierzyć, że ów dar współczucia jest tylko jedną z wielu charyzm. Tak jak dziewczyna z Bostonu wierzył, że Ewangelia ma ten dar, a on jest go pozbawiony...

Od owego dnia w 2017 roku nigdy na długo nie rozstał się z Kate Finley. Bez przerwy odjeżdżał, przyjeżdżał i wracał do umieralni albo pod wielki namiot; patrzył, jak pracują młode kobiety w sari; podawał im wanienkę z wodą, bieliznę; czasem pomagał wytrzeć komuś twarz, uśmierzyć gorączkę.

Kate tolerowała go, ponieważ w swych indyjskich koszulach z długimi połami, drogim obuwiu i lnianych spodniach nie wyglądał na księdza. Przypominał raczej wysłanego w misji cudzoziemskiego lekarza, który jednak nie będzie umiał ani mógł czegokolwiek zrobić.

Często źle go traktowała. Nie miała dla niego względów ani cierpliwości.

Zawsze odmawiała rozmowy z nim, dyskusji, wspólnego namysłu, nawet kiedy stwierdzała, że mu na tym zależy. Nawet się z nim nie modliła. „Moją modlitwą są moje ręce. Nie mogę odmówić *Ojczyźnie nasz*, dopóki nie są zajęte; po co mam wznosić je do Boga, pokazywać niebu ich wnętrze? Nie po to mi je dało. Woli, kiedy leczą. Modlę się więc, pracując”.

Kate przyznała jednak Giuseppe jedno: „Jest księdzem. Naprawdę takim, jakim powinni być wszyscy... Nie myśli, że ma do

zrobienia coś lepszego, aniżeli głosić Słowo Boże, i to literalnie; nie ma się za inteligentniejszego od liturgii... Kiedy odprawia mszę, patrzę na jego ręce, wyglądają zupełnie jak moje, kiedy pielęgnuję ludzi — bez przerwy wykonują swoją pracę, wstawiają się za kimś, ofiarowują, zbierają, by oddać... Ma więc ręce pracowite... Kiedy widzę, jak Lombardi odprawia mszę, wiem, że jest na swoim miejscu...”.

Przez pięć lat, jakie upłynęły od ich spotkania do wyjazdu Giuseppe do Rzymu, Kate często wślizgiwała się do kaplicy Świętej Teresy w domu umierających, gdzie Lombardi odprawiał mszę dla sióstr. Siedziała cicho w ostatniej ławce, bez słowa. Była tu bezużyteczna jak on w umieralni przy łózkach bez pościeli. Siedziała z opuszczonymi rękami; bez wątpienia wdzięczna temu człowiekowi, temu mieszcuchowi, temu intelektualście, że umie dobrze robić to, co robi.

Hallala?

Świeży powiew optymizmu

Ostatnie dni 2017 roku zdawały się zapowiadać koniec zarazy; świat znowu zaczynał mieć nadzieję. W ciągu ostatniego lata epidemiolodzy z ekipy profesora Chen Ta z Toronto ogłosili wiadomość o wynalezieniu szczepionki na SZWN, której pierwsze rezultaty były wielce obiecujące. W listopadzie szczepionka zaczynała być testowana na ogromną skalę.

Do łask znowu wróciła dyplomacja: utworzenie Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych (NONZ) zostało powitane w Delhi z tym większym entuzjazmem, że Indie były stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa (z prawem weta). Zarówno w nuncjaturze, jak u Mary wszyscy ulegli powszechnemu optymizmowi.

Giuseppe śledził z bliska wszystkie te medyczne perypetie — jego siostra Anna pracowała teraz dla WHO jako lekarz-prawnik i z tego tytułu musiała negocjować z wielkimi laboratoriami produkującymi leki generyczne. Zresztą właśnie w WHO poznała człowieka, za którego niedawno wyszła za mąż, Węgra Mikłosa Szabo.

Po brutalnych zmianach w amerykańskiej polityce międzynarodowej między lutym a marcem administracja Jamesa sprawiała teraz wrażenie „łagodniejszej”. Należało w tym upatrywać rosnącego wpływu wiceprezydenta, bardzo umiarkowanego i bardzo energicznego Benjamina Mortona. Według FBI po udanym ataku informatycznym istniejące w Stanach Zjednoczonych salafistyczne siatki islamskie zostały zniszczone. Pozostał jednakże problem

bezprawnego przetrzymywania w więzieniach tysięcy młodych Arabów, co wywołało prawdziwą demokratyczną reakcję w innych krajach...

Muslims Pride – Muzułmańska Duma

W Europie młodzi reformatorzy skupieni wokół Nur Saighi-Morales lansowali Muslims Pride, najpierw w Madrycie, Toledo i Londynie. W sieci krążył następujący tekst: „Pokażemy tak zwanym amerykańskim demokratom, gdzie jest prawdziwa demokracja. Mimo przestępstwa polegającego na tym, że mamy inne twarze, mimo dyskryminacji, szykan policyjnych będziemy nadal godnie maszerować po ulicach, bez broni, bez okrzyków — naszą siłą będzie nasz gniew. Będziemy szli z dumą ludzi, którzy wybierają broń szacunku przeciwko brakowi szacunku, prawa obywatelskie przeciwko represji”.

Hasła „Muslims Pride” były prawdziwym sukcesem. Muzułmańska ludność z miast i przedmieść, z gett i klas średnich natychmiast odpowiedziała na wezwanie owych młodych, nieznanych liderów, domagając się szacunku.

Saighi-Morales zareagowała natychmiast: „Prawdziwi muzułmanie pragną demokracji — głosiła przed kamerami telewizji po zakończeniu marszu w Madrycie. — Zachęcam zarówno ich, jak was, żebyście w piątek, 16 czerwca maszerowali wszędzie, żeby usłyszano nasz krzyk — chcemy być wolni, chcemy być muzułmanami i być wolni”. Free Muslims Pride z piątku, 16 czerwca 2017 roku, to prawdziwy wstrząs. Do zachodnich demokratów dotarło nagle, że miliony ich współobywateli czują się zepchnięte na margines. Ale apel ten został wysłuchany także w Egipcie, w Algierii, w Maroku, w Syrii; w arabskich stolicach na ulice wyszła zbyt długo kneblowana większość, a wzniesiony przez nią krzyk brzmiał już nie „szacunek”, ale „wolność”.

Cud „arabskiej ulicy”, o którym tak często rozprawiano, wreszcie się ziścił.

Tego wieczoru Nur Saighi-Morales przemawiała znowu, a jej słowa podchwyciły media z całego świata: „Tym, którzy nami rządzą, mówimy: islam nie jest problemem nierozwiązywalnym; jest rozwiązywalny w demokracji... A demokracja przeczy sama sobie,

kiedy nas nie przyjmuje. Co do was, wschodni despoci, którzy rządzą krajami z muzułmańską większością, nadstawcie ucha, ponieważ nie możemy już czekać: tym, czego dzisiaj żądamy, nie jest prawo islamskie, ale po prostu prawo. Niech na ziemi islamu skończy się samowola; niech skończą się ustawodawstwa dzielące obywateli”.

Reformatorzy stali się obiektem zainteresowania mediów, zarówno telewizja, jak badacze zajęli się ich poufnymi dotychczas pracami — Saighi-Morales uchylła się od nadmiernej obecności w mediach i komentowano jej rozsądek. Egipski uniwersytet Al-Azhar zaprosił jednego z członków grupy Al-Andalous, by na jego forum bronił potępienia samobójstwa jako metody walki. Na całym świecie media pasjonowały się wizją islamu, która pozwalała mieć nadzieję na skończenie z „ludzkimi bombami”.

Na to, co media opisywały jako „islamską wiosnę”, na początku 2018 roku chrześcijaństwo zareagowało z większym niż kiedykolwiek rozdrażnieniem; po ogłoszeniu, że wynaleziono szczepionkę na SZWN, na nabożeństwa dominikańskie przychodziło mniej ludzi... Ale protestanci pod wodzą pastora Jamesa stali się coraz bardziej fundamentalistyczni i nietolerancyjni, a Rzym nadal mówił o rekonkwiescencji, wzmacniając swą „wewnętrzzną dyscyplinę”.

Wiadomości o „papieskich psach”

W pierwszych dniach kwietnia 2018 roku Benelli dostał z Watykanu pismo zapowiadające przyjazd monsignora Vlada Effliika. Był to Słowak, templariusz Chrystusa, członek Komisji do spraw Dyscypliny Kościelnej...

Effliik poprosił o kilka pokoi w nuncjaturze, o miejsce do pracy dla jego ekipy oraz o oddanie im do użytku prywatnej kaplicy. Powody tej wizyty nie były jasne. Oficjalnie chodziło o „przygotowanie dla Ojca Świętego sprawozdania z moralności kleru w sytuacji, kiedy chrześcijaństwo jest potencjalnie zagrożone”. Załączony do pisma dokument podaje listę różnych kabli i połączeń koniecznych do pracy małej ekipy. Nuncjusza niepokoiło przede wszystkim to żądanie. W nocie technicznej znajdowała się wzmianka, że, jeden z ich współpracowników dysponuje sprzętem informatycznym o zasięgu, jakiego wymagają pewne drugoplanowe aspekty misji”.

Przez dwie doby nuncjusz nie otwierał ust; nawet jego „ukochanym wnuczkom” nie udało się go rozchmurzyć.

Obawy Benellego były słuszne, najgorsze miało dopiero nastąpić. Nowe pismo, bardziej kurtuazyjne w tonie, wyrażało zaniepokojenie następującym faktem: współpracownicy monsignore Effliika stwierdzili, że od kilku lat urząd sekretarza nuncjusza pełni pewien ksiądz Fidei Donum, nazwiskiem Giuseppe Lombardi, pochodzący z diecezji bolońskiej. Tymczasem wobec tego księdza zastosowano środek dyscyplinarny za „czynną zniewagę” dokonaną na osobie swego proboszcza. „Ponieważ z uwagi na nieobecność oskarżonego fakty te nie były przedmiotem kontradiktoryjnego dochodzenia, na razie nie zastosowano żadnej sankcji”, konkludował list. Effliik informował jednak nuncjusza, że pragnąłby mieć wgląd do dossier Lombardiego i spotkać się z nim osobiście.

Jednocześnie do arcybiskupa Delhi, Godfrey'a Anila, nadszedł zawiły list, w którym pytano go, czy jest całkowicie przekonany o wierności księdza Thomasa Poopaddy'ego, ponieważ „Jego Eminencji niewątpliwie wiadomo, że niejaki Thomas pisze blog, który wprowadza zgubny klimat podejrzeń co do sposobu, w jaki Ojciec Święty i jego współpracownicy starają się nakreślić trudną drogę do doskonałości i chrześcijańskiego heroizmu”. Mówiąc wprost, czy bloger Thomas i Thomas Poopaddy to przypadkiem nie ta sama osoba?

Kardynał Anil natychmiast udał się do Benellego.

Tym razem nuncjusz wezwał swoje „bliźniaki” i pokazał im oba pisma.

Stary człowiek mówił bezdźwięcznym głosem, nieco zbyt starannie wymawiając słowa:

— Wysyłają swoje psy, żeby odnaleźć blogera Thomasa. Będą szukać i jeśli nie znajdą, nie zawahają się „złamać nadłamanej trzciny, zgasić knotka w nikłym płomyku”; zgniotą życie pewnych ludzi, ze złości, że nie nie wskórają. Znam ich... Widziałem niegdyś, co robili w Brazylii i w Nikaragui. [W Księdze Izajasza [42,3] proroctwo o prawdziwym słudze Bożym mówi przeciwie, że ten „nie złamie trzciny nadłamanej, nie zgasi knotka w nikłym płomyku”.]

Dwaj młodzi ludzie spojrzeli na siebie. Thomas nie rozumiał, co się dzieje.

Giuseppe powiedział spokojnie:

— Co mam zrobić? Ujawnić się?

Nuncjusz potrząsnął głową

— Nie... Chcę, żebyśmy skierowali ich ostrzał na kogoś innego, na gorliwe sługi obskurantyzmu.

— Nie pozwolimy, żeby popełniono omyłkę sądową.

— Nie można dopuścić, by zgasło światło, a poza tym masz niewinne dzieci, które nie powinny cierpieć z powodu niebezpieczeństwa, na jakie naraża się ich ojciec... Można ograniczyć wściekłość oprawców, rzucając im na pożarcie ofiarę, która nie ucierpiała by bardziej z ich rąk aniżeli wówczas, gdybyśmy powrócili do władzy.

— Kto to miałby być?

— Biskup... Będziemy musieli to zrobić, żeby uśmierzyć ich złość. Jeśli podamy im do złamania biskupi pastorał, zaspokoją się zrujnowaniem czyjejś kariery.

Giuseppe w milczeniu schylił głowę.

— Ma już ksiądz kogoś na myśli, prawda? Monsignore Nao?

Thomas Poopaddy powiedział mi: „Po upływie dwóch minut zrozumiałem, że mój »starszy brat« nie tylko pobił proboszcza, ale także jest autorem owego sławnego blogu; że nuncjusz jest gotów poświęcić biskupa, aby chronić Giuseppe; że Watykan ma ekipy czyścicieli, które są prawdziwym fizycznym zagrożeniem dla szczerych chrześcijan, ale gdyby chodziło o chrześcijanina dostatecznie wysoko uplasowanego w hierarchii, mogłyby się zadowolić zniszczeniem jego kariery! To bez wątpienia dwie najważniejsze minuty w moim życiu księdza, właśnie wtedy przestałem być naiwny... Żadna inna chwila nie przygotowała mnie tak dobrze do mego przyszłego pontyfikatu”.

Lombardi najwyraźniej wykonał już intelektualną pracę od ewangelicznej utopii do pewnego cynizmu — a przynajmniej do jakiejś *realpolitik*.

„*Twoje życie po nic...*”

Nuncjusz wiedział, że może przekonać Lombardiego do poświęcenia jego wrogom innych wrogów, ale musi użyć jeszcze większej siły perswazji...

— Musisz zniknąć, synu, i to na wiele tygodni. Jeśli cię znajdą, zażądają twojej głowy. Już się jej domagają, nawet jeśli uważają, że nie jesteś autorem blogów. Zagroziłeś im drogę w dniu, kiedy spoliczkowałeś Barbariga. Dzisiaj jest biskupem, wkrótce będzie kardynałem... Znam cię: jeśli cię oskarżą, przyznasz się do blogu i weźmiesz na siebie wszelkie konsekwencje. Powiesz im wprost, co o nich myślisz.

Lombardi nie odpowiedział na te uwagi.

— Jak mam zniknąć? — pytał.

— Coś wymyślimy... Mogę kazać wystawić fałszywe świadectwo zgonu. Jakiś głupi wypadek...

— A dziewczynki?

— Jeśli umrzesz, nie będę potrzebował ich ukrywać; dopóki nie wrócą do rodziny do Włoch, będziemy mogli na parę tygodni powierzyć twoje córki Mary. O niczym się nie dowiedzą, będą myślały, że pojechałeś w jakiejś misji.

— Mary nigdy się nie zgodzi...

— Już się zgodziła.

Giuseppe wytrzymał cios; przystał na wszystko; ale nagle zbuntował się.

— W piśmie do Anila pytają o Paddy'ego. Nie chcę, żeby spłonął na stosie zamiast mnie.

— Nic mi się nie stanie, Giuseppe. Jestem niewinny, bracie...

— Nie wiesz, co to za ludzie... — Giuseppe wstał. — Nie mogę pozwolić, żeby Paddy brał udział w tej grze; oddam się w ich ręce...

Renato Benelli potrząsnął głową, na jego twarzy malował się smutek.

— Chronienie przyjaciela jest pierwszą troską odważnego człowieka—powiedział, wzdychając, a potem jego głos stwardniał, jak zawsze, gdy z jego ust padał jeden z aksjomatów *realpolitik*: — Synu, wojny nie prowadzi się w pojedynkę; nie możesz wziąć na siebie wszystkich zagrożeń i uchronić od nich tych, którzy walczą u twego boku; nie zamierzasz chyba być jedynym zbawcą?

Giuseppe spojrzął na niego:

— Nie uważam się za Mesjasza, Papelli. Nie wierzę, by moja ofiara zbawiła świat, ale nie poświęcę nikogo z bliskich.

Benelli znowu westchnął.

— Zamierzasz oddać życie po nic...

Giuseppe zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do nuncjusza.

- Czy mogę zadać jeszcze dwa pytania, monsignore?
- Słucham, synu.
- Od jak dawna monsignore wie o blogu?
- Mój Boże... Jestem człowiekiem kulturalów, Giuseppe, dyplomata... Aby przeżyć w tym świecie, często musimy lawirować. A drugie pytanie?
- Dlaczego jest monsignore po mojej stronie?
- Bo mam się na baczności przed tajną czeską policją... Nie, żartuję. Coś ci powiem, Giuseppe: Czasami uda mi się jakiś dowcip, ale nie mam ani takiej odwagi, by mówić jak Assoumou, ani takiej odwagi jak ty, żeby prowadzić walkę z tymi ludźmi. Czy może znasz monsignore Guida?
- Nie. Czy to Włoch?
- Bardzo stary Włoch. Biskup Asyżu w czasach Franciszka. Kiedy *poverello* w obecności ojca rozdał wszystko ubogim, monsignore Guido otulił go swym płaszczem i wziął pod opiekę. Nie jestem Franciszkiem... Ale tutaj dostałeś schronienie i nikt nie dostanie cię w swoje ręce, dopóki jesteś u mnie. Obiecałem to Morrowi, obiecuję jeszcze raz tobie.

Cztery dni po tej rozmowie Giuseppe Lombardi został uprowadzony przez niewielką grupkę tajnej nestoriańskiej armii Mar Thoma z Malabaru. Opublikowany przez nią komunikat informował, że „wysłannik nuncjusza pozostanie więźniem, dopóki będzie istniał klimat napięcia ze wspólnotami większościami; jego życie będzie zależało od losu naszych dostojników kościelnych; może więc Rzym użyje swoich wpływów, aby Delhi nas chroniło...”.

Kiedy trzy tygodnie później do stolicy Indii przybył inkwizytor Effliik, nie mógł nie zauważyć, że istnieje podobieństwo brzmienia między nazwą owej armii — Mar Thoma — i pseudonimem blogera. [„Czy sądzi Eminencja, że może tu chodzić o chęć destabilizacji ze strony nestorianów?”, spytał biskupa Cochina, zwierzchnika diecezji, gdzie mieszkała większość Chaldejczyków. Biskup odpowiedział: „Nestorianie są zajęci ratowaniem swoich głów, nie zaś osłabianiem Stolicy Apostolskiej”.]

Wielki inkwizytor

Pan wojny

Monsignore Vlad Effliik był człowiekiem uprzejmym i cierpliwym. Gdyby nie surowy, przepisowy strój templariuszy, można by go nawet uznać za sympatycznego — zwłaszcza gdyby nie widok postępujących za nim ludzi w czerni. Wszyscy byli jednakowo wciśnięci w dwurzędowe garnitury o czysto antracytowej czerni. Czarne koszule, jakie noszą pastorki, z prostym kołnierzykiem, pozwalały dostrzec milimetr białej koloratki. Na nogach mieli mokasyny, również czarne i doskonale wypastowane, a w ręku słynne teczki, z którymi się nigdy nie rozstawali. Effliik wyróżniał się od innych dużym biskupim krzyżem.

Pod ową ściśle duchowną powierzchownością krył się pan wojny — specjalista od operacji psychologicznych, duchowej *guerilli*, mistycznego ataku.

Jego bronią były insynuacja, deformacja, donosicielstwo. W imię chwały Bożej, wyższego dobra Kościoła, wierności autorytetowi Kościoła, zgorszeniu małuczkich manipulował sumieniami; jego zwycięstwo to przyznanie się, które wyzwala, samokrytyka, którą przedstawił jako spowiedź generalną. Zostawiał za sobą spustoszone dusze, złamane umysły, zrujnowane życie.

Przez pierwsze dni Effliik nie poruszał sprawy blogera i usiłował przestraszyć kardynała Anila. Starał się przekonać go, że gdyby abdykował, byłoby mu łatwiej walczyć z rakiem. Cel Effliika jest jasny: próbuje „oczyścić” parę ważnych arcybiskupich siedzib,

zazwyczaj związanych z godnością kardynalską, by pozwolić meksykańskiemu papieżowi szybko odnowić skład Świętego Kolegium i zapewnić długotrwałość konserwatywnej władzy.

Ale kardynał nie zamierzał ustąpić ani rakowi, ani meksykańskiej zarazie...

Kiedy templariusze przystąpili do sprawy blogera, byli w piekącym humorze, i Thomas Poopaddy, zaatakowany ogniem wprost, poczuł na sobie ich „metodę”.

W sercu „sprawy”

Thomas opowiadał: „Mieli sążniste akta na temat każdej dziedziny mojej działalności, każdego z członków mojej rodziny, gdzie to, co prawdziwe, mieszało się z tym, co niedokładne, kłamliwe, podłe. Najpierw sądziłem, że najlepszą obroną jest moja niewinność; wkrótce zdałem sobie jednak sprawę, że według nich są tylko winowajcy, na których trzeba machnąć ręką, winowajcy, którymi można manipulować, i winowajcy, których można skazać.

Ale najgorsza jest bez wątpienia stosowana przez nich metoda, gdyż robienie karykatury z tego, czemu oddaliśmy życie, w gruncie rzeczy jest tego pogwałceniem.

Zostałem wezwany bardzo wcześnie rano, koło szóstej trzydziści. Pierwszego dnia poszedłem o prawie pustym żołądku, bo zazwyczaj w nuncjaturze zawsze dają ci filiżankę herbaty, owoce i herbatniki. Ale udawałem się do tego szczególnego miejsca w nuncjaturze, które znajdowało się całkowicie w rękach templariuszy. Byli tam wszyscy ludzie Effliika, mówili cicho, jakimś nienaturalnym tonem. Oświadczyli, że na początek »trzeba zawierzyć Bogu, bo tylko on jest zdolny otworzyć serca, aby trysnęło światło prawdy, niwecząc podstępny nasz pychy. Dopiero wówczas będziemy zdolni poczuć szczerą skruchę i z ufnością ośmielimy się rzucić w ramiona tego, który nas zbawi«. Co rzekłszy, zaczęli zachęcać, bym wspólnie z nimi odmówił psalmy pochwalne, a potem odprawił mszę świętą. Początkowo odmawiali psalmy po łacinie. Mój brewiarz jest oczywiście w języku angielskim, brewiarze nuncjatury we włoskim; milczę więc, podczas gdy ta szóstka odprawia różne praktyki religijne, których zasady są mi nieznane. Kiedy intonują razem Pieśń Zachariasza, wszyscy na mnie patrzą i odczuwam dziwny wstyd, że

nie znam jej łacińskich słów. Mszę odprawia tuż potem Vlad Effliik, który nikogo nie zaprasza do koncelebrowania jej; a przecież jesteśmy księżmi. Podczas konsekracji pięciu pozostałych klęka, ze stulami na szyi. Gest ten wydaje mi się paradoksalny, ostatecznie postanowiłem stać nadal; czułem, że będę musiał się z tego tłumaczyć. Kończymy śpiewem do Dziewicy Maryi, również po łacinie, który żałośnie występuję. Jest ósma piętnaście, myślę o gorącej herbacie, przygotowanej przez siostry. Właśnie wtedy do akcji wkracza Effliik. Przed odejściem od ołtarza zwraca się do nas ze słowami: »Muszę załatwić kilka pilnych spraw. Ojcie Arturo, ojcie Augustusie, ojcie Christopherze, będę was potrzebował. A ksiądz, ojcie Poopaddy, może modlić się dalej w towarzystwie ojców Stevena i Stefana. Jestem pewien, że doceni ojciec ten przerywnik pełen spokoju pośród życia, które, jak mi wiadomo, jest zajęte służbą świętemu Kościołowi, Matce naszej«.

Ugrzęzłem więc w kaplicy z dwoma templariuszami, którzy osuwają się na kolana i zapadają w głęboką medytację. A ja widzę, jak oddala się ode mnie moja filiżanka herbaty. Postanawiam robić dobrą minę do złej gry, godzinka modłów jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Ale że pozycja klęcząca jest straszliwie niewygodna, postanowiłem więc usiąść po turecku, jak zwykłem to czynić. Po upływie godziny zacząłem się niecierpliwić. Koło jedenastej jeden z tamtej trójki, chyba Christopher, wchodzi do kaplicy, pochyla się nad jednym z dwu pozostałych i szepce mu coś na ucho. Tamten wstaje i wychodzi z kaplicy. Christopher zostaje i informuje mnie, że monsignore jest ogromnie przykro, że tak się nieszczęśliwie złożyło; proponuje, byśmy odmówili różaniec, prosząc Maryję, aby swoją macierzyńską troską wspomogła naszego nieszczęśliwego przyjaciela, ojca Lombardiego, aby znalazł u niej wszelką pociechę, której potrzebuje, aby przebyć doświadczenie swej niewoli. Zaczęliśmy więc maraton z *Ave Maria*, przerywanymi *Pater Noster*, których rachunek prędko zgubiłem — przyszedłem bowiem bez różańca. Czułem, że przyjdzie mi odpowiedzieć również za to.

Minęło już południe, gdy powiadomiono nas, że monsignore domaga się naszej obecności. Przygotowano dla nas sześć miseczek ryżu, dzban wody i szklaneczki. Effliik tłumaczy mi, że on i jego templariusze postanowili rozpocząć post w intencji »naszego«

nieszczęśliwego przyjaciela. Do dyspozycji tych, którzy pragną zjeść lekki posiłek, są miseczki. Oczywiście żaden z nich nie je, więc i ja rezygnuję.

Effliik proponuje, bym przeszedł się z nim trochę po ogrodzie. Jest serdeczny i przyjazny, interesuje się zdrowiem mego ojca, »tego wspaniałego człowieka«, i wyznaje mi, że marzyłby o zwiedzeniu różanego ogrodu mojej matki. Tłumię w sobie chęć zaproszenia go — ten człowiek mną manipuluje. Effliik zdał sobie sprawę, że go przejrzałem. Przerwał rozmowę: »Dobrze, chodźmy spojrzeć razem na pańskie dossier«.

I wtedy zaczęło się nieprawdopodobne roztrząsanie wszystkiego, co mogłem powiedzieć i napisać przez blisko dwadzieścia lat, od moich studenckich rozprawek do kazania wygłoszonego któregoś powszedniego dnia do zakonnic przeszło trzy tysiące kilometrów od Delhi. Effliik odzywa się niewiele, pozwala innym odwalić brudną robotę. Gra »dobrego policjanta«, czasem wtrąca coś na moją korzyść, mówiąc, że chodzi o zwykłą niezręczność: »ojciec Poopaddy z pewnością nie chciał tego powiedzieć«. Pozwolili mi odejść z zapadnięciem nocy, po ostatniej wspólnej modlitwie, wyznaczając mi następne spotkanie nazajutrz o szóstej trzydzieści rano. Byłem głodny jak wilk, zmordowany i dręczyła mnie straszna migrena. Tym razem wiedziałem, że to podlece.

Po tygodniu tego reżimu przesłuchań połączonych z ćwiczeniami pobożności naprawdę zacząłem się zastanawiać, czy Giuseppe jest wart, by te szakale rozszarpały moje życie, zbrukały moją wiarę, znieważały moją rodzinę; Giuseppe, który zniknął w odpowiednim momencie, zostawiając nas samych z tymi psami... Może ugiąłbym się, gdyby maglowali mnie w ten sposób jeszcze dzień dłużej... Ale oto co się zdarzyło: podczas przesłuchania jeden z templariuszy mruknął coś, nazywając mnie »wstrętną małpą«. Popatrzyłem mu w oczy; pod powieki napływały mi łzy, ale wiedziałem, że on pęknie pierwszy i powiedziałem: »Wynocha... Wynoś się migiem, ty bezczelny Europejczyku, spływaj i zabieraj swoje manatki... I żebym cię tu nigdy nie widział, inaczej stłukę cię na kwaśne jabłko, a kiedy dostaniesz się w moje ręce, rodzona matka cię nie pozna...«.

Właśnie to przekonało ich o mojej niewinności. W chwili gdy wykazałem dość gniewu, by zagrozić im fizycznie... Nie wiem, czy to sprawa zboczonej psychologii katów lub ich doświadczenia — może

w gruncie rzeczy żaden winowajca nie ośmiela się nigdy grozić swym oprawcom”.

Przez cały czas trwania tych przesłuchań Poopaddy nigdy z nikim nie rozmawiał. Walczył sam, uzbrojony jedynie w pantagrueliczne śniadanie, jakie z determinacją pochłaniał każdego ranka.

— Było to zwycięstwo diety nad manipulacją mentalną — podsumował Paddy.

Po tym straszliwym tygodniu nuncjatura przestała mieć podejrzenia — a w Rzymie nawet otoczeniu papieża dano do zrozumienia, że wspaniałą rodzinę Poopaddych można atakować jedynie wówczas, gdy „jej wina jest pewna”.

Przesłuchania monsignore Vlada Effliika zostały wreszcie uwieńczone sukcesem i nuncjusz udostępnił mu swój kalendarz i spis adresów. Jeszcze dwa dni i „delegacja” odleciała do Bangalore: teraz w oku cyklonu znalazł się monsignore Nao. Kalendarz spotkań Benellego, podrobiony i „spreparowany” dokonał cudów... [Wizyty Nao w Delhi korespondują z datami ukazywania się blogu, Effliik zdobył pewność, że został nadany z Delhi.]

Miesiąc później monsignore Effliik wrócił do Rzymu wezwany przez swych przełożonych: zaczął się kryzys niemiecki i jego żelazna ręka bardziej się tam przydała...

„Gdyby zdarzyło się jakieś nieszczęście”

W niecały tydzień po porwaniu Giuseppe obydwie siostry Lombardi wylądowały na lotnisku w Delhi. Trzydziestopięcioletnia Anna od dziesięciu miesięcy była żoną Miklosa Szabo, również lekarza, z którym mieszkała w Genewie. Marina miała dwadzieścia dziewięć lat; zarabiała (jako tako) na życie dzięki swemu uznanemu już talentowi wiolonczelistki i nadal zajmowała mieszkanie Lombardich w Bolonii.

Na wiadomość o porwaniu Giu rodzina Lombardich ogłosiła alarm bojowy. Miklos przyspieszył przewidywaną od dawna podróż po Azji, aby kilka tygodni później móc dołączyć do żony i szwagierki w Delhi. Jeśli przetrzymywanie Giu przez porywaczy będzie się

przedłużało, mieli postanowić na miejscu, czy zabrać dziewczynki do Bolonii.

Siostry przyjął na lotnisku sam nuncjusz, który zawiózł je prosto do Alana i Mary. Benelli uspokajał je:

— Nie martwcie się o brata... Znam to maleńkie ugrupowanie, nie zamordują katolickiego księdza. Mogą go przetrzymywać parę tygodni, może miesiąc czy dwa miesiące...

Potem dał następującą radę:

— Przede wszystkim nie róbmy niepotrzebnego szumu wokół tej sprawy; warunkiem powodzenia jest najdalej posunięta dyskrekcja.

Wypowiadając te słowa, wpatrywał się w nie tak nieruchomym wzrokiem, że przez następne lata czuły się związane przysięgą tajemnicy. [Anna i Marina nigdy nikomu, nawet rodzicom, nie mówiły tego, co opowiedziały mi o porwaniu. Nie jestem nawet pewien, czy odważyłyby się na te zwierzenia nawet dwadzieścia lat po wydarzeniach, gdyby nuncjusz Benelli nie zmarł sześć lat temu...]

Po przyjeździe odkryły, że Giu znalazł tu sobie drugą rodzinę. Clara i Cecilia były szczęśliwe i pod dobrą opieką i nie miały najmniejszego pojęcia, co się naprawdę stało. Anna podsumowała:

— Jedynym powodem naszego przyjazdu do Indii było zabranie dziewczynek, gdyby Giu przytrafiło się jakieś nieszczęście. Przez kilka tygodni mnie i Marinę dręczyła myśl, jakimi słowami trzeba będzie powiedzieć dziewczynkom, jeśli...

U inkwizytora

Minął miesiąc. Państwo Poopaddy przyjęli Marinę i Annę w swym wielkim domu, jakby należały do rodziny. Odkryły tam tę tak osobliwą sztukę życia — leniwą słodycz pośród tłumu ludzi, bliskich i dalekich kuzynów oraz służby na każde skinienie. W dni wolne od nauki mimo wszystko krążyły wokół stolicy, robiły ze swymi bratanicami wycieczki pod dyskretną, lecz zbrojną opieką Josepha, jednego z kuzynów Paddy'ego.

Co dwa dni do sanktuarium Poopaddych przyjeżdżał nuncjusz. Krótko informował indyjskich oraz włoskich członków rodziny, jak stoją sprawy, i zamykał się z Alanem. „Wydawał się bardzo optymistyczny co do rozwiązania, ale nieco poirytowany, jakby nasza obecność była jakąś komplikacją... Zrozumieliśmy to dużo później”, mówiła Anna.

Mniej więcej w połowie maja w domu Mary zjawił się jakiś człowiek. Poproszono młode Włoszki do nuncjatury, aby „prze-studiować ze specjalnym wysłannikiem Stolicy Apostolskiej środki podjęte w celu szybkiego uwolnienia Giuseppe Lombardiego”. Tego samego wieczoru Renato Benelli przeprowadził z nimi długą rozmowę. 17 maja 2018 roku Anna i Marina spotkały się z monsignore Vladem Effliikiem.

Śledztwo prowadzone przez inkwizytora pokrywało się już patyną; nie zdobył żadnej interesującej informacji w kawiarniach internetowych Delhi, a jego praca polegająca na wywieraniu nacisków nie dała żadnych wyników... Nie miał żadnego tropu, żadnej interesującej luki.

Przed odlotem do Bangalore instynkt drapieżcy kazał mu jeszcze raz węszyć wokół tropu Lombardiego...

Rozmowa nie trwała długo. Było jasne, że monsignore Effliikowi wcale nie chodzi o uwolnienie Lombardiego, ale raczej o znalezienie powodu, który wyjaśniałby jego uprowadzenie — może jest kimś tak ważnym, że tłumaczyłoby to, dlaczego porywacze zainteresowali się właśnie nim?

Anna na próżno powtarzała, że od prawie trzech lat nie widziały brata. Trudno więc, aby wiedziały, jaką rolę mógł tu grać Giuseppe. Wszyscy, z którymi tu rozmawiały, mówili o nim jako o dobrym księdzu, cenionym współpracowniku nuncjusza.

Effliik postanowił więc zajść je z innej strony i zwrócił się do Mariny:

— Ale pani musi jeszcze bardziej boleśniej odczuwać nieobecność brata... Podobno jest pani osobą samotną; może myślała pani o uświęceniu tego celibatu, tak jak brat uświęcił swoje wdowieństwo?

Marina uśmiechnęła się.

— Giuseppe uświęcił swoje małżeństwo, nie swoje wdowieństwo; ale obawiam się, że monsignore nie chwyta tego niuansu. Proszę się uspokoić, moja samotność jest bardzo względna... W naszych czasach kobieta dwudziestodwuletnia, która sama podróżuje po świecie, może znaleźć przyjaciół, a od czasu do czasu nawet kochanków. Jeszcze nie założyłam rodziny, ot i wszystko.

Monsignore Effliik myślał, że nareszcie udało mu się znaleźć szczelinę, już się szykował do zadania ciosu, ale Marina wybiła mu broń z ręki:

— I proszę nie dawać mi lekcji moralności, monsignore. Chce pan tylko wiedzieć, czy Giuseppe może być tym blogerem, który tak pana intryguje; wcale panu nie zależy na znalezieniu sposobu, jak go uwolnić...

— Mógłbym panią...

— Ależ skąd, monsignore — przerwała mu Anna. — Jesteśmy obywatelkami włoskimi, a ponieważ średniowiecze już się skończyło, nie ma pan nad nami żadnej władzy. Przyszliśmy do nuncjatury z własnej woli. I z własnej woli ją opuścimy. A jeśli będzie chciał pan sprawiać nam jakiegokolwiek kłopoty, mogę panu przysiąc jedno: poinformuję mój rząd i międzynarodową organizację, dla której pracuję, o pańskich metodach... A także media...

Tego samego wieczoru do nuncjatury przyszła zaszyfrowana depesza. Bloger Thomas znowu sięgnął po elektroniczne pióro.

Następnego dnia Vlad Effliik wsiadł do samolotu do Bangaloru, przekonany, że Włoch nie ma nic wspólnego z kampanią destabilizacyjną. Los porwanego księdza przestał go interesować.

6 czerwca, cztery dni po ostatecznym wyjeździe Effliika i naza jutrz po przybyciu do Delhi radcy Szabo, pojawił się nowy komunikat tajnej armii nestoriańskiej Mar Thoma z Malabaru:

„Dzisiaj wypuściliśmy księdza Lombardiego, kapłana Kościoła katolickiego. Jest wolny i zdrow... Mimo wzmożonych sił policyjnych uruchomionych przez hinduistyczne państwo totalitarne, przeprowadziliśmy porwanie, uwięzienie, a potem uwolnienie wiele tysięcy kilometrów od Wybrzeża Malabarskiego. Jesteśmy silni i pozostaniemy silni. To uwolnienie nie jest przyznaniem się do słabości, ale aktem łaski wobec jeńca wojennego”.

Sprawa Mar Thoma

Rolls wyjechał

Giuseppe Lombardi był żywym zakładnikiem, kiedy rodzina przyjechała po niego do siedziby biskupiej, przed którą wysadzili go porywacze. Żywym, ale podejrzanym.

Państwo Poopaddy uznali, że będzie lepiej, jeśli dziewczynki zostaną w domu, aby nie zrozumiały powagi tego, co zaszło. Kiedy Paddy szykował się do zabrania Anny i Mariny, żeby pojechały po brata, z biblioteki wyszedł Alan.

— Jadę z wami... — powiedział.

Było to wydarzenie, jakiego nie odnotowano w kronikach rodzinnych od przeszło ośmiu lat.

Zdawało się, że dom nagle zadrżał w posadach. Thomas pojął, że był to jeden z owych niezwykłych momentów, gdy wszystko, co rządzi światem, zmienia się. Zadał pytanie:

— Czy możemy pojechać rollsem, papo?

Stary mędrzec z powagą kiwnął twierdząco głową.

Właśnie w tym pojeździe delegacja Lombardich-Poopaddych podjechała pod siedzibę biskupią. Chociaż raz Paddy był skoncentrowanym kierowcą; obydwie siostry drżały z niecierpliwości, natomiast stary patriarcha, siedzący delikatnie na skórzanym obiciu sławnego wehikułu, prawie znikający w fotelu, zachował niewzruszony spokój.

Benelli czekał na nich u stóp wielkich schodów. To on zatelefonował, by poinformować ich o uwolnieniu Giuseppe. Bez zdziwienia powitał Alana.

— Czekaj na nas na górze. Czuje się dobrze i...

Obydwie Włoszki nie czekały, aż skończy, i były już w połowie schodów.

— Czekaliśmy nie tylko osiem tygodni z żołądkiem ściśniętym strachem. Czekaliśmy trzy lata, odkąd wyrwano nam naszego brata... Nikt i nic nie mógłby teraz przeszkodzić nam, by chwycić go w ramiona — wspominała Anna.

A Marina opowiadała:

— Wpadliśmy jak wicher do gabinetu monsignore Anila. Giuseppe stał pośrodku salonu. Ogromnie schudł i był blady, on, który miał zawsze śniadą cerę. Skronie mu trochę posiwiały... Ale wydawał się żwawy, mocny, tylko wyczerpany. Prawie przebiegłam przez salon, bo chciałam pierwsza znaleźć się w jego ramionach..

Za nimi wchodzili kolejno nuncjusz, jego „następca” i stary patriarcha; Paddy był szczęśliwy, kamień spadł mu z serca na widok swego bliźniaka, dwaj pracownicy biblioteki patrzyli z zadowoleniem na twarzach. Za biurkiem niecierpliwził się surowy arcybiskup jezuita.

Nieugięci porywacze

Opowieść Anny:

Monsignore Anil uprzedził nas, że z pewnością usłyszymy rze-
czy, które na zawsze będziemy musiały zachować w tajemnicy...

Giù odpowiedział na kilka pytań dotyczących jego uwięzienia. Jedzenie było marne, dwukrotnie przenoszono go z piwnicy do piwnicy, potem przez ostatnie dwa tygodnie był w jakimś dużym domu. Przez cały czas miał przy sobie zegarek i Biblię... W paru zdaniach opowiedział, jak zorganizował sobie życie, codziennie rano poświęcając dwie godziny na ćwiczenia fizyczne. Potem zamilkł.

— Przez dwa ostatnie tygodnie miałem czas przemyśleć informacje, jakie od was dostałem... — powiedział, zwracając się do Benellego i Alana.

Wtedy spojrzaliśmy na innych — Paddy, podobnie jak my, nie wiedział, że byli z nim w kontakcie... Nuncjusz i Alan po prostu przymknęli powieki na znak zgody.

Kardynał odkasznął, nieco zażenowany.

— Mnie samego dopuszczono do sekretu dopiero parę dni temu.

— Wiem, że nie był to pomysł Waszej Eminencji... — odpowiedział Giu.

Paddy rozgniewał się:

— Bardzo przepraszam, ale czy możecie mi powiedzieć, o czym rozmawiacie?

Trzej pozostali zwrócili oczy ku Giuseppe, najwidoczniej czekając, by on to wyjaśnił.

Giuseppe odwrócił się do siostr i swego bliźniaka.

— Alan i Papelli dostarczyli mi listy mówiące, że pozwolą, by moje uwięzienie przedłużało się dopóty, dopóki moi wrogowie nie wyniosą się stąd... Dali mi do zrozumienia, że warunki mego uwięzienia znacznie się poprawią, ale że za żadną cenę nie wolno mi próbować ucieczki... Jeśli dobrze zrozumiałem, swoje porwanie, uwięzienie, a potem uwolnienie zawdzięczam tym dwu panom. Przypuszczam, że wykorzystali swoje kontakty z nestorianami, by się upewnić, że dojdzie do wiarygodnego porwania. Postanowili wsadzić mnie do łódki, dopóki niebezpieczeństwo nie minie, ponieważ nie byłem na tyle rozsądny, żeby się ukryć samemu. Prawda?

Zwrócił się do Alana i Benellego, którzy siedzieli z kamiennymi twarzami. Wszystko to Giuseppe wyjaśniał spokojnym tonem. Ale sposób, w jaki powiedział „ci dwaj panowie”, mówiąc o nuncjuszu i starym patriarsze, nie zapowiadał niczego dobrego... Stary Hindus nawet nie mrugnął powieką.

— Rzeczywiście. Trzeba było chronić ciebie, chronić twoje córki, chronić twój blog — odpowiedział Benelli bez uśmiechu i dodał: — Musiałem zresztą dopisać rozdział do twego blogu, aby przekonać Effliika, żeby pojechał szukać sobie ofiary gdzie indziej.

Zapadła długa cisza. Każdy czekał, co powie Giuseppe. Tymczasem nie mówił nic. Obydwie siostry siedziały jak sparaliżowane. Paddy nie mógł już dłużej wytrzymać...

— Czy naprawdę to zrobiłeś, papo? Ośmieliłeś się? Odezwij się, do licha! — wybuchnął.

Najlepsza opcja

Głos zabrał Benelli, nie zwracając uwagi na bliźniaków:

— Czy uważasz, że musimy cię przeprosić, Giuseppe. Jesteśmy przekonani, że wybraliśmy najlepszą opcję.

Włoch zamknął oczy. Potem zaczął wpatrywać się w dwóch starych ludzi.

— Przeprosić? Dwa razy pozbawiliście mnie wolności, uważając, że nie powinienem przeciwstawić się moim wrogom, potem przetrzymując mnie odciętego od świata przez dwa miesiące. Gdybyśmy się spotkali tydzień temu, odpowiedziałbym wam innym tonem, a potem wskoczyłbym do samolotu, żeby stawić czoło Effliikowi... — Cisza. — Zastanowiłem się. — Uśmiechnął się... — Może to nowa ilustracja syndromu sztokholmskiego... — Jego oddech przypominał westchnienie. — Wydaje mi się, że czasem trzeba stosować do własnego życia zasady, które rządzą resztą naszej działalności na świecie. Nie uważać się za kogoś lepszego, zdolnego samotnie przeciwstawić się niebezpieczeństwu, podczas gdy usiłujemy oszczędzić go wszystkim innym... — Pauza. — Nie czuć się... pysznym. — Odwrócił się do Thomasa. — Paddy, myślałem, że ja mógłbym stawić czoło Effliikowi, ale że ty nie jesteś do tego zdolny... — Pauza. — A więc przypuszczam, że potrafiłeś to zrobić, bo wyglądasz na człowieka nieugiętego.

— Opowiem ci... Twoje siostry także...

— OK... No tak... Na pewno jest zbyt wcześnie na rozwikłanie tego wszystkiego, ale nie proszę was o wybaczenie. Udzieliliście mi lekcji. Jest trudna do przelknięcia. Nie jestem jeszcze gotów, by wam podziękować, ale na pewno do tego dojrzeję.

Wstał i powiedział:

— Teraz chciałbym zobaczyć moje córki... Monsignore, jeśli to możliwe, wolałbym uniknąć wszelkiego rozgłosu...

Godfrey Anil skinął głową.

— Postaramy się załatwić to dyskretnie.

Po drodze Giuseppe poprosił, żeby rolls zrobił objazd.

— Już drugi raz jestem nieobecny na urodzinach Cecilii, nawet do niej nie zatelefonowałem. Nie chcę, by miała żal, że wyjechałem na tak długo i wracam bez prezentu.

Posiłek powitalny przebiegał w dziwnej atmosferze: nie można było hałaśliwie świętować uwolnienia, bo dziewczynki mogłyby się czegoś domyślić. Przy kawie radość była również umiarkowana, ponieważ niektórzy znali prawdę, o której inni nic nie wiedzieli. Mary powiedziała mi teraz:

— Giuseppe wyznał mi, co się wydarzyło tego roku, kiedy wyjechał, tuż przed śmiercią Alana. Zrozumiałam, dlaczego wszyscy wrócili z tamtej wizyty w diecezji w tak chłodnych nastrojach.

Na szczęście, kiedy siedzieli w ogrodzie i popijali herbatę, Marina, zazwyczaj powściągliwa, oznajmiła:

— Mam dla was dobrą wiadomość... Pobierzemy się z Josephem tego lata.

Wszystkie filizanki znieruchomiały parę centymetrów od ust, zawartość dwu lub trzech wylewała się nawet na angielski trawnik.

„Ależ to Hindusi”

Ślub miał się odbyć pod koniec września.

Rodzice Lombardi przyjechali sześć tygodni przed wyznaczoną datą... Monica opowiadała mi: „Przechodząc przez płytę lotniska, jeszcze nie czułam, że jesteśmy w Indiach, bo te międzynarodowe przestrzenie wszędzie są do siebie podobne. Długo czekaliśmy na bagaż. W głowie ukazywały mi się obrazy, jakie o tym kraju zachowałam po obejrzeniu zdjęć, urywków filmów, jakie nam przysyłali...

Czekali na nas we trójkę przed drzwiami, Giu wyższy od reszty tłumu; i pamiętam, że pomyślałam: »Ależ to Hindusi«. Mentalnie byłam przygotowana na wszystko: Clara ma jedenaście lat, jest już niemal młodą dziewczyną; Cecilia nie będzie już małą dziewczynką. A mój syn wychudzony w czasie uwięzienia, o prawie siwych skroniach, jak mi napisał w swym ostatnim liście. Ale nie przyszło mi do głowy, że trzy lata w tym kraju upodobnią ich do tubylców. Mieli śniadą skórę, włosy dłuższe, niż sobie wyobrażałam, ubranie o dziwnym kroju, z nieznanymi mi tkanin. I nawet sposób, w jaki nas powitali, nawet ich spokój kontrastował z naszą gorączkową ekscytacją; powolność uścisków, serdeczne słowa wypowiedane z rezerwą...

Wsiedliśmy do samochodu, który nuncjusz oddał nam do dyspozycji... Giuseppe rzucił kilka słów w hindi szoferowi. Odwrócił się do nas i powiedział: «Jedziemy na obiad do rodziny przysłego męża Mariny, do Mary i Alana; koniecznie chcą, żebyście u nich zamieszkali, i będzie wam tam dobrze... Monico, spodoba ci się ten zakątek...».

Kiwałałam twierdząco głową... Mój syn mówił, jakbyśmy jechali na weekend do niego, do nieco odległej prowincji; jakbyśmy się niedawno widzieli w Bolonii.

Sześć tygodni wakacji poprzedzających wesele było radosnym deserem dla Clary i Cecilii. Miały dziadków przejętych bez reszty tym spotkaniem po latach; miały swego Papelli i zakonnice z nuncjatury, które wymyślały, co tylko mogły, by nadal się nimi opiekować; cieszyły się różanym ogrodem, obecnością Mary, Mariny i Josepha...

Dwa razy pojechały z ciotką, przysłym wujem i dziadkami zwiedzić Radżastan, a potem południowo-wschodnie wybrzeże subkontynentu — czego nie zrobiły podczas trzech lat wygnania.

Giuseppe czasem marszczył brwi i sugerował, żeby nie zaczęły się nosić jak królowe — »Królowe są despotkami«. Ale Papelli odpowiadał, że są przede wszystkim monarchiniami. Kilka razy na tydzień wszyscy spotykali się na kolacji u Mary. Przy deserze Papelli znikał z Piętrzem, żeby w palarni przy kieliszku sherry dyskutować z Alanem o dziwnych stosunkach między Wschodem i Zachodem”.

Pewnego wieczoru Alan poprosił Giuseppe i Paddy'ego, żeby się do nich przyłączyli. Starzec położył na biurku komplet deklaracji, jakie wydali od stycznia Nur Saighi-Morales i jej przyjaciele reformatorzy.

— Popatrzcie, co z nich uczyniła nadzieja: są rozgoryczeni, wkrótce zaczną grozić.

Lektura tych tekstów była niepokojąca. Młodzi muzułmańscy intelektualści stwierdzili, że próby ich integracji w demokracjach zachodnich skończyły się klęską. W jednym z ostatnich tekstów Nur Saighi-Morales padały oskarżenia i groźby: „Demokracje europejskie są obieralnymi teokracjami opierającymi się na swych judeo-chrześcijańskich korzeniach, które nie tolerują żadnych wyznawców innych religii i odmawiają im równoprawnego obywatelstwa.

Przez trzy ostatnie lata, kiedy codziennie nas legitymowano, widzieliśmy, jak katolicy zawłaszczają przestrzeń publiczną; media zastąpiły najbardziej obskuranckie kazania. A teraz owe demokracje są sojusznikami ewangelistycznego czempiona nowej wyprawy krzyżowej, który trzyma w więzieniach kilka tysięcy młodych ludzi

tylko dlatego, że są muzułmanami. Jeśli demokracje są zastrzeżone dla chrześcijan, niech to powiedzą! Czy trzeba będzie czekać na dechrystianizację, by mieć nadzieje na uzyskanie należnego nam miejsca w społeczeństwie?”. Ostatnie pytanie brzmiało jak wyrocznia.

Wolność Moniki Lombardi

Wesele Mariny i Josepha było niezwykle wystawne. Msza została odprawiona pod jedwabnym namiotem w ogrodzie domu Popaddych — a przy ołtarzu byli obaj bliźniacy.

Pady wspominał:

„Wyciągnąłem całą panoplie, najbardziej nieprawdopodobne ozdoby, jakie można sobie wyobrazić, by odprawić katolicką liturgię — ale Giuseppe nie chciał o niczym takim słyszeć, zadowolił się swoją albą i zwykłą stulą. Nasze szaty były ilustracją wielokulturowości liturgicznej... Poza tym wygłosiliśmy homilię w formie dialogu... Była nieco przydługa, muszę przyznać, ale dość interesująca... Poza tym nieprędko się zdarzy, by tak jak Marina i Joseph ktoś wysłuchał na swym ślubie kazania dwóch przyszłych papieży.

Zaczynała się długa noc z muzyką, pod niebem pachnącym dymami kadzideł, które unosiły się w górę... Czasem muzykanci grający na sitarze i tabli przerywali grę, żeby z kolei zaśpiewali Włosi — i Giu nie oszczędzał gardła...

W ogrodzie Mary oświetlonym pochodniami, gdzie nuty przesuwają się jak paciorki różańca, syn usiadł obok matki.

— A więc stało się, Monico. Teraz jesteś zupełnie wolna...

— Jak najbardziej. Marina jest szczęśliwa... Anna powie wam jutro, że spodziewa się dziecka; a prawdę mówiąc, dwojga dzieci, ale powinnam pozwolić jej zrobić ci niespodziankę... — Giu uśmiechnął się z kokieterii matki. — A ty? Znalazłeś drugą ojczyznę, drugą rodzinę, przede wszystkim Paddy'ego... i Mary...

— Trochę cię to martwi?

— Wiesz, że wszystkie matki chcą wierzyć, że są niezastąpione. Ale na scenie życia może nie była to najlepsza z moich ról. Teraz Pietro przestanie pracować... Wreszcie będziemy mogli się odnaleźć, od dawna o tym marzymy.

— Pietro przestaje pracować?
— Już przestał. Twój ojciec może sobie mówić, że jest na wakacjach, ale od trzech miesięcy jest na emeryturze, Giu. Sam ci o tym powie... Nadal będzie jeździł po całym świecie i wygłaszał wykłady, ale teraz będziemy podróżowali jak dwoje kochanków, z hotelu do hotelu.

Giuseppe uśmiechnął się.

— Ukradłem wam kilka lat beztróskiego życia od... od śmierci Chiary.

— Najpierw wy troje, potem SZWN... Oczywiście, ale niczego nam nie ukradłeś, Giu... Dawaliśmy wam to, co uznaliśmy za stosowne.

Za dwa tygodnie Pietro i Monica mieli wyjechać. Pietro dopiero w przeddzień wyjazdu przeprowadził rozmowę z synem. Jak zawsze mówił wprost, nie owijając niczego w bawełnę. Oznajmił, że przestaje pracować: szczepionka przeciwko SZWN jest obecnie problemem przemysłowym...

— Twoja siostra Anna zajmowała się tym zresztą przez pewien czas. Ale ona też będzie musiała na trochę się wycofać...

— Nie rozumiem...

— Wiesz, że u genezy szczepionki leży nasz lizat i że obaj z Tytusem Liwiuszem po części krowom zawdzięczamy Nobla... [Lizat — materiał uzyskany z rozpuszczalnych komórek bakteryjnych.] Z pewnością zapomniałeś, w jakich okolicznościach odstąpiliśmy eksploatację i prawo do patentu; obaj z Rustu dostaliśmy 10% akcji Noah Inc., ponieważ tylko w ten sposób laboratorium mogło nam coś zapłacić... Ale od podania do publicznej wiadomości o wykorzystywaniu lizatu w ciągu kilku miesięcy wartość Noah Inc. została pomnożona przez tysiąc i w najbliższej przyszłości jeszcze wzrośnie. Trzy tygodnie temu wielonarodowe towarzystwo Isis zapowiedziało przyjacielskie OPA. [Podczas zakupu w 2018 r. Isis wymieniła akcje Noah na akcje Isisu. Akcja Isis skoczyła następnie z 117 % w 2018 do 123 % w 2019 r.]

— Jesteś więc bardzo bogaty...

— Jestem w stanie zapewnić wam wszystkim dostatnie życie. A i tak zostanie mi dużo pieniędzy.

- Mamy wszystko, czego nam trzeba, Pietro.
- Któregoś dnia wrócisz do nas. Twoje córki urosną i pensja księdza nie pozwoli ci na opłacenie im we Włoszech życia, na jakie zasługują. Posłuchaj, co zamierzam zrobić...

Pietro wyjaśnił: jego majątek jest ulokowany w fundacji, której celem będzie finansowanie „nierentownych” projektów badań medycznych, jego zdaniem ta decyzja zagwarantuje roczną rentę każdemu z dzieci i wnuków... Pietro uznał, że Anna będzie doskonałą osobą, by zarządzać fundacją i zagwarantować interesy rodziny.

Giuseppe zgodził się bez dyskusji. W jego domu nigdy już nie było mowy o problemach finansowych.

Mordercy, którzy na nas czyhają

Pod koniec grudnia 2018 roku do Delhi nadszedł bardzo długi list. Wysłał go Enrico Morro, który od środków elektronicznych nadal wolał pióro. Don Enrico nie mógł przyjechać na ślub „z powodu skomplikowanych spraw, jakie były w tym momencie między nimi a nami”, jak mówił Piętrovi Lombardiemu. Oni to Meksykanie. List wyjaśniał, o jakie „skomplikowane sprawy” chodziło. Znalazłem go w archiwach, które Paddy zachował w Delhi.

Giuseppe, bracie mój!

Znowu piszę, bo cztery dni temu byłem u Pietra i Moniki, którzy zaprosili mnie na świąteczny posiłek w Boże Narodzenie i opowiedzieli mi o Waszym spotkaniu po latach. Potwierdzili także, że nadal twardo zamierzasz wrócić do kraju, gdzie spoczywa Chiara.

Braciszku, błagam, odłóż na później tę decyzję. Tutaj nasi przeciwnicy wpadli w jakąś osobliwą wściekłość — która, mam nadzieję, zapowiada koniec ich rekonkwisty. Ale boję się okrucieństwa umierającej bestii jeszcze bardziej aniżeli arogancji bestii zwycięskiej. [...] Zmieniły się ich maniery, ich język. Rozpoznaję w nich niepokój, jaki nas ogarnął po niepowodzeniach naszych reform, ale im towarzyszą nieukrywane ataki na wrogów. Metoda, jaką monsignore Effliik

usiłował rozwiązać kryzys niemiecki, była skazana na klęskę — nie mógł zmniejszyć i zmusić do posłuszeństwa całych diecezji. Jestem przekonany, że Kolonia, Monachium czy Munguncja nadal nie będą się zgadzały na narzucanych im prałatów. Już od siedmiu miesięcy kontrybucja od Kościołów niemieckich jest zablokowana na rachunku w Deutsche Bank... Niektórzy funkcjonariusze Watykanu wszczęli powództwo w celu uzyskania postanowienia sądu, żeby uzyskać wypłatę zaległych poborów. Dykasterie zaczynają pustoszeć. Wkrótce Kuria będzie finansowana tylko z funduszy Templum Christi — i wówczas tron Piotrowy wpadnie ostatecznie w ręce templariuszy. [...] Nasze stosunki finansowe ze Stanami Zjednoczonymi zmieniły się — chociaż Rzymianie starają się uratować amerykańskie diecezje przed upadłością, James postanowił wypompować z nas ostatnie grosze na sprawy pedofilii. [...] Amerykański prezydent zmusił swego wiceprezydenta Mor-tona do podania się do dymisji po aferze tak zwanego cudzołóstwa. Zapowiadają przemówienie o stanie Unii, które ma dotyczyć „moralnej rozwiązłości młodzieży”. Podobno mówi o penalizacji wszelkiej aktywności seksualnej w odniesieniu do nieletnich — i jestem pewien, że gdyby nasi władcy mogli to zrobić, także przywróciliby przy-
mus czystości i dziewictwa.

Na pewno powiedziano Ci, do jakiego stopnia opustoszały nasze kościoły. Chyba musieliśmy być marnymi katolikami, jeśli uwierzyliśmy, że religia uchroni nas przed nieszczęściem i że sakramenty nie mają już racji bytu, gdy nieszczęście zostało zażegnane.

Cztery dni temu odprawiałem poranną mszę w Boże Narodzenie w katedrze, która była w trzech czwartych pusta, i moja księżowska dusza krwawiła. Czy jest możliwe, by na tych ruinach powstał Kościół bardziej święty?

Ale powracam do sprawy, która każe mi pisać ten list; zaklinam Cię, bądź ostrożny.

Wczoraj Paul Assoumou zwierzył mi straszliwą nowinę: ciało, które znaleziono w środę rano na dzikich terenach u wrót Lagos, należało do Augustine'a Gowona. Zwłoki, których nie można było rozpoznać, nosiły ślady długiego

torturowania. Podobno widziano, jak poprzedniego dnia, w środę 25 grudnia, koło południa, weszli do jego domu trzej mężczyźni. Nikogo nie zdziwił ich nędzny wygląd, ponieważ Augustine miał zwyczaj przyjmowania nieszczęśników pukających do jego drzwi.

Ale wczoraj Paul powiedział mi o swoich podejrzeniach. Gowon miał wypadek samochodowy – przepiłowano jedną z osi. Paul jest przekonany, że zabili go nasi wrogowie – a przynajmniej, że to oni nasłali zabójców. Assoumou sądzi, że jest następny w kolejce. Drzę o niego i o duszę tych, którzy popełnili tę zbrodnię, jeśli uczynili to w imię ich idei Boga. [...] Nie wiem, czy ich władza sięga aż do twego schronienia. Miej się na baczności wobec wszystkich, ufaj tylko swoim bliskim. Cieszę się, że Renato Benelli stał się Twoim przyjacielem, jak mi napisałeś.

9

Krwawa niedziela wielkanocna

Wielkopiątkowe zastępy

19 kwietnia 2019 roku jak zawsze cały świat chrześcijański czcił Wielki Piątek, dzień, w którym został ukrzyżowany jego Mesjasz.

W opustoszałych kościołach nieliczni wierni, których nie odstraszły przesądne praktyki templariuszowego kleru, stawili się, by uczcić człowieka-Boga przybitego do krzyża, ten akt niewiarygodnego bluźnierstwa, które stało się naszym credo. [Na temat zniechęcenia religijnego po ataku SZWN można przeczytać znakomitą analizę angielskiego socjologa, Vicky Virgin. Psychopathologie de Veneration religieuse an cours de Black Decade, du sentiment au ressentiment [Psychopatologia religijna w czasie Black Decade, od sentymentu do resentymentu]. Oksford 2026.]

[Paul Assoumou, Chemin de croix, chemin d'humanité [Droga krzyżowa, droga człowieka], Jaunde 2016.]

O piętnastej czasu włoskiego, w czasie gdy przeważająca część katolickiej Europy zaczynała swą drogę krzyżową, przed dziesiątkami miejsc kultu wybuchły rozruchy. Zastępy młodych mężczyzn i kobiet o twarzach zakrytych chustkami wmieszały się w nieliczne procesje; tu rozdawali kuksańce, ówdzie molestowali, jeszcze gdzie indziej odbierali księżom duże krzyże i je łamali.

Uzbrojeni w kije, żelazne drągi lub młoty, kazali wiernym uklęknąć w szeregu z rękami na karku na dziedzińcach przed kościołem, zrywali im krzyżyki i medaliki i deptali je, podczas gdy inni niszczyli stacje Męki Pańskiej. Działali szybko, metodycznie. [W Pradze droga krzyżowa z pokrytej szklivem gliny w kościele Najświętszej Marii Panny, Królowej Pokoju, uległa całkowitemu zniszczeniu. W każdej z czternastu stacji Męki Pańskiej artysta przedstawił cierpienia człowieka na przestrzeni wieków.] Ich ruchy były powtarzane tysiące razy. Niszczyli

bez nienawiści ni gniewu.

W dwudziestu, stu miejscach potłukli witraże, strącili na ziemię posągi. Mężczyzn, którzy usiłowali stawiać opór, bili, niektórych ranili za pomocą białej broni. Potem agresorzy znikali równie szybko, jak się pojawiali, zostawiając niewielkie stadka oszołomionych chrześcijan.

W Lizbonie rozegrał się krótki, brutalny dramat. Stary proboszcz, kiedy przygotowywał się do celebrowania mszy, zobaczył wchodzących do kościoła obrazoburców. Zaczął krzyczeć. Szef zastępu rzucił parę słów. Dwaj silni młodzi ludzie chwycili starego duchownego, trzymając go z rękami opartymi o ciężkie drzwi zakrystii. Ich szef bez słowa przybił je gwoździami do drewna w pozycji takiej, w jakiej przybito je Bogu, którego chciał bronić.

O piętnastej dwanaście czasu rzymskiego został wydany komunikat:

„Gdyby muzułmanie obchodzili dzisiaj swe święto religijne na waszych ulicach, wasza policja i wasze antyterrorystyczne siły specjalne siłą usunęłyby ich. Nie będziemy dłużej obywatelami drugiej kategorii, dlaczego krzyż ma być wart więcej aniżeli nasze minarety?

Nie przeszkodziecie nam wywalczyć równych praw. Będziemy atakować chrześcijaństwo wszędzie, gdzie jest przeciwko nam”.

Pod komunikatem widniał podpis: „Nur Saighi-Morales”.

Reakcja łańcuchowa

Po wielkopiątkowych atakach zaczęła się reakcja łańcuchowa. Kiedy młodzież związana z reformacją zaatakowała krzyże i posągi — „kawalki drewna i kamienie”, zapomnieli, że nie bezcześci się bezkarnie sacrum. [Tego wyrażenia użyła na swym procesie Saighi-Morales.]

W tamtą sobotę przed niedzielą wielkanocną, kiedy nad wrotami kościołów paliły się ognie, wybuchały inne pożary. W dzielnicach zamieszkałych przez imigrantów w Amsterdamie, Frankfurt, Krakowie w płomieniach stanęło dwadzieścia tureckich meczetów; na

przedmieściach Paryża, Marsylii, Tulu, Madrytu, Salamanki, Mediolanu, Trydentu... zniszczeniu uległo trzydzieści algierskich i marokańskich meczetów... Owe pożary były dziełem siatki Białej Młodzieży, obrończyni „aryjskiej tożsamości europejskiej”. Tłum często udzielał jej pomocy.

Policja natychmiast wkroczyła do dzielnic będących gettami imigrantów, by nie dopuścić do gwałtownych reakcji. Grupy młodych muzułmanów otoczyły meczety i sale modlitwy, by chronić je przed podpalaczami i „chrześcijanami”, skandując hasła zapowiadające zemstę.

Doszło do pierwszych starć między siłami porządku i „bandami etnicznymi”.

W tym samym okresie na dużej części ziem islamu zaczął się już świt Odrodzenia. Nowina rozchodziła się niczym rozlana płonąca benzyna: chrześcijańscy krzyżowcy atakują muzułmańskie miejsca kultu. [Termin ten został najpierw wskrzeszony przez salafistów z organizacji Al-Kaidy podczas pierwszych prowadzonych przez nią operacji na początku stulecia. Wielokrotnie używał go pastor James: „Wrogowie Ameryki oskarżają nas, że jesteśmy chciwymi krzyżowcami. Zatem mówię wam: tak, jesteśmy krzyżowcami; tak, przybraliśmy krzyż Wiekuistego i wznosimy go wysoko, by oświetlił świat”.]

Odpowiedź była natychmiastowa.

Grupy uzbrojonych w kije mężczyzn, rozgorączkowane kobiety wdzierały się do kościołów; łamały krucyfiksy, deptały je, przed kościołami organizowały gigantyczne autodafé; przewracały tabernakula, profanowały hostie. W Algierze chrześcijanie byli okładani pięściami i kopani. W środkowym i górnym Egipcie sklepy koptyjskich jubilerów najpierw zostały ogołocone z krzyży, potem z całej reszty. W Minyi dziesiątki ortodoksyjnych Koptów płci obojga ustawiono przed drewnianym pniem i dwaj mężczyźni obcinali im lewe dłonie, na których mieli wytatuowany krzyż.

W Sudanie reakcja nastąpiła dopiero późnym popołudniem — ale była bardzo brutalna. Grupki chrześcijan ustawiano pod murem i rozstrzeliwano. W Nigerii młodzież z północnych prowincji przybyła do Kaduny i wszystkich chrześcijan, białych inżynierów i ich rodziny, wrzucono do beczek z ropą naftową i podpalono.

Na archipelagu Moluków w Indonezji chrześcijanie eskortowani przez urągający tłum zostali zamknięci w kościołach pod groźbą rozstrzelania. Palono miejsca kultu. Policja nie reagowała. Nigdy nie poznamy liczby ofiar zabitych podczas krwawych świąt Wielkanocy w największym muzułmańskim kraju świata.

Jak powiedział rektor uniwersytetu w Medynie, był to wielki odwet prawdziwych wiernych na niewiernych, którzy ośmielili się wyobrazić Boga na krzyżu...

W Delhi już o świcie został zainstalowany przed nuncjaturą automatyczny karabin maszynowy. Minister spraw wewnętrznych poprosił Benellego i Anila, by podczas odprawiania mszy wielkanocnej zachowywali się „z największym spokojem”. Siły rządowe ostentacyjnie zajęły pozycje przed katolickimi szkołami i kościołami...

Dzień upływał w napięciu.

Koło dwudziestej pierwszej zapadła zupełna ciemność, zapowiadając, jak miano nadzieję, że uda się uniknąć najgorszego, i na razie sygnalizowano jedynie niegroźne incydenty.

Wtem w nuncjaturze rozległ się sygnał telefonu, potem drugi, trzeci — rozdzwoniły się telefony Benellego, rodziny Lombardich, sekretariatu nuncjatury: zaczął się koordynowany przez DINT atak na wszystkie niechronione miejsca chrześcijaństwa w północnych Indiach... [DINT (*Djihadistes Internationaux pour le Néo-Tabligh*) — Międzynarodowi Dżihadyści dla Neo-Tabligh. Pod tą nazwą działają indyjscy islamisti, konkurenci salafistów w całych północnych Indiach, w Kaszmirze, Pendżabie, w Urtar Pradesh.]

W trzech punktach stolicy armia indyjska stawiała czoło atakom; dwie szkoły religijne zostały zajęte przez buntowników uzbrojonych w butelki z benzyną i kwasem. Ale najgorsze nastąpiło w umieralni Świętej Teresy, gdzie rząd „zapomniał” umieścić swoich ludzi.

„Łajdacy, łajdacy...”

Apokalipsa musiała mieć swoje reperkusje. Na tle błękitnej nocy Delhi z wysokich czarnych sylwetek lepierek wydobywały się piekielne płomienie — palące, dające czerwone błyski światła, rozlegał się trzask drewnianych łóżek, huk walących się ścian z torfu i słomy, wycie przerażonych ludzi...

Obydwaj bliźniacy wyskoczyli z terenowego samochodu i pościgili ku dziesiątkom krzyczących i gestykujących postaci.

Tłum tłoczył się przytrzymywany przez kordon policjantów w białych mundurach, pośród krzyków i złorzeczeń. Giuseppe biegł bezradnie od ciała do ciała.

W mroku i tłumie ledwo rozróżniał białe cienie misjonarek Miłosierdzia, które, odziane w sari, nadal wypełniały swe zadanie: skulone, na kolanach obok umierających, szeptały słowa otuchy, chłodziły spalone czoła, trzymały drżące dłonie. A niektóre z ciał, przy których czuwały te zakonnice, były ciałami ich towarzyszek.

Na dźwięk krótkich poleceń po angielsku i w hindi Giuseppe odwrócił się: Kate Finley, olbrzymia w białym sari, z twarzą czarną od sadzy, stała pośród zgiełku. Kierowała pierwszą pomocą, nie pozwalała ściągać z ciał ubrań przyklejonych przez ogień, prosiła o natłuszczoną gazę, namioty tlenowe... Jej władczy głos nie dopuszczał żadnej dyskusji; w tym tłumie ona jedna wiedziała, co może ocalić życie.

Poopaddy i Lombardi podeszli do niej.

— Co mamy robić?

— Przynieście trochę gazy... I zatelefonujcie do wszystkich ambasad, niech ruszą głową, trzeba zwolnić cały oddział w którymś ze szpitali; i niech przyślą sprzęt, namioty... — Zamilkła i spojrzała na nich. — Zakonnice nie mogą być traktowane inaczej od innych. Jeśli chrześcijankami zajmą się cudzoziemscy lekarze, a Hindusom pozwoli się zdychać jak psom, to koniec z chrześcijanami w tym mieście.

Znacznie później, kiedy ustało wycie syren, a z czarnych ruin klasztoru-umieralni unosiły się ostatnie dymy, wszyscy troje siedzieli w kucki przy samochodzie Thomasa. Walka nie przydała się na nic. Nic nie zostało.

Sari Kate opadło na jej kark; rozwichrzone włosy były przypalone, na twarzy widniała sadza, a nagie ramiona były pokryte skrzepłą krwią... Paddy wyciągnął butelkę whisky. Pili po kolei. Kate słuwała na ziemię.

Thomas rzucił na nią spojrzenie. Dwie łzy żłobiły głębokie bruzdy na jej policzkach. Powtarzała cicho, sama do siebie:

— Łajdacy, łajdacy, łajdacy, łajdacy...

Poopaddy opowiadał: „Ani Giuseppe, ani ja nie staraliśmy się

jej pocieszyć... Nie było o co się zahaczyć; poza tym baliśmy się jej reakcji, jeśli sobie uświadomi, że widzieliśmy ją płaczącą”.

Wielki rynek islamskiej konkurencji

Paddy i Lombardi wrócili o świcie.

Nadzy do pasa, bez słowa zanurzyli ręce w jednej z fontann w ogrodzie, umyli twarze i wytarli je w koszule, by się pozbyć zapachu, który dotąd palił ich w gardła. Potem w milczeniu zrobili sobie kawę w kuchni i poszli do biblioteki, do Alana... W mroku, w którym ledwo tliło się światło lampki, tylko tytoniowy dym i palce przewracające kartki świadczyły o tym, że jest tam ktoś żywy.

— O co im chodzi, Alanie? — spytał Giuseppe. — Czy istnieje jakiś związek między atakiem reformatorów, umieralnią i tym, co się dokoa dzieje?

— Młodzi reformatorzy? — Starzec odchrząknął. — Wydaje mi się, że są dwa nurty... W Europie radykalizacja była niemal nieuchronna, nawet jeśli nie wiem, czy ta kobieta działała we własnym imieniu, czy ruszyła cała grupa.

— Chyba kapuję, co się tam dzieje... Ale tutaj?

— To dość często powtarzający się system konkurencji. Gdyby młodym ludziom z Europy powiodła się ich symboliczna akcja, uosabialiby już nie tylko ruch zachodniej demokratyzacji. Manifestując radykalizm religijny, uzyskaliby prawowitość w oczach muzułmańskiej ludności Wschodu. Atakowanie wiernych innej religii oznacza uplasowanie dżihadu na terenie walki z niewiernymi, przede wszystkim z bluźniercami... To bardzo poważna konkurencja dla tradycyjnych wyznawców islamu i partii szyickich.

— A kto tu zaatakował?

— Jeszcze nie wiem... Niewątpliwie indyjscy wyznawcy islamu z organizacji Dżamaat Tabligh, jeśli sędzić po stanie ścierających się sił. Uderzając brutalnie i wszędzie, przypominają, że mają niebywałą wyższość nad Afgańczykami z ruchów salafickich: podlegają im siatki i bojówki na terenie całych północnych Indii i mają bardzo głębokie powiązania wśród muzułmanów.

— Ale tutaj wrogami nie są chrześcijanie.

— Nie mierzą w nas, tylko nas wykorzystują. Pokazują w ten sposób, że to oni rozdają karty i oceniają swoją zdolność mobilizacji.

Postanowili utrzymywać wiernych swojej wspólnoty w stanie regularnej mobilizacji, a w tym celu nie ma nic lepszego od wspólnej akcji...

— Co się szykuje, Alanie?

— Przypuszczam, że wy nazwalibyście to wyprawą krzyżową. Powiedzmy, że będzie to potwierdzenie tożsamości każdej religii, każdego Kościoła, każdej grupy, każdej sekty... Potwierdzenie prawdopodobnie gwałtowne, z bronią w ręku, nawet u chrześcijan. Tutaj jesteśmy do tego przyzwyczajeni, ale wy odkryjecie to na nowo.

— Mów jaśniej, ojczec...

— James zaczął posługiwać się symboliką wyprawy krzyżowej... Reformatorzy odpowiedzieli mu, łamiąc symbol krzyża, i wszyscy chrześcijanie poczuli się potencjalnie zagrożeni. Stany Zjednoczone, tradycyjni wyznawcy islamu, może również Watykan liczą na poczucie tożsamości, które mają nadzieję rozbudzić. Wojna religijna jest ich kapitałem, chcą mieć wrogów dzielących ten sam punkt widzenia.

Opublikowany nazajutrz przez sieć głównych indyjskich gazet komunikat potwierdził opinię starego mędrca.

„Krzyżowcy chcieli, by dzięki bezbożnemu pieniądzwowi i broni wizerunek ich Boga zatriumfował na wszystkich naszych murach, w naszych miastach, w Dar-al-Islam. [Czyli w świecie islamu.] Ale my wszędzie wyrwiemy z korzeniami ich i ich bóstwa. Wszędzie, gdzie wznoszą się nasze minarety, żydzi, krzyżowcy i czciciele słonia będą musieli pochylić głowy... [Bóg Ganesh, prawdopodobnie najbardziej popularne bóstwo Indii.] Ci, którzy klękają przed krzyżem, już drżają teraz niewierni i ich kapłani będą się korzyć przed potęgą naszej broni — potem nadejdzie czas tych wszystkich, którzy składają ofiary bogini o sześciu ramionach i słoniowi. Albo się ich wyrzekną, albo poderzniemy im gardła, które odmawiają wymówienia imienia Allacha”.

Komunikat podpisała główna grupa muzułmanów północnych Indii: DINT.

Negocjatorzy

Ofiara Piusa XIII

Wyprawa krzyżowa nie zyskała poparcia Rzymu. Autorytet Kościoła będzie trwał.

Wkrótce po krwawej Wielkanocy „meksykański” papież szybko ogłosił encyklikę. Tym razem Villaverde nie zachęcał wiernych do skrucy, ale do męczeństwa. [*Zjednoczeni z cierpieniami Pana Naszego, Rzym, maj 2019.*]

„Nadszedł czas, gdy musicie wylać swoją krew w bruzdy wszystkich narodów, aby wasi następcy zebrali żniwo i aby zbiory były obfite. Wysłuchaliście słów Chrystusa i widzieliście, jaki dał przykład: wiecie, że ziarno pszenicy umiera, by wydać owoce.

W obliczu nienawiści tych, którzy was gnębią, zegnijcie kark, nadstawcie policzek i podsuńcie szyję katu; krew bowiem męczenników jest w oczach Boga święta i otworzy wam szeroko wrota Królestwa; albowiem powiedział, że »szczęśliwi są ci, których znieważają, których prześladują i przeciwko którym fałszywie mówią wszelkie zło z mego powodu. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie«. [Ewangelia wg św. Mateusza, 5,12.]

Nawet jeśli tekst ten miał nieprzyjemne akcenty cierpiętnicze, należało go w całości przypisać na korzyść Villaverdego. Środowiska identyfikujące się z katolicyzmem nigdy nie będą mogły chęć się, że dostały od papieża jakkolwiek zachętę do zemsty. Nigdy nie uzyskały „prawa do zabijania”.

Trzy dni po otrzymaniu przez indyjskie władze kościelne tej encykliki na blogu Thomasa ukazał się lakoniczny komentarz:

„Największym dowodem miłości jest oddanie życia za przyjaciół. Chrystus jest wymagającym nauczycielem, ale potrafi wybaczać, nawet na krzyżu. Musimy nauczyć się kochać tych, którzy nas przesładują, nauczyć się traktowania ich jak braci, przyjaciół, abyśmy mogli oddać im swoje życie...”.

Bardzo szybkie aresztowanie Nur Saighi-Morales, potem prawie wszystkich tych, których media nazywały teraz „sztabem wojskowym” reformacji, potwierdzało, że dawni studenci nie stali się zawodowcami w pracy podziemnej.

Większość „myślących głów” nie brała zresztą udziału w wielkopiątkowych akcjach; trafili do więzienia za „teoretyczny udział w organizacji terrorystycznej” lub „stowarzyszeniu złoczyńców”.

Natomiast Saighi-Morales dowodziła tolekańską grupą z podniesioną przyłbicą...

Operacja została przeprowadzona z niejaką naiwnością; listy komand znalazł w komputerze, który organizatorzy reformy, jak im się zdawało, zniszczyli. Podczas procesu z listopada 2019 roku większość organizatorów i uczestników skazano na kary pięciu lat pozbawienia wolności za „udział w organizacji terrorystycznej” oraz „przemoc terrorystyczną i uszkodzenie ciała o charakterze terrorystycznym”, określone w nowym europejskim kodeksie karnym. Tylko komando lizbońskie zostało skazane na kary cięższe z powodu „aktów okrucieństwa” popełnionych na osobie starego proboszcza.

Rozwój sytuacji w Indiach nadal potwierdził przepowiednie Alana... Oświadczenia muzułmanów z DINT i hinduistów z BJP ujęły chrześcijan w kleszcze, a jednocześnie traktowały ich jak zakładników.

Nuncjatura wydawała komunikat za komunikatem: „Ojciec Święty potępia wykorzystywanie przez frakcje nacjonalistyczne nieszczęśliwych wypadków, które nas dotknęły. Ojciec Święty nie zgadza się, by śmierć naszych braci i zniszczenie naszych kościołów były wykorzystywane do podsycania konfliktów wspólnotowych”.

Tego dnia przed ogłoszeniem tego komunikatu nuncjusz Benelli nie konsultował się już nawet z Rzymem. Pisał go natomiast z bliźniakami, ważąc każde słowo. Kiedy skończyli, powiedział: „DINT manipuluje nami, chłopcy... Chce, abyśmy byli pod ich ochroną, w przeciwnym wypadku będą uważali, że jesteśmy pod opieką BJP... Musicie zacząć z nimi negocjować, żeby udało nam się wydostać z tej pułapki. Giuseppe, zaktywizuj moje siatki; będziesz mówił w imieniu Rzymu...”. [Teksty te, wysyłane do zatwierdzenia do sekretariatu stanu nieraz kilka dni po ogłoszeniu, były często atakowane przez sekretarza stanu Utrillo-Ganza.]

Na spotkaniu z członkami dżihadu

Szczegółów negocjacji prowadzonych przez bliźniaków z członkami dżihadu, a potem z rządem w Delhi, między 2019 a 2021 rokiem, dowiedziałem się od Poopaddy'ego.

Pierwsze spotkanie miało miejsce w Bombaju, w domu sąsiadu-jącego z budynkiem Armii Zbawienia, paręset metrów od holu hotelu Maharadża, największego i najbardziej luksusowego hotelu w Indiach.

Giuseppe i Thomas wynajęli pokój na nazwisko Pietro Roma, w ulubionym budynku kierowców ciężarówek. Kiedy tablighiści narzucili jako miejsce spotkania Bombaj, warunki swemu rozmówcy podyktował Paddy. Pomysł był taki, by nie wykryły ich służby indyjskie; tutaj człowiek Zachodu może zostać zauważony, tylko jeśli jest czysty, uczesany, w garniturze... Giuseppe miał trzydniowy zarost, a jego indyjska koszula była szeroko rozpięta z powodu upału. Dzięki plecacom, sandałom i spodniom od pakistańskich piżam na pewno nie wyglądali na oficjalną delegację watykańskiej dyplomacji.

Człowiek, który po nich przyszedł, był czarniawym przysadzistym typem, z pewnością z gór Północy. Przez trzy miesiące służył im za pośrednika. Między sobą nazywali go Dżyngis-chanem albo Tatarem.

Tatar zaprowadził ich do małego domu położonego o niecały kilometr i otoczonego ogrodem o bujnej roślinności. Pod palmami czekało na nich czterech uzbrojonych mężczyzn; w korytarzu

obmacał ich brodaty olbrzym. Tego dnia nie mieli broni i Giuseppe zrozumiał swój błąd, słysząc, jak olbrzym komentował to po arabsku innemu członkowi dżihadu — w świecie bojowników mroku człowiek, który przychodzi bez broni, jest naiwniakiem lub kłamcą.

W pokoju na piętrze czekał na nich z herbatą mężczyzna z rzadką bródką. Miał dość gęste brwi przecięte nad lewym okiem białą blizną. Był raczej pochodzenia arabskiego niż hinduskiego i nosił afgański pakol. Najwidoczniej należał do jednej z owych grup międzynarodowych dżihadystów, którzy przeniknęli tutaj przez Pakistan z całego półwyspu — byli to ludzie gwałtowni, ascetyczni, nieprzejednani.

Mężczyzna nie wstał, nawet na nich nie spojrzął. Giuseppe przekazał mu po arabsku pozdrowienie i błogosławieństwo, *salam'ayek*. Morderca wreszcie podniósł oczy.

— Psie, synu psa, nie masz prawa wymawiać imienia Allacha ani używać świętego języka Koranu, kiedy zwracasz się do sług Boga i jego proroka Mahometa.

Giuseppe splunął na ziemię i wytrzymał jego spojrzenie.

— Jeśli nie mogę używać twego języka, nie mam ci nic do powiedzenia. Pozostań w błędzie twojej czystości — rzekł i odwrócił się na pięcie.

Tamten zerwał się na równe nogi, jakby splunięcie i te słowa były dla niego policzkiem. Ale Giuseppe i Thomas stali już przy drzwiach. Za plecami usłyszeli szczęk obracającego się zamka, do którego wkłada się naboje. Arabski mudżahedin powiedział po angielsku, z silnym akcentem:

— Jeszcze jeden krok i obydwu was zabiję.

Wtedy Giuseppe wybuchnął śmiechem. Hałaśliwym, teatralnym, wykalkulowanym śmiechem. Potem mówił bardzo głośno, bardzo spokojnie, nawet się nie odwracając:

— Zabij nas, a ten, któremu masz zanieść nasze słowa, zabije ciebie. — Położył rękę na klamce drzwi, potem, nadal zwrócony tyłem do Afgańczyka, mówił dalej: — Powiesz twemu emirowi, że chcę z nim porozmawiać. Będę przez dwa dni tam, gdzie wiesz, i ani godziny dłużej. Potem na rozmowę będzie za późno. *Ya salaam*.

Wyszli obaj, idą w dół po stopniach.

„Przez cały czas, gdy byliśmy na schodach i potem, gdy przechodziliśmy przez ogród, słyszałem huk wystrzału”, wspominał Paddy.

Emir Bombaju

Trzy godziny później Tatar wrócił. Bez słowa poprowadził ich przez labirynt uliczek.

Emir czekał w jakiejś piwnicy. Siedział na ziemi na afgańskim dywanie; na dwóch liściach bananowca leżały potrawy przewidziane na przyjęcie cudzoziemca. Stała nawet butelka alkoholu... Emir powitał ich gestem. Mówił bezbłędnie po angielsku:

— Mój Bóg nie pozwala mi pić z tej samej butelki co wy, ale proszę, nalejcie sobie...

Potem rzucił krótki rozkaz w języku nieznanym żadnemu z rozmówców — prawdopodobnie był to rosyjski przywieziony przez niektórych bojowców dżihadu z pierwszej wojny afgańskiej w 1979 roku. Giuseppe uśmiechnął się.

— Pański człowiek powiedział, że mówimy po arabsku... To oczywiście przesada, ale rzeczywiście trochę rozumiemy język pańskiej księgi...

Mężczyzna podniósł na niego wzrok. Miał posępną powierchowość Hindusów z Południa, a także chudość nietykalnych i brodę. Był ubrany po pakistańsku, z afgańskim pakolem na głowie.

— Podobno chciałeś ze mną pomówić. Co masz mi do powiedzenia?

— Czy jesteś emirem, który kieruje negocjacjami, czy muszę spotkać się z kimś innym?

— Jestem emirem... Nasz szef nie pokaże ci się, ale dał mi wszelkie pełnomocnictwa w sprawie negocjacji...

— To dobrze... — Giuseppe wciągnął głęboko powietrze. — Chcę rozmawiać jedynie z ludźmi, którzy uważają, że dane słowo zobowiązuje ich, nawet jeśli zostało dane niewiernym. Chcę mówić jedynie z ludźmi, którzy w okresie negocjacji są zdolni powierzyć mi swoje życie i którym ja mogę powierzyć swoje. Jesteśmy wrogami, ale możemy zawrzeć układ między wojownikami.

— Z kim walczysz, chrześcijanie? Szanujemy waleczność i prawość wojowników. Ale ty z kim i jak walczysz? Dla krzyżowców jesteś jedynie księdzem...

— Jestem księdzem, tak, barankiem, tak; ale nie krzyżowcem z wyprawy krzyżowej. Słyszałem o Salahu al-Dinie ¹, lwie wypraw krzyżowych; a ty z pewnością słyszałeś o Franciszku, biedaczynie z Asyżu, który się z nim spotkał. Ich słowa były wobec siebie szczerze i uczciwe, i szanowali je, kiedy jedynym majątkiem Franciszka była jego burka... Czy uważasz się za kogoś większego od Salaha al-Dina i żywisz szacunek jedynie dla zbroi, a nie masz go dla księżowskiej sutanny? Czy zrobiłeś coś większego niż on? [I prawdopodobnie także znalazł Księgę podstępów, kompilację strategii i sztuk wojennych Arabii — ponieważ Franciszek nigdy nie spotkał się z Saladynem; rozmawiał z sultaniem Bagdadu... Ale Lombardi był pewien, że jego rozmówca będzie się utożsamiał z największym muzułmańskim przywódcą wojennym.]

— Czego po nas oczekujesz, chrześcijaninie, o czym chciałbyś rozmawiać? My mamy siłę, wy nie macie nic, nie jesteście nawet naszymi wrogami...

— Wiesz, że jeśli nas w to wciągniesz, powiększymy szeregi twoich wrogów. Może zresztą tego pragniesz. Ale pomyśl o jednym: nawet lew woli ułożyć się z hienami, kiedy musi stawić czoło pantetrom.

— Chcesz sprzedać swoją neutralność temu, kto cię zaatakował? Czy jesteś tchórzem, by negocjować zawieszenie broni z tymi, którzy zabijali twoje kobiety, twoje dziewice, twoich księży?

— Nie zapewnię ci żadnej neutralności, a przychodzę żądać sprawiedliwości: osądź wedle twoich praw tych, którzy prowadzili wojnę, nie szanując ani rannych wojowników, ani wdów, ani dzieci... Jednak nie chcę wysyłać innych morderców, by mi przynieśli ich głowy. Nie licz, emirze, że zawrę sojusz z mordercami z BJP czy z twoimi. Nie licz także, że umyję ręce od waszych wojen. Kiedy dwie istoty ludzkie zabijają się nawzajem, nie jest mi to obojętne.

Giuseppe zamilkł na chwilę.

— Co mogę na tym skorzystać?

— Co możesz na tym stracić? Możesz okazać wielkoduszność temu, kto jest słabszy od ciebie. Przyniesie ci to więcej sławy niż twoje najwspanialsze zwycięstwa...

— Chcesz mnie podejść, chrześcijaninie... Posługujesz się swą słabością jako bronią, bym nie mógł cię uderzyć.

— Posługuję się bronią, jaką dysponuję, tak jak ty posługiwałeś się swoją.

Nastąpiła długa cisza. Emir pstryknął palcem, najemny zbir, z którym rozmawiał po rosyjsku, podał im herbatę.

Pili, parząc sobie gardła, nie czekając, nie drgnąwszy powieką. Emir uśmiechnął się.

— Skontaktuję się z wami, kiedy będę wiedział, czy mówisz uczciwie, i powiem ci, czy zamierzam z tobą rozmawiać... Do tego czasu moi ludzie nie uderzą na twoich chrześcijan, w każdym razie ci, którym rozkazuję.

— Niech Bóg cię błogosławi, emirze, imieniem, jakie mu dasz, kiedy go wzywasz.

„Mordercom naszych braci mówię: porozmawiajmy”

Minęły trzy miesiące, a nuncjatura nie miała żadnego sygnału od emira. Bliźniacy tłumili niecierpliwość. Przez te tygodnie BJP przechodzi [przesuwa się] coraz wyraźniej do logiki walki. 12 lipca 2019 roku w czasie wielkopiątkowych modłów w okolicach meczetu Jama Masjid w Fatehpur Sikri wybuchają gwałtowne starcia. [Indyjskie miasto Fatehpur Sikri z powodu braku pitnej wody stało się miastem-widmem. Do zachowanego meczetu Jama Masjid przyjeżdżają kobiety i modlą się o poczęcie.]

W niecałą godzinę po pierwszej potyczce, w czasie której dwaj napastnicy uzbrojeni w kije zostali zranieni przez dozorcę meczetu, na miejscu zjawily się hinduistyczne milicje, które „oczyszczają” sanktuarium za pomocą pistoletu maszynowego, pozostawiając za sobą czterdzieści trupów i dwustu rannych... Wkrótce potem czterdziestu spośród owych rannych zabito nożami w szpitalu Agra — śledztwo wykazało jaskrawy współdziałal służb szpitalnych i lokalnej policji.

Ukazał się komunikat DINT: „Politeistyczni czciciele bóstw Wisznu, Sziwy i słonia zaatakowali wiernych zgromadzonych w jednym ze świętych miejsc Allacha (niech jego imię będzie błogosławione); politeistyczni bałwochwalcy zabili kobiety i dzieci, starców i nieuzbrojonych wiernych; zostaną ukarani i zgładzeni wszędzie,

gdzie wierni będą mogli to zrobić, podobnie jak falangiści, którzy im pomogli w ich tchórzliwych atakach na wiernych”. [Odesłanie do libańskich milicji chrześcijańskich, szeroko zaangażowanych w rozmaite masakry podczas wojny domowej z lat 1975–1989, a następnie rozwiązanych. U genezy owych Nowych Falang, które zorganizowały się po krwawym Wielkim Piątku i atakowały muzułmańskie miejsca kultu, stali dwaj libańscy bracia maronici, Antoine i Emile Nabil.] Nuncjatura natychmiast wydała komunikat potępiający atak na meczet. Ostatni akapit był bardzo jasny: „W żadnym mieście indyjskim nie ma żadnej falangi. Ci, którzy w nas uderzają, uderzą niewinnych, a ich kłamliwe oskarżenia nie oczyszczą ich ze zbrodni ani w oczach ludzi, ani w oczach Boga”.

Na trzeci dzień katedra w Ahmedabadzie, w środku terytorium muzułmańskiego, wylatuje w powietrze podczas niedzielnego nabożeństwa. W niecałą godzinę później do gazet i różnych stacji telewizyjnych dociera informacja, że do zamachu przyznaje się grupa międzynarodowych dżihadowców z neo-Tablighu. Nuncjusz wysłał przed kamery Giuseppe.

„Wiem, że zamach na katedrę w Ahmedabadzie nie jest dziełem DINT. Nie uwierzę nawet we wnioski ze śledztwa, jeśli wykażą, że jest przeciwnie. Wierzę w pokojowe słowa, pochodzące od żołnierzy, nie wierzę, że lwy stają się szakalami.

Teraz chcę powiedzieć kilka słów, tylko kilka słów, do tych, którzy dopuścili się tego czynu.

Jeśli chodzi o prowokację BJP, mówię hinduistom: porozmawiajmy. Jeśli chodzi o rozłam w DINT, mówię dżihadowcom: porozmawiajmy. Jeśli chodzi o którąś z grupek nacjonalistycznych lub pakistańskich, lub jakichkolwiek innych, mówię: porozmawiajmy.

Ktokolwiek jest sprawcą tej masakry, niech wie, że oplakujemy swoich zmarłych, ale że nasze łzy nie będą się domagały krwi morderców. Nasze łzy domagają się sprawiedliwości, nie zemsty. Jeśli trzeba, będziemy bronili swego życia; ale nie sprawicie, byśmy wzięli waszą krew za naszą, nigdy, ponieważ zbrukane zostałyby imię Boskie; nikt nie będzie zabijał, wzywając Jego imienia, nie popełniając nieprawości.

A teraz ja, człowiek Boży w świecie, w którym wy zabijacie dla Boga, mówię wam: niech Bóg was błogosławi, was, morderców, abyście w ten sposób odkryli Jego światłość, abyście wymierzili całą sprawiedliwość, abyście poprosili o miłosierdzie.

Cztery godziny później u Mary Poopaddy zadzwonił telefon. Do Thomasa, który go przyjął, jakiś głos powiedział:

— Spotkajmy się, jak tylko wasz ksiądz znajdzie kogoś do opieki nad swymi córkami.

To zdanie było wezwaniem, ale również ostrzeżeniem: dżihadowcy wiedzieli, gdzie przebywają, ponieważ tam właśnie zatelefonowali, wiedzieli też o istnieniu dziewczynek.

Z odkrytą przyłbicą

Przez dwa następne lata Lombardi spotykał się co trzy tygodnie z emirem Bombaju. Rozmowy dowódcy wojskowego i księdza były pełne napięcia... Przez dwa lata negocjowali rozejmy i usiłowali nie dopuścić do wciągnięcia w wojnę innych „żołnierzy”. Giuseppe zależało przede wszystkim na „wycofaniu chrześcijan z gry”; na niedopuszczeniu, by obie walczące strony zaliczyły chrześcijan do sojuszników przeciwnika... Kiedy to niezaangażowanie zostanie uznane, będzie mógł posłużyć się swoją neutralnością i wejść w rolę negocjatora. Tak więc przez te dwa indyjskie lata Giuseppe Lombardi wypróbuje scenariusze, które zrobią na mnie takie wrażenie w latach 2022—2023 po jego przybyciu do Jerozolimy...

Służył za pośrednika między sztabem DINT a władzami indyjskimi. Regularnie informował Ministerstwo Obrony, w którego łonie jego rozmówcą został pułkownik Raiy, sikh, specjalista od akcji antyterrorystycznych. [Rząd wyłoniony z Partii Kongresowej postanowił uplasować sikhów na wszystkich newralgicznych stanowiskach wojny przeciwko ekstremistom religijnym, ponieważ nie należeli do żadnej z implikowanych wspólnot. Był to trudny wybór dla partii rodziny Gandhich: właśnie sikhowie zamordowali w 1984 r. Indire Gandhi po zarządzonej przez nią ataku na Złotą Świątynię.]

Jak ocenić działalność Lombardiego i Poopaddy'ego i znaczenie, jakie miały ich negocjacje z emirem Bombaju? [Dysponuję skąpych informacjami na temat negocjacji prowadzonych przez bliźniaków. Jeśli chodzi o tę sprawę, Poopaddy był zobowiązany do dochowania tajemnicy obronnej swego kraju, podobnie jak pułkownik Raiy i wszyscy oficjalni aktorzy „brudnej wojny” antyterrorystycznych służb specjalnych. Emir został zamordowany dwa lata po wyjeździe Lombardiego przez ludzi z jego własnego obozu. Kiedy spytałem Poopaddy'ego, czy emir wiedział, że bliźniaki widują się z pułkownikiem, roześmiał się i rzekł: „Oczywiście, gdybyśmy chcieli ukryć to przed nim, a on by się o tym dowiedział, podpisalibyśmy wyrok śmierci na nas wszystkich”, i to było wszystko, co wiedziałem na temat negocjacji.]

Na początku 2022 roku walka nie była skończona, starcia ciągle trwały. Ale pewne wydarzenie przyspieszyło koniec misji Giuseppe.

Od dwóch miesięcy Kuria żyła w rytmie coraz częstszych hospitalizacji papieża Piusa XIII. Meksykanin cierpiał na raka trzustki. Mówił już tylko z zaciśniętymi zębami, z metalowym zgrzytem.

Człowiek, który marzył o wprowadzeniu Kościoła na drogę rekonkwisty, walczył i wkrótce skonał.

Dla Lombardiego skończył się okres wygnania i ukrywania. Powiedział Paddy'emu:

— Teraz ktokolwiek zostanie papieżem, będę mówił z otwartą przyłbicą. Chcę walczyć w moim kraju o to, by mój Kościół stał się domem pokoju.

W Rzymie podczas agonii Piusa XIII noże zostają wsunięte pod purpurowe stroje, z myślą o zbliżającym się konklawe.

JEAN-BAPTISTE

1

Elekcja

Koniec rozgrywki

— Czyżby nowotwór u jezuitę był mniej śmiertelny niż u templariusza? A może jestem bardziej odporny?

Takimi słowami monsignore Godfrey Anil przyjął wiadomość o śmierci następcy świętego Piotra.

Tego samego wieczoru kardynał arcybiskup Delhi zwołał tych, którzy od bardzo dawna byli jego sprzymierzeńcami albo zostali nimi w ciągu siedmiu minionych lat. Wśród nich był „blogger” i „następca”, który przez ten czas „zahartował się”; był też, oczywiście, stary nuncjusz, który potrafił dzięki swym dyplomatycznym umiejętnościom uczynić z Delhi azyl dla jezuitów.

W siedzibie diecezji w ten zimowy wieczór panowała w wielkim salonie niezwykła atmosfera. Nikt nie wiedział, kto zastąpi zmarłego w Watykanie człowieka i czy będzie powód, by się z tego cieszyć. Meksykanin z pewnością wypełnił wszelkie przejawy inteligencji, tolerancji, dialogu w Kościele i nawoływał raczej do męczeństwa niż do krucjaty.

Jedynie Anil wydawał się ufny, spokojny. Podjął już decyzję.

Pierwszy zabrał głos i mówił tonem trochę zbyt podniosłym mimo przeszkadzających mu ataków kaszlu:

— Zdaję sobie sprawę, że nie jest to stosowne zbierać was dziś tutaj. Nawet wrogowie nie świętują śmierci tego człowieka. — Znowu zakasłał. — Jadę jednak, aby wybrać jego następcę, i chcę się z wami pożegnać. Jeśli konklawe wyznaczy człowieka, który należy do obozu Meksykanina, nie będę miał już siły grać komedii uległości, a zdrowie i wiek nie pozwolą mi dłużej stawiać oporu.

Nie wiem nawet, czy oni zgodzą się, abym do was wrócił... Postanowiłem więc, że kilka miesięcy, jakie mi jeszcze pozostały, spędzę w argentyńskiej dżungli z moimi braćmi jezuitami. Zwalniam was więc dziś od wszystkich zobowiązań wobec mnie... Możecie się mnie za tydzień wyprzeć, jeśli uznacie, że popełniłem błąd przy wyborze nowego papieża; udawajcie, że wyparliście się mnie, jeśli miałyby to wam pomóc w walce z tym, kogo postawią na moim miejscu; nie wahajcie się mieszać mojego imienia z błotem, gdybym zniknął. Byliście dla mnie dobrymi towarzyszami w naszej cichej walce. Zachowam was w moim sercu...

Stary jezuita wstał, przeszedł przez podwójne drzwi arcybiskupstwa i ruszył schodami na dół, gdzie czekał na niego samochód. W niedzielę 14 stycznia, o pierwszej w nocy, odleciał do Rzymu.

Cały świat miał oczy zwrócone na Watykan. Od wielu lat atmosfera tam była duszna. Wszystko zaczęło się od wielkiego kryzysu w niemieckich diecezjach w 2018 roku. A potem, wraz z amerykańskimi procesami, rozpoczął się kryzys finansowy. Nie wypłacano pensji pracownikom administracji. Jedynie templariusze, wspomagani jak zawsze darami Templum Christi, finansowo przetrzymali ten okres.

Potem miały miejsce prześladowania w Wielki Piątek 2019 roku, akty odwetu ze strony falangistów i ostatnie próby papieża, żeby wykorzystać tę nową martyrologię i „wywołać rozkwit świętych powołań”. Ale afisze rozklejone we wszystkich kościołach i widniejący na nich apel: „Oni przelewają waszą krew, a wy oddajcie im wasze życie”, zostały źle przyjęte, zwłaszcza w Europie.

W ostatnich miesiącach nieszczęsny Meksykanin, trawiony chorobą, niewiele już mógł zdziałać. [Diagnoza postawiona została we wrześniu, ponieważ Pius XIII długo cierpiał w milczeniu, lekceważąc kłopoty zdrowotne. Gdy zdał sobie sprawę, że rokowania są złe, postanowił poddać się Boskiej opatrności i 7 października w święto Matki Boskiej Różańcowej ofiarował swoje cierpienia Chrystusowi Odkupicielowi w intencji nawrócenia świata.] Za aprobatą nieprzejednanego sekretarza stanu Utrillo-Ganza szerzyła się fala donosicielstwa. W Europie i

Ameryce Północnej, gdzie aparat rządowy nie współpracował z „ludźmi w czerni”, prałaci obawiali się o swoje katedry, naukowcy o swoje badania, księża o swoje upoważnienia do udzielania sakramentów... Jednak w Ameryce Łacińskiej, na ziemiach templariuszy, strach był znacznie większy — zabójcy „opornych” biskupów i księży z 2021 roku mogli zostać uznani za winnych zamachów skierowanych przeciw religii chrześcijańskiej w Sao Paulo, Santiago, Guadalarzarze, Pernambuco...

W Afryce, dwa lata przed śmiercią Augustine'a Gowona, kardynał arcybiskup Paul Assoumou z Jaunde w Kamerunie, podczas wizyty pasterskiej na północy kraju, cudem uniknął śmierci, gdy jego samochód jakoby dziwnym przypadkiem wjechał na minę. Na miejscu zginął jego wikariusz generalny; sekretarz, który zaplanował trasę, został zwolniony, gdy policja ujawniła pierwsze wnioski...

Brak pieniędzy zmusił Kurię do pewnej zmiany kursu, do lekkiego popuszczenia cugli „krdąbrnym” Kościołom narodowym, ponieważ to one ponosiły wydatki związane z utrzymaniem nuncjatur i to one odkrywały uboczną działalność ludzi Meksykanina. [„Krdąbrni” biskupi z Francji, Niemiec, Kamerunu, Irlandii i Szwajcarii zażądali od Kurii, aby odwołała część personelu w nuncjaturach, a zwłaszcza pewną liczbę „obserwatorów miejscowych władz kościelnych”, jak nazywał Rzym swoich szpiegów.]

Kościół katolicki wszędzie znajdował się w stanie destrukcyjnej wojny. Konferencje episkopatów były wewnętrznie zwaśnione — z jednej strony „fideleści” czynili z wierności Ojcu Świętemu normę działania, a z drugiej strony coraz bardziej zdecydowani „krdąbrni” odmawiali Rzymowi ślepego posłuszeństwa... Korzystając z każdego oręża, jakie mieli do dyspozycji — Pismo Święte, siła tradycji, wypaczona zasada kolegalności — przeciwstawiali się decyzjom Watykanu. To rozdarcie przeniosło się na wszystkich ludzi, na całe duchowieństwo, całą hierarchię. Wspólnota stała się pobożnym życzeniem...

Pius XIII zmarł w piątek 21 stycznia 2022 roku w atmosferze „końca rozgrywki”. W ostatnich chwilach życia towarzyszyła mu niewielka grupka zapłakanych ludzi, klęczących na placu Świętego Piotra.

Jeśli napiszę, że niektórzy sięgnęli po noże, to i tak nie odda to panującej atmosfery. Przybycie do Rzymu kardynała Felipe Arrau, arcybiskupa z Buenos Aires, „wyraziciela jezuickiego oporu”, wywołało oburzenie pewnych przedstawicieli Kurii, którzy żądali, aby trzymał się on z dala od Watykanu... Wówczas kardynał zwrócił się do stacji telewizyjnych:

— Papież, który doprowadził do rozproszenia naszego Towarzystwa, nie ośmielił się jednak wykluczyć mnie ze wspólnoty Kościoła. Kim więc są te podłe psy, które pragną przeszkodzić mi w uczestniczeniu w życiu mojej chrześcijańskiej rodziny?

Media na całym świecie podkreślały, że niezwykle trudny będzie wybór następcy zmarłego papieża, najbardziej konserwatywnego od stu lat. Zwracano uwagę na to, że jest nie do przewidzenia, jak się zachowają członkowie kongregacji na przyszłym konklawe. Pius XIII zmienił jedną czwartą składu Świętego Kolegium. Reszta to kardynałowie, którzy wynieśli go na tron Piotrowy w pierwszej turze poprzedniego konklawe. Jednak niektórzy z nich żalowali publicznie swego wyboru i teraz wyrazili życzenie, żeby ich więcej do tego nie wciągano... Wynik wyborów był trudny do przewidzenia. Wymieniano często dwóch *papabili*: jednego z klanu „knnąbrnych” — kardynała Paula Assoumou, arcybiskupa Jaunde, przywódcę protestujących, i jednego z klanu „fidelistów”, prawą rękę Piusa XIII, kardynała Miguela Utrillo-Ganza, o którym się mówiło, że był mniejszym mistykiem niż jego zmarły mistrz, ale miał większy zmysł polityczny...

„Wszyscy mieliśmy w pamięci, jak w Stanach Zjednoczonych dokonywał się powolny upadek pastora Jamesa. [James wpadł z powodu skandalu w Campo Santo, tzw. Wirgingate. Kiedy okazało się, że objawienia były oszustwem, i stwierdzono, że służyły one za przykrywkę dla handlu narkotykami, wyszło na jaw podejrzone pochodzenie funduszy na kampanię wyborczą Jamesa. On sam zaprzeczał, jakoby podczas pierwszej swojej kampanii otrzymał jakieś pieniądze od Campo Santo za pośrednictwem Templum Christi oraz ruchu pro-life. Myriam Peack, prokurator specjalny, z łatwością znalazła dowód na jego kłamstwo. Dziś wiadomo, że informacji na ten temat udzielił jej stary arcybiskup z Chicago Salomon Jeffries-Brown.] Wyglądało na to, że tym razem nic nie zdoła przeszkodzić procedurze impeachmentu — wiceprezydent John Lu -

dołożył starań, żeby nie pokazywać się razem ze swoim rywalem z tej samej listy. Gdyby pastor James przegrał, zostawiłby wolne miejsce dla innego »rzecznika« chrześcijaństwa, co zaogniłoby konflikt z islamem oraz z ruchami laickimi. I konklawe wybrałoby wtedy kogoś bardzo radykalnego” — wspominał Paddy.

Już pierwsze spotkania kardynałów w ramach kongregacji pokazały, do jakiego stopnia były zantagonizowane i nieprzejednane oba obozy. Najbardziej zagorzali spośród „fidelistów”, których wkrótce zaczęto nazywać „Meksykanami”, przekonywali, iż świat stoi u progu konfliktu cywilizacji i że trzeba określić swoje stanowisko, że konieczna jest obrona prawdziwej wiary, bo czyha na nią szatan. Niektórzy sugerowali, że kardynałowie powinni ślubować męczeństwo i osobiście poprowadzić wiernych do walki. Przez kilka dni poprzedzających otwarcie konklawe zwolennicy Utrillo-Ganza odprawiali uroczyste msze i głosili kazania...

Za pośrednictwem agencji prasowych i sieci telewizji satelitarnej do Delhi docierały ich orędzia, zapowiadające „nowe prześladowania”, w czasie których trzeba będzie „wytrwać w wierze” oraz „nieść miecz Chrystusa”, „zaprowadzić sprawiedliwość w święte imię Boga”.

W samym Watykanie jeden tylko człowiek niestrudzenie starał się przeszkodzić ich zamiarom. Paul, nieposkromiony lew kameruński, ustawicznie przypominał swoje słowa z okresu Black Decade, w których głosił uniwersalne, katolickie braterstwo. [Assoumou używa słowa „katolicki” w jego pierwotnym znaczeniu, jako synonimu słowa „uniwersalny”.] Na jednym ze spotkań odwoływał się do ewangelicznej opowieści o dobrym Samarytaninie i stawiał kardynałom pytanie jednego z faryzeuszów: „Kto jest waszym bliskim?”. I dalej mówił, nawiązując do rozdziału 25 z Ewangelii Św. Mateusza: „Ten, który jest nagi, głodny, bez pieniędzy, bez wykształcenia, bez pomocy lekarza, chory, zatruty złorzeczeniami fałszywych proroków, zatruty ideologiami. To do takich ludzi zostaliśmy posłani. Chrystus, nasz Pan, nie przyszedł, by sądzić ludzi, ale po to, by ich zbawić. Strzeżmy się więc przed ich osądzaniem, miłujmy ich, zbawmy przez miłość. Dla żadnej idei, dla żadnej prawdy nie wolno zabijać człowieka, choćby nawet był naszym wrogiem”.

Od siły zawartej w słowach kardynała Assoumou drżały mury, a obecni w kościele dokonywali rachunku sumienia.

Biały dym

Konklawe rozpoczęło się 10 lutego. Benelli, Lombardi i Paddy patrzyli, jak do Kaplicy Sykstyńskiej wchodzi kardynałowie w czerwonych biretach i koronkowych komżach...

— Oby tylko nie pomylili się trzeci raz, bo wtedy potrzeba nam będzie całego wieku, żeby się z tego podnieść... — odezwał się z troską w głosie stary dyplomata. [Jego zdaniem nie byli godni piastowanego stanowiska ani Cameron z jego otwartością na sprawy poznania, ani Villaverde ze swoją rekonkwistą. Kto więc jego zdaniem zasługiwał na pozytywną ocenę poza Janem Pawłem Wielkim i jego wiernym następcą Benedyktem XVI?]

Giuseppe zwrócił jego uwagę na przechodzących właśnie Villepreux i Assoumou, chwilę potem wszyscy trzej rozpoznali Godfrey'a Anila.

Zapadła noc, a oni pozostali w biurze, czekając na wynik pierwszego głosowania. Trzy godziny później nad watykańskim kominem ukazał się dym. Najpierw wydawał się biały, potem zmienił się w szary. W końcu zobaczyli, że zrobił się czarny.

— To oznacza bez wątpienia, że Paul stracił jakąkolwiek szansę, ale ma ich też mniej Utrillo-Ganz — orzekł ze spokojem Giuseppe. — Muszą obstawić innego konia.

— Moim zdaniem, będziemy musieli trochę poczekać... — rzekł Benelli.

Minęło dziesięć dni i dwadzieścia dziewięć tur... W poniedziałek 21 lutego nikt już nie miał wątpliwości, że przekroczona zostanie fatalna liczba trzydziestu czterech tur i że papież zostanie wybrany absolutną większością, a nie przez dwie trzecie głosujących.

— Jeszcze jeden dzień czekania — skomentował Benelli — ale wybrany kandydat może się okazać człowiekiem umiaru i rozumu...

— Jutro będziemy wiedzieli, Papelli...

We wtorek, wczesnym popołudniem, trzej mężczyźni spotkali się ponownie.

O godzinie 11.40 na zegarach w Rzymie z komina Kaplicy Sykstyńskiej uniosła się cienka strużka białego dymu — tym razem nie było już wątpliwości, bo dzwony rozdzwoniły się na cały głos.

„W biurze nuncjusza zapadła niezwykła cisza. Trwała całe dwadzieścia pięć minut. Niemal nie słyszeliśmy komentarzy włoskich obserwatorów... Każdy z nas trzech czekał w ogromnym skupieniu na wiadomość, która miała zadecydować o naszej najbliższej przyszłości. Dla Giuseppe — o dalszym wygnaniu lub powrocie do kraju, dla mnie — o obowiązkach, jakich będę ewentualnie musiał się podjąć w moim ojczystym Kościele...” — wspominał Paddy.

Po dwudziestu pięciu minutach na balkonie pojawił się kardynał André Vingt-Trois.

Giuseppe szepnął:

— Widziałem już kiedyś tego człowieka w Paryżu, chyba było to w 2009 roku.

Dawny arcybiskup Paryża, zdymisjonowany przez Meksykanina pod pretekstem, iż osiągnął wiek emerytalny, wyglądał na ogromnie wzruszonego. Obwieścił całemu światu dwa tak bardzo oczekiwane słowa:

— *Habemus papam* — powiedział po łacinie jego imię i natychmiast nowy papież wyszedł na balkon.

— O cholera, to przecież... — zaklął po francusku Giuseppe.

Nowy biskup Rzymu miał sześćdziesiąt jeden lat. Był Francuzem. Wybrany na papieża Jean-Baptiste Villepreux przyjął imię Sylwestra III. [Sylwester II, Gerbert d'Aurillac, Francuz, został papieżem w 1000 roku. Na liście papieży znajdujemy Sylwestra III, którego legalność wyboru była podważana, a który sprawował swój urząd tylko trzy tygodnie, oraz Sylwestra IV, otwarcie uznanego za antypapieża. Jean-Baptiste z pewnością nawiązywał do sławnego uczonego Gerberta.]

„Zobaczyłem, jak ogromnie wzburzony Giuseppe zerwał się z krzesła, które przewróciło się, ale on nie zwrócił na to uwagi. Wpastrywał się w ekran, bardzo blady, z dziwnym uśmiechem na twarzy. Po czym powiedział po włosku: »Wracamy do domu, moje aniołki«. Najwyraźniej w tym momencie pomyślał o swoich córkach i Chiarze”.

Komentatorzy wskazywali na szczęśliwy zbieg okoliczności — we wtorek 22 lutego przypadało święto Stolicy Apostolskiej. Pierwsza msza, jaką będzie celebrował o godzinie 18.00 Jean-Baptiste w otoczeniu wszystkich kardynałów, którzy go wybrali, przypomni całemu światu o odpowiedzialności ciężącej na następcy świętego Piotra. Tego samego wieczoru Giuseppe odprawił wraz z Paddym mszę w tej samej liturgii w kaplicy Świętej Teresy w hospicjum dla umierających w Delhi. Thomas zapamiętał, że Giuseppe odprawiał tę mszę z radością zwycięzcy, widać to było w każdym czytanim przez niego słowie, każdym geście przy ołtarzu. Jakby pragnął podziękować Duchowi Świętemu, że natchnął Święte Kolegium. Widząc jego radość, zrozumieliśmy, jak bardzo ciążyło mu rozdzielanie z Włochami, rodzicami, przyjaciółmi, z ziemią, gdzie spoczywała Chiara..

Obiad

Koniec wygnania

Sobota, 26 lutego. Lotnisko w Rzymie. Trzej mężczyźni i dwie dziewczynki opuszczają ogromny samolot linii Air India... Jeden z mężczyzn to duchowny, bez wątpienia biskup. Drugi to Hindus o ciemnej karnacji, w dżinsach i sportowych butach. Trzeci, Europejczyk, ubrany z niezwykłą elegancją — biała koszula z grubej bawełny, z otwartym kołnierzykiem w kształcie stójki, jasne, wełniane spodnie, pantofle z płowej skóry, długi, cienki szal kaszmirowy.

Dwie dziewczynki to jeszcze prawie dzieci. Starsza, nastolatka, ma poważne, zielone jak woda oczy, delikatną szyję, na którą opadają kręcone miedziane włosy, spięte klamrą, dodającą jej nieco dorosłości. Druga pasażerka wygląda na dwanaście lat, ale jest prawie tego samego wzrostu co jej starsza siostra. Widać, że w przyszłości może być piękna. Ma szerokie czoło i ogromne, ciemnoniebieskie oczy. Wpatruje się badawczo w każdą rzecz, w każdą osobę.

Clara wspomina: „Nie czułyśmy się tak podekscytowane jak trzy lata wcześniej, kiedy Pietro i Monica przyjechali do nas z okazji ślubu... Było to dla nas spotkanie z dziadkami, które powtarzało się co dwa lata. Poza tym tatuś powiedział nam, że tak naprawdę zamieszkamy na stałe we Włoszech dopiero latem...”

Na lotnisku czekają na wnuczki dziadkowie, którzy witają również radośnie Thomasa Poopaddy'ego. Z Benellim ściskają się serdecznie, acz z szacunkiem. Giuseppe wydaje się zmieszany tym serdecznym przyjęciem. Na razie były banita cieszy się tym, że

może powrócić do wspomnień z przeszłości. Słucha okrzyków zachwyty dziewczynek, które całkowicie zapomniały, jak wyglądają miasta zachodniej Europy.

Nogi papieża

Hotel, w którym Pietro i Monica zarezerwowali pokoje, położony o dwa kroki od Panteonu, to piękna budowla tonąca w zieleni. Jego fasada przypominała te wszystkie stare *palazzi* z trochę wyblakłym blichтром, mogące jednak zapewnić pełen komfort i dyskrecję personelu... To idealne miejsce dla kogoś, kto chce spędzić kilka dni w centrum miasta i kto może się mu poświęcić. [Lombardi będzie tam później umieszczał niektórych ze swoich gości, kiedy nie będą oni mogli, lub chcieli, nocować w przedstawicielstwach swoich krajów.]

Nastrój Giuseppe dość szybko uległ zmianie. Wieczorem cała siódemka poszła do restauracji na kolację.

— Dopiero, kiedy zjem coś ugotowanego przez ciebie, poczuję tak naprawdę, że jestem we Włoszech — powiedział potem Giuseppe do Moniki.

Gdy wrócili do hotelu i usiedli w salonie weneckim, by wypić mrożone cappuccino, do Giuseppe podszedł dyskretnie recepcjonista.

— Ktoś to przyniósł dziś wieczorem. Sądzę, że to jakaś osobistość urzędowa, ojciec...

Giuseppe uśmiechnął się. Czyżby już odkryto, iż jest osobą duchowną?

Koperta, którą mu wręczono, opatrzona była herbem poprzedniego meksykańskiego papieża.

— Sylwester III nie zdążył jeszcze wymienić papeterii — uśmiechając się, pokazał Paddy'emu kopertę. Wyjął z niej bilecik. — Paddy, obawiam się, że jutro wieczorem może cię ominąć kolacja z naszym nuncjuszem i naszym biskupem... To będzie pierwszy krok do twoich przyszyłych wysokich funkcji. Jean-Baptiste, papież Sylwester, zaprasza całą piątkę Lombardich na kolację.

— Ktoregoś z najbliższych dni, Giuseppe, musisz mnie przedstawić wielkiemu bossowi. Lubię takie nieoficjalne zaproszenia...

W niedzielę musieli bardzo wcześnie rano stawić się przed Bramą Świętej Anny (wygodniejsza Spizowa Brama nie zawsze jest dostępna z powodu napływu wiernych na plac Świętego Piotra) i podać hasło, po czym poprowadzono ich labiryntem korytarzy i schodów. Lombardi zorientowali się wkrótce, iż znaleźli się w miejscu przeznaczonym dla najbliższego otoczenia papieża. Spotkali tam oczywiście Jeanne-Marie Carrière, którą Giuseppe natychmiast rozpoznał. Była jak zawsze w nienagannie uszytym kostiumie, z białą bluzką i apaszką. Giuseppe przysięgłby, że zauważył u niej ślad makijażu. Paul Assoumou i Enrico Morro czekali w prezbiterium kościoła.

Ceremonia była przydługa, bo Sylwester przywrócił dawny rytuał: każdy z kardynałów klękał przed nim i całował pierścień Rybaka. Ilu z nich robiło to niechętnie? Jak długo odwieczny gest pokory powstrzyma niektórych od podjęcia walki?

Jednak tego ranka panujący tu nastrój był odbiciem wczesnowiosennej pogody. Gdy Jean-Baptiste otrzymywał paliusz, Jeanne-Marie otarła łzę; Giuseppe pozwolił swoim łzom płynąć po policzkach.

Po mszy szczęśliwi wybrańcy, krewni i dygnitarze spotkali się na koktajlu w ogrodach watykańskich. Wreszcie pojawił się papież. Pierwsza innowacja wzbudziła sensację — Sylwester III nie miał na sobie białej sutanny. Zdjął szaty liturgiczne i włożył szary garnitur. Pod marynarką miał zapinaną na guziki kamizelkę, a pod kołnierzykiem białej koszuli nieskazitelnie białą koloratkę. Na piersi zawiesił złoty krzyż biskupi. Efekt był zaskakujący, gdyż ta niepokalana biel przywodziła oczywiście na myśl białą sutannę. Niektórzy jednak skomentowali ten fakt z odrobiną uszczypliwości, mówiąc „papież ma nogi”. Kilku szefów państw i członków korpusu dyplomatycznego podeszło do Ojca Świętego, pozostali musieli poczekać z tym do wieczora.

Zatłoczony wirydarz

Kościół Świętego Ludwika Francuzów, jak sama nazwa wskazuje, jest parafią Francuzów mieszkających w Rzymie. Uczęszczał do niego Villepreux, gdy był jednym z muszkieterów „młodej gwardii” Jana XXIV. Tutaj także przychodził czasami Giuseppe, gdy

mieszkał w Rzymie i przyprowadzał Chiarę na mszę w języku francuskim.

Dla jednego i drugiego miejsce to miało szczególne znaczenie. Przywodziło im bowiem na pamięć słodko-gorzkie wspomnienia minionej młodości, ale jeszcze bardziej było symbolem triumfu po okresie ostracyzmu.

Rektor klasztoru Świętego Ludwika urządził wszystko bardzo starannie. Uradowany niezmiernie, że ma wreszcie papieża Francuza, oddał do jego dyspozycji cały teren, a ponieważ wiosenna pogoda była niezwykle sprzyjająca, kazał rozstawić stoły w wirydarzu.

Z polecenia gospodarza przystrojono żółto-różowe kolumny, tworzące galerię wirydarza. Francuskie i europejskie flagi wymownie świadczyły, jak bardzo jest zadowolony, iż usunięci zostali Meksykanie. Flagi powiewające nad typowym rzymskim dziedzińcem wydawały się niestosowne, nie pasujące do jego różowej nawierzchni i donic z bujnymi roślinami. W tej uroczystej scenerii wszyscy z kieliszkami szampana w ręku czekali na dostojnego gościa.

— Papież ma nieprzewidziane obowiązki — oznajmił rektor z telefonem komórkowym przy uchu.

Kiedy wreszcie Sylwester III wszedł do wirydarza, wszystkich przeniknął dreszcz wzruszenia. A przecież tych pięćdziesięciu zgromadzonych ludzi to sami bliscy, nie było wśród nich żadnego pochlebcy, żadnego „okazjonalnego przyjaciela”.

Monica wspomina niezwykłą atmosferę tej chwili: „Wszyscy staliśmy w milczeniu, spoglądając na dobrze znanego nam człowieka, który wydał nam się inny — jakby nowe zaszczytne stanowisko odebrało mu całą jego poprzednią ludzką naturę... Nie śmieliśmy się zbliżyć, nawet członkowie jego rodziny. Nikt nie wiedział, jak się do niego zwracać publicznie. Jean-Baptiste? Sylwester? Ojciec Święty? Stał więc tak kilka chwil, bo nikt nie miał odwagi podejść, wziąć go w ramiona i coś powiedzieć. Zobaczyłam, że jest zaskoczony, jakby zbity z tropu. Szybko jednak pojął, o co chodzi. I żebyśmy ujrzeli w nim ponownie Jeana-Baptiste'a, zrobił to, co powinien był zrobić”.

Pietro zaś wspomina, że przemówił do nich zwyczajnie, z humorem.

— Nie bądźcie tacy spięci, dla mnie ta sytuacja jest tak samo niezręczna jak dla was. Chcę jednak, żebyście wiedzieli, że nadal

jestem Jeanem-Baptiste'em i pozostanę nim na zawsze, przynajmniej dla was. Proszę, żebyście się tak do mnie zwracali. To przysługą, o którą prosi was następca świętego Piotra, to wasza powinność wobec Kościoła: od czasu do czasu przywoływać do porządku Villepreux, kiedy Sylwester III za bardzo się zagalopuje. Bądźcie tymi, którzy widzą we mnie zwykłego człowieka, jakim przecież jestem, i którzy będą mi to przypominać i możliwie jak najczęściej ostrzegać mnie, gdy będę usiłował narzucać swą wolę z pozycji papieskiej nieomylności. — Zrobił krok, objął jednego, potem drugiego ze swoich bratanków. — Widzicie, oni już wiedzą, że nie gryzę... Pojdźcie, ucałujmy się, uściskajmy, jak to robiliśmy jeszcze w ubiegłym tygodniu, a potem napijemy się i pobawimy. Najbliższe dni będą z pewnością wyczerpujące, ale dzisiaj świętujmy.

Jean-Baptiste umiał zawsze dobierać właściwe słowa.

„Ale tego wieczoru — opowiadał dalej Pietro — wydawał się inny. Po raz pierwszy, odkąd go poznaliśmy, był pewien tego, co powinien mówić, robić... Pomyślałem wówczas, że Jean-Baptiste został stworzony do funkcji papieża, że tylko w tej roli mógł zademonstrować całą swoją wartość... Wyglądał na szczęśliwego, świadomego wagi swego stanowiska, ufającego w sukces”.

Trio się odnajduje

Po tych słowach wszyscy otoczyli bohatera dnia, a nowy papież, wierny dawnemu Jeanowi-Baptiście, miał każdemu coś serdecznego do powiedzenia... Tylko Giuseppe pozostał trochę z tyłu wraz ze swymi córkami., Jakub” był jedynym, który nie widział „Izaaka” podczas tygodni poprzedzających konklawe. On jeden nie odwiedził go w Lyonie. Kiedy Sylwester powiedział, żeby wszyscy czuli się swobodnie tak jak ostatnim razem, Giuseppe pomyślał, że dla niego było to prawie siedem lat temu...

Nagle Jean-Baptiste dostrzegł „Jakuba” stojącego z tyłu. Odsunął otaczających ludzi, zrobił kilka kroków w kierunku Giuseppe i wziął go w ramiona. Obejmowali się długo, bez słowa, jak nigdy przedtem nie robili tego Jakub i Izaak. Następnie papież zwrócił się do dziewczynek. Podniósł do góry Cecilie i krzywiąc się z wysiłku, powiedział:

— Wyrosłaś, kochanie, albo ja się postarzałem.

Potem odwrócił się do Clary. W momencie gdy schylił się, by ją pocałować, zawahał się, najwyraźniej zmieszany.

— Mój Boże — szepnął — jaka jesteś podobna do... — przerwał i spojrzał na jej ojca zawstydzony swoją niezręcznością.

Giuseppe uśmiechnął się i dokończył zdanie za niego:

— Do Chiary. Tak, z każdym dniem podobieństwo jest coraz bardziej uderzające.

Nie rozmawiali już więcej na osobności. Przyjęcie upłynęło w wesołej, swobodnej atmosferze, lecz nie trwało długo. Jean-Baptiste musiał odejść, gdyż czekała go długa lista audyencji. Już nazajutrz miał przyjąć kilku premierów, którzy odłożyli swój wyjazd, by móc odbyć krótką rozmowę z nowym papieżem.

Przed wyjściem Izaak szepnął do Jakuba:

— Wkrótce się zobaczymy.

W tym momencie w wirydarzu pojawił się czarny olbrzym w ciemnym garniturze. Objął ich niedźwiedzimi łapskami.

— Banda z Saint-Germain znowu się spotyka — powiedział Paul, śmiejąc się tak głośno, że wszyscy pozostali goście odwrócili się w ich kierunku.

— Nie tylko przybywasz spóźniony, monsignore Assoumou — odrzekł z uśmiechem Villepreux — ale jeszcze nie umiesz się zachować.

— To moja afrykańska cecha, Wasza Świątobliwość. Jestem dużym dzieckiem. Już wychodzisz? Straciłem wszystko?

— Zostawiam cię z Jakubem, on ci opowie, jak było, a ty zacznij go wprowadzać...

Słyszając te słowa, Lombardi zrozumiał, że Jakub, przyjaciel Jeana-Baptiste'a, specjalista od tajnych negocjacji z przedstawicielami różnych religii, nie będzie już mógł żyć anonimowo i w spokoju w bolońskiej parafii.

Zalutowanie pracy

Po wyjściu Sylwestra, którego imię wciąż dziwnie brzmiało im w ich uszach, goście szybko się rozeszli.

Paul, który zamieszkał we francuskim seminarium, postanowił

odprowadzić rodzinę Lombardich. Monica rzuciła propozycję, żeby poszli gdzieś na kieliszek wina, a ona zajmie się dziewczynkami.

Obaj mężczyźni udali się na plac Panteonu.

Było już po północy, liczni turyści, zwabieni elekcją, wyjechali lub udali się na spoczynek. Paul szedł z rękami w kieszeniach. Giuseppe coś podśpiewywał.

Nie odzywali się do siebie ani słowem, dopóki nie usiedli i nie złożyli zamówienia.

Paul nalewał do kieliszków wino Frascati, podczas gdy kelner przyniósł im kilka kanapek do przegryzienia.

— A więc wracasz?

— Oczywiście, że wracam... Zamierzam poprosić Enrica, aby znalazł mi na wrzesień jakąś parafię.

Paul Assoumou wybuchnął gromkim śmiechem. Odzyskawszy oddech, powiedział:

— Jean-Baptiste ma przed sobą wyjątkowo trudną pracę i pragnie otoczyć się ludźmi, którym może całkowicie zaufać. Czy myślisz, że nie jesteś nam tutaj potrzebny?

— Nam? Czy ty zostajesz w Rzymie?

— Tak... Biorę Papieską Radę Iustitia et Pax. Zgodziłem się opuścić Afrykę, bo tutaj jest wiele do zrobienia po tych „templariuszach”, którzy nie znali znaczenia słowa „pokój” ani wagi słowa „sprawiedliwość”.

— I do tego potrzebujesz mnie...

— Jasne, ale przypuszczam, że Jean-Baptiste uzna, że bardziej się przydasz gdzie indziej... Zresztą sam ci to niedługo powie. Nie możesz nam odmówić, Jakubie.

Giuseppe milczał, najwyraźniej zastanawiał się nad jego słowami. Paul mówił więc dalej:

— Kuria jest w stanie kompletnej rozsyпки. Jedyjni kompetentni ludzie odeszli, zmęczeni czekaniem na wypłacenie im pensji. Przyjaciele Meksykanina mają w swoich rękach prawie wszystkie kongregacje. Roboty huk, a mało jest ludzi gotowych na poparzenie sobie skrzydełek w ogniu...

— W każdym razie nie będę miał pretensji, Paul, że załatwiłeś mi pracę.

— Jakubie, staram się wyjaśnić ci, że nasz Kościół jest bliski

implozji. Jean-Baptiste będzie zmuszony do usunięcia sporej liczby templariuszy, ale nie może wyrzucić ich wszystkich jednocześnie. Trzeba będzie koegzystować z nimi, pilnując przy tym, aby nie wykorzystali oni pozostałych w ich rękach stanowisk do podkładania min lub podsyłania szpiegów.

— Wyobrażam sobie, że boją się ciebie...

— Mnie i Arrau, arcybiskupa z Buenos Aires. Obaj budzimy w nich postrach, bo tylko my w Świętym Kolegium mieliśmy odwagę przez te siedem lat występować zdecydowanie przeciw nim.

— Czy Jean-Baptiste mianuje Arrau przewodniczącym którejś z kongregacji?

— Nie. Powołał na nowo do życia Towarzystwo Jezusowe i postawił Arrau na jego czele. Bo tylko Arrau jest uprawnionym człowiekiem do tego, aby przywrócić Kościołowi jezuitów, którzy od momentu rozproszenia stracili wszystko...

Giuseppe słuchał z wielkim skupieniem, jak zawsze, kiedy musiał szybko zorientować się w nowej sytuacji.

— A dlaczego ciebie, Paul, nie mianował sekretarzem stanu?

— Bo oznaczałoby to otwartą wojnę. Na razie szykuje się, żeby usunąć Utrillo-Ganza, co nie będzie dobrze przyjęte.

— Jest aż tak źle?

— Gorzej... Templariusze i ich sojusznicy od samego początku zagarnęli wszystko, przez ostatnie pół roku jeszcze wzmogli swoją działalność. Są dwa wyjścia: albo skończyć z nimi, co doprowadzi do rozłamu w naszej rodzinie, albo posuwać się do przodu małymi krokami, by przeprowadzać zmiany od wewnątrz.

— To rozwiązanie wydaje mi się nie mniej ryzykowne.

— Zgadza się z tobą. To kiepskie wyjście, ale jedyne katolickie, Jakubie. Nie mamy wyboru. Ten, kto postawiłby się w pozycji sędziego i próbował orzekać, kto jest chrześcijaninem, a kto nim nie jest, zdradziłby ewangelię.

Historia to właściwie oceni

Paul Assoumou wspomina: „Rozmawialiśmy do późna w nocy. Zorientowałem się, że Jakub zmienił się pod wieloma względami. Jak dawniej był wymagający, ciekaw ludzi i spraw. Sporo się nauczył.

Pobyt w Indiach zrobił z niego polityka. Dojrzał. Mówiliśmy o Chiarze i wyczułem, że ona naprawdę jest wciąż przy nim, gdy musi dokonać jakiegoś wyboru. Pytał mnie o przebieg konklawe”.

— Jak ty widzisz zwycięstwo Jeana-Baptiste'a?

— Co masz na myśli?

— Uczestniczyłeś w konklawe, mając etykietkę *papabile*, ryzykowałeś znacznie więcej niż Jean-Baptiste... I to on został papieżem.

— Nie mogę ci zdradzić tajemnicy głosowania, Jakubie. Ale powiem ci jedno: dwa razy w ciągu tych siedmiu lat otrzymałem z Lyonu list, w którym pytano mnie, co miałby zrobić francuski kardynał, żeby wesprzeć kardynała z Kamerunu. Odpowiedziałem, że należy milczeć i czekać, bo któregoś dnia Kościół będzie potrzebował ludzi, którzy potrafią pojednać walczące strony... Po pierwszych turach było jasne, że nie mam żadnych szans na wybór, jestem za bardzo widoczny, kolorem skóry za bardzo przypominam zbiegłych niewolników. Zrozumieliśmy, że batalia będzie zażarta i długa, że trzeba mieć dobre karty aż do końca gry. A Jean-Baptiste bardziej niż ktokolwiek inny mógł przekonać niezdecydowanych, jeśli nie będzie zbyt otwarcie afiszować się poparciem dla nas.

— Tak się to odbyło...

— Tak. I dziś jestem przekonany, że Jean-Baptiste jest pastierzem, jakiego potrzebuje nasza rodzina, aby wszyscy mówili znowu jednym głosem.

— A co myśli o tym chłopak z Douala? Czy on także ma takie przekonanie?

Tym razem na twarzy Paula Assoumou pojawił się dyskretny uśmiech, charakterystyczny dla tych, których próbuje się sondować głębiej.

— Chłopak z Douala z pewnością wolałby dostać puchar.

— Mówisz tak, jakby już wszystko było skończone, Paul.

— Powiem ci, Jakubie, co myślę. Gdyby była najmniejsza szansa, żebym został pierwszym murzyńskim papieżem w historii naszego Kościoła, doszłoby do tego już w pierwszych głosowaniach na konklawe. Jean-Baptiste to dobry wybór i historia właściwie to oceni.

3

Spizowa Brama

Pod cyprysami

W poniedziałek cała rodzina znalazła się wreszcie w Bolonii. Giuseppe oprowadzał córki po mieście, pokazywał im niezwykle ciche ulice, piękne centrum. Bolonia była zupełnie inna niż Delhi. Tutaj pojazdy transportu miejskiego i taksówki jeździły z dziwnym sykiem elektrycznych baterii. Nikt nie żył na ulicy, lecz wszyscy gdzieś się przemieszczali.

Dziewczynki, początkowo bardzo zainteresowane, czuły się zdezorientowane w tej spokojnej atmosferze. Odnosiły wrażenie, że ludzie mają smutne miny, wciąż się spieszą, że odnoszą się do siebie z pewną sztucznością, dystansem. Cecilia stwierdziła, że jeśli tu zamieszkają, będą się nudzić.

— Nie ma żadnego „jeśli”. Wracamy — odpowiedział Giuseppe.
— A wy przekonacie się, że nie będzie tu nudno.

Clara zapamiętała, że Cecilia miała za złe ojcu, iż musi zostawić szkołę, ogród Mary i nuncjaturę. W Delhi czuła się jak w domu. Dobrze pamiętała, że ten wieczór nie minął w przyjemnej atmosferze. Szczególnie jednak wrył się jej w pamięć następny dzień, kiedy tatuś zaprowadził je na grób mamy.

W ciągu trzydziestu miesięcy, jakie upłynęły między jego powrotem z wyspy umarłych a wyjazdem do Delhi, ani razu nie był tam z nimi.

„W drodze, prowadząc samochód, tata pogwizdywał. Wyglądał tak, jakby był na wakacjach. Już dawno nie widziałyśmy go w takim nastroju. Niespodziewanie w połowie drogi zatrzymał się, żebyśmy się zamieniły miejscami, żeby każda z nas mogła siedzieć obok

niego. Nie przywróciło to jednak uśmiechu na twarzy Cecilio. W końcu samochód wjechał do małego miasteczka. Tata powiedział: »Dojechaliśmy«. Zaparkował i pieszo poszliśmy na cmentarz, śliczne miejsce ocienione cyprysami. Tata bez wahania skierował się do grobu, o który najwyraźniej ktoś dbał przez ubiegłe lata. »To tu, w tej ziemi, ułożyliśmy ją do ostatniego snu prawie dziesięć lat temu« – powiedział”.

Po opuszczeniu cmentarza zjedli obiad w wiejskiej restauracji w regionie Emilia-Romania. Cecilia wspominała: „Obie zrozumialiśmy, że tata nie chciał, aby ta wyprawa miała w sobie coś uroczystego. Miał to być spacer, przechadzka, podczas której odwiedziliśmy również grób mamy... I tak to właśnie odebrałyśmy, bo tata, smarując kanapki, pogwizdywał, żartował, a przecież wrócił do tego smutnego miejsca, do którego nie miał dostępu przez siedem lat wygnania...”.

W drodze powrotnej Giuseppe często spoglądał na zegarek. Kiedy Clara zapytała, czy spieszy się na jakieś spotkanie, odpowiedział:

— Czeka mnie odprawienie mszy z don Enrikiem, naszym największym przyjacielem, moim i Chiary, kiedy tutaj mieszkaliśmy. Jest biskupem tej diecezji i muszę omówić z nim sprawy związane z naszym powrotem.

— To znaczy, że znowu nas zostawiasz...

— Czy ty mnie słuchasz, Claro? Powiedziałem, że trzeba się zastanowić nad momentem, kiedy będziemy mogli wrócić już na stałe wszyscy troje do Bolonii.

— A co my będziemy robić dziś wieczór?

— Pójdziecie do Moniki i Pietra.

Reminiscenze

Msza dziękczynna z okazji wyboru nowego papieża została odprawiona w bolońskiej katedrze o godzinie osiemnastej. Giuseppe nie stał tu przed ołtarzem od czasu swoich święceń kapłańskich. Z pewnością myślał o tym czerwcowym dniu 2014 roku, po którym tak szybko Kościół pograżył się w ponurej nocy meksykańskiej.

Wtedy trzech kardynałowie stanowili grupę najbliższych przyjaciół. Z pewnością myślał również o dniu świętego Sylwestra 2008 roku, gdy Chiara stała trzy metry za nim; a także o tym dniu 2011 roku, gdy leżał krzyżem na posadzce kościoła i kiedy ona podjęła postanowienie, że będzie „prawdziwą żoną diakona”.

Giuseppe razem z Morrem zjedli kolację w restauracji, do której kiedyś uczęszczali. Zapach i smak wołowiny z bakłażanami pozostał taki sam po siedmiu latach jego wygnania.

— Pamiętasz, jak jedliśmy tu kolację po moim powrocie z synodu w Ameryce? Nie podejrzewałem nawet, że czeka nas tyle lat rozłąki...

— Nikt nie mógł tego przewidzieć.

— Może jednak mogliśmy temu zapobiec, Giuseppe. Może...

— Już jesteś za stary, żeby do tego wracać — odrzekł żartobliwie Giuseppe. — Zresztą chciałbym porozmawiać z tobą o przyśrołści. Co sądzisz o moim powrocie do Bolonii?

Don Enrico pokiwał głową z uśmiechem.

— Czy nie sądzisz, że papież ma inne plany wobec ciebie niż umieszczanie cię w jakiejś bolońskiej parafii?

— Rozmawialiście o tym? Kiedy?

— Czeka na ciebie jutro w tym swoim wielkim, pustym pałacu. Miej stale przy sobie telefon komórkowy, bo jego sekretarz obawia się, że twój stary biskup zapomni przekazać ci zaproszenia.

Giuseppe wyjął telefon. Była w nim wiadomość z Watykanu: „Ojciec Święty zaprasza księdza jutro na śniadanie w jego prywatnych apartamentach. Proszę stawić się przy Spiżowej Bramie o godzinie 11.15”. [Spiżowa Brama znajduje się na prawo od kolumnady Berniniego, gdy się patrzy wprost na Bazylikę. Wchodzą nią ci wszyscy, którzy udają się do prywatnych apartamentów papieskich, tej części Pałacu Watykańskiego, gdzie papież mieszka i pracuje.]

— Chcesz, bym oddał się do dyspozycji Jeana-Baptiste'a?

— To on tego chce.

— Ale co ty na to powiesz?

— No cóż, przyszła kolej na ciebie, żeby spróbować. Miejmy nadzieję, że nie popełnicie tych samych błędów, jakie my popełniliśmy...

— Na pewno będę potrzebował twoich rad. A Jean-Baptiste twojej mądrości...

— Jeśli o to chodzi, papież znajdzie ludzi znacznie mądrzejszych ode mnie i nienastawionych tak odwetowo jak ja. Wolę pozostać w mojej diecezji. Ale na ciebie, Giuseppe, zawsze będzie czekać butelka białego wina, kiedy tylko przyjedziesz.

— Uważaj, Enrico... Nie mam zamiaru osiąść na stałe w Rzymie. Nastaw się na to, że będę cię odwiedzać w każdą sobotę.

— Może Bóg cię wysłucha, ale ja wątpię. Jedź zobaczyć się z Ojcem Świętym. Nigdy jednak nie zapominaj, że masz także rodzinę.

Reszta wieczoru upłynęła im na opowieściach o tym, co się wydarzyło podczas siedmiu lat ich rozłąki, o podziemnej walce, a także o upokorzeniach, jakich doznał stary prałat z Bolonii.

Nazajutrz Giuseppe znowu był w Rzymie. Przy Spizowej Bramie znalazł się trochę przed wyznaczoną godziną. Kiedy kapitan gwardii szwajcarskiej sprawdzał dokumenty gościa, który oznajmił, że przyszedł na spotkanie z papieżem, dwaj inni mężczyźni w granatowych mundurach baczenie mu się przyglądali. Ich zdaniem ten Włoch absolutnie nie przypominał księdza, lecz wyglądał na człowieka, który przybył z dalekich krajów.

W końcu jeden z gwardzistów wprowadził go do środka i kazał czekać u stóp wielkich marmurowych schodów.

Stamtąd razem z woźnym udał się do windy, która zawiozła go na trzecie piętro, bezpośrednio do prywatnych apartamentów papieża. Przez następne piętnaście lat będzie przemierzał tę trasę tysiące razy. Wkrótce przestaną sprawdzać, czy jest tutaj oczekiwany. A pewnego dnia to miejsce stanie się jego siedzibą.

Lewantyńczyk

Gdy drzwi windy otworzyły się, Giuseppe zobaczył czekającego na niego młodego duchownego. Miał on wygląd człowieka Wschodu, o miłym i zarazem przebiegłym wyrazie twarzy, jaki widzi się u libańskich chrześcijan, żyjących w diasporze. Z uprzejmym uśmiechem zapytał:

— Ojciec Lombardi? Sądzę, że mówi ksiądz po francusku, prawda? Proszę pójść za mną, Ojciec Święty czeka na księdza...

Młody człowiek, trzydziestoletni, poprowadził gościa długim, niekończącym się korytarzem z wieloma drzwiami, za którymi widoczne były puste pomieszczenia.

— Ojciec Święty przyjmie księdza w prywatnej bibliotece, która służy mu za gabinet — powiedział Lewantyńczyk, nie zwalniając kroku. [Francuski papież przyjmował swoich współpracowników w tej bibliotece; sam pracował w znacznie mniejszym pokoju, który był jego prywatnym gabinetem.]

Kiedy weszli do pokoju, Sylwester III wstał i podszedł, by przywitać gościa uściskiem dłoni — czas czułych objęć minął, pierwsze spotkanie po latach należało już do przeszłości...

— Tak więc mały Jakub dołącza do mnie w sercu centrum Rzymu.

— Czy mogę cię tutaj nazywać Jean-Baptiste? — zapytał pół żartem, pół serio Giuseppe.

— Publicznie nazywaj mnie Ojcem Świętym, ale teraz jesteśmy tylko my trzej. Templariusze, jak zapewne zauważyłeś, opuścili już biura. [Na trzecim piętrze pałacu (prywatne apartamenty) i na czwartym znajdują się biura oraz pokoje „rodziny papieskiej”, to znaczy tych współpracowników, teologów, a także domowników, dzięki którym papież mógł oddawać się swoim codziennym zajęciom. Za Piusa XIII te dwa piętra stały się swoistym klasztorem templariuszy. Meksykański papież żył tu w otoczeniu kilkunastu zaufanych młodych ludzi. Nazywano ich „Meksykami”, podobnie jak poprzednio „Polakami” za Jana Pawła Wielkiego czy „dominikanami” za Jana XXIV. Ci z nich, którzy nie pełnili funkcji politycznych, mianowani byli na osiemnaście miesięcy i odpowiadali za czystość i porządek w apartamentach papieża i jego małym gabinecie. Panowała tu żelazna dyscyplina — praca i modlitwa, absolutne posłuszeństwo i milczenie. „Meksykanie” zniknęli zaraz po śmierci swego papieża, powracając do parafii w Ameryce Łacińskiej, we Włoszech lub w Stanach Zjednoczonych. Część współpracowników bliskich poprzedniemu papieżowi została, mając nadzieję na wybór Utrillo-Ganza. Spakowała swoje walizki dopiero wtedy, kiedy okazało się, że papieżem został Villepreux. Jeden tylko człowiek zdezerterował, zanim jeszcze papież oddał ostatnie tchnienie. Był nim jego osobisty sekretarz, którego Pius XIII trzy dni przed swą śmiercią zdążył mianować biskupem Texcoco w Meksyku.]

— To chyba dobra wiadomość?

— Bądź pewien, że będą próbowali wrócić. W Kurii są wszędzie. — Villepreux uśmiechnął się, widząc, że Giuseppe spojrzął na wciąż obecnego w pokoju młodego duchownego. — Nie powinieneś traktować Maurice'a jako kogoś z zewnątrz. Przy nim możesz mówić

szczerze i ja też tak będę robił. Maurice wie prawie wszystko o naszych relacjach, już w Lyonie opowiedziałem mu pokrótce o nas, a potem trochę więcej, zanim przekazał ci moje zaproszenie...

— To zaproszenie przypominało raczej wezwanie, Jean-Baptiste...

— Może. Krótko mówiąc, Maurice Mafouz jest moim sekretarzem, adiutantem, moim piórem, moim administratorem... [Maurice Mafouz był osobistym sekretarzem, odkąd Villepreux przeprowadził się do Lyonu. Poznali się około 2010 r. w Catho w Paryżu. Mafouz był z pochodzenia Libańczykiem, wyznania rzymskokatolickiego, ponieważ jego rodzina wyemigrowała do Francji, kiedy w 1975 r. w Libanie wybuchła wojna. Dzięki jego ścisłej współpracy mogłem odtworzyć dużą część rozmów między francuskim papieżem i jego następcą.] Redaguje moje listy, moje homilie lepiej niż ja sam... Mówi biegle ośmioma językami, radzi sobie z sześcioma kolejnymi, co będzie bardzo przydatne przy przygotowywaniu różnych przemówień.

— Zupełnie tego nie wykorzystywałem, kiedy wegetowałem w wiejskiej parafii okręgu Nimes, skąd zabrał mnie Ojciec Święty. A przy okazji chciałbym powiedzieć, Przenajświętszy Ojcze, że na audyencji generalnej dziś rano, mówił Ojciec z lepszym akcentem arabskim niż poprzednio. [„Mafouz nie był specjalnie dobry w roli księdza ani nie nadawał się do dalszych studiów teologicznych. Jego biskup w Nimes zgodził się bez oporów, kiedy postanowiłem go stamtąd zabrać, bo nie bardzo wiedział, co z nim robić. Maurice jest urodzony do tego, żeby wiernie służyć. Poza tym ma niezwykłą pamięć do ludzi. Wie zawsze, do kogo zwrócić się w jakiejś sprawie, kto może spełnić naszą prośbę”. — Taki portret sekretarza przedstawił sam Villepreux w rozmowie z Giuseppe.]

— Maurice nazywał mnie w Lyonie „monsignore”, a teraz, jak słyszysz, mówi do mnie „Przenajświętszy Ojcze”, ale ciebie to nie obowiązuje.

Za plecami usłyszeli, jak szcęknął w rękach Mafouza przybornik do pisania. Papież spojrział na zegarek.

— No tak, mamy pół godziny do mszy, a potem siadamy do stołu... [Poprzedni papież odprawiali mszę wcześniej rano, przed dniem pracy. Jednak Villepreux nie był rannym ptaszkiem i odprawiał mszę w południe w katedrze Saint-Germains-des-Prés, tak jak miał zwyczaj czynić to w Lyonie.] Ale jeśli chodzi o obiad, może cię on nie za bardzo zadowolić... Pewna zaprzyjaźniona ze mną para małżeńska z Lyonu zgodziła się zająć Domem. Jednak przyjadą dopiero za tydzień, bo nie przygotowano jeszcze dla nich mieszkania. Szkoda, bo on jest

diakonem, ale także restauratorem, prowadził w Lyonie jadalnię, do której zazwyczaj chodziłem na obiady.

- To będę musiał jeszcze tu wrócić...
- Chyba ci to grozi.
- Skończmy z tymi aluzjami...
- Przypuszczam, że Paul przedstawił ci już sytuację?
- Tak, ale nie powiedział mi, czego ode mnie oczekujesz.

[Papież długi czas jadali samotnie. Od końca XIX wieku zaczęli zapraszać gości do swojego stołu. Ale posiłki z papieżem, cieszące się za czasów Jana Pawła Wielkiego wielkim uznaniem z powodu smacznych potraw, a za Benedykta XVI słynące z niezwyklej atmosfery intelektualnej, pełne swobody za dominikanina Jana XXIV, w okresie pontyfikatu Villaverdego stały się prawdziwą męką. Nikt nie zabiegał o to, żeby być na nie zaproszony. Odbываły się w całkowitym milczeniu, były bardzo skromne, przestrzegano bowiem ściśle terminów postu i zakazu picia.]

Praca

W końcu Lombardi dowiedział się, co przewidziano dla niego. Papież chciał mianować go natychmiast podsekretarzem w Papieskiej Radzie do Spraw Dialogu Międzyreligijnego.

— Słyszałeś o przewodniczącym tej Rady, kardynale Longdesbois z Quebecu?

— Wspominał mi o nim Morro... Czy to ten, który na synodzie w Ameryce nawoływał księży do ubóstwa i sprzymierzył się z Villaverdem?

— Tak... Otrzymał tę funkcję w podzięce za wierność i lojalność i dlatego także, że Meksykanie ostro skrytykowali dialog międzyreligijny.

— A dziś trzeba mieć na niego oko? Czy nadal należy do ich obozu?

— Przeciwnie. Jest jednym z „rozczarowanych villaverdyzmem”, nie obawiam się niczego ze strony tego poczciwca. Zawiódł się na swoich sprzymierzeńcach, ale pozostaje przy swoich poglądach.

— To do czego ja jestem tam potrzebny?

— Ponieważ żyłeś przez siedem lat w atmosferze koegzystencji dwóch różnych wielkich religii.

— Chcesz, żebym kontynuował to, co zacząłem w Bombaju i Delhi?

- Właśnie.
- Wiesz, że nie dokończyłem sprawy. Powinienem tam wrócić i...
- Przekazać sprawę twojemu „Paddy”. Emir Bombaju będzie musiał nauczyć się rozmawiać z kimś innym.
- Kto ci o tym wszystkim powiedział? Benelli? Anil?
- To nieistotne... Ta propozycja wiąże się z bardzo częstymi podróżami, niektóre mogą okazać się niebezpieczne, gdy trzeba będzie spotkać się z radykałami.
- Jakie niebezpieczeństwo masz na myśli? Czy mogę negocjować warunki pracy? Chciałbym móc jeździć do Bolonii na wszystkie weekendy i wtedy, kiedy w Watykanie są dni wolne, będąc tylko pod telefonem na wszelki wypadek. Chcę ośmiu tygodni urlopu w lecie i dwóch w zimie, bym mógł spędzać je z córkami.
- Latem tylko sześć, Jakubie... Nie więcej. Zakazuję ci też stanowczo brać jakąś parafię w Bolonii na weekendy...
- Zgoda. Dogadaliśmy się, Jean-Baptiste.
- Świetnie. Stawisz się tutaj piętnastego kwietnia, uprzedzę Longdesbois i Paula. Sądzę, że ma on jakiś pomysł na wspólne działania Rady do Spraw Dialogu Międzyreligijnego i Rady Iustitia et Pax.
- Uważaj na tego nieposkromionego lwa, Jean-Baptiste. Wkrótce uzna on, że najważniejsza jest Rada Iustitia et Pax, a ty znajdziesz się w sytuacji papieża przed emeryturą.

We trzech odprawili mszę w prywatnej kaplicy. Giuseppe odśpiewał psalm. Potem na prośbę Sylwestra III zaintonował *Ojciec nasz* po aramejsku. Przedziwnie zabrzmiała ta modlitwa w języku Chrystusa, w którym rozmawiał też ze swoimi nestoriańskimi porwaczami. Maurice Mafouz dołączył do niego swój głos.

Odpowiedzialność

Posiłek był krótki, ale upłynął w serdecznej atmosferze. Jean-Baptiste dał się wygadać Jakubowi, wypytywał go nowiny. Szybko jednak rozmowa wróciła do trudnych problemów Kurii. Kiedy Jakub wyraził się ironicznie o jednym z obrazów zdobiących salę jadalną, Jean-Baptiste przyznał z westchnieniem, że konieczne będzie zrobienie porządku, usunięcie wszystkich widm po Meksykanach, ich

różańców zawieszonych na ścianach, wizerunków Matki Boskiej wypełniających szuflady, ich obrusów naśladowujących święty całun.

— Poproszę o radę Monice, jak nadać nieco elegancji temu miejscu, którego nie odnawiano od czasu polskiego papieża.

— Wiesz dobrze, że ona zrobiłaby to miejsce za bardzo komfortowe i niepasujące do twojej funkcji. Jesteś teraz papieżem, musisz pogodzić się ze złym gustem...

— Staram się. Trzy dni temu, kiedy przybyłeś tu na moje zaproszenie, prosiłem cię, abyś przypominał mi, że jestem tylko człowiekiem, a nie żebyś uczył mnie roli papieża.

— Jestem pewien, że będziesz jednym i drugim.

— No to dlaczego ani razu nie nazwałeś mnie Izaakiem, jak robiliście to oboje z Chiara w Paryżu?

Nagle ton rozmowy uległ zmianie. W ostatnim pytaniu zabrzmiał niepokój o ich obecne wzajemne relacje, które zepsuły się wskutek czasu i dzielącej ich odległości, obawa, że najcenniejsze dla Villepreux przyjaźnie stracą swój pierwotny charakter z powodu pełnionej przez niego godności papieskiej.

Po długim, pełnym skupienia milczeniu Giuseppe powiedział, dobierając i ważąc słowa:

— Ty już nie jesteś Izaakiem, Jean-Baptiste. Masz władzę i spoczywa na tobie ogromna odpowiedzialność za Kościół, który trzeba skierować na właściwą drogę. Spoczywa zresztą na nas wszystkich, ale to ty jesteś odpowiedzialny przed twymi braćmi, którzy wybrali ciebie, żebyś został ich pasterzem. Teraz jesteś Abrahamem, Jean-Baptiste, a twój lud jest liczniejszy niż gwiazdy na niebie.

— Módl się za mnie, Jakubie. Jest to ciężar znacznie większy od wszelkich innych obowiązków...

— Uznajmy raczej, że jesteś jak Mojżesz. Jesteś z twoim ludem, w nim, przed nim i za nim. Ty im przypominasz o Bogu, wskazujesz drogę, ale nie jesteś ich ojcem. Ich jedynym ojcem jest Bóg.

Po tych słowach zapadła bardzo długa cisza. Wreszcie przerwał ją Villepreux.

— Szkoda, bardziej podobał mi się obraz Abrahama... — Po czym dodał, znowu stając się Sylwestrem: — Czy zechciałbyś napisać o tym więcej do tekstu orędzia o działalności pasterskiej, jakie przygotowujemy dla biskupów?

Wakacje w górach

Dwie ciocie

Giuseppe spotkał się z Paddym, tak jak było umówione, na dworcu kolejowym w Rzymie. Ostatnie dni we Włoszech spędzili u Lombardich. Paddy opowiadał: „Giuseppe nie miał odwagi wyjaśnić córkom sytuacji, uprzedzić je, że w dni robocze będzie przebywał w Rzymie. Powiedział mi, że nie jest najlepszym ojcem, bo to, czym się pasjonuje, stale oddziela go od nich, ale na szczęście ma dwie siostry”.

Po raz kolejny miały mu pomóc Marina i Anna. Gdy przyjechali do Delhi, Giuseppe powierzył dziewczynki ich „indyjskiej cioci”. Po ostatnim spotkaniu z emirem Bombaju przekazał prowadzenie negocjacji Paddy'emu. Ponieważ spotkania z emirem były tajne, los sprawił, że w dniu, w którym Giuseppe miał lecieć do Rzymu, jego „młodszy brat” był w Bombaju. Tak więc Paddy i Lombardi oszczędzili sobie dwóch trudnych godzin pożegnania na lotnisku, zapewniając się wzajemnie, że zobaczą się, jak tylko to będzie możliwe.

Gdy wrócili do Włoch, zadanie zorganizowania życia rodziny wzięła na siebie „włoska ciocia”. Anna otwarcie zapytała Giuseppe:

– Czy chcesz, żeby dziewczynki zamieszkały u nas? Znajdą wspólny język z Miklosem i naszymi dziećmi... [Od 2020 r. Anna kierowała w Bolonii Fundacją Lombardich, która zarządzała majątkiem całej rodziny. Jej mąż zachował swoje stanowisko w Światowej Organizacji Zdrowia, co zmuszało go do wyjazdów na trzy dni w tygodniu do Genewy, jeśli nie był w jakiejś podróży zagranicznej.]

Dom jest duży, można dla dziewczynek urządzić dwa pokoje i

jakiś pokój dla ciebie...

Giuseppe przyjął tę propozycję, choć sam nie miałby odwagi o to prosić. Uznał jednak, że nie potrzebuje pokoju u siostry.

— Chciałbym, żebyśmy weekendy spędzali we troje w naszym mieszkaniu, jak prawdziwa rodzina. Czy mogłabyś znaleźć mi mieszkanie niedaleko od ciebie, takie, które Chiara by zaaprobowowała.

Wiele lat potem w chwili rzadkiej szczerości Giuseppe miał wyznać Paddy'emu: „Poza Chiara trzy osoby umożliwiły mi wieść życie ojca: oczywiście Monica, a potem moje dwie siostry — Anna i Marina. Bez nich nigdy nie zdołałbym wywiązać się dobrze z tej roli”.

W swoich mieszkaniach

Od kwietnia do czerwca Giuseppe urządzał swoje mieszkania, zwłaszcza to w Rzymie. Szykował się jednocześnie do życia rodzinnego w Bolonii, tak jak je sobie wyobrażał...

Wynajął apartament w historycznym centrum Rzymu. Miało to być mieszkanie dla człowieka, któremu większość czasu upływa na podróżach i pracy w biurze papieskim. Okazało się wyjątkowo mile, znajdowało się na ostatnim piętrze, a z tarasu roztaczał się taki widok na dachy stolicy, że czasami przywodziło mu to na myśl film Trescalliniego.

W tym wielkim słonecznym pomieszczeniu z kolorowymi dywanami i białymi ścianami zamieszkał tylko jeden duży pokój. Przypominał nieco celę klasztorną. Stał tam stół, wygodny fotel i dosunięte do samej ściany proste łóżko z kilkoma poduszkami... Syn Moniki powiesił na ścianach rysunki na szkle, mające prawie dwieście lat, kupione w Bombaju. Nad drzwiami umieścił zdjęcie spowitego mgłą Morza Północnego. Pewnie jedno z tych, które zrobił na wyspie zmarłych. Miało ono być zapewne swoistym memento: „Nie zapominaj, że któregoś dnia umrzesz”. Z Bolonii Giuseppe sprowadził bardzo piękny stół, który służył mu za biurko. Dwa pokoje przewidziane dla dziewczynek na czas ich wizyt, stały puste aż do czasu, kiedy ja się tam wprowadziłem. Giuseppe przestawił

wówczas swoje łóżko do jednego z tych pokoi, a ja zająłem drugi. W ten sposób nie przeszkadzaliśmy sobie.

Wszystkie pamiątki przewiózł do wielkiego apartamentu, który przy pomocy Anny znalazł w Bolonii. To czteropokojowe mieszkanie z pewnością podobałoby się Chiarze.

Giuseppe zaczął pracować w kwietniu. Monsignore Longdesbois robił wrażenie nieco zagubionego, zbyt długo pozbawionego współpracowników, bez koncepcji działania. „Dialog” utknął w martwym punkcie. Biuro stało się cmentarzem iluzji kardynała, niegdyś pełnego zapału i pomysłów.

Najlepsze pomysły dotyczące „dialogu między cywilizacjami” nie wychodziły z tego gabinetu. Po drugiej stronie Atlantyku pastor James poddał się ostatecznie po głosowaniu w sprawie impeachmentu. Ustąpił miejsca wiceprezydentowi. John Lu w żaden sposób nie mógł się podobać reszcie świata. [John Lu, z pochodzenia Kalifornijczyk, najpierw dał się poznać w latach 2005–2010 jako jeden z najbardziej błyskotliwych aktorów kina w hollywoodzkich superprodukcjach (Asian Cop I do TV); w serii tej grał rolę policjanta walczącego z tajemniczą organizacją, której celem było zapanowanie nad młodzieżą na świecie i uczynienie jej niemoralnej poprzez uzależnienie od narkotyków i gier interaktywnych (sic!). Superglina prezentował bezkompromisową postawę moralną, nadzwyczajną sprawność fizyczną, zawziętość bojownika o słuszną sprawę. Jednak niektórzy krytycy zauważali, że w filmach tej serii, której sam był twórcą i producentem, zawsze znajdowały się pewne elementy wspólne „społecznej krytyki”. Obecność Lu w ekipie Jamesa podczas jego kampanii wyborczej przed reelekcją w 2020 r. pozwoliła pastorowi pozyskać elektorat pochodzenia azjatyckiego i młodych fanów Asian Cop. James, kaznodzieja, poczuł się też przez to upoważniony, aby występować w roli szermierza cnoty. Przede wszystkim jednakże dała możliwość przemilczania niedomówień w jego własnym programie, jaki przedstawił swej Partii Republikańskiej. James narzucił kontrkandydata, człowieka nieznanego w świecie polityki, podobnie zresztą jak on sam. Wielokrotnie go upokarzał w obecności wszystkich członków Kongresu... Z pewnością opłacał go w trakcie procesu impeachmentu.] Ale kilka tygodni później podczas kryzysu w Jerozolimie okazało się, że nie brak mu ani rozsądku, ani pragmatyzmu, a przede wszystkim nie bronił „linii Ewangelii”. Wraz z rezygnacją z idei krucjaty amerykańskiej oddaliła się groźba wojny. Idea dialogu między religiami nie wywoływała już takich ostrych reakcji. Nowy sekretarz stanu nie interesował się tą kwestią, ponieważ było wiele znacznie bardziej pilnych spraw... I monsignore Antonio Ruardo zamierzał je wszystkie

załatwić.

Mędrzec nad brzegiem rzeki

Kiedy Giuseppe kończył swoje sprawy w Indiach, Jean-Baptiste Villepreux dokonał jednego z najważniejszych wyborów swojego pontyfikatu: mianował na stanowisko sekretarza stanu człowieka, który miał prowadzić Dom, być szefem orkiestry, interpretatorem jego „kompozycji” duchowych, pasterskich i politycznych. [Sekretarz stanu wspomaga papieża we wszystkich jego działaniach związanych z rządzeniem, ujednocając i kontrolując pracę kongregacji (Kurii), to on odpowiada za politykę zagraniczną, nuncjatury i nominacje biskupów na świecie. Kardynał Utrillo-Ganz, pełniący tę funkcję pod koniec pontyfikatu Piusa XIII i w czasie jego choroby, nie mógł pozostać na tym stanowisku wiosną 2022 r.]

Potrzebny był do tego człowiek kompromisu, mający w małym palcu wszystkie mechanizmy działania Kościoła. Potrzebny był „fidelista”, ale nie „Meksykanin”, który będzie wspierał papieża jedynie dlatego, że jest papieżem, i nie będzie sympatykiem templariuszy. Po dwóch tygodniach wahania wybór padł na biskupa-wikariusza Rzymu. [Biskupem Rzymu jest papież, ale w praktyce diecezją rzymską kieruje biskup włoski, biskup-wikariusz.]

Kardynał Antonio Ruardo nie był człowiekiem Kurii, ale kiedy rezyduje się przez dziesięć lat w pałacu na Lateranie, wie się wszystko o Watykanie. Kiedy Jean-Baptiste radził się w tej sprawie między innymi także Enrica Morra, odrzekł on, że Ruardo został powołany na biskupa-wikariusza jeszcze za pontyfikatu Jana XXIV. Był to człowiek mądry, który wiedział, że gdy czeka się wystarczająco długo na brzegu rzeki, to ujrzy się wreszcie płynące nią ciało wroga. Ruardo potrafił czekać. Milczał, nikomu się nie narażając, żył w zapomnieniu, ale sam niczego nie zapomniał, i choć był na oczach wszystkich, pozostawał w cieniu.

Antonio Ruardo okazał się świetnym wyborem. Ten niezależny człowiek, zbieracz faktów, zdolny sobie przyswoić i następnie wykorzystać setki informacji w trakcie opracowywania planu batalii,

lubiący rządzić i niebojący się podejmowania decyzji, był wyjątkowym sekretarzem stanu przez siedem lat. Jego żywiołem była praca. Ale — zdaniem Paula Assoumou — „miał w sobie tyle charyzmy, ile ostryga, tyle ciepła, ile mokry gał-ganek”.

Mimo to Jean-Baptiste i Antonio zostali przyjaciółmi, nie mówiąc o tym głośno, ponieważ ani jeden, ani drugi, ani Włoch, ani tym bardziej Francuz, nie byli ludźmi wylewnymi.

Były biskup-wikariusz Rzymu darzył sympatią jeszcze jedną osobistość z papieskiego otoczenia. Była nią Jeanne-Marie Carrière, mianowana przez Sylwestra III na teologa Domu. Z Ruardem utworzyli szczególny tandem: ona bardziej intelektualistka, on bardziej urzędnik, ale oboje wierni słudzy, zazdrośnie strzegący przed sobą tajemnic własnego wnętrza. [Teolog Domu Papieskiego jest według prawa kanonicznego podległy sekretarzowi stanu. Stąd wynikały regularne kontakty między kardynałem Ruardem i przyszłą kardynałką Carrière.]

Mały traktat edukacyjny (niezbyt ojcowski)

W lipcu Giuseppe przywitał córki na lotnisku w Genewie.

Udali się do domku w górach, gdzie czekał na nich Cervin. Kto lepiej niż Szwajcar mógłby mu poradzić, co należy robić, by przeciwdziałać ociężałości hierarchii, trudnościom w swobodnym kontynuowaniu badań naukowych, gdy wydawało się, że świat uległ marazmowi? Dziewczynki przyjęły z zachwytem pomysł na wakacje w górach, w przekonaniu, że przynajmniej tam nikt im nie zabierze ojca. Myliły się, i to bardzo.

22 lipca 2022 roku rozlokowali się u Cervina. W zajeździe wypożyczyli rowery i sprzęt do wspinaczki... Jednak czas płynął im głównie na dyskusjach.

Simon Cervin opowiadał: „Zaczynaliśmy od rozmów o Kościele, a kończyliśmy na jego córeczkach... Lubiłem przypierać go do muru. Wierzył święcie w to, że nikt nie jest w stanie kierować świadomością innych. Uważał wprawdzie, iż rolą pasterza jest iść razem ze stadem, ale miał zupełnie inną koncepcję roli ojca... Był przekonany, że córki potrzebują ojca o silnej ręce, zdecydowanego, takiego,

który pomoże im przejść przez trudny wiek. Mówił: »Są takie, jak wszystkie nastolatki, skore do popełniania głupstw. Potrzebują autorytetu osoby dorosłej«. Odparłem na to, że Clara i Cecilia nie są takie jak ich rówieśnice — nie miały matki, ich ojciec jest księdzem, w przeszłości bawiły się na kolanach aktualnego papieża, mówiły na »ty« do kardynałów i laureatów Nagrody Nobla (Pietro i pański sługa). Przypominałem mu, że kształciły się w naukach ścisłych przy ich dziadku, Annie i przy mnie; w literaturze przy babce Monice, w geografii i polityce przy Benellim i Alanie Poopaddym, w muzyce przy Mary i Marinie... Jedynie od swego ojca niewiele mogły się nauczyć... Lombardi wypomniał mi w końcu, że mam już sześćdziesiąt osiem lat, wymyślał mi od staruchów, no i zaczęliśmy się głośno klócić, a ponieważ ściany domku były raczej cienkie, dziewczynki to usłyszały. Porzuciły swoje książki i przybiegły mnie wesprzeć, mówiąc, że ich ojciec chciałby mieć wszystko pod kontrolą. Giuseppe, niezwykle zdenerwowany, powiedział: «Porozmawiamy o tym później !«. Zakończyłem tę dyskusję słowami: »Dzięki Bogu, nie masz co liczyć na to, że zrobisz z nich dzielne, małe Włoszki«,.. Wyszedł w noc, trzaskając drzwiami.

Przez cały tydzień wracaliśmy co wieczór, do tego tematu. Rozmawialiśmy również o jego pracy... Nieźle się ubawiłem, gdy oznajmił, że wszystkie weekendy będzie spędzał u siebie w domu. «Rzeczywiście — powiedziałem — mimo rozpadu waszej hierarchii, dzięki zaplanowanemu co do minuty rozkładowi twoich zajęć zdołasz uratować dialog z islamem... a Clara i Cecilia będą grzecznie czekać do weekendu ze wszystkimi swoimi życiowymi problemami. Lombardi, czy ty wierzysz w to choć przez minutę?«. Nie starczyło nam jednak czasu na uregulowanie spraw papieżstwa i organizację życia rodziny Lombardich, bo on musiał jechać ratować świat i potem dostać za to Nagrodę Nobla, żeby mi dorównać w oczach swoich córek”.

Zburzenie Ściany Płaczu

W sobotę 6 sierpnia wczesnie rano Lombardi zastał Cervina siedzącego na krześle w obszernej kuchni z drewnianą boazerią. Kawa jeszcze parowała, ale jej nie nalał. Odwrócony był plecami, wsłuchany

w nadawane po raz kolejny przez radio świeże wiadomości o ostatnim niesłychanym wydarzeniu.

— Cervin, co się dzieje? — zapytał Giuseppe.

Odwrócił się z wyrazem zdziwienia na twarzy, że nadał istnieje coś takiego jak ta kuchnia, ten człowiek, ta kawa... Wskazał głową na radio. Giuseppe dopiero po kilku zdaniach pojął, o czym mówiono. Dziennikarze nieustannie wracali do nieprawdopodobnych faktów, jeszcze ich nie komentując. Poprzedniego dnia o zachodzie słońca, w porze, kiedy kończyła się wielka modlitwa i zaczynał się sabbat, w Jerozolimie rozległa się gigantyczna eksplozja, wskutek której rozpadł się Mur Zachodni Świątyni, zniszczone zostało Świątynne Wzgórze z meczetami, zapadł się meczet Al-Aksa, a w ścianach meczetu Omara, Kopuły na Skale, pojawiły się pęknięcia i szpary.

Jak na razie wydobyto z gruzów ciała kilkunastu ofiar, ale był to wstępny bilans strat. Ekipy ratunkowe odnalazły potem jeszcze dziesiątki innych ciał zmiażdżonych przez gigantyczne kamienne bloki, leżących pod tonami gruzu rozsianymi po najświętszym na świecie miejscu. Wojna zawisła na włosku. Przekonani byli o tym wszyscy, nawet najmniej zorientowani w polityce... [Ostatecznie doliczono się dziewięćdziesięciu zabitych i dwunastu zaginionych. Bilans był „skromny”, bo jak wykazało śledztwo, zamachowcom chodziło nie tyle o zabicie wielu ludzi, lecz o symbol. Dlatego wybuch nastąpił o tak szczególnej porze.]

Simon ponownie odwrócił się do Giuseppe.

— Był do ciebie telefon około czwartej nad ranem. Dzwonił jakiś młody człowiek, Mafouz. Chciał, żebyś od razu jechał do Rzymu, bo twój papież cię potrzebuje, chce, byś mu poradził, jak rozmawiać z żydami i muzułmanami. Powiedziałem, że biwakujesz wysoko w górach i wrócisz około dziesiątej rano. — Spojrzał na zegarek. — Masz prawie cztery godziny na zjedzenie śniadania z dziewczynkami i wyjaśnienie im, że wasze wspólne wakacje się skończyły, bo świat bezzwłocznie potrzebuje ich ojca...

Mafouz zadzwonił ponownie o dziesiątej rano i potwierdził, że Giuseppe musi wracać do Rzymu. Samolot czeka na niego na

lotnisku we francuskiej bazie wojskowej w Ambérieux. Mafouz powtórzył słowa papieża: „Powiedz Jakubowi, żeby uściskał córki i uprzedził je, że rozstają się na wiele tygodni...”. Potwierdził również, że na razie nie są znane nazwiska, narodowość ani przynależność organizacyjna zamachowców.

Giuseppe zadzwonił do Anny, która spędzała wakacje w willi nad Adriatykiem.

— Musisz zabrać dziewczynki do siebie na kilka tygodni. Przywiezie je Cervin.

— Czy to ma jakiś związek z zamachem?

— Jak najbardziej... Jean-Baptiste zapewne mnie tam wyśle...

5

Monsignore Lombardi

Eskalacja

Radio w samochodzie, wiozącym go na dół do doliny, nadawało wiadomości. Tsahal rozlokowywał swoje oddziały wzdłuż granicznego muru. Policja izraelska zamknęła całe to terytorium. Wzdłuż granicy z państwem palestyńskim w Gazie i na Synaju zgromadzone oddziały wojska. Premier Gitaj oznajmił, że czuje się upoważniony do naruszenia przestrzeni powietrznej Libanu i Gazy.

Pierwsze wyniki śledztwa, a przede wszystkim film wideo z kamer ochrony, wskazywały, że do eksplozji doszło pod esp-lanadą, prawdopodobnie w miejscu dawnych Stajni Salomona. Miał to być atak z głębi Świątynnego Wzgórza. Natychmiast dały się słyszeć głosy oskarżające ortodoksyjnych żydów, którzy prowadzili prace archeologiczne w pobliżu sanktuarium Świętego Świętych i domagali się budowy „trzeciej Świątyni”.

Mahmud Barghouti , [Adoptowany syn palestyńskiego przywódcy, Marwana Barghoutiego, zamordowanego w 2017 r. w więzieniu przez islamskiego współwięźnia. Mahmud, który od pięciu lat był liderem podziemnego Al-Fatah, natychmiast dostrzegł szansę, jaką dał mu ten zamach. Ten ludowy, demokratyczny ruch oporu przetrwał upadek po trzeciej intifadzie w 2017 r. Rozwinął się i przekształcił w strukturę wojskową na terenie Cisjordanii. Wyglądało jednak na to, że sprzeciwiając się terroryzmowi, jest skazany na klęskę, aż do eksplozji z 5 sierpnia. Barghouti czyli wojna słabego z silnym, Vincenzo Minocitta, Turyn 2030.] młody przywódca podziemnej organizacji Al-Fatah, wystąpił z prośbą, aby orszak pogrzebowy z ciałami pomordowanych na esplanadzie mógł przejść

przez tereny wykopów i punkty kontrolne we wschodniej Jerozolimie. Organizacje osadników zgrupowane w ruchu „Ziemia teraz, żeby przyspieszyć nadejście Mesjasza” oświadczyły, że jeśli rząd nie zabroni przejścia orszakowi pogrzebowemu, to oni sami zatrzymają „profanatorów Świątyni”.

Barghouti domagał się międzynarodowego śledztwa w sprawie zamachu. Izraelski minister spraw zagranicznych odparł na to, że inspektorzy z ONZ nie mogą śledztwa przeprowadzić, ponieważ Izrael nie jest członkiem tej organizacji.

Szejk Afaz, lider Hamasu i duchowy przywódca państwa palestyńskiego w Gazie i na Synaju, ogłosił, że gniew Boga spadnie jak grom z jasnego nieba na wyklętych, którzy zniszczyli meczet Al-Aksa. Mamy dowody, że to Żydzi i krzyżowcy Wielkiego Szatana rzucili bomby na Świątynne Wzgórze, trzecie święte miejsce islamu. Wierni ukarzą to bluźnierstwo. Szejk Afaz i rektor uniwersytetu Al-Azhar rzucili każdy oddzielnie klątwę na sprawców tego zbrodniczego czynu. Moshe Gitaj w ironicznym komentarzu nazwał to „lamentem przeciw X”. Izraelski premier powiedział w Knesecie: Izrael znajdzie i ukarze sprawców, którzy dokonali tego zbrodniczego czynu. Naród żydowski, który przez całą swoją historię doznał wielu prześladowań, pozostanie zjednoczony w chwili nowej próby. Stawi opór i nie okazując najmniejszej słabości ani litości, odpowie tym, którzy podnieśli rękę na jego Świątynię. [Palestyna w Gazie bardzo szybko stała się miejscem, gdzie ruch palestyński zrodził to, co najgorsze — islamizację społeczeństwa, negację praw kobiet, ogólną korupcję, nepotyzm, koniec laicyzacji i demokratycznych wyborów. Hamas, historycznie główny ruch islamizmu, w 2020 r. nadal pełnił rolę kierowniczą po anulowaniu wyborów do zgromadzenia ustawodawczego w 2020 r., w których zwycięstwo odniosły ponownie partie islamskie.]

Grupy uzbrojonych osadników usiłowały nie przepuścić palestyńskich orszaków pogrzebowych. Szejk w Ramallah przypominał, że „dla wiernych ważne jest, by złożyć ciała zmarłych w ziemi ich przodków przez zachodem słońca”.

— Czy jedziesz, tatusiu, po to, żeby zobaczyć, dlaczego w Jerozolimie ludzie wypowiadają sobie wojnę — zapytała siedząca na tylnym siedzeniu Cecilia.

— Nie, tatuś jedzie, żeby spróbować im w tym przeszkodzić — odpowiedziała Clara.

- Jak to sobie wyobrażasz, Claro? — odezwał się z uśmiechem Giuseppe. — Jeden człowiek nie jest w stanie zapobiec wojnie.
- Jeśli nie możesz jej zapobiec, to dlaczego nas zostawiasz?

Czerwony telefon

W sekretariacie kongregacji Lombardi znalazł wiadomość od swego przełożonego: „Niech Lombardi stawi się u mnie natychmiast, jak tylko przyjedzie do Rzymu”. Sekretarz biskupa Longdesbois dodał:

- Kiedy ostatni raz rozmawiałem z monsignore, wybierał się do sali konferencyjnej Watykanu na wywiad z ludźmi kardynała Ruarda.

- Sądzi pan, że mogę go niepokoić?
- Takie zostawił polecenie...

Sala konferencyjna w sytuacjach kryzysowych była newralgicznym miejscem. Zanim pojawił się tam Giuseppe, Ruardo zdążył przedstawić linię watykańskiej dyplomacji w zależności od różnych scenariuszy, takich jak ataki ze strony żydów lub muzułmanów, reakcja, wojna, intifada, masakry...

Sekretarz stanu na zakończenie spotkania przypomniał zalecenie, żeby uważać na to, jakich używa się słów, a więc stosować takie wyrażenia jak „zakres decyzji”, „stolica”, wybierać raczej takie słowa jak „lud”, „ziemia”, „sprawiedliwość i prawo” niż „naród”, „terytoria”, „prawodawstwo oenzetowskie”. [Izrael wielokrotnie ogłaszał Jeruzolimę „wieczną i niepodzielną stolicą państwa żydowskiego”, a zwłaszcza w 2017 r., kiedy to wykorzystał likwidację w Nowym Jorku Zgromadzenia Generalnego ONZ i Rady Bezpieczeństwa... Ale w 2022 r. jedynie Stany Zjednoczone i Chiny wraz z kilkoma państwami należącymi do ONZ poparły tę „zdobycz wojenną”, jak to określił Mahmud Barghouti w Trybunale Genewskim podczas przemówienia w 2019 r.]

[Izrael odmówił wstąpienia do Nowych Narodów Zjednoczonych zimą 2017 r. po tym, jak Zgromadzenie Generalne postanowiło „wziąć na siebie całość rezolucji wydanych przez ONZ dotyczących sporu izraelsko-palestyńskiego od 1948 r.”.]

- W najbliższych dniach wszystko, co powiemy, a co nie będzie miało charakteru wyraźnego poparcia dla jednej ze stron, zostanie zinterpretowane jako zajęcie wrogiej pozycji. Liczę na was, że żaden drobiazg nie podważy działań naszej dyplomacji. —

Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej : — Przypominam wam, że kontekst koegzystencji międzyreligijnej jest wyjątkowo kruchy i zależy nie tylko od tego, co się dzieje w Ziemi Świętej. Jeśli popełnimy błędy, będziemy musieli zwołać ambasadorów, a niektóre nasze gminy mogą nawet tego nie przetrwać... Zalecam, abyście pracowali z jeszcze większą dokładnością, nie szczędząc czasu ani wysiłku. Przede wszystkim jednak nie podejmujcie żadnej inicjatywy bez porozumienia z moim sekretariatem. — Zwrócił się do Longdesbois i Lombardiego, którzy właśnie weszli: — Monsignore Longdesbois, ojcie Lombardi... Ojciec Święty czeka na nas...

Ruardo nie dodał już nic więcej i bardziej chłodny, sztywniejszy niż zwykle wyszedł z sali sekretnymi drzwiami... Wszyscy pozostali odetchnęli głęboko. Spoglądali po sobie, przestraszeni słowami tego człowieka, który ze spokojem oznajmił, że lada moment może wybuchnąć wojna, który żądał od nich, by uważali na swoje słowa, aby nie spowodować pożaru wielu kościołów i męczeństwa chrześcijan...

Potem we wszystkich kieszeniach rozległy się telefony, głowy pochylili się nad ekranami laptopów, podjęto przerwane rozmowy...

— Gdzie byłeś w tym czasie?

— W Szwajcarii, z córkami... Ale nie zostawiłem ich w górskiej szczelinie z prowiantem na trzy dni, żeby jak najszybciej przybyć tutaj helikopterem, Jean-Baptiste...

— Wybacz mi, Jakubie.

Papież Sylwester, witając go w drzwiach, ledwie musnął łokieć gościa, po czym wprowadził go do dużego salonu.

Wokół dużego owalnego stołu siedziało kilku mężczyzn w duchownych szatach, dwóch włoskich generałów i jeden francuski, kilku dyplomatów z różnych krajów, wysłanych przez swoje rządy w roli doradców Ojca Świętego. Ich sekretarze pozostawali w półcieniu... Giuseppe usiadł na przedostatnim wolnym miejscu przy stole.

Papież wziął do ręki dwa dokumenty leżące na podkładce do papieru, przeczytał je pobieżnie i podniósł wzrok.

— Oto ojciec Lombardi, na którego czekaliśmy. — Wszyscy po kolei skinęli głowami, nie zmieniając poważnego wyrazu twarzy.

— Jakubie, jesteś tutaj jako specjalista od negocjacji ze światem muzułmańskim... a jednocześnie — papież zrobił pauzę, po czym kontynuował, wymawiając dobitnie każde słowo — moim zaufanym człowiekiem w tej kryzysowej sytuacji. Od tego momentu stajesz się koordynatorem naszych działań. — Sylwester odwrócił się do Mafouza, wziął od niego dokument z herbami Watykanu i złożywszy na nim swój podpis, mówił dalej : — Otrzymujesz godność honorowego prałata Ojca Świętego. Tak więc, panowie, proszę, abyscie konsultowali z monsignore Lombardim wszystkie informacje, jakie kierować będziecie do monsignore sekretarza stanu lub do mnie samego...

Mafouz wstał i położył przed Lombardim dokument nadający mu nowe uprawnienia oraz „czerwony telefon”. Jakub otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Izaak spoglądał na niego chłodnym wzrokiem, zakazującym jakiegokolwiek dyskusji. Lombardi odkaslnęła i przemówił do biskupów, kardynałów i generałów:

— Od dziś będę przeglądał sprawozdania panów, ale teraz chciałbym, abyscie wyjaśnili mi pokrótce, na czym polegają obowiązki każdego z was i co zamierzacie robić w najbliższych dwunastu godzinach. [W rzeczywistości był to czarny telefon komórkowy GSM, zaopatrzony w najlepsze systemy szyfrowania. Użytkownik takiego telefonu otrzymywał za każdym razem, gdy powstała sytuacja kryzysowa, nowy numer, który znały jedynie osoby na najwyższych stanowiskach, aby mogły stale komunikować się z koordynatorem. Małeńkie krzemowe płytki z mikroprocesorami „czerwonych telefonów” po każdym kryzysie były gromadzone w archiwum sekretarza stanu — w ich pamięci zachowywały się wszystkie rozmowy oraz korespondencja elektroniczna, z wyjątkiem zarejestrowanych w „kodie zero” przez posiadacza aparatu. W drodze wyjątku miałem możliwość wglądu do zawartości „czerwonych telefonów” używanych przez Giuseppe Lombardiego, dzięki osobistemu zezwoleniu jego następcy, Tomasza II.]

Żyd u boku papieża

Godzinę potem Giuseppe został sam z Sylwestrem. Ruardo rozmawiał z kimś przez telefon. Mafouz robił notatki, żeby o dzisiejszej rozmowie poinformować tych, którzy powinni być powiadomieni.

— Dlaczego właśnie ja, Jean-Baptiste? — zapytał Lombardi.
— Ponieważ potrzebuję kogoś, kto potrafi przewidzieć reakcje muzułmanów i jest dostatecznie biegły w dyplomacji, żeby nie zrobić fałszywego kroku, ale jednocześnie, zapominając trochę o protokole, będzie umiał się zorientować, czy powinniśmy się tam bardziej zaangażować... — Sylwester przerwał na moment. — Ponieważ potrzebuję kogoś, kto nie będzie bał się zaryzykować życia, gdybyśmy chcieli go tam posłać...

— Przeniesiesz moje doświadczenia w Indiach — uśmiechnął się Jakub.

— Potrzebny mi człowiek, do którego będę miał absolutne zaufanie, nawet jeśli dojdzie do zerwania kontaktu między nami. Muszę mieć pewność, że zrobi wszystko, co konieczne. To, co tam się dzieje, ma kluczowe znaczenie dla światowego pokoju. Jednak jest to również problem religijny... Tu chodzi o Jerozolimę, Jakubie.

Lombardi skinął głową.

— Mówiłeś o muzułmanach... A kogo masz do rozmów z żydami?

— Jego Świątobliwość uważa, że ja mogę ocenić z bliska, co będzie najlepsze dla naszych relacji z Izraelem — odezwał się Ruardo, który do nich dołączył.

Lombardi patrzył zaskoczony na Ruarda. Sylwester uśmiechnął się i rzekł:

— Jakub najwyraźniej nie wie, że ksiądz jest synem narodu żydowskiego.

Ruardo mówił dalej bez uśmiechu:

— Jestem wierny bardzo starej tradycji rodzinnej. Odkąd sześćset lat temu moi hiszpańscy przodkowie znaleźli schronienie w państwie papieskim, zawsze ktoś spośród nas służy bezpośrednio papieżowi.

Niedziela, 7 sierpnia, godzina 11 rano. Kiedy Ojciec Święty Sylwester III odprawiał uroczystą mszę w intencji pokoju w Bazylice Świętego Piotra, Lombardi otrzymał depezę, z której dowiedział się, że grupa żydowskich osadników zamierza opuścić teren Ściany Płacu. Ubrani na czarno mężczyźni, uzbrojeni w automatyczne karabiny, ustawili się w orszaku pogrzebowym, by odprowadzić

zwłoki rabina Zalmana. Oznajmili, że ciało rabina spocznie wieczorem w ziemi Eretz Israel u boku patriarchów, w Hebronie, obok Abrahama i Racheli. [Rabin Zalman był politycznym i religijnym przywódcą osady Baruch Goldstein, jednej z najbardziej radykalnych enklaw, a także twórcą ruchu ortodoksyjnego o ekstremalnie prawicowym charakterze, znanym pod nazwą „Ziemia teraz, żeby przyspieszyć nadejście Mesjasza”. Był jedyną „ważną” ofiarą zamachu. Niektórzy z jego zwolenników twierdzili (tak uważają zresztą do dziś), że wybuch zaplanowano w takim miejscu i o takiej godzinie, żeby zabić właśnie jego...

Godzina 15.10 — w kierunku orszaku pada kilka serii z broni automatycznej.

Natychmiast wybucha gęsta kanonada. Otoczeni przez rozścieczony tłum osadnicy, będąc w znacznej mniejszości, zmuszeni są schronić się szybko w grobowcu patriarchów.

Godzina 16.00 — nad grobowcem przelatują samoloty zwiadowcze Tsahału. Po niecałej półgodzinie dwa helikoptery obrzucają Świątynne Wzgórze granatami z gazem łzawiącym... Kiedy jednak helikoptery szykują się do lądowania, pojawiają się Palestyńczycy gotowi rzucić się pod ich płozy.

Godzina 19.00 — wreszcie przybywa oddział armii izraelskiej, by ratować pozostałych przy życiu pięćdziesięciu osadników. Pułkownik Joshua, dowódca oddziału, który kieruje akcją ewakuacyjną, wydaje rozkaz strzelania pociskami kauczukowymi, by rozproszyć tłum.

Godzina 19.12 — ludzie z Czerwonego Krzyża zabierają dziewięć ciał leżących wokół grobowca, dziewięciu Palestyńczyków, zabitych pociskami, jakich używają komandosi pułkownika Joshua. Należy do tego doliczyć ośmiu wyrostków rzucających kamieniami, których zabili osadnicy na początku starcia.

Jest ponad stu rannych.

Żaden z żołnierzy nie został trafiony, oprócz lekko zranionych kamieniami. Osadnicy z kolonii Baruch Goldstein stracili dwudziestu trzech ludzi. Rodziny nigdy nie odnalazły zwłok dziesięciu z nich, rozszarpanych przez tłum...

Po otrzymaniu tego raportu Giuseppe, który zorganizował swoją kwaterę główną w gabinecie przylegającym do sali konferencyjnej, powiedział cicho do Mafouza:

— Jutro Tsahal wejdzie do Hebronu, wówczas podziemna Al-Fatah ogłosi intifadę. Ani jedni, ani drudzy nie mają wyboru... —

Po czym dodał ponurym głosem: — Będą tysiące zabitych. Maurice, widzę tylko jedno wyjście. Nieważne, kto podłożył bomby... Teraz jest już dość ofiar, żeby domagając się zemsty, zmarnować życie całego pokolenia...

- Co monsignore zamierza zrobić? Jechać tam?
- Teraz jestem bardziej przydatny tutaj.

Okazja...

Okazja, choć nie on był jej autorem, nadarzyła się tydzień później. Lombardi, zdenerwowany do granic wytrzymałości, widział, że tam, na miejscu, sytuacja stale się pogarsza, że coraz bardziej realna staje się nieubłagana wizja wojny domowej, samonapędzająca się machina zemsty i odwetu. [Po pierwszych wojnach na kamienie w 1987 i w 2000 r. w Cisjordanii i Gazie, i po trzeciej, w 2017 tylko w Cisjordanii, po zamordowaniu Marwana Bargouthiego.]

Nie zdołałem przedstawić szczegółowo, jak wyglądała czwarta intifada — tysiące barykad i ataków na okupanta, apel podziemnej Al-Fatah, działania oddziału Barghoutiego w Cisjordanii; dziesiątki wybuchów samobójczych w Tel Awiwie, Ej łacie, Jaffie, w restauracjach, w autobusach „żydowskich krzyżowców, wrogów islamu”; stan wojny i ruchy wojsk izraelskich, głowice NBC w stanie gotowości; [To przy tej okazji Najwyższa Rada Rewolucyjna Islamu (która de facto rządziła federacją iracko-irańską) ogłosiła, że jest w posiadaniu broni, która „sprawi, że bezbożni Żydzi zginą pod jej ogniem”, a Izrael zniknie z powierzchni ziemi — chodziło o broń, która miała ulec całkowitemu zniszczeniu podczas „raketowego kryzysu” w 2029 r. Wtedy Tel Awiw po raz pierwszy pokazał zdjęcia silosów strategicznych, gdzie setki rakiet o głowicach NBC [termin powstały w 1987 r., oznacza broń nuklearno-biologiczno-chemiczną] były skierowane na Irak, Iran, Półwysep Arabski... i Turcję. Oburzona Unia Europejska odwołała swoich ambasadorów. Natomiast amerykański prezydent Lu potwierdził swoje poparcie dla Izraela, tłumacząc, że izraelska demonstracja siły była tylko odpowiedzią na atak szytów...] zmasowane ataki kolumn pancernych, nieoszczędzające miejsc historycznych, jak Betlejem, Jerycho, Nablus i Hebron; akcje „oczyszczające” dokonywane przez setki fedainów z osady Igal Amir; zamknięte bramy krwawiącej Jerozolimy Wschodniej... Większość moich czytelników dorastała w tamtym czasie lub była już dorosła i dobrze to pamięta. Wszystkie te wydarzenia opisane

zostały w doskonałych pracach. Gdybym chciał zrelacjonować wszystko, co widziałem, słyszałem, wszystko, o czym mówiono mi podczas tego strasznego tygodnia, musiałbym poświęcić na to całą książkę... [O mechanizmie międzynarodowego kryzysu czytaj w Od Zachodniego Muru do stołu rokowań. Końcowy kryzys w Izraelu, książce napisanej przez zastępcę szefa Mossadu, Sammy'ego Benhyamina. Warto również zajrzeć do autobiografii Mahmuda Barghoutiego Pamięć kamieni, Plon, Paryż 2024. O represjach izraelskich traktuje zwłaszcza książka Czwarta intifada. Śledztwo w sprawie represji, Organizacja Obrony Praw Człowieka, którą kierują Minecitta i Pershing, 2025.]

Większość ambasad państw zachodnich zamknęła swoje konsulaty w Jerozolimie, w części zachodniej i wschodniej. Państwa, które miały tam swoje przedstawicielstwa, odwołały cały personel, inne odesłały dyplomatów do Tel Awiwu, który wojna oszczędziła, nie licząc nieudanego zamachu z 8 sierpnia.

Przebywający w Rzymie Lombardi sugerował, żeby wzmocnić nuncjaturę w Jerozolimie.

— Trzeba za wszelką cenę — mówił — nie dopuścić do tego, żeby to miasto stało się zamkniętą enklawą, żeby wojska izraelskie znalazły się poza wszelką kontrolą.

— Czy wyjaśni to ksiądz naszemu personelowi, który znajduje się tam, na miejscu zdarzeń? — zapytał Ruardo.

— Mogę ich zastąpić, Ekscelencjo.

— Myślisz, że tam bardziej się przydasz, Jakubie? Jakub spojrzął na Sylwestra III.

— Nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby nadeszła już pora negocjacji, choćby i tajnych.

W niedzielę 14 sierpnia, nazajutrz po tej rozmowie, Giuseppe Lombardi wyjechał do Tel Awiwu...

Tej niedzieli, o świcie, broniły się jeszcze niedobitki palestyńskich fedainów. Oddziały izraelskie, wsparte przez osadników, oczyściły za cenę poważnych strat centra wszystkich dużych miast Cisjordanii. Małe grupy oporu działały tylko w górach Samarii oraz we wschodniej części Jerozolimy i wąskich uliczkach śródmieścia Betlejem.

Podziemna Al-Fatah Barghoutiego postawiła wszystko na jedną kartę. W Betlejem, w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, wezwała

rodziny walczących i mieszkańców dwóch „wolnych dzielnic”, aby schronili się w bazylice Grobu Świętego w Jerozolimie i bazylice Narodzenia Pańskiego w Betlejem, żeby uniknąć „represji na ludności cywilnej”. Barghouti za pośrednictwem jednej z podziemnych stacji telewizyjnych wygłosił przemówienie „do wiernych i do kościołów chrześcijańskich”. „Zwracam się do tych, którzy kierują kościołami w Rzymie, Moskwie, Atenach i Konstantynopolu, błagam was, abyście zapewnili bezpieczeństwo niewinnym cywilom... Proszę was, abyście podjęli z zaborcami rokowania w sprawie rozzejmu w imię humanitaryzmu i starożytnej tradycji Boskiego przerywania walk w czasie świąt religijnych. — Barghouti wyjął obraz z Najświętszą Dziewicą, reprodukcję starożytnej ikony z klasztoru Świętej Katarzyny. — Miriam była córką Izraela, czci ją wasza Ewangelia i Koran muzułmanów jako matkę proroka Jezusa. [Liczne były hipotezy dotyczące daty tej operacji — czy Barghouti pomylił się co do terminu święta Wniebowzięcia Matki Boskiej, czy sądził, że niedziela poprzedzająca to święto była jego przedłużeniem? Rzeczywistość okazała się o wiele prostsza, co palestyński przywódca ujawnił potem w swej biografii — jego ludziom pozostało amunicji tylko na pięć godzin...] Urodziła syna w Betlejem, oplakiwała jego śmierć w Jerozolimie, tam gdzie schronili się nasi ludzie. Podejmijcie rozmowy o rozzejmie w ten świąteczny dzień, abyśmy mogli odejść z godnością do naszych domów... Nie pozostało nam już nic innego, tylko liczyć na was”. Przywódca podziemnej Al-Fatah nakazał fedainom, żeby trzymali się z dala od świętych miejsc chrześcijan... [O szczerości i realności tego rozkazu można przeczytać w Barghouti, czyli wojna słabego z silnym.]

Giuseppe Lombardi, który od tygodnia niecierpliwie oczekiwał okazji do działania, zrozumiał, że nadeszła ta chwila, że tym razem, czy tego chcą, czy nie, Kościół katolicki i inne Kościoły chrześcijańskie zostały zmuszone do negocjacji.

Uzbrojony tłumacz

Jak tylko Lombardi dowiedział się o treści apelu Barghoutiego, zadzwonił do swego głównego informatora w Jerozolimie, dominikanina, Vincenta Marguerite'a, dyrektora Francuskiej Szkoły Biblijnej i Archeologicznej.

Specjalny wysłannik papieża zażądał, by na lotnisko w Tel Awiwie przyjechał po niego szofer i jeśli to możliwe, żeby człowiek ten mógł mu towarzyszyć przez najbliższe tygodnie jako przewodnik i tłumacz. Potrzebował kogoś mówiącego po arabsku i hebrajsku, kto nie boi się strzelaniny, kto potrafiłby przełożyć bezstronnie słowa każdego z ewentualnych rozmówców.

— Chyba mam kogoś takiego pod ręką... Jednego z naszych studentów dominikanów. Brat Pietro De Paoli jest twoim rodakiem, monsignore Lombardi, ale pochodzi z Neapolu...

— Doskonale. Ma samochód?

— Dam mu do dyspozycji opancerzony samochód naszej szkoły.

— Czy ma rejestrację dyplomatyczną? Wolałbym zachować dyskrecję...

— To jedyny wóz, który może teraz jeździć po Jerozolimie. Oczywiście nie bez pewnego ryzyka.

— W porządku... Czy ten student ma jakąś broń?

6

I teraz ja wchodzę na scenę

Przyboczny

I teraz ja wchodzę na scenę... To tu, w środku tej książki, zaczynają się moje prawdziwe wspomnienia. Do tej chwili Lombardi był czymś wspomnieniem, nazwiskiem na stronach, twarzą na zdjęciach, ważną osobistością scen, o których opowiadali mi jego przyjaciele, krewni... W następnych rozdziałach będzie już człowiekiem, któremu towarzyszyłem, który nazywał mnie bratem, a ja mówiłem do niego Giuseppe. To, co zamierzam opisać, sam widziałem, słyszałem, odczułem, przecierpiałem, przetrwałem razem z nim i z nim dzieliłem nadzieję. Chciałbym, aby ta książka pozwoliła wszystkim pojąć, jakim szczęściem było dla mnie poznanie go, ile radości, a czasami niepokoju przeżyłem u jego boku przez piętnaście lat.

Kiedy ujrzałem po raz pierwszy Giuseppe Lombardiego, miał on już za sobą większą część życia. Czterdzieści pierwszych lat jego życia należy uznać za wyjątkowe, przede wszystkim dlatego, że przebywał wśród niezwykłych ludzi. Ojciec — laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny; przyjaciel — noblista, fizyk; dwóch innych przyjaciół to najbardziej wpływowi kardynałowie, jeszcze inny został papieżem, kilku jego towarzyszy tworzyło historię swoich krajów lub swoich zakonów w Indiach, we Francji, we Włoszech. To szczególna lista. Ilu ludzi mogło mieć od dzieciństwa do wieku dojrzałego takich przyjaciół? Oczywiście w 2022 roku wyglądało to już nieco inaczej. Poza tymi znanymi światu osobistościami należy wspomnieć także o Monice i jej niezwykłym intelekcie, o subtelnej Annie, o wspaniałomyślnej Marinie, o szlachetnej Mary

i jej matczynym stosunku do Giuseppe, o mądrym Alanie, o odważnym, pełnym poczucia realizmu nuncjuszu. Nie wolno też zapominać o lojalności wrogów, takich jak emir Bombaju...

A najważniejszą osobą była Chiara Sassetta, świetlista, pełna cesaru, skora do śmiechu, ale z poważnym stosunkiem do życia, słodka, a zarazem pełna energii...

Giuseppe Lombardi nigdy nie zachęcał mnie do szperania w jego przeszłości. Żył intensywnie teraźniejszością, a nie wspomnieniami. Jednak nigdy nie zabraniał mi tego. Będąc u jego boku, zacząłem notować, co widziałem, co słyszałem, a on niekiedy śmiał się, nazywając mnie swoim biografem. Nigdy nie domagał się, abym pokazał mu notatki, ani nie namawiał do tego, bym dalej pisał, choć czułbym się tym zaszczycony.

Nie prosił mnie, bym badał jego przeszłość, jednak to robiłem. Jestem przekonany, że żaden człowiek nie rodzi się nadzwyczajnym. Tworzy go jego przeszłość, okoliczności, niepowodzenia i jego wrogowie, jak również jego bliscy, bracia, towarzysze.

Pisząc pierwszą część tej książki, czułem się jak historyk, który pod warstwami kurzu, w ciszy, odkrywa tajemnice jakiegoś człowieka...

Teraz będę na nowo przeżywał piętnaście wyjątkowych lat spędzonych u boku człowieka, który dał mi szansę towarzyszenia mu na drugim etapie jego życia...

W jego imieniu

Łącząc w Jerozolimie, Lombardi otworzył nowy rozdział swej biografii. Odtąd to on będzie odciskał piętno na losie tych, którzy znajdą się na jego drodze, to on będzie tworzył historię.

Chyba nie mylę się, twierdząc, że przybycie do tego miasta było zwrotnym momentem w jego życiu. Nie mogę też odmówić sobie satysfakcji, że zbiegło się to z chwilą, która oddziela to, co usłyszałem od innych, od tego, co sam pamiętam. Faktem jest, że moment naszego spotkania dał początek jego nowych przyjaźni — ja byłem pierwszy w długiej serii... Do tej chwili ludzie bliscy Lombardiemu, z wyjątkiem Paddy'ego, byli bardziej od niego doświadczeni — Vilpreux, Assoumou, Morro, Benelli, Cervin, Pietro, Monica...

W Jerozolimie zaczął nawiązywać nowe znajomości, występując w roli przewodnika, wskazując kierunek działania... W relacjach między nami nigdy nie był rabbim, guru czy „ojcem”. Sam także nie szukał dla siebie wzorów.

Do grona jego najbliższych będą należeć: Leah, niewiele młodszą od niego, z wielkim bagażem doświadczeń, Bartolomeo, pastor Froeliger, Liselotte, Cyril Dereim, Mafouz i wielu innych.

Współpracował z szerokim gronem ludzi, podejmując wspólne przedsięwzięcia. W tym czasie wiedział już dobrze, kim jest, kim chce być i czego nie zdoła poznać.

Stygmaty

Owego sierpniowego dnia w 2022 roku spodziewałem się ujrzeć duchownego dygnitarza, sztywnego i autorytarnego księdza.

— Czy to ty, *fratello*, czekasz na wysłannika z Rzymu?

Człowiek, który przyleciał z Tel Awiwu obarczony ważną misją papieską, całkowicie mnie zaskoczył. Był wysoki, przystojny, elegancki. Robił trochę egzotyczne wrażenie nawet w Jerozolimie, która widziała tylu cudzoziemców zapełniających wąskie uliczki tego potrójnie świętego miasta. Zawsze ubierał się według stylu indyjskiego, nie chciał nosić europejskich koszul ani krawatów... Od rzymskiej koloratki wolał kołnierzyk w stylu Nehru. Choć był koniec lata i panowała duchota, słońce, chaos i kurz nie robiły na nim wrażenia.

Dobrowolne skazanie się na wygnanie, doświadczenia związane z nagłym wdowieństwem, a potem dwumiesięczne uwięzienie u bojowników Mar Thoma ostatecznie ukształtowały go tak, iż był chudy jak asceta. Jego ciało składało się jedynie z mięśni i kości.

Rysy twarzy zrobiły się bardziej wyraziste. Pojawiły się pierwsze zmarszczki, nadal gęste włosy poprzetykane były srebrnymi pasmami. Miał ramiona i barki mężczyzny sprawnego fizycznie. Mógł polegać na swym ciele zarówno wtedy, gdy chciał kogoś oczarować, jak i wtedy, gdy przystępował do działania. Dzięki ćwiczeniom fizycznym i medytacji zachowywał żywotność, energię, smak życia.

Najbardziej istotne było jednak to, że otaczała go jakaś niezwykła aura. Każdy, do kogo się zwracał, czuł jego obecność fizyczną

i duchową. Wydawało się, że od dawna zna swego rozmówcę, że go kocha. Psychologowie powiedzieliby, że miał zdolność empatii. Przeciwnicy orzekliby, że to manipulacja. On jednakże miał w sobie od małego dziecka umiejętność pochylania się nad drugim człowiekiem i wcale nie musiał się tego uczyć.

Lombardi miał jeszcze jedną zaskakującą cechę, tak rzadką u ludzi Zachodu, zwłaszcza tym bardziej u duchownych — potrzebę kontaktu z ludźmi. Uścisk jego ręki był silny, serdeczny, zdecydowany; witając się z kimś, nieraz otwierał szeroko ramiona, a w trakcie rozmowy kładł dłoń na rękę rozmówcy. Pod tym względem był bardziej neapolitańczykiem niż bolończykiem...

Całował zarówno mężczyzn, jak i kobiety, a one zawsze miały uczucie, że je lubi. Rzeczywiście zwracał uwagę na kobiety, w odróżnieniu od większości księży, którzy odwracali od nich wzrok.

Nadal nosił obrączkę. Po porwaniu przez bojowników Mar Thoma dołączył ją do pierścionka Chiary i nosił jako wisiorek. O swoim małżeństwie zawsze mówił w czasie teraźniejszym. Nie zrobił z Chiary świętej, ale stale była obecna w jego myślach, uczestniczyła w jego trudnych wyborach, towarzyszyła mu w chwilach odpoczynku, we wszystkich radościach. [Zapytany o swoje upodobania, a szczególnie umiłowanie elegancji, odpowiadał: „To Chiara sprawia, że czuję pierwsze tchnienie wiosny, smak chrupiącej sałaty, pragnę mieć w domu kwiaty i wybieram taki a nie inny kolor ubrania, fason butów”.]

Kiedy dziesięć lat po śmierci żony patrzył w przeszłość, wiedział, że on także umarł tamtego marca 2012 roku, że ucieczka i pobyt na wyspie zmarłych były długą nocą w grobie. Potem powoli wracał do życia. Odradzały się w nim emocje. Miał dziwne uczucie, jakiego doznają cudem uratowani, że z tej pielgrzymki do piekieł wyszedł zdolny do jeszcze intensywniejszego życia. To doświadczenie nie oderwało go od świata, przeciwnie, bardziej koncentrował się na każdym geście, każdej minucie — żył niezwykle silnie teraźniejszością, każdą chwilą.

Przyjaciół, którzy nie widzieli go od siedmiu lat spędzonych w Indiach, uderzyła jego dojrzałość. Wszyscy — Morro, Jean-Baptiste, Paul, Simon — dostrzegli bijący z niego szczególnie blask. Dla nas, którzy dopiero wtedy go poznaliśmy, ta aura była istotą jego osobowości.

Dawni przyjaciele poznali także siłę jego wiary, ale wiary bez iluzji. Ten człowiek doświadczył ogromnego nieszczęścia, poznał słabość charakteru ludzi, ich małostkowość, strach lub radość. Wierzył jednak, że Bóg kocha ludzi, że powołał ich do wielkości i godności, nawet do heroizmu. Pragnął okazywać im czułość Boga. Niekiedy, mając do czynienia ze skąpcem, zdrajcą, łajdakiem, powtarzał szeptem niczym modlitwę, jakby sam siebie przekonywał: „Umarłeś przecież z miłości do nas, do niego i do mnie”.

Fratello

Oczywiście nie stało się to od razu. Wszyscy jednak mówili mi, że od pierwszej chwili wiedzieli, iż znaleźli niezwykłego przyjaciela, brata, którego zaufanie jest darem, inspiracją.

Dlaczego wybrał właśnie mnie, żebym był jego cieniem, jego „młodszym bratem”? Słyszałem, jak opisał potrzebnego mu człowieka dyrektorowi Marguerite, wiedziałem więc, w czym mogłem być dla niego użyteczny. Mógł na mnie polegać, choć nieraz bałem się w czasie trudnych pierwszych tygodni, wtedy, gdy prowadziłem samochód pod ostrzałem, podczas rozmów przy zaporach z żołnierzami trzymającymi palce na spuście, gotowymi w każdej sekundzie wystrzelić. W tym czasie ani razu w niego nie zwątpiłem, nie przerywałem przedłużających się momentów ciszy, nie próbowałem łagodzić jego wybuchów udanego lub prawdziwego gniewu. Byłem metr od niego, kiedy rozległy się trzy strzały i jedna z kul omal go nie trafiła.

Podszedł do samochodu, rzucił skórzaną torbę na tylne siedzenie i usiadł obok mnie.

- Jest bardzo źle, *fratello*?
- Proszę nazywać mnie Pietro, monsignore...
- Ty zaś możesz do mnie mówić Giuseppe, *fratello*...

[W Kościele katolickim nazywa się „bratem” tych duchownych, którzy jeszcze nie otrzymali święceń kapłańskich. Giuseppe, mimo moich protestów, zawsze tak się do mnie zwracał. Niewątpliwie odgrywało tu rolę jego upodobanie do nadawania przydomków, którymi wyróżniał wszystkich z jego najbliższego otoczenia. I pewnie dlatego pozostałem na zawsze jego „młodszym bratem”.]

— Jest bardzo źle... Ludzie zachowują się tutaj niczym zwierzęta...

— No cóż, postaramy się zrobić z nich na powrót istoty ludzkie.

— Jeśli Bóg tego chce...

— Bóg tego chce. Musimy tylko być dostatecznie zręczni i wytrwali, żeby zatriumfowała jego wola... Naprawdę możesz mówić mi po imieniu, braciszku. Mamy przed sobą do załatwienia delikatne sprawy i będzie mi trudno ufać komuś, kto zwraca się do mnie tak oficjalnie.

Tak oto poznałem Giuseppe Lombardiego, w niedzielę 14 sierpnia 2022 roku, w przeddzień święta Wniebowzięcia Matki Boskiej, na autostradzie z Tel Awiwu do Jerozolimy.

W przeddzień bitwy

Pozwolenie

- Jaka jest sytuacja?
- Chyba nie może już być gorzej?

Dyrektor, brat Vincent Marguerite, pchnął leżący na stole spory plik papierów adresowanych do Giuseppe, które nadeszły po jego wyjeździe z Rzymu. Były to depesze nie aż tak pilne, żeby przekazywać je za pośrednictwem „czerwonego telefonu”.

— Dobrze, przejrzę je wieczorem. Czy szkoła dysponuje całkiem bezpieczną linią telefoniczną?

— Czy jest całkiem bezpieczna, tego nie wiem. Jest jeszcze jedna we francuskim konsulacie, do której mamy dostęp w nagłych wypadkach.

— Proszę sprawdzić, czy będziemy mogli z niej korzystać w najbliższym czasie. W razie potrzeby sekretarz stanu zadzwoni na Quai d'Orsay. Chciałbym również utworzyć w jakimś dużym pokoju swoją kwaterę główną z dostępem do Internetu.

— Cała szkoła wyposażona jest w Internet. Poproszę brata odpowiedzialnego za te sprawy, aby udostępnił księdzu...

— Doskonale... Jeszcze jedno: jutro na lotnisko w Tel Awiwie przylatuje kardynał Longdesbois. Spotka go tam nuncjusz i razem przyjadą tutaj. Czy można ulokować ich w szkole?

— W normalnej sytuacji mogliby zamieszkać w siedzibie patriarchy... Mamy cztery wolne pokoje w skrzydle dla studentów. Trzej Amerykanie zapisani do szkoły wyjechali przedwczoraj, jak zresztą wszyscy obywatele Stanów Zjednoczonych. — Dyrektor

przerwał na chwilę, po czym zapytał: — Z jakiego powodu przyjeżdżają kardynałowie Longdesbois i nuncjusz?

— Powinny być jeszcze jakieś dwie, trzy osoby ważniejsze ode mnie, żeby w razie potrzeby wywrzeć większy nacisk...

— Czy ksiądz ma na myśli żywe tarcze?

— Nie wykluczam tego. A tak à propos, jaką cenę gotowe byłyby zapłacić władze izraelskie za pańską głowę?

Dyrektor wybuchnął śmiechem.

— Monsignore jest bardzo bezpośredni... Myślę, że będzie nam się dobrze współpracowało... Ile jest warta moja głowa? Mój Boże, sądzę, że nie więcej niż moja sutanna. Mamy tutaj długą tradycję dialogu z Palestyńczykami... Jednak w oczach władz francuskich nasza szkoła ma statut placówki konsularnej, przypuszczam więc, że jeśli przydarzyłyby się mi jakieś nieszczęście, Quai d'Orsay zareagowałby tak, jakby chodziło o dyplomatę.

— Rozumiem... Wróćmy do zasadniczej kwestii, panie dyrektorze.

— Proszę mi mówić Vincent.

— Vincent... Chciałbym spróbować umożliwić ludziom, którzy zamknęli się w naszych kościołach, powrót do domów po wynegocjowaniu wycofania się Izraelczyków ze świętej dzielnicy. Oczywiście wiąże się to zawsze z jakimś ryzykiem. Muszę wiedzieć, co pan o tym myśli. Czy jest możliwe, że władze izraelskie lub palestyńscy bojownicy zajmą szkołę na czas rokowań?

— Monsignore chciałby wiedzieć, czy szkoła jest miejscem bezpiecznym? Odpowiem tak: w 1967 roku, w czasie inwazji na wschodnią Jerozolimę, oddziały Tsahalu weszły do szkoły i przez wiele godzin trzymały ojców dominikanów na muszce. Musieliśmy zgodzić się na przeszukanie budynków. Izraelici wzięli dwóch braci jako zakładników na czas trwania tej operacji...

— Rozumiem.

— Natomiast w 2017 roku, na początku trzeciej intifady, wojsko kontrolowało tylko wejścia i wyjścia przez dziesięć dni...

— Był pan wtedy tutaj?

— Tak, już jako dyrektor.

Zapadło długie milczenie. Giuseppe rozważał w myślach, co usłyszał.

— Jeśli więc chodzi o to — podjął znowu Marguerite — jakie jest ryzyko, że szkoła zostanie zajęta przez wojsko lub zaatakowana

przez islamistów, odpowiem tak: my, dominikanie, wiele razy zastanawialiśmy się nad tym, poświęciliśmy naszych braci zakonników z Tiberrine i naszych braci ojców z Amboina... Zostaniemy tu. Jesteśmy stąd. Nie mogę jednak wypowiadać się w imieniu mieszkających u nas studentów... Proszę zwrócić się z tym pytaniem do nich.

— Kiedy?

— Jutro podczas południowego posiłku po mszy na święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, wtedy większość z nich będzie obecna w refektarzu.

— Widzę, że rzeczywiście dobrze się rozumiemy. Ostatnie pytanie.

— Słucham.

— Czy odda mi pan brata Pietra na cały okres mojego pobytu, wzięwszy pod uwagę ryzyko, na jakie będzie narażony?

— Proszę jego o to zapytać... Pierwszą zasadą zakonu dominikanów jest wolność.

Giuseppe odwrócił się do mnie.

— Otrzymałeś pozwolenie, Pietro... A ty, Vincent, pamiętaj, że masz do mnie mówić Giuseppe!

Szczepan i Baptysta

Bazylika św. Szczepana w dzień święta Wniebowzięcia była w trzech czwartych pusta. Vincent Marguerite zaprosił Lombardiego, aby wraz z nim odprawił mszę dla małej wspólnoty świata nauki, dominikanów i studentów. Już od dawna żaden z Palestyńczyków nie brał udziału w świątecznej mszy pod kolorowym sklepieniem bazyliki. Mało było też chrześcijan. Wielu uciekło z uczuciem, że Rzym ich „opuścił”. Także i tutaj templariusze nie mieli dobrej prasy. Tym bardziej że bez wahania porzucili swoje seminarium w Jerozolimie w 2017 roku podczas trzeciej intifady.

Od czasu do czasu słyhać było serie z broni automatycznej lub syk pocisków raketowych, wystrzelonych z małych zwiadowczych samolocików bez pilota. Uczestnicy mszy mieli zapewne te same odczucia, co zebrani w wieczerniku uczniowie Jezusa lękający się prześladowań.

Marguerite odstąpił Lombardiemu zaszczyt wygłoszenia kazania. Giuseppe podszedł do mikrofonu, objął wzrokiem grupę

pięćdziesięciu mężczyzn i kilkunastu kobiet.

— Już drugi raz przybywam do Jerozolimy, ale po raz pierwszy zostałem przyjęty w waszej szkole, w waszym kościele... Wiecie, bracia, dlaczego tu przybyłem. Wiecie, co się wydarzyło niedaleko tej bazyliki. Nie zamierzam udzielać wam nauk na temat fragmentów Pisma Świętego, których przed chwilą wysłuchaliście, bo jesteście mądrzejsi i bardziej w tym względzie wykształceni ode mnie. Bracia, dziś, kiedy w całym świecie chrześcijańskim obchodzone jest święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, nie będę was pouczał, czym było wyniesienie Najświętszej Dziewicy... — Odwrócił się, by wskazać na dwa duże obrazy przedstawiające świętego Szczepana i świętego Jana Chrzciciela, wiszące po obu stronach wizerunku Odkupiciela. — Opowiem wam o obu tych ludziach, o pierwszym prekursorze i pierwszym męczenniku, o Janie i o Szczepanie... Jan głosił nadejście Królestwa Niebieskiego, wygładzał ścieżki, zasypywał parowy, ale i on także był człowiekiem wątpięcym. Kiedy ujrzał, że zapowiedziane przez Jezusa Królestwo nie przypomina powrotu władzy królewskiej w Izraelu, będąc w więzieniu, wysłał swoich uczniów do Nauczyciela z pytaniem, czy to on jest tym, który miał przyjść? A czy nam, którzy przybyliśmy do tego miasta, aby poznać bliżej słowo Boże, nie zdarza się niekiedy wątpić, czy Bóg dotrzyma swojej obietnicy, czy naprawdę będzie z nami aż do końca świata, kiedy widzimy, jak nasi bracia walczą o ziemię Galilei, Judei i Samarii? Czy to możliwe, żeby Królestwo Niebieskie było już wśród nas, gdy podążamy doliną łez — przez ziemię niesprawiedliwości, gwałtów i zabójstw? W konfrontacji z milczeniem Boga, z tym, czym był obóz w Auschwitz, z wydarzeniami w Kigali, z doświadczeniem każdego z nas, przypomnijmy odpowiedź Chrystusa: „Idźcie i donieście Janowi to, coście widzieli i słyszeli: niewidomi wzrok odzyskują, chromi chodzą, trędowaci doznają oczyszczenia i głusi słyszą; umarli zmartwychwstają, ubogim głosi się Ewangelię. Szczepan, pierwszy diakon, wybrany do tego, aby służyć starcom

[Milczenie Boga. Człowiek wiary podczas ludobójstwa, autorstwa Davida Webstera, ucznia Hansa Jonasa. Doskonała synteza poglądów na ten temat wielkich myślicieli XX wieku i początku XXI. Nowy Jork 2015.]

[Ewangelia wg św. Łukasza 7, 22.]

i chorym, został wyprowadzony poza mury Miasta i tam spotkała go śmierć. A Saul, w przyszłości Paweł, trzymał płaszcze zabójców. Czy był ktoś większym ślepcem niż Saul, którego sam Bóg musiał oświecić swym światłem na drodze do Damaszku, by odzyskał wzrok? Zaprawdę powiadam wam, że Szczepan umarł, zamknęły się jego oczy, ale ślepiec przejrzał, bo otworzyły się oczy Pawła. Czy wierzymy, że otworzą się oczy otaczających nas ślepców, którzy rzucają kamieniami w swych braci? Czy naprawdę wierzymy, że Królestwo Niebieskie jest z nami? Czy otworzą się nasze oczy, czy powiodą nas nogi, abyśmy ogłosili biedakom, że naszą drogą podążają pokój i sprawiedliwość, łagodność i przebaczenie? Czy gdy przyjdzie taka chwila, będziemy mieli w sobie tyle wiary, ile miał jej Szczepan, którego posąg stoi w waszym ogrodzie? Czy w obliczumiotanych kamieni, wystrzeliwanych kul będziemy umieli prosić o przebaczenie tych, którzy je rzucają? Czy zdołamy nadal głosić sprawiedliwość, wierzyć, że z dzisiejszych zabójców niektórzy jutro staną się większymi apostołami niż my sami? Czy nadal będziemy umieli wytrącać broń z rąk tych, którzy uderzają, ponieważ Królestwo Niebieskie jest już wśród nas, ponieważ musimy wierzyć, że pokój zatriumfuje, bo żeby móc głosić sprawiedliwość, musimy najpierw sprawić, aby mogła ona zapanować?

Usiadł. Słuchaliśmy go z zapartym tchem. Nigdy dotąd nie słyszeliśmy tutaj tak krótkiego kazania, tak konkretnego i zarazem sugestywnego. Przekonałem się potem, że Giuseppe zawsze wygłaszał kazania w formie pytań, które zahaczały o dzieje różnych postaci z Pisma Świętego, bohaterów przerastających swoje czasy. A na końcu zawsze padało pytanie skierowane do słuchaczy, czy pragną zostać tak jak tamci protagonistami swoich czasów.

W sercu wojny

Kiedy w czasie śniadania Giuseppe podniósł się z krzesła, Marguerite poprosił wszystkich, aby wysłuchali gościa z Rzymu.

— Z góry przepraszam, jeśli odbiorę niektórym z was apetyt — zaczęła Lombardi. Ktoś się roześmiał. — Budynek waszej szkoły jest bezpiecznym miejscem schronienia, ale to może się zmienić. Zamierzamy włączyć się do tego zamętu. W ten sposób być może

sprowadzimy wojnę do waszego klasztornego ogrodu. Może zagrożona zostanie wasza wolność, a nawet życie. Taka jest cena pokoju. Ja godzę się podjąć to ryzyko, podobnie jak mój towarzysz Pietro i nasi gospodarze bracia dominikanie. Ponieważ jednak to jest wasz dom, pytam także was o zgodę. Jeśli zadecydujecie, że nie chcecie narażać się na takie przykrości, poszukam innego miejsca.

W refektarzu o ścianach z białego kamienia, pod ostrołukowym sklepieniem, odbyło się swoiste referendum. Podniosło się dwadzieścia rąk. Tylko trzy ręce pozostały opuszczone.

— Przyrzekam, że Pietro i ja uczynimy wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby być godnymi waszej odwagi.

Longdesbois przybył pod wieczór w towarzystwie patriarchy Nasrallaha. Nuncjusz uznał, że lepiej będzie, jeśli pozostanie w Tel Awiwie, żeby kontynuować dialog z władzami izraelskimi... [Słyszałem, jak Giuseppe wściekał się na „tego przyjaciela Meksykanów, który nie chciał narażać się dla nowego papieża...”. I dodał: „Ktoregoś dnia trzeba będzie zrobić z tym porządek”.]

Lombardi zdążył już odbyć długie rozmowy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w Ministerstwie do spraw Religii. Przedstawił się jako jedyny człowiek upoważniony przez Watykan do takich rozmów.

Uzyskał zgodę na to, żeby następnego dnia delegacje złożone z dwóch dygnitarzy katolickich, patriarchy i kardynała udały się do bazyliki Grobu Świętego i do bazyliki Narodzenia. Miały porozmawiać z Palestyńczykami, którzy się tam schronili, i zapewnić im bezpieczne wyjście ze świątyni. Władze izraelskie obiecały Lombardiemu, że Palestyńczycy nie zostaną zabici.

Lombardi informował mnie regularnie.

— Powiedziano mi, że jeśli terroryści nie wyjdą w ciągu dwóch dni, to oni wejdą do świątyni... Zgodzili się, żebyśmy przygotowali dla nich żywność tylko na dwa dni. Nie pozwolono nam dostarczyć środków do leczenia ran postrzałowych.

— Jeśli żywność nie będzie odpowiadać zasadom *halal*, to Palestyńczycy jej nie tkną. [Halal — to, co zgodne z prawem muzułmańskim.]

— Zadzwonił do Ministerstwa do spraw Religii i dopilnuj tego. Po przybyciu Nasrallaha i Longdesbois Lombardi przedstawił swój

plan: mają udać się do tych dwóch kościołów i pozostać tam jako „dobrowolni zakładnicy”, żeby zapewnić respektowanie „rozejm Boga” i azylu, jakim stały się te dwa miejsca. Nasrallah odrzekł ze spokojem:

— Sądzę, że władze izraelskie nie przywiązują aż tak wielkiej wagi do naszego życia. Tym razem chcą załatwić ten problem definitywnie.

— Nie są głupcami. Zdają sobie sprawę, że nie mogą podeptać wszystkich symboli jednocześnie. Poza tym, jeśli chrześcijanie będą mieli swoich męczenników, może to wzbudzić gniew falangistów. Liczę także, że wesprze nas w tym Waszyngton...

— Waszyngton? Ten chiński aktor?

— Ruardo rozmawiał z nowym sekretarzem stanu USA. Ma jego zapewnienie, że Departament Stanu dołoży wszelkich starań, by nie dopuścić do ataku na święte miejsca. A Izrael potrzebuje pomocy Waszyngtonu. Spójrzcie...

Wiadomość została przekazana zaledwie piętnaście minut wcześniej przez czerwony telefon. Król Arabii Saudyjskiej wygłosił orędzie do wierzących ze wszystkich krajów, od wschodu do zachodu, żeby ruszyli na Jerozolimę i wyzwolili święte miejsca od bezbożnych żydowskich krzyżowców. W ten sposób ogłosił wojnę *hadżdż*.. [Dosłownie „wojna pielgrzymów”. Chociaż „koalicja z Medyny” wykorzystwała cynicznie arabskie tłumy, nawołując ich do *hadżdż* jesienią 2022 r., jest pewne, że dla większości Arabów wojna ta miała aspekt religijny, wzięwszy pod uwagę rozmiary pokuty, do jakiej nawoływał ich Allah.]

Patriarcha pokiwał głową.

— Tel Awiw będzie musiał negocjować z Barghoutim. Albo wybuchnie totalna wojna.

— Nie możemy decydować za Tel Awiw, monsignore. Ale spróbujemy coś zrobić. Czy mogę liczyć na poparcie?

— Ojcie Lombardi, jestem Palestyńczykiem i nie zawaham się ani na sekundę, by umrzeć za mój lud, jeśli miałoby to czemuś służyć... Nie mogę jednak iść tam sam...

Zapadła chwila ciszy. Giuseppe czekał.

— Kościoły te należą do całego chrześcijaństwa. Jeśli udamy się tam bez uzgodnienia z innymi Kościołami chrześcijańskimi, cały wysiłek podjęty w trakcie konferencji patriarchów Jerozolimy pójdzie na marne...

— Proszę więc przekonać ich przed jutrzejszym rankiem, aby zechcieli pójść tam razem z nami.

— To, o co mnie ojciec prosi, jest prawie tak samo niemożliwe jak doprowadzenie jeszcze dziś wieczór do spotkania Barghoutiego z Gitajem.

Lombardi spojrział na zegarek.

— Musisz, monsignore, dokonać tego w ciągu dwunastu godzin...

Longdesbois nie odezwał się do tej pory ani słowem. Giuseppe zwrócił się do niego:

— A czy Wasza Eminencja da się zamknąć w Betlejem?

— Mój Boże... Od dziewięciu lat stale wybierałem źle moich przyjaciół. Wierzę jednak w ciebie, Giuseppe. I mam nadzieję, że tym razem się nie mylę...

— Dziękuję, Eminencjo. Monsignore Nasrallah, proszę na razie nie wspominać innym Kościołom o zakładnikach. Wystarczy przekazać im wiadomość o wspólnej misji. Potem konieczne będzie, żeby zechcieli nas poprzeć... Cokolwiek się wydarzy, biorę na siebie całą odpowiedzialność za dalszy bieg wypadków. Pójdę razem z Eminencją do bazyliki Grobu Świętego, aby zobaczyć wszystko na miejscu. — Uporządkował ostatnie depesze, po czym wstał ze słowami: — A tak przy okazji, czy monsignore wie, w jaki sposób można najszybciej nawiązać kontakt z Barghoutim?

Buddyjski mnich

Była północ. Monsignore Nasrallah przyszedł do naszej głównej kwatery i zastawszy tam tylko mnie, rzekł:

— Wraz ze mną pójdzie patriarcha greckiego Kościoła ortodoksyjnego oraz przedstawiciele etiopskiego Kościoła koptyjskiego; ortodoksi rosyjscy pójdą tylko do Betlejem, zgodzili się też dołączyć do nas luteranie, choć nie mają swoich kościołów w świętych miejscach. — Patrzyłem na niego osłupiały w obliczu cudu, jakiego dokonał dzięki swoim umiejętnościom dyplomatycznym. — Czy może brat powtórzyć to wszystko Lombardiemu? Nie wiem, gdzie on jest, a muszę teraz pójść odpocząć. — Uśmiechnął promiennie mimo zmęczenia. — *Ya salom*, proszę mu też powiedzieć, że niesamowity z niego człowiek, bo próbuje zrobić coś dla naszego narodu.

Gdy zostałem sam, wyrząłem przez okno i w nocnym mroku spoglądałem na tego „niesamowitego człowieka” siedzącego samotnie na mającym formę trapezu tarasie, górującym nad grobowcami królów. W łagodnym nocnym powietrzu, w ciepłe bijącym od nagranych w ciągu dnia kamieni, siedział wyprostowany, nieruchomy, w pozycji lotosu, jakby medytował. Postanowiłem dać mu jeszcze piętnaście minut i przez cały ten kwadrans zastanawiałem się w duchu, czy ten specjalny wysłannik papieża, ksiądz ubrany w hinduski strój, z obrączką na palcu, nie jest także wyznawcą buddyzmu.

Poniedziałek, 16 sierpnia, godzina piąta rano. Lombardi był już przed bazyliką, chodził po zwirowanym perystylu jak lew w klatce, zatrzymując się co jakiś czas u stóp białej kolumny. Usłyszawszy chrzęst kamyków pod moimi nogami, odwrócił się i zapytał:

- Dobrze spałeś, *fratello*?
- Na ile mi się udało...
- Gdzie jest twój pokój? Byłeś mi potrzebny godzinę temu do tłumaczenia tego, co mówiło radio izraelskie.
- Śpię w rzeźni, ojczcze...
- Nie „ojczcze”, tylko Giuseppe. W rzeźni? A cóż to takiego?
- Dawny klasztor. Założono go na miejscu dawnej rzeźni i czasami tak się go nazywa... żartem.

Po dłuższej chwili rzekł:

- Mam nadzieję, że nie jest to zła wróżba dla tego miejsca, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.
- Nie mamy wyboru, Giuseppe.
- Zawsze mamy wybór, *fratello*...

Zakładnicy

Via dolorosa

Samochody luterzańskich pastorów dołączyły do nas przy Bramie Damasceńskiej. Patriarcha już tam był. Straż pełnił opancerzony wóz izraelski.

Panowała poranna cisza. Starcia ustały, słyhać było jeszcze tylko sporadyczne odgłosy wystrzałów. Nad naszymi głowami mieszał powietrze ciężki szturmowy helikopter.

Pomyślałem o broni, którą ukryłem pod pachą, i o tej, którą Lombardi miał na biodrze.

— Nie ma mowy, żebyśmy jej użyli, *fratello*, a kiedy przyznamy się, że jesteśmy uzbrojeni, oni ją nam zabrają...

— No to na co nam ona?

— A na to, że kiedy przystępuję do pertraktacji z bojownikami, nie chcę być uznany za naiwnego. W ten sposób damy Izraelczykom do zrozumienia, że zdajemy sobie sprawę, z kim będziemy mieli do czynienia w tym kościele. Kiedy będą cię rozbrajać, nie zrób żadnego podejrzanego ruchu.

Przejrzałem w myślach całą listę podejrzanego ruchu, które mógłbym popełnić.

Weszliśmy do miasta pieszo, za żołnierzami. Nasze kroki dudniły na bruku. Pastorzy i monsignore Nasrallah mieli bardzo poważne miny, jaż pewnością byłem blady, Lombardi szedł rażno, jakby się spieszył.

Minęliśmy trzy izraelskie kordony bezpieczeństwa wokół bazyliki Grobu Świętego, która została otoczona przez żołnierzy wyposażonych w sprzęt elektroniczny, z antenami z wykrywaczami ciepła.

Ustawieni na dachach strzelcy wyborowi pokrzykiwali między sobą, w miarę jak się zbliżaliśmy.

Na dziedzińcu byli już przedstawiciele greckich ortodoksów i koptów etiopskich, których dzieliło kilkadziesiąt metrów od wejścia do świątyni. Ich czarne sutanny przywiodły mi na myśl kapelanów więziennych towarzyszących skazańcom przed egzekucją. Sekretarz patriarchy Aleksandra trzymał białą flagę. Za nimi stały dwie duże paki z jedzeniem, które jak mi obiecano, miało spełniać wymogi *halal*. Czekwały, aż pozwolą je wnieść do środka.

Kiedy zabierano nam broń, ujrzałem w oczach pułkownika błysk szacunku dla Lombardiego. Od tego momentu oficer zwracał się tylko do niego.

— Jeśli za dwie godziny nie wyjdziecie, uznamy, że zostaliście zakładnikami terrorystów. Nasi żołnierze znajdują się na operacji uwalniania zakładników, ale musimy ostrzec po raz ostatni przed ryzykiem, na jakie się narażacie.

— Zdajemy sobie z niego sprawę, pułkowniku.

Przeszliśmy kilka kroków do przodu. Z cienia portyku wyłonił się człowiek z rękoma podniesionymi do góry. Był to Mohammed ibn Mansur, strażnik tego świętego miejsca, tak jak jego ojciec i dziadek. Pokolenia muzułmańskich odźwiernych, dzierżących klucze do bazyliki, w której wnętrzu Kościoła chrześcijańskie prowadziły bezlitosną wojnę o kilka metrów kwadratowych, o pierwszeństwo podczas dni wielkich świąt.

— *Salaam aleikum, ya bey.*

— *Sabah el fol* — odpowiedział Lombardi. — Pójdziemy z tobą. Mansur już postawił na ramieniu jedną z pak.

Gdy tylko przekroczyliśmy próg, dwóch młodych mężczyzn stojących na straży za kolumnami, z kefiami zawiązanymi na szyjach i kałasznikowami w rękach, powitało poselstwo milczącym skinieniem głów.

Pułapka w bazylice Grobu Świętego

Panowały tam niemal całkowite ciemności. W mroku połyskiwał jedynie brąz kandelabrow, złoto ikon i migoczący płomień świec.

— Czy ojciec zna to miejsce? — zapytał Mansur.

— Byłem tu tylko raz — odrzekł Giuseppe.
— Oni są w kaplicy Ormian i kaplicy Świętej Heleny, w głębi, w podziemiu, *ya bey*...

Zaledwie dwudziestu fedainów pilnowało z bronią gotową do strzału wszystkich kaplic w podziemiu.

Idąc za odźwiernym, zeszliśmy po stopniach do kaplicy Ormian, a potem do kaplicy Świętej Heleny, najdalszych zakamarków w głębi bazyliki.

— Są tam.

Dziesiątki przestraszonych oczu wpatrywało się poprzez ciemności panujące w podziemnych kaplicach w mężczyzn, którzy schodzili wyślizganymi przez wiele stóp schodami.

Trzech starszych wiekiem wysunęło się naprzód. Sekretarz patriarchy odezwał się do nich po arabsku:

— Przybyliśmy, żeby namówić was do wyjścia stąd, aby oszczędzić to święte miejsce, gdzie nasz wielki prorok powstał z grobu...

Czy jesteście gotowi pójść z nami?

Trzej starcy pokręcili przecząco głowami. Jeden z nich, z pewnością najstarszy, odpowiedział syczącym szeptem:

— Izraelczycy zabiją nas albo odeślą do Gazy, co oznacza dla nas to samo. Dobiegamy kresu naszego życia. Ale są tu kobiety i dzieci... i nasi synowie, którzy walczą...

— Znajdujcie się w chrześcijańskim kościele...

— Oni zburzyli meczet Al-Aksa, monsignore, zniszczyli Kopułę na Skale, zabili tysiące naszych synów. Co nas obchodzi los waszych kościołów?

Dostrzegłem, jak Lombardi i Nasrallah dali sobie znak. Teraz przemówił Nasrallah:

— Ja, patriarcha łaciński, zostanę tutaj z wami, dopóki nie będzie zagwarantowana wasza wolność i dopóki nie będziecie mogli opuścić z godnością azylu tego kościoła.

Pozostali członkowie delegacji patrzyli w milczeniu na starego biskupa palestyńskiego. Pojęli, że znaleźli się w pułapce.

„Fucked”

Niecałą godzinę później wyszliśmy z podziemia sami. Lombardi ruszył w kierunku pułkownika z rękoma podniesionymi do góry, ja podążałem dwa kroki za nim...

Po minucie rozmowy pułkownik pojął, że go nabrano, mruknął coś ze złością po hebrajsku, podniósł słuchawkę polowego radia, żeby zaalarmować sztab.

— Uważa, że sobie z niego zakpiliśmy, monsignore — powiedziałem po angielsku, żeby pułkownik wiedział, że rozumiemy, co on mówi, a tytuł „monsignore” dodałem, aby mu przypomnieć, kim jesteśmy. Przy Lombardim uczyłem się szybko.

— Czy wspomniał coś o Betlejem? — zapytał Giuseppe po włosku.

— *Speak english, speak fucking english!* — ryknął pułkownik.

Giuseppe zmroził go wzrokiem i odrzekł po angielsku:

— Czy jesteśmy pańskimi więźniami, pułkowniku, czy też możemy sobie pójść?

Dwie godziny... Dwie długie godziny czekania w koszarach, na twardych krzesłach, bez stołu, bez papieru ani pióra, bez telefonu, w ostrym świetle jarzeniowych lamp. W końcu pojawił się z własnym krzesłem mężczyzna w stopniu kapitana i usiadł naprzeciw nas.

— Nuncjusz, z którym się skontaktowaliśmy, zapewnił naszego ministra, że działaliście w imieniu waszego rządu. Jednak nasz przedstawiciel w Watykanie zamierza poprosić o audiencję u szefa waszego rządu i poinformować go o waszych metodach działania... Znacznie przekroczyliście uprawnienia dyplomatów i nadużyliście gościnności państwa izraelskiego. [Wielokrotnie w tym trudnym okresie izraelscy oficerowie używali terminu „szef rządu” zamiast papież. Czy w ten sposób przypominali, że nie uznają państwa kościelnego w Watykanie?]

Kapitan wyjął z teczki rozkaz deportacji.

— Polecicie najbliższym samolotem do Rzymu, a do tego czasu pozostaniecie w koszarach.

— Popelnia pan, kapitanie, ogromny błąd. Jesteście w krytycznej sytuacji pod względem militarnym i o krok od światowego kryzysu dyplomatycznego. Powodowani dumą tracicie okazję rozwiązania pewnych spraw.

— Ja...

— Proszę, a raczej żądam, żeby przyjął mnie natychmiast minister obrony, abyśmy mogli omówić możliwości rozwiązania problemu dotyczącego okupacji świętych miejsc. Mogę doprowadzić do tego, abyście nie musieli burzyć tych dwóch kościołów i tym samym zyskali uznanie całego świata chrześcijańskiego, jak również waszego sojusznika amerykańskiego. Jeżeli rezygnujecie z tej propozycji, wsadźcie mnie do samolotu.

— Skontaktuję się z moim...

— Niech się pan skontaktuje, i to zaraz, jak najszybciej. Siedziałem w celi, pod strażą, dziesięć godzin, przez cały czas wizyty Lombardiego u ministra obrony. Przed wyjściem Giuseppe zwrócił się do oficera:

— Odpowiada pan za tego zakładnika, kapitanie. Oby włos nie spadł mu z głowy...

— Bierze nas pan za...

— Biorę was za ludzi, którzy rozpętali wojnę w mieście, którzy zabili dziesiątki swoich braci i gotowi są zamordować tych wszystkich, których uznają za swoich wrogów. — Tknął oficera palcem w pierś. — Odpowiada pan za niego, kapitanie, jakby był moją źrenicą, moim sercem.

Północ. Brama Jafska. Dwaj żołnierze bezceremonialnie wypraszają mnie z opancerzonego wozu. Mimo woli przypominam sobie opowieści o zbiorowych egzekucjach — w ciągu tygodnia słyszałem o dwudziestu czy trzydziestu...

Sierżant pokazuje mi stojący pięćdziesiąt metrów dalej samochód z oświetlonym wnętrzem.

— Biegnij, prawiczku...

Zmuszam się, aby iść spokojnie do opancerzonego mercedesa naszej szkoły, którym pojechałem na lotnisko po Lombardiego. Było to niecałe trzy dni wcześniej.

Tym razem to on siedzi przy kierownicy. Zajmuję miejsce obok.

— Wszystko w porządku, *fratello*? Nic ci nie zrobili?

Nie mogę powstrzymać łez...

Środa 18 sierpnia, czwarta rano.

Od dwudziestu czterech godzin usiłowaliśmy bezskutecznie skontaktować się z Barghoutim za pośrednictwem skrzynki na listy, którą pokazał nam dowódca oddziału w bazylice Grobu Świętego. Zastanawialiśmy, czy on jeszcze żyje. Straciliśmy ponad połowę z czterech dni, które Ruardo z trudem uzyskał od premiera Gitaja. [Dokładnie rzecz biorąc, te cztery dni kończyły się w piątek 20 sierpnia o godzinie 9.30 rano.]

Giuseppe pracował bez przerwy z sekretarzem stanu. Poprzedniego dnia dwa razy udawał się do francuskiego konsulatu, aby skorzystać tam ze „specjalnej linii”. Tej nocy ustawicznie dzwonił z różnych miejsc w szkole, najczęściej na schodach prowadzących z fototeki do refektarza. Pertraktował i rozmawiał, siedząc na marmurowym stopniu. Czy było to miejsce najpewniejsze? Ruardo dzwonił co godzina. Poprzedniego wieczoru nastąpiła głęboka zmiana w dyplomatycznej rozgrywce — grę zakłócił „chiński aktor” sześć godzin po tym, jak na pustyni w Jordanii rozbił się drugi samolot. [Kilka godzin po orędzie króla Arabii Saudyjskiej dziesiątki pielgrzymów ruszyły w długich kolumnach z Mauretanii, z Pakistanu, z całego świata arabskiego. Rządy krajów muzułmańskich nie wiedziały, co mają robić na granicach: czy przepuszczać pielgrzymów i narażać się na gniew izraelsko-amerykański, czy zamknąć granice i wywołać tym samym zamieszki na ulicach... Kilkadziesiąt samolotów czarterowych poleciało w kierunku lotnisk w Ammanie, Bejrucie, Damaszku, Sharm-el-Sheiku. Izrael oznajmił, że straci każdy samolot naruszający ich przestrzeń powietrzną i zbombarduje każdy port lotniczy, który je przyjmie. Jordania i Egipt odmówiły przyjęcia samolotów z „pielgrzymami” — dwa samoloty krążyły przez dwie godziny, prosząc na próżno o pozwolenie na lądowanie. Jeden z tych samolotów, który przyleciał z Tunisu, wpadł do morza, drugi rozbił się na jordańskiej pustyni. Pozostałe samoloty wylądowały w południowej Turcji, w wojskowej bazie NATO, gdzie „pielgrzymi” zostali natychmiast internowani.] Stwierdził on, „że świat stoi przed poważnym jak nigdy dotąd kryzysem, bo wiele narodów, które stają naprzeciw siebie w tym konflikcie, ma w posiadaniu broń o zastraszająco niszczącej mocy”. A następnie powiedział: „Ja, John Lu, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, uważam, że w obliczu wyjątkowo wielkich zagrożeń, przed którymi stoi ludzkość, żaden naród nie jest w stanie działać samodzielnie, nawet gdyby czuwała nad nim opatrność Boga. Oświadczam uroczyście naszym przyjaciółom i

naszym wrogom, że jesteśmy gotowi zaangażować się z całą energią w poszukiwanie pokojowego rozwiązania, które zapewni przetrwanie Izraelowi i pokój w tym regionie świata. Nie zawahamy się użyć całego arsenału naszego uzbrojenia dla obrony interesów amerykańskich i naszych sojuszników wszędzie tam, gdzie wystąpi zagrożenie. Wierzimy jednak, że droga do negocjacji jest jeszcze możliwa. Z tego powodu mój sekretarz stanu przekazał Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych pierwsze dokumenty, które dotyczą naszego przystąpienia do tej organizacji, opartej na międzynarodowym porozumieniu. Nakazałem naszemu ambasadorowi, aby szykował się do wzięcia udziału w obradach Rady Bezpieczeństwa w Genewie. Wzywam naszych przyjaciół i sojuszników izraelskich oraz południowoafrykańskich, jak również Chiny i Pakistan, państwa dysponujące bronią nuklearną, aby w tej wyjątkowej sytuacji włączyły się do rozmów prowadzonych w ramach Nowych Narodów Zjednoczonych, abyśmy mogli wspólnie znaleźć drogę do dialogu i pokoju”.

Giuseppe znowu podniósł słuchawkę telefonu.

— Anna? Obudziłem cię... Wybacz, potrzebuję pewnej informacji. Mówiłaś mi o dziewczynie, która pracowała z tobą, a teraz pracuje w UNESCO. Pochodzi z Ghany. Jest zastępcą dyrektora generalnego. No tak, tak, oczywiście... Tak, ma to związek z tymi świętymi miejscami. Poczekaj, zanotuję: Leah Nanah... Będziesz miała jej namiary? Pietro także? Nie, nie... Zgoda... Ucałuj ode mnie dziewczynki, Anno. — Odwrócił się do mnie: — Nie podskakuj za każdym razem, kiedy powiem imię Pietro. To imię mojego ojca. — Podał mi kartkę, na której nabazgrał jakieś nazwisko. — Czy mógłbyś jak najszybciej zdobyć dane tej kobiety z UNESCO? Przedstaw się jako specjalny wysłannik papieża, posłuż się moim nazwiskiem...

Z obojętną miną zapytałem:

— Kto to jest Anna? Co to za dziewczynki?

Giuseppe westchnął i uśmiechnął się.

— Anna jest moją siostrą. Kiedy tu jestem, sprawuje opiekę nad Clara i Cecilia, moimi dwiema córkami.

— A twoja żona...

— Chiara zmarła dziesięć lat temu. Była jedną z pierwszych ofiar Syndromu Zjadliwego Wirusa Zachodniego Nilu. Starsza córka miała wtedy pięć lat, a młodsza półtora roku.

- Jesteś wdowcem? Nosisz obrączkę, więc myślałem...
- Kiedyś ci to wyjaśnię, *fratello*. No dobra, zajmiesz się znalezieniem numeru tej Nanah czy mam to zrobić sam?

Ta dziewczyna jest wspaniała!

O godzinie 9.32 Lombardi po raz pierwszy rozmawiał z Leah Nanah.

— Czy pani Nanah? Mówi Giuseppe Lombardi, brat Anny... Tak, tak... Widzę, że jest pani zorientowana. Muszę zyskać na czasie, potrzeba mi kilku dni, może kilkunastu. Biorąc pod uwagę obecną sytuację, sekretarz stanu Ruardo sądzi, że Tel Awiw nie zechce zerwać z Radą Bezpieczeństwa, dopóki nie zapadną decyzje. Chodzi mi o UNESCO... Jedynie oni mają podstawy do interwencji tam na miejscu w imieniu NONZ. Właśnie... Dziedzictwo światowe... Otóż to... Dobrze byłoby, żeby ktoś tu przyjechał. Nawet jeszcze dziś. Jutro przed wieczorem... Zajmie się pani tym? Dziękuję bardzo, Leah, dziękuję po stokroć. — Spojrzał na mnie, klasnął w ręce. — Przyjedzie jutro rano, napisze oświadczenie grożące Tel Awiwowi sankcjami, jeśli Tsahal zaatakuje święte miejsca. Postara się zdobyć prawomocny dokument potępiający. Chyba wygramy kilka dni. Ona jest wspaniała! Wspaniała!

Eksfiltracja

„Ojciec nasz” na wzgórzu

Nazajutrz, w czwartek 19 sierpnia, większość światowych stacji nadających nieprzerwanie informacje przekazała oświadczenie Leah Nanah, zastępcy dyrektora generalnego UNESCO, bezpośrednio z bazyliki Grobu Świętego, gdzie udała się ona za zgodą ministra spraw zagranicznych, aby zbadać sprawę na miejscu: „Zniszczenie świątyń byłoby poważnym ciosem dla dziedzictwa światowego, dla tradycji, kultury i historii ludzkości. Działanie państwa, które świadomie usiłowałoby zniszczyć ślady kultury innego narodu, będzie uznane za akty ludobójstwa. Mówię to z pełnym przekonaniem, znając historię państwa Izrael, bolesną pamięć części rodziców i dziadków jego obecnych mieszkańców. — Wyjęła z kieszeni dokument, który zbliżyła do kamery: — Mam tu projekt rezolucji Rady Bezpieczeństwa, która potępi ewentualne zniszczenie tych miejsc i, jak zapewnili mnie eksperci z Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, [Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, powołany ponownie przez NONZ, uznał się za uprawniony do tego, żeby osądzać zbrodnie popełniane także przez państwa nie będące członkami tej organizacji.] uzna je za zbrodnie wojenną; tak więc państwo, które dopuści się takich aktów, nie będzie miało prawa uczestniczenia w Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Występuję tu w imieniu jej sekretarza generalnego”. W tym samym czasie Rada Bezpieczeństwa, obudzona w końcu z letargu naciskiem ze strony

Ameryki, ogłosiła poddanie pod głosowanie rezolucji nr 1894, domagającej się międzynarodowego, niezależnego dochodzenia w sprawie zamachu.

Wreszcie udało się nam spotkać z człowiekiem, który mógł zostać negocjatorem ze strony palestyńskiej. Był to mężczyzna najbardziej poszukiwany w Jerozolimie i w całej Palestynie, który miał tak samo licznych wrogów w szeregach islamistów, jak wśród izraelskich wojskowych i osadników. Na jednym z ekranów komputerów w naszej kwaterze głównej pojawiła się wiadomość: „Dzisiejsze popołudnie świetnie się nadaje do tego, żeby odmówić *Ojciec nasz*”. Domyśliłem się ukrytej w niej intencji: na Górze Oliwnej znajduje się kościół Pater Noster — francuski teren konsularny. Jeżeli tę wiadomość przesłał rzeczywiście Barghouti, to Izraelczycy, którzy depczą nam po piętach od czasu naszej wizyty w bazylice Grobu Świętego, nie odważą się tam wejść.

Udaliśmy się tam pieszo, było to około dwudziestu pięciu minut marszu. Nałożyłem moją sutannę dominikanina, gdyż Giuseppe chciał, żebyśmy wyglądali na „pobożnych pielgrzymów”. On sam zawiesił na białej koszuli duży krzyż z drzewa oliwnego. Sierpniowe słońce mocno przygrzewało. Zadyszałem się trochę, idąc pod górę, ale na Giuseppe nie widać było ani kropli potu...

Weszliśmy w obręb zabudowań kościoła Pater Noster, gdzie skorzystaliśmy z kilku chwil wytchnienia w cieniu ogrodu.

- Na jego miejscu, gdzie byś czekał? — zapytał mnie Giuseppe.
- W grocie nauczania.

I rzeczywiście Barghouti tam był. Nie przypominał tego człowieka, którego zdjęcia pokazywała stale telewizja, odkąd zaczęło się na niego wielkie polowanie. Miał tę samą okrągłą twarz, tę samą krótką brodę; ale broda przez trzy dni zrobiła się zupełnie biała, podkrążone oczy z ciemnymi sińcami zapadły się głęboko. Ze zmarszczek wokół ust wyzierała gorycz. Podszedł do Giuseppe, wziął go w ramiona i serdecznie uściśnął.

— Dziękuję ci, bracie, że narażając życie, zyskałeś dwa dni dla moich ludzi. A to kto? — odwrócił się w moją stronę.

— To mój brat. Był ze mną w bazylice, a potem w koszarach. Nic nie ukrywać, nigdy nie kłamać...

Barghouti uściśnął mnie także, mówiąc:

— Niech błogosławieństwo Boga będzie z tobą i twoimi bliskimi.

— Niech będzie z twoimi przyjaciółmi i twoimi wrogami — odparł Giuseppe.

— Do jakiego stopnia papież jest gotów nam pomóc? — zapytał Barghouti.

— Watykan pragnie sprawiedliwości dla wszystkich. Jeśli bojownicy palestyńscy chcą walczyć, niech robią to na własne ryzyko. Jeśli poniosą klęskę, mają być traktowani jak jeńcy wojenni. Watykan pragnie, aby twój naród mógł decydować sam o swoim losie na ziemi, która do niego należy. I żeby twoi sąsiedzi mieli te same prawa.

— Oni już je mają! To tylko dyplomatyczne słowa, takie jakie usłyszałem wczoraj od przedstawiciela Unii Europejskiej. Nie zrozumiałeś mnie... Moi ludzie gonią ostatkiem sił, ci, którzy nie są w izraelskich więzieniach, za tydzień umrą. Izraelczycy są silni, a nas jest za mało... Wiedzieliśmy o tym, gdy ogłoszono intifadę, ale stało się to bez naszego udziału i mogliśmy się tylko do niej przyłączyć...

— To także słowa dyplomaty. Powiedz, czego chcesz.

— Broni. Chcę nowej, nowoczesnej broni, abym mógł walczyć z moimi wrogami jak równy z równym. Ponadto potrzebujemy czasu, żeby odetchnąć, pogrzebać naszych zmarłych, opłakać mężów, synów, braci. Chcę, żebyśmy wszyscy mogli wrócić do domów, a potem usiąść przy stole i porozmawiać z naszymi wrogami...

— W sprawie broni niczego nie mogę zrobić, *rais*. Ja ci jej nie dostarczę. Ale będziesz miał potrzebny ci czas. Jutro ma przybyć wysłanniczka NONZ, która postara się nie dopuścić do tego, żeby Tsahal zaatakował święte miejsca. Ponadto jestem gotowy szukać wraz z tobą i twoimi wrogami dróg negocjacji...

[Rais — w języku suahili prezydent, przewodniczący, prezes.]

— Najpierw znajdź sposób, żebyśmy przeżyli. Nie mamy ani broni, ani amunicji... Pozostało nas w całej Jeruzolimie już tylko dwustu wolnych, uzbrojonych fedainów...

— Oczekujesz ode mnie pomocy. Dlaczego mi ufasz?

— A czy mam wybór, *ya bey*?

— Masz ideę.

— Czy moi ludzie mogą schronić się w waszych świętych miejscach? Czy gwarantujesz, że wyjdą stąd żywi?

— Skoro potrafiliście tam wejść, zrobię, co w mojej mocy, żebyście wszyscy mogli wyjść.

Patrzyłem na Lombardiego. Obiecywał gościnę człowiekowi najbardziej poszukiwanemu w Izraelu.

— Znamy przejście podziemne do twojego kościoła...

— Ściągnij więc twoich ludzi. Jednak musisz mi przyrzec, że nie dojdzie do żadnej profanacji świętych miejsc i że twoi ludzie poddadzą się władzy patriarchy palestyńskiego, monsignore Nasrallaha.

— Niech tak będzie...

— Ciebie to jednak nie dotyczy. Chciałbym, żebyś pozostał na zewnątrz i usiadł przy stole do negocjacji z twoimi wrogami, *rais*...

— Odmawiasz mi azylu?

— Zgodziłem się na azyl dla twoich bojowników... Ty zaś potrzebujesz bezpiecznego miejsca, z którego będziesz mógł prowadzić rozmowy i negocjacje.

— Jeśli jeszcze będę żył, Boży człowieku.

— Nazywaj mnie Jakubem, bo jestem, tak jak i ty, jednym z potomków Abrahama... I pozostań żywy do jutra, *rais*. Do rozmów z twoimi wrogami potrzebny jest prawdziwy przywódca. Wrócę jutro wieczorem.

Rais zapakowany do bagażnika

Nazajutrz Giuseppe zdał mi raport z rozmowy z konsulem i z jej wyników, po czym odbyła się rozmowa telefoniczna z udziałem Ruarda i francuskiego ministra. W pewnym momencie Ruardo powiedział:

— Kiedy wyjdą reprezentanci tamtych Kościołów, módl się do Boga, Lombardi, żeby wszystko się udało... Bo w przeciwnym wypadku świat się dowie, że to eminencja wpuściła fedainów do bazyliki.

— Jeśli ci reprezentanci wyjdą stamtąd żywi, będzie to oznaczać, że nam się udało, panie sekretarzu stanu.

Między dwoma przedstawicielami Watykanu doszło do ostrej wymiany zdań, ale w końcu, po raz kolejny, dyplomacja francuska odegrała solo swoją „arabską partyturę”.

Kiedy tego wieczoru byliśmy w samochodzie konsula, usłyszeliśmy w radio oświadczenie izraelskiego ministra obrony: „Ponieważ

musimy zachować mury, weźmiemy ich głodem. Nie zniszczymy ich świątyń, lecz będziemy oblegać tak długo, aż wyjdą na kolanach”. Giuseppe nie posiadał się z radości.

— Udało jej się, zyskała potrzebną nam zwłokę. Samochód wjechał na teren kościoła Pater Noster. Zostałem

w wozie, podczas gdy konsul i Giuseppe zniknęli w ogrodzie. Po kilku minutach Giuseppe wrócił, otworzył klapę bagażnika. A gdy Barghouti wszedł do środka, zamknął nad nim klapę, wskoczył do samochodu na fotel obok kierowcy. Za kierownicą siadł konsul.

Mieliśmy do przebycia krótką drogę, ale na każdym skrzyżowaniu był szlaban i posterunek kontrolny. Na pierwszym nie sprawdzano nas. Na drugim wartownicy zajrzeli do wozu, świecąc nam po twarzach latarkami. Giuseppe i konsul pokazali swoje dokumenty dyplomatyczne, ja — włoski paszport.

Sierżant zniknął z naszymi papierami. Wrócił w towarzystwie oficera. Usłyszałem, jak Giuseppe zaklął po włosku. Przez okno samochodu zajrzał do wnętrza pułkownik, którego wykiwaliśmy przed bazyliką Grobu Świętego.

— Gdzie tym razem jedziecie, panowie? — zapytał suchym, oficjalnym tonem.

— Do francuskiego konsulatu, pułkowniku.

— Do francuskiego konsulatu? Naprawdę? Chyba lepiej będzie, jeśli dam panom eskortę...

I tak oto tej nocy, w czwartek 19 sierpnia, izraelski pułkownik przydzielił nam lekki samochód opancerzony, dzięki czemu przejechaliśmy swobodnie przez posterunki, mając w bagażniku pasażera, którym był Mahmoud Barghouti — wróg publiczny numer jeden Izraela. Kiedy już znaleźliśmy się przed drzwiami konsulatu, a z samochodu obserwowano nas, czy rzeczywiście tam wejdziemy, wybuchnęliśmy nerwowym śmiechem.

[Mahmoud Barghouti został potem pierwszym prezydentem państwa palestyńskiego w Cisjordanii i był nim aż do 2034 r., kiedy został zastrzelony przez jednego z mieszkańców Gazy.]

[Ci, którzy zainteresowali się bliżej tą historią, na pewno pamiętają, że osiem lat później, kiedy rais przyjechał do Francji z pierwszą wizytą jako szef państwa palestyńskiego, podczas przyjęcia na Quai d'Orsay powiedział: „Zawdzięczam życie Francji”. Podziękował konsulowi i tym wszystkim, dzięki którym pewnej sierpniowej nocy uniknął izraelskich kul. Wymieniał wśród nich Jakuba, ale nie powiedział, kim on był.]

Trzy strzały

Później, tej samej nocy, zapytałem Giuseppe, dlaczego postanowił uratować Barghoutiego.

— Porozumienie — odpowiedział — jest możliwe tylko wtedy, gdy ludzie rozmawiają ze sobą z tej samej pozycji. Jeśli ktoś jest bezbronny, powalony na ziemię, to jego słowa wynikną ze strachu, a to, co zyskuje, jest mu dane z litości. W ten sposób nie zbuduje się pokoju.

— Ale w ten sposób wciągnąłeś nas do obozu jednej ze stron.

— Przeanalizowałem całą sytuację. Tylko ja mogłem powstrzymać jednego z protagonistów. I dlatego zrobiłem to w interesie obu stron. — Uśmiechnął się. — Szybko się przekonasz, Pietro, że zachowanie neutralności jest niemożliwe, wręcz głupie. Mam w Szwajcarii przyjaciela, który ci to kiedyś dokładnie wyjaśni...

Zaniepokoił mnie użyty przez niego czas przyszły: czy moje życie ma być związane z Giuseppe Lombardim, z dala od Jerozolimy?

Dobrze wiadomo, jak wyglądało rozwiązanie kryzysu zagrożającego świętym miejscom. Kiedy tylko konsul oznajmił, że Barghouti oddał się pod jego opiekę i że jest gotowy do rozmów z władzami izraelskimi, wydarzenia potoczyły się szybko. Moshe Gitaj poinformował, że wojsko odprowadzi bojowników i ich rodziny do Gazy. Konsul francuski oświadczył, że Palestyńczycy nigdy się na to nie zgodzą. Negocjacje opóźniły się o dwa dni, ponieważ Barghouti nie chciał, aby wzięli w nich udział przedstawiciele państwa palestyńskiego z Gazy oraz Synaju. [Giuseppe poprosił francuskiego konsula, aby poczekał trzydzieści sześć godzin z ogłoszeniem, że Barghouti znalazł u niego azyl, żeby Izraelczycy nie powiązali tego faktu z jego nocną wizytą w konsulacie.]

Główni aktorzy spotykali się potem wielokrotnie w wielkiej sali wspólnoty dominikańskiej we Francuskiej Szkole Biblijnej i Archeologicznej. Rząd izraelski zagwarantował rządowi francuskiemu immunitet dla podziemnego przywódcy palestyńskiego na cały czas trwania rokowań.

Barghouti domagał się tego, żeby wszyscy przebywający w bazylice Grobu Świętego mogli wrócić do swoich domów, oraz obietnicy Izraela, podpisanej przez Francję, Stany Zjednoczone i Watykan, że nie będą ścigani ludzie niezaangażowani w walkę. Konsul francuski przekonał Barghoutiego, by zgodził się na to, aby jego bojownicy poddali się w ramach amnestii.

Tymczasem świat nie przejmował się zanadto sytuacją zaistniałą w świętych miejscach. Wszyscy czekali na ostateczne rozwiązanie problemu. Zależało to od tego, czy Izrael przystanie na rozpoczęcie niezależnego śledztwa w sprawie wybuchu. Spodziewano się, że wówczas Arabia Saudyjska i jej sojusznicy na Półwyspie Arabskim zaniechają *fatwy*. [Fatwa (arab.) – wyrok, kłątwa.]

24 sierpnia, gdy Lombardi nadzorował operację zaopatrywania w żywność obłożonych w bazylice Grobu Świętego, usłyszałem za plecami strzały, a kiedy odwróciłem się, szczęknęło zamykane okno.

Ranny został stróż świątyni, Mohammed ibn Mansur, który pociągnął Lombardiego na ziemię. Trzy kule trafiły go w biodro. Na szczęście była to amunicja małego kalibru, wystrzelona z odległości jakichś piętnastu metrów. Obecny na miejscu izraelskim sanitariuszom udało się zatamować krwotok.

Czy zamachowiec mierzył w Giuseppe? Czy strzelił na widok cywila, który wyglądał na Europejczyka i kierował akcją? Do dziś nie wiadomo, bo nie było śledztwa.

Biorąc pod uwagę zasadę, że zbrodnię popełnił ten, komu przynosi ona korzyść, należało przypuszczać, że strzelcem był ktoś z Hamasu. Ta organizacja palestyńska nie chciała dopuścić, aby Barghouti odniósł jakiś sukces, i dlatego mogła usiłować zablokować negocjacje.

Giuseppe przez kilka następnych godzin nie wypowiadał się na ten temat. Zachowywał się tak, jakby to nie on był celem zamachowca.

Po południu poszedł do wojskowego szpitala odwiedzić Mansura. Odwiedzał go codziennie, dopóki Arab nie stanął na nogi. Stało się to początkiem ich długiej przyjaźni.

Wieczorem tego dnia, kiedy strzelano do niego, po powrocie do budynku szkoły po raz pierwszy od dziesięciu dni powiedział do mnie:

— Wybacz, *fratello*, muszę pobyć jakiś czas sam... Trochę pośpię.

Rozwiązanie

31 sierpnia po trwającym dziesięć dni oblężeniu Palestyńczycy wyszli z bazyliki w Jerozolimie i z kościoła w Betlejem. Wrócili do swoich domów, jak gdyby nic się nie stało.

Barghouti uzyskał również to, że nie zdali broni wojsku izraelskiemu. Została ona zdeponowana w siedzibie Al-Fatahu, zapieczętowana i regularnie sprawdzana przez przedstawicieli Francji, Stanów Zjednoczonych i Watykanu. Giuseppe Lombardi był jednym z dwóch kontrolerów, którzy tego dnia liczyli broń.

W tym momencie było już jasne, że Izrael zgodzi się na międzynarodowe śledztwo. Dwa dni później, 2 września, Mosze Gitaj i król Jordanii Husajn II, strażnik świętych miejsc, podpisali o tej samej godzinie, ale mimo starań Johna Lu w różnych miejscach, dokument, w którym zwracano się do NONZ z prośbą o jak najszybsze zidentyfikowanie sprawców zamachu z 5 sierpnia.

Świat uniknął wojny. Wiadomość dotarła do nas, gdy siedzieliśmy na tarasie w hotelu King David, gdzie zamieszkała Leah Nanah. Wypiliśmy z tej okazji szampana.

10

Leah

Chwała Matthiasowi Nanahowi

Wiele już napisano o kobiecie, którą Giuseppe poznał w Jerozolimie w sobotę 21 sierpnia.

Leah, która właśnie ukończyła czterdzieści lat, robiła błyskotliwą karierę w UNESCO, podobnie jak przedtem w Światowej Organizacji Zdrowia. Będąc dyplomatką i doskonałą prawniczką, z daleko siężną wizją polityczną, zachowała wiarę w międzynarodową współpracę. I może właśnie to zachwyciło najbardziej Lombardiego w obywatelce Ghany, że bez żadnej naiwności wierzyła w człowieka. Poznała okrucieństwo możliwych tego świata, widziała lękliwą postawę biedaków, zetknęła się z kruchością utopijnych idei i nietrwałością rozejmów. Mimo to wierzyła, że przy usilnej pracy możliwe jest osiągnięcie pojednania między ludźmi. Idealistka w świecie cyników, dążyła do urzeczywistnienia marzeń poprzez drobiazgowy realizm i nieustępliwość w swoich wymaganiach.

Każdy, kto miał okazję z nią rozmawiać, zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą kobietę wyjątkową, inteligentną, błyskotliwą. Zanim jednak jeszcze otworzyła usta, zwracano uwagę na jej niepospolitą urodę.

Leah Nanah, młodsza o rok od Giuseppe, urodziła się w ubogiej Afryce, która wkrótce jako pierwsza padła ofiarą epidemii AIDS przy całkowitej obojętności reszty świata.

Wychowała się w domu, gdzie żyło się w miarę dostatnio, dopiero potem dowiedziała się, co to znaczy kilkumiesięczne opóźnienie

w wypłacaniu pensji, czym są strajki, zamachy stanu organizowane przez podoficerów, którym nie wypłacano żołdu, widziała urzędników żyjących na skraju ubóstwa. Jej ojciec, skromny nauczyciel szkoły średniej, wołał pracować bez pensji, niż zamknąć szkołę. Dla Matthiasa Nanaha liczyły się bowiem przede wszystkim prawa i zasady moralne. Poświęcił się jednej wierze, jednej społecznej religii (nawiasem mówiąc, był katolikiem) — walce z analfabetyzmem. Był przekonany, że Afrykę może ocalić jedynie ogromny wysiłek włożony w publiczną edukację. Powtarzał swoim czworgu dzieciom, że afrykański kontynent uratuje się sam, jeśli ludzie nauczą się czytać i liczyć.

Korpus Pokoju

Czy Leah udałoby się dojść tak wysoko, gdyby nie napotkała na swej drodze tego profesora, dzięki któremu „nadrobiła dwanaście lat życia, dwanaście lat dzielącej ich różnicy wieku”, jak on sam chętnie powtarzał?

Steven Baltimore był jeszcze młody, gdy Leah pierwszy raz pojawiła się na jego wykładzie jako studentka drugiego roku prawa na uniwersytecie w Akrze. Steven, wywodzący się ze średniej klasy, był Afroamerykaninem z odrobiną krwi irlandzkiej i sporą dawką krwi Indian Navaho. W wyniku tej mieszanki zrodził się olbrzym o miedzianej cerze, dziwnie jasnych oczach, prostym nosie i szerokich ustach odsłaniających nieskazitelnie białe zęby. Mógłby odnosić sukcesy w uniwersyteckiej drużynie koszykówki, ale wołał być oceniany według swoich umiejętności prawniczych. Ten człowiek, specjalista od „praw mniejszości”, głoszący, że Ameryka nie jest rajem, o którym marzyli wszyscy studenci tego wydziału, zachwyił Leah i jej kolegów.

Steven Baltimore wiedział o Afryce tylko tyle, ile mówili działacze *affirmative action*, którzy wychwalali amerykańskie podejście do afrykańskich problemów. [Był liberałem w amerykańskim znaczeniu tego słowa, plasował się na lewicy partii demokratycznej, odznaczał się wielką wrażliwością na problem walki z dyskryminacją i biedą, działał na rzecz udoskonalenia prawa międzynarodowego. Wszystkie te poglądy dzieliła z nim także jego żona.]

Po pięciu latach pracy w zaciszu gabinetu postanowił wziąć udział jako wolontariusz w programie amerykańskiej organizacji Korpus Pokoju, no i wyładował w Akrze.

Bardzo szybko zwrócił uwagę na Leah, która wyróżniała się inteligencją, a przede wszystkim szlachetnością. Dzięki programowi Korpusu Pokoju ta śliczna, mądra kobieta otrzymała szansę skosztowania „amerykańskiego raj” — opuściła Ghanę i wyjechała do Stanów Zjednoczonych w 2003 roku. Jako stypendystka Uniwersytetu Columbia, zaledwie kilka tygodni po przyjeździe do Ameryki, 21 listopada tegoż roku przeżyła coś, co nazywała swoim „kwadrantem sławy”. Jako jedyna w kampusie obywatelka Ghany została wybrana przez swoich profesorów do grona, które miało powitać Kofiego Annana, przewodniczącego ceremonii inauguracyjnej programu studiów dotyczących międzynarodowych migracji. Leah zachowała zdjęcie ze spotkania ze swym sławnym współrodakiem, wówczas sekretarzem generalnym ONZ.

Madame ratuje świat

Rok później Leah wróciła do kraju ze Stevenem, który poprosił jej ojca o rękę dziewczyny. Wkrótce oboje wyjechali do Stanów Zjednoczonych ze świadectwem ślubu i błogosławieństwem katolickiego księdza. Dumny z żony Steven był przekonany, że wygrał los na loterii. Miał oczywiście własne osiągnięcia, ale od tamtej pory w karierze zawodowej podporządkował się ambicjom Leah. A ponieważ ona wybrała specjalizację w prawie dotyczącym instytucji międzynarodowych, wrócił do domu, aby zajmować się dziećmi, kiedy „madame będzie ratować świat”.

Kiedy Giuseppe zetknął się z Leah, sporo już o sobie nawzajem wiedzieli. Jako prawniczka pracowała z Piętrzem i Anną w latach 2017—2018 ; obie kobiety , [W tym czasie Leah była zastępcą dyrektora do spraw przemysłu farmaceutycznego (głównie chodziło o patenty i problemy ogólne) w Światowej Organizacji Zdrowia.] niemal w tym samym wieku, wspólnie wymyśliły sposób komercjalizacji szczepionki przeciw SZWN. Sukces Leah w tym względzie był niesłychany: po raz pierwszy kraje Południa zaczęły produkować tę szczepionkę

jednocześnie z krajami Północy i korzystał na tym ich własny przemysł chemiczny. Wtedy to kariera Nanah ruszyła w zawrotnym tempie. Została pracownikiem UNESCO. Mianowano ją zastępcą dyrektora generalnego, odpowiedzialną za ochronę dziedzictwa artystycznego, kulturalnego i intelektualnego.

Kiedy w Delhi, w 2018 roku, Anna rozmawiała o niej z bratem, dodawała z udaną zazdrością: „A w dodatku jest taka śliczna!”. Cztery lata później czterdziestoletnia Leah nadal była piękną kobietą, ubraną z wyszukaną elegancją. Gdy witaliśmy ją na lotnisku w Jerozolimie, była w nieskazitelnie białych spodniach i białej bluzce z podwiniętymi rękawami, miała też na rękach mnóstwo bransoletek, które podzwaniały przy każdym jej ruchu. Okazało się potem, że zawsze nosiła masę biżuterii, fałszywej lub prawdziwej, na rękach, szyi, w uszach. Bardzo krótko przycięte włosy kontrastowały z jej kobiecym, wyjątkowym wdziękiem.

Wierność

Wkrótce zorientowałem się, że Giuseppe dał się uwieść tej pięknej, energicznej, stanowczej kobiecie. Zresztą ona również nie pozostała obojętna na jego ciepły urok.

A ja, biedny dominikanin, niedoświadczony w sprawach miłości, wstąpiłem bowiem do zakonu w wieku osiemnastu lat i złożyłem ślubu czystości, którą zachowywałem też w poprzednich latach, wiele razy odgrywałem przy nich rolę przyzwoitki podczas pierwszych tygodni ich wspólnej pracy, kiedy Giuseppe Lombardi właściwie mieszkał w szkole od jesieni 2022 roku do lata 2023 roku, a Leah Nanah została oddelegowana do tej „specjalnej sprawy”, za którym to terminem prawniczym krył się problem terytoriów podległych kontroli NONZ.

Przez kilka miesięcy spędzali razem niemal cały czas, pracując bez wytchnienia i spotykając się wieczorem na obiedzie lub przy kieliszku wina w Amerykańskiej Kolonii, miejscu pasującym do wytwornej elegancji Leah.

Któregoś razu, gdy Giuseppe zaprosił mnie, bym im towarzyszył, odważyłem się wyrazić moje wątpliwości.

- Nie chciałbym wam przeszkadzać — wyjąkałem.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie wiem... Nie za bardzo się na tym znam, ale wydaje mi się, że ty i Leah... jak to wyrazić... Że chyba jesteście w sobie zakochani.

— I co z tego?

— Nie chcę wam...

— Posłuchaj, Pietro. Ja nie jestem wolny i Leah jest mężatką. Oboje jesteśmy związani przyrzeczeniem złożonym drugiej osobie, przyrzeczeniem miłości i wierności. Czy przypuszczasz, że moglibyśmy być tak głupi i słabi, żeby zniszczyć to dla jakiegoś uczucia, choćby nawet... poważnego?

— Jesteś więc zakochany? Ona też? Nie myślę się?

— A ty? Nie jesteś zakochany?

— Jestem dominikaninem.

— Pietro... Pietro, błagam cię. Nie mów takich idiotyzmów. To oczywiste, że jestem pod urokiem Leah, przyznaję, że uważam ją za bardzo piękną kobietę, niezwykle inteligentną i urzekającą. Łączy nas szczerą przyjaźń i bez wątpienia coś więcej... Pociąga mnie, a i ja nie jestem jej obojętny...

— No więc...

— Rzeczywiście mogłoby to być niebezpieczne dla naszych związków, zarówno jej, jak i mojego... Mogłoby tak być, gdybyśmy byli na tyle szaleni, żeby zapomnieć, kim jesteśmy; gdybym ja nie brał pod uwagę tego, że Leah jest taka, jaka jest, dzięki Stevenowi, jego miłości, ich dzieciom... Albo gdyby ona zapomniała, że ofiarowałem swą miłość na zawsze jednej, jedynej kobiecie i że jestem księdzem, który ślubował przestrzegać celibatu. Musisz przyznać, że to wystarczające powody do zachowania wierności. Nie jesteśmy dla siebie stworzeni, Pietro, i oboje to wiemy. Zbudowaliśmy życie na innych związkach i może właśnie dlatego nasze uczucie jest tak intensywne.

— Dlaczego więc spotykacie się tak często, skoro wiecie, że jest to niebezpieczne?

— Właśnie dlatego, że to wiemy. Kocham Leah, ale pamiętam, że jest żoną Stevena, a ona kocha mnie jako męża Chiary i wiernego zasadom księdza. Zdajemy sobie sprawę, że się sobie podobamy, że moglibyśmy się kochać jak mężczyzna z kobietą, ze wszystkimi związanymi z tym implikacjami, czułością, niepewnością, kto wie... Jednak mam do niej wystarczające zaufanie, tak jak ona do mnie, i dzięki temu jesteśmy pewni, że nie przekroczymy tej linii.

— A co jest dla ciebie tą linią, Giuseppe? Kochasz ją i stawiasz sobie jakąś granicę? Czy tą granicą jest sypianie z nią?

— Nie, ważne jest, abym nie zawiódł jej zaufania ani nie zawiódł siebie samego...

— A gdyby do tego doszło, to...

— To by znaczyło, że w tym, co nas łączy, nie ma niczego poważnego, że w moim sercu nie ma już miejsca dla Chiary. Oznaczałoby to, że złamałem słowo dane mojemu biskupowi i że sprzeniewierzyłem się miłości do Chiary. Jest coś takiego, jak wierność uczuciom, ale istnieje również wierność wobec zobowiązań, danego słowa, przysięgi, którą złożyłem Chiarze, że pozostanę jej wierny ciałem i duszą... Nie chcę zdradzać ani Leah, ani Chiary, ani siebie samego, ani Kościoła...

— A jeśli ulegniesz požądaniu?

— Czy mam wyłupić sobie oczy, uciąć rękę lub co innego? Ale wyznam ci coś, Pietro. Nie ulega wątpliwości, że jej požądam, bo jej piękno sprawia mi rozkosz. I co z tego?

— Ewangelia mówi, że...

— Czym jest żądza? Żądza to traktowanie drugiej osoby jak rzeczy, jak przedmiotu, który się wykorzystuje... Ale można też traktować siebie samego jak rzecz, przedmiot, zwierzę bez duszy. Jeśli posiądem kobietę, nie troszcząc się o jej i moje uczucia, o nasze dotychczasowe życie, nasze dusze i nasze ciała, to z pewnością zawiódę nas oboje i będzie to grzech. Ale jeśli będę negował fakt, że moje życie, moje uczucia, moja dusza i moje ciało doznają pożądania, szczęścia, rozkoszy i radości, to zamienię się w maszynę, istotę bezwolnie wykonującą pewne gesty.

— Problem nie leży w tym, czy się wie, że...

— Właśnie w tym, Pietro. Czy jesteś w stanie przeżyć całe życie i nigdy się nie zakochać, nie zakosztować przyjemności, że podobasz się kobiecie i że ona ci się podoba? Jeśli to potrafisz, Pietro, to powiem, co myślę o tobie: że jesteś bydlęciem albo bezdusznym kamieniem, albo słabym człowiekiem, który wypiera się tego, co czuje, ze strachu przed zejściem na złą drogę, albo dlatego, że nie rozumie, czym jest grzech; albo brutalnym psychopatą, gwałcicielem, pedofilem i czym tam jeszcze chcesz... — Przyglądał się z uśmiechem mojej oburzonej minie. — No, więc, idziesz ze mną napić się czegoś, czy zamierzasz dalej odgrywać świętoszka, *fratello*?

Jimi Hendrix

Nigdy nie przekroczyli granic bliskości, mając przy tym świadomość, że są dla siebie nawzajem pociągający. Lubili dyskutować, razem śmiać się i traktowali swą wzajemną przyjaźń jako niezwykle cenny dar.

Wiele lat później, kiedy Giu — oprócz najbliższej rodziny tylko Leah zwracała się do niego tym zdrobnieniem — został papieżem, nadal wykorzystywał każdą okazję, żeby powiedzieć komplement o urodzie lub elegancji tej, która została „jego” kardynałką, a ona reagowała na to trochę za głośnym chichotem. Kiedy zaś wybuchła „afera z Carrière” w związku podejrzeniem, że tę teolożkę i papieża coś łączy, Giuseppe powiedział do mnie ze śmiechem:

— Gdybym miał ulec pokusie wobec jednej z moich kardynałek, to sam wiesz dobrze, że nie ona by nią była...

Steven Baltimore przyjechał w styczniu 2023 roku, żeby przekonać się o wynikach pracy Leah i jak sam mówił, „żeby poznać faceta, o którym bez przerwy opowiadała”.

— Jestem człowiekiem zazdrosnym, nie ufam Włochom, a do tego moja żona jest zbyt ładna... — powiedział.

Przy ich pierwszym spotkaniu wyczuwało się pewien dystans, przynajmniej ze strony Stevena. Opowiadał o tym tak:

„Pamiętam, że działo się to w Amerykańskiej Kolonii, o której mówiła stara piosenka *Dy lana*, śpiewana przez Hendriksa, *All along the watchtower*... Czulem się dziwnie, sam siebie przekonywałem, że czekam po prostu na jakiegoś księdza, kolegę mojej żony. A potem zobaczyłem go, gdy wszedł do restauracji. Był to facet atletycznej budowy, w wieku czterdziestu trzech lat, ja zaś miałem pięćdziesiąt pięć i zaczynało to już być widoczne... Pomyślałem, że wcale nie wygląda na księdza. Że to mój wróg. Podszedł do stolika, ucałował serdecznie Leah i uściśnął mi rękę na powitanie. Przez dobry kwadrans naprawdę go nienawidziłem... Potem obserwowałem, jak Leah roztacza przed nim swój czar, a on odpowiada jej w tym samym tonie... Jeżeli chcieliby mnie oszukać, to bardziej by się z tym kryli. Giuseppe zaczął rozmawiać o naszych dzieciach i wtedy pomyślałem, że jeśli chciałby odebrać mi Leah, to przecież nie przypominałby o tym, że jestem ojcem jej dzieci...

Zamówiłem jeszcze jedno piwo *maccabi beer*, zjedliśmy *enchiladas*, żeberka po meksykańsku, i tak zostaliśmy przyjaciółmi”...

Przy *maccabi beer* i *enchiladas* rozmowa toczyła się o wszystkim, o Bobie Dylanie, Jimim Hendriksie... Giuseppe widział w tej parze Afroamerykanów przedstawicieli kultury metyskiej, bluesa i rocka, literatury żydowskiej, hinduskiej i irlandzkiej, kina włoskiego i amerykańskiego, a jednocześnie jakąś beztroskę, której brakowało w jego edukacji rodem z bardzo „starej Europy”.

Oczywiście rozmowa dotyczyła także ich córek. Szczere zainteresowanie nimi zaważyło na przyjaźni tych trojga ludzi.

Leah i Steven mieli dwóch synów, Nelsona i Leopolda¹ (zdrobniale Nel i Leo), którzy byli prawie w tym samym wieku, co Clara i Cecilia. Mieli również adoptowaną córkę Paulę, urodzoną w 2000 roku. Była to córka zmarłej na AIDS kuzynki Leah. Zaadoptowali dziewczynkę, gdy miała siedem lat. Nowemu przyjacielowi opowiadali szczególnie o niej, bo podobnie jak Clara i Cecilia cierpiała z powodu śmierci matki. [Na cześć Nelsona Mandeli i Leopolda Sedara Senghora. Steven żartował, że trzeciemu synowi Leah chciała nadać imię Martin Luther, on natomiast wolał imię Malcolm. Ponieważ nie mogli się dogadać, wybrali abstynencję.]

Jesienią 2022 roku Giuseppe pojechał najpierw do Rzymu, a potem do Bolonii. Córki przebywały u Anny. Wyjaśnił im, że muszą poczekać jeszcze kilka miesięcy, zanim będą mogli zamieszkać razem we własnym mieszkaniu, bo jego czeka dłuższy pobyt w Jerozolimie.

Po powrocie do Jerozolimy powiedział w mojej obecności Leah, jaką katastrofą stało się jego życie rodzinne. Clara oświadczyła mu wprost:

— Nic mnie nie obchodzi Jerozolima i Palestyńczycy. My zwyczajnie chcemy mieć ojca, który nas kocha i nami się zajmuje, bo matki już nie mamy!

Zajęty rozwiązywaniem kryzysu w Jerozolimie tracił kontakt z córkami. Śledził pracę ekipy dochodzeniowej na esplanadzie, badającej rozdarłe wybuchem wewnątrz Wzgórza Świątynnego, szukającej obiektywnej prawdy, detonatorów, śladów prochu, jakiegoś znaku...

Nie ma jednak obiektywnej prawdy, gdy rozmawia się z dwiema młodymi dziewczynami, które nie mają matki i nie rozumieją ojca.

Przyrzekł im, że spędzą razem święta Bożego Narodzenia. Tymczasem dzień ten stał się dobrą okazją do wspólnej dyskusji ze wszystkimi tymi, którzy obchodzili to święto w bazylice w Jerozolimie i w Betlejem. Wieczorem w dniu urodzin Clary, 22 grudnia 2022 roku, Giuseppe powiadomił córki telefonicznie, że przyjedzie dopiero 26 grudnia. Kiedy Clara rzuciła słuchawkę, nie słuchając jego wyjaśnień, Anna podeszła do telefonu i powiedziała mu:

— Popelniasz błąd, Giuseppe... Nawet jeśli nie masz wyboru, to źle czynisz, starszy bracie.

Rok porządków

Podział ról

Było to tylko jedno z pierwszych nieudanych spotkań ojca z córkami. Problem świętych miejsc został załatwiony pomyślnie, ale negocjator Stolicy Apostolskiej i zastępca dyrektora generalnego UNESCO zaczęli snuć wspólne marzenie o zmianie oblicza Jerozolimy. „Te święte miejsca należą do wszystkich ludzi, trzeba więc i ten teren uczynić własnością wszystkich”. Nie wiem, kto pierwszy z nich wygłosił tę ideę, ale nie ulegało wątpliwości, że są w tym zgodni.

Leah Nanah i Giuseppe Lombardi, oddelegowani do Jerozolimy przez swych przełożonych, jako pierwsi rzucili myśl o „ogólnoswiatowych terytoriach”, nowych enklawach o statucie eksterytorialnym, podlegających administracji, jurysdykcji i policji NONZ tak jak to jest obecnie. [Ich początkową ideą było przyznanie świętym miejscom (przede wszystkim chrześcijańskim) takiego samego statutu, jaki mają ambasady NONZ, strzeżone przez żołnierzy w niebieskich hełmach. W końcowej fazie do oddziałów niebieskich hełmów mieli być rekrutowani żołnierze izraelscy i palestyńscy, z których powstałaby „mieszana policja”, ale nie udało się tego zrealizować. Chodziło o doprowadzenie do „przykładnego pokoju”.]

Przy tym nowym zadaniu podzielili się rolami. Nanah miała przekonać swoją organizację, ale przede wszystkim konsulaty różnych krajów oraz rząd izraelski, gdyż wszyscy oni uważali, że mają prawo do świętych miejsc lub do podległych im terytoriów. Lombardi miał za zadanie przekonać wszystkie Kościoły chrześcijańskie,

które sprawowały pieczę nad świątyniami, że powinny odstąpić tę rolę wyznaczonym do tego celu przez NONZ „strażnikom świętych miejsc”.

Zaczęły się pertraktacje. Giuseppe miał wsparcie monsignore Nasrallaha, sprawcy „cudu” z nocy 15 sierpnia, kiedy to udało mu się w ciągu kilku zaledwie godzin namówić przedstawicieli innych Kościołów do wejścia do bazylik w świętych miejscach.

Siedemnaście dni uwięzienia w charakterze „dobrowolnych zakładników” przyczyniło się do zacieśnienia cennych więzów między zamkniętymi w dwóch świątyniach dygnitarzami. Trzeba było rozmawiać z każdym z nich z osobna, przekupywać, grozić, blefować, przekonywać tak, jak się to dzieje między politykami.

Nie mogę ujawnić sekretów tych rozmów. Nasze relacje z innymi Kościołami chrześcijańskimi są nadal kruche. Nie wolno mi ryzykować wzniecenia na nowo sporów czy urazów przez opisywanie wahań, zmian zdania, przytaczania różniących nas argumentów, czasami jakby z innego wieku.

Nie dodam nic więcej nad to, co opisał monsignore Nasrallah — mogę tylko uchylić rąbka tajemnicy odnośnie do strony katolickiej w tych negocjacjach. [Jerozolima, trzynaste lat dla pokoju, Genewa 2005.]

„Pokój tobie, Jerozolimo”

Joshua Berg był przyjacielem Stevena, tak jak i on adwokatem, działającym na rzecz *affirmative action*.

Kiedy mąż Leah przyjechał do Jerozolimy w styczniu 2023 roku, postanowił spotkać się Bergiem. Berg zdecydował się na *aliję*, powrót do kraju przodków, i od czterech lat mieszkał w Jerozolimie.

Steven Baltimore doprowadził do naszego spotkania z Joshuą, żeby wyjaśnił on nam, co nie pozwala Żydom odstąpić choćby skrawka ich „odwiecznej stolicy”, nawet metra kwadratowego zajętego przez Kościół chrześcijański.

Pierwsza rozmowa miała miejsce w Amerykańskiej Kolonii, która stała się naszą drugą siedzibą. Potem było wiele kolejnych rozmów, ale już za pierwszym razem szybko przystąpiliśmy do zasadniczego tematu.

— Wielką pokusą dla człowieka wierzącego, zarówno dla was, jak i dla nas, jest bałwochwalstwo — mówił Joshua. — W najgorszym razie dotyczy ono człowieka, ale najczęściej świętych tekstów, jakiejś świątyni, terytorium. Niektórzy powiadają, że Biblia jest świętą księgą, Słowem Bożym. Ale ja mógłbym ją wrzucić do ognia bez żadnych skrupułów... Bo to tylko książka.

— Jednakże przez tę księgę przemawia do nas Bóg — zauważył Steven.

— Tylko w pewnym sensie — zaśmiał się Joshua.

— Wierzyłem, że Biblia jest Słowem Bożym, czyżbym się mylił? — zwrócił się Steven do Giuseppe.

— Czy sądzisz, że Bóg dał się zamknąć w księdze, w słowach zawartych na jej stronach?

— Bóg wykracza poza słowa — szepnął Joshua.

— Masz rację, Joshua. To właśnie miałem na myśli. Ten, kto słucha Biblii, może czuć tchnienie Słowa Bożego. Ale nigdy go nie posiadzie.

— Czy nie jest to unikanie odpowiedzi?

— Nie masz pojęcia o teorii, Steven... Podobnie było w Kolumbii — zażartował Joshua. — Czy wiesz, dlaczego według rabinów w hebrajskim tekście Biblii nie ma samogłosek? Bo nabierają one znaczenia dopiero przy czytaniu na głos.

— To także problem władzy, Steven — dodał Giuseppe. — Możesz w ten sposób wykorzystać Słowo Boga na własny użytek i przekazać je tym, którzy go potrzebują...

— Gdy Słowo rozbrzmiewa w twoim życiu, w głębi twojej egzystencji, jest relacją między Bogiem i tymi, którzy go słuchają, to znaczy, że go nie instrumentalizujesz — dodał Joshua.

Tym razem to Giuseppe roześmiał się na całe gardło.

— Joshua właśnie przytoczył wstęp do Ewangelii św. Jana: „A słowo ciałem się stało i zamieszkało wśród nas”. [Ewangelia według św. Jana, Prolog 14.]

Kiedy indziej, gdy ponownie dyskutowali o Bogu, który się ukrywa, którego imienia nawet się nie wymawia, Joshua wyraził taką opinię:

— Bóg nie jest bardziej obecny w Arce niż w Świątyni czy w Prawie Mojżeszowym. — Spojrzał na swoich trzech chrześcijańskich przyjaciół (ja trzymałem się nieco z tyłu) i dodał: — Ani w Kościele, w Eucharystii czy waszych dogmatach.

Giuseppe odpowiedział mu po chwili namysłu:

— Bóg uosabia się poprzez gesty, za których pośrednictwem, z jego woli, oddajemy mu cześć. Ale kiedy wydaje nam się, że już go dotykamy, umyka przed nami. W tym, Joshua, zgadzam się z tobą.

Kilka razy, kiedy byliśmy sami, czytaliśmy Psalm 122, pochwałę Jerozolimy:

*Proście o pokój dla Jeruzalem,
niech zażywają pokoju ci, którzy ciebie miłują!
Niech pokój będzie w twoich murach,
a bezpieczeństwo w twych pałacach!
Przez wzgląd na moich braci i przyjaciół
Będę mówił: „Pokój w tobie!”.*
[Księga Psalmów, Psalm 122, 6–8.]

Namaszczenie młodego Dawida

Wyświęcenie Giuseppe na biskupa nastąpiło krótko potem, w przyspieszonym tempie. Monsignore dał do zrozumienia papieżowi, że do negocjacji z przywódcami innych Kościołów chrześcijańskich i do nadania im większej wagi konieczny jest biskup. W styczniu Giuseppe napisał do Ruarda: „Ustawicznie natykamy się na ten problem: kiedy wreszcie Ojciec Święty przyśle tutaj kogoś wyższego rangą, aby rozmowy mogły nabrać szybszego tempa?”.

Sylwester odpowiedział mu jeszcze tego samego dnia przez czerwony telefon: „Ponieważ jesteś już zaangażowany w te rozmowy, nie widzę nikogo innego o większych kwalifikacjach do tego rodzaju negocjacji. Ustaliliśmy datę twojego wyświęcenia na biskupa. Odbędzie się ono 19 marca 2023 roku, w czwartą niedzielę Wielkiego Postu, w dzień świętego Józefa”.

Dokładniejsze informacje przesłał Ruardo. W tym samym dniu

mieli zostać wyświęceni również dwaj inni księża — Afrykańczyk, Marcel Bigo, i Chorwat, jeden spośród zwolenników Meksykanina, a to „z obawy, żeby nie wzbudzić ich niechęci”, jak napisał Ruardo. Tym Chorwatem był Franjo Dranic, rzecznik katolicyzmu integralnego.

Dwa dni przed uroczystością Giuseppe poleciał samolotem do Rzymu wraz monsignorem Nasrallahem. Patriarcha zgodził się być współkonsekratorem, obok papieża i monsignora Ruarda. Paul Assoumou wołał nie brać udziału w ceremonii, żeby nie drażnić Meksykanów, skupionych wokół Franja Dranicia.

Na lotnisku w Rzymie przywitały Giuseppe córki. Anna opowiadała, że Clara chciała odegrać się na nim i zepsuć mu świąteczny nastrój za to, że nie było go w dniu jej urodzin i na Boże Narodzenie. Została jednak wsadzona do samochodu i udało się jakoś temu zapobiec. Tak to zaledwie rok po wyborze Sylwestra, monsignore Lombardi awansował, ale stracił nadzieję, że zdoła więcej czasu poświęcić rodzinie.

W Bazylice św. Piotra byli jedynie krewni trzech czekających na wyświęcenie duchownych. Niewielka grupa obecnych, zagubiona pod gigantycznym sklepieniem, wysłuchiwała fragmentów Pisma Świętego, wybranych na tę niedzielę. Przypuszczam, że Izaak i Jakub musieli być wzruszeni, gdy kleryk odczytywał formułę wyświęcenia młodego Dawida przez proroka Samuela. Giuseppe Lombardi stał się biskupem *in partibus orbi*. Dwa dni potem wyjechał z patriarchą — bo okres Wielkanocy sprzyjał pewnym rozmowom...

Koszmar samotnego terrorysty

Postęp w rozmowach z innymi Kościołami był szybszy, niż się spodziewano. Przez pięć lat państwo izraelskie wciąż odwoływało się do swego prawa własności większości terenów świętych miejsc. Perspektywa konieczności zapłacenia zaległego od wielu dziesięcioleci podatku skłoniła część Kościołów chrześcijańskich do wejścia

w nowy układ prawny, gwarantowany przez instancje międzynarodowe.

Należało jedynie sprawdzić raz jeszcze przywileje każdego z nich, prawa i zobowiązania. Monsignore Nasrallah panował doskonale nad tym wszystkim.

Leah była pełna optymizmu. Uważała, że w ciągu roku uda jej się uzyskać zgodę państwa izraelskiego. Wymuszała na swoich rozmówcach przystąpienie do międzynarodowych organizacji. [Jej działania były tak skuteczne, że Stany Zjednoczone, Chiny i Afryka Południowa dołączyły do tworzonej Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych, nie żądając odszkodowania.] Tel Awiw przeżywał poważne kłopoty finansowe. Trzeba było znaleźć międzynarodowych protektorów gotowych wyłożyć ogromne sumy, aby spłacić długi świętych miejsc oraz uregulować kupno enklaw... Leah liczyła na różne państwa, które cieszą się autorytetem, zwłaszcza na Francję.

Na początku czerwca pewne wydarzenie wzmocniło autorytet zastępcy dyrektora generalnego UNESCO i przyczyniło się do polepszenia klimatu rozmów. Międzynarodowa komisja dochodzeniowa pod przewodnictwem Brazylijczyka Alfonsa de Miello ogłosiła ostateczne wnioski na temat zamachu z sierpnia 2022 roku.

Inspektorzy komisji orzekli, że Brytyjczyk Oliver Elmwood [Aresztowany w listopadzie 2022 r. w Wielkiej Brytanii, został bardzo szybko zidentyfikowany jako sprawca kradzieży materiału wybuchowego na placu rozbiórki Al-Boustan. Właśnie ten materiał został użyty w sierpniowym zamachu. Szybko przyznał się do tego czynu, ale opinia publiczna nie chciała uwierzyć, że jeden człowiek zdołał spowodować zawalenie się Ściany Placzu. Sądzony zaocznie w Tel Awiwie, został przewieziony do Izraela, gdzie skazano go na karę dożywotniego więzienia.] zaplanował, zorganizował i dokonał zbrodniczego zamachu, który zniszczył esplanadę Al-Aksa i poważnie naruszył mury Świątyni. Człowiek ten, archeolog, członek międzynarodowej organizacji IDE, podłożył materiał wybuchowy, dostawszy się na miejsce podziemnym przejściem na terenie wykopalisk w Mazar. [IDE (Integrated Development Environment) – Zintegrowane Środowisko Programistyczne.] Nie miał żadnych współników poza wsparciem tej organizacji. Przez ponad rok kupował małe ilości materiałów wybuchowych pod pretekstem, iż są mu potrzebne w jego pracy przy wykopaliskach. Wydaje się także, że okradł magazyn znajdujący się na terenie wykopalisk i w

ten sposób zdobył wystarczającą ilość dynamitu do wywołania eksplozji. Użyte przez niego zapalniki i detonatory nie należały do wyposażenia armii izraelskiej, nie mieli takich również bojownicy palestyńscy.

Ostateczny wniosek sformułowany w tym dokumencie brzmiał jak ostrzeżenie:

„Komisja dochodzeniowa nie jest w stanie oskarżyć nikogo o odpowiedzialność za to, że Oliver Elmwood bezkarnie przygotowywał się przez cały rok do zamachu. Odkryto szereg poważnych zaniedbań w ochronie terenu wykopalisk oraz świętych miejsc, ale są to częste niedociągnięcia. Komisja zwraca uwagę rządów oraz narodowych i międzynarodowych czynników na realne niebezpieczeństwo grożące ze strony ugrupowań zbliżonych do IDE, których ideologia skłania się ku antyreligijnemu terroryzmowi”.

Doskonały moment do spokojnej rozmowy między braćmi w Chrystusie

Wtorek 4 lipca 2023 roku... Giuseppe obchodzi swoje czterdzieste trzecie urodziny w Jerozolimie. Sylwester III powiadomił go, że ma wrócić do Rzymu we wrześniu. Do Jerozolimy będzie jeździł już tylko w krótkich misjach.

Od dwóch dni wiedziałem, że wyjadę razem z nim, jeśli mój prowincjał zgodzi się, bym dla monsignore Lombardiego był kimś w rodzaju „Szerpy” w labiryncie Kurii Rzymskiej, o której Giuseppe mówił jak o jaskini zbójców.

Jedliśmy obiad u monsignore Nasrallaha, a wraz z nami byli Steven, Leah i Joshua Berg. Rozmowa dotyczyła szans pomyślnego zakończenia w 2024 roku podjętych przez nas spraw, a potem wyjazdu Giuseppe do Kurii.

— Sądząc po trudnościach, jakie miałeś z franciszkanami nie będzie to łatwa sprawa, monsignore — stwierdził Berg. — Podczas gdy inne Kościoły poczyniły ustępstwa, twoi katolicy nadal się opierają. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, jak powiada żydowskie przysłowie. [Franciszkanie od czasu wypraw krzyżowych sprawują opiekę nad Ziemią Świętą, a tym samym kontrolę nad wszystkimi katolickimi świątyniami.]

— Jutro spotykam się po raz ostami z kustoszem Piotrem Szewczykiem — powiedział Giuseppe zdecydowanym głosem. — Przypomnę mu, że obowiązuje go posłuszeństwo wobec wyższej władzy, skoro nie chce słuchać tych, którzy działają dla pokoju i wspólnego dobra.

— Chciałbym być przy tym obecny — uśmiechnął się patriarcha.

Giuseppe wszedł do siedziby kustosa z wyrazem zdecydowania na twarzy, z teczką zawierającą dokumenty, poświadczające, iż jest specjalnym wysłannikiem papieża do Ziemi Świętej, dające mu władzę nad tymi wszystkimi, którzy pragną pozostać w jedności z Rzymem. Rankiem tego dnia powiedział do mnie:

— Tym razem Szewczyk musi ustąpić...

Od razu na wstępie dał do zrozumienia, jaki jest cel jego wizyty.

— Bracie Piotrze, minęło już dziesięć miesięcy od naszej rozmowy o tym, że musisz zrzec się przywileju kontrolowania świętych miejsc. Przybyłem dziś, by usłyszeć, że się zgadzasz...

Nieustępliwy franciszkanin pojął, że przyszła pora ostatecznego starcia.

— Monsignore — powiedział — zdaję sobie sprawę, że nasze pragnienie pokoju jest równie gorące jak wasze. My jednak dobrze znamy ten kraj, wiemy, jakie skarby powierzyli nam nasi poprzednicy, którzy zdobyli je za cenę krwi. Nie jest dobrze, jeśli pokój buduje się na zaniechaniach. Służymy tutaj chrześcijanom od...

— Od wieków, wiem. Dokładnie mówiąc, od czasu, gdy wasz założyciel przybył pertraktować o pokoju z kalifem Bagdadu. Mużłmanie uznali, że bracia franciszkanie będą wówczas mniej groźni i zarazem lepsi jako strażnicy. Ale gdyby święty Franciszek był przy tym obecny, czy nie wybrałby ubóstwa, żeby zyskać pokój?

— Proszę pozwolić, monsignore, że to ja osądzę, co zrobiłby święty Franciszek...

— Nie, nie pozwolę...

Rozpoznałem metaliczny ton w głosie Giuseppe. Potrafiłem już wyczuwać jego nastroje. Czuję, że tym razem nie był to gniew udawany. Widziałem, jak drgają mu nozdrza, słyszałem jego przyspieszony oddech.

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał prawo ciągnąć korzyści, powołując się na dziedzictwo świętego Franciszka, bo głosił on

Ewangelię. I nie sędę również, żeby ktokolwiek mógł rościć sobie choćby najmniejsze prawo do miejsca, gdzie modlimy się do tego samego Boga.

— Znam argumenty Jego Eksceleńcji o ubóstwie ewangelicznym, ale to tylko polityka, a ja bronię praw wiary, praw Boga.

— Praw Boga!

W oczach Giuseppe Lombardiego pojawił się błysk. Jego źrenice stały się dziwnie zielone, jak u dzikiego zwierzęcia.

— Oskarżasz mnie o fałszywe ubóstwo, bracie Piotrze? To ja powiem ci, czym jest prawdziwe ubóstwo, a także posłuszeństwo... W imię pokoju. — Zerwał się gwałtownie, zwracając się do księdza per ty.

Przeszedł kilka kroków, stanął tyłem do franciszkanina. Widziałem tylko jego z lekka zgarbione plecy. Nagle uderzył otwartą dłonią w ścianę.

— A niech to szlag!

Odwrócił się i, nie panując już nad sobą, powiedział niebezpiecznie zimnym głosem:

— Kiedy rozmawiałem o świętym Franciszku z emirem Bombaju, zabójcą, rozumieliśmy się. Kiedy rozmawiałem o pokoju i koniecznych wyrzeczeniach z patriarchą grekokatolików, który ma siedzibę pod Scianą Płaczu, rozumieliśmy się. Kiedy dyskutowaliśmy o pokoju z izraelskimi generałami i z palestyńskimi fedainami, rozumieliśmy się. — Przemierzył pokój i oparł ręce na stole, za którym franciszkanin siedział bez ruchu. — A kiedy rozmawiam z tobą, bracie Piotrze, to nie możemy się porozumieć? A może ty tego nie chcesz?

Franciszkanin był śmiertelnie blady, na jego skroniach, nosie, policzkach pojawiły się krople potu.

W głosie Giuseppe brzmiały groźne nuty:

— A więc po raz ostatni wyjaśnię ci wszystko jeszcze raz, powoli i spokojnie. — Pochylił się nad stołem i zbliżył twarz do twarzy franciszkanina, który cofnął się na oparcie fotela. — Nie chcesz zrzec się praw do sprawowania opieki nad świętymi miejscami? Dobrze, jutro wręczysz mi własnoręcznie napisany dokument, powiadamiający mnie o twoim stanowisku. Następnie poprosisz przełożonych twojego zakonu, żeby przeniesiono cię gdzie indziej, do innego klasztoru, albo do domu dla emerytów, albo żebyś zebrał na drogach zgodnie z twoją regułą. — Uderzył dłonią w blat stołu, aż Szewczyk zasłonił ręką twarz. — Wyjaśnisz wszystkim tym, którzy

będą ci mieli za złe, że odchodzisz, że taka jest wola papieża, którą przekazał ci jego specjalny wysłannik, monsignore Giuseppe Lombardi. — Odwrócił się, żeby już odejść, ale zmienił zdanie i wymierzając palec we franciszkanina, dodał: — Jeżeli ktokolwiek z twoich ludzi ośmieli się kwestionować moją decyzję, poinformuj go, że czeka go rozmowa ze mną. Podniósł swoją teczkę i spokojnym głosem powiedział:

— Idziemy, Pietro. — I zanim trzasnęła drzwiami, rzucił: — Do jutra, bracie Piotrze.

Transakcja

Giuseppe zadzwonił do mojego prowincjała w Neapolu.

— Pietro potrzebny mi był w Jerozolimie — powiedział. — A teraz jest mi potrzebny w Rzymie. Ksiądz wie, że w służbie papieżowi usiłujemy kontynuować dzieło Jana XXIV...

Czy dominikanin mógł opierać się wobec wzmianki o papieżu w białej sutannie?

Podczas gdy Giuseppe przebywał w Indiach, odwiedziłem moją matkę w Neapolu, a także udałem się do mojego prowincjała, żeby omówić sprawę związane z odejściem z zakonu.

Wyjeżdżając z Jerozolimy, Giuseppe najwyczejniej w świecie oznajmił:

— Twoje bagaże każę zawieźć do mojego mieszkania, zanim znajdziesz sobie jakieś lokum.

Kiedy przyjechałem do Rzymu, moje dwa kufry stały w jednym z pokoiów przeznaczonych dla córek. Swoje rzeczy Giuseppe ulokował w drugim i odtąd duży pokój służył nam jako gabinet do pracy i jadalnia.

Mieszkalem tam przez siedem lat. Dlaczego Giuseppe Lombardi, który zawsze lubił samotność, zgodził się na takie wspólne przebywanie ze mną? W tym pytaniu kryje się cały sekret naszej przyjaźni, która nakazywała mu nazywać mnie *fratello*.

Paul Assoumou żartował niekiedy z mojego „psiego przywiązania”. [Od bardzo dawna mówiono żartem o dominikanach domini cannes, czyli „psy Pana”.]

— Gdybyś mógł, spałbyś pod drzwiami Jakuba. Jak Mafouz sądzisz, że twój władca potrzebuje mameluka Roustana — takie przezwisko nadał Maurice'owi.

Surowo także ocenił mnie później Cervin. Jego zdaniem należałem do tego rodzaju ludzi, którzy muszą mieć panów, pragną być ich uczniami. Myślę, że z powodu tej uwagi nie zostaliśmy nigdy przyjaciółmi...

Ja wiedziałem, co poświęciłem dla Lombardiego i co dał mi on. Było sprawą oczywistą, że nasze braterstwo przetrwałoby, gdybym nawet chwilowo musiał odejść. Albo gdyby jemu stał się potrzebny ktoś inny...

Faktem jest, że przez te wszystkie lata Giuseppe był współlokatorem miłym, wymagającym, niekiedy trudnym; był towarzyszem, który potrafił czasami zająć się gotowaniem lub usuwał się, gdy z Neapolu przyjeżdżała moja matka. Ale był to również szef, który mógł trzymać mnie całą noc, żebym przetłumaczył mu jakiś komunikat, przejrzał informacje na temat nagłych nieporozumień między wspólnotami na Molukach czy też wypowiedzi patriarchy Moskwy na temat mniejszości muzułmańskich na Kaukazie. Był po prostu przyjacielem, który potrzebował rozmów z przyjacielem.

W ciągu tych lat widziałem palące się do późna światło w jego pokoju, a często i mnie budził. Dziś myślę, że każdej nocy okradał mnie z dwóch godzin życia.

Szare strefy

Pamiętam dobrze ten wrześnieowy dzień w 2023 roku w Rzymie, gdy po raz pierwszy udaliśmy się razem do jego „biura”. Monsignore Lombardi został właśnie mianowany sekretarzem Papieskiej Komisji do spraw Dialogu Międzyreligijnego. Z mieszkania na Via dell'Erba szło się pieszo najwyżej kwadrans. Po drodze Giuseppe uprzedził mnie:

— Ufaj tylko tym, którym ja ufam.

— Papiież ma wrogów w Pałacu Watykańskim?

— Może i w pałacu... A na pewno w Kurii. Prawie połowa kardynałów i setki ludzi zatrudnionych w kongregacjach pragną upadku Jeana-Baptiste'a.

— Dlaczego? On...

— Nieporozumienia i niesnaski nie znikają cudem podczas ostatniej tury głosowania na konklawe. Nie można także usunąć wszystkich wrogów i zostawić pustkę... Poznasz, Pietro, bardzo szarą rzeczywistość, bardzo brzydką. Poznasz odwrotną stronę medalu i nieraz będziesz miał ochotę uciec.

Giuseppe przedstawił mi pokrótce sytuację. Rozkład sił nie zmienił się od czasu wyjątkowo długiego konklawe, które skończyło się wyniesieniem na tron papieski Villepreux. Papież ma świadomość, że pośród stu dwudziestu kardynałów elektorów po jego stronie jest pięćdziesięciu, w większości nominowanych przez Jana Pawła Wielkiego i Jana XXIV.

— Żebyś miał dokładne pojęcie o miejscu, gdzie będziesz pracował, musisz wiedzieć, że wśród czterdziestu dwóch elektorów Ganzą było siedemnastu, może dziewiętnastu kardynałów Kurii, a wśród nich pięciu templariuszy. Poznałeś już jednego z nich, który jest wyjątkiem w tym smutnym pejzażu — kardynała Longdesbois.

— Gazety piszą, że Sylwester mianował Ruarda, żeby zaprowadził porządek.

— Tak, ale łagodnie... Sylwester musi szanować mniejszości. — Giuseppe wymienił kilka nazwisk sojuszników, przeciwników, niezdecydowanych... Szybko zanotowałem je na wyrwanej z notatnika kartce. — Jeśli dodać do tego komisje i rady, w których nie ma kardynałów, w Kurii są dziś trzydzieści dwa stanowiska przewodniczących lub równorzędne. My mamy siedemnastu, a pozostałych piętnastu to Meksykanie... — zakończył Giuseppe.

Powiedział „my”, nigdy nie mówił „papież” ani „Dom Papieski” albo „Francuzi”. Choć tego ostatniego terminu zaczęli używać niektórzy komentatorzy, a także wrogowie, na określenie małej grupy doradców i przyjaciół Sylwestra III, tych, których gromadził on we wtorki na obiedzie w swoim salonie.

Pierwszy krąg

Kronikarze relacjonowali, że w czasie tego wtorkowego salonu były dwa kręgi [Na ten temat warto przeczytać: Francuzi. Czy nowy rodzaj rządów w Watykanie?, autorstwa politologa, Sophie de Lacluze, w piśmie „Polityka, Władza, Zarządzanie”, nr 122 z września 2026 r. Znajduje się tam także bardzo długi wywiad z Cyrilem Dereimem, który opowiada o „strategii rządzenia” Domu Papieskiego i stosunkach więzi w Kurii.] — ale ja przez prawie trzy lata miałem do czynienia tylko z drugim z nich,

z kręgiem współpracowników i doradców. Nieco później, kiedy Villepreux awansował kilku młodych współpracowników, również ja zostałem zaproszony do stołu przyjaciół...

Ale przez jakiś czas było ich tylko pięciu.

O godzinie 20.00 Giuseppe zostawiał mnie przed Spiżową Bramą. Ponownie spotykaliśmy się o godzinie 21.30. Co tydzień, w każdy wtorek, przez dziewięćdziesiąt minut francuski papież jadł obiad ze swymi najbliższymi współpracownikami. Był tam oczywiście Maurice Mafouz, ale przede wszystkim czwórka papieskich asów: dwaj kardynałowie — Antonio Ruardo i Paul Assoumou, biskup Giuseppe Lombardi oraz teolożka Jeanne-Marie Carrière. To, o czym mówili, pozostawało za zamkniętymi drzwiami. Wiem o trzech przestrzeganych przez nich rytuałach: rozmawiali po francusku i zwracali się do siebie po imieniu. W rzeczywistości Ruardo mówił do Sylwestra „Ojciec Święty”, a do pozostałych po nazwisku. Giuseppe był „Jakubem” dla Jeana-Baptiste’a oraz Paula, który ochrzcił Jeanne-Marie skrótem „J.M.C”, a do Villepreux zwracał się „Jego Świątobliwość”. Zgodnie z trzecią regułą każdy miał prawo mówić wszystko...

Do nas dochodziły tylko echa ich burzliwych dyskusji, wiele mówiące o tym, co się działo w gronie tak cennym dla papieża skrzepowanym otoczeniem, którego nie mógł być pewien.

Paul Assoumou zaakceptował mnie szybko, mówił do mnie po imieniu, poklepując po ramieniu swymi wielkimi łapskami. Jemu zawdzięczam mój przydomek.

— Pochodzisz z Neapolu? Dałbym ci przydomek Wezuwiusz, ale masz za spokojny wygląd... Nie możesz też być Muratem, bo nie masz chyba tyle dumy. Jesteś łagodny, masz minę poety, wobec tego będziesz Wergiliuszem... Słuchaj, Wergiliuszu, widziałeś w akcji Maradonę, kiedy był w Neapolu?

Kiedy już mu wyjaśniłem, że byłem za młody, żeby oglądać *pibe de oro* podczas jego pobytu w Neapolu, zrozumiałem, że stałem się jego przyjacielem.

Moją obecność podczas codziennych rozmów z Giuseppe uznał za rzecz normalną, chociaż sam odprawiał swego sekretarza.

— Wolę mieć przy sobie kogoś, kto jest tylko moim współpracownikiem i nic więcej, bo mam już dwóch przyjaciół — żartował.

Paul Assoumou ani przez chwilę nie wątpił, że wybuchnie ponownie wojna z templariuszami i że użyją oni takich samych, jak zawsze brutalnych, podłych, zbrodniczych metod...

Strategie technokratów

W tym właśnie roku, 2023, klan Francuzów podzielił się w opiniach, co należy robić. Ostrożni okazali się nie ci, po których można było tego oczekiwać. Assoumou, dla którego najważniejsza była jedność Kościoła, obawiał się schizmy. Lombardi za najpilniejszą uważał sprawę Jerozolimy, nie bał się wejść do spienionej wody, w Indiach bowiem zdarzało mu się kąpać w rozlewisku z krokodylami. Jeanne-Marie Carrière, która w Lyonie, podczas poprzedniego pontyfikatu, buntowała się i otrzymała zakaz nauczania, [Nie zgodziła się złożyć „przysięgi posłuszeństwa tradycji”, czegoś w rodzaju nowej, antymodernistycznej przysięgi, którą w 2016 r. Pius XIII chciał narzucić wszystkim wykładowcom i teologom.] teraz płonęła z niecierpliwości, żeby walczyć. Poznała gorzki smak donosicielstwa, gdy młodzi ludzie, zapisujący się na jej „wolne wykłady”, dostarczali danych do notatek śledczych Piusa XIII. Ruardo, rozsądny sekretarz stanu, okazywał niezwykle opanowanie. Dość się już naczekał na brzegu rzeki i uważał, że niekiedy trzeba umieć samemu wrzucić do niej wroga. [Natrafiałem na ślady trzech „śledztw pontyfikalnych” z lat 2016–2021, dotyczących swobody, jakiej dopuszczał się wydział teologii w Lyonie, zezwalając na wygłaszanie wykładów osobie, która nie podpisała „przysięgi posłuszeństwa”.]

Ruardo otrzymał nieoczekiwane wsparcie. Morro, stary arcybiskup Bolonii, doszedł do wniosku, że nowy papież popełnia te same błędy, co jego poprzednik Jan, gdy przyszedł moment, żeby rozprawić się z wrogami.

— Jeśli chodzi o kardynałów, to można zostawić ich w spokoju, wzięwszy pod uwagę, w jakim są wieku. Ale w Kurii, Ojciec Święty, użyj całej swej władzy przy nominacjach, bo ci ludzie są bardziej niebezpieczni w twoich biurach niż w swoich diecezjach.

Sylwester wahał się. Ten błyskotliwy intelektualista, duszpasterz ponad wszelką wątpliwość, nie był przygotowany do brudnej polityki, na jaką się natykał. Potrzebował doradców, nie chciał się ograniczać do korzystania z porad przyjaciół.

I tak oto pojawił się ten, który miał zostać prawdziwym doradcą politycznym papieża, „jego Rasputinem, jego Machiavellim”, jak go określił pewien dziennikarz prasy „meksykańskiej”. Od jesieni 2023 roku to Cyril Dereim decydował wraz z Ojcem Świętym o tym, czy walka ma być odłożona, czy też trzeba ją podjąć, na nic już dłużej nie zważając.

Dereim, diakon i ojciec rodziny, został przyjęty niedawno.

— Jean-Baptiste wybrał profesjonalistę, żeby odciąć się od przyjaćiół — skomentował Paul.

Ten wysoki funkcjonariusz europejski, wykształcony w Instytucie Wyższych Studiów Europejskich w Strasburgu, był specjalistą w międzynarodowej strategii. Nie darzył sympatią templariuszy, udaremniał ich próby spenetrowania pewnych środowisk europejskich przez ludzi z Templum Christi.

Plan Luksemburczyka był szybko gotowy: przeszkadzać praktykom przeróżnych „gryzipiórków” i nigdy nie podawać w wątpliwość szczerości ani wiary „naszego czcigodnego poprzednika, który stawiał czoło tylu ciężkim doświadczeniom”. Żeby zadać cios, trzeba czekać na odpowiedni moment. Papież uciął dalszą dyskusję. Zakazał podejmowania jakichkolwiek ruchów przed synodami na poszczególnych kontynentach, które zwołał na 2024 rok. Spotkania biskupów miały być okazją do ostatecznego rozwiązania problemu templariuszy.

Pierwszy synod postanowiono zwołać w styczniu 2024 roku w Jamusukro, stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej. Paul zapewniał, że wywiąże się ze swojego zadania. Wyniki kolejnych synodów, przewidzianych aż do jesieni 2024 roku, nie były już takie pewne.

„Che”

Taktyka bazylii

Początek listopada 2023 roku przypominał w Rzymie babie lato, podczas gdy na ogół ten miesiąc w stolicy Włoch to pora deszczów i silnych wiatrów.

— W taki wieczór posiedzimy na tarasie — postanowił Giuseppe, otwierając okno swojego gabinetu na Via dell'Erba.

Był w dobrym nastroju. Z Jerozolimy nadchodziły pomyślne wieści. Leah Nanah robiła postępy w pertraktacjach z NONZ i rządem izraelskim, również „męska” rozmowa z polskim kustoszem przynosiła owoce. Martwiło go jedynie to, że w najbliższe Boże Narodzenie znowu będzie musiał tam pojechać.

Dwa dni wcześniej do Giuseppe zadzwonił Godfrey Anil, stary kardynał jezuita, który właśnie przyjechał do Rzymu, i wprosił się na obiad. Dotrzymał obietnicy, jaką złożył we wrześniu, i przywiózł ze sobą Felipa Arrau, generała Towarzystwa Jezusowego, któremu towarzyszyło dwóch młodych jezuitów.

Giuseppe czekał na taką okazję. Współpraca jezuitów, którzy odradzali się z popiołów, była niezbędna w związku ze zbliżającymi się synodami.

Jeśli chodzi o obiad, monsignore Lombardi liczył na dwóch bardzo przekonujących sojuszników. Pierwszym był pasztet z bazylią i czosnkiem, który podawał zazwyczaj do sznycli cielęcych z cytryną, a dania te w wystarczający sposób mówiły same za siebie. Drugim natomiast był Godfrey Anil, najlepszy jako pośrednik między „zbuntowanym blogerem” i „kardynałem partyzantem”. Jeśli chodzi o stronę dyplomatyczną, pasztet osiągnął zamierzony cel. Pod

koniec wieczoru zostaliśmy sprzymierzeńcami, a nawet przyjaciółmi „papieża w czerni”. Najważniejsze jednak było to, że spotkał się wtedy po raz pierwszy Bartolomea. [Tak w Rzymie nazywano generała Towarzystwa Jezusowego. Jezuici składają przysięgę posłuszeństwa jedynie papieżowi, tak więc ich najwyższy przełożony podlega wyłącznie władzy „papieża w bieli”.]

Ten nieśmiały młody człowiek, kulejący na lewą nogę, wszedł do naszego trzypokojowego mieszkania, towarzysząc Felipemu Arrau. Przez pierwsze trzy godziny siedział, nie odzywając się ani słowem.

Felipe Arrau przyprowadził go, ponieważ uważał, że w przyszłości odegra on istotną rolę w Towarzystwie Jezusowym. „Papież w czerni” chciał, żeby jego podopieczny nauczył się wielkiej polityki.

Kulawy na motocyklu

Pamiętam moment, w którym Bartolomeo odezwał się po raz pierwszy. Właśnie snuliśmy wspomnienia o walce z Meksykanami. Arrau niespodzianie wskazał na niego. Był to młodzieniec niskiego wzrostu, bardzo szczupły, wręcz chudy, o bardzo jasnej karnacji, z wąskimi ustami, zapadniętymi policzkami i zgarbionymi plecami. Jego czarne włosy były gęste, błyszczące, a niesforne kosmyki opadały na ciemnobrązowe oczy. Już na samym początku zwróciliśmy uwagę na to, że mówił po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem.

— W naszym partyzanckim gronie — rzekł Arrau — Bartolomeo jest tym, który przybył z najdalszych ziem... Kiedy do niego zadzwoniłem, wrócił właśnie z wizyty u swojej rodziny. No, Bartolomeo, powiedz o sobie.

Bartolomeo miał niezwykły głos, bardzo niski, chrapliwy. Stanowił jego jedyną broń, gdy przemawiał w różnych miejscach.

— Pochodzę z Peru, z regionu andyjskiego. Moja matka umarła w wigilię tego dnia, kiedy Villaverde ogłosił rozwiązanie naszego Towarzystwa. Usłyszeliśmy to przez radio w domu moich rodziców, kiedy przygotowywaliśmy ciało matki do pogrzebu. Wówczas moje cztery siostry powiedziały do mnie: „Bartolomeo, wracaj do

twoich braci, którzy walczą...”. Wskoczyłem więc na mój stary motocykl, jak Maria na osła, by schronić się w Egipcie i pozostać tam aż do śmierci Heroda...

W tym momencie spojrzałem na Giuseppe. Wiedziałem od niego o epizodzie z kartą pocztową, wysłaną w tamtym czasie przez Villepreux. Zauważyłem, że uderzyła go ta zbieżność z andyjskim miasteczkiem, gdzie słuchając radia, liczna rodzina zajmowała się pośmiertną toaletą matki, która zmarła z biedy.

Ich wzajemne relacje wyglądały potem tak, że Lombardi nieraz będzie zwracał uwagę na wspólne punkty między nim a tym młodszym od niego o dwanaście lat jego beniaminkiem. [Urodzony w 1992 r., miał dwadzieścia dwa lata, kiedy do władzy doszedł Pius XIII, dwadzieścia trzy, gdy papież rozwiązał Towarzystwo Jezusowe, w 2022 r., w wieku trzydziestu lat, przyjechał do Rzymu, dokąd zabrał go ze sobą jezuita z Buenos Aires, kardynał arcybiskup Felipe Arrau.] Giuseppe wyjaśnił mi to kiedyś w takich słowach: „Bartolomeo od urodzenia jest ubogi, nic nie stracił i nie ma nic do stracenia. Ja natomiast z konieczności stałem się ubogi... I to właśnie nas zbliża”. [W sensie materialnym Giuseppe Lombardi nie był ani trochę ubogi. Od 2021 r. rodzina Lombardich plasowała się pośród pięciuset pierwszych fortun Włoch i jeśli nawet korzystał tylko w jakiejś części z funduszu zarządzanego przez Annę, to i tak stanowił jedną z najbardziej pożądanых partii we Włoszech.]

Opowieść młodego jezuitę dokończył Felipe Arrau:

— Wtedy właśnie podczas jazdy przez Amerykę Bartolomeo uszkodził sobie kolano... Kiedy przyjechał, jego motocykl nie nadawał się już do użytku, a on sam był w niewiele lepszym stanie. Okulał i przez następne sześć lat mógł jedynie studiować teologię i grać na gitarze. Fatalnie gotuje...

Puste ręce

Jak daleko sięgnąć do historii rodziny Bartolomea (nie jest to trudne, bo biedni nie mają historii), zawsze znajdowali się oni w niewłaściwym miejscu, padając ofiarą noża, pałki, karabinu czy choćby kropidła. Kulawy jezuita był po prostu biedakiem, synem biedaków. Rodzice nadali mu imię Bartolomeo na pamiątkę Las Casasa, obrońcy Indian, bo uważali, że wszystkich niewolników łączy ta sama krew — krew, którą się przelewa.

Ja wiedziałem, że Bartolomeo był synem ludu, stypendystą szkoły kościelnej; że jak ja wstąpił do nowicjatu w wieku osiemnastu lat, ale w innej rodzinie katolickiego Kościoła — u jezuitów. Był jezuitą całym swoim jestestwem, odkąd ukształtowała się jego świadomość. Całe wykształcenie zdobył u „synów Ignacego”; ojcowie i nauczyciele dostrzegali jego niezwykłą inteligencję. Zawsze stał po stronie biedaków.

Nie zapominał o tym, że sam urodził się biedakiem. Bartolomeo nie był typem bojownika. Nie należał do żadnego obozu, nie było w nim ani krztyny buntu, pragnienia odwetu, nadziei związanych z rewolucją...

Przekonaliśmy się o jego drażliwości na tym punkcie kilka dni po pierwszym obiedzie, kiedy, jak wszyscy przyjaciele Giuseppe, spotkał Paula i musiał poddać się jego manii nadawania wszystkim przydomków... Kameruński olbrzym, któremu opowiedzieliśmy historię Bartolomea, pokiwał głową.

— Podróż na motocyklu przez Argentynę, przez busz... Dobra, nazwiemy cię Che.

Młody jezuita zaprotestował:

— Nie zgadzam się, on był marksistą.

— Przecież to tylko przezwisko... Wyjaśnij mi to, Wergiliuszu, jesteś przecież w jego wieku...

Paul zaśmiał się głośno i klepnął Bartolomea w jego wątłe ramię. Che przez wiele miesięcy podskakiwał, słysząc to przezwisko.

Muszę przyznać, że nasz Che faktycznie nie był komunistą, jak pisała potem o nim prasa „meksykańska”. Tym bardziej nie był rewolucjonistą ani jednym z obrońców nieaktualnej już teologii wyzwolenia. Ubóstwo po prostu nazaczyło jego życie rodzinne, los, ludzkie przeznaczenie — i kiedy myślał o tym, że Bóg stał się człowiekiem, rozważał to w kategoriach ubóstwa. [Na ten temat Bartolomeo napisał pewną notatkę, którą wykorzystał Tomasz I w swojej pracy, pisząc: „Ubodzy będą istnieć zawsze. 1) Nie mylmy ubóstwa z nędzą. O ubóstwie można dyskutować; na nędzę nie wolno się zgadzać i trzeba z nią walczyć. 2) Ubodzy stanowią sedno tajemnicy Ewangelii i trzeba rozumieć, co to naprawdę oznacza. 3) Ubodzy nie są wyrzutem sumienia bogatych, wszak pokazują swoje ubóstwo każdemu. 4) Właśnie przez ubóstwo mamy dostęp do Boga. Bóg obdarza dobrem wygłodniałych, bogatych odsyła z pustymi rękami”.]

Bartolomeo wyobrażał sobie Boga jako tego, który jest jeszcze uboższy od największych nędzarzy – dla niego tajemnica Wcielenia była tajemnicą poniżenia.

Tak więc daleko odbiegłem od tamtego pierwszego obiadu. Bo z Bartolomeem zawsze tak było. Kiedy Assoumou, Morro a nawet papież Sylwester i Dereim mówili o nim, zawsze rozmowę kończyli rozważaniami o jego idei... Gdy próbowałem dociec, czy Che jest dla Giuseppe także *fratello*, zaczęliśmy zagłębiać się w jego teologię. Od dawna już idee Che przesłoniły jego własną osobę. „Ten chłopak jest tak samo ubogi jak jego teologia...” – taką opinię wygłosił dziesięć lat później Assoumou, nieco sfrustrowany sytuacją, kiedy jeden z nich za Tomasza I zostanie sekretarzem stanu, a drugi teologiem Domu Papieskiego.

Lombardi bardzo szybko poczuł szacunek dla wiedzy Che. Był przekonany, że ten młody jezuita jako jedyny człowiek potrafi odgadnąć, mając pewne rzeczy i że należy mu pozwolić je wyrazić dla dobra wszystkich, a zwłaszcza dla dobra Kościoła. Znacznie później, już po „Śnie”, Tomasz I uświadomił sobie, że tylko Che potrafił przewidzieć bieg wydarzeń. Bartolomeo zaś natychmiast dostrzegł inwencję i poetycką naturę monsignore Lombardiego. Według niego, być może tylko papież, który wyrzeka się wszystkiego, jest głosi-cielem prawdy, którą on sam od dawna już znał.

Nie zrodziła się między nimi tak trwała przyjaźń jak ta, która łączyła Giuseppe i Paula. Nie było też między nimi tej serdeczności, jaką Giuseppe okazywał Paddy'emu. Giuseppe nigdy nie odkrył zakamarków swej duszy tak, jak to robił wobec mnie.

Jednak Che stał się mu bliski. Kochał życie, chociaż był biedny. Umiał cieszyć się ciepłem wieczoru, smakiem dobrego wina...

Ale najważniejsza okazała się muzyka.

Msza kreolska

Listopadowy wieczór na tarasie upływał w miłej atmosferze. Nie rozprawialiśmy już o „teologii ubóstwa” ani o synodach. Zapaliliśmy kilka świec. Giuseppe przyniósł dwie butelki, jedną z koniakiem, drugą z *arguadienie*. Ja przygotowałem kawę. Arrau i Anil

palił papierosy, jak starzy jezuici, którzy drwią sobie z toczącego ich raka. „Czarny papież” zaproponował nam hawańskie cygara i chuderlawy Bartolomeo wziął jedno. Giuseppe poszedł po swoją gitarę.

— Twój generał partyzant rozbudził moją ciekawość, Bartolomeo... Może być nam coś zagrał?

Bartolomeo wzbraniał się, ale niezbyt stanowczo. Zaciągnął się dwa razy cygarem, przytknął ucho do pudła instrumentu, by go nastroić. My rozmawialiśmy między sobą, dając mu czas na przygotowanie się.

Senor ten piedad... Niespodzianie pojawiła się kolejna butelka wina...

Poznałem tę melodię. Znałem dobrze całą *Misa Criolla*, którą nastawiał Giuseppe. Nie wiedzieliśmy jednak, że wystarczy, aby palce przebiegły po strunach, a instrument wypełni się życiem, krwią, mocą.

Głos Bartolomea był całkowicie niepodobny do głosu Giuseppe. Ale jego struny głosowe brzmiały unisono ze strunami gitary... On i gitara stali się jednością, a grana muzyka wyrażała istotę życia...

Bartolomeo wyszedł potem na chwilę, po czym wrócił z własną gitarą. Odtąd często grywali z Giuseppe we dwóch. Aż do końca swojego pontyfikatu, kiedy to papież zapominał, że jest papieżem, a teolog zapominał o swojej teologii. Zachowywali się niczym dzieci, usiłujące uchwycić palcami złoty słoneczny pył.

Felipe Arrau z uśmiechem i dumą, jakby przedstawiał to, co Towarzystwo miało najcenniejszego, oznajmił:

— Widzisz, Lombardi, nie okłamałem cię, mówiąc o jego talencie muzycznym. A jeśli chodzi o teologię, sam się jeszcze przekonasz...

Giuseppe skinął głową.

— Chciałbym to zobaczyć, Felipe...

Niecały rok potem młody jezuita został przyjęty do Papieskiej Komisji do spraw Dialogu Międzyreligijnego. Jego gabinet, taki sam jak mój, znajdował się po drugiej stronie gabinetu Lombardiego.

— Jego umieszczam po mojej prawej stronie, a ciebie po lewej — powiedział do mnie Giuseppe. — On jest łagodny jak baranek, a ty uparty jak kozioł...

Upadek Meksykanów

Sylwester u steru

— Sądziliśmy, że synody dadzą nam nowy oddech, ale one tylko pogorszyły sytuację...

— Stajesz się pesymistą na starość, don Enrico. Poznałem restaurację w Bolonii i sławetną wołowinę z bakłazanami.

Wyglądało na to, iż stary kardynał tracił nadzieję, że Kościołowi uda się jego reforma i pojednanie.

Kardynał Morro nie dostrzegał, że synody zwołane przez Sylwestra III nie miały większego związku z synodami Jana XXIV. Nowy papież autorytatywnie nakazał zwołanie synodów kontynentalnych. Narzucił im program „obowiązkowych” tematów do refleksji, program ambitny, w formie kilku prostych pytań: „Jaką Dobrą Nowinę głosimy? Komu? Jak? Na jakie trudności natrafiamy? Jak je usunąć?”. W święto Wielkanocy w 2023 roku oznajmił, że weźmie udział w obradach i osobiście zakończy każdy z synodów. [Dodatkowo wyjaśnił, że na pierwszym miejscu powinna być stawiana zasada niezależności, ale biskup Rzymu musi również objąć Ministerstwo Powszecznej Łączności.]

Jesienią i zimą 2023–2024 roku widać było, że coś zaczyna się dziać. Odnosiło się wrażenie, że w wielu parafiach i diecezjach

katolicka społeczność znowu dochodzi do głosu. Biskupów zachęcono do tego, żeby dopuścili do dyskusji wszystkich wiernych i sporządzili sprawozdanie stanowiące odpowiedź na pytania postawione przez Sylwestra III. Papież ocenił, że w wielu miejscach, gdzie milczano od czterdziestu lat, teraz zaczęto dyskutować, prowadzić dialog, czasami nawet sprzeczać się, ale przecież w „dobrej sprawie”. [W okresie bardzo długiego pontyfikatu Jana Pawła Wielkiego, z pewnością niezwykłego, ale silnie scentralizowanego i autorytatywnego, a także po objęciu władzy przez Meksykanów w wielu miejscach milczano od 1985 r. Doskonałą analizę tego zjawiska znaleźć można w książce Petera Rockmouna Jan Paweł II w Watykanie. Narodziny autokracji medialnej, Filadelfia 2012.]

Papież wołał to niż subtelne zawilości polityki Kurii. Trzeba było wysłuchać tego, co każdy miał do powiedzenia, podjąć z każdym dialog. Zadanie było imponujące, ale papież świetnie sobie z tym radził.

Przez siedem lat władzy Villaverde, on, prymas Francuzów, milczał — było to milczenie taktyczne, poddał się mu za radą tych, którzy sami, jak choćby Paul, mówili głośno. — podczas gdy inni decydowali się niekiedy na śmiertelne ryzyko.

U wejścia do jego prywatnej kaplicy widniały nazwiska niektórych ofiar meksykańskich metod — Augustine Gowon, Francois d’Hautefeuille, Modeste Fahala... [Francuski ksiądz z Lyonu Fidei Donum w Peru, zamordowany w 2016 r.]

[Wikariusz generalny w Jaunde, zginął w zamachu, z którego Paul Assoumou cudem wyszedł cało.] Sam napisał te nazwiska, dodawał co miesiąc nowe, w miarę jak ustępował strach, rozwiązywały się języki. Była to jego własna martyrologia, sposób, w jaki przypominał sobie, że inni zapłacili cenę krwi, kiedy on przyjął postawę oczekiwania.

W tygodniach poprzedzających pierwszy synod odkryłem w Sylwestrze III siłę zapалу, rozmach, pewność siebie, odwagę.

— Jean-Baptiste w swojej najlepszej roli „katechety”, tyle tylko, że teraz poucza cały świat — orzekł ze śmiechem Giuseppe. [Na ten temat warto przeczytać doskonały esej Mikhaela Delaborde, Media i eklezjologia od Jana Pawła Wielkiego do Tomasza I, Fryburg 2037.]

Kiedy we wszystkich diecezjach zachęcono do wypowiedzenia się ponad miliard katolików, Sylwester promieniał — nareszcie, po prawie dwóch latach czekania, pasterz mógł usłyszeć, co mówi jego

lud, a potem mu odpowiadać. Na osiem miesięcy stał się papieżem wędrownym, spędzając około miesiąca w każdej z sześciu europejskich diecezji, otwierając i zamykając synody, a także asystując parę razy przy ich przygotowaniu. Watykan zostawił w pewnych rękach swego sekretarza stanu. [Miał tylko dwie okazje, żeby spotkać się z wiernymi. Jedną w diecezjach niemieckich, do których udał się, aby wprowadzić nowych biskupów na miejsce mianowanych przez templariuszy i przekonać tamtejsze wspólnoty do oddania pieniędzy, a drugą we własnym kraju. „Jestem papieżem Francuzów, dla reszty uczciwym strażnikiem funduszy” – powiedział z goryczą po powrocie z apostolskiej wizyty w Europie Zachodniej.]

Ordalia – Sąd Boży Jeana-Baptiste'a

Pierwszy synod odbył się w Jamusukro, wkrótce potem w Europie, w Ameryce Północnej, w Azji i w Oceanii. Synod w Puebla, w Ameryce Łacińskiej miał zakończyć to „światowe tournée”.

Byliśmy na uboczu tych wydarzeń, zajęci tym, co się działo ostatnio w Jerozolimie, oraz deklaracjami uwięzionej Nur Saighi-Morales. Władze hiszpańskie uparcie odmawiały uwolnienia tej młodej przywódczyni ruchu reformatorskiego, która odbywała karę więzienia od momentu zawalenia się Muru Zachodniego i ona z więzienia ogłosiła, że rozumiała, iż islam powinien zrezygnować całkowicie z dżihadu, że trzeba szukać sposobu na wykreślenie idei przemocy z ich myślenia, że konfrontacja nie powinna być uważana za właściwe wyjście, że jest wiele innych możliwości do wyboru... Na tym ma polegać prawdziwa reforma... Giuseppe wydał polecenie, żebyśmy nie popierali zbyt otwarcie Saighi-Morales, by nie zrobić z niej „muzulmanki na usługach Zachodu”.

Giuseppe Lombardi, zatrzymany przez sprawy w Jerozolimie, uczestniczył tylko częściowo w pracach synodu w Jamusukro i w Manili. Ale widzieliśmy, jak papież rodził się dla Kościoła. Z niego Sylwester czerpał prawość, ufność, które umożliwiły kontynuowanie jego dzieła w następnych sześciu latach.

Villepreux czuł się doskonale pośród zgromadzonych biskupów, ekspertów, świeckich delegatów. Umiał znajdować właściwe słowa, to wtedy objawiła się prawdziwa charyzma jego przemówień, nie

tylko w kazaniach... Papież słuchał wiernych i jego homilie zmieniały się w dialogi, w pytania stawiane wszystkim razem i każdemu z osobna.

Nie chciał już słyszeć o oskarżaniu przeszłości, pragnął patrzeć w przyszłość. „A teraz co robimy? Ten świat jest nasz, to świat, który Bóg dał nam do kochania, nie jesteśmy tutaj, żeby go osądzać, lecz żeby zapewnić mu zbawienie i szczęście. A czy to robimy? Nie staramy się przyciągać ludzi, nie umiemy liczyć, bo więcej wart jest jeden mężczyzna lub jedna kobieta, którzy są szczęśliwi wśród swoich, niż jeden mężczyzna czy jedna kobieta nękani strachem lub wyrzutami sumieniami w kościele”.

Takich słów nie słyszano od soboru zwołanego przez Jana XXIII ponad sześćdziesiąt lat temu. Nie chodziło już o to, aby zachować małą garstkę wybranych, lecz o to, aby ideę Chrystusa rozszerzyć na całą ludzkość.

W tym dialogu między ludem i jego pasterzem nie było miejsca na doradców, taktyków... Jean-Baptiste nie zwoływał synodów przeciw Meksykanom, co było strategią Dereima, on je zwoływał dla ludu, żeby soki Ewangelii ożywiły cały Kościół. [Na synodzie europejskim w Lizbonie powiedział: „Nie pytajcie, co Kościół może zrobić dla was, lecz pytajcie sami siebie, co wy możecie zrobić dla Dobrej Nowiny, którą usłyszeliście”.]

Assoumou zacierał ręce.

— Jego Świątobliwość poszedł na całego. Jest najbardziej sugestywny, kiedy przestaje się kontrolować.

Nie zmienia to faktu, że Jego Świątobliwość sprawiał, iż oblewał nas zimny pot, gdyż z synodu na synod, uzbrojony jedynie w poczucie swojej pasterskiej misji, zbliżał się do oka cyklonu — Ameryki Łacińskiej, gdzie czekali na niego najbardziej zajadli wrogowie.

W czerwcu 2024 roku, kiedy z diecezji (oraz od samych biskupów, dotąd raczej ostrożnych) nadchodziły entuzjastyczne opinie o pierwszych zgromadzeniach, Giuseppe zwierzył mi się:

— Jean-Baptiste pragnie próby prawdy, pragnie wejść w ogień, tak jak zrobiliśmy to my; dla niego synod w Ameryce Łacińskiej jest niczym Sąd Boży.

Papież marnotrawny

Sylwester sam wybrał cytaty z Pisma Świętego na mszę, która otwierała synod w Puebla. W przeciwieństwie do pięciu poprzednich synodów tym razem pragnął najpierw przemówić do wiernych, a potem dopiero ich wysłuchać.

Cytat wybrany przez papieża należał do tych, przed którymi wzbraniali się nawet najodważniejsi kaznodzieje. Chodzi o najbardziej niejasny fragment Ewangelii: o nieuczciwym zarządcy. [Powiedział też do uczniów: „Pewien bogaty człowiek miał rządcę, którego oskarżono przed nim, że trwoni jego majątek. Przywołał go do siebie i rzekł mu: »Cóż to słyszę o tobie? Zdad sprawę z twego zarządu, bo już nie będziesz mógł być rządcą«. Na to rządcza rzekł sam do siebie: »Co ja pocznę, skoro mój pan pozbawia mię zarządu? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem, co uczynię, żeby mię ludzie przyjęli do swoich domów, gdy będę usunięty z zarządu«. Przywołał więc do siebie każdego z dłużników swego pana i zapytał pierwszego: »Ile jesteś winien mojemu panu?«. Ten odpowiedział: »Sto beczek oliwy«. On mu rzekł: »Weź swoje zobowiązanie, siadaj prędko i napisz: pięćdziesiąt«. Następnie zapytał drugiego: »A ty ile jesteś winien?«. Ten odrzekł: »Sto korcy pszenicy«. Mówi mu: »Weź swoje zobowiązanie i napisz: osiemdziesiąt«. Pan pochwalił nieuczciwego rządcę, że roztropnie postąpił. Bo synowie tego świata roztropniejsi są w stosunkach z ludźmi podobnymi sobie niż synowie światłości”. Ewangelia według św. Łukasza 16, 1–8.]

W tej przypowieści nikt nie mógł znaleźć nic budującego, a teraz rzymski papież najwyraźniej zamierzał tego dokonać, w dodatku na ziemiach, gdzie templariusze od dziewięciu lat używali „moralności” jako swego oręża. Kiedy zapowiedział, że przeczyta i skomentuje ten fragment Pisma Świętego, niektórzy spodziewali się, że odsłoni, w jaki to sposób templariusze i Temp-lum Christi dochodzili do bogactwa — rewelacje z Campo Santo wskazywały nawet na handel narkotykami... Znaleźli się tacy Meksykanie, którzy przekazali potajemnie służbom Ojca Świętego, że dysponują informacjami o pewnych innych transakcjach finansowych Kurii...

Papież zaczął swoją homilię w przytłaczającej, pełnej napięcia ciszy. Powiedział nam potem, że natchnienie zaczerpnął z kazania zasłyszanego kiedyś w Paryżu. [Żarliwe kazanie kardynała arcybiskupa Paryża, Jeana-Marie Lustigera, człowieka bardzo wpływowego w episkopacie francuskim i cieszącego się zaufaniem Jana Pawła II.] „O kim mówi nam Ewangelia? Co znaczą te wiersze? Święty Hieronim, kiedy tłumaczył Wulgatę, nadał tej przypowieści tytuł *Oczerniony rządcza*.

Oto pierwsza wskazówka dla nas. »Kto postępuje w tak skandaliczny sposób, jak ten zarządca? Kto trwoni dobra, które ktoś mu powierzył? Kto umarza długi i zaciera przewinienia? Kto jest za to oczerniany, spotwarzany, oskarżany i skazywany? Kto przez to umierał? Kto został wybrany przez Ojca, żeby to robić? Tak, miejcie odwagę powiedzieć, że Syn jest marnotrawcą. Ojciec wybrał właśnie jego, tego, na którego wydali wyrok kapłani, tego, który jadł z grzesznikami i nierządnicami. To jego wyniósł Ojciec, to jego Ojciec zabrał do niebios, to jego Ojciec wybrał, abyśmy przed nim klękali i głosili, że jest godny chwały Ojca« „.

Sylwester III przerwał i rozejrzał się wokół siebie. Spojrzał na twarze siedzących na stopniach uczestników tego zgromadzenia. Papież i wierni mierzyli się wzrokiem. Cisza przedłużała się tak bardzo, że wśród słuchaczy rozszedł się pełen zdziwienia szmer. Wreszcie papież podjął na nowo swój wywód:

„Syn Boży, Jezus Chrystus, nasz Pan, jest synem marnotrawnym. Bądźmy i my także synami i córkami naszego Ojca. Trwońmy skarb, który nam powierzono, bo jest on niewyczerpany, a wtedy i my również zostaniemy wybrani”.

Oglądaliśmy całą tę scenę za pośrednictwem katolickiej sieci satelitarnej i nawet w telewizji zatykała dech. Giuseppe z triumfującym uśmiechem powiedział do mnie:

— Widzisz, ten „zły” papież umie przynajmniej wygłaszać kazania... — Był to kamyk rzucony do mojego ogródka, gdyż stale porównywałem rozsądek Sylwestra III z rozmachem Jana XXIV. A potem dodał, wstając: — Myślę, że wygraliśmy...

Nie jest przesadą stwierdzenie, że homilia ta zdecydowała o dalszym przebiegu synodu. Nazajutrz w latynoamerykańskiej prasie pojawiły się tytuły: *Marnotrawny papież*, a potem *Genialny papież*, kiedy stało się jasne, że zgromadzeni na synodzie jednogłośnie postanowili podpisać się pod tym fragmentem Ewangelii, który nie tylko był syntezą, ale przede wszystkim wezwaniem. Wszyscy obecni, duchowni i wierni, wyszli z twierdzy, którą dotąd uważali za oblężoną, zmieszali się z tymi, w których widzieli przedtem wrogów.

Nawet Meksykanie zdecydują się podpisać deklarację, aby nie wyzywać losu przez odcinanie się od wszystkich.

Jean-Baptiste zlecił synodowi biskupów w Rzymie, który odbywał się od listopada 2024 do stycznia 2025 roku, zadanie zredagowania pontyfikalnej deklaracji na podstawie wniosków z innych synodów. Wydał przy tym niesłychany nakaz uwzględnienia tylko wniosków wspólnych dla wszystkich synodów, żeby odzwierciedlały one katolicką jedność. Inne wnioski miały zostać przedyskutowane i przedstawione w oddzielnym dokumencie, stanowiącym świadectwo różnorodności poglądów.

— Jak według ciebie chrześcijanie mają się odnaleźć, czytając tak różne teksty? — zapytał z powątpiewaniem Paul.

— Kolegialność nie może stać się centralizmem — odrzekł na to papież.

W tym czasie monsignore Giuseppe Lombardi był nieobecny w Rzymie. Podróż do Oslo została zaplanowana wcześniej, w kwietniu, w czasie Wielkanocy, kiedy przedstawiciele wszystkich Kościołów szli we wspólnej procesji, by przekazać klucze bazyliki Grobu Świętego sekretarzowi generalnemu NONZ i dyrektorce generalnej UNESCO.[Leah Nanah została mianowana na stanowisko dyrektora generalnego UNESCO, mając czterdzieści dwa lata.]

— Nawet najlepiej zamknięte grobowce dają się otworzyć — szepnął monsignore Giuseppe Lombardi, specjalny legat papieski, do Leah Nanah siedzącej na trybunie po jego prawej stronie.

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

Od tego momentu można już było przewidywać, że twórcy tak niezwykłego pokoju dostaną pokojową Nagrodę Nobla.

Byłem przy nim, kiedy się o tym dowiedział. Wiadomość przekazał mu telefonicznie i pierwszy złożył gratulacje Ruardo.

Nie zdążyliśmy wyciągnąć butelki, gdy niespodzianie zjawił się Assoumou. Był pierwszym, z którym trąciliśmy się kieliszkami. Potem zadzwonili Pietro, Monica, Anna i dziewczynki. Później zatelefonował Simon Cervin. Nieco żartobliwie, ale jednocześnie nie kryjąc podziwu, powiedział:

— Dwa zasłużone Noble, a właściwie trzy, jeśli uwzględnimy twego ojca...

W środku nocy zadzwonił Sylwester. O czym mówili, pozostaje

tajemnicą, jednakże wiem, że papież przywiązywał wielką wagę do faktu, że jeden z synów Kościoła został tak wyróżniony. Trzy miesiące potem, w czasie pierwszego po długiej przerwie spotkania w salonie, papież na widok laureata powiedział:

— Oto nasz Jakub, który reprezentuje przed całym światem to, co w naszym Kościele zaanonsowały synody: że pokój i sprawiedliwość są możliwe do osiągnięcia, jeśli świat zawierzy nadziei.

Giuseppe nie zdradzał niczym swych uczuć, nie okazywał nawet zadowolenia.

Po odbiór nagrody wybrał się razem z córkami i rodzicami.

— Tego Nobla otrzymałem za cenę czasu, który ukradłem rodzinie — powiedział do mnie, prosząc jednocześnie, abym został w Rzymie i czuwał nad sprawami kongregacji.

Tak więc zastąpiłem szefa przy sterze okrętu, którym on kierował. Pomagało mi to nie myśleć o tym, że moja obecność u boku Giuseppe zepsułaby radość jego córkom, ani o słowach Simona Cervina, w których dał wyraz nadziei, że oderwie się on wreszcie od swego „kronikarza-asystenta-ucznia”.

To on w wieczór przyznania nagrody przypomniał swojemu przyjacielowi:

— Masz prawo do czternastu tygodni urlopu zgodnie z umową, jaką zawarłeś z papieżem, kiedy cię mianował... Teraz jest dobry moment, abyś spędził trochę czasu z córkami, korzystając ze świąt Bożego Narodzenia i ferii zimowych.

Wybrali się więc całą rodziną na narty w Alpy i tam obchodzili święta. Potem Giuseppe pojechał sam do Indii, a jego córki wróciły do szkoły. Odbyli też wspólną podróż ze Stevenem, Leah i dziećmi do Nowego Jorku, zobaczyć Stany Zjednoczone pod rządami nowego prezydenta Matthew T. Goodridge. [Pojechali też do Waszyngtonu, aby wysłuchać przysięgi składanej przez Matthew T. Goodridge'a, bo jak powiedział Steven: „John Lu był niezłym facetem, ale mimo wszystko lepiej mieć prezydenta, który przeczytał dużo książek w swoim życiu, oczywiście mam na myśli książki bez obrazków”. Kandydat demokratów prowadził kampanię pod hasłem: „Oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie”, i zaangażował się w akcję usuwania wzmianek o Bogu ze wszystkich federalnych dokumentów oraz zakazanie wszystkim urzędnikom państwowym odwoływania się do religii przy okazji publicznych przemówień. Do tego zakazu odnieśli się sceptycznie Europejczycy, a zwłaszcza Stolica Apostolska. Po raz kolejny nasuwała się refleksja, że Amerykanie posunęli się za daleko.]

W swoim przemówieniu w Oslo Giuseppe poświęcił jedno zdanie mojej osobie: „Myślę o moim bracie Pietro, bez którego nic z tego nie byłoby możliwe, który narażał swoje życie tak często jak ja sam i cierpiał katusze, uczestnicząc we wszystkich prowadzonych przeze mnie negocjacjach...”.

Pierwszy raz od dawna spędziłem kilka tygodni z dala od Giuseppe Lombardiego. Dwa lata potem, kiedy wybierze się na wakacje, będę już całkowicie należał do jego rodziny...

Klan Reform

Obecność w nieobecności

Zima 2025 roku. Dopiero w czasie tych tygodni „wakacji” uświadomiłem sobie, jak bardzo zmieniło się moje życie przez ostatnie dwa lata. W ciszy jego gabinetu w pustym mieszkaniu pojąłem, kim on stał się dla mnie — starszym bratem.

Towarzystwem mu od trzydziestu miesięcy, obserwowałem, jak walczył w Mieście o coś, co miało przypominać pokój; widziałem, jak stopniowo posuwał się do przodu w długim szeregu niepowodzeń w działaniach przeciw Meksykanom...

Jednak nie znałem go. Nie znałem intensywności, głębi, powagi jego duszy. Mimo to z wolna odszyfrowywałem tajemnicę tego człowieka — paradoks „obecności w nieobecności”. Ten paradoks nosił imię Chiara.

Chiara...

Jej zdjęcie zobaczyłem dużo później. Giuseppe nie pokazywał nikomu jej fotografii. Czy w ogóle je miał? Rzadko wymieniał jej imię, nie snuł żadnych wspomnień. Jednakże przebywanie z Giuseppe oznaczało jednocześnie przebywanie z nieobecną Chiara, z jej obecnością w tle. Nie umiem tego wyjaśnić, ale Giuseppe Lombardi pozostał człowiekiem żonatym, pielęgnującym w sobie niezwykłą, szczególną miłość, która przeszła przez straszną próbę śmierci i odrodziła się w nadziei.

Spędziłem u jego boku piętnaście lat i nigdy nie zauważyłem, żeby poddał się iluzji i wierzył w jej obecność w tym życiu. Ich duchowa wspólnota była wspólnotą w nadziei na przyszłe życie. Ale to wszystko pojmowałem bardzo wolno i historia, jaką opowiedział

nam Jean-Baptiste Villepreux pewnego czerwcowego dnia 2025 roku, była jednym z pierwszych tego świadectw.

Zapomniany prezent

Gdy nastał czerwiec, Giuseppe Lombardi był myślami zupełnie gdzie indziej... Planował już dalszy etap swojej pracy w Jerozolimie, pragnął bowiem rozciągnąć międzynarodowy charakter świętych miejsc na inne święte tereny — muzułmanów, żydów... Rozszerzyć status eksterytorialności, co niosło za sobą pokój. Giuseppe przekonał się w Palestynie i w Izraelu, że wojna ma za cel przede wszystkim okupację ziem.

Oto dlaczego w maju 2025 roku celebrował święto Wniebowstąpienia na Górze Oliwnej. Luteranie mają tam kaplicę, w której znajduje się „skała, z której Chrystus wstał”, a ten teren należy do meczetu. Giuseppe pragnął przekonać muzułmanów, żeby dopuścili do tego miejsca innych, przekazali je NONZ.

Uroczystą mszę odprawiał wraz luteraniskim pastorem, Niemcem Dietrichem Froeligerem, którego dopiero co poznał.

Potem spotkał się ze strażnikiem świętych miejsc islamu, Ibrahimem Madim, wysłanym potajemnie przez króla Jordanii. Naza jutro udał się do ambasady Jordanii potem do izraelskiego Ministerstwa Religii — żelazo należy kuć, póki gorące.

Miał rację, ale w mieszkaniu w Bolonii czekała Cecilia, której latem obiecał, że przyjedzie 1 czerwca, aby świętować jej piętnaste urodziny.

Z nieuchronności katastrofy zdaliśmy sobie sprawę, kiedy wróciliśmy do hotelu w sobotę wieczorem tuż przed północą... W pokoju Giuseppe na stoliku nocnym leżała paczuszka dla Cecilii: naszyjnik z lapis-lazuli, wyszperany na bazarze w dniu poprzedzającym niezaplanowane rozmowy. Kiedy zaczynaliśmy je w czwartek z wysłannikiem króla Jordanii, nie przypuszczaliśmy, że się tak przeciągną. Giuseppe spojrział na zegarek, potem na mnie.

— Zdążyłbym jeszcze złapać jakiś nocny samolot lub polecieć o świcie...

— Ale...

— Ale wówczas nie spotkalibyśmy się jutro z wiceministrem spraw wewnętrznych.

Milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie byłem osobą odpowiedzialną za negocjacje na temat przyszłości świata ani ojcem dziewczyny, która nie tylko od dawna jest pozbawiona matki, ale i dzień urodzin po raz kolejny będzie obchodzić bez ojca.

— Zadzwoń do nich, powiem, żeby przełożyły uroczystość na poniedziałek. Skoczę do Bolonii na dwa dni. Przejrzyj mój terminarz i zaaranżuj wszystkie spotkania na wtorek w południe.

Wylądowaliśmy w Bolonii w niedzielę późnym wieczorem. Za późno. Urodzinowy tort smakował słonymi łzami. Przez trzydzieści sześć godzin Giuseppe Lombardi usiłował dogadać się z Cecilia, przekonać ją o swojej miłości, naprawić, co się jeszcze dało. Jeśli jednak terminarz rozmów międzynarodowych da się jakoś zmienić, to kilka godzin opóźnienia stanowi dla piętnastolatki prawdziwą tragedię.

Wyznanie

Oto co dręczyło Giuseppe tego wieczoru we wtorek 3 czerwca 2025 roku, gdy Izaak, jego przyjaciel, opowiedział nam jego historię...

Sylwester z poważnym wyrazem twarzy odkasznął, chcąc przyciągnąć uwagę wszystkich.

— Ci z was, którzy nie znali mnie, zanim zostałem papieżem, nie znali również chłopca, którego i dziś nazywam Jakubem... Nie mieli też okazji poznać Chiary. Spośród obecnych tu tylko czworo z nas ją znało: Enrico, Paul, ja i... naturalnie Giuseppe. — Spojrzałem na mego starszego brata, który pobladł i znieruchomiał, najwyraźniej zaskoczony. — Pozwolę sobie dziś opowiedzieć, co widziałem, abyście wiedzieli, skąd wzięło się moje wewnętrzne przekonanie o tym, czego mieliśmy razem dokonać w przyszłości. — Znowu odkasznął. — Jakubie, wybacz, jeśli wyrażę to wszystko niezręcznymi słowami...

Giuseppe patrzył przed siebie, ponad naszymi głowami... Nie chciał, abyśmy zauważyli, jakie wrażenie wywierają na nim słowa papieża.

— Trzydzieści pięć lat temu byłem młodym księdzem w pewnej paryskiej parafii. Spotkałem Jakuba, który był wtedy małym chłopcem... Rozmawialiśmy. Poczuliśmy do siebie sympatię. Bardzo

szybko doszedłem do przekonania, że on zostanie księdzem. Można by powiedzieć, że byłem bardziej pewny jego powołania niż mojego. Tak, to prawda... Myślałem, że moje powołanie nabierze sensu, jeśli wskażę mu właściwą drogę.

Zapadła ciężka cisza. Wszyscy czuliśmy, że człowiek ten, tak powściągliwy w otwieraniu się przed innymi, powie tego wieczoru rzeczy, z których być może nigdy dotąd nikomu się nie zwierzył.

— Jakub dorósł, stał się młodzieńcem. Nie wątpię, że pewnego dnia staniemy razem przy ołtarzu. Gdy miał dwadzieścia lat, pojechaliśmy do Rzymu na Światowe Dni Młodzieży. Któregoś wieczoru przyszedł do mnie i oznajmił, że poznał dziewczynę, którą sam Bóg mu przeznaczył.

Zobaczyłem, że Giuseppe wstaje i bez słowa pomału podchodzi do okna. Spojrzał przez szybę, chowając nawet przed naszym wzrokiem ręce do kieszeni.

Po sztywności jego pleców, ramion domyślałem się, że jest napięty niczym struna lub łuk.

Sylwester nie zwrócił się do niego, nie uczynił żadnego gestu w jego kierunku. Czekał, aż jego Jakub znowu znieruchomieje, jakby niewidoczny dla naszych oczu.

— Odrzuciłem go, wyrzekłem się go i wydziedziczyłem. Wyrzuciłem z mego życia, z moich oczu. Nie chciałem go znać. Jak to możliwe, że on, Jakub, obdarzony tyloma zdolnościami, mógł wybrać miłość do jakiejś kobiety, a nie miłość do Boga? Czy można zadowolić się miłością ograniczoną, ziemską?

Widziałem poważną twarz Paula, jego nachmurzone czoło; widziałem bladość na twarzy Jeanne-Marie Carrière i wyraz pewnego zagubienia, gdy słuchała, jak jej nauczyciel odsłania niespodzianie swą duszę; widziałem uśmiechniętą Leah, zaproszoną do salonu dopiero po raz drugi, która jednak zapewne lepiej to wszystko rozumiała, bo wiedziała o szczególnej więzi małżeńskiej, jaka nadal łączyła Giuseppe z Chiara.

— Nie chciałem poznać tej dziewczyny, bo i po co? Jego nie widziałem prawie dziesięć lat. I kiedy Jakub, szykujący się do przyjęcia święceń kapłańskich, zapukał któregoś dnia do drzwi mojego gabinetu z obrączką na palcu, nie chciałem mieć z nim do czynienia... — Uśmiechnął się na to wspomnienie. Zwrócił się do odwróconego plecami Giuseppe: — Nie wszyscy mają w sobie szlachetność marnotrawnego ojca, Jakubie, a ty z pewnością nie

pragnąłbyś być przyjęty jak syn. — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Zwymyślał mnie... tak, jak nikt przedtem nie odważył się tego zrobić! Z jednej strony mój pełen goryczy chłód, z drugiej — jego gniew. Nie powinno to was dziwić, ponieważ znacie nas obu...

Popatrzył znowu na Giuseppe. Może czekał na jakieś słowo zachęty, a może na gest nakazujący mu milczenie? Ale widział tak jak i my jedynie jego plecy. A on tylko wyjął ręce z kieszeni i nerwowo pocierał jedną o drugą.

— W rezultacie zmusił mnie do złożenia wizyty w jego domu. Poznałem Chiare i wtedy to się stało. Uległem jej osobowości. Ujęli mnie oboje. Zobaczyłem ich razem, po raz pierwszy przyjrzałem się naprawdę, jak nigdy przedtem, ludziom związanym węzłem małżeńskim. Ich droga była drogą prawdy, byli tym, o czym mówi teologia małżeństwa, w czego istnienie tak naprawdę nie wierzymy. Żyli miłością ziemską, uświęconą przez Boga. Kochali się nie po to, by utworzyć rodzinę, wychowywać dzieci, po prostu było im dobrze ze sobą. Dawali świadectwo temu, że miłość jest możliwa, że jest dobra, że jest święta. Kochali się tak, jak kocha Bóg, ofiarując swą miłość drugiemu. Miłością nieskończoną, boską, bezwarunkową. Nie byli jacyś wyjątkowi... Ale patrzyłem na nich z czułością, z jaką nigdy nie patrzyłem na ludzi, którym udzielałem ślubu, aby „dawali świadectwo miłości Boga”, myśląc w swej księżowskiej pysze, że pobierają się po to, aby mieć dzieci, zaspokoić swe zmysły w godny sposób. Obserwowałem ich długie tygodnie. Widziałem, jak się obrażali, jak przerywali sobie w pół słowa, jak się sprzeczali, bo byli, zapewniam was, parą młodych, pełnych witalności ludzi, a Chiara była w dodatku upartą Włoszką. Widziałem też, jak się godzili, zachwycali jedno drugim, akceptowali to, że nie zawsze się rozumieli... — Przerwał na chwilę. — A potem przyszedł ten straszny dzień w marcu 2012 roku...

Paul uniósł się z lekka nad fotelem, który wydawał się kruchy przy jego masywnej sylwetce. Nie wierzył własnym uszom.

Giuseppe, stojący niczym posąg twarzą do okna, zadrżał, jakby słowa Sylwestra, który ośmielił się posunąć aż tak daleko, smagnęły go po plecach. Przez krótki moment trwał między nimi dwoma dialog, choć nie widzieli swoich twarzy. Izaak, skrzyżowawszy ręce, spoglądał na nieruchome plecy Jakuba, jakby w oczekiwaniu, że mu przerwie, nakaże milczeć. Ale Jakub nie odezwał się ani się nie odwrócił.

Papież zagryzł wargi, potem je zwilżył. Mówił głosem suchym, trzeszczącym niczym spalona trawa. Jego oczy wyrażały niezwykle wzruszenie, zaszczyły łzami...

— Zobaczyłem Jakuba samotnego. Jego ukochana odeszła. Zobaczyłem go samego w kościele. I wtedy pojąłem, co to znaczy „kochać aż do końca...”. Widziałem Jakuba udręczonego, słyszałem jego skargę: „Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?”. Zrozumiałem, że ta para małżeńska pokazała nam przez swą bezradność, że ludzka miłość jest nieskończenie słaba. Widziałem jednak, jak po tym nieszczęściu jego miłość odnowiła się, odżyła w Bogu. Ale to już pozostanie wielką tajemnicą Jakuba.

Francuzi

Dziesięć czy dwanaście lat potem często zadawano mi pytanie: Co to *znaczy* być „Francuzem”? Co utworzyło ten klan z garstki mężczyzn i kobiet, zebranych przy jednym stole w każdy wtorek, a potem również tych, którzy do nich dołączyli? Co kazało nam określić się jako klan Reform?

Odpowiedziałbym tak: „Francuzami” są ci, którzy wysłuchali historii Jakuba z ust samego Sylwestra. W dniu, w którym papież upadnie na schodach i otoczą go ramiona jego przyjaciela, oni będą tego świadkami.

Być „francuskim” oznaczało uwierzyć, że Sylwester III to najwybitniejszy papież, jakiemu dane nam było służyć. On ukazał nam brata, który niewątpliwie powinien zostać jego następcą, gdy on sam odda ducha. Jeśli nawet ten brat nie był świętym, jeśli był trudny we współżyciu, ponieważ wynikało to z miłości nie dającej się zniszczyć nawet przez śmierć...

Wśród „Francuzów” doświadczyliśmy siły, potęgi, radości z miłości braterskiej tych dwóch mężczyzn. Nawet Jeanne-Marie Carrière po długim monologu papieża, swego zwierzchnika i mistrza, inaczej spojrziała na „brata”, którego Sylwester nakazał nam kochać tak, jak kochał go on sam...

Jeanne-Marie

Zimna dziewczka

Nikt z nas, którzy spotykaliśmy się z nią na co dzień od dwóch lat, nie mógłby nazwać się jej przyjacielem. Nikt zresztą nawet nie zastanawiał się nad tym.

Od ponad dwudziestu lat była mózgiem Jeana-Baptiste'a. To ona kompilowała, nadawała formę, szlifowała wystąpienia „swojego” papieża. Ale czy mózg oderwany od ciała może mieć duszę? Wystarczył mu czysty intelekt, ostry jak klinga.

Taką nam wydawała się Jeanne-Marie Carrière — „zimna dziewczka papieża” (jak ją nazwał Assoumou) — latem 2025 roku. Niezdolna do śmiechu, zbyt drobiazgowa w swoich ocenach, niechętna do przyjmowania nowych idei, skłonna raczej do tego, żeby nad nimi popracować, poprawić ich jakość i sprawdzić, z jakiego stopu zostały zrobione.

Paul w tamtym czasie mówił o niej z prawdziwym przerażeniem w głosie:

— Ta kobieta to chodząca encyklopedia, wcielenie katolickiej teologii. Ale czy ona naprawdę żyje? Czy umiałaby zająć się czymś innym niż teologia?

Nie mieliśmy dla Jeanne-Marie żadnej taryfy ulgowej, bo poślizgnięcie byłoby dla niej nie do zniesienia. Dwaj członkowie z „trio z Saint-Germain” nie rozumieli relacji łączących „JMC” z „Jego Świątobliwością Izaakiem”. Z pewnością zżymali się, że wolno jej było siadać z nimi do stołu we wtorkowe wieczory. Wiele razy słyszałem, jak Giuseppe irytował się, kiedy mówiła do niego „Jakub”, jakby uzurpowała sobie miejsce w ich gronie.

Oczywiście wiedzieliśmy coś niecoś o jej życiu, o tym, jak połączyło się ono z życiem jej mentora. Wiedzieliśmy, że przed zrobieniem doktoratu z socjologii religii [Antropologia społeczna duchowieństwa francuskiego od 1948 roku aż do naszych czasów. Dzieci Kościoła synom rodziny, J.M. Carrière, PUF, Paryż 2005.] postanowiła zapisać się do Instytutu Katolickiego w Paryżu, żeby, jak to kiedyś wyjaśniła, „podjąć próbę rozwiązania problemu adekwatności jej wiary i inteligencji”. W Instytucie poznała „mężczyznę jej życia”; był nim ojciec Jean-Baptiste Villepreux. Odtąd „ich dwie teologie stały się jednym”.

Proszę mi wybaczyć ten kpiący ton, ale tak właśnie wyraził się Giuseppe Lombardi. Jeanne-Marie żyła dla Villepreux. Od czasów studiów w Instytucie Katolickim w Paryżu do okresu w Domu Papieskim wyłącznie jemu oddała swój mózg i duszę. Jako odważny teolog, młody kardynał, prymas Francji, a teraz papież odradzającego się Kościoła, był dla niej przedmiotem dumy. To ona dostarczała argumentów słowom Sylwestra, ona podbudowywała jego odwagę, usuwała wahania. Wyglądało na to, że kochała rolę „szarej papieżycy”, jeśli nawet to określenie brzmi dziwnie w odniesieniu do jej osoby.

Prawa ręka i lewa ręka

Giuseppe Lombardiego znała od dawna. Zetknęła się z nim w otoczeniu prorektora w latach 2009–2011, kiedy miano wyświęcać go na diakona. Jednak aż do tego czerwcowego dnia w 2025 roku, chociaż oboje służyli temu samemu człowiekowi i tej samej sprawie, nie zarysował się między nimi nawet cień sympatii. Do tej pory Giuseppe Lombardi i Carrière byli jak prawa i lewa ręka papieża. Jakub był lewą, od strony serca, a JMC prawą, od strony rozumu. I podobnie jak w Ewangelii nie wiedziała prawica, co czyni lewica.

Wystarczyło na nich popatrzeć, by zrozumieć, że trzeba było trzęsienia ziemi, żeby mogli się spotkać, ta „sucha westalka teologii Villepreux i płomienny emisariusz papieża”; „zimna dziewica” i „Jakub Wielki”, jak żartował z niego Sylwester, odkąd negocjator wyszedł z cienia w światła reflektorów Nagrody Nobla.

Miała trochę ponad pięćdziesiąt lat. Była to kobieta wysoka, zbyt chuda, z cerą palaczki, z krótkimi, niegdyś kasztanowymi, teraz prawie całkiem siwymi włosami, zawsze „skrępowanymi”, jak mawiał Paul. A jeśli jakiś kosmyk wymykał się, to zdecydowanym ruchem ręki odgarniała go za uszy. Była zadbana, jak wszyscy w jej środowisku, ale ubierała się bez elegancji. Nosiła zawsze nienagannie skrojony żakiet, spódnicę lub spodnie w ciemnych kolorach, pantofle na płaskim obcasie, a jedynym ustępstwem na rzecz kobiecości była jedwabna apaszka w dość żywych barwach.

Przypominam sobie, iż kiedyś powiedziałem do Giuseppe, że ona mogłaby być piękna.

— Od kiedy ją znam, niczym nigdy nie zwraca na siebie uwagi i nigdy nikt jej nie zauważa. Oczywiście dotyczy to jej wyglądu, bo jeśli chodzi o intelekt...

Taka była JMC, przykład niezwyklej inteligencji. Ale Giuseppe wolał istoty o bardziej ludzkich cechach...

Obserwacje in vivo

To, że w końcu się zaprzyjaźnili, jest wyłącznie zasługą Jeanne-Marie. Ich przyjaźń, zrodzona w niecodziennych okolicznościach, nigdy nie miała w sobie ani odrobiny fałszu.

Najpierw w tej kobiecie o racjonalnym umyśle zbudziła się ciekawość intelektualna. Gdy Sylwester III z małżeńskiej miłości Chiary i Giuseppe uczynił wzorzec miłości Boga, JMC ujrzała w tym „ciekawostkę teologiczną”, temat do studiów, tym razem *in vivo* — na żywym organizmie. I chociaż z tej pary pozostała przy życiu tylko jedna osoba, Jeanne-Marie chciała ją drobiazgowo przeanalizować, osłuchać, wypytać, skonfrontować tak, jak to zawsze robiła. Postanowiła wniknąć w genezę antropologiczną, socjologiczną, psychologiczną, no i oczywiście teologiczną.

Kiedy którejś soboty w lipcu 2020 roku Giuseppe nie przyjął zaproszenia na obiad u papieża, tłumacząc się tym, że tego właśnie dnia przyjechały do Rzymu jego córki, Jeanne-Marie postanowiła przekonać się naocznie, jak miłość do Boga oddziałuje na dzieci tej interesującej pary małżeńskiej. Powiedziała wówczas do Jakuba:

— Chętnie bym je wreszcie poznała... Jakoś nigdy dotąd nie byłam u ciebie — odezwała się po drodze do jego mieszkania.

Giuseppe wyczuł w tym pewną wymówkę. Wszyscy pozostali z grona Francuzów znali i lubili jego taras. Bąknął coś niewyraźnie.

Gdy już znaleźli się przed budynkiem, Giuseppe uznał, że powinien ją uprzedzić.

— Moje relacje z młodszą córką są niekiedy skomplikowane. Niewykluczone, że zaczniesz zachowywać się agresywnie, ponieważ będziesz się jej kojarzyć z moją pracą...

Ktoś inny bez wątpienia zrozumiałby, że ta wizyta była niepożądana. Ale ona odpowiedziała:

— Nie przejmuj się, ja także wojowałam z moim ojcem...

Giuseppe kiwnął głową zdziwiony jej zwierzeniem.

Nie wiedział, jak wytłumaczyć córkom, dlaczego zaprosił ją do domu. Clara uśmiechnęła się i położyła jeszcze jedno nakrycie. A Cecilia po chwili zapytała:

— Czy pani jest zakonnica?

Jeanne-Marie roześmiała się, szczerze rozbawiona.

— Och nie, z moim charakterem nie bardzo bym się do tego nadawała...

Clara wspominała to tak: „Pomyślałam, że ta kobieta wie, co to znaczy być na drugim planie... Nie jest tak doskonała jak tatuś, nie ma tej pewności jak on, że jest na właściwym miejscu... I odpowiedziała mi bez owijania w bawełnę...”.

Lunch wbrew wszelkim oczekiwaniom przebiegł w wesołej, swobodnej atmosferze. Clara zasypywała Jeanne-Marie tysiącem pytań na temat życia w Domu Papieskim. A kiedy okazało się, że Jeanne-Marie zna Giuseppe od szesnastu lat, Clara i Cecilia zaczęły ją wypytywać, jak to dziewczynki, o to, jak on wtedy wyglądał, jakie miał stopnie, kiedy był studentem.

— A czy znałaś mamę? — zapytała Cecilia.

— Nie mogę powiedzieć, że ją znałam. Rozmawiałam z nią tylko jeden raz w dniu święceń diakonalnych twojego ojca... dwa miesiące przed jej śmiercią.

Jeanne-Marie powiedziała to w sposób naturalny, inaczej, niż robili to wszyscy z otoczenia dziewczynek. Potem z kolei zaczęła je pytać o ich szkołę, wakacje, lektury...

Oddaję głos Cecilii: „Pierwszy raz ktoś, kto pracował z tatusem, zainteresował się nami, nie tylko po to, żeby nam powiedzieć, jaki wspaniały jest nasz ojciec. Pod koniec posiłku zaproponowałam: »Mogłybyśmy pójść na zakupy z Jeanne-Marie... Jeśli ona będzie

z nami, możesz nam powierzyć twoją kartę kredytową«. Tatuś odparł, że Jeanne-Marie z pewnością ma inne ważne sprawy, ale ona powiedziała: »Ach nie, chętnie skorzystam z tej okazji, już dawno nie kupiłam sobie niczego z ubrania«,».

Giuseppe nie posiadał się ze zdumienia, kiedy pięć godzin później zobaczył teolożkę papieską ubraną w nieprawdopodobnie różowy żakiet z szerokimi klapami z drukowanego jedwabiu, który wybrała Cecilia, mówiąc:

— Wyglądasz w nim o dziesięć lat młodziej.

Jeanne-Marie opowiadała, że spędziła cudowne popołudnie z dziewczynkami. Były beztroskie, wesołe. Kiedy coś przymierzała, kręciły głowami albo krzywiły się z dezaprobatą... Wcale ich nie onieśmielała jej mądrość, traktowały ją jak koleżankę, z którą można się powyglupiać.

— Nie ma już czasu na nic, musimy jechać na dworzec — powiedział Giuseppe.

Teolożka pojechała razem z nimi. Pożegnanie na peronie było tak serdeczne, jak atmosfera całego dnia.

Kiedy pociąg odjechał, Giuseppe, nieco zmieszany, zaproponował:

— Odprowadzę cię... — Mówiąc to, zdał sobie sprawę, że nie zna jej adresu, nie wie nawet, w jakiej mieszka dzielnicy. A potem zapytał: — Co miałas na myśli, mówiąc, że nie nadawałabyś się na zakonnice?

Jeanne-Marie (II)

Zakonnica

Po długim wahaniu powiedziała:

— Zanim ci odpowiem, chyba muszę się czegoś napić.

Giuseppe zrelacjonował mi ich długą nocną rozmowę i to on będzie tym razem narratorem. A Jeanne-Marie z charakterystyczną dla niej dokładnością potwierdziła potem pewne szczegóły.

— Kiedy wróciliśmy do mnie — zaczął swoją opowieść Giuseppe — otworzyłem barek. Jeanne-Marie wyjęła butelkę koniaku i gwizdnęła, oglądając etykietę...

— Widzisz, to mój nałóg... dziewczyna z dobrego domu, ale niegardząca takimi przyjemnościami — zaśmiała się z goryczą.

Usiedliśmy na tarasie. Napełniła kieliszki. Zapaliła papierosa, nerwowo się zaciągając i spoglądając na unoszący się do góry dym. Czekałem... Zaczęła mówić cichym głosem, jakby nieco zdenerwowana.

— W rodzinie Carrière'ów wszyscy od pięciu pokoleń służyli w marynarce, każdy dochodził do stopnia admirała. Mój ojciec był ostatni. Młodszy brat nie miał ochoty studiować. Dzieci moich dwóch siostr chyba też nie wybiorą kariery wojskowej. Jedyną, która mogłaby pomyślnie ukończyć studia w Wyższej Szkole Morskiej, byłam ja, Jeanne-Marie, najstarsza z nich, doskonała uczennica... Prawdę mówiąc, bardziej odpowiadałaby mi politechnika, ale ojciec nie zgodził się ani na jedno, ani na drugie. To nie była kariera dla kobiety... Ode mnie oczekiwał tylko tego, żebym ukończyła studia z wyróżnieniem, zanim znajdę męża i urodzę mu wnuki... — Nalała sobie kolejny kieliszek. — W rodzinie Carrière'ów

córki są posłuszne ojcu, tak jak żony podporządkowują się mężom. Najpierw z łatwością ukończyłam prawo, żeby móc zostać sędzią. Ponieważ zawsze miałam pewną skłonność do mistyki, podjęłam studia teologiczne na wydziale filozofii. Odkryłam Tomasza z Akwinu... W końcu ktoś o potencjale intelektualnym na moją miarę. — Uśmiechnęła się cierpko. — Skończyłam właśnie dwadzieścia pięć lat i całkowicie zajęłam się pracą, zapominając o tym, że mam ciało. Czas oczekiwania na mężczyznę mego życia wypełniały mi studia i książki. Wtedy nie wiedziałam, że nikt taki nigdy się nie pojawi. W tamtym czasie byłam jeszcze dobrą córką, dobrą siostrą, a także... dobrą chrześcijanką. — Przerwała na chwilę, jakby ją samą zaskoczyło, że była kiedyś „dobrą chrześcijanką”. Nie trwało to jednak długo i podjęła swą opowieść. — Pamiętam dzień mojego nawrócenia, dzień, w którym postanowiłam, że nie będę już wzorowa... Trwało to kilka tygodni, bo musiałam walczyć sama z sobą. Zmuszona bywać w salach sądowych i sądzić ludzi, których nie znałam, przejrzałam na oczy i stwierdziłam, że świat, który poznawałam, nie jest tak prosty, jak mi to przedstawiali rodzice, nie tak uporządkowany jak świat scholastycznej filozofii. Był to świat pełen kompromisów. — Znowu napelniła sobie kieliszek, długo przyglądając mu się w blasku świecy z drwiącym wyrazem twarzy. — Uznałam, że powinnam bronić ludzi i starać się ich zrozumieć. Zaczęłam znów się uczyć, żeby z sędziego stać się adwokatem. Zrobiłam doktorat z socjologii. Zaczęłam myśleć, że mężczyzna, na którego czekam, nie pojawi się nigdy. Stopniowo przestałam na niego czekać...

Odwróciła twarz w moją stronę, spojrzała na mnie. Zobaczyłem, że jej oczy błyszczą wyzwaniem, jakie rzuciła swojej rodzinie.

— Moje dwie siostry wyszły za mąż w odstępie dwóch lat. Urodziły pierwsze dzieci. Rodzice byli zachwyceni, ale jednocześnie zaniepokojeni moją sytuacją. Odnosili wrażenie, że tracę czas... Mama sugerowała mi, abym się bardziej postarała, zrobiła jakiś wysiłek. Nie wiesz, Giuseppe, co to znaczy być tą, która nie wychodzi za mąż! Tą, która nie daje rodzicom wnuków, siostrzeńców czy siostrzenic siostronom i braciom, kuzynów swoim bratankom i siostrzeńcom. Na początku bliscy i nieznajomi litują się nad tobą... Okazują ci współczucie, są delikatni, czasami trochę nadto nadszkakujący... Potem zaczynają doradzać, przedstawiać ci nieszczęsnych facetów, którzy są w takiej samej sytuacji jak ty...

Chciała znowu zapalić papierosa, ale jej zapalniczka nie działała. Podsunąłem jej świecę.

— W dniu, kiedy skończyłam trzydzieści jeden lat, oznajmiłam rodzinie, że nie wyjdę za mąż i nie będę mieć dzieci. Ojciec zapytał, czy zamierzam wstąpić do jakiejś religijnej wspólnoty. Odpowiedziałam, że nie mam takiego zamiaru. Odrzekł na to, że mnie nie rozumie. Potem byłam na ślubie mego brata z dziewczyną z dobrej rodziny, którą w cyniczny sposób zdradzał, byłam na rozprawach rozwodowych moich dwóch sióstr i na drugim ślubie jednej z nich. Jak widzisz, nie jest to rodzina modelowa, ale dla moich rodziców to rzecz normalna, takie jest życie, podczas gdy ja... Któregoś dnia młodsza z moich sióstr poradziła mi delikatnie, abym udała się do psychiatry... Psułam im dobry nastrój, bo byłam złą siostrą, złą córką, która nie rodzi wnuków. Stopniowo zaczęły mnie wykreślać ze swego życia.

Niespodzianie rozweselona napełniła swój kieliszek, a potem mój, zauważywszy, że jest pusty.

— Wygląda na to, że sama opróżniła całą butelkę — uśmiechnęła się, po czym mówiła dalej : — W 2001 roku w Instytucie Katolickim poznałam Villepreux. Zostałam jego studentką, a potem bardzo szybko jego asystentką. Porzuciłam adwokaturę... Przypuszczam, że on nigdy przedtem nie spotkał nikogo o takiej umysłowości jak moja... Ciągle mi się to zdarzało i przywykłam do tego... Dla Jeana-Baptiste'a Villepreux stałam się zesłaną przez opatrność współpracowniczką. Z upływem lat nauczyliśmy się razem tworzyć, propagować różne idee. Zdobył autorytet dzięki książce, nad którą dyskusję zorganizowaliśmy w Paryżu. Został prorektorem Instytutu Katolickiego, następnie wezwano go do Rzymu. Towarzyszyłam mu, stojąc w cieniu. Został biskupem, potem kardynałem. Nie opuściłam go również w Lyonie.

We władzy alkoholu

Znowu dołała sobie koniaku. Jej twarz poszarzała. Rozmyślnie się upijała.

— Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Mieszkałeś dwa lata w Paryżu. Widziałam, jak Jean-Baptiste Villepreux szedł do was z wizytą. Poznałam potem Paula, drugiego przyjaciela Jeana-Baptiste'a. I on także nie pomyślał o tym, żeby mnie do siebie zaprosić. Byłam po prostu twardym dyskiem Jean-Baptiste'a, nic

ponadto... Wielu innych zachowywało się podobnie jak wy. Osiągnęłam wiek, w którym kobieta przestaje myśleć o rodzeniu dzieci; nic mnie to zresztą nie kosztowało. Wybrałam inne życie, życie osoby, której nikt nie rozumie, ale to nieważne. Życie w służbie Boga i rozumu, które, jak wierzyłam, całkowicie mnie usatysfakcjonuje. Skończyłam czterdzieści dziewięć lat i dzień urodzin świętowałam sama. Jean-Baptiste pojechał do Rzymu, gdzie wyświęcano go na kardynała. Nie zostałam zaproszona, bo była to ceremonia prywatna. Przez cały dzień nie widziałam nikogo. Uświadomiłam sobie, że zapewne nikt już nie zainteresuje się moim ciałem. Siedziałam samotnie przed urodzinowym tortem i pamiętam, jak mruzczałam do siebie, że mężczyźni nie wiedzą, co tracą. Oczywiście wcale w to nie wierzyłam. — Zaśmiała się bezgłośnie. — Mężczyźni i ich słynny testosteron... W czasie pontyfikatu Piusa XIII jako jedyna z profesorów Katolickiego Uniwersytetu w Lyonie odmówiłam podpisania przysięgi posłuszeństwa. Jedyna... Niegrzeczna dziewczynka, jak zawsze. Weszło mi to w nawyk, w rodzinie i w Kościele.

Niespodzianie jej głos zmienił brzmienie, jak zwykle, gdy przechodziła do bardziej uniwersalnej prawdy.

— Odkąd jestem teolożką, uważają mnie za tę, która miesza się w sprawy zawodu przeznaczonych dla mężczyzn, która pragnie zająć miejsce facetów, bo nie nadawałam się do tego, żeby rodzić dzieci, odnaleźć się w roli kobiety...

Zdałam sobie sprawę, że nie z powodu alkoholu zrobiła się tak rozmowna. Zamierzała wygłosić dobitne, cięte expose, jak to zawsze robiła. Traktowała siebie jak przedmiot własnych studiów.

— Nawet w dzień, kiedy zostałam mianowana teolożką Domu Papieskiego, wszystkim przeszkadzałam. Nie wiesz, Giuseppe, jakie listy otrzymywałam. Obrażliwe listy od kobiet i mężczyzn, którzy twierdzili, że znieważam moją pleć, że lepiej byłoby, gdybym wyszła za mąż i urodziła dobrych chrześcijan Kościołowi, a nie leczyła nerwicę i histerię, dążąc z całych sił do władzy, która nie przystoi mojej płci... — Wzruszyła ramionami. — Jakby władza mogła leczyć... No i jaka to władza? — Uderzyła dłonią w blat stołu, co zawsze czyniła, gdy chciała, aby słuchacze zwrócili uwagę na jakiś aspekt. — Listy od kobiet zwykle zaczynały się takimi słowami: „Bardzo mi pani żal, to taka radość nosić w łonie dziecko, dać mu życie...”. Za każdym razem te same idiotyzmy i stawianie za przykład Najświętszej Marii

Dziewicy, która potrafiła „pozostać na swoim miejscu”, pokorna, posłuszna, tak cudowna. — Kolejny kieliszek, napełniony w trzech czwartych. — Ale nie myśl sobie przypadkiem, Giuseppe, że bolały mnie słowa tych kobiet zarzucających mi brak dzieci. Denerwowałam się, złościłam, że kobiety nadal uważają, że nie mają żadnego wyboru... Że takie jest ich miejsce, że takie jest z woli Boga ich powołanie.

Roześmiała się złośliwie. Podała mi butelkę. Powiedziałem, że więcej nie piję.

— Ty także myślisz, że pijana kobieta jest bardziej obrzydliwa niż zalany facet?

Odpowiedziałem, że nie pamiętam, bym od czasu studiów widział jakąś pijaną kobietę.

— No tak, kobiety, z którymi się spotykasz, mają klasę... Są ładne, inteligentne i wybrane przez nie życie podoba się wszystkim.

Chciałem zaprzeczyć, ale w myślach zrobiłem szybki przegląd i doszedłem do wniosku, że ona ma rację.

Córki Ewy

— Sprawa jest prosta, Giuseppe, ja nie jestem na swoim miejscu. Nie zostałam na należnym mi miejscu kobiety... Ot co...

Wstała, zachwiała się na nogach, opadła całym ciężarem na krzesło, potrząsnęła głową, zrezygnowana. Zapytałem, czy nie chciałaby się położyć... Pokręciła przecząco głową. Zapaliłem jej następnego papierosa ze strachem, żeby się nie poparzyła.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, Giuseppe, co to znaczy być kobietą w Kościele... Nie masz o tym pojęcia... Ludzie uważają, że kobiety to coś gorszego... A i Kościół, nasza Matka, nie kiwnął nawet palcem. W dalszym ciągu traktuje nas jako dodatek do męskiej części społeczeństwa. — Mówiła podniesionym, egzaltowanym tonem. — Kobiety nie są istotami niedoskonałymi, które musicie chronić przed ich własną słabością, kazać im być dobrymi żonami, dobrymi matkami, pobożnymi przedstawicielkami laickiej części społeczeństwa, jego siłami pomocniczymi... I nie są po to, aby demonstrować wam czułość, szlachetność. Spójrz na mnie: jestem bardzo złą córką, bardzo złą siostrą, jestem niegodziwa, bo nie robię tego, czego po mnie oczekujecie! Nie jestem przykładem! Jestem zwyczajną istotą ludzką, taką jak wy. Inteligentniejszą niż

większość ludzi, z którymi mam do czynienia, ale jestem kobietą... Mogłabym być nieokrzesana i gwałtowna, ale i tak pozostałabym kobietą, tak jak wy, choćbyście byli łagodni i nadzwyczaj uprzejmi, nie przestaniecie być mężczyznami. — Urwała, obserwując niebieskie kółka dymu z papierosa. — Jesteśmy wam potrzebne po to, aby można było was określić *a contrario*... Jean-Baptiste powinien napisać encyklikę na ten temat, ani słowa o kobietach, pod pięknym tytułem *De viris hodie*... [Po łacinie znaczy to: „O mężczyznach dzisiaj” albo „O mężczyznach dnia dzisiejszego”.] Tekst o mężczyznach, samcach; wtedy zauważylibyście, że kobiety nie mają ani mniej, ani więcej powołania do bycia matkami niż mężczyźni do bycia ojcami.

Osunęła się na krzesło i prawie leżąc, patrzyła w gwiazdy. Zamierzałem wstać, żeby przenieść ją na łóżko, ale ledwie się ruszyłem, powstrzymała mnie ruchem ręki. Zrobiła ostatni wysiłek, oparła się mocniej na krzesło i dołała sobie koniak.

— Powiedz uczciwie, Giuseppe, kiedy rozmawiacie o mnie, to jak mnie nazywacie? Zwariowana dziewczyna? Histeryczka? — Nie odpowiedziałem, więc wpatrując się we mnie poprzez ciemności, wykrzyknęła: — Mam gdzieś twój wstyd i twoje przeprosiny! O nic cię nie proszę. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego tak jak inni nigdy nie zaprosiłeś mnie do siebie do domu? Dlaczego? Bo jestem upierdliwa? Bo nie wyglądam na prawdziwą kobietę z tym niedopieczonym ciałem? To wam przeszkadza? Czy moja inteligencja? O co chodzi?

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Nie chciałem kłamać...

— Milczysz... Jesteś uczciwy, Jakubie... Inni mówią, że ich onieśmielał tym moim rozumem. Ale tobie nie przeszkodziło to zostać przyjacielem Jeana-Baptiste'a. Czy jest serdeczniejszy ode mnie? Nie przeszkodziło ci to zostać przyjacielem Bartolomea. Czy jest piękniejszy, zgrabniejszy ode mnie?

Długo patrzyła na mnie bez słowa, a potem rzekła:

— Wybacz mi, chyba jestem pijana...

Oparła głowę o stół i natychmiast zasnęła, chrapiąc.

Była cięższa, niż przypuszczałem. Zaniósłem ją na łóżko, zgasiłem lampę. Wróciłem do salonu, żeby napisać kilka słów...

Czy jest jakieś specyficzne powołanie kobiet w odróżnieniu od powołania mężczyzn?

Sylwester Wielki

Najlepsze miejsce

Zależy mi na tym, żeby czytelnicy, którzy oczekują ode mnie biografii Tomasza I, nie zaczęli dochodzić do wniosku, że przekształca się ona w traktat o reformach Sylwestra III. [Dokładny ich opis oraz analizę punkt po punkcie można znaleźć w książce *Wielkie reformy Sylwestra III*, napisanej przez teologa Raymonda Manuela, Paryż 2029.] Należy jednakże wspomnieć o jego reformach, choćby ogólnikowo, żeby pojąć, że ich inicjatorem był przede wszystkim papież Sylwester, mający ogromne poparcie klanu Francuzów. Jak również i to, że Tomasz I, kontynuując dzieło Sylwestra III, kazał nam zrobić jeszcze większy krok, który stałby się gigantycznym skokiem, gdyby sobór zatwierdzony przez Tomasza II odpowiedział na wielkie nadzieje rozbudzone w czasie pontyfikatów Sylwestra III i Tomasza I.

Zamierzam przedstawić istotę reform, których genezę obserwowałem w trakcie dyskusji podczas wtorkowych spotkań.

Wyznanie Sylwestra, opowieść o jego „nawróceniu”, w dziwny sposób zacieśniła nasze więzi. Zrozumieliśmy, do jakiego stopnia zmieniła się wizja Kościoła u Jeana-Baptiste'a, jeśli chodzi o relacje między księżmi i świeckimi, i jak po ponurych latach rządów Meksykanina przebudowywał ją i odnawiał, odstępując od metod templariuszy.

Obraz Chiary i Giuseppe zachwiał podstawami jednego z najmocniej zakorzenionych przekonań księdza Jeana-Baptiste'a

Villepreux. Bywając u tej młodej pary małżeńskiej, odkrył, że żyją oni prawdziwym chrześcijańskim życiem i że takiego właśnie życia Bóg pragnie dla ludzi. W jego poglądach nastąpił przewrót — pojął bowiem, że księża, biskupi i papież mają rację bytu tylko wtedy, gdy naprawdę służą ludzkości; że służyć Bogu, służyć Chrystusowi to nie tylko oddawać mu cześć. Należy być sługą każdego człowieka. Czas więc uprzytomnić Kościołowi, że taka jest jego prawdziwa misja, o której Sylwester napisał w *Liście do księży na Wielki Czwartek* 2025 roku: „Misją Kościoła wobec ludzi w obecnych czasach nie jest osądzanie ich ani potępienie, lecz głoszenie, że Bóg jest miłosierny, że pragnie ich dobra, nie wydaje wyroków, nie narzuca norm doskonałości, ale nawołuje do życia w świętości. Mają głosić słowo Boga, dla którego nikt nigdy nie jest stracony. Oto służba, do której zostaliście powołani. Macie głosić ludziom zbawienie i dobrą nowinę. Chrystus, nasz Pan, oddał życie za nich i za nas, którzy jesteśmy grzesznikami. Biada nam, jeśli na coś liczymy, ponieważ Chrystus daje, nie licząc na nic”.

Bez żadnej przesady można stwierdzić, iż list ten stał się osnową reform Sylwestra.

Małżeństwa i skrucha

Szły one w trzech kierunkach zgodnie z wnioskami synodu biskupów z listopada 2024 roku: reforma małżeństwa, reforma wyświęcania kapłanów, powołanie trybunałów skruchy. Każdej miały przyświecać dwie idee: służyć i jednać.

O reformie małżeństwa[Gdy Sylwester podejmował ten problem, wiedział, że jest to jeden z powodów nieporozumień między Kościołem i współczesnym światem.] nikt dziś nie pamięta, ponieważ bardzo szybko weszła w życie. A przecież przez prawie piętnaście lat Kościół nie miał nic do zaproponowania młodym ludziom, którzy chcieli nadać swemu związkowi jakiś duchowy sens, poddać się Bożej Opatrzności, chociaż nie odpowiadały im zasady wiary.

Wystarczyło wskazać różnicę — co tradycyjna teologia zawsze robiła — między instytucją małżeństwa i jego „deifikacją” w sakramencie. Dziś te młode pary znajdują należne im miejsce w

kościółach; przyjmowani są przez wspólnoty, razem z innymi rodzinami spędzają czas na modlitewnym skupieniu. Celebrant, najczęściej diakon, błogosławił ich związek takimi słowami: „Wejrzyj, Ojcze, na tego mężczyznę i tę kobietę, którzy kochają się i pragną dochować wierności i żyć w zgodzie ze swą miłością. Obdarz ich swą łaską, ześlij twoje błogosławieństwo na nich i na potomstwo, które pojawi się w ich domach, daj, aby pojęli, że oczekujesz od nich, iż wypemią do końca swoje małżeńskie powołanie i staną się świadkami twojej miłości w sakramencie związku małżeńskiego”.

Tę ceremonię Kościół nazwał błogosławieniem małżeństwa, ponieważ jest błogosławieństwem jednej z najstarszych ludzkich instytucji, która, jak się wydaje, zachowuje we wszystkich kulturach miano „naturalnej”.

Kościół nazywał to „sakramentem związku małżeńskiego”. Pamiętam, że problem ten wielokrotnie był dyskutowany podczas wtorkowych spotkań. „Sakrament związku” jest terminem, który często określa eucharystię. Trzeba więc podkreślić silny związek między sakramentem, który otrzymują małżonkowie, i sakramentem eucharystii, bo w obu przypadkach przeobrażana jest ludzka rzeczywistość. Miłość Boga wciela się w związek małżonków, Boska miłość jednoczy się z miłością ludzką w taki sam sposób, jak wino z wodą miesza się podczas Ofiarowania. [Jak woda miesza się z winem podczas mszy świętej, tak my możemy być zjednoczeni z boskością Tego, który przyjął nasze człowieczeństwo.] Wyraża się w tym z całą mocą więź małżeństwa i eucharystii. Małżonkowie przyjmują w siebie miłość Boga, a wtedy ich związek staje się widocznym, realnym znakiem obecności Boga.

I dlatego sakrament związku małżeńskiego zawsze będzie udzielany podczas eucharystii: ksiądz kładzie dłonie na małżonkach i wzywa Ducha Świętego słowami: „Prosimy cię, Panie, aby Duch Święty uczynił z miłości tych małżonków żywą ofiarę dla twojej chwały”.

Dzisiaj dwie pary na trzy poddają się ceremonii błogosławieństwa związku małżeńskiego. Spośród nich jedna na trzy wraca i prosi o udzielenie sakramentu związku małżeńskiego. [Sakrament związku małżeńskiego jest nierozwiązywalny, jest znakiem miłości „aż do końca”. Z tego powodu może być udzielany tylko raz w życiu. Wdowcy mogą zawrzeć nowy związek, który będzie pobłogosławiony, ale taki wdowiec pozostaje „strażnikiem” pierwszego związku małżeńskiego.]

Ta reforma odnosiła się do przyszłości, ale Sylwester III pragnął również naprawić przeszłość z myślą o tych wszystkich, którzy zostali odrzuceni z powodu rozwodu i powtórnego małżeństwa. Wielkie dzieło pojednania wymagało powołania trybunałów skruchy.

Jean-Baptiste ogłosił rok 2026 rokiem pokoju i pojednania. I nie miał to być tylko rok modlitw, choć modlitwa oczywiście była niezbędna, bo wszelki prawdziwy pokój, każde autentyczne pojednanie pochodzi od Boga, lecz musiał to być rok działania.

Zależało mu na tym, aby pojednać wszystkich tych, którzy znaleźli się poza kościelną wspólnotą.

W każdej diecezji został utworzony „trybunał skruchy” składający się z dwunastu osób, a przewodził mu biskup. Biskup wybierał członków trybunału, biorąc pod uwagę ich mądrość, doświadczenie i zdolność do empatii. Do trybunałów zgłaszali się ludzie, którzy pragnęli pojednania z Kościołem. [Są to na ogół ludzie po rozwodach, którzy zawarli ponownie związek małżeński, małżonkowie osób rozwiedzionych, a także księża, którzy porzucili stan kapłański, aby móc się ożenić, oraz ich żony.]

I nie chodziło o to, aby trybunał zaakceptował fakt zerwania małżeństwa, ale żeby wysłuchał, jak do tego doszło. Poza szczególnymi wypadkami trybunały odnoszą się życzliwie do próśb tych osób i kierują je do parafii albo do jakiegoś sługi Kościoła, z którym przygotowują się do ceremonii skruchy i pojednania, będącej początkiem ich powrotu. Tego rodzaju praktyka nawiązuje do szeroko stosowanych niegdyś w Kościele aktów publicznej skruchy.

Sylwester III osobiście przewodniczył pierwszej takiej ceremonii w piątą niedzielę Wielkiego Postu 2026 roku w bazylice św. Jana na Lateranie podczas mszy Pańskiej; „wszak cała wspólnota przyjmuje na swoje łono braci i siostry, którzy wracają. Jedna to cały Kościół”. [W następstwie tego kolejne ceremonie odbywały się w Niedzielę Miłosierdzia, to znaczy w drugą niedzielę okresu wielkanocnego.]

W trakcie tej ceremonii papież prowadził dialog ze wszystkimi skruszonymi. Zwrócił się do każdego z nich po imieniu (było ich dwanaścioro, kobiety i mężczyźni, każdy z własną historią zerwania, rozpacz, pogardy i odrzucenia). A oni na jego pytanie odpowiedzieli:

— Tak, zgrzeszyłem przeciw niebu, nie zasługuję na to, aby być nazywanym synem (czy córką, w zależności od płci).

Po czym uklękli. [Sylwester upierał się, że: „Ten gest musi mieć znaczenie symboliczne. Oni powinni przyznać, iż są słabi, że są grzesznikami, a wtedy silniej odczują fakt, że zostali ocaleni, podniesieni z upadku”. Z tego właśnie powodu nazwano nową instancję trybunałem skruchy, a nie trybunałem pojednania, jak chcieli niektórzy (o tym również dyskutowano zażarcie na wtorkowych spotkaniach). Doskonałą analizę pojęcia grzechu i winy można znaleźć w eseju psychoanalityka Nathana Jusla, *To nasza wina*, Dubrownik 2032.]

I wówczas Sylwester rzekł:

— Słuchajcie, wy, którzy prosicie o miłosierdzie! Ogłaszam wam rok łaski i dobrodziejstw ze strony Pana, wasze grzechy zostały anulowane, wasze winy zatarte, powstańcie, radujcie się w Panu, cieszcie się ponownie życzliwością waszych braci i sióstr, dostąpcie radości!

Potem zwrócił się do wszystkich obecnych w bazylice:

— I wy, moi przyjaciele, radujcie się, bo oto wasi bracia i siostry, którzy byli zagubieni, odnaleźli się, byli martwi, a teraz wrócili do życia.

Następnie Sylwester przeszedł główną nawą wraz ze skruszonymi, których ustawił w pierwszym rzędzie przed ołtarzem. Zgromadzeni w świątyni zaśpiewali wspólnie pieśń.

Papież w homilii przypomniał słowa świętego Łukasza: „Powiedam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”. [Ewangelia wg św. Łukasza 15,7.]

Ogromne wzruszenie ogarnęło skruszonych, ich rodziny, przyjaciół, wszystkich wiernych.

Podczas mszy Sylwester nie wezwał oddzielnie skruszonych przed ołtarz do komunii świętej, ponieważ jego zdaniem zajęli już oni zwykle miejsce pomiędzy swymi braćmi, i podał im hostię, gdy przysła ich kolej. W innych diecezjach różnie postępowano.

Kiedy cztery lata później ujrzałem, jak Sylwester pada nagle na posadzkę kościoła, w którym dokonał osobiście tej ceremonii, pomyślałem, iż tak bardzo wcielił się w nieuczciwego rządcę, którego nieraz wspominał w swoich homiliach, że jakiś szaleniec uznał, iż musi go ukarać i zabić.

Ostatnia z wielkich reform Sylwestra dotyczyła święceń kapłańskich i była chyba najtrudniejsza do przeprowadzenia.

Wielki zwolennik święceń kapłańskich żonatych mężczyzn przekonał się w 2008 roku, że jego reforma poniosła fiasko. Pius XIII, jak tylko został wybrany, natychmiast wydał dekret o jej moratorium. Około dwóch tysięcy Europejczyków, z których większość była już diakonami i spodziewała się wyświęcenia na kapłanów w 2011 lub 2012 roku, nie zdążyła odbyć tej ceremonii. Villepreux zaraz po wstąpieniu na tron papieski anulował moratorium, ale okazało się, że nie było tłumu chętnych do stanu duchownego. Kapłaństwo żonatych mężczyzn nie rozwiązało problemu braku księży w większości krajów.

Po latach stwierdzono, iż było to łatwe do przewidzenia. Decyzja po drugim Soborze Watykańskim, dotycząca wyświęcania żonatych diakonów, nie dawała podstaw, aby spodziewać się wielu chętnych. Dlaczego miałyby być więcej kandydatów do stanu kapłańskiego? Niełatwo znaleźć młodych, nieżonatych mężczyzn gotowych poświęcić życie dla Kościoła. Czy można było przypuszczać, że znajdą się ludzie odpowiedzialni, obarczeni rodzinami, którzy będą chcieli podjąć się duszpasterstwa?

Jean-Baptiste, jak już mówiłem, przez długie lata przeżywał rozczarowanie, które go spotkało, i starał się zrozumieć jego przyczyny. Jeanne-Marie opowiadała, że podczas pobytu w Lyonie wręcz obsesyjnie o tym rozmyślał. A sam pomysł przyszedł z Afryki. W Afryce bowiem dzięki Paulowi i jego wiernym przyjaciółom, takim jak Gowon, Manding i inni, nacisk Meksykanów był słabszy i chociaż za pontyfikatu Piusa XIII żaden z prałatów nie udzielił święceń kapłańskich żonatym mężczyznom, wiele diecezji przygotowywało się do tego zgodnie z postanowieniem synodu z 2011 roku. Z tym że robili to nie w zachodnim duchu „mistycznego powołania”, [Owa mistyka zakłada, że Bóg wzywa tych, których przeznaczona do kapłaństwa, w sposób tajemniczy, poprzez duchowe, szczególne doświadczenie.] lecz według wskazówki apostoła Pawła, aby wybierać *virī probatī*, ludzi szlachetnych, których cechy przedstawił w liście do Tymoteusza: „Powinien być nienaganny, mąż jednej żony, trzeźwy, rozsądny, przyzwoity, gościnnie, sposobny do nauczania, nieprzebiegający

miary w picciu wina, nieskłonnny do bicia, ale opanowany, niekłótlwy, niechciwy na grosz, dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością. Jeśli ktoś bowiem nie umie stanąć na czele własnego domu, jakżeż będzie się troszczył o Kościół Boży?”. [Pierwszy list do Tymoteusza 3, 1–5.] Biskupi afrykańscy mieli wycucie, które brało się z ich ogromnego doświadczenia zaszczepiania wiary, powoływania ludzi wyznaczonych przez ich wspólnoty. Powołanie nie było już tylko zależne od nieba. A obowiązek biskupa polegał na tym, by poznać wolę wspólnoty i wyświęcić kandydatów.

Ten właśnie problem podjął Sylwester w pewien wtorkowy wieczór jesienią 2025 roku. Poprosił wówczas Jeanne-Marie i Paula, aby przedstawili nam szczegółowo swoją propozycję. Przewidywała ona, że wspólnoty chrześcijańskie miały znaleźć w swoim gronie ludzi uczciwych, sprawiedliwych i mądrych, a następnie zaprezentować ich biskupowi, prosząc go, aby udzielił im święceń kapłańskich. W ten sposób będą mogli przewodniczyć wspólnotom, dbać o nie, udzielać eucharystii. Takich ludzi znamy dzisiaj jako „duchowieństwo parafialne”. Są to najczęściej ludzie żonaci, którzy nie zrezygnowali z wykonywania swego zawodu.

Przy biskupie znajdują się jego bliscy współpracownicy i to na nich składa on odpowiedzialność za jedność diecezji i nauczanie; znamy ich pod mianem „duchowieństwa kanonicznego”. Od 2026 roku są to ludzie nieżonaci, którzy złożyli śluby kościelne. [Żyją według reguły kanoników św. Augustyna.] Żyją w braterskich wspólnotach przy biskupie lub w małych wspólnotach, których jest dużo w każdej diecezji.

Dla uzupełnienia należy dodać, że odtworzony związek pomiędzy małżeństwem sakramentalnym i eucharystią wymagał powierzenia księżom udzielania ślubów, podczas gdy przedtem czynili to diakoni. W zamian za to, a było to jednogłośne życzenie wszystkich synodów, diakonom powierzono „służbę miłosierdzia”, celebrację chrztów, udzielanie chorym świętych sakramentów oraz sakrament pojednania.

Dzisiaj wszystkie te reformy są realizowane i każdego dnia zwraca się uwagę na korzyści, jakie przynoszą, przynajmniej „na jakiś czas”, jak powiedziałby Giuseppe. Jednak nagle zachwiało się coś w logice przejścia władzy przez duchowieństwo, ponieważ w Paryżu pewien ksiądz miał odwagę wyciągnąć konsekwencje z tego, co widział.

Purpura

„Sua Eminenza”

Rok 2029, rok czerwieni i bieli, dni dziewiczych i dni zbrukanych krwią, śmierci i narodzin...

20 maja 2029 roku. Uroczysta niedziela, dzień purpury. Było ich czterech, a wśród nich Lech Grödn, wielki polski artysta, czwarty kardynał laicki, odkąd Sylwester stworzył możliwość powoływania do grona kardynałów ludzi ochrzczonych, chociaż niewyświęconych. W 2026 roku powołał ich już trzech, jednego świeckiego, twórcę ruchu Kościół Bez Granic¹, jednego żonatego diakona, założyciela stowarzyszenia Synowie i Córki Świętej Marty², oraz zakonnika, brata Paula, sławnego biblistę, inicjatora nowego tłumaczenia Pisma Świętego na potoczny język angielski. [Kościół Bez Granic wysłał na życzenie parafii, głównie z Europy, wolontariuszy, którzy poświęcają swoje urlopy i jadą tam, aby ożywić na nowo parafie, pobudzając w nich energię. Twórcą tych „szturmowych grup” był Francuz Olivier Beaumel, który poznał Sylwestra III w Saint-Germain-des-Prés.]

[Synowie i Córki Świętej Marty to stowarzyszenie świeckich znających się na liturgii, którzy na prośbę biskupów pomagają wspólnotom i księżom w parafiach w uświetnianiu obrzędów liturgicznych.]

Nie było nic szczególnego w tym konsystorzu, podczas którego papież mianował nowych kardynałów. Nic poza tym, że po przeczytaniu odpowiedniej formuły Sylwester III nadał nowemu kardynałowi, Lombardiemu, imiona Giuseppe Jakub.

Obserwowałem Giuseppe Lombardiego, który nigdy nie lubił tytułów, ale .nie wydawał się w tym momencie ani zakłopotany, ani

wzruszony. Klęknął przed Sylwestrem, który włożył mu na głowę kapelusz kardynalski, mówiąc: „Przyjmij tę purpurę na znak godności i urzędu kardynała, symbolizuje ona, że jesteś gotowy wykonywać swój urząd z całą mocą, nie szczędząc krwi dla rozszerzania wiary chrześcijańskiej, dla pokoju i harmonii w łonie Ludu Bożego, dla wolności i umocnienia Świętego Kościoła rzymskokatolickiego”. Moc, pokój, wolność... Nigdy te słowa do nikogo bardziej nie pasowały niż do tego właśnie człowieka wyróżnionego przez Rzym.

Giuseppe otrzymał rangę kardynała-prezbitera. Papież powierzył mu rzymską parafię Santa Chiara a Vigna Clara¹. Duży kościół z czerwonej cegły na Via Zandonai jest brzydki pod względem architektonicznym, ale liczyła się intencja papieża. [Kardynałowie są doradcami papieża, czyli biskupa Rzymu. I dlatego dostają symbolicznie którąś z rzymskich parafii.]

Kiedy Sylwester III wręczał Lombardiemu w kaplicy papieskiej pierścień kardynalski, pomyślałem o tym, co mówi na ten temat prawo kościelne: ten pierścień jest symbolem godności, pasterskiej troski oraz najściślejszej więzi z siedzibą świętego Piotra. Czy mogła być jeszcze ściślejsza więź między spadkobiercą tronu świętego Piotra i tym, któremu włożono na palec pierścień, doskonale pasujący do obrączki, świadectwa jego związku z Chiara?

Z córką u ramienia

Lato 2029 roku, 25 sierpnia... Biała niedziela. Clara opuszczała dom ojca, by stworzyć własny. Przeszła alejką do skromnego wiejskiego kościoła, gdzie kiedyś Morro był trzymany do chrztu. Giuseppe i jego koczownicza rodzina uczynili ten kościół swoim kościołem „parafialnym”, ponieważ na tutejszym cmentarzu spoczywała pod cyprysami Chiara.

Giuseppe ubrał się tego dnia z wyszukaną elegancją orientального księcia – w marynarkę z szafranowego jedwabiu. Idąc u boku Clary, czuł się dumnym ojcem. Ślubu udzielał monsignore Morro. Po prawie ćwierć wieku, kiedy stali przed nim Giuseppe i Chiara, don Enrico miał połączyć węzłem małżeńskim ich córkę i Luce

Svevo. [Luca był przyjacielem rodziny, uczniem Anny i Pietra. Poznał Clarę na uniwersytecie w Bolonii, gdzie studiowała medycynę, wierna tradycji klanu „rozsądnych” swojej rodziny.] Giuseppe poprzedniego dnia powiedział do mnie: „Clara, podobnie jak jej matka, jest stworzona do szczęścia... Sama pokieruje swoim życiem i będzie z niego dumna”.

Wesele odbywało się w pogodny dzień łagodnego lata na włoskiej prowincji Emilia-Romania. Giuseppe miał wokół siebie przyjaciół, rodzinę, gości zaproszonych przez córkę i zięcia. Wszyscy, mimo prestiżowej pozycji jego przyjaciół, mimo jego tytułu, poddali się radosnej atmosferze wesela. Tego dnia wierzyliśmy, że przyszłość będzie jeszcze lepsza, że życie warte jest tego, by na nie stać...

Tylko jedna osoba w całym towarzystwie nie uległa nastrojowi radości. W kościele stałem nieco z tyłu i obserwowałem Cecilie, która nie usiadła przy Giuseppe Lombardim, lecz przy dziadkach. Monica i Pietro, którzy nie byli oswojeni z nowymi rytuałami i nie czuli się dobrze w kościele, stali się na ten dzień jej sprzymierzeńcami. Przeciągnęła też na swoją stronę swą „matkę chrzestną”, Jeanne-Marie. Widziałem, jak szeptała jej do ucha, jak komentowała coś w momencie udzielania sakramentu małżeństwa i potem podczas komunii. Buntowała się. Broniła się, żeby nie ulec tym sakramentom. Przy ołtarzu znajdowało się zbyt wielu przyjaciół jej ojca — oprócz kardynała, proboszcza tego kościoła, obecny był kameruński olbrzym Paul, Paddy, arcybiskup z Indii o wyglądzie wiecznego młodzieńca; był także młody kulawy ksiądz, który dwa razy brał gitarę, by odśpiewać *Kyrie* i *Sanctus* z *Misa Criolla*.

Wiele lat później Cecilia powiedziała do mnie: „Perspektywa małżeństwa była dla mnie bardzo długo nie do zniesienia, jak dla niektórych dzieci perspektywa przejęcia firmy po ojcu... W taki czy inny sposób wszystko, co się działo w Kościele, było dziełem taty...”.

Cecilia wybierała ludzi, żeby przeżyć, a może i żeby nimi rządzić... Wykorzystywała dziadka do gry przeciw Giuseppe, Simonowi i Leah; okazywała przywiązanie do Mary, rodziny Poopaddych i starego Papelli w przeciwieństwie do całego „klanu Francuzów”... Przeciwstawiała swoje ciotki ojcu. Ale czy mogła toczyć tę grę dalej,

gdy wieczorem przyjechał sam papież z eskortą zredukowaną do minimum, helikopterem, który wylądował w odległości kilku kilometrów, by „nie zwracać na siebie zbytnej uwagi”?

Zamach

Dziesięć dni potem na scenę wróciła ponownie czerwień...

Znowu byliśmy w Jerozolimie. Przyjechaliśmy, żeby być świadkami przy przekazywaniu Wzgórza Świątynnego Nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nie musieliśmy tam być, ale Giuseppe powiedział: „Chcę przekonać się naocznie, co się stanie, gdy Izrael zrzeknie się swojej ziemi, a bracia Joshuy Berga będą innego zdania”. [W czerwcu 2027 r. UNESCO stało się właścicielem dwudziestu procent obiektów z listy dziedzictwa światowego i zaproponowało całkowite finansowanie rekonstrukcji esplanady, Kopuły na Skale i Meczetu Al-Aksa, jeśli Jordania i podziemna Al-Fatah uznają prawo własności UNESCO do tego miejsca. W tym momencie uznano de facto zwierzchnictwo Al-Fatah nad wschodnią Jerozolimą, jako Palestyny. W marcu 2029 r. Izrael przekazał „swoje miejsca” pod protektorat NONZ. Przy tych dwóch okazjach Lombardi był w Jerozolimie jako konsultant i doradca.]

Żydowski liberałowie stopniowo nauczyli się, jak sprawić, by za triumfowała ich wizja Boga z namiotu, a nie ze Świątyni. Potrafili już wpoić tę wizję ludziom, godzić się na traktaty podpisane przez ich państwo. Jednak jeszcze nie wszyscy bojownicy opuścili pole bitwy; nadal próbowali bronić swego Boga, z którego woli naród wybrany otrzymał swą Ziemię Obiecaną... Boga, który odpowiada ściśle prawu religii Mojżeszowej.

Giuseppe powiedział:

— Masz dziś wolny dzień, *fratello*. Idę zobaczyć, jak postępują prace na esplanadzie...

Nawet nie spojrziałem za nim, gdy wychodził, tak byłem zabsorbowany odkryciem nowych skarbów fototeki, przeglądaniem jej katalogu. Usłyszałem, jak zbiega po wielkich marmurowych schodach. Chwilę potem potężna eksplozja wstrząsnęła murami szkoły.

Minęły dwie lub trzy sekundy, zanim uświadomiłem sobie, że ten wybuch nie był czymś „normalnym”, ponieważ mieliśmy pokój.

Z oczyma wciąż utkwionymi w ekran, doszedłem do wniosku, że bez wątpienia wysadzono jakiś samochód. Na ulicy rozległy się krzyki. Sądząc po natężeniu huku, bomba musiała wybuchnąć bardzo blisko.

Kiedy pokonywałem schody biegiem, minąłem kilku studentów. Całą drogę do rozbitego, dymiącego samochodu krzychałem: „Giuseppe Lombardi, Giuseppe...”.

Zobaczyłem go skulonego, leżącego na asfalcie.

Biegłem.

Widziałem poczerńiałe plecy pokryte sadzą, unoszący się wokół niego dym.

Byłem już przy nim.

Ruszał się... Zobaczyłem duże smugi krwi na jego ubraniu, rękach.

Kłęknałem obok niego. Dotknąłem go, był ciepły, żywy, kaszłał, wypluwając krew na trotuar. Zwrócił ku mnie oczy z niezwykle białymi białkami na tle umazanej sadzą twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby mnie nie widział przez duszący dym przesłaniający mu oczy. Ścisnąłem go za rękę, powiedziałem, że zawieziemy go do szpitala, żeby się nie ruszał. Patrzył na mnie oszołomiony, jakby mnie nie rozumiał. Bo też tak było. Wskutek wybuchu przestał słyszeć.

Rozległ się sygnał karetki pogotowia.

Jacyś ludzie oderwali mnie od niego. Postawili na nogi, nie zapytali, czy jestem ranny, czy coś widziałem...

Zobaczyłem, jak go zabierają na noszach, z maską tlenową na twarzy...

Nie było w tym żadnego cudu.

Niektórzy uznali, że przeżył, bo czuwał nad nim palec Boży; miał przecież jeszcze coś do zrobienia i Bóg go zachował...

On jednak przeżył eksplozję tylko dzięki niekompetencji pirotechnika z grupy Igal Amir oraz szczególnie właściwościami starego opancerzonego mercedesa Szkoły Biblijnej. Był to model sprzed dwudziestu lat, z epoki zamachów na wysoko postawione osoby w Izraelu, i dlatego miał wzmocnione blachy nadwozia. Giuseppe wyszedł cało z pożaru samochodu dzięki swemu refleksowi. Widząc wyrwane prawe przednie drzwi, wyskoczył z wozu i przetoczył się po ziemi, zdzierając ogarnięte płomieniem ubranie.

Nie było w tym żadnego cudu. Skończyło się na zwykłych draśnięciach, otarciach. Tylko z czoła ściekała mu krew. Słuch odzyskał przed upływem trzech godzin. Uległ jednak poważnemu zatruciu oparami palącej się wykładziny z tworzyw sztucznych. Nie było żadnego cudu, a fatalne skutki tego zamachu miał odczuć w przyszłości.

Naga nienawiść

Następnych kilkanaście dni minęło pod znakiem bieli. Dwa tygodnie w warunkach klinicznej aseptyki, w ciszy na oddziale chorób wewnętrznych szpitala Bikur Holim. Mimo sond wystających z nosa, mimo zabiegu inhalacji płuc, już wkrótce mógł przyjmować gości.

Palestyńczycy, Izraelczycy, przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej, Unii Indyjskiej... Cały świat stawiał się przy jego łóżku. Terrorysty dokonali zamachu na człowieka „pokoju dla Jerozolimy”. Świat wciąż się obawiał o to kruche pojednanie...

Giuseppe mówił powoli, żeby zapobiec atakom kaszlu, ale kaszlał już mniej niż na początku. Otrzymał sakrament chorych, którego udzieliłem mu ja i monsignore Nasrallah.

Leah przyjechała ze Stevenem.

Dni te były też białe jak strach. Strach Clary i Cecilio, które przyjechały następnego dnia, wstrząśnięte tym, co się stało. Wiadomość o zamachu na ich ojca była podawana na wszystkich falach, jego twarz pokazywano na wszystkich ekranach. Zatelefonowałem do nich kilka godzin po zamachu, uspokajałem je. I to właśnie Cecilia, tam w Bolonii, oznajmiła jako rzecz oczywistą: „Przyjeżdżamy”. A on pierwsze słowa skierował do Clary: „Nie powinnaś była przyjeżdżać... W dodatku bez Luca... Zepsułem wam podróż poślubną”. Wieczorem, przy lampce wina w Amerykańskiej Kolonii, Cecilia wyznała mi: „Mnie zepsuł całe życie... I wcale go to nie obchodzi”.

Nie musieliśmy się zastanawiać, kto był autorem tego zamachu. Żydowska ortodoksyjna grupa Igal Amir wysłała e-maila natychmiast po eksplozji: „Ten wysłannik chrześcijan i Arabów sprzedał

świętą ziemię Izraela, oddał obcym całe obszary ziemi, która jest nasza, od kiedy nasz ojciec Abraham przybył do Kanaanu, od powrotu Żydów z Egiptu, od czasu gdy Salomon zbudował Świątynię, a potem gdy nasi ojcowie wrócili z wygnania w Babilonie. Nie mamy potrzeby wymachiwać naszymi tytułami własności, bo cała Tora świadczy o tym, że ta święta ziemia, przeznaczona nam jest przez Najwyższego. Pan był wierny Przymierz, które zawarł z naszym narodem. Śmierć tym, którzy wyciągają rękę po ziemię naszych ojców. Śmierć im i czeluście piekielne...”.

Po dwóch godzinach, gdy rozeszła się wiadomość, że Lombardi przeżył, pojawił się drugi komunikat, najwyraźniej innego autora: „Ten pies Lombardi, który sprzedał naszą ziemię, tylko chwilowo uszedł z życiem... Przepraszamy za to wszystkich prawdziwych Żydów. Następnym razem zdechnie”.

Leah siedziała przy nim dwie godziny. Słyszałem ich śmiech, jego kaszel. W końcu wyszła. Czekałem przed drzwiami, warując niczym wierny pies.

— Jak on się ma twoim zdaniem, Pietro?

— Widziałas sama. Jest zmęczony. Cudem został uratowany, tylko ten paskudny kaszel.

— A jego stan psychiczny? Czy sądzisz, że zrezygnuje?

— Nie mam pojęcia, Leah. Mówił ci coś na ten temat? Potrząsnęła przecząco głową.

— A ty co byś zrobiła? Zostawiłabyś wszystko? Znowu zaprzeczyła ruchem głowy. Powoli. Z wahaniem.

Co on myślał? Co czuł przez te kilkanaście dni? Któregoś wieczoru w szpitalu powiedział do mnie: „Clara już mnie nie potrzebuje; nie przypuszczam, żeby dziadek był niezbędny, bo sam takiego nie miałem... Jeśli chodzi o Cecilie, to nie wiem, czy jej potrzebny jest ojciec, czy też chciałaby się od niego uwolnić”.

Powiedziałem, co myślę o jego młodszej córce. Powinien zapomnieć o ich wzajemnych nieporozumieniach. Ojciec nie wybiera, do czego ma służyć.

Obrzucił mnie bardzo poważnym spojrzeniem. Uśmiechnął się:

— Dzięki, *fratello*. — A potem dodał: — Musisz mi pomóc, Pietro, ona jest jak ryba. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już ją mam w ręce, wymyka się... I nie denerwuj się, nie mam najmniejszego zamiaru umierać.

Pisząc to, wracam w myśli do pytania Leah: czy on zrezygnuje?

Zrezygnować? W tym czasie nie można już było niczego zatrzymać, bieg wydarzeń nie zależał od niego. Dopiero w 2033 roku, uzbrojony w autorytet papieża, mógł ponownie zaważyć na decyzjach, stać się negocjatorem w międzynarodowych rozmowach dotyczących Jerozolimy.

Strach? Nigdy nie zauważyłem, żeby się czegoś bał. Również Paddy potwierdził, że ten człowiek nie znał strachu. Nawet w ostatnich chwilach życia, kiedy wiedział, że jest śmiertelnie chory, nie dopuszczał do siebie tego uczucia, do końca zachowując aktywność.

Jednak w 2029 roku w Jerozolimie spotkał się z nienawiścią zwróconą przeciw niemu, przeciw jego prawu do oddychania na tej ziemi.

Jak kochać takiego wroga, z którym nie da się rozmawiać, negocjować? Zmagał się z tym pytaniem w wewnętrznej ciszy, w narzuconym jego choremu ciału bezruchu. Może to doświadczenie ułatwiło mu w następnym roku decyzję o wielkich czystkach. Z całą pewnością w Jerozolimie przekonał się na własnym ciele, że ani skor pion, ani wąż nie potrafią powstrzymać się przed ugryzieniem i że jedyne, co należy zrobić, to bronić się stanowczo, ale bez nienawiści.

Ostrzeżenie

20 września wylecieliśmy do Delhi. Różany raj Mary miał być najlepszym lekarstwem dla rekonwalescenta. Na lotnisku przywitał nas osobiście Paddy.

W holu przylotów obejmowali się obaj długo, bez słowa. Kierowca Paddy'ego zajął się naszymi bagażami. Wsiedliśmy do czarnej limuzyny i wszyscy trzej zajęliśmy miejsca na tylnym siedzeniu.

— Powiedziano mi, że odkąd mam mitrę, nie mogę sam prowadzić samochodu — zażartował Paddy.

— Musi im bardzo zależeć na wozie diecezji.

— A ty, jak widzę, troszczysz się o Szkołę Biblijną. Ty sobie latasz tu i tam, podczas gdy ja muszę zajmować się sprawami diecezji większej niż twój kraj!

Giuseppe nawet się nie uśmiechnął. Zmarszczył tylko czoło. Paddy zrozumiał, że nie pora na żarty. Kiwając głową, powiedział:

— Nie ludź się, Giuseppe. Ci, którzy nas nienawidzą z taką siłą, wszędzie mają swoich przedstawicieli. Codziennie zmagam się z moimi kolegami, by wprowadzać w życie reformy twego przyjaciela papieża. — Wyjrzał przez okno i znowu zwrócił się do nas: — „Prawdziwi księża” podważają autorytet i władzę duchowieństwa parafialnego. „Prawdziwi małżonkowie” naciskają na swoje dzieci, aby brały „prawdziwy ślub” w kościele. Dwie kobiety z Delhi zostały pobite przez swoich braci, ponieważ „popęłniły wiarołomstwo”, przeprowadzając się do swoich mężów po zwykłym błogosławieństwie, bez sakramentu związku małżeńskiego. — Spojrzał na kierowcę i polecił mu: — Jedziemy prosto do Mary, bez zatrzymywania się w siedzibie diecezji. — Potem znowu zwrócił się do nas i tonem na pół żartobliwym rzekł: — Wyobraź sobie, że tutaj to ja jestem tym najmocniejszym wśród biskupów. A poza tym jestem *thakur* [Thakur — członek jednej z wyższych kast hinduskich.] z dobrej rodziny, nauczyłem się zmuszać do milczenia ludzi... Tak więc, strzeżcie się...

19 „Stabat frater”

Triumf rzymski

Między październikiem a tym lutowym dniem nie wydarzyło się nic naprawdę istotnego. Trzy miesiące, jakie minęły, od kiedy Giuseppe stanął na czele Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, były okresem zagospodarowywania się. Znowu przejęliśmy akta dotyczące ekumenizmu. Giuseppe dał sobie rok na poznanie wszystkich, którzy prowadzili negocjacje, na przekonanie się, co w ogóle sądzą na ten temat, czego nie są w stanie przyjąć, co jest im drogie i co ich może pobudzić.

Jedność chrześcijan miała stać się w przyszłości jego najważniejszą troską. Po przełamaniu wszystkich oporów stanie się papieżem dialogu. Ale w tym momencie ta sprawa nie była jeszcze najważniejsza.

Nominacja Paula Assoumou na sekretarza stanu pozwala lepiej zrozumieć to, co się wkrótce zdarzyło. Był niczym *muleta*, którą wymachiwano przed oczyma rozwścieczonych Meksykanów. Jego nominacja stała się bezpośrednim powodem czynu ustasza Franja Dranicia, który sam to później wyznał.

Kiedy wstałem tego ranka, Giuseppe był w doskonałym humorze, niemal w euforii — ten człowiek dnia dzisiejszego uwielbiał rocznice.

Czy wspominał aperitif w Delhi z Paddym i Benellim, gdy osiem lat temu zobaczyli biały dym? Czy myślał o tym wszystkim, co przeżył od momentu, gdy Mafouz poprowadził go długim korytarzem na

trzecim piętrze aż do biblioteki, gdzie czekał na niego papież z Saint-Germain-des-Prés? Czy rozmyślał nad tym, czym był ich duet? Czy zestawiał obok siebie nazwiska: Villepreux i Lombardi, Izaak i Jakub, „człowiek Reformy” i „człowiek Jerozolimy”?

Był to śliczny poranek, zapowiadający radosną przyszłość. Papież miał tego dnia uroczystie świętować rocznicę powołania Urzędu do spraw Jedności Kościoła, jedności odrestaurowanej, na nowo ożywionej. Wprowadzanie reform było w toku. Sylwester miał w końcu całkowitą swobodę działania. A wielkość monsignore Ruarda wyraziła się w tym, że to pojął, że na to wszystko zezwolił, kierując Kurią, a teraz wycofał się. „Paul jest gotów” — powiedział papieżowi Ruardo, co oznaczało, iż składa dymisję. Było również stwierdzenie, że jest miejsce dla nowych reform.

Tego ranka, kiedy Giuseppe nucił marsza z *Aidy*, popijając gorącą kawę, Sylwester i Paul zastanawiali się, jaka będzie reakcja Meksykanów po nominacji na sekretarza stanu „herolda z Afryki”. Assoumou był osobistym wrogiem templariuszy, zdeklarowanym przeciwnikiem Piusa XIII i Utrillo-Ganza. Wszyscy bojownicy Kościoła z okresu rekonkwisty pałali do niego nienawiścią.

Ale czasy się zmieniły. Meksykanie nic już nie mogli zdziałać, tak przynajmniej myślano...

Papież Sylwester III, szykując się do mszy, myślał zapewne o tym, że nareszcie można było zająć się już tylko Ewangelią, bez konieczności rozwiązywania problemów polityki wewnętrznej.

Giuseppe wyszedł na taras, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Spojrzał na mnie i powiedział z uśmiechem:

— To rzymski triumf liceum Jacques'a-Prévarta. U boku papieża Sylwestra Wielkiego stanie czarny kardynał... i ja będę niedaleko od nich.

— Niebo jest zachmurzone, chyba będzie padać — odrzekłem jeszcze zaspiany.

— Neapolitańczycy nie mogą tego pojąć, że w Rzymie dwudziestego drugiego lutego nigdy nie padał deszcz, przynajmniej od ośmiu lat... Ale weź parasol, Pietro, żeby nasz triumf nie został za bardzo skropiony deszczem.

Zaśmiał się jak dziecko, po czym nucąc tę samą melodię, wrócił do swego pokoju.

Po uroczystej mszy na placu Świętego Piotra mieliśmy, zgodnie

ze zwyczajem, udać się do bazyliki Świętego Jana na Lateranie w corocznej pielgrzymce na grób Sylwestra II. To akt „prywatnego” hołdu, jaki Francuzi skupieni wokół Sylwestra III oddawali francuskiemu papieżowi z roku tysięcznego. [Nie aż tak bardzo prywatny, bo w pielgrzymce tej brali udział wszyscy Francuzi będący w Rzymie, poczynając od ambasadorów: „naszego” przy Stolicy Apostolskiej i ambasadora w Republice Włoskiej.]

Ustasz

Wszyscy znamy te zdjęcia. Pokazywane były wielokrotnie we wszystkich stacjach telewizyjnych przez wiele tygodni. Sięgnięto po nie znowu na wieść o śmierci papieża Tomasza I.

Niewielki tłum, mniej lub bardziej francuski, zgromadził się na dziedzińcu i okolicznych trawnikach przed ciężką fasadą bazyliki. Oczywiście były tam kamery – telewizje z całego świata chętnie pokazywały zgrabną sylwetkę Sylwestra, a i „klan Francuzów” zawsze budził ciekawość. Nasz radosny orszak wyszedł z bazyliki. Deszcz nie padał, choć niebo było szare, ołowiane, nie rozdarła go też żadna błyskawica nawet po tym bezsensownym czynie.

Szedłem kilka kroków z przodu razem z Bartolomeem. Za nami podążali Cyril z żoną, Sylwester, Giuseppe, Paul, Jeanne-Marie.

Z tłumu oderwał się jakiś człowiek, prałat w czarnej sutannie z fioletowym pasem. Spod fioletowej czapki wystawały gęste siwe włosy. Miał posturę dokera. Zbliżył się do papieża, jakby chciał przedstawić mu jakąś prośbę. Jean-Baptiste skrzywił się na jego widok. Znał bowiem tego chorwackiego prałata i zaskoczyła go jego obecność na uroczystości mającej w pewnym sensie prywatny charakter.

Wyglądało na to, że prałat zamierza klęknąć przed papieżem zgodnie z odwieczną tradycją, ale nagle sięgnął ręką pod sutannę.

Wymierzył cios.

Ani kamerom telewizyjnym, ani większości świadków nie udało się uchwycić obrazu długiego, prostego sztyletu, śmiertcionośnej broni, będącej na wyposażeniu komandosów. Wszyscy natomiast bardzo dokładnie widzieli, jak ten człowiek zadaje ciosy. Lewą ręką przytrzymał płaszcz papieża, prawą wbijał sztylet w jego brzuch,

w pierś, w pulsujące organy. Uderzał wiele razy, dopóki nie odciągnięto go od jego ofiary. Nie wypuścił sztyletu z zakrwawionej dłoni.

Wrzeszczał, gdy wleczono go, wykręciwszy mu ręce do tyłu: „Śmierć demonowi, śmierć Antychrystusowi”. Gdy nadbiegli policjanci, odwrócił się i splunął z nienawiścią w kierunku swej ofiary leżącej na ziemi.

Pietà

Tłum krzyczał, zwłaszcza kobiety. Ja byłem w odległości pięciu metrów, ale cofnąłem się.

Gwardziści brutalnie odpychali przechodniów, robiąc wolne miejsce wokół rannego. Pozostali przy nim tylko najbliżsi, a wokół tłoczyli się ogarnięci przerażeniem ludzie.

— Karetka, karetka!

Stałem unieruchomiony za kordonem utworzonym przez policjantów z ochrony. Przy papieżu był jego osobisty lekarz, który próbował tamować dłońmi krew płynącą z ran w jego brzuchu. Gwardzista z Lateranu rozciął stanowczym ruchem noża białą kamizelkę i koszulę splamione krwią.

Widziałem Giuseppe, który klęczał przy swoim papieżu, podtrzymując jego głowę.

Kiedy Paul mnie zauważył, dał znak policjantom, żeby mnie przepuścili. Wzywał lekarzy, krzyczał coś do służbowego telefonu, machał rękami, żeby zrobiono przejście. Chciał być użyteczny, ale nie zbliżał się do ciała. Przypomniałem sobie Augustine'a Gowona i generalnego wikariusza z Jaunde... Trzecie morderstwo.

Jeanne-Marie, straciwszy całkowicie panowanie nad sobą, siedziała na chodniku i płakała.

Podszedłem bliżej. Byłem już o trzy metry od nich — Izaaka i Jakuba.

Widziałem, jak Jakub głaszcząc ręką włosy papieża, ociera z jego twarzy śmiertelny pot, jakby bezwiednie próbując w ten sposób przedłużyć mu życie.

Widziałem, jak biała dłoń Izaaka chwyta mocno ramię przyjaciela.

Coś do siebie mówili. Widziałem, jak Sylwester otwiera z trudem usta, szepcze ostatnie słowa.

Warkot helikopterów, ryk syren, wrzaski Paula, rozkazy policjantów, sanitariusze, lekarz, który podnosi się, machając rękoma, potrząsając głową.

Izaak w ramionach Jakuba, tylko oni dwaj, niczym *Pietà*. Papież znowu próbował coś mówić, ustami nerwowo łapał powietrze, jak dusząca się ryba. Jakub przysunął ucho do samych warg swego brata. Potakiwał wolno głową na znak, że słyszy, a jego ręka machinalnie głaskała włosy umierającego.

Widziałem, jak ręka Izaaka szarpie ubranie Jakuba, po czym opada bezładnie.

Ręka, która głaskała włosy, zamknęła powieki zmarłego, usta Jakuba ucałowały jego czoło.

Thum stał nieruchomo, w milczeniu. Czas zatrzymał się w miejscu na sekundę, minutę, w nieskończoność...

Mężczyzna w białym kitlu nachylił się do Giuseppe, coś chyba powiedział mu do ucha. Giuseppe spojrział na niego, jakby nie pojmował, o co chodzi, po czym odsunął się wolno, bez sprzeciwu, aby sanitariusz mógł podnieść ciało Izaaka i żeby jego głowa nie uderzyła o bruk. Jakby to miało jeszcze jakieś znaczenie.

Giuseppe wstał, cofnął się o kilka kroków. Stał z opuszczonymi ramionami. Widziałem te jego otwarte ramiona, których nie śmiał zamknąć, widziałem, jak machinalnie ociera ręce o spodnie, zostawiając na nich długie czerwone smugi krwi. Czerwień krwi z koszuli zmarłego papieża, którego ciało zabierano na noszach.

Giuseppe stał oszołomiony, przybiły, bezsilny.

Helikopter z potwornym hałasem wystartował trzydzieści metrów dalej. Słychać było głośny, przerywany czkawką szloch Jeanne-Marie. Jakiś gwardzista pochylił się nad nią, potem pielęgniarz.

Podszedłem do Jakuba. Dotknąłem z lekka jego łokcia, żeby zaprowadzić go do jednego z samochodów. Nie stawiał oporu jak posłuszne dziecko.

Widzieliście te zdjęcia.

Kiedy podtrzymywał ramieniem umierającego, kiedy głaskał jego włosy, cały czas włączone były kamery, błyskały flesze.

Nazajutrz „La Stampa” dała nagłówek: *Stabat frater...* Wtedy już prawie wszyscy pojęli, ale nie ja.

Krew brata

Jechaliśmy samochodem do naszego mieszkania. Giuseppe szepnął: „Muszę wrócić do domu. Muszę się umyć”. W drodze nie zamieniliśmy ani słowa. Radio bez przerwy podawało wiadomości z ostatniej chwili. Słyszeliśmy, jak ogromny wstrząs wywołała ta śmierć na całym świecie.

Gdy tylko znaleźliśmy się w mieszkaniu, Giuseppe ściągnął marynarkę i zakrwawioną koszulę. Stał z gołym torsem, a poplamione ubranie, leżące u jego stóp, jakby z niego szydziło. Wpatrywał się w nie nieruchomym wzrokiem.

Potrząsnął głową i skierował się do łazienki.

Przez otwarte szeroko drzwi słyszałem lejącą się strumieniem wodę. Trwało to bardzo długo, nie słyszałem żadnego innego dźwięku...

Poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Giuseppe stał przed białą umywalką i patrzył na swe dłonie brązowe od krwi. Co się czuje, gdy zmywa się z siebie krew zmarłego przyjaciela, zamordowanego przyjaciela? Czy myjąc kilkakrotnie skórę, da się z niej usunąć ślady jego krwi?

Wpatrywał się w swoje dłonie i szeptał sam do siebie, powtarzając niczym litanie: „Ona nie zniknie, ona nie zniknie...”.

Nie wiedziałem, co mam robić. Czy przywołać go do rzeczywistości, zaprowadzić do łóżka, wezwać lekarza? Zadzwońłem do Anny. Była już w drodze i miała dojechać za trzy godziny.

Telefon dzwonił wiele razy. Paul, Morro, Bartolomeo, Steven. Odbierałem, odbierałem za niego. Zadzwońła do drzwi Leah.

Giuseppe Lombardi nie pokazał się.

Giuseppe był ślepy i głuchy na wszystko, co się działo wokół niego.

Robił to, co należało robić, powtarzał te same rytuały i gesty, co po śmierci Chiary.

Najpierw ona, księżniczka, a teraz jego przyjaciel, brat. I kto mu jeszcze pozostał?

Na mszy pogrzebowej z ambony na placu Świętego Piotra odśpiewał sam modlitwę *Ojcze nasz* w języku aramejskim, który tak lubił Jean-Baptiste. Nikt nie oponował, wszyscy traktowali go z nabożnym szacunkiem.

Za jego pośrednictwem każdy chrześcijanin żegnał się z zamordowanym papieżem.

Cały świat oplakiwał Sylwestra, ofiarowywał Jakubowi łzy, których mu brakowało.

W mediach wciąż mówiono o ich braterskiej więzi. Stacje telewizyjne pokazywały nieustannie zdjęcia *Piety*, *Stabat frater*. Przerazone spojrzenie Giuseppe w momencie, gdy opadła ręka Izaaka. Krew na jego koszuli, krew na jego rękach...

Kamery wymierzone były w Giuseppe przez cały czas trwania ceremonii pogrzebowej. Ci, którzy oglądali go w wiadomościach z Jerozolimy, teraz ujrzeli go w kardynalskich szatach liturgicznych. Nie zdawał sobie w ogóle sprawy, ile otrzymał wyrazów współczucia z całego świata.

Nie słyszał pierwszych bezczelnych wypowiedzi Franja Dranicia, osadzonego w więzieniu. Nic nie wiedział o manewrach Dereima i Assoumou, o sporządzonej przez Morra liście kardynałów, których poproszono, by nie udzielali wywiadów mediom, oraz o tym, że pewnym biskupom zasugerowano, aby nie przyjeżdżali do Rzymu ani na uroczystości pogrzebowe, ani na konklawe. Zmuszono Meksykanów do „zamknięcia ich parszywych gąb morderców”, jak wyraził się wściekły Assoumou.

Giuseppe, zrozpaczony, przybity, rzadko się odzywał, niewiele jadł. Pracował samotnie przy stole w wielkiej bibliotece, z posypaną popiołem głową. Wobec wszystkich, również wobec mnie, był uprzejmy, ale szybko kończył rozmowę. Nikogo nie wziął na powiernika w swoim odosobnieniu, zamknął się w sobie.

Rozpoczęły się pierwsze narady kongregacji. Formułowano pierwsze deklaracje, propozycje. Giuseppe nie zabierał głosu.

Powiedziałem Paulowi, że nie można pozwolić na to, żeby żaloba przeszkodziła mu w ofiarowaniu Kościołowi tego, co mógł mu dać podczas konklawe. Paul spojrział na mnie i łagodnie odpowiedział: „Wergiliuszu, jesteś zbyt blisko niego, żeby wiedzieć...”.

W jego głosie, w jego oczach wyczytałem to, co było oczywiste. W przeddzień konklawe, 11 marca, pojąłem nagle, czyje nazwisko wypłynie w głosowaniu.

Nie wiem dlaczego, ale rozplakałem się.

TOMASZ

1

Konklawe

„Przyjmuję”

Nie było żadnych manipulacji, żadnego odwlekania ani długich pertraktacji.

We wtorek 12 marca 2020 roku, w południe, za długim szeregiem kardynałów zamknęły się drzwi Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie odbywało się konklawe. W tym momencie dostojni elektorzy, którzy pragnęli kontynuować dzieło „papieża stulecia”, „papieża sakramentów”, nie mieli żadnych wątpliwości.

Jedyną niewiadomą było to, czy wśród kardynałów mianowanych przez Piusa XIII nie znajdą się tacy, którzy spróbują zrobić krok do tyłu.

W pierwszej turze głosy były rozproszone, ale ponad dwie trzecie elektorów oddało swoje głosy na kandydatów, o których wiadano, że zamierzają kontynuować dzieło Sylwestra III.

Paul już wtedy wiedział, że w drugiej turze tron papieski zostanie ofiarowany Giuseppe, czego zresztą oczekiwał cały świat. „Herold z Afryki” dał do zrozumienia, że nie chce, aby głosowano na niego. To samo zrobił Ruardo. Paul miał kiedyś swoje marzenia, ale teraz myślał przede wszystkim o Kościele, o wielkich planach pojednania. Wiedział, że sam ich nie zrealizuje, bo jest zaledwie „tym, który nosi miecz”, „tym, który przynosi ziemi ogień”.

Giuseppe milczał, nadal pogrążony w żalobie. Nie interesował się tym, co działo się między dwiema turami, nie brał udziału w długich dysputach purpuratów.

Kamerling Massoni zaproponował, żeby drugie głosowanie odbyło się jeszcze tego samego wieczoru. Wszyscy przyjęli tę propozycję.

Czy mój brat był jedynym, który jeszcze nie zrozumiał, nie odgadł? Czy mój brat był jedynym, który nie wiedział, że w oczach wszystkich uosabia wierność zmarłemu i nadzieję na przyszłość?

Dopiero podczas obliczania głosów zrozumiał, do czego prowadził manewr Paula. Spojrzał na niego i z pobladłą twarzą potrząsnął głową; uświadomił sobie, co szykuje się za jego plecami. Ale było już za późno. Najbystrzejszy negocjator Watykanu, człowiek z Bombaju i z bazyliki Grobu Świętego, dał się podejść jak dziecko.

Głosowało stu czterech kardynałów. Żeby zostać wybranym, potrzeba było siedemdziesięciu głosów. [Ponad dziesięciu kardynałów nie przybyło na konklawe z „powodów zdrowotnych”.]

Kiedy więc zebrano osiemdziesiąt kartek za jego kandydaturą, pod sufitem Kaplicy Sykstyńskiej rozszedł się szmer. Wynik głosowania był oczywisty, bezdyskusyjny.

Kardynałowie przyjęli go oklaskami. Giuseppe podniósł się. Był blady jak ściana.

Padło rytualne pytanie:

— Czy przyjmujesz ten wybór?

Po długiej, bardzo długiej ciszy głosem czystym, wyraźnym, dźwięcznym, odpowiedział:

— Przyjmuję.

Burza oklasków. Nowy papież zamierzał opuścić salę konklawe w towarzystwie kardynała kamerlinga, tak jak wymaga tego tradycja. Przy drzwiach Jakub zatrzymał monsignore Massoniego i szepnął mu coś na ucho. Morro i Assoumou, którzy już się domyślili, o co chodzi, wstali i udali się wraz nowym papieżem do Komnaty Płaczu, gabinetu, gdzie nowo wybrany mógł pozostać chwilę, by zebrać myśli przed pojawieniem się na balkonie.

Kamerling dyskretnie stanął przy drzwiach.

Komnata Płaczu

Czytelnicy mają prawo wiedzieć, co się działo w tym pokoju. Ściśle tajemnica dotyczy tylko samego głosowania. Oto co opowiedział mi Paul kilka tygodni po śmierci swego przyjaciela.

„Usiedliśmy obok siebie w milczeniu, wszyscy trzej na tej samej ławce. Enrico i ja czekaliśmy, co ma nam do powiedzenia.

Żaden z nas nie wiedział, co się wydarzy. Nie patrzyliśmy na siebie. Zapewne z obawy, że gdy nasze spojrzenia skrzyżują się, ujrzymy w nich strach albo bezsilność, zwątpienie. My dwaj byliśmy przekonani, że to właśnie Giuseppe powinien być następcą Jeana-Baptiste'a. Jednak dla niego było to zaskoczenie. Co mu powiedzieć? Jak umocnić go w jego decyzji, jak podtrzymać na duchu?

Trwała nieprawdopodobna cisza. Słyszałem każdy dźwięk, każdy szelest naszych sutann, skrzypienie naszych pantofli na marmurowej posadzce. Miałem nawet wrażenie, że słyszę bicie naszych serc, szmer pocierania dłońmi policzków lub podbródka.

Jakub zasłonił twarz rękoma, jakby chciał schronić się we własnym wnętrzu. Objąłem go ramieniem, chcąc dać mu do zrozumienia, że będziemy z nim razem w walce, która nas czeka. Nie wiem, czy to mój gest otworzył wszystkie tamy, przełamał bariery...

Pod dotykiem mojej ręki jego ciało przeszło dreszcz, jakby poraził go boleśnie prąd lub piorun. A potem zaczął głośno szlochać.

Objąłem go mocniej. Przytuliłem.

Poddał się. Obejmowałem go ramieniem jak dziecko. Czulem, jak gwałtowny szloch wstrząsa jego ciałem. Czulem, że powinienem go trzymać, tulić, nie pozwolić, by pokonały go do reszty ból i płacz.

Czulem, że chwycił się mnie jak tonący. Trwało to minutę, może dwie, dwie niekończące się minuty, w czasie których beze mnie, bez mojego podtrzymującego ramienia, pewnie poddałby się całkowicie rozpaczy.

Czulem się jak matka, kiedy przychodzi do niej syn, by się przed nią wyplakać, bo nie ma nikogo innego, kto by go pocieszył. Tak... Czuję jeszcze na skórze jego gorące łzy, czuję jego dłoń trzymającą się kurczowo moich pleców, ściskającą tak mocno moje ramię, że omal nie krzyknąłem z bólu. Potem zaczął drżeć. Przypomniałem sobie kobietę, którą ukąsił skorpion. Widziałem, jak drżała dzień i noc w pokoju, gdzie było bardzo ciepło; wywary, które piła, wstrząsały jej ciałem, wypluwała z siebie truciznę, jad z krwi, a dreszcze nie ustawały.

Tak to właśnie wyglądało. Trucizna śmierci opuszczała jego ciało. Bolesne, gorące, gorzkie łzy płynęły z jego oczu, usta szlochały, a wszystko po to, aby on sam mógł żyć”.

Kardynał Assoumou uśmiechnął się w tym momencie, wspominając z oczyma wilgotnymi od łez tamte wydarzenia po prawie ośmiu latach.

„Wreszcie szarpnął nim boleśnie ostatni szloch, gwałtowniejszy niż poprzednie. Poczulem jego rękę na ramieniu, zwolniłem uścisk, a wtedy on wyprostował się. Zaczął się śmiać, a był to śmiech poprzez łzy.

Spojrzał na nas oczyma czerwonymi od łez, z dwiema długimi słonymi smugami na policzkach. I my również zaczęliśmy się śmiać niepowstrzymanym, bolesnym śmiechem, jakbyśmy powracali do życia... Od tego śmiechu aż rozbolały nas brzuchy.

Potem Jakub odetchnął głęboko. Wciąż jeszcze nie mając odwagi patrzeć na nas wprost, powiedział:

— Mam nadzieję, że w Komnacie Płaczu przewidziano chusteczki do nosa.

Kiedy Morro podał mu białą chusteczkę, starannie się nią wytarł. Podniósł głowę, spojrzał nam w oczy, najpierw jednemu, potem drugiemu. W jego wzroku ujrzałem dawną siłę, pewność siebie, ufność, wiarę, że można przenieść nawet góry. Aż trudno było uwierzyć, że stojący przed nami pełen siły mężczyzna to ten sam człowiek, który jeszcze przed chwilą płakał w moich ramionach”.

Giuseppe Lombardi wrócił do życia podobnie jak osiemnaście lat wcześniej, gdy po powrocie z wyspy śmierci czytał ostatnie wiersze psalmu i umoczył usta w kieliszku z białym winem. „Wrócił ponownie z krainy śmierci”. O tak, Giuseppe, przyjmując ostatnie tchnienie swego przyjaciela, swego brata, zszedł znowu do królestwa cienia, pochował zmarłego i wyszedł stamtąd w tej właśnie sekundzie, znajdując oparcie w silnych ramionach Paula i pełnej ufności obecności Morra.

„Nazywajcie mnie Tomaszem”

„Wstał, popatrzył na sufit i na freski w Komnacie Płaczu. Spojrzałem na zegarek — minęło zaledwie pięć minut, odkąd weszliśmy

tu we trzech. Oparł ręce na naszych ramionach w geście jedności, aby za chwilę stawić czoło utkwionym w niego oczom tysięcy ludzi czekających na zewnątrz. Uświadomiłem sobie wówczas, że nigdy dotąd nie przeżyłem tak ważnych minut, jak te, gdy razem z nim wyszliśmy na balkon, w pełnym świetle...”.

W sali był niewielki ołtarz z krucyfiksem. Giuseppe wygłosił po francusku, ojczystym języku Jeana-Baptiste'a, krótkie wprowadzenie liturgiczne:

— Jak nauczył nas Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel, zgodnie z jego wolą ośmielamy się mówić...

I wtedy wszyscy trzech razem mówiliśmy wolno:

— „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi” ...

Kardynał kamerling podszedł i zapytał:

— Jakie imię wybierasz, Ojcze Święty?

Giuseppe rzekł bez wahania:

— Tomasz. Od tej chwili nazywajcie mnie Tomaszem.

Pamiętam, że Morro i ja, my, którzy nie mieliśmy żadnej wątpliwości, którzy wiedzieliśmy, iż Jakub wyjdzie z tej sali jako papież, którzy widzieliśmy, jak się załamał i jak się podniósł, usłyszawszy to imię, doznaliśmy szoku.

Oczekiwaliśmy, że przyjmie imię Jean-Baptiste jako dziedzictwo po nim.

Przybył krawiec. Tomasz z uśmiechem poddał się jego zabiegom. Otrzymał insygnia swojej funkcji, te same, które miał przed nim Izaak.

Powiedział:

— Biorę krucyfiks i pastorał Sylwestra.

Paul zawiesił mu na szyi duży papieski krzyż ze złota, na którym całun okrywał dwa nagie ramiona. Tomasz I nie zadrżał, żaden cień nie musnął jego spokojnego czoła.

Twarz miała łagodny, zdecydowany wyraz, jak zawsze, gdy podejmował ważną decyzję. Od tej pory nic nie zawróciłoby go z raz obranej drogi.

Odwrócił się do swojego olbrzymiego czarnego przyjaciela, objął go, a Paul, położywszy ręce na jego ramionach, spojrział na niego z uśmiechem i pokiwał głową. Zapewne myślał w tym momencie o małym Jakubie.

Wokół nich zebrał się tłum. Byli to pracownicy Domu Papieskiego, odpowiedzialni za różne szczegóły bliskiej ceremonii. Tomasz pozwolił sobą kierować, spoglądał na to wszystko tak, jakby to nie on był w centrum uwagi. Nagle zauważył mnie i przywołał:

— *Podejdz tu, fratello...*

Znalazłem się tam dzięki Mafouzowi, który także był pewny rezultatu konklawe.

Podszedłem ku niemu, trochę onieśmielony. Szepnął do mnie:

— Nawet ty, mój mały bracie, wiedziałeś, prawda? Byłem więc ślepy i głuchy?

Roześmiał się, ścisnął moje ramię. W tym momencie ujrzałem Sylwestra w tych samych szatach i pomyślałem: Jakub ubrał się w strój swego brata. Wydawał mi się zdecydowanie za młody na ten strój.

Rzekł:

— Wspiera mnie Bóg i moi przyjaciele. Muszę teraz przemówić do nich. Wyobrażam sobie, jak na to czekają. — Znowu uściśnął moją rękę i powiedział głośniej: —Nie odstępuj mnie ani na krok, mój wielki druhu... Bądź przy mnie zawsze.

Stojący bliżej spojrzeli na mnie z szacunkiem. W ich oczach stałem się giernkiem papieża, jego zaufanym człowiekiem.

Mały orszak podążył korytarzem. Wokół nas było zbyt wiele osób, żebyśmy mogli zrozumieć, docenić znaczenie tej chwili. Trzech idących przed nami duchownych wydawało krótkie rozkazy.

W głębi pałacu ujrzałem wielkie okno i otwierającego je uroczystym ruchem kardynała-diakona. Na zewnątrz dały się słyszeć okrzyki. Czekanie i niecierpliwość... Jeszcze nie wiedzieli...

Widziałem tylko kark i tył głowy mego przyjaciela w stroju papieża. Niezwykłe tło tworzyło światło, które wtargnęło z placu, lekki wiaterek poruszał białymi zasłonami.

Usłyszeliśmy niewyraźne, odbite echem słowa kardynała-diakona, którymi zwrócił się do całego świata.

Na dźwięk imienia następcy potężny krzyk buchnął z ogromnego tłumu, z tysięcy piersi ludzi, którzy dowiedzieli się, kto jest tym, na którego czekali. W hołdzie Sylwestrowi, w hołdzie śmierci i życiu, które powróciło.

Giuseppe nachylił się do Paula i z uśmiechem szepnął mu coś na ucho. Paul także się uśmiechnął i popchnął go z lekka do przodu, ku światłu, ku czekającym na niego wiernym.

Niektórzy przyjaciele są cenniejsi niż złoto

Tysiące spojrzeń zwróconych ku niemu, ku nam.

I wyprostowana, silna sylwetka mojego przyjaciela.

„Z niezmiernym wzruszeniem zwracam się do was, zgromadzonych na tym placu, i do was wszystkich, którzy słuchacie mnie na całym świecie”.

To prawda, że poza tym placem miliardy ludzi słuchało jego głosu.

„Dziękuję Bogu ze względu na was, bracia i siostry, na was wszystkich, którzy w natłoku wydarzeń czekaliście na wynik elekcji papieża, na was, którzy sądziliście, że ta wiadomość was także dotyczy. Otóż powiadam wam, że tak, dotyczy was. Moi bracia kardynałowie wybrali mnie dla was. Żebym był waszym sługą”.

Mówił tak, jakby zwracał się do jednej osoby, jakby przemawiał do każdego z osobna.

„Ja, Giuseppe Lombardi, człowiek niegodny zaszczytu, jaki mi został dany, przyjmuję go, aby wam służyć, aby służyć całej ludzkości jako papież, i przyjmuję imię Tomasza apostoła, o którym Ewangelia mówi, że jego imię oznacza bliźniak, Tomasza, który wątpił, który chciał zobaczyć i dotknąć. Ale Tomasz był także tym, który pragnął poznać ludzką naturę zranionego, ukrzyżowanego, zmartwychwstałego. Tomasz szukał człowieka, a znalazł Boga. Padł na kolana przed Jezusem Chrystusem, ukrzyżowanym i zmartwychwstałym, i wypowiedział najpiękniejszy akt wiary: »Mój Pan i Bóg mój«.

Ja, Tomasz, sługa sług Bożych, brat bliźniak ludzkości, która wątpi, która błądzi, padam na kolana przed moim Panem i moim Bogiem, Jezusem Chrystusem, Bogiem-Człowiekiem, błagam go o siłę jego Ducha, abym miłował was i wam służył, jak on sam to robił, aż do kresu miłości, aż do kresu życia, aż do krzyża”.

Oparł mocno ręce na poręczy balkonu.

„Przy was nie będę tym, który prowadzi, ale tym, który towarzyszy. Nie będę tym, który naucza, ale tym, który rozmawia. Nigdy nie będę ojcem, a tym bardziej Ojcem Świętym... Chcę być dla was wszystkich bratem.

Dobra Nowina nie może dzielić ludzi, stawiać muru między tymi, którzy wierzą, i tymi, którzy nie wierzą; jest ona nadzieją, dzięki której może rozwijać się każde dziecko, każda kobieta, każdy mężczyzna”.

Giuseppe nie mówił już o sobie, ale o tym, w co wierzył, o tym, w którego wierzył. Mówił jasnym, donośnym głosem, niesionym przez wiatr.

„Wielu pośród nas myśli, że źle dzieje się na tym świecie, i to prawda, w każdej minucie ludzie cierpią, mordują się, umierają. Ale świat ten ma być zbawiony. A zbawić go może miłość.

Tak więc mówię wam: kochajmy i nie bójmy się. Kochajcie wasze żony, waszych mężów, wasze dzieci, waszych braci i wasze siostry, waszych rodziców, waszych przyjaciół, waszych kolegów, waszych sąsiadów. Kochajcie siebie samych...

Kochajcie do szaleństwa, nie oszczędzając się.

Nie spekulujmy miłością, nie bądźmy małymi ciułaczami, bądźmy szczodrzy, rozrzutni. Kochajmy, nie pytając, w jaki sposób zostanie nam to zwrócone.

Kochajcie, kiedy jesteście młodzi i kiedy jesteście starzy, kiedy jesteście zdrowi i kiedy jesteście chorzy, kiedy dopada was zmęczenie, kiedy ogarnia was przygnębienie; kochajcie, nie oczekując niczego w zamian. Nie róbcie tego w imię Boga, w imię ludzkiego braterstwa czy solidarności; ale we własnym imieniu, dla was samych. Kochajcie w czynach, szczerze; kochajcie także złych i niewdzięcznych, waszych wrogów, łajdaków, tych, którzy wam źle życzą, tych, którzy wam czynią zło”.

Jego głos stał się łagodny, pokorny.

„Wiem, że w tej chwili niektórzy z was uważają, że wybór na papieża przewrócił mi w głowie, że łatwo jest w zaciszu tego pałacu głosić takie kazania... A przecież trzeba walczyć o życie, wykarmić dzieci, chronić się przed chorobą, przygotować do starości; trzeba próbować przeciwstawić się ekonomicznym trudnościom życia, brutalności politycznej, społecznej niesprawiedliwości. To wszystko jest prawdą, doświadczyłem sam na sobie tego, co wy teraz doświadczacie, i jak wy bałem się.

Jednak wiem również, że wszystko to nie przeszkadza kochać.

My, którzy mamy dzieci, kochamy je i pragniemy przede wszystkim, aby były kochane i żeby same umiały kochać. Oczywiście chcemy, aby miały dobre życie, dobre zdrowie, ale przecież wiemy, że wszystko to nic nie znaczy wobec miłości męża lub żony, matki czy ojca, córki czy syna...

Myślę również o tych wszystkich mężczyznach i tych wszystkich kobietach, którzy żyją w samotności, o tych wszystkich, którzy nie

mają odwagi z kimś się związać, pobrać się, założyć rodziny, o tych wszystkich, którzy boją się kochać, ponieważ lękają się cierpienia.

Miałem szczęście kochać kobietę, która odwzajemniała mi moją miłość. I chociaż przeżyłem ogromny ból po jej stracie, mówię dziś wszem i wobec, że ta miłość uczyniła mnie lepszym człowiekiem i czyni nadal każdego dnia. Powiadam wam: miejmy odwagę kochać, nie bójmy się związków, ewentualnych porażek... Miałem też szczęście być przyjacielem, bratem Jeana-Baptiste'a, papieża Sylwestra; cierpiałem, widząc, jak umiera w moich ramionach, ugodzony ręką szaleńca, zbrodniarza... I nie żałuję ani jednej minuty z naszej przyjaźni, mimo doświadczenia, które niszczy, mimo bólu, który załamuje; oświadczam wam, że ta przyjaźń czyni mnie lepszym człowiekiem”.

Spojrzał przez moment na nas, na Paula i Morra, i na mnie.

„Niektórzy przyjaciele są cenniejsi niż złoto... Kochajmy się wzajemnie, nie bójmy się zobowiązań, nie lękajmy się niepowodzeń, nie obniżajmy wartości naszego życia”.

Jego głos zmienił się, znowu przemawiał do serca każdego z obecnych.

„Teraz proszę was, błagam w imię braterstwa, które łączy nas wszystkich. Módlcie się wraz ze mną, módlcie się za mnie, aby Pan pozwolił mi czynić to wszystko, co wam głoszę, aby dał mi siły kochać moich wrogów, modlić się za tych, którzy przysparzają nam cierpień. Módlcie się za mnie, módlmy się za nas wszystkich, abyśmy mogli powiedzieć: »Ojcze, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią«. Amen”...

Na placu Świętego Piotra zaległa niezwykła cisza.

Po chwili usłyszałem, jak czyjeś ręce biją brawo, a potem zaklaskał ktoś drugi. Dołączali do nich inni ludzie, każdy z nich klaskał jakby oddzielnie, w rytm słów, które zapadły mu w duszę. Wkrótce zmieniło się to w jeden głośny szum, lawinę radości.

Łowcy wampirów

Rodzina i klan

Jakub stał się Tomaszem. Całym swoim jestestwem, całą duszą przyjął bez zastrzeżeń, bez dyskusji testament zmarłego papieża. Zgodnie z pragnieniem wszystkich kontynuował dzieło Sylwestra.

Nazajutrz po elekcji odprawił mszę w kościele Saint-Louis-des-Français — on, *germanopratin* z Bolonii. Poprosił małżeństwo Charande'ów, aby nadal administrowali Domem Papieskim, a oni zgodzili się robić to przez następne trzy lata. Pozostawił również Mafouza, któremu nadał tytuł prałata, na stanowisku szefa gabinetu. Lewantyńczyk, „mameluk” Sylwestra, człowiek oddany i wierny, przelał na niego całe uczucie, jakim darzył poprzednika.

Z okazji elekcji odbyły się jeszcze dwie inne uroczystości.

Jedna miała miejsce w Bolonii. Była nas zaledwie garstka: Pietro i Monica, Clara i Luca, Cecilia, Anna i Miklos, Marina i Joseph, a także Enrico, bo należał jakby do rodziny, Paddy-bliźniak i ja, *fratello*. Przyjęcie minęło w wesołej atmosferze. Tylko w głosie Celiłi można było wyczuć napięcie.

Dania przygotowane przez Monice nigdy jeszcze nie były równie doskonałe, a jej dom tak gościnnie. Prowadzone dysputy dotyczyły sztuki życia. Pietro z dumą słuchał swego syna, swobodnego, tak innego niż on sam. Anna i Marina poczuły się tego wieczoru małymi dziewczynkami i spoglądały z podziwem na swego brata.

Enrico popijał białe wino, które podał Pietro. Wspominając przeszłość, delektował się jego smakiem, bukietem, niezwykłym aromatem. Był zawsze wiernym towarzyszem Giuseppe, niekiedy

przewodnikiem, często powiernikiem, wręcz oparciem. Niemal jego ojcem chrzestnym.

Paddy żartował, udawał oburzenie, że w momencie wyboru papieża nie pomyślano o największej katolickiej rodzinie Cochin. Czy nie byłiby lepsi na tronie papieskim ludzie przeznaczeni do odegrania tej roli, umiejący docenić, czym jest złoto i purpura? „Trzeba było zrobić mnie kardynałem, a od razu potem papieżem, tym bardziej że jestem starszy od ciebie”. Zaproponował swoją kandydaturę na stanowisko „wicepapieża”, odpowiedzialnego za protokół i wielkie uroczystości. Brat bliźniak spoglądał na niego z niedowierzaniem, prychał, uderzając ręką w blat stołu, wspominając na pewno to, co razem przeszli w Indiach. Ze wszystkich obecnych jemu najtrudniej było zrozumieć, co się wydarzyło. Zaskoczenie maskował żartami. „To najlepszy dowcip, jaki zrobił mi Giuseppe”.

Drugie przyjęcie miało miejsce kilka dni po mszy, gdy odbył się ingres nowego papieża, w apartamencie, na tarasie górującym nad dachami Rzymu. Tomasz z pewnością miał nadzieję, że będzie nadal mieszkał w tym apartamencie pośród swoich mebli.

Choć tak naprawdę w to nie wierzył, marzył, że po całym dniu obowiązków przejętych po Sylwestrze wieczorem będzie mógł zwyczajnie podejmować przyjaciół, pograć na gitarze razem z Che, popracować w samotności przy długim stole z ciemnego drewna, przygotowywać ulubione ostre potrawy dla kilku smakoszy, takich jak Leah, Steven, Paul, Simon. Pozostać sobą jak dawniej...

Tego wieczoru, w marcu 2030 roku, wiedział, że nie musi nas prosić, abyśmy go tak właśnie traktowali. Jednak rozumiał, że trzeba pożegnać się z poprzednim życiem Giuseppe Lombardiego, przyjmując do wiadomości, że nie można być papieżem tylko w godzinach biurowych.

Mimo moich i Paula protestów rozsiedliśmy się na tarasie przy stole oświetlonym odbłaskiem latarń. Che coś jąkał, mamrotał, dopóki w jego rękach nie pojawiła się gitara. Wtedy dopiero odżył humor. Steven, wyciągnięty na leżaku, komentował muzykę, której słuchał, przeczytane lektury, obejrzone filmy, w których papieża przedstawiani byli jako *mafiosi*. Po czym nagle wstał, by napęlić wszystkim kieliszki. Leah, królowa wieczoru, uosabiała piękną rzymskiej nocy...

Jeanne-Marie siedziała zamyślona, pozostając strażniczką świętyni Villepreux.

Paul wznosił toasty, bez triumfu, bez euforii, z radością pełną powagi. Pierwszy toast był za naszego zmarłego przyjaciela, naszego zamordowanego brata. Wypiliśmy bez słowa i od tego momentu Izaak pozostał z nami do końca wieczoru.

Nasze eskapady

Ostatecznie zachował swoje mieszkanie. Wracał do niego regularnie na kilka godzin, jakby chciał się upewnić, że jest znowu u siebie po nieludzkiej pracy, niszczącej go, absorbującej, bez reszty pochłaniającej...

Był to szczególny rodzaj „medytacji” — wrócić, popatrzeć na znane przedmioty, otrzeć się o dawne meble, coś ugotować, zaprosić na wieczór przyjaciół, pograć na gitarze...

Wymykał się na kilka godzin szwajcarskim gwardzistom, ochronie włoskiej policji, wbrew zasadom protokołu Domu Papieskiego.

Kiedy wracaliśmy do pałacu, zawsze pod czujnym okiem jadącego za nami Altobello, który szybko przejrzał nasze manewry i ustawiał swój samochód pod tarasem apartamentu, Giuseppe miał minę sztubaka, któremu udało się przeskoczyć wysoki mur internatu i wymknąć na kilka godzin.

Altobelli pojawił się w Domu Papieskim z mojej inicjatywy. Uważałem bowiem, że po zabójstwie poprzedniego papieża najważniejszą rzeczą jest zapobiec zamordowaniu jego następcy. „Klan Francuzów” uznał, że do ochrony osobistej papieża należy znaleźć człowieka spoza rzymskiego kręgu. Przypomniałem sobie o kapitanie karabinierów, który ochraniał biskupa Neapolu, gdy wygłosił on kazanie potępiające kamorrę.

Zaledwie miesiąc po zabójstwie Sylwestra III Altobelli, już w randze pułkownika policji, stawiał się w biurze Sekretariatu Stanu. Kardynał Assoumou ocenił właściwie tego krzepkiego, bezpośredniego człowieka, wiernego jak pies, twardego jak stal, pobożnego jak mnich, groźnego dla wrogów swych podopiecznych. Przez osiem

lat sprawdził się w swojej pracy jako doskonały organizator. Między sobą nazywaliśmy go „pułkownikiem”. Troszkę baliśmy się go, jak ludzie boją się żandarma, mogącego zepsuć nastrój zabawy.

Nie było już salonu, nie było z góry ustalonych spotkań. Dla Francuzów, dla klanu Tomasza, jego prywatne apartamenty na trzecim piętrze pałacu papieskiego były zawsze otwarte. „Żołnierze Tomasza” wchodzili do Domu Papieskiego jak do siebie i wychodzili stamtąd po skończonym dniu pracy o nieprawdopodobnych godzinach; aby spotkać się z papieżem, nie musieli umawiać się na audiencje ani nie obowiązywał ich terminarz jego zajęć.

Byliśmy na pokładzie o każdej porze. Tomasz akceptował to, że niektórzy przybywali bez uprzedzenia, że inni znikali, żeby pracować gdzie indziej, zbierając informacje w różnych kongregacjach. On sam nie był szefem tej maszyny, lecz jedynie jej sercem. Ludzie z jego klanu znajdowali się zawsze w pobliżu, bo byli przywiązani do niego, a on do nich.

Paul kontynuował pracę, którą rozpoczął w ostatnim półroczu. Budował Kurię ukierunkowaną na reformy, nastawioną bardziej na refleksję niż na obronę, otwartą na świat. Jeanne-Marie była nadal teolożką Domu Papieskiego, teraz jednakże towarzyszył jej stale Bartolomeo. Miała przygotować Che do przejęcia jej obowiązków, ponieważ w niedalekiej przyszłości papież pragnął widzieć ją gdzie indziej. Ona chodziła z ponurą miną, on uśmiechał się tajemniczo.

Tomasz zaprosił jeszcze jedną kobietę do swojej drużyny. Gdy zainstalował się ostatecznie w pałacu, Leah Nanah przeprowadziła się do Rzymu wraz ze Stevenem, który przeszedł już na emeryturę. Została doradcą papieża w sprawach dyplomacji, miała mu pomóc „odtworzyć watykańską dyplomację”. Za pontyfikatu Sylwestra Lombardi sprawił, że na Wzgórzu Świątynnym zapanował pokój. Było to już pewne osiągnięcie, ale papież francuski za bardzo był zajęty sprawami Domu Papieskiego, reformami, nie miał czasu rozmawiać z ambasadorami i międzynarodowymi organizacjami.

Zadaniem Mafouza było czuwanie nad terminarzem zajęć papieża tak, aby współgrał z radosnym chaosem wciąż otwartych

drzwi, stałym przepływem gości. Dokonywał cudów niczym magik, który wydłuża czas, byleby tylko mogły się odbyć audyencje, spotkania, a przy tym nie gubił niczego z idei przewodniej, na której opierała się nasza „dezorganizacja”.

Ja zaś jako osobisty sekretarz miałem zbierać, porządkować, pilnować, aby nie przepadło nic z tej wrzącej niczym lawa energii. Organizować dyskusje wokół jakiejś idei, opinii, słowa wypowiedzianego w przelocie — gromadzić to wszystko, aby potem mogło wykiełkować zasiane ziarno...

Libańczyk i ja spotykaliśmy się codziennie na śniadaniu z Tomaszem. Sypialiśmy w pałacu, a Paul mówił teraz o „dwóch mame-lukach”. Przy kawie ustalaliśmy rozkład zajęć na cały dzień — audyencje do godziny jedenastej, msza, potem spotkania robocze od szesnastej. W środku pozostawały cztery godziny przeznaczone dla tych, którzy się akurat pojawiają, z którymi toczono dysputy przy solidnym posiłku przygotowanym przez małżeństwo Charande'ów.

W godzinach nocnych do pałacu wraz z Paulem przybywał „triumwirat”. Ocenialiśmy wtedy efekt akcji „oczyszczania”.

Triumwirat wielkiej czystki

Enrico Morro przekonał nowego papieża, że zeznania, jakie złożył Franjo Dranic przed policją włoską, to brednie szalonego mistyka; jednak szaleniec ten powoływał się na jakieś lektury, kazania, dwuznaczne teksty pochodzące niekiedy nawet z samej Kurii.

W siedzibie papieża nadal byli ludzie, którzy mieli nadzieję, że przyjdzie ich godzina. Marzyli o rekonkwiescencie, która uderzy w księży nie dość klerykalnych, w biskupów, którzy zeszli z właściwej drogi. Ludzie ci uważali, że błogosławieństwo małżeńskie to błazenada, że diakoni nie są godni tego, aby celebrować Pojednanie, że duchowieństwo parafialne profanuje chleb Eucharystii. Głosili także, że najcenniejszą wartością powinien być znowu celibat.

W dziesiątkach, setkach miejsc kultu wprowadzone przez Sylwestra III reformy napotykały przeszkody. Wciąż istnieli templariusze, którzy wszędzie kultywowali wspomnienie potężnego zakonu, Meksykanie, którzy zdobili klasztory portretami Piusa XIII,

wędrowni kaznodzieje, którzy przekonywali, że żyjemy w złych czasach, ale wkrótce wrócimy do zasad prawdziwej wiary.

Dziesiątki stacji telewizyjnych, wydawców, producentów w wielu krajach proponowały fundamentalistyczną wizję Pisma Świętego. Byli tacy, którzy wołali, że Bestia znajduje się w Rzymie, że nosi znak Sylwestra, że Chrystus przybędzie osobiście się z nią zmierzyć, aby dopełnił się czas Apokalipsy.

Morro przedstawił sytuację w prostych słowach:

— Giuseppe, żyjesz wśród żmij, które założyły swoje gniazdo w twoich murach. Nie powinieneś jednak pozwolić, aby zatrwały swym jadem naszych braci. Jeden z tych łajdaków wystarczy, żeby zepsuć wizerunek Kościoła, a potem potrzeba dziesięciu świętych, żeby go naprawić.

— Co więc proponujesz? Czystkę?

— Nie chcieli tego ani Cameron, ani Villepreux, powołując się na Ewangelię. Nie zgodził się na to Paul w imię jedności. Lecz ty musisz przeprowadzić czystkę.

— Złamię się w ten sposób życie wielu ludziom...

— Wiem, Giuseppe. Nie robię tego z radością w sercu. Ale posłuchaj, ci ludzie mogą wyrządzić krzywdę tysiącom, milionom naszych braci. Okłamują ich w sprawach miłości, kłamią na temat Chrystusa. Mogą przyczynić się do upadku tych, którzy należą do niego, a ja nie zamierzam dłużej im na to pozwalać...

— Czy chcesz się tym zająć, wziąć na siebie tę czarną robotę? Nienawidzisz ich, Enrico... Czy nie potrafiłbyś ich kochać, jeśli nawet są naszymi wrogami?

— Uczciwie odpowiem, że nie wiem. Mam ich na oku od dawna. Nie wiem, czy mógłbym im wybaczyć krzywdy, które zrobili naszym braciom. Dlatego gotów jestem wykonać tę przykrą robotę.

Tomasz zgodził się na to, na co nie wyrażali zgody Jan i Sylwester. Obarczył tym zadaniem swego starego, wiernego przyjaciela oraz Cyrila Dereima, człowieka, który lepiej znał tych ludzi, ponieważ walczył z nimi przez siedem lat. Dereim zwrócił się również do arcybiskupa Delhi, którego odwołano z jego diecezji na trzy miesiące. „Paddy poznał ich metody — rzekł Tomasz. — Robienie czystki to polityka. Nie dokonujemy dzieła Ducha Świętego. Nie będziemy tego robić w imię Boga. Zrobicie ją w moim imieniu”.

Paul natychmiast ochrzcił ten triumwirat mianem „łowców wampirów”, ponieważ przychodzili do nas o zmroku, jakby „bali się światła dziennego...”. Przez trzy miesiące Tomasz wieczorami prowadził z nimi rozmowy. Przeglądał listy, nazwiska, wspólnie decydowali, kto zostanie zdymisjonowany, kto odesłany na prowincję w podległej mu diecezji, do oddalonych parafii, klasztorów... Byli też i tacy, których nigdzie nie przenoszono, bo mieli pozostać w cieniu.

„Łowcy” nigdy nie odnieśli wrażenia, że papież odciął się od tego parszywego zajęcia. [Jak wynika z samej etymologii tego słowa, do grupy tej nie należała żadna kobieta. Tomasz określił to słowem Realpolitik. Skuteczność ponad równością...]

Wąź

Jedno z powiedzeń Paula brzmiało tak: „Wąź, którego cały dzień szukałeś na twoim podwórzu, być może śpi w twoim bucie”.

Pewnego wieczoru, około dziesięciu tygodni od początku „operacji”, trzech łowcy wrócili z dziennym łupem w sakwach.

Pierwszy odezwał się Enrico Morro, bardziej ponury niż w poprzednie wieczory, z wyrazem zmęczenia na twarzy. W ręce trzymał kartkę papieru.

— Istnieje coś w rodzaju bractwa, do którego należał Franjo Dranic. Jest to bractwo skupiające księży, którzy głoszą, iż Prawda wypływa z najczystszej, najświętszej tradycji proboszcza z Ars. Piszą oni, że pasterzami powinni być „ludzie, którzy w swej wierze są zaślubieni, duszą i ciałem, z Barankiem i walczą z Szatanem”, że ci, którzy usiłują zepsuć wizerunek księży i kapłanów, to „fałszywi pasterze”, jak powiadał Chrystus. — I Morro przeczytał z trzymanej w ręce kartki: — „Lecz trzódka nie słucha głosu fałszywych pasterzy i za nimi nie podąża”.

— Według nich Jean-Baptiste był jednym z tych „fałszywych pasterzy”?

— Tak uważali. Byli o tym przekonani od czasu synodu europejskiego w 2008 roku. W korespondencji Kongregacji do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów znaleźliśmy kilka ich

listów, oczerniających go, gdy był w Lyonie. Monsignore Villepreux kilkakrotnie zmuszony był wówczas tłumaczyć się.

— Czy jest ich wielu? Czy tworzą organizację?

— Nie... Nie mają ani statutu, ani przywódcy, ani organizacji. Jest to raczej stowarzyszenie kilkuset księży i kilku tysięcy pobożnych owieczek. Nawiązują kontakt raz na miesiąc za pośrednictwem poczty elektronicznej, bezpłatnie przesyłanej tym, którzy tego chcą.

— Sądzisz, że są niebezpieczni?

— Większość z nich cierpi, widząc, jak w ich życiu powstał wyłom z winy ludzi, których uważają za niegodnych... Logika katarów: chcą się nawzajem poznać, poczuć, iż są wśród doskonałych.

— Czy dowiedzieliście się czegoś bliższego o tej stronie internetowej?

— Wczoraj zdobyliśmy szczegółową listę abonentów. Od jutra będziemy pisać do wszystkich. Przekonamy się, kto zareaguje na nasze e-maile...

— Taktyka święconej wody... Jeśli kogoś parzy, znaczy, że to wampir — zażartował Paul.

Morro nie uśmiechnął się.

— Jest jeszcze coś, Giuseppe. Coś, co powinieneś wiedzieć. Wypowiedziane ponurym tonem słowa zmroziły Tomasza. Don Enrico odwrócił się do Paddy'ego, który powiedział:

— Przejrzałem w nocy listę abonentów, sprawdzając uważnie niektóre adresy.

— I?

— W Bolonii znajduje się parafia, w której proboszczem jest niejaki Cebiaggi, poprzednio wikariusz u Barbariga...

— Co w tym takiego niezwykłego?

— Miesiąc temu ochrzcił on na nowo piętnastu młodych ludzi, którzy oddalili się od Kościoła i którzy zapragnęli do niego wrócić po „latach zaślepienia”. Wpisał ich na listę w Internecie i opublikował tę wiadomość swoim walczącym braciom, jak to robią oni wszyscy, by pokazać, jakie owoce zbiera prawdziwy pasterz. Oto ta lista...

Nachyliłem się ponad ramieniem Tomasza. W górnej części kartki przeczytałem cytata z wersetu z Pisma Świętego: „Poznacie ich po ich owocach. (...) Nie może dobre drzewo wydać złych owoców,

ani złe drzewo wydać dobrych owoców. Każde drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone. A więc poznacie ich po ich owocach”. [Ewangelia wg św. Mateusza 7, 16—20.]

A pod spodem: „Dziś w moim kościele piętnaście zbłąkanych owieczek odnalazło drogę do wiary”.

Niżej widniała lista imion i nazwisk z datami poprzedniego chrztu i chrztu „powrotu”.

Na czwartym miejscu figurowała Cecilia Lombardi.

3

Cecilia

„Bronisz jej?”

Giuseppe i ja opuściliśmy pałac około północy. Zadzwoiłem do „pułkownika” i samochód jechał tuż za nami. Tego wieczoru nie mieliśmy ochoty na potajemne wymykanie się.

— Jedźmy do mieszkania — powiedział Giuseppe. — Muszę to wszystko przemyśleć. To sprawa prywatna.

Samochód jechał przez zalany deszczem, smutny Rzym. W kropkach wody na przedniej szybie odbijały się na tęczoświatła latarni.

Nie miałem odwagi spojrzeć na niego.

Od razu udał się do kuchni, by przygotować kawę. Bardzo mocną, bardzo czarną. Czekala nas bezsenna noc.

Obserwowałem, jak przesadnie długo miesza cukier w filiżance. Na czole drgała mu żyłka. Wyglądał na bardzo zmęczonego, jakby się nagłe postarzał.

— Myślisz, że zrobiła to mnie na złość? — zapytał. — Czy zdaje sobie sprawę, kim są ci łajdacy?

— Nie wiem.

— Ale dlaczego? — Uderzył ręką w stół. — Dlaczego? — Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. — Dlaczego, Pietro, nie powiedziała mi, że zamierza powtórnie się ochrzcić? Czy jestem za głupi, aby zrozumieć moją córkę? Czy nie interesuję się nią, jej chrztem?

— A kiedy z nią ostatnio rozmawiałeś, Giuseppe? Kiedy byłeś z nią choć chwilę sam na sam?

— A ona nie może zadzwonić? — Zerwał się gwałtownie z krzesła. — Dlaczego wybrała właśnie ten moment, to miejsce, żeby wrócić, gdy tymczasem ja czekałem cierpliwie, zostawiając jej całkowitą swobodę?

— Ona miała do niej prawo, Giuseppe. Tobie nic do tego.

— Bronisz jej? Po czyjej jesteś stronie?

— Ma dwadzieścia lat, musi nauczyć się być córką papieża, czego nie doświadczył nikt przed nią. Ma prawo popełniać błędy.

— A czy ja też mogę się mylić? Czy w ciągu tych minionych ośmiu lat choć raz dała mi prawo do pomyłki, nie każąc mi za nią płacić?

Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut. Potem urwał, popatrzył na mnie z gniewem, mając mi za złe, że go nie popieram.

— Idę się przespacerować. Możesz wrócić do pałacu. Papież chodził samotnie po Rzymie, w deszczu, aż do czwartej nad ranem. Za nim jechał samochód z dwoma uzbrojonymi policjantami. Ja siedziałem z tyłu, sam, odrzucony.

Ojciec, którego jej brakowało

Nazajutrz wezwał ją do siebie. Do domu Anny dostarczono o świcie list z biletem kolejowym do Rzymu i skreślonymi w pośpiechu słowami: „Cecilio, musimy bezzwłocznie porozmawiać. Czekam”. I podpis: „Tatus”.

Usłyszałem, jak przyjechała lekko spóźniona. Jej obcasiki stuknęły o kamienną posadzkę. Giuseppe wstał.

Weszła. Zmieniona nie do poznania. Ona, która jeszcze dwa miesiące wcześniej ubierała się w stylu hollywoodzkim — w kolorowe tuniki, długie, niezgrabne spódnice, z masą kiczowatej biżuterii na szyi, rękach i kostkach u nóg, tego rana była cała na szaro: szary żakiet, szara spódnica za kolana. Podcięła swoje długie, kasztanowe włosy i ściągnęła je do tyłu w mały, ścisły koczek. Na szyi zawiązała zieloną apaszkę.

Giuseppe aż drgnął na jej widok.

Po raz kolejny uderzyło mnie ich podobieństwo. Cecilia miała takie same jasne oczy, tak samo twarde spojrzenie jak ojciec. Była bardzo blada.

Przywitali się chłodno. Nie uściskał jej, nie objął.

— Dlaczego chciałeś się widzieć ze mną, tatusiu?

Wziął z biurka listę Paddy'ego.

— Dostałem to od moich przyjaciół.

Nawet nie spojrzęła.

— Kazałeś mnie szpiegować?

— Nie. Jednak muszę dowiedzieć się, gdzie są ci, którzy kazali zabić Jeana-Baptiste'a. Wiedzieć, co przygotowują. To na ich listach znaleziono przypadkiem twoje nazwisko.

— Widać niezbyt dobrze przeczytałeś. Tam jest napisane, że odnowiłam śluby składane na chrzcie. Wracam do Kościoła, tatu-siu.

— I czyni cię to szczęśliwą?

Patrzyła na niego w milczeniu, trochę zbита z tropu tym pytaniem.

— Ja...

— Jesteś do tego stopnia szczęśliwa, że postanowiłaś upodobnić się do zakonnicy, oszpecić się, żeby tylko przypodobać się twoim nowym przyjaciołom? Czy wiesz, kim oni są?

— Tak... Przypuszczam...

— Przypuszczasz? Chcesz, żebym ci powiedział?

— Nie! To ja ci powiem. — Odetchnęła głęboko. — Ci ludzie byli przy mnie, gdy zapragnęłam wrócić do Kościoła, odnaleźć ciszę i modlitwę mojego dzieciństwa. Mieli czas wysłuchać mnie, kiedy mówiłam im o mojej matce, której nie znałam; kiedy mówiłam o siostrze, mojej idealnej siostrze, której udało się w życiu, ma przystojnego męża i podoba się mojemu ojcu. Tym ludziom nie musiałam wiele mówić, żeby zrozumieli moje potrzeby. Mówią mi o naszym Ojcu, prawdziwym Ojcu z nieba, który jest Ojcem kochającym, uważnym, wymagającym, Ojcem, który słucha, gdy się do niego zwracamy, umie porwać za sobą, wybacza grzechy tym wszystkim, którzy ze szczerym sercem korzą się przed nim na kolana, Ojcem, który jest obok stale, bez przerwy, który na nas czeka i bierze w swe ramiona...

— Cecilie..

— Czy ty znasz tego Ojca? Słyszałeś o nim? O, tak... Śpiewałeś o nim, gdy umarł Jean-Baptiste, przed całym światem, bo dla twoich przyjaciół masz zawsze czas. I cały świat za to cię podziwia. A ja, tatu-siu! A ja, panie papieżu! Czy pomyślałeś o tym, że mnie także należy się trochę twojego czasu? Że ja również odczuwałam potrzebę obecności prawdziwego ojca?

— Cecilie. — chciał do niej podejść, wziąć ją w ramiona.

Cofnęła się. Do pokoju zajrzało kilka osób.

— Cecilio, wiesz dobrze... Nie miałem racji... Chcę spróbować być lepszym ojcem, po prostu być ojcem... Ale nie możesz odejść z tamtymi ludźmi... Nie powinnaś...

— Co zrobisz, żeby mi w tym przeszkodzić? Ekskomunikujesz ich? Usuniesz ich, jak wszystkich innych, którzy stawali ci na drodze w realizacji twojej wizji Kościoła?

— Cecilio...

— Teraz przypomniałeś sobie moje imię? Bo jestem z ludźmi, którzy nawołują do świętości, czystości, doskonałości?

— Cecylio, ci ludzie zamordowali Jeana-Baptiste'a... —Nagle, straciwszy panowanie nad sobą, zaczął krzyczeć. Uderzył w stół twardą jak młot pięścią. — Zabili go, zasztyletowali! Umierał w moich ramionach! W moich ramionach, rozumiesz?! Rozumiesz?!

— Nic mnie nie obchodzi Jean-Baptiste, panie papieżu. Mam to gdzieś. To nie on był przy mnie, gdy potrzebowałam...

Odwróciła się, by wyjść. Podskoczył i potknął się o krzesło. Ale ona była już za drzwiami. Odsuwając z drogi krzesło, krzyknął:

— Zatrzymajcie ją, na litość Boską. Zatrzymajcie ją!

— Nie, Giuseppe, nie! — zawołałem.

Dwóch gwardzistów wyskoczyło za nią, pochwyciło ją na schodach. Wyrwała im się, stawiała opór, ale oni byli silniejsi.

— Zostawcie ją! — rozkazałem.

Gdy ją puścili, zawróciła ku nam.

— Tatusiu!

Giuseppe siedział na podłodze, oparty o framugę drzwi, ze zwieszoną głową. Kaszłał okropnie, a na mankiecie rękawa ukazała się różowa plama krwi. Był blady jak ściana, włosy i skronie miał mokre od potu.

Pierwsza śmierć papieża

Nazajutrz rankiem 21 maja wyjechali razem. Odwołaliśmy wszystkie audiencje, odłożyliśmy na późniejsze terminy wszystkie umówione spotkania.

Jak doszło do przecieku, jeden Bóg wie. „Papież miał atak gruźlicy, wyjechał na leczenie do Szwajcarii”. Reporterzy szukali go w szwajcarskich szpitalach, polowali na niego. Ale on zniknął.

Paul, sekretarz stanu, na konferencji prasowej mówił o „ogromnym zmęczeniu” Ojca Świętego, o tym, że potrzeba mu kilku dni odpoczynku. Dla kliniki Gemelli zredagowaliśmy biuletyn o stanie zdrowia papieża. Zapewnialiśmy, że jest on na bieżąco informowany o aktualnych wydarzeniach na świecie.

Media wysuwały różne przypuszczenia, hipotezy; dwa miesiące po śmierci poprzedniego papieża znika jego następca...

My wiedzieliśmy, że jest w alpejskiej pustelni Cervina. I tylko tyle. Rozkazał mi, żeby mu absolutnie nie przeszkadzać, chyba że nastąpiłby jakiś poważniejszy kryzys światowy... Przypuszczałem, że Altobelli śpi pod jego drzwiami, bo on także zniknął.

W czwartek około południa wrócili razem helikopterem, który po nich wysłaliśmy. Przed pałacem czekał tłum dziennikarzy i reporterów. Czy przybyli, spodziewając się złowieszczego epilogu?

Giuseppe i Cecilia weszli od strony ogrodów. Uściskał i ucałował córkę, a ona powiedziała:

— Czekają na ciebie, chcą mieć pewność, że nie umarłeś.

— Uciekaj, dziecińko... — odrzekł.

Weszliśmy na drugie piętro, przeskakując po kilka stopni naraz.

— Musisz się pokazać, bracie. Cały świat myśli, że umierasz — powiedziałem.

Westchnął i z uśmiechem otworzył okno, wziął do ręki mikrofon, który kazałem przygotować, gdy zatelefonował do nas z helikoptera.

— Oto wasz umierający papież — przemówił Tomasz do czekających na niego tłumów.

Cztery godziny potem zostaliśmy sami. Wszyscy Francuzi opuścili swoje biura, w których biwakowali od czterdziestu ośmiu godzin. Ponieważ kapitan wrócił na pokład, rozeszli się bez zbędnych pytań. Wiedzieli, że Giuseppe nie ma nic do opowiadania, że to, co się wydarzyło, nie dotyczy ani Tomasza, ani Jakuba. Mafouz zniknął tak, jak tylko on to umiał, bez słowa.

Zostaliśmy sami w pokoju.

Opowiedział mi wszystko pokrótce.

421

„Rozmawialiśmy, jak nigdy się to nie zdarzyło od powrotu z Delhi. Mówiła o swoim ojcu, tym milczącym, dalekim człowieku, którego w środku rozmowy mogą wezwać na drugi koniec świata. O którym wiadomości czerpie się z telewizji, którego ogląda się wraz z innymi na całym świecie. O którym nagle się słyszy, że otarł się o śmierć, o którym informacje szybciej mają reporterzy niż jego własne córki. Który pojawia się pewnego dnia na balkonie i zmienia swoje imię... Mówiła mi o swojej wierze, o tym, jak trudno jej porozumieć się z człowiekiem, który z balkonu nakłania chrześcijan do miłości. Ale jaką miłość ma na myśli? Jaka naprawdę jest ta Dobra Nowina, skoro, żeby ją głosić, ojciec stale jej się wymyka? Nie mogłem nic innego zrobić, tylko prosić ją o przebaczenie... Drugiego dnia, kiedy zszedłem do kuchni, już na mnie czekała. Zaparzyła kawę i usmażyła jajka na bekonie. Stwierdziłem, że po raz pierwszy w życiu coś dla mnie przygotowała. Spojrzała na mnie z powagą i spytała:

— Uważasz, że nie byłam dobrą córką?

Miała na sobie za dużą koszulę, którą pewnie znalazła w szafie Cervina, i jego dzinsy. Rozpuściła włosy, włożyła trochę biżuterii i umalowała powieki. Powiedziałem, że tak wygląda o wiele ładniej.

— Uważasz, że jestem ładna?

— Nie, Cecilie Uważam, że jesteś bardzo piękna. Popatrzyła długo na mnie.

— Ludzie mówią, że jestem podobna do ciebie.

— Pewnie tak. Chiara byłaby dumna, widząc cię teraz.

Rozpląkała się. Płakała długo, bez szlochów. Jeśli chodzi o resztę, pozostanie to między nią i mną... No, prawie... Czy zechcesz, mój bracie, wysłuchać mojej spowiedzi?”

Tego wieczoru papież Tomasz uklęknął przed krucyfiksem. Razem, jak ksiądz i penitent, odmówiliśmy *Confiteor*. „Spowiadam się Bogu wszechmogącemu... Spowiadam się przed tobą, mój bracie, że zgrzeszyłem myślą... I dlatego błagam Najświętszą Maryję zawsze Dziewicę, wszystkich aniołów i wszystkich świętych, i ciebie, mój bracie, o modlitwę do Pana Boga naszego”.

Potem zaczął mówić, ale to, co powiedział, jest tajemnicą Boga.

4 Trzy królowe

Zaproszenia

Sądzę, że zaskoczył wszystkie trzy.

Jean-Marie Carrière i Leah opowiedziały mi, jak wyglądała jego „prośba”. Kate wolała milczeć na ten temat. Jednak był przy tym Paddy, brat bliźniak... Giuseppe nigdy nie odważyłby się zwrócić z taką prośbą do Kate, gdyby nie zapewnił sobie przedtem obecności swego brata.

Leah: „Kiedy do nas zadzwonił, telefon odebrał Steven. Mógł przecież połączyć się ze mną przez czerwony telefon. Zapytał go:

— Czy mogę ukraść ci żonę na jeden wieczór, na jutro, a może i na dwadzieścia następnych lat?

Steven odpowiedział:

— Nie kradnij mi żony, nawet jeśli pragniesz jej szczęścia. — I wybuchnął gromkim śmiechem.

Kiedy weszłam do hotelowej restauracji, wiedziałam, że wybrałam właściwy strój na tę okazję. Prosta, skromna sukienka uszyta w znanym domu mody, w której dobrze się czułam, szal z marszczonego jedwabiu, trochę pięknej biżuterii. Dobrze zrobiłam, tak się ubierając, bo on miał na sobie jedną ze swoich cudownych marynarek, świetnie skrojoną przez hinduskiego krawca. Ponieważ był incognito, zawiesił na szyi mały złoty krzyżyk na zwykłej tasiemce.

— Giu, co za elegancja — powiedziałam. — Chcesz coś ode mnie uzyskać?

— Po prostu ci się spodobać.

— Steven uprzedził mnie, że zamierzasz poprosić mnie o rękę, więc się wystroiłam.

Roześmieliśmy się oboje. Zarezerwował mały salonik, w którym często przyjmowaliśmy dostojnych gości, ale tego wieczoru byliśmy sami”.

Jeanne-Marie: „Pewnego marcowego rana powiedział do mnie:

— Jeanne-Marie, wydaje mi się, że nadszedł czas, abyśmy porozmawiali o przyszłości. Chciałbym, żebyś jutro w południe przysłała do mnie na lunch. Czy przyjmujesz zaproszenie?

Przeżuwałam, że oznaczało to, iż przestanę pełnić funkcję teolożki Domu Papieskiego. Jakub wcześniej mnie o tym uprzedził i nadeszła na to pora. Oddałam ostatni hołd Sylwestrowi, pożegnałam się z misją, którą mi powierzył. Płakałam całą noc.

Kiedy przyszedłam do niego, stół był elegancko nakryty, z tym zmysłem estetyki, jaki odziedziczył po matce. Poszedł do kuchni, prosząc mnie, bym napełniła kieliszki. Gdy zaniosiłam mu jego kieliszek do kuchni, przypomniałam sobie, że już jadłam u niego takie danie wiele lat temu: mięso w sosie z makaronem. To nie był przypadek, bo Giuseppe nigdy nie podawał tego samego dania tym samym gościom”.

Paddy: „Pojechaliśmy razem do Domu Świętej Teresy. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, najwięcej o mojej archidiecezji.

Czekało nas niezwykle trudne zadanie, rozmowa z Irlandką, którą chcieliśmy przekonać. Klepnąłem Giuseppe po ramieniu, mówiąc:

— Przeżyliśmy zabójcę emira Bombaju... Może znowu nam się uda.

W odpowiedzi na to skrzywił się:

— Paddy, patrz na drogę, bo inaczej zabijesz nas jeszcze przed rozpoczęciem batalii.

Zaparkowałem mój terenowy samochód i weszliśmy do hospicjum. Jakaś kobieta w sari omal nie zemdląła na widok papieża. Rzuciła mu się do nóg, a on przyklęknął, żeby ją podnieść.

Zapytałem:

— Szefowa jest na górze?

Kiwnęła głową, niezdolna wydobyć z siebie słowa. Wchodząc na schody, zauważyłem:

— Zrobiłeś na nich wrażenie...

Odrzekł na to:

— Gdyby Kate to widziała, natychmiast wyrzuciłaby nas za drzwi.

Nie zaoponowałem.

Czekała na nas w biurze dyrekcji Domu Świętej Teresy. Nie byliśmy na jej terytorium, ale też nie na naszym. Mieliśmy takie same szanse. Kiedy powiedziałem to Giuseppe, odrzekł:

— Gdy się ma do czynienia z Kate, nie ma mowy o żadnych szansach...

Nie żartował.

Przed drzwiami głęboko odetchnęliśmy. Spojrzałem na skórzaną, żółtą pantofle Giuseppe. Mruknąłem:

— Chyba powinieneś być włożyć jakieś inne buty...

W odpowiedzi usłyszałem:

— Przypuszczasz, że dałaby się przekonać, gdybym się inaczej ubrał?

— Pewnie nie — odpowiedziałem — ale może buty komandosa byłyby bardziej stosowne do tej chwili...

W gabinecie nie było stołu, tylko trzy drewniane krzesła, które ustawiła wkoło. Sama siedziała na jednym z nich”.

„Czekałam, aż on mnie o to zapyta”

Leah: „Nie zastosował żadnych wybiegów. Zawsze był taki podczas pertraktacji.

— Leah, chciałbym, abyś zgodziła się zostać jedną z pierwszych kobiet kardynałów w Kościele katolickim.

Zaniemówiłam na kilka sekund. Podczas rozmów dyplomatycznych nauczyłam się jednak powściągliwości. Odpowiedziałam:

— Myślisz jeszcze o innych?

Uśmiechnął się, wyczuwszy niewątpliwie ślad zazdrości w moim pytaniu.

— Tak, będzie was trzy, trzy królowe. Jeanne-Marie, Kate Finley i ty, jeśli wszystkie się na to zgodzicie...

- Jeanne-Marie, Kate i ja... Głowa, serce i nogi, tak?
- Nie bądź próżna, Leah. Twoje nogi są wspaniałe, a twoja głowa i twoje serce są ich warte...

Pamiętam, jak usiłowałam sobie błyskawicznie wyobrazić tę ceremonię, to kobiece trio. Jak na to zareaguje świat.

- Sądzisz, że twój Kościół jest na to gotów, że już nadszedł ten moment?

— Sądzę, że pewne rzeczy stają się oczywiste wtedy dopiero, gdy się je widzi. I wydaje mi się, że wśród ludzi świeckich będziecie tworzyć niecodzienny tercet.

Uśmiechnęłam się.

- Czy to oznacza, że się zgadzasz?
- Nigdy nie umiałam odmówić ci niczego, Giu.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, ale i niezadowolenia, jakby oczekiwał ode mnie czegoś więcej.

- Moja odpowiedź rozczarowała cię?

— Nie, nie rozczarowała. Chcę jednakże mianować cię, znając dobrze przyczyny... Pracujemy razem już prawie dziesięć lat, a ponad dwa lata, odkąd cię zdeprawowałem... — Uśmiechnął się, wymawiając to francuskie słowo. — Chciałbym wiedzieć, dlaczego oddałaś się służbie naszego Kościoła. Wiem, że jesteś gotowa zgodzić się dla dobra instytucji, dla której pracujesz, i dlatego że nie potrafisz się oprzeć perspektywie, iż będziesz pionierką, pierwszą kobietą na tym stanowisku, jak zresztą często ci się już zdarzało w innych sytuacjach. Ale ja pragnę wiedzieć, co cię skłoniło do bliższej współpracy z tym Kościołem, który jest także twoim... Czy potrafisz mi to wyjaśnić?

Od pierwszego dnia, kiedy weszłam do Domu Papieskiego, obawiałam się, że pewnego dnia czeka nas taka rozmowa. Nie przygotowałam się jednak do odpowiedzi. Czekałam, aż on poruszy ten temat”.

Jeanne-Marie: „Wrócił z kuchni z żeliwnym rondelkiem w ręce, który trzymał przez ściereczkę. Postawił na stole parmezan i tarkę, oliwę z oliwek, wino. Ogarnął wszystko zadowolonym okiem, nalał do kieliszka wino.

— Na pewno zastanawiasz się, co zamierzam ci powiedzieć. Uważam, że najwyższa pora, aby pozwolić Che na usamodzielnienie się w roli teologa Domu Papieskiego... Co ty na to?

— Jest zdolny... Bez wątpienia lepiej się do tego nadaje niż ja.
— Jeanne-Marie, wiesz dobrze, że nie wątpię w twoje zdolności...

— No więc dlaczego?

Powiedziałam to za głośno, za szybko. Całą ubiegłą noc i cały ranek zadawałam sobie wciąż to samo pytanie, dlaczego Jakub odsuwa mnie od zadań, które powierzył mi Jean-Baptiste?

Popatrzył na mnie łagodnym wzrokiem.

— Wiem, że umiałabyś robić jeszcze przez dziesięć lat to, do czego powołał cię Jean-Baptiste. I tak zapewne byłoby dalej, gdyby go nie zamordowano. Wycofaliłbyście się oboje jednocześnie wtedy, kiedy on skończyłby osiemdziesiąt lat, a wasze zasługi byłyby ogromne.

Nie miałam żadnych powodów, żeby nie wierzyć w jego szczerość. Po dłuższej pauzie mówił dalej:

— Ale Jean-Baptiste zmarł przed nami... A ty jesteś mi potrzebna gdzie indziej, Jeanne-Marie. Wiem o tym od pierwszego dnia. Czekałem tylko na odpowiedni moment, by ci o tym powiedzieć.

— Mów — wyjąkałam.

— Chciałem cię prosić, abyś została jedną z moich kobiet kardynałów, jedną z trzech królowych, które mianuję na to stanowisko w najbliższe Zielone Świątki. Wraz z Leah Nanah i Kate Finley we trzy nadacie realny kształt wielkiej roli świeckich we współczesnym świecie: w polityce, żeby przywrócić światu więcej sprawiedliwości, więcej pokoju; w teologii, aby odkryć światu to, co jest jeszcze przed nim ukryte; w miłosierdziu, aby ludzie przekonali się, że są miłowani aż do końca... Taka feministka jak ty nie oprze się przed przyjęciem purpury — dokończył z uśmiechem.

Również ja się uśmiechnęłam. Znałam te jego uwodzicielskie numery i nie umiałam być wobec nich obojętna. Wiedziałam jednak, że nie powiedział jeszcze wszystkiego.

— Co o tym myślisz, Jeanne?

— Zastanawiam się... Dlaczego Jean-Baptiste nie dał mi purpury, chociaż przyznał ją wielu innym świeckim osobom... Dlaczego właśnie dziś przyszedł moment, żeby wyróżnić nią kobiety i dlaczego nie stało się to dwa i pół roku temu, kiedy mianował cię kardynałem?

— Może Jean-Baptiste nie był na to gotowy. Nawet Duch Święty nie poradzi nic na to. Każdy papież ma jakieś uprzedzenia. — Nalał nam wina. — Kiedy Jean-Baptiste mianował cię na stanowisko teologa Domu Papieskiego, pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby mianować cię kardynałem w imię prawa kościelnego, które zresztą sam zmieniał.

Wiedziałam, że miał rację. Ale czy mogłam przyznać, że Jakub miał odwagę, której zabrakło mojemu papieżowi?

— Kardynał to tytuł, zaszczyt; ale tak naprawdę nie jest to praca wypełniająca cały dzień. Dlaczego mówisz, że potrzebna ci jest gdzie indziej? — zapytałam.

— Chcę cię postawić na czele kongregacji, Jeanne...

Nie powiedział jakiej. Wiedział, że się zgodzę. Ale chciał też wiedzieć, co miałam w sercu, czy odważyłabym się w ogóle marzyć o tym, co mi ofiarowywał”.

Paddy: „Kate zapytała:

— Wyjaśnijcie mi, dlaczego dwaj tak wysokiej rangi kapłani przybywają do maluczkich w tym samym czasie... Zamierzacie dać jakąś jałmużnę?

— Nie przybywam tutaj, żeby ci coś dać, Kate... Chcę cię prosić o wielką przysługę.

— Jeśli chcesz mnie prosić, abym poszła służyć ci gdzie indziej niż w tym domu, to z góry mówię, że nic z tego.

Musiała rozmyślać nad tym od poprzedniego wieczoru. Wiedziała, że Giuseppe ściągnął do siebie przyjaciół. Ale ona w biurze, w Kurii! Giuseppe zaczął mówić niemal błagalnym głosem:

— Kate, proszę cię... Wysłuchaj mnie. Poświęć mi kilka chwil i wysłuchaj mnie ten jeden raz... Nie będę uciekać się do żadnych wybiegów, niczego przed tobą nie ukrywam. I na pewno nie chcę, abyś mnie albo komukolwiek gdzie indziej służyła.

Kate uspokoiła się nieco.

— Słucham cię, Giuseppe. Mów, czego chcesz, porozmawiamy o tym spokojnie jak dorośli.

Milczał jeszcze przez chwilę, po czym odetchnął i rzekł:

— Posłuchaj... W Kościele istnieje sposób na wyróżnianie ochrzczonych mężczyzn, którzy są dla innych przykładem wiary, pobożności, miłosierdzia. Od wieków tworzą oni grupę doradców

papieża i to oni zbierają się po jego śmierci, by wybrać jego następcę.

— Chcesz mianować Thomasa kardynałem i pytasz mnie o zdanie?

— Kiedy już się na to zdecyduję, nie będę pytał ciebie o zdanie, Kate. Wystarczająco dobrze go znam. — Zaśmiał się.

Zrobiłem dziwną minę, bo nie wiedziałem, jak mam się zachować. Kate jednak zapytała bez uśmiechu:

— No więc?

— A więc uznałem, że należy wyróżniać nie tylko wybijających się mężczyzn, ale także kobiety, które stanowią znaczną część ochrzczonego ludu.

— Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Odpowiem ci, że już najwyższy czas...

— Nie chodzi mi o twoją opinię, Kate...

Wysłuchała, co miał jej do powiedzenia. Nie domyślała się nawet w najmniejszym stopniu, o co zamierzał ją prosić. Ja zaś uświadomiłem sobie, jakim szaleństwem było to, co robiliśmy. Giuseppe spojrzął na mnie wymownie. Na pewno to samo pomyślał. Mogliśmy się spodziewać, że Kate wpadnie teraz w złość. Trzeba było jednakże powiedzieć wszystko do końca. Giuseppe odetchnął głęboko i oznajmił:

— Chcę cię prosić, abyś została jedną z trzech kobiet, które zamierzam mianować kardynałami za trzy miesiące, w Zielone Świątki”.

Najpiękniejsza część

Jeanne-Marie: „Bawiło go to, że kazał mi zgadywać. Wymieniliśmy kilka kongregacji, a on obserwował, jak się zastanawiam, co mogłabym w każdej z nich zdziałać. Wreszcie rzucił:

— Jest jeszcze Papieska Rada do spraw Popierania Jedności Chrześcijan.

Przez jakiś moment podsumowywaliśmy to, co udało się już w niej zmienić. W końcu powiedziałam:

— Nie jestem, Jakubie, kobietą dialogu. Umiem robić jedną rzecz: staram się uchylić nieco zasłony ukrywającej przed nami blask Boga...

Rozmawialiśmy o teologii, o danej Mojżeszowi wizji Boga, którego usłyszał ukrytego za skałą, Boga, którego się nie widzi. A potem powiedział:

— Nie mówiliśmy jeszcze o jednej kongregacji. O której nawet nie śmiesz myśleć, że mogłabyś zostać jej prefektem. Powstrzymuje cię nadal wierność dla Jeana-Baptiste'a.

Na słowo „prefekt” aż podskoczyłam.

— Uważasz, że to rzecz niewyobrażalna. A przecież to właśnie ty, która najbardziej chciałaś odrzucać jedną po drugiej wszystkie zasłony, aby ukazać światło Boga. Na tym stanowisku umiałabyś strzec Domu, potrafiłabyś prowadzić dociekliwe dysputy z tymi wszystkimi, którzy próbują zdeformować Światło, zredukować je do tego, co oni sami myślą o Bogu. Okazałabyś jednak wyrozumiałość i cierpliwość wobec tych, którzy, sięgając do istoty rzeczy, robiliby to niezręcznie, nierozsądnie, popełniając błędy.

Patrzył na mnie tym swoim badawczym spojrzeniem, od którego nie da się uciec. Wziął mnie za rękę i rzekł:

— Jeanne-Marie Carrière, czy zgodzisz się zostać prefektem Kongregacji Nauki Wiary?

Tylko jedna odpowiedź przyszła mi do głowy. Trochę drwiąco odrzekłam:

— Uważaj, Jakubie... Całkiem niedawno pewni prefekci wykończyli papieża... — odrzekłam trochę drwiąco”.

Leah: „Chcesz wiedzieć, Giu, w co wierzę? — zapytałam. — Jak widzę moje miejsce w naszym Kościele?

— Wiem, że jesteś wyznawczynią Chrystusa. Ale przez minione dziesięć lat nigdy nie mówiliśmy o tym, jaki to ma wpływ na twoją pracę i twoje życie.

— Może w naszych kontaktach, Giu, nie chciałaś odgrywać roli klechy... — Roześmieliśmy się oboje.

— Teraz jednak chciałbym — podjął poważnym tonem — żebyśmy o tym porozmawiali.

— Czuję się trochę onieśmielona.

— Onieśmielona? Dlaczego?

— Bo dla ciebie wszystko jest całkiem jasne. Wiesz, jakie stanowisko masz zająć w służbie Ewangelii, dla ludzkości. Mam rację?

— Niezupełnie... Nie zawsze sprawy są takie proste, moja królowo.

— Ja, Giu, jestem córką Afryki, zdolną uczennicą, która zdobyła wiedzę własnymi siłami, wspierając się na Stevenie; jestem dziewczyną, która zawsze pragnęła dotrzeć na szczyt i która pojęła, że może to osiągnąć w międzynarodowych organizacjach. Chcę, byś wiedział, Giu, że wstąpiłam do Światowej Organizacji Zdrowia, a potem do UNESCO nie po to, by służyć ludzkości, ale żeby się spełnić, odnieść sukces.

— No i udało ci się.

— Tak, to prawda. Osiągnęłam więcej, niż mogła o tym marzyć zwykła dziewczyna z Ghany. A nawet więcej, niż to sobie wyobrażali wybitni profesorowie Uniwersytetu Columbia. Przeszłam wszystkie stopnie i stanęłam na najwyższym, zostałam dyrektorem generalnym UNESCO, pomimo dyplomatycznych zabiegów, uprzedzeń Azji i Afryki, nie popierających kobiety, która porzuciła swój kraj... Udało mi się, dzięki tobie. Otrzymałam pokojową Nagrodę Nobla, najwyższe wyróżnienie, o jakim może marzyć dyplomata. W wieku czterdziestu pięciu lat osiągnęłam wszystko... I wszystko to zostawiłam, gdy poprosiłeś mnie, abym przyjechała do Rzymu i poświęciła się służbie twojemu... naszego Kościoła.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego to uczyniłaś?

— Bo lubię ciężko pracować u twojego boku. Bo tobie zawdzięczam to, czego dokonaliśmy w Jerozolimie, bo pragnęłam zacząć od nowa, spróbować dokonać tego samego gdzie indziej.

— Tylko dlatego?

— Nie wiem... Przede wszystkim nie przyjechałabym, gdyby nie było tutaj ciebie. Są jeszcze inne aspekty. Kiedy czytałam z mamą Biblię, kiedy uczęszczałam na naukę katechizmu, wierzyłam po prostu, bez zastanawiania się, że ci, którzy umierają wokół mnie, spotkają się na nowo w raju Boga. Biblia, którą czytałam, mówiła tylko o życiu i śmierci, o ustawicznej między nimi walce. Potem, kiedy nastąpiła Black Decade, nie interesowałam się już Kościołem ani tym, co głosił. W dalszym ciągu chodziłam jednak na mszę i czytałam Biblię z dziećmi. Tak było do momentu, kiedy poznałam ciebie.

Giuseppe długo mi się przyglądał. Po raz pierwszy nie patrzył na mnie jak uwodziciel, człowiek pewien swojej charyzmy. Najwyraźniej poczuł, że stąpa po kruchym podłożu. Zadał ostatnie pytanie, pytanie nawiązujące do całej mojej przemowy.

— A dziś, Leah, w co wierzysz?

Odpowiedziałam po chwili namysłu:

— Któregoś dnia zapytałam ciebie, czy uważasz, że chrześcijanie mieli szczególnie obowiązek stworzyć coś takiego jak pokój Boży i czy uważasz swoją misję za świętą. Powiedziałeś, że nie wierzysz w święty charakter pokoju ani w podpisane przez ludzi zawieszenie broni, że nie sądzisz, aby Bóg chował się za ziemskimi umowami, paragrafami, sporami, ustępstwami. Twoim zdaniem przejawiało się w tym najlepsze, co ludzkość stworzyła: umiejętność wzajemnego porozumiewania się, żeby zwykli, ubodzy ludzie nie żywili niechęci do możnych... I w tym całkowicie się z tobą zgadzałam, podzielałam twoją niezachwianą wiarę w człowieka. Dwa dni potem zacytowałeś Ireneusza z Lyonu: »Chwałą Boga jest żywy człowiek; życie człowieka to wizja Boga«. Powiedziałeś: »Nie wiem, czy na tej ziemi jesteśmy w stanie mieć jednakową wizję Boga... Wierzę jednak, że człowiek jest twórcą pokoju, że pragnie sprawiedliwości, że potrafi być bliskim bratem. I wierzę, że człowiek głosi w ten sposób chwałę Boga«.

Umilkłam. Przypomniałam mu te słowa, a on teraz czekał na moją odpowiedź. Powiedziałam więc:

— Ja żyję nadzieją. Moją wiarą jest nadzieja, że zawarte przez nas układy pokojowe, zawieszenie broni, kompromisy, negocjacje, prowadzone niekiedy z wielkim trudem, mają coś wspólnego z Bogiem. Wierzę w to, bo pozwoliłeś mi powiązać nieustanną walkę życia i śmierci, jaką toczy Ukrzyżowany, z większymi i mniejszymi potyczkami w moim życiu kobiety. Wciąż mam nadzieję, bo chociaż nasze umowy pokojowe nie przynoszą rezultatu, choć żadne zawieszenie broni nie jest dotrzymywane, a my już nie wiemy, po czyjej stronie stanąć, zwycięzcy czy zwyciężonego, choć często jesteśmy bezsilni, nadal żyjemy i tworzymy. A więc oddajemy chwałę Bogu. My wszyscy jesteśmy jak kapłani, wszyscy... Nawet kobiety...

Roześmiał się:

— Nawet śliczne kobiety...

— Tak, nawet one — roześmiałam się także. — I nasze ręce ofiarowują ten świat Bogu w oczekiwaniu na jego zwycięstwo”.

Paddy: „Kate patrzyła na niego oszołomiona, ogłuszona. Ale Irlandczycy mają w sobie dużo siły, wytrzymują nawet cios zadany

prosto w piersi. Potrząsnęła głową, jakby odzyskiwała przytomność. Głuchym głosem zapytała:

— Ja?

— Tak, ty — odrzekł Giuseppe z uśmiechem. Pokręciła głową:

— Przecież ja nie robię niczego niezwykłego... Zamurowało mnie. Oczekiwaliśmy najróżniejszych reakcji

z jej strony — wściekłości, gwałtownej odmowy, inwektyw przeciw księciu Kościoła, zarzutu, że wykorzystujemy hospicjum i dziewczęta w sari jako alibi, że obdarzamy ją wyróżnieniem za jej miłosierdzie, żeby mieć czyste sumienie, że sami nic nie robimy...

Ale po raz kolejny nie doceniliśmy tej Irlandki. Nie przewidzieliśmy takiej odpowiedzi. Nawet nie przyszło nam do głowy, że mogła tak myśleć o sobie.

Giuseppe spoglądał na nią oczyma wyrażającymi nieprawdopodobny podziw. Przypomniałem sobie fragment z Pisma Świętego, z przypowieści o bogatym młodzieńcu: „Wtedy Jezus spojrział na niego z miłością”....[Ewangelia wg św. Marka 10,21.]

Nie wiem, czy Giuseppe patrzył kiedyś na kogoś z większą miłością.

— Ależ tak, Kate — rzekł — ty sama jesteś niezwykła... Przybyłaś z daleka, z wysoka, i zesłaś na dół. Szłaś długo, nieustraszenie, jak wielu z nas, ale ty znalazłaś się najniżej ze wszystkich... Teraz jesteś tutaj, biedna pośród jeszcze biedniejszych, i razem z nimi przekłeta. Niczego innego nie pragniesz ponad to, żeby im służyć każdego dnia. Razem z nimi dzień i noc żyjesz i umierasz. Bez zbędnych słów. Niczego innego nie posiadasz poza tą niezmierną miłością; dodajesz otuchy, towarzyszysz im do ostatniej chwili. Zesłaś najniżej z nas wszystkich... Byłaś lekarzem, teraz jesteś nędzarką, skazaną świadomie na bezsilność. Dla tych nieszczęśników wyzbyłaś się wszystkiego. Zrezygnowałaś nawet z prób dowiedzenia się, czego oni potrzebują. Innym pozostawiłaś troskę, żeby ich stąd wydobyć. Nikt cię nie podtrzymuje w tej walce o sprawiedliwość. Nie masz nadziei, że ich wyleczysz, uzdrowisz, że uratujesz choćby jednego z nich. Wyzbyłaś się wszystkiego: nadziei, godności, zrezygnowałaś z walki... Nie służysz

żadnej sprawie. Słuchasz im. Jesteś tu, trzymasz ich za ręce, karmisz, uśmieszasz się, gdy umierają.

Przerwał, spojrział na swoje stopy w drogich pantoflach. Ja też opuściłem wzrok. A ta twarda jak stal Irlandka rozpląkała się niczym dziecko, łzy płynęły jej po policzkach.

— Potrzebujemy ciebie, Kate. Potrzebna nam jesteś, abyśmy mogli patrzeć na naszą biedną siostrę pośród jeszcze biedniejszych, na tę, która do nich należy, bo wyrzekła się nawet idei, by im służyć. Nie wykorzystamy cię. Nie chcę rezygnować z walki. Chcę jednak, abyśmy ustanowili na tej ziemi sprawiedliwość, mówili w imieniu tych, którzy nie mają głosu, wsparli wszystkich tych, którzy niestrudzenie walczą o ziemię, chleb, pracę, godność... A biedni są wszędzie i zawsze będą. Zawsze potrzebny będzie brat lub siostra, którzy wyrzekną się wszystkiego i pozostaną z nimi.

Giuseppe mówił z trudem, załamywał mu się głos.

— Jesteś niezwykła, Kate... Jesteś najpiękniejszą częścią księgi, jaką znam, jesteś prawdą Ewangelii.

Przez dobrą chwilę żadne z nas trojga nie śmiało spojrzeć na pozostałych, też płaczących.

Wreszcie Kate podniosła twarz, na którą opadały siwe włosy, przetykane jeszcze gdzieś tam płomienistymi pasmami. Zobaczyliśmy jasne, przejrzyste, zalane łzami oczy w kolorze bladego szmaragdu, odrzuconego przez jubilera. Uśmiechnęła się z trudem, a gdy się odezwała, w jej głosie poznałem akcent dokerów z Dublina.

— Tylko sobie nie wyobrażajcie, że włożę na siebie którąś z tych waszych idiotycznych sutann. Musicie się pogodzić z tym, że będę nosić sari”.

5 Simon Nauka

Neandertalczyk

Lato 2031 roku...

Z trzech tygodni wakacji, jakie papież postanowił wykorzystać, pierwszy spędziliśmy u jego przyjaciela Simona Cervina. Towarzyszył nam Che, któremu Giuseppe wręcz nakazał, by oderwał się od książek, kamer, pracy. Potem pojechaliśmy na dwa tygodnie do Mary Poopaddy, już tylko we dwóch, no i oczywiście z nieodłącznym Altobellim.

To, co się wydarzyło u Szwajcara, było absolutnie nieprzewidziane. Giuseppe ani przez sekundę nie pomyślał wcześniej, że mógłby zaangażować Simona do pracy w Kurii.

Niech świadczy o tym choćby rozmowa, jaką odbyliśmy we dwóch wieczorem po przyjeździe do alpejskiej pustelni, kiedy Che i Simon poszli spać na górę do swych pokoi.

— Nie znasz Simona, prawda, *fratello*? — odezwał się Giuseppe.

— Ten człowiek to albo szaleniec, albo geniusz.

— Może jedno i drugie. Dlaczego miałoby się to wzajemnie wykluczać?

— Czy on mówił poważnie, sugerując, żeby wszyscy księża zrezygnowali ze święceń i wrócili do swoich wspólnot, gdzie celebrowaliby posiłek eucharystyczny razem ze wszystkimi, bo po Chrystusie niepotrzebni są inni kapłani?

— Sądzę, że tak. Widzisz, *fratello*, Simon podważa wszystko, co twoim zdaniem jest pewnikiem. Zastanawiasz się nad najlepszym

sposobem przygotowania i wyświęcania księży, a on pyta, dlaczego chcesz ich wyświęcać. Niezbadane są wyroki...

Giuseppe, od bardzo dawna oswojony z górami, bawił się, widząc, jak sapie, wspinając się na strome zbocza, jak wzdycham do mego dymiącego Wezuwiusza. Obserwował Che, którego płuca w chudej klatce piersiowej nagle jakby odnalazły dawną pojemność. Mizerny peruwiański jezuita, syn Kordylierów, mimo kulawej nogi stał się zdobywcą szczytów.

To ja trzeciego rana naszego pobytu rzuciłem iskrę na proch. Przeglądałem w Internecie wiadomości z całego świata. Tytuły w gazetach były wielce wymowne: „Czy małżeństwo Adama i Ewy było mieszane? Czy Adam neandertalczyk poślubił Ewę z gatunku *homo sapiens*, a może przeciwnie? Czy mamy w sobie mieszaną krew? Czy mit Adama i Ewy jest całkowicie niemożliwy?”

Mruknałem:

— Nie mają już o czym pisać.

Cervin, który stanął za mną, powiedział zaczepnym tonem:

— A ty byś zapewne wolał, żeby nie stawiali w ogóle pytań? O co chodziło? Ekipa Katsuzo ogłosiła tezę o skrzyżowaniu „dwóch gatunków ludzkich”, neandertalczyka i *sapiens sapiens*.

[Dziesięć lat wcześniej w Pirenejach, w pobliżu Andory, odkryto nekropolię z X w. Wśród grobów chrześcijańskich wyróżniono groby jakiegoś innego ludu, którego ślady także odnaleziono. W średniowiecznych księgach byli opisani jako ludzie małego wzrostu (140 cm), „niezgrabni, brzydki, kosmaci”. Byli dyskryminowani i na przykład w Béarn wpuszczano ich do kościołów przez boczne, niskie drzwi.

Japońska grupa Katsuzo przeprowadziła obszernie badania statystyczne odnalezionych szczątków tych ludzi, badając DNA w miazdze zębów trzonowych i na tej podstawie określając antropometryczne dane. Rezultaty tych badań okazały się rewolucyjne. Stwierdzono bowiem, że „wysocy” z gatunku *sapiens sapiens* mieli DNA odpowiadające aktualnym populacjom lokalnym, podczas gdy DNA tych „małych” występowało w różnych wariacjach, co dało podstawy do hipotezy, że pochodzą oni od ostatnich neandertalczyków, tym bardziej iż zauważono u nich rachityczność związaną z niedoborem witaminy D. Hipoteza ta służy dziś do wyjaśnienia ich zniknięcia w okresie 15–20 tys. lat p.n.e.

Ustalono także, iż była to populacja słaba, różnorodna pod względem genetycznym. Między tymi dwiema populacjami kontakty seksualne były raczej rzadkie, a jeszcze rzadsze w odniesieniu do generacji N+2. Wobec tego były to dwa różne gatunki ludzkie. Nie chodziło by tu o rozrodność

jako taką, ale o krzyżowanie się (jak między lwem i tygrysem; potomek lwicy i tygrysa występuje rzadko i zazwyczaj jest bezpłodny).

Naukowcy izraelscy, badając skamieliny (znacznie starsze, bo mające około 45 tys. lat) znalezione we wspólnym siedlisku homo sapiens i neandertalczyka w grotach Golanu, stwierdzili różnorodność genetyczną w tych ludzkich szczątkach, co dało im podstawę do uznania, że te dwie ludzkie populacje łączyły więzi historyczne, geograficzne, kulturowe i... seksualne.

Stąd wzięły się tytuły w religijnej prasie żydowskiej i chrześcijańskiej, jak również w pismach naukowych, w których zastanawiano się ponownie nad taką możliwością, że jedynie *sapiens sapiens* reprezentuje gatunek ludzki.

— Jeśli neandertalczycy byli tylko małpami, to dość niezwykłymi: grzebali swoich zmarłych i zdobili swoje narzędzia. Nie rozumiejąc jednak nadal, w czym tkwi problem?

— Problem jest następujący: jeśli gatunek ludzki nie jest jeden, ale jest ich wiele, jeśli ludzie pochodzą z różnych pni, a nie od jednej pary czy grupy, to jak się w tym mieści opowieść o grzechu papy Adama i mamuśki Ewy w ogrodzie Edenu?

— Po prostu neandertalczycy i *sapiens* pochodzą ze wspólnego pnia; są potomkami *homo erectus*, grupą oryginalną... Nie mówiąc już o tym, że przed grzechem pierworodnym człowiek nie był śmiertelny i dlatego nie znaleziono jego szczątków, jeśli to jest tym brakującym ogniwem.

Nie zastanawiałem się nad tym od czasu studiów i popełniłem wielki błąd, że powiedziałem to, nie ważąc każdego słowa, a mając za rozmówcę Cervina.

— No popatrz, popatrz... *And now, introducing the Neapolitan neandertalian mamelouk...* Co ty wygadujesz, kolego! Jeśli weźmie się pod uwagę, jak wyglądał *homo erectus*, musielibyśmy przyznać, że zostaliśmy skazani z powodu grzechu pary kretyńskich małp, których modlitwa nie mogła wznieść się ponad odgłosy rui. I Bóg miałby na to pozwolić? Cała nasza nieszczęsna historia miałaby zależeć od tych kosmatych stworzeń o ilorazie inteligencji jadalnego mięczaka? W takim razie twój Bóg jest zbrodniarzem i z mniejsza oskarżę go przed Trybunałem Haskim, który na szczęście stworzyliśmy... do sądenia zbrodni przeciw ludzkości.

— Zaczekajcie, o co wy się właściwie kłóćcie? — wtrącił się do rozmowy Giuseppe. — Czy sądzicie, że nasza wiara w Boga stwórcy człowieka i nasza wizja człowieka grzesznego, a jedynak uległego Bogu, zależy od „naukowego wyjaśnienia”, czy Adam i Ewa naprawdę dali początek całej ludzkości?

Nie pierwszy raz mogliśmy się przekonać o naiwności naszego papieża.

— Sądźmy? My sądźmy? Nie, to nie do pomyślenia... — Szwajcar spojrział na mnie ze smutkiem. — Widzisz, neapolitańczyku, co to znaczy wybrać papieża, który nie przeszedł jak ty prania mózgu w seminarium i na wydziale teologii. — Simon postukał się palcami w zmarszczone czoło. — Odpowiedz mi, neapolitańczyku, który zawsze byłeś dobrym uczniem... Wyjaśnij mi, że dogmat katolicki zakłada wiarę w monogenizm, w wyjątkowe pochodzenie człowieka.

Giuseppe otworzył szeroko oczy.

— Kpisz sobie?

— Nie... On nie kpi, Giuseppe — odpowiedziałem. — Doktryna grzechu pierworodnego zakłada, że potrzeba było jednego lub kilku ludzi, aby zaistniał grzech i żeby ludzkość, tak doskonale stworzona, „upadła”. Według świętych tekstów miała to być para protoplastów założycieli naszego rodzaju. Dziś wygląda to już inaczej. Niektórzy teologowie mówią o „pierwszej ludzkiej społeczności”.

— Miej oko na te typy, Lombardi — powiedział Simon. — Tacy zuchwali teologowie mogą też twierdzić, że Noe zbudował dwie arki, żeby załadować na nie wszystkie zwierzęta.

— Przestań kpić, Cervin, choć ten jeden raz. Czy chcesz powiedzieć, że jeden niedowiedziony fakt stanowi część naszego credo?

— No, no, Lombardi, przydałoby ci się, gdybyś poruszył trochę swoją mózgowicę... Ha, ha! *Credo in unum hominem erectum et monogenitum...*

— Niech cię diabli, Cervin! Dość tego!

Gliniane amfory

Rozwścieczony Giuseppe patrzył bez słowa na Szwajcara, który skręcał się ze śmiechu. W końcu Cervin głęboko odetchnął i teatralnym gestem otarł oczy.

— Dobrze, dobrze... Nie śmiałem się tak już od lat. Muszę częściej zapraszać do siebie papieża.

— Możemy porozmawiać?

— Wal... Porozmawiajmy. Słucham cię, Lombardi.

Giuseppe zachowywał lodowaty spokój. Starał się po raz kolejny nie prowokować szalonego Szwajcara.

— No więc na początek pomówmy o odkryciu Katsuzo. Czy można w to wierzyć i czy hipoteza o monogenizmie człowieka staje się przez to niemożliwa?

— Nikogo to już nie interesuje — odrzekł stanowczym tonem Cervin.

— Jak to?

— Nikt się tym nie interesuje od czasu Awerroesa. Wiadomo, że nauka nie jest w stanie zaprzeczyć wierze, ponieważ stanowią całkowicie różne domeny. — Cervin wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. — Jest rzeczą oczywistą, że gdy religia twierdzi, iż wie wszystko o nauce, albo gdy nauka pretenduje do posiadania całkowitej wiedzy o Bogu, dochodzi do konfliktu. Stawiając monogenizm jako warunek wiary, Kościół szykuje sobie nową aferę Galileusza... Wyobraź sobie, jak to Katsuzo na łożu śmierci nie może przestać myśleć o neandertalczyku i *homo sapiens* i wydając ostatnie tchnienie, szepce: „A jednak się całują!”. [Aluzja do słynnego zdania Galileusza: „A jednak się kręci!.”] Jaką miałbyś minę, gdybyś to ty go skazał?

— Czekaj, czekaj... Nie wygłupiaj się, Simon.

— Wybacz... Chcę ci uzmysłwić różnice między wiedzą a wiarą...

— Mów jaśniej.

— Dobra, dobra, papieżu Lombardi. Czy mówi ci coś nazwisko Latour? Bruno Latour? To socjolog nauk ścisłych, który wykładał w Akademii Górniczej w czasie, kiedy ty byłeś w Szkole Głównej.

— Może i coś słyszałem o nim, nie pamiętam. Przypomnij mi. Zauważyłem, że we wzroku Che pojawił się nagły błysk.

Mógłbym przysiąc, że zdwoił czujność. Simon mówił dalej:

— Uczestniczyłem w debacie, podobnej do tej na politechnice, kiedy poznałem ciebie. Tyle tylko, że wówczas siedziałem na widowni, a nie za katedrą. Latour twierdził, że nauka dostarcza nie

tyle prawdę, co opowieści, zależne od socjohistorycznych warunków, w jakich powstawały. Oczywiście racjoniści ostro go zaatakowali i spaliliby go na stosie, gdyby mieli drewno... — Cervin zamyślił się. — Muszę przyznać, że Latour zawsze przesadzał, posuwał się za daleko... — Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć. — Czy wiesz, Lombardi, że Latour był katolikiem? Che nie dał czasu papieżowi na odpowiedź. [Jego refleksje na temat słów i relacji tworzonych przez prawodawstwo można przeczytać w książce *Radość lub męka słowa wiary*, Paryż 2002.]

— Jaki jest związek między takimi opowieściami i religią? — wtrącił. — Powiedział pan, że wiedza i religia są w gruncie rzeczy tym samym...

Cervin wolno odwrócił się do niego.

— O, mały jezuita potrafi mówić. — Odkasznął, spojrzął na Giuseppe i uśmiechnął się drwiąco. — Już dobrze, dobrze... — Po czym zwrócił się do Che: — No tak... Czym jest religia? Opowieścią, która pozwala w konkretnym momencie dziejów ludzkości przekazać prawdę objawioną o Bogu. Przypominam sobie pewne określenie, które przeczytałem chyba u świętego Pawła. Porównał nas do glinianych amfor, używanych do przechowywania cennych perfum, a w naszym wypadku — Boga, Prawdy. Chodzi o to, że religia przejawia się właśnie w rytuałach, świętych księgach, teologii, kultach, są to te gliniane amfory, naczynia niezbędne do przenoszenia Prawdy. Ale w końcu i tak rozbijemy te naczynia u stóp Chrystusa, podobnie jak uczyniła nierządnicą, do której wszyscy jesteśmy podobni.

Giuseppe patrzył na niego w osłupieniu. Pierwszy raz słyszał Szwajcara przyznającego się tak otwarcie do wiary w Chrystusa, w głoszoną przez niego prawdę.

Prawdy nauki i religii...

Ale Simon kontynuował swoje rozważania i nie sposób było za nim nadążyć.

— My, naukowcy, dobrze wiemy, że nasze prawdy to tylko opowieść na dany moment, przy aktualnym stanie wiedzy. Nauka także przyznaje, że potrzebne jej są kolejne amfory. Z tego właśnie

powodu byłem kiedyś pobożnym, wiernym katolikiem. Święcie wierzyłem, że obok moich przemijających teorii istnieją prawdy wieczne, uniwersalne. Ale zostawmy to... Nie uważam, że nauka i religia mówią o tych samych prawdach, nie warto więc dyskutować na temat perfum... Wydaje mi się jednak, że jeśli jest możliwy konstruktywny dialog między ludźmi nauki i ludźmi religii, to powinien dotyczyć stanu naszej wiedzy i świadomości społeczności ludzkiej. Wynika z tego związek z religią, ponieważ stanowi to warunek wiarygodności opowieści religijnych. — Podniósł głos. — Lombardi, jeśli z upodobaniem opowiadałeś córkom, że gwiazdy na niebie zawiesił dobry Bóg i że ich światło jest dowodem na dobroć Boga, powinny być roześmiać ci się w nos.

— To terytorium zakazane na ten wieczór, Cervin. Znam doskonale twoje poglądy na ten temat. Jak, według ciebie, ma się toczyć dyskusja między nauką i religią? Oczywiście z naszego punktu widzenia.

— No cóż, gdybym był człowiekiem religijnym, zacząłbym od próby określenia stanu globalnej wiedzy, po grecku *episteme*; dzięki temu uniknąłbym śmieszności. Potem dołożyłbym starań, żeby oddzielić pewne rzeczy, scharakteryzować dobrze Prawdę, o której tak chętnie się mówi. Można by na przykład sporządzić wykaz, w jakie dziedziny naukowe wkroczyła religia, a z których wcześniej czy później zostanie wyparta. Wymaga to ogromnej pracy. Należałoby także sporządzić w tym samym duchu spis problemów, w które wtrąca się nauka, dostarczając odpowiedzi na tematy, które jej nie dotyczą. Wzburzyłoby to moich wszystkich kolegów i szkoda byłoby zrezygnować z takiej drobnej przyjemności... — Roześmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu, po czym znowu stał się chłodnym, dociekliwym naukowcem. — Ale najważniejsze z twojego punktu widzenia, panie papieżu, byłoby ustalenie w końcu *distinctio* między religią i wiarą, wyraźne stwierdzenie, że religia jest historycznym i kulturowym sposobem przekazywania wiary. Sposób ten jest wytworem konkretnego czasu, otoczenia, ulega zmianom... To piękny program... — Wskazał na Che. — Czy sądzisz, że ten wątlý chłopak jest wystarczająco przygotowany, żeby się tym zająć?

Giuseppe skinął potwierdzająco głową.

— Do tego, na pewno, ale co do reszty... — Wstał. — Ja, Tomasz I, papież Kościoła rzymskokatolickiego, mianuję profesora Simona Cervina przewodniczącym Papieskiej Akademii Nauk. Masz całkowitą swobodę w realizacji programu, który przed chwilą przedstawiłeś, pod jednym warunkiem, że przedtem porozmawiasz ze mną. Przekonasz się, że Rzym jest przyjemnym miastem, a Akademia mieści się w pięknym szesnastowiecznym budynku, znajdującym się naprzeciwko moich okien.

Simon zamierzał coś powiedzieć, ale Lombardi nie dopuścił go do głosu.

— Mam nadzieję, Simonie Cervinie, że została w tobie choć odrobina szacunku dla papieża i podporządkujesz się jego rozkazowi bez dyskusji. — Odwrócił się do mnie: — Pietro, po powrocie przygotujesz wszystko, co jest konieczne w związku z tą nominacją.

Wyrodny syn

W porównaniu z tym „awansem” nominacja Dietricha Froeligera była zdecydowanie bardziej prosta. Na szczęście ten luterański pastor, usłyszawszy propozycję katolickiego papieża, nie potraktował go jak „autokratycznego łajdaka”.

Tomasz I nie pomylił się i tym razem, chociaż zdawał sobie sprawę, że nazwisko Froeligera wywoła duże poruszenie.

W styczniu 2032 roku, po postawieniu kobiety prefekta na czele Kongregacji Nauki Wiary, uznał, że może teraz rozpocząć na nowo dialog z oderwanymi od katolicyzmu braćmi. Pomysł ten, jak zauważył jego sekretarz stanu, był „diabelnie prosty” — czy może być lepszy sposób na „rozmowy z wrogiem” niż uczynienie z niego sojusznika mieszkającego pod tym samym dachem? Właśnie dlatego zaprosił do swych papieskich apartamentów luterańskiego biskupa Kolonii Dietricha Froeligera.

Tego Niemca, dwa lata od siebie młodszego, Giuseppe poznał w Szkole Biblijnej w Jerozolimie. Dietrich uczestniczył tam razem z żoną w tak zwanym roku sabatowym. Razem obchodzili święto Wniebowstąpienia w Jerozolimie w 2025 roku. Giuseppe zapraszał

potem pastora i jego żonę, Liselotte Froeliger, za każdym razem, kiedy się spotykali w Rzymie lub Jerozolimie.

Czy się zaprzyjaźnili? Z pewnością tak, ale była to zażyłość chłodna, z dystansem. Istniała bowiem osoba, która przeszkadzała tym dwóm mężczyznom stworzyć duet, a jednocześnie nie chciała być z nimi w tercecie.

Liselotte Froeliger, także luteranka i teolożka, nigdy nie zajęła w przyjaźni tych dwóch mężczyzn takiego miejsca, jak Steven w relacjach między Giu i Leah. Giuseppe powiadał, że ona „nigdy nie składa broni”. Ta walcząca feministka stale się czegoś domagała i nie traciła czujności... Wprawdzie papież czasami się z nią zgadzał, ale któregoś dnia powiedział do mnie:

— Mieć w życiu i w łóżku walcząca feministkę musi być dość męczące dla biednego Dietricha.

Liselotte nie używała szminki, w znaczeniu dosłownym i przenośnym, i ten ascetyzm bez wątpienia nastawiał do niej nieufnie syna Moniki Lombardi. Mroziła Giuseppe od pierwszego spotkania, ale jednocześnie budziła jego ciekawość.

Podczas tamtego spotkania w Szkole Biblijnej w Jerozolimie jedliśmy wspólnie śniadanie w wielkim refektarzu. Giuseppe wspominał między innymi o swojej córce Cecili. Liselotte wtrąciła lodo-watym tonem:

— Ach, tak, rodzina... Wy, katolicy, zbyt przydajecie jej wartości chrześcijańskich. Zaprawdę dziwny sposób odczytywania Ewangelii.

— Co chce pani przez to powiedzieć? — zapytał zaintrygowany Giuseppe, który do tej pory rozmawiał głównie z pastorem.

— Nie przeczę, że rodzina to dobra instytucja, która pozwala rozwijać się we wspólnocie ludzkiej. W przeciwnym wypadku nie założyłabym jej z Dietrichem. Nie sądzę jednak, aby miała ona w sobie jakiś walor ewangeliczny.

— Proszę rozwinąć tę myśl.

— Nauczanie Chrytusa wyraźnie nawołuje do zerwania więzi rodzinnych na rzecz powszechnego braterstwa: „Bo kto pełni wolę Ojca mojego, który jest w niebie, ten mi jest bratem, siostrą i matką”. [Ewangelia wg św. Mateusza 12,49.] Zresztą już na pierwszych stronach Pisma Świętego mężczyzna opuszcza swego ojca i swą

matkę. A i Chrystus wypowiada niekiedy szokujące słowa: „Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien”. [Ewangelia wg św. Mateusza 10,37.]

— Tak więc, pani zdaniem, Chrystus był wyrodnym synem?

— Tak. Bóg dał rodzinę swemu synowi, aby został on wychowywany jak człowiek. A Ewangelia wyraźnie opisuje „wyrodnego syna”. Wyzwoliwszy się za szybko, okazał się on niewdzięczny, nie robi nic dla swojej rodziny, która na próżno usiłuje go zatrzymać, zachęcić do powrotu. A nieco dalej Jezus odrywa swoich uczniów od ich bliskich, ofiarowując im inną, powszechną rodzinę. Oznajmia, że jego słowo rozdzieli ojca i syna, matkę i córkę. Rodzina musi przestać istnieć, aby istota ludzka mogła się otworzyć na powszechne braterstwo.

— Jaki wniosek wysnuwa pani z tego?

— Rozumiem, że polityka rodzinna interesuje wasz Kościół jako organizację stworzoną przez ludzi, ale nie wydaje mi się słuszne, żebyście interesowali się nią ze względów teologicznych.

Sześć lat po tej rozmowie papież Tomasz I zaprosił do siebie Froeligera i jego żonę. Przez kilka dni poprzedzające obiad z tym niemieckim małżeństwem zastanawiałem się, czy zamierza postawić Liselotte na czele Papieskiej Rady do spraw Rodziny.

Jeden sprawiedliwy

Lombardi nie uprzedził swoich gości o celu spotkania. Zresztą nie widzieli się od czasu, gdy jeden został biskupem swojego Kościoła, a drugi papieżem swojego. Już przy aperitifie Tomasz I przedstawił luteraniskim gościom swój pomysł, a mianowicie, iż pragnie, aby Froeliger został wiceprzewodniczącym Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan.

Dietrich wysłuchał tej propozycji z niewzruszoną miną i tylko przeciągnął dłońią po podbródku w typowym dla niego geście, gdy się nad czymś zastanawiał.

— Dlaczego ja i dlaczego na to stanowisko?

— Ponieważ jest pan luteraninem, którego znam najlepiej, i dlatego że między naszymi Kościołami może najszybciej dojść do dialogu. A gdy tak się stanie, zwolnię pana.

Tym razem Froeliger uśmiechnął się.

— Proponuje mi pan długoterminowy kontrakt. Myślę, że wziął pan pod uwagę, jakie to wywoła reakcje.

— W moim Kościele reakcja będzie bardzo burzliwa... Ale zostanie ona skierowana bardziej przeciw mnie niż panu. Co do reakcji w pańskim Kościele, nie spodziewam się niczego miłego.

— Ja także. Czego dokładnie oczekuje pan ode mnie?

— Aby dokonał pan tego, co nie udawało się pańskim poprzednikom od dziesięcioleci. Należy ustalić wspólnie z braćmi, którzy się od nas oddzielili, co nas łączy, a co dzieli. A potem usunąć to, co nas dzieli.

Pastor pokiwał głową.

— Mam podlegać kardynałowi, który będzie pełnił rolę strażnika Domu?

— Nie. Proponuję panu stanowisko równorzędne do tego, jakie piastuje francuski kardynał Martin Leperleur, z którym zacznie pan współpracę. Może pan także liczyć na pomoc ze strony kardynała Jeanne-Marie Carrière. To niezwykła kobieta...

— Niezwykła, rzeczywiście. — Zamyślił się na krótką chwilę. — Chyba podejmę się tego zadania i wyrażę zgodę od razu, bo im dłużej będę się zastanawiał, tym większe ogarną mnie wątpliwości.

Ta wymiana zdań świadczy dobrze o „zawodowym” charakterze przyjaźni, która połączyła na zawsze papieża i pastora. Będą darzyć się szacunkiem i zaufaniem, ale Dietrich pozostanie jedynym w Domu, do którego Giuseppe będzie zwracał się per pan, jedynym, któremu Paul nie nada żadnego przydomka.

Nie przeszkodziło to im wzajemnie się podziwiać i szanować. Giuseppe często na uboczu mówił o nim „Froeliger sprawiedliwy”. Doceniał wytrwałość tego człowieka, który nie był ani skryty, ani przesadny w zachowaniu. Froeliger był po prostu uczciwy. Kiedy tylko miał możliwość, stosował w praktyce ewangeliczną zasadę, jego zdaniem najważniejszą: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni”. [Ewangelia wg św. Mateusza 7,1.]

Kiedy jednak teraz myślę o Liselotte na czele Papieskiej Rady do spraw Rodziny... Liselotte mającej się zajmować dziedziną, w której pozostały jeszcze gorące ślady działalności Meksykanów, dochodzę do wniosku, że była to raczej pomyłka.

6 Pasterz niezdecydowany

Z szeregów „pogan”

Sen Zielonych Świątek rzuca szczególne światło na pierwsze pięć lat tego pontyfikatu, a analitycy są podzieleni. Niektórzy twierdzą, że wszystko było widoczne już na samym początku, inni, przeciwnie, podkreślają, że gdyby nie ów sen, to ten pontyfikat niczym by się nie wyróżniał poza tym, że wybór Lombardiego spotkał się z powszechnym zadowoleniem, no i poza kilkoma medialnymi nominacjami kardynalskimi oraz sprowadzeniem takich ludzi jak Cervin i Froeliger.

Sześćdziesiąt pierwszych miesięcy pontyfikatu dzieliło się wyraźnie na dwa okresy. Po ogromnych emocjach, jakie wywołał wybór na papieża młodego i przystojnego człowieka spoza instytucji, nastąpił okres wdzięczności. Czas czystek został przyjęty jako akt koniecznej odwagi.

Kiedy jednak pojawili się Leah, Cervin, a zwłaszcza Froeliger, na ich temat wylano morze atramentu. Niektóre kręgi katolickie zarzucały Tomaszowi, że chce kierować Kościołem we współpracy z tymi, którzy się z niego nie wywodzą, nieduchownymi, niekatolikami, nieochrzczonymi... Że mianuje ludzi z zewnątrz, nawet spoza „klanu Francuzów” — z szeregów „pogan”, jakby powiedziano w epoce świętego Pawła.

Moim zdaniem Tomasz miał swój własny sposób patrzenia na świat. Uważał, że Rzym może przyjąć z otwartymi ramionami tych, których cały świat uznaje za wielkich. Jeśli niektórzy z tych wybitnych

ludzi nauki lub dyplomacji godzą się oddać swoje umiejętności, energię, talent na usługi całego chrześcijaństwa, to dlaczego rezygnować z nich na rzecz wyświęconych kapłanów? Leah, Kate, Simon należą do Kościoła, kochają Kościół na swój odmienny sposób — surowy, gwałtowny, krytyczny... Biorąc ich do współpracy, miał nadzieję być papieżem Kościoła wszystkich ludzi na świecie.

Sztuka rządzenia Tomasza opierała się na kobietach i mężczyznach, bardziej od niego znanych, bardziej uprawnionych do działania w konkretnych dziedzinach. Papież nie podejmował decyzji sam. Wprowadził kolegiałność nawet w biurach w swych prywatnych apartamentach.

Cameron promował kolegiałność, a Villepreux ją przywrócił przy naradach z braćmi biskupami, szczególnie podczas kontynentalnych synodów. Jednakże Tomasz postępował zupełnie inaczej, może dlatego, że nigdy nie był proboszczem parafii ani biskupem zarządzającym diecezją. W innych okolicznościach, gdyby Sylwester nie został zamordowany, Święte Kolegium nigdy nie wyznaczyłoby do kierowania Kościołem człowieka, który nie pełnił przedtem kościelnych funkcji. Na tym polega wyjątkowość tego papieża, że ukazał pracę duszpasterza jako największy obowiązek w społeczności katolickiej.

Ale my widzieliśmy, że był pasterzem niezdecydowanym, ostrożnym, samotnym... Tomasz bał się zawrotu głowy od sukcesów, co nieraz przydarza się tym, którzy kierują innymi. Wolalby iść w środku ochrzczonego ludu. I zapewne dlatego, jak sądzę, przez pięć lat nie ogłosił żadnego listu, żadnej encykliki.

Małe podróże

Pod koniec pontyfikatu Sylwestra powrócono do zwyczaju dalekich pielgrzymek. Po synodach Izaak wziął znów do ręki pielgrzymki, aby spotkać się ze swymi „owieczkami”, upewnić je o wsparciu i trosce papieża, zachęcić do akceptowania nowości z równoczesnym zachowaniem tradycji, by przyjąć oznaki miłości ludu dla swojego pasterza.

Tomasz także wiele podróżował, ale jego podróże miały inny charakter.

Od samego początku pontyfikatu oddzielał dwie różne role gospodarza Watykanu. Jako przywódca państwa przyjmował ambasadorów, rozmawiał z różnymi ważnymi osobistościami, interesował się działalnością organizacji międzynarodowych. Jako człowiek pokoju tworzył wraz z Leah „ambasady pokoju” zgodnie z wcześniej stosowaną zasadą. Tomasz I, podobnie jak przedtem Giuseppe Lombardi w Bombaju czy Jerozolimie, pełnił rolę mediatora. Któregoś wieczoru w mojej obecności oraz Paula, Jeanne-Marie i Leah opisał swoją rolę takimi słowami: „Staję na moście między dwoma narodami w momencie, kiedy jeden z nich zamierza przezeń przejść, aby podbić ten drugi, albo kiedy ten drugi planuje zniszczenie mostu. Przeszkadzam im, bo przecież nie mo[^]ą przerzucić papieża przez balustradę. Czekam więc, aż obie strony wyślą emisariuszy, aby skłonić mnie do opuszczenia mostu. A gdy już emisariusze pojawiają się, mamy ponownie szansę do rozmów, może już po raz ostatni”. Tomasz nie przestawał być tym, kim był Giuseppe...

Nasze wyprawy były „małymi podróżami”. W skład ekipy wchodziło około pięćdziesięciu osób łącznie z ochroną, a także tłumacze i eksperci wynajęci w zależności od potrzeb. Nie zapełnialiśmy całego rządowego samolotu, przeznaczonego na długie trasy. Tomasz I umiał właściwie przedstawić członkom ekipy charakter konfliktów, źródło pretensji. Leah Nanah znajdowała od razu rozwiązania prawne, redagowała teksty rezolucji, możliwe do zaakceptowania przez zwaśnione strony, znajdowała realne kompromisy terytorialne.

Takie inicjatywy zbijały z tropu niektórych watykanistów. Jednak Tomasz wiedział, że świat wszedł w „erę pośredników”, *peace makers*; wiedział, że ma doświadczenie mediatora, a jego ekipa znająca się na prawie, technikach lobbingu, wpływania na instytucje. Uważał, że Ewangelia nakazuje ludziom zawierać rozejmy i umowy bez uciekania się do przemocy. Był więc szefem tej brygady i to on podejmował ostateczne decyzje.

Podróże te nie były w żadnym wypadku wizytami pasterskimi, lecz interwencjami. Tomasz był po prostu negocjatorem między rządzącymi, człowiekiem pokoju, a nie pasterzem. W samolocie wiozącym nas do Boliwii w czasie kryzysu granicznego w 2032 roku powiedział do mnie:

— W umowach pokojowych, które usiłujemy zawrzeć lub ratyfikować, nie ma nic z uniwersalnej miłości, bo Sprawiedliwość i Pokój jeszcze nie potrafią się wzajemnie objąć, jeszcze nie nadeszła pora zgody i braterstwa. Na razie mamy porę rozejmów, które są owocem ludzkiej mądrości, gdyż wiadomo, że lepszy jest zły pokój niż dobra wojna...

Niektóre z mediacji kończyły się sukcesem tak, jak w Dżakarcie, Lagos, Pyong Yang. Kiedy inne, znacznie częściej, ponosiły porażki, Giuseppe Lombardi wpadał w gniew. Podobnie zresztą jak i Leah. Oboje przypominali dwa morskie potwory, które znalazły się w błotnistych bajorach dyplomacji, ale mimo zalewającej ich fali powodzi posuwały się do przodu. Jeśli Leah Nanah i Giuseppe Lombardi popełnili razem jakiś grzech, to tylko ten, że duma nie pozwalała im nigdy uznać się za pokonanych.

I właśnie dumie zawdzięczać miał Tomasz swój największy sukces w Jerozolimie.

Wspólny skarb

Papieska Rada Iustitia et Pax, kierowana przez hiszpańskiego kardynała Carlosa Moravie, stanowiła drugą oś watykańskiej dyplomacji. Chodziło o to, aby programy wielonarodowościowych organizacji i wielkich agencji miały na uwadze przede wszystkim dobro człowieka. Z trybuny NONZ Tomasz oświadczył: „Opcje, jakie przedstawiamy, mogą być przyjęte i uznane przez innych w imię innego Boga, w imię praw człowieka, bo sprawiedliwość i pokój są wspólnym skarbem wszystkich istot ludzkich”.

Papież podejmował również podróże w „służbie powszechnej jedności”, w których towarzyszył mu zazwyczaj Paul. Sekretarz stanu określił ich misję tymi słowami: „Podjęliśmy służbę dla jedności całego ochrzczonego ludu, służbę profetyczną, aby podtrzymać siły znudzonych, przywrócić utracone nadzieje”.

Paul pracował nad zreformowaniem Kurii, przebudową kongregacji i zmianami w sposobie ich kierowania. „Zadaniem biskupa jest przede wszystkim służyć sprawie jedności diecezji, jedności całej społeczności katolickiej”. Od tej pory już tylko kardynałowie świeccy stali na czele kongregacji lub papieskich komisji, pozostali kardynałowie zachowali swoje biskupie siedziby, ale dwa tygodnie

w miesiącu przebywali w Rzymie, gdzie czekały na nich obowiązki w Kurii. Ich diecezjami kierowali w tym czasie specjalnie mianowani biskupi-wikariusze. Reforma zwiększyła rolę sekretarzy generalnych, świeckich i nieświeckich. Upewniano się w ten sposób, że Kuria rozumie dobrze cały świat, a cały świat rozumie dobrze Rzym.

Złoty cielec i wątpliwości

Od 2033 roku rozpoczęło się pielgrzymowanie. Niektórzy byli rozczarowani.

W trakcie porannych śniadań Mafouz podsuswał nam artykuły z prasy, których ton był coraz bardziej nagły.

Oczekiwano, że Tomasz przemówi silnym głosem, że wskaże drogę, że „zachowa się jak prawdziwy papież”. Słyszałem szepczących między sobą kardynałów: „Papież chętnie słucha wszystkich, ale sam nie opublikował ani linijki”. Kilku teologów zaczęło przepowiadać, że „reforma traci rozpęd”. Teolog niemiecki Wolfgang Strecke pisał w ostrym tonie: „Od czterech lat Kościół nie otrzymał żadnego tekstu wymagającego głębszej refleksji, żadnego papieskiego listu. Czy papież ma w ogóle jakiś pomysł na przyszłość swego ludu?”. Włoski kronikarz Mario Livatto w artykule redakcyjnym wyraził się jeszcze bardziej dosadnie: „Giuseppe Lombardi jest bez wątpienia człowiekiem wybitnym, ale czy wybitni ludzie stają się zawsze wybitnymi papieżami?”.

Okres wdzięczności kończył się... Czy zaczynał się okres nieła-ski?

Paul nakłaniał swego przyjaciela Jakuba, żeby „był prawdziwym papieżem”, człowiekiem, ku któremu zwraca oczy całe chrześcijaństwo, aby w twarzach wiernych ucieleśniła się uniwersalność, bo taka jest rola następcy Piotra. Simon, słysząc to, śmiał się i szydził: „Zawsze ta sama bałwochwalcza tendencja do uświęcania człowieka, wskazywania złotego cielca”. Stosunki między Szwajcarem i Kameruńczykiem były zawsze burzliwe i zaczynały nas męczyć.

— Kardynałowie na konklawe wybrali ciebie takiego, jaki byłeś — podjął Paul, gdy Cervin już wyszedł. — Oczekiwali jednak, że się zmienisz.

— Chcesz, bym przestał być sobą, Tomaszem, i stał się Sylwestrem IV?

— Chcę, żebyś był Tomaszem I, biskupem Rzymu, z jego charyzmą i gotowością służenia. Wezwanie tworzy powołanie, a powołanie tworzy pasterza. To, co dotyczy zwykłego proboszcza, dotyczy tym bardziej ciebie.

Znacznie później Giuseppe zwierzył mi się:

— Nie będę wielkim sternikiem, nie dostanę złotego cielca, to Simon ma rację.

Mimo to zapytałem:

— Dlaczego występując publicznie, zawsze mówisz „my”? Oczekujemy, że będziesz przemawiał w swoim imieniu, że powiesz „ja”. Przecież to ciebie wybrano.

Annus horribilis

Koniec 2033 roku był ponury, a początek 2034 zapowiadał *annus horribilis*... W styczniu wyszła książka autorstwa Raimondy Massafry *Prawda o rzekomym papieżu*. Ta nieautoryzowana „biografia”, stek oszczerstw, była bezpośrednim atakiem na Tomasza I. Autorka pisała, że papież od wczesnej młodości miał obsesję władzy i obsesję seksu, że wykorzystywał przewagę w stosunku do kobiet, w Kościele i w świecie, aby umocnić swoją pozycję. Autorka, zakonnica, opowiadała o „hinduskich orgiach”, o biskupie (zapewne miał to być monsignore Morro), który zesłał go do Delhi, aby uniknąć skandalu... Pisała szczegółowo, że Jeanne-Marie Carrière była kochanką Giuseppe Lombardiego od czasu, gdy studiował w Instytucie Katolickim w latach 2009—2011. Opisowała, jak teolożka Jeana-Baptiste'a Villepreux, zahipnotyzowana seksualną siłą Lombardiego, starała się zawsze mieć kochanka u swego boku i ułatwiała mu pokonywanie kolejnych szczebli w kościelnej hierarchii. Oczywiście wyniesienie do rangi kardynała zawdzięczała rozpustnemu kochankowi, wdzięcznemu za wspólnie przeżyte uniesienia cielesne. Massafra dawała do zrozumienia, że ten związek już nie istnieje, ale zapytywała: „Jakie kobiety zajęły jej miejsce, gdy on znalazł się na samym szczycie?”.

„Rewelacje” Raimondy Massafry nie były traktowane poważnie przez media, jak też i przez przeważającą większość społeczności chrześcijańskiej. Tomasz nie wydawał się nimi przejęty, gdy raz rozmawiał o tym z Clara i Cecilia. Jednak te wypociny zapowiadały kolejne ataki. Sam fakt, że jakiś wydawca podjął ryzyko i opublikował tę książkę, że znaleźli się wydawcy w innych krajach, którzy opublikowali ją w tłumaczeniu na różne języki, wskazuje na to, iż kończyła się pewna epoka: Tomasz I już nie chroniło zabójstwo Sylwestra III. Znalazł się na pierwszej linii.

Większe szkody poczyniła książka *Bogate godziny Giuseppe Lombardiego*, której autor, Amerykanin William Gordon-Post, okazał się dobrze poinformowany. Opisał szczegółowo majątek rodziny Lombardich, który, jak przypomniał, pochodził z honorariów za szczerpionkę. Żadnej z jego informacji nie można było podważyć. Można było jedynie mieć zastrzeżenia do sposobu, w jaki Gordon-Post je przedstawiał i jakie wyciągnął wnioski.

Autor postawił tezę, że tak błyskotliwą karierę Tomasz I zrobił kosztem innych. Bogactwo zawdzięczał Syndromowi Wirusa Zachodniego Nilu, sławę — terrorystycznemu atakowi na Zachodni Mur w Jerozolimie, wybór na papieża — zamordowaniu jego „duchowego ojca”. Krótko mówiąc, Giuseppe Lombardi wykorzystywał sytuacje kryzysowe, by wznosić się coraz wyżej. Korzystał z owoców pracy innych (swojego ojca i Leah Nanah) i ukradł im zaszczyty.

Konkluzja tej książki była druzgocząca: „Papież, który zawsze umiał wykorzystać nieszczęście, teraz okazuje się niezdolny do tego, żeby jego głos zabrzmiał w Kościele jasno i zrozumiale. Czy czeka na kolejną katastrofę, by popełnić jakieś szalbierstwo? Giuseppe Lombardi, obecnie Tomasz I, dąży do przywództwa nad światem tylko po to, aby zyskać sławę i karierę”.

Ten atak okazał się poważniejszy w skutkach. Jego echa pojawiły się w mediach, które dostrzegły w nim „kryzys zaufania” oraz symptom „kryzysu *leadership*” w Rzymie.

Rozmawialiśmy o tym niewiele, Tomasz nie obawiał się tych ataków *ad hominem*. Powiedział mi któregoś dnia: „Te krytyki mnie nie dotyczą. Natomiast bardziej niepokoi mnie to, że chrześcijanie coraz silniej oczekują ode mnie czegoś, czego nie mam...”.

Simon nazywał to „syndromem nieobecnego przywódcy”. Tomasz mówił o pedagogice frustracji, pocieszał się nadzieją, że wier- ni zrozumieją, iż to oni sami powinni znaleźć odpowiedzi i samo- dzielnie kierować swoim życiem. Ja zaś nie bardzo wiedziałem, co mam o tym myśleć. Czy Giuseppe nie powinien przemóc swoją naturę?

Nie zależało mu na spotkaniach z tłumami, lękał się dużych zgromadzeń, a mimo to gdy pojawiał się publicznie, gdy wygłaszał kazania w trakcie podróży lub z balkonu papieskiego pałacu, stwierdzałem, że nie stracił nic ze swojej niezwyklej charyzmy. Po kilku słowach zapalał tłumy, podbijał ich serca. Czasami łapałem się na tym, że ja także marzę o tym, żeby zechciał w końcu przyjąć rolę przywódcy, ale on nadal się opierał. Czy miał rację?

Do Domu Papieskiego zakradło się poczucie niespełnienia. Wiedzieliśmy, że Giuseppe Lombardi jako Tomasz I nie dał jeszcze z siebie wszystkiego. Nie wiedzieliśmy jednak, co mogłoby go do tego pobudzić.

Na początku lata 2034 roku Tomasz, Jeanne-Marie Carrière, Froeliger i Leperleur podsumowali wyniki dialogu z innymi Kościo- łami chrześcijańskimi. Tomasz zapytał:

— Pracujemy nad tym od czterech lat, upłynęło przynajmniej pięćdziesiąt lat od czasu, jak podjęliśmy z nimi rozmowy. Czy jeste- śmy dziś bliżej do porozumienia się w sprawie reform? Czy po ty- siącu lat jesteśmy bliżsi wspólnej modlitwy z Kościołem prawo- sławnym? — Froeliger potrząsnął przecząco głową. — A więc nadal porażka. Czy należy o tym głośno powiedzieć?

— Publicznie? To niebezpieczne.

— Dla kogo? Dlaczego? Prawda nas wyzwoli... Skoro jesteśmy rozdzieleni, oddaleni, różni, przynajmy to głośno, choćby po to, żeby wyrazić żal.

— Ale po pięćdziesięciu latach twierdzenia, że się do siebie zbliżamy, byłby to krok wstecz.

— A więc znaleźliśmy się w ślepych zaułku, nie możemy iść ani do przodu, ani cofnąć się. Co proponujecie?

Froeliger i Jeanne-Marie popatrzyli na niego z niepewnymi mi- nami.

— Robimy swoje dalej?

— A widzisz inne wyjście, Jakubie? — zapytała Jeanne-Marie.

Raduj się, Jerozolimo

Ostatnie uderzenie

Wrzesień 2034 roku.

Zapowiedź porozumienia całkowicie nas zaskoczyła.

Zebrał nas w sali jadalnej. Mafouz przygotował libańskie *mez-zeh* —jak zawsze wyczuwał sytuację. Był jedynym, który wiedział, jedynym, który towarzyszył papieżowi w całej tej sprawie. Lewantyńczyk i tym razem potwierdził, że jest raczej florentyńczykiem, człowiekiem uwielbiającym tajemnicę, mrok i milczenie...

Kilka razy spoglądałem ku temu „konkurentowi”, „profesorowi”, wręcz mistrzowi, gdy Tomasz I przedstawiał sprawę swoim Francuzom. Mafouz miał na twarzy ledwie widoczny uśmiech. Dobrze czuł się w roli adiutanta, umawiającego na rozmowy z papieżem, zmieniającego plany działań, anulującego spotkania.

My, Francuzi, nie wiedzieliśmy nic i niczego nie podejrzewaliśmy. Podobnie jak wy, czytelnicy i dziennikarze. A tymczasem okazało się, że negocjatorzy izraelscy i palestyńscy przez ponad pół roku przyjeżdżali do Rzymu w tajemnicy, na dwie godziny rozmów, i po uzgodnieniu jakiejś konkretnej sprawy umawiali się przy rozstaniu na dzień następny lub za tydzień. Wszyscy poszliśmy fałszywym tropem i wszystkie nasze wysiłki i obawy związane z tym „strasznym rokiem” posłużyły do zatajenia sprawy o doniosłym znaczeniu, bo oto za tydzień mieli przyjechać do Watykanu Gitaj i Barghouti, aby podpisać porozumienie o umiędzynarodowieniu Jerozolimy. Umowa przewidywała, że odtąd miasto będzie należało

do wszystkich, do całej ludzkości, że stanie się stolicą dwóch oddzielnych państw.

Wysłuchaliśmy tego w osłupieniu, ale nikt z nas nie poczuł się tak zdradzony, jak Leah Nanah. Oszołomiona, niedowierzająca, upokorzona, po raz pierwszy jakby zapomniała o zawodowej zasadzie, by nie pokazywać swoich emocji. Znała Giu od dziesięciu lat i nie mogła sobie nawet wyobrazić, że zada jej taki cios.

Nie otworzyła ust przez te pół godziny, gdy podawał szczegóły swego ostatniego osiągnięcia. Nie śmieliśmy na nią spojrzeć, ona nie miała odwagi się odezwać z obawy, że wybuchnie gniewem w naszej obecności. Bo nawet w naszym ścisłym gronie nie można było potraktować papieża jak „łajdaka”.

Wstał. Uświadomiliśmy sobie, że Tomasz I wszedł do historii, że nie jest już tylko wybitnym człowiekiem, który został papieżem, ale Tomaszem Wielkim, jednym z niewielu w tym stuleciu, o których będzie się mówiło. On zaś myślał tylko o niej. Użył nas na te pół godziny jako zapory przeciwniczej. A teraz musiał sam poradzić sobie z pożarem. Powiedział: „Leah...”, i oboje opuścili salon.

Wszyscy pozostali rozeszli się, nie zamieniwszy nawet słowa o tym, czego się przed chwilą dowiedzieli. Rozeszliśmy się, aby załatwiać sprawy związane z organizacją zapowiedzianego spotkania od strony dyplomatycznej i praktycznej. Paul mrugnął do mnie okiem i poklepał po plecach.

— *Forza, Wergiliuszu...* — powiedział.

Ale ja musiałem zostać.

W prywatnej bibliotece Mafouz przekazał mi szczegóły całej operacji, opowiedział o sześciu miesiącach pracy i o ostatecznym rezultacie. A kiedy to wszystko relacjonował, zza drzwi dochodziły odgłosy gwałtownej sprzeczki, szlochania Leah Nanah, oszukanej kardynał, i głos Giu błagającego ją, by się uspokoiła; „Moja królowo...”. [Ten temat rozwinięty jest w doskonałej pracy Tajne negocjacje w Watykanie. Pomzumenia dotyczące Jeruzolimy, autorstwa Karla Enderlinga, który oparł się zwłaszcza na długim wywiadzie z Maurice'em Mafouzem oraz na wywiadach z szefami obu państw — Izraela i Palestyny.]

Zachowała do niego żal przez pół roku. Ci, którzy sądzili, że Tomasz I postawił ją na czele Papieskiej Rady *Justitia et Pax* tylko po to, żeby sprawić jej tym przyjemność, być może byli bliscy prawdy.

Ale ja myślę, że fakt, iż nie podzielił się z nią swym zamierzeniem, dowodził, że Giuseppe postanowił zmienić dotychczasowy stosunek do Mrs Nanah i rozpocząć współpracę na zupełnie innej płaszczyźnie.

Dlaczego tak postąpił wobec niej, wobec nas? Bez wątplenia wziął pod uwagę argumenty Mafouza, że należy utrzymać rzecz w tajemnicy. Niewykluczone, że pod wpływem docinków Cervina chciał zaskoczyć nawet najbliższych, „zdradzić” najwierniejszych, aby nikt nie uważał go za swego przewodnika, za swego guru. Być może...

Tomasz Wielki

Nikt się nie zdziwił, gdy jury w Oslo kilka tygodni później ogłosiło decyzję o ponownym uhonorowaniu Tomasza I Wielkiego. Dla Leah oglądanie Giuseppe wchodzącego (tym razem bez niej) na trybunę norweskiego Parlamentu i odbierającego po raz drugi pokojową Nagrodę Nobla musiało być niewątpliwie dużym przeżyciem. Jednak 10 grudnia 2034 roku w Oslo panowała nad sobą doskonale, dużo się śmiała i głośno mówiła.

Bardziej dyskretna niż gniew Leah i prawie niezauważalna poza Domem Papieskim była reakcja Cyrila Dereima. Luksemburczyk, godny naśladowca Mazarina, zaniepokojony, iż nie został wieszty, doszedł do wniosku, że nie odgrywa już większej roli. Zapropozował więc, aby zastąpił go Theodore Selz, trochę młodszy od niego Belg, który był jakby jego klonem. Tomasz przyjął dymisję Dereima. W uznaniu oddanych zasług na Boże Narodzenie 2035 roku mianował kardynałem tego wiernego sługę, który przez prawie dwanaście lat kierował Domem za kulisami, miał kontrolę nad wrogami, planował różne ruchy i któremu podczas dwóch pontyfikatów udało się dokonać tak trudnej rzeczy, jak przekonanie papieża, aby czasami odstąpił od wypracowanej strategii i nawiązał dialog z wiernymi.

Posąg i wątpliwości

Wszyscy wiedzieliśmy, jaką datę ustalono na triumf Tomasza, papieża Jerozolimy, twórcy Pokoju przez duże „P” w stuleciu, gdy

szaleńcy wymyślili coś takiego jak „konflikt cywilizacji”. Akt umiędzynarodowienia Miasta miał się dokonać w okresie Zielonych Świątek: dwa dni uroczystości w budynku NONZ w Jerozolimie pod ochroną nowo utworzonej policji izraelsko-palestyńskiej, potem trzy dni uroczystości religijnych, których zazyczyli sobie przywódcy obu państw, by dobitnie pokazać, że Miasto stało się własnością wszystkich. Piątek miał być świętowany na esplanadzie przed meczetem Al-Aksa, sobota — to dzień wielkiego szabatu, w niedzielę natomiast Tomasz miał odprawić w Abu Gosh wielką mszę zielonoświątkową po krótkiej porannej ceremonii w Wieczerniku i spotkaniu z dygnitarzami innych Kościołów chrześcijańskich w bazylice Zmartwychwstania.

Wiedzieliśmy, że od tej pory wymierzona w niego krytyka nie znajdzie posłuchu ani za piętnaście, ani za sto lat. Tomasz stał się nietykalnym posągiem, ikoną pokoju, ale zdawaliśmy sobie także sprawę, że nie wygasły frustracja i nadzieje, które sprawiły, iż ubiegły rok był dla nas *annus horribilis*. Tomasz nie łudził się. Błyskotliwy dyplomata, genialny negocjator pozostał dla swego Kościoła niepewnym, powściągliwym pasterzem, który nie zamierzał stanąć na czele wojsk jak Jozue ani jak Mojżesz na czele swego ludu.

Słowa, jakie usłyszał od Bartolomea kilka tygodni przed podróżą do Jerozolimy, były dla niego ogromnym zaskoczeniem.

Jedliśmy we trzech śniadanie — papież, Che i ja. Mafouz coraz częściej bywał nieobecny, podejrzewałem, że Tomasz szykował się na jego odejście. Wkrótce miałem zostać sam na pokładzie. Wiedziałem już, że 29 czerwca, w dzień świętych Piotra i Pawła, mianuje mnie honorowym prałatem Jego Świątobliwości. Tytuł monsignore Pietro De Paoli ucieszył stojącego w cieniu *fratello*. Tymczasem robiłem to, co zawsze: omówiłem przegląd prasy, zwłaszcza artykuły o „Tomaszu Wielkim”, w których podkreślano osobistą aurę i fascynujący media styl papieża, samotnego eleganta.

Z brutalną szczerością powiedziałem:

— Więcej już nikt o tym nie napisze. Ale nikt nie rozumie, że ktoś taki jak ty, będąc pasterzem wszystkich katolików, wzbrania się przed włożeniem tego samego ubioru, ponieważ nie chce wyglądać zawsze jednakowo.

Giuseppe westchnął.

— Posługa Piotra jest posługą w imię jedności, wspólnoty, *fratello*. Nie chcę stać się żadnym autorytetem.

— Czy wierzysz w Ducha Świętego, Tomaszu?

Pytanie to zadał Che swoim charakterystycznym cichym, chrypliwym głosem. W tego rodzaju okolicznościach wywoływał niezwyczajny efekt, niczym mina, której nikt się nie spodziewa.

Giuseppe milczał zaskoczony.

— Czy sądzisz, że wybór ciebie na papieża był wezwaniem? — ciągnął Che. — Że Duch Święty wchodzi w tego, kogo ludzie wybrali? Że usiłuje natchnąć papieża, by go wysłuchał?

— Wyjaśnij bliżej, co masz na myśli. — W głosie Tomasza wyżuwało się nagły niepokój.

— Za dużo spraw nadzorujesz, Giuseppe. Uważasz, że zmiany struktur umożliwią ludziom dialog i że Bóg, tak jak to obiecał, będzie obecny wśród tych, którzy zjednoczyli się w jego imieniu. Pomyśl jednak o przeciętnych ludziach. Chcesz, żeby Duch Święty zagroził w ich sercach, ale nie pozwalasz mu przemówić.

Giuseppe zmarszczył brwi, odsunął talerz, a Che mówił dalej:

— Czy wierzysz w Boga, który zawsze nas zaskakuje? Czy wierzysz, że ludzie piszą historię, ale trzeba pozwolić Duchowi Świętemu, aby natchnął nas do tego, do czego wzywa Bóg?

Teolog Domu Papieskiego dawał swemu papieżowi lekcję. Tylko on potrafił zdobyć się na taką śmiałość. Ten dawny jezuita-partyzant z całym spokojem, z naiwną wręcz łagodnością stawiał się w roli duchowego przewodnika swego papieża.

— Za dużo wiesz. Wiesz, czego nie chcesz robić, czego nie powinieneś robić, wiesz nawet, co ci się nie udaje zrobić; sądzisz, że gdy mówisz z pokorą „nie udaje mi się”, oddajesz się w ręce Boga... — Che przerwał na moment, po czym podjął na nowo: — Mnie też się zdarza czasami w mojej pracy, że mówię sobie: „nie udaje mi się”. Ale to oznacza, że postawiłem sobie jakiś cel i że liczę na to, iż Duch Święty podpowie mi, jak mam tego dokonać. Kiedy mówię: „Nie wiem”, Duch Święty może wskazać mi drogę, a ja wówczas powinienem znaleźć metodę realizacji.

Giuseppe słuchał w milczeniu.

— Może jest za dużo wrzawy, abys mógł usłyszeć? Może powinieneś odsunąć się na kilka dni, zrobić przerwę?

Giuseppe roześmiał się szczerze i odrzekł bez cienia drwiny:

— Wytłumacz to Maurice'owi lub Piętrowi. Mój plan zajęć jest wypełniony godzina po godzinie na sześć miesięcy naprzód. Ale w

sierpniu wybieram się na trzy tygodnie do Mary, jak zresztą co roku, by być z dala od tego zgiełku.

— Ja nie mówię o odpoczynku. Mówię o wyrzeczeniu. Człowiek, który jest otwarty na to, co niemożliwe, na to, co nieoczekiwane, człowiek, który czeka, niczego się nie spodziewając, nawet nie zadając żadnego pytania — oto glina, którą może modelować Duch Święty.

Taki był Che. Mówił tak, bo wierzył, że Duch Święty jest wszędzie obecny. Mówił to papieżowi, generałowi zakonu i najzwyczajszemu nowicjuszowi.

8

Sen Zielonych Świątek

Noc głupca

Nie zdołam opisać jerozolimskich uroczystości — przekazanie kluczy, wciągnięcie na maszt błękitnego jak niebo sztandaru NONZ.

Byliśmy na stanowiskach od rana do wieczora. Leah znowu śmiała się głośno, radośnie, już nie miała żalu do swojego papieża za działanie za jej plecami w sprawie pokoju. Znowu zachowywała się jak jego szczerza przyjaciółka.

Piątek spędziliśmy z naszymi braćmi muzułmanami; przeżyliśmy wzruszenie podczas wielkiej wspólnej modlitwy na odbudowanej esplanadzie przed meczetem Al-Aksa. Wieczorem w siedzibie Patriarchatu Tomasz wspominał, jak wyglądały „negocjacje” z polskim franciszkaninem, a ja uzupełniałem to opowiadanie, przypominając o prawdziwym strachu w oczach Piotra Szewczyka. Tomasz ani razu nie zrobił aluzji do będących w separacji braci, do innych Kościołów chrześcijańskich, i razem z Froeligerem uznał, że w niedzielnej ceremonii ekumenicznej każdy znajdzie swoje miejsce i że liturgia jest do tego właściwie przygotowana.

Sobotę spędziliśmy z naszymi braćmi żydami — długa cisza szabatowa, wspólna modlitwa w synagodze, szofary rabinów. Mój brat był szczęśliwy, że jest w tym mieście, wśród jego mieszkańców. Był szczerze dumny z pokoju, który tu zaprowadził, może mówił sobie w duchu, że są jeszcze inne miasta, czekające na pokój, że najtrudniej będzie doprowadzić do zgody między braćmi żyjącymi w separacji, ale nie wspominał o tym ani słowem.

Okolo siedemnastej oznajmił mi, że idzie popatrzeć na Jerozolimę z ogrodu kościoła Dominus Flevit. Chciał zobaczyć miasto bez huków wybuchów nad meczetem Kopuła na Skale, bez pożarów w mieście, bez latających nad nim szturmowych helikopterów... [Według chrześcijańskiej tradycji to tutaj, kilka dni przed Męką, Jezus płakał, spoglądając na Jerozolimę. I prawie w to samo miejsce — trochę niżej, do Ogrodu Oliwnego — Jezus przybył ścigany przez przywódców swego narodu, po wieczery, aby modlić się z uczniami. Potem oni zasnęli... I tutaj także Chrystus, osamotniony, zbuczony krwią, płakał, zanim oddał ducha, prosząc Boga, aby oszczędził mu tej śmierci.]

— Muszę jeszcze wszystko dobrze przemyśleć przed napisaniem homilii na jutrzejszą niedzielę Zielonych Świątek — rzekł. — Oddałem się na kilka minut na pustynię, jak zalecał Che.

To ostatnie zdanie powinno było wzbudzić moją czujność; ale bardzo spieszyłem się, by spędzić ten wieczór z moimi braćmi dominikanami w Szkole Biblijnej, pilno mi było znaleźć się w centrum zainteresowania, być bohaterem, występować w roli przyjaciela... Brat Pietro, legenda, ten, który jako młody student wyjechał z pistoletem w kieszeni, który został sekretarzem, bliskim człowiekiem Tomasza Wielkiego. Moja godzina chwały... Odpowiedziałem mu, że zostanę na noc w szkole, a on skwitował to uśmiechem...

W ten sposób ja, który zawsze spałem zaledwie kilka metrów od niego, który warowałem pod jego drzwiami we wszystkie wieczory, jego wierny pies, mameluk, wesoło spędziłem tę jedną noc, kiedy trzeba było nie spuszczać go z oczu, jedyną noc, kiedy powinienem był nad nim czuwać, patrzeć, jak wstaje, idzie do ogrodu, napawa się tchnieniem wiatru, zapachem drzew i ziół. A ja w tym czasie spałem w Szkole Biblijnej.

Sam przed sobą, w tajemnicy, nikomu tego nie zdradzając, nazywam tę noc „nocą głupca”.

Zniknięcie

Paul zadzwonił do mnie około dwudziestej:

— Jakub spędzi noc na terenie Dominus Flevit. Oczywiście to ściśle poufna informacja. [Pułkownik Altobelli musiał zreorganizować ochronę i prosił, by nie rozpowszechniać tej informacji — oficjalnie jego znakomity podopieczny spał w Abu Gosh.]

— Mówił mi, że potrzebuje trochę spokoju. Z pewnością chciał być sam — odpowiedziałem. Nie wątpiłem, że naprawdę potrzebował samotności, powrotu do źródeł przed dniem następnym.

— Jest z nim ibn Mansur, jego przyjaciel strażnik — dorzucił Paul.

Nie byłem wcale o to zazdrosny. Mimo to źle spałem... Dręczyło mnie jakieś niedobre przecucie.

Zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd, w niedzielę rano około ósmej. Zadzwoił do mnie ponownie Paul, a potem Altobelli. Papież rzeczywiście spał w kościele, a przedtem długo w nocy spacerował po ogrodzie. Mówił, że chce zostać sam całe rano, tylko z ibn Mansurem...

Do siedziby Patriarchatu, gdzie zebraliśmy się, dotarły niepokojące wieści.

Zatrzymano młodego terrorystę, który zamierzał zamordować papieża. Paul zadzwonił do izraelskiego premiera, który obiecał, że zostaną podjęte wszelkie konieczne dodatkowe środki ochrony.

Rozkład zajęć papieża zmieniał się z godziny na godzinę, anulowano spotkania, a następnie modlitwę w Wieczerniku. Papież oznajmił, że zamierza pozostać dłużej w ogrodzie kościoła Dominus Flevit. Maurice wyrwał sobie włosy z głowy, a ja nie mogłem powstrzymać się od uczucia słodkiej satysfakcji, gdy przypominałem sobie jego triumfującą minę, z jaką we wrześniu informował nas wszystkich, jak to oni dwaj załatwili sprawę Jerozolimy. Nie będziesz panem tego miasta, Maurice, cieszyłem się w duchu.

Papież nie pokazywał się już od piętnastu godzin. Wszyscy patrzyli na mnie z wyrzutem w oczach, dając mi do zrozumienia, że powinienem był przewidzieć, jak podziała na niego atmosfera Jerozolimy.

Nic nie rozumiałem. Altobelli dzwonił do Paula co piętnaście minut.

Wreszcie pojawił się w ostatniej chwili. Nie zdołaliśmy nawet odezwać się słowem, bo spojrzął na zegarek i rzekł:

— Najwyższy czas, żeby dołączyć do naszych braci na wspólną modlitwę.

Znaliśmy ten jego zdecydowany ton, którym mówił przed każdą uroczystością.

Odetchnęliśmy z ulgą — najważniejszy punkt programu nie uległ zakłóceniu. Dowiemy się potem o wszystkim — wieczorem albo nigdy... Uroczysta msza zostanie odprawiona o zaplanowanej godzinie.

„Kyrie”

Msza miała się odbyć na świeżym powietrzu w ogrodach klasztoru benedyktynów w Abu Gosh, w miejscu, gdzie najprawdopodobniej znajdowało się miasteczko Emaus i gdzie, jak przekazuje tradycja, zmartwychwstałego Chrystusa rozpoznali dwaj jego uczniowie.

Pozwolenie na wejście do ogrodów otrzymało kilkaset uprzywilejowanych osób, dygnitarzy, przedstawiciele Kościoła katolickiego i innych chrześcijańskich Kościołów. Pozostali wierni mieli śledzić przebieg ceremonii na gigantycznych ekranach zawieszonych na zewnątrz.

Po próbie zamachu, jakiego miał rano dokonać aresztowany Fausto Gimondi, zdwoiła się czujność i nerwowość Altobellego, który podjął nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Trzeba było długo go przekonywać, żeby odstąpił od zamiaru przeszukiwania dygnitarzy chrześcijańskich Kościołów.

— Ten Chorwat, ustasz, był przecież biskupem... Równie dobrze zagrożeniem może być jakiś patriarcha lub pastor — zrzędził.

Wszyscy mieliśmy nerwy napięte do ostatnich granic.

Wszedłem z moim bratem papieżem do starożytnej bazyliki Zmartwychwstania na ceremonię modlitwy z braćmi w separacji; byli to mężczyźni i jedna kobieta, przedstawiciele różnych wyznań chrześcijańskich.

Nikt nie przewodniczył tej modlitwie. Stojąc nieco z tyłu, za filarem, widziałem mojego papieża pośród innych, bez żadnych liturgicznych atrybutów.

Pod koniec modlitwy o pokój zacząłem przesuwając się do wyjścia, by utorować drogę papieżowi i upewnić się, że niczego nie brakuje do odprawienia mszy. I wtedy usłyszałem jego głos rozbrzmiewający pod sklepieniem. Odwróciłem się.

Tomasz zaintonował pradawną pieśń *Kyrie eleison*.

Dygnitarze spojrzeli po sobie zdziwieni. Zobaczyłem, że patriarcha Piotr nachylił się do swego sekretarza: ten śpiew nie był przewidziany w programie.

Niektórzy już wtórowali Tomaszowi. Wspólnie zakończyli tę pieśń skruchy i miłosierdzia.

Stałem na powrót przy filarze.

Ujrzałem Tomasza kierującego się ku patriarsze Konstantynopola. Zobaczyłem, że klęknął przed nim i ucałował mu stopy. Potem podniósł się z klęczek i szepnął mu coś na ucho. [Ten gest, który mógł się wydawać dziwaczny, nie był pierwszy. W 1975 r. papież Paweł VI uczynił to samo w Kaplicy Sykstyńskiej wobec metropolity Melitona z Chalcedonii.]

Następnie podszedł do Piotra, patriarchy Jerozolimy, i tak kolejno klękał i całował stopy przedstawicieli chrześcijańskich Kościołów obecnych w świątyni. Byli tam i pastor N'mgo, który przewodniczył Radzie Ekumenicznej Kościołów, i pastor Lian Nò, wybitna patronka Światowej Konferencji Kościołów Reformowanych. Każdemu po ucałowaniu stóp szeptał coś na ucho. Przyglądałem się ich twarzom, obserwowałem reakcje. Wszyscy byli najwyraźniej zaskoczeni. Mimo woli przypominałem sobie to, co zrobił w bazylice Grobu Pańskiego przed trzynastu laty. Tym razem postawił swoich braci chrześcijan przed faktem dokonanym.

Niektórzy z nich byli zbici z tropu, jeden, bardzo wzruszony, podniósł papieża z klęczek, kilku padło przed nim na kolana.

Spojrzałem na zegarek. Wyobraziłem sobie Maurice'a, który wpatrywał się na zewnątrz w ekran kontrolny... Cała ta procedura zajęła niemało czasu. Msza musiała zacząć się z opóźnieniem.

Przynajmniej tym razem byłem na miejscu, tam gdzie powinienem był się znajdować.

Wreszcie się to skończyło.

Pomyślałem, że te chwile będziemy wspominać jako najbardziej wzruszające w tym dniu. Zrozumiałem, że Tomasz naprawdę potrzebował kilkunastu godzin na medytacje, zanim zdecydował się na taki gest.

Duchowni opuścili bazylikę. Każdy zajął swoje miejsce w ogrodzie przed estradą, gdzie wzniesiono ołtarz. Tomasz udał się do zakrystii. Na dworze słychać było narastający szum. Przecież wydawało się coś niezwykłego. Kiedy pomagałem mu nałożyć ornat, powiedział:

— *Fratello*, idź i stań między naszymi braćmi innych wyznań. Dziś zamierzam zwrócić się właśnie do nich i do mojej trzódki. Dziś będziesz moimi oczami i moimi uszami.

Wyszedłem z bijącym sercem.

Wreszcie zaczęła się msza.

Tomasz wstał z tronu i wysłuchał na stojąco diakona głoszącego Słowo Boże, a potem nie skierował się od razu do kazalnicy, skąd miał wygłosić homilię, lecz podszedł do ustawionego za ołtarzem ogromnego, przybranego kwiatami krucyfiksu. Klęknął przed nim i modlił się przez kilka minut.

Kiedy się podniósł, jego twarz wyrażała niezwykłą powagę.

Nie wiem, czy płakał, jak twierdzą niektórzy, ale taki blask widywałem w jego zielonych oczach tylko wówczas, gdy był silnie wzburzony — zły lub bardzo wzruszony.

Sen

Potem jego głos wzbił się ku niebu w Abu Gosh:

— „Panie, gdybyś rozdarł niebo...”. Śladem proroka Izajasza często prosimy Pana, by do nas przemówił. Przed tysiącami lat mieszkańcy Jerozolimy pytali Piotra i apostołów: „Bracia, co mamy czynić?”. Dzisiaj ja, Tomasz, następca Piotra, zadaję to samo pytanie: „Panie, co mamy czynić?”. Bracia i siostry, tekst dzisiejszej Ewangelii słyszałem już wiele razy, a jednak jakbym usłyszał go dziś po raz pierwszy. Apostoł Paweł powiedział: „Jezus jest Panem”. „Jego funkcje mogą być różne, różna może być jego działalność, ale to zawsze ten sam Pan”. „Jest wiele członków, ale tworzą to samo ciało, my wszyscy zostaliśmy ochrzczeni w jedności Ducha Świętego, aby tworzyć jedno ciało”. Czy wierzymy w głoszone przez nas słowo? Powiadamy: „Ja jestem z Rzymu, ja jestem z Konstantynopola, ja z Moskwy, jestem luteraninem, jestem kalwinem”. Podczas gdy wszyscy należymy do Chrystusa!

Tomasz urwał, rozejrzał się wokół, spojrzął na mnie, który byłem z Rzymu, i tych, którzy przybyli z Konstantynopola, i tych, którzy byli luteranami z Genewy... Popatrzył na nas i przemówił ponownie głosem głębokim, wibrującym, płynącym z serca.

— Teraz muszę opowiedzieć wam szczegółowo o tym, czego nie mogę przemilczeć. Drży moja dusza i mój umysł się łączy, bo

nie jestem godzien tego, co otrzymałem od Pana. — Bardzo cicho, prawie niedosłyszalnie, wypowiedział prośbę: — Panie, przyjdź mi z pomocą!

Umilkł na chwilę, opuścił wzrok, wejrzał w siebie samego. Nie raz widziałem, jak zagłębiał się w siebie, jak zbierał siły, by wyrzucić z siebie to, co miał do powiedzenia.

Zauważyłem lekkie poruszenie wśród moich sąsiadów zaskoczonych tym szczególnym wstępem, zaniepokojonych tym, co usłyszą. Papież podniósł głowę. Patrzyłem na Tomasza, próbując zgadnąć, jaką walkę stoczył w swojej duszy. Widziałem, jak się otrząsnął, zrzucił ostatnie krępujące go więzy, wyprostował się. Był wolny, nareszcie gotów.

— Tej nocy w kościele Dominus Flevit objawiło mi się we śnie Słowo Boże trzy razy. Pierwszy sen dotyczył bogatego młodzieńca. Młodzieniec rzucił się do nóg Pana: „Panie, co mam robić, by dostąpić życia wiecznego?”. Jezus odpowiedział: „Przestrzegaj prawa i przykazań”. Młodzieniec znowu zapytał: „Czego mi jeszcze brakuje?”. A Jezus powiedział: „Jeśli chcesz być absolutnie doskonały, sprzedaj wszystko, co posiadasz, rozdaj ubogim, a potem przyjdź i idź za mną”. Na te słowa młodzieniec odszedł bardzo smutny, bo miał ogromne bogactwa. I we śnie ujrzałem, że to ja byłem tym młodzieńcem, ja, Tomasz; miałem na sobie albę i ornat, mitrę i krzyż. Obudziłem się przejęty wielkim smutkiem. Wstałem, przeszedłem się trochę po ogrodzie, nie wiedziałem, co myśleć o tym dziwnym śnie. Wróciłem do świątyni, owinąłem się kocem i zasnąłem. I znowu we śnie objawiło mi się Słowo Boże. Tym razem było to odniesienie do przypowieści o dobrym nasieniu i chwastach. Stałem obok nadzorującego żniwa na polu z jeszcze zielonym zbożem, na którym uwijali się robotnicy. Widziałem wśród nich biskupów, księży, zakonników i oczywiście pastorów. Chyba byli tam również teologowie i teolożki... Wszyscy oczekali potem z gorąca. Odczuwałem słodką satysfakcję, widząc ich wszystkich przy pracy. Nagle usłyszałem głos nadzorca: „Przerwijcie, spójrzcie, co robicie, wyrwacie chwasty razem z dobrym zbożem”. Na te słowa wszyscy przerwali pracę, w rękach mieli jeszcze kłosa zboża wyrwane razem z zielskiem. Nadzorca spojrział na mnie surowo. „Nie wiesz, że trzeba czekać na czas żniw, żeby spalić chwasty?”. W tym momencie zobaczyłem z daleka dym ognisk, gdzie paliło się zboże wraz z

chwastami. Obudziłem się przerażony i pełen wstydu. Ponownie wstałem i poszedłem pospacerować w ogrodzie. Noc była spokojna, niebo usiane gwiazdami, a ja myślałem o wszystkich synach Abrahama, którzy żyją pod tym niebem. Ta myśl mnie ukoiliła i uwierzyłem, że tym razem będę już dobrze spał. Zaledwie jednak usnąłem, kiedy Słowo Boże objawiło mi się po raz trzeci. Rozpoznałem natychmiast miejsce — znajdowałem się poza Jerozolimą, czułem za plecami grube mury Miasta. Spostrzegłem, że nie byłem sam, że mną w milczeniu szło kilku mężczyzn i jedna kobieta. Nagle między nami pojawił się człowiek, który objaśnił nam Pismo Święte płomiennymi słowy. Kiedy zbliżyliśmy się do jakiejś wioski i zapadł mrok, powiedzieliśmy do niego: „Zostań z nami, bo zapada zmrok”. Trochę później siedziałem przy stole z tym mężczyzną i nagle zobaczyłem, że jestem sam przy pustym stole. A wtedy on odwrócił się do mnie, był bardzo zasmucony i rzekł łagodnie: „Co uczyniłeś z twoimi braćmi?”. W tym samym momencie zapłakałem gorzkimi łzami. Kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że moje ubranie jest mokre od łez i że nadal płaczę.

Głos Tomasza nie był już taki donośny jak w chwili, kiedy zaczął swą opowieść. Wydawało się, że ogarnęły go znowu emocje minionej nocy: smutek, strach, zwątpienie. Homilia była znacznie dłuższa niż zwykle. Lekkie *vibrato* towarzyszyło każdemu wypowiedzianemu słowu.

Stojący wokół mnie zakonnicy, którzy szcycili się umiejętnością wygłaszania kazań i niekiedy zarzucali katolikom brak mistycyzmu, teraz w głębokiej zadumie słuchali tej relacji ze snu, w którym doszło do spotkania papieża z Bogiem.

Ich milczenie było wręcz namacalne. Zastanawiałem się, co kryje się w spojrzeniach moich braci katolików, siedzących na dalszych ławkach, dygnitarzy, reprezentantów państw i narodów, którzy oczekiwali, że będą przysypiać, jak zawsze na tego typu ceremoniach, a tymczasem byli świadkami czegoś niezwykłego.

Widziałem setki niecierpliwych, pełnych napięcia spojrzeń. Uniosłem się trochę na krzesło, szukając twarzy, którą koniecznie chciałem zobaczyć w tym momencie.

Che nie wpatrywał się jak jego sąsiedzi w głoszącego kazanie papieża. Siedział pochylony do przodu, na oczy opadał mu kosmyk czarnych włosów. Widziałem, że porusza wargami. Korzystał z przerw w kazaniu papieża, żeby się pomodlić — czy było to błaganie, podziękowanie, odwoływanie się do Ducha Świętego?

Tomasz po chwili odpoczynku podjął na nowo spokojnym, stanowczym głosem.

— Te słowa rozbrzmiały w nocy, w moim sercu, w moim umyśle. „Co uczyniłeś z twoimi braćmi?”. Bracia i siostry, za chwilę będziemy uczestniczyć w ceremonii Eucharystii. Przyjmę dary, owoce ziemi i pracy ludzi, chleb i wino; ofiaruję je Ojcu, aby stały się ciałem i krwią Chrystusa, namacalnymi znakami wiecznego i ostatecznego przymierza, które jedna nas z Bogiem. Będziemy czcić obecność Boga, Boga wcielonego, naprawdę obecnego w naszym świecie, zjednoczonego z naszą ludzkością, abyśmy i my stali się zjednoczeni z nim w jednym ciele. Zapraszam więc was, bracia i siostry w Chrystusie, abyście się do mnie dołączyli i abyśmy razem uczestniczyli w uczcie Pana. — Tomasz wskazał ręką na mnie, a raczej na parter, gdzie siedzieli dygnitarze, chrześcijańscy niekatolicy, patriarchowie prawosławni i pastory protestancy. Dodał: — To Pan zaprasza nas do stołu, to on ofiaruje nam siebie i przez tę komunię staniemy się jednym ciałem, ciałem Chrystusa.

Tak jak mnie prosił, przyglądałem się im, usiłowałem pojąć to, czego nie widziałem, co kryło się w niedowierzających spojrzeniach. Najpierw dostrzegłem w nich tylko osłupienie i świetnie to rozumiałem, bo to, co zrobił Tomasz, nie miało precedensu. Od tysiąca lat katolicy i prawosławni są podzieleni i chociaż zdjęte zostały kłatwy z jednej i z drugiej strony w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, nie było mowy o przystępowaniu do komunii przy wspólnym stole. Nawet najpiękniejsze porozumienia ekumeniczne z protestantami nie dopuszczały nadziei na zbliżenie w praktykach eucharystycznych. W ogólnym poruszeniu i wzburzeniu dokoła mnie, w krzyżujących się spojrzeniach, w gestach, którymi upewniali się wzajemnie, że dobrze zrozumieli, w słowach szeptanych w nieznanym mi językach, w zmarszczonych czołach, dostrzegłem niezdecydowanie, czy mają pójść do Stołu Pańskiego, czy nie przyjąć tego zaproszenia. Znacznie później niektórzy z nich przyznawali, że sami siebie musieli przekonywać, by wziąć udział w tym akcie „profetycznym”.

Tomasz I mówił dalej, wpatrując się w nas takim wzrokiem, jakby chciał dotrzeć do serca każdego słuchacza:

— Rozumiem, bracia i siostry chrześcijanie, że niektórzy z was są zmieszani, zaskoczeni, chcieliby pomyśleć, pomodlić się, zapytać

o radę. A ja powiadam wam: zróbcie tak, jak dyktuje wam sumienie. To nie jest akt jednorazowy, wynikający z aktualnych okoliczności. Od tego dnia przy Pańskim Stole będę przyjmował każdego chrześcijanina, który tego zapragnie, będę dzielił ucztę Pana z każdym przedstawicielem chrześcijańskiego Kościoła, który mnie zaprosi. A to wszystko dlatego, żebyśmy w trakcie Eucharystii, gdy będziemy spożywać chleb i pić z tego kielicha, razem czcili śmierć i zmartwychwstanie Pana aż do jego przybycia. Amen.

Wokół mnie powstało jeszcze większe poruszenie. Tomasz zszedł z ambony, wrócił do papieskiego tronu i głośno powiedział:

— A teraz przystąpimy do wspólnej modlitwy.

Wszyscy obecni odmówili chórem wyznanie wiary.

Patrzyłem na Tomasza, który był tak „opanowany, jak Cezar po przekroczeniu Rubikonu”, jak napisał potem któryś z dziennikarzy. Jakiś wewnętrzny głos wciąż mi powtarzał: „A ciebie nie było przy nim, gdy zapadła noc nad Dominus Flevit”. Ale inny, silniejszy głos, usprawiedliwiał go: „Za to teraz jesteś pośród twoich braci, którzy z nim przystąpią do Stołu Pańskiego...”.

W chwili konsekracji papież był opanowany, skupiony w obliczu tajemnicy, która go przerastała. Po modlitwie *Ojcze nasz*, odśpiewanej znowu po aramejsku, Tomasz, tak jak zapowiedział, wezwał wszystkich przywódców niekatolickich Kościołów chrześcijańskich, aby stanęli wokół ołtarza. Kardynałowie i biskupi katolicy, odprawiający z nim tę mszę, rozstąpili się, by powstał wielki krąg. Podeszło kilkanaście osób, trzech patriarchów prawosławnych, trzech patriarchów Kościołów wschodnich, jeden biskup anglikański i trzech pastorów protestanckich, a z nimi pastor Froeliger. Pastor Lian Nò nie było wśród nich. Później wyjaśniła dla czego.

Wszyscy wspólnie przed kamerami z całego świata przyjęli komunię pod postacią ciała i krwi Chrystusa. Dziennikarze i komentatorzy, całkowicie tym zaskoczeni, dopiero po paru godzinach pojęli, że byli świadkami naprawdę rewolucyjnego aktu.

9

Po Śnie

Strefa turbulencji

Natychmiast zdaliśmy sobie sprawę z doniosłości jego gestu.

Dwie godziny po mszy spotkaliśmy się w Patriarchacie łacińskim w Jerozolimie. Obecni byli tylko najbliżsi: Paul, Jeanne-Marie, Che i niezwykle wzburzony Simon, który natychmiast zaczął krzyczeć:

— Kto cię upoważnił do przemawiania w imieniu Ducha Świętego, Lombardi? Kto cię upoważnił do przedstawiania własnych słów jako Słowa Bożego?

Jeanne-Marie, przekonana, że stanęły przed nami nowe problemy, powiedziała:

— To, co zapowiedziałeś w kazaniu i co potem zrobiłeś, powinniśmy teraz uczynić normalnym zwyczajem, żeby nie pozostało to jedynie przepowiednią.

Tomasz, panując nad sobą bardziej niż kiedykolwiek, zwrócił się do obojga:

— Wierzę, że Duch Święty przypomniał mi słowa modlitwy samego Chrystusa: „Abyśmy wszyscy stali się jednym”. Zasiadłem więc z wami do stołu i teraz do nas należy znalezienie sposobu, aby stało się to możliwe. — Uśmiechnął się z przekorą: — To Bartolomeo przypomniał mi, że dzięki ojcom w wierze i naszej inteligencji możemy tego dokonać, skoro Duch Święty wyznaczył nam cel. — Jego twarz była spokojna, chociaż czuł, że nie do końca zdawał sobie sprawę z konsekwencji swego gestu. — Liczę na was, że pomożecie mi w realizacji tego, nie raniąc przy tym naszych braci chrześcijan, nie wywołując wzburzenia ani rozczarowania u

tych, którzy należą do naszego domu i do innych domów, którzy są naszymi braćmi w Chrystusie...

Chudy jezuita słuchał go z powagą, bez najmniejszych oznak niepokoju. A Paul westchnął, potarł ręką czoło i zapytał:

— Uważasz więc, że Jeanne-Marie i ja będziemy musieli zaplanować nad tym bałaganem?

— Wątpisz w to wszystko, Paul?

— Nie wątpię. Wierzę ci... Jeśli tego pragnie Bóg dla swego ludu, wykonujemy jego wolę. Ale wiem, że to, co się wydarzy w najbliższych tygodniach, stworzy niezwykle skomplikowaną sytuację. — Niespodzianie wybuchnął swym gromkim śmiechem, wyobraziwszy sobie rozmiar chaosu. Długo to trwało, nim się opanował. — Ale nie martw się, Murzyn i pani prefekt wykonają jak zawsze czarną robotę. A w przyszłości uprzedź nas choćby godzinę wcześniej, bo bardzo by to nam pomogło.

W taki oto sposób Paul wyraził tego wieczoru swój niepokój.

Przewidywaliśmy najróżniejsze reakcje, pytania, wątpliwości. Początkowo wielka fala entuzjazmu ogarnęła wszystkie Kościoły chrześcijańskie, w tym i nasz. Wybiła godzina pojednania.

W Rzymie doszły nas echa wspólnego uczestnictwa w komunii, echa nadziei, radości, która towarzyszyła temu profetycznemu aktowi; wydawało się, że wola Boga jest tak oczywista, tak wyraźna...

Wiedzieliśmy jednak, że w końcu pojawią się pytania, zwłaszcza ze strony naukowców, którzy od lat przedstawiają długi wykaz przeszkód teologicznych, eklezjologicznych, kanonicznych.

W następnych dniach papież odwiedzał różne miejsca kultu chrześcijańskiego w Rzymie. Po konsekracji wstawał, by dzielić z celebransami posiłek świętej wieczerzy.

Niektórzy już zapytywali:

— Gdy papież udziela komunii świętej w świątyniach prawosławnych, to czy ma to tylko symbolizować to, co nas łączy? A może papież sądzi, że chleb, który został poświęcony słowami Chrystusa w dzieło jego męki, realnie go ucieleśnia?

— Co na to odpowiemy? — pytał Paul papieża.

— Powiedz, że być może będziemy szukać odpowiedzi przez następne tysiąc lat, ale szukajmy jej razem. Powiedz, że gdy będziemy już blisko jej znalezienia, razem to uczymy, a dzisiaj, przystępując do tego samego stołu, spełniamy wolę Chrystusa.

Pastor Lian No

Ta dyskusja była zbyt uczona dla większości wiernych. A reakcja pastor Lian Nò wywołała prawdziwą burzę medialną.

Ta na pół Australijka, na pół Wietnamka, przewodnicząca Światowej Konferencji Kościołów Reformowanych, podczas mszy w Zielone Świątki nie przyłączyła się do papieża przy ołtarzu. Wiedziała przecież, że Kościół katolicki uważa wyświęcanie kobiet na księży za istotną przeszkodę w porozumieniu się różnych wyznań chrześcijańskich.

Kilka dni po tej uroczystości przysłała Tomaszowi następujący list:

„Nie chciałam, aby uwaga mediów skupiła się na obecności przy ołtarzu kobiety wyświęconej na kapłana, bo mogłoby to zniweczyć sens tego, co Wasza Świątobliwość pragnął dokonać w niedzielę 13 maja.

Zapraszam Waszą Świątobliwość do udziału w świętej wieczerzy razem z nami w niedzielę 17 czerwca w naszej świątyni w Genewie.

Zapewniam całkowite bezpieczeństwo. Jeśli Wasza Świątobliwość uzna tę propozycję za przedwczesną, przyjmiemy to z całkowitym zrozumieniem.

W razie odmowy ze strony Waszej Świątobliwości nasz Kościół nie upubliczni tej sprawy. Jeśli natomiast propozycja zostanie przyjęta, jesteśmy gotowi do dyskusji na temat znaczenia, jakie Wasza Świątobliwość pragnąłby nadać wspólnej komunii”.

Wszyscy, którzy choćby powierzchownie interesowali się tymi wydarzeniami, pamiętają, że Tomasz I w niedzielę 17 czerwca udał się do kościoła Saint-Gervais w Genewie, że liczne kamery telewizyjne uchwyciły ten moment, gdy podchodził do ołtarza, by udzielać wspólnie komunii z panią pastor, która celebrowała mszę. Już nazajutrz we wszystkich mediach pojawiło się znowu wielokrotnie przedtem stawiane pytanie, czy Kościół katolicki zamierza wyświęcać kobiety na księży?

Nad tym problemem debatowaliśmy długo i namiętnie. Jeanne-Marie, która była żarliwą zwolenniczką tej idei, zapytała:

— Zamierzasz przystąpić do Stołu Pańskiego z kobietą pastor. Czy to znaczy, Jakubie, że w przyszłości kobiety będą mogły otrzymać święcenia kapłańskie w naszym Kościele?

— Nie sądzę, że zaproszono mnie po to, aby zadać mi takie pytanie, Jeanne. Dobrze o tym wiesz.

— Jaka jest twoja odpowiedź?

— Odpowiedź jest tylko jedna... — wtrącił się Paul, uderzając pięścią w fotel.

Był bardzo wzburzony. Od czasu Snu musiał wziąć na swoje barki trud wyjaśnienia stanowiska Kościoła, przy którym trwał on od dwudziestu stuleci. Nawet teraz, w tym gabinecie, gdzie każdy z obecnych powinien mieć właściwą wiedzę na ten temat, trzeba było nieustannie je przypominać. Zwrócił się bezpośrednio do Jeanne-Marie:

— Odpowiedź jest jedna, oparta na wielowiekowych przemysłeniach. Nie możesz jednym ruchem ręki zmieść wszystkiego. — Mówiąc to, zrobił ruch ręką, jakby sam był gotów zmieść wszystkich tych, którzy ośmielią się potraktować tradycję bez należnego szacunku. — Czy wam się to podoba, czy nie, Chrystus był mężczyzną. Dlatego logiczne jest, że ludzie wyobrażają sobie Chrystusa jako ojca Kościoła. A kobiety, jak sądzę, nie bardzo się nadają do roli ojców.

— A jeśli kapłan występuje w liturgii jako postać Kościoła? Gdy nie działa *in persona christi*, ale *in persona ecclesiae*?

— No, proszę, pani prefekt popisuje się przed nami łaciną. Wstępuje na ścieżkę wojenną? Zaczynamy od nowa cały tok myślenia? Mamy otworzyć księgi, sięgnąć po argumenty? Jestem gotów, ale może wystarczy porozmawiać o feminizmie?

Jeanne-Marie pobladła urażona jego słowami.

— W przyszłym stuleciu, Paul, twojego następcę będzie dziwić to, że taka polemika mogła mieć miejsce. Zapewniam cię, że wówczas nie będzie się już mówić o feminizmie kobiet wyświęconych na księży, lecz o fallokracji tych, którzy uważają, że dziś można wyświęcać tylko samców.

— Trzymam zakład... W przyszłym stuleciu, powiadasz?

— Tak czy siak, nikt z nas tego nie zobaczy — przerwał im Tomasz. — A obecnie jest o wiele za wcześnie, by zastanawiać się nad taką reformą.

— Jakubie!

— Jeanne, doskonale zdajesz sobie sprawę ze stanu reform. Z trudem udało nam się powołać duchowieństwo parafialne i wprowadzić zmiany w pełnomocnictwach sakramentalnych. Niektórzy dopatrują się w moim zaproszeniu do dzielenia się chlebem eucharystycznym ataku przeciw wyświęconym kapłanom. Naprawdę sądzisz, że to dobry moment?

— A dlaczego nie mianować diakonek? — wtrąciłem się do rozmowy i korzystając z zaskoczenia, kontynuowałem: — Przecież diakoni nie podlegają tym zmianom; nie są bezpośrednio zainteresowani proponowanym przez ciebie wspólnym uczestnictwem w Eucharystii; byłby to więc pierwszy krok...

— Chiara wydrapałaby mi oczy, *fratello*. Chyba żartujesz. — Roześmiał się. — Trzeba być księdzem i żyć w celibacie, żeby ośmielić się sugerować, że kobiety mają szczególne powołanie do tej służby... — Spowaźniał. — Przede wszystkim uważam, że zanim podejmiemy się półśrodków, musimy powrócić do tego, nad czym zastanawiała się pani prefekt przed dziesięcioma laty: kim jest mężczyzna, kim jest kobieta i czy każde z nich ma specyficzne powołanie do pełnienia tego rodzaju funkcji. — Aluzja do wieczoru, kiedy Jeanne-Marie dobrze sobie popiła, wywołała rumieniec na jej twarzy. A może miała satysfakcję, że wypowiedziane wtedy przez nią idee pozostały żywe w umyśle papieża, i ta świadomość pomogła jej pogodzić się z fiaskiem najważniejszej, jak uważała, części reform.

Posąg z hebanu

Bez wątpienia Jeanne-Marie Carrière wróciłaby do sprawy wyświęcania kobiet, gdyby Sen miał inne następstwa. Świat katolicki i Kościoły chrześcijańskie usiłowały zrozumieć sens „kazania o Śnie”. Jednak w braku innych elementów poza samą relacją doszło do czegoś w rodzaju wyścigu w jego interpretacji.

Wydawcy, uradowani taką sytuacją, zwabiali do siebie to teologów, to bibliistów, czasem jednego i drugiego, i zachęcali do dialogu. Zapowiedziano również różne prace autorstwa psychoanalityków.

W porozumieniu z Che i Froeligerem sekretarz stanu stworzył specjalną grupę, do której zostałem też włączony. Postawiono nam

tylko z pozoru prosty cel, bo nie najlepiej dający się pogodzić z obyczajami Giuseppe Lombardiego: mieliśmy go nakłaniać, by się wytłumaczył.

Paul zaprosił nas i papieża do siebie, co już było wydarzeniem wyjątkowym. Najwidoczniej sekretarz stanu uznał sytuację za poważną.

Jego mieszkanie na piątym piętrze budynku przy Piazza San Calisto, było przykładem mniszego ubóstwa: nagie białe ściany w sypialni i w kuchni, a w gabinecie i w salonie zastawione półkami z książkami o najróżniejszej tematyce, podręcznikami, słownikami. Ze stołu w salonie usunięto część dokumentów, aby można było przy nim zjeść obiad. Płaska lampa pod sufitem rzucała na pokój surowe światło. [Paul zachował mieszkanie, które zajmował w czasie, gdy pracował w Papieskiej Radzie Iustitia et Pax. Nie przeprowadził się do Watykanu nawet wtedy, kiedy został mianowany sekretarzem stanu.]

Jedynym akcentem osobistym, który dostrzegliśmy od razu przy wejściu, był ustawiony naprzeciw drzwi hebanowy posąg z regionu Ashanti w Ghanie, wielkości człowieka, symbolizujący macierzyństwo. Przedstawiał kobietę z dużym brzuchem i ciężkimi piersiami. Paul wskazał ręką na posąg i rzekł:

— Ciągłe mam przed oczyma, jak to moi czarni, „ewangelizowani” bracia wciąż przywołują duchy, żeby ich kobiety stały się matkami. Ja, który jestem strażnikiem Kościoła, Matki naszej, każdego dnia patrząc na ten posąg, przypominam sobie o tym.

Stół był już nakryty, w kuchni czekało jedzenie przygotowane z paczkowanych półproduktów — Assoumou nie miał dużego doświadczenia jako gospodarz.

Nie chodziło jednak o to, aby dał dowody swojej gościnności. Zaczął bez zbędnych wstępów:

— Dochodzimy, Jakubie, do ślepego zaułka. Nie neguję, że twój Sen wziął się z Ducha Świętego. Ale teraz, kiedy wprowadzasz swoją trzódkę na nieznaną ścieżkę, musisz to robić zdecydowanie, bo inaczej stanie się ona łatwym łupem wilków i fałszywych pasterzy.

— Znałem ludzi, którzy używali podobnych słów, Paul. Byli to przyjaciele i współbracia Franja Dranicia.

— Czy wobec tego uważasz, że te słowa są głupie, zbrodnicze? Posłuchaj mnie, Jakubie... Wyśłuchaj chociaż raz. Przez dziesięć

lat najpierw Sylwester, a potem ty przeprowadziliście w Kościele głębokie reformy. Obaj wierzycie, że za sprawą Ducha Świętego znajdą one oddźwięk w sercach naszego ludu. To bardzo piękne, bardzo duchowe, bardzo szlachetne. Ale prawdę mówiąc, to głupota.

Spoglądaliśmy na kardynała Assoumou, który po raz pierwszy, odkąd go znaleźliśmy, przeciwstawiał się swemu przyjacielowi, papieżowi. Paul mówił dalej:

— Wielkość Kościoła bierze się z tego, że jest ludzki, że nie przypomina jakiejś utopijnej wspólnoty, zgromadzenia świętych mistyków. — Machnął ręką w powietrzu ze złością. — Nasz Kościół to wielka, ciężka machina... — Wstał i podszedł do swojej biblioteki. — Widzisz te książki? Te wszystkie dzieła, które Kościół stworzył przez wieki? — Palcami przebiegł po złożonych brzegach. — To dzieła wyjątkowo mądre i nużące, którymi interesują się tylko tacy jak ja... Księgi te starają się wiele wyjaśnić, Jakubie. Ale nie są tak charyzmatyczne jak twoje kazanie w Zielone Świątki — ten twój Sen, niemal proctwo. — Paul odszedł od półek i położył swą potężną dłoń na głowie posagu, afrykańskim symbolu macierzyństwa. Pogłaskał głowę przyszłej matki. — Ja w moich stronach nie miałem książek, jakie Monica Lombardi podsuwała ci w dzieciństwie. Nie czytałem poezji Murzynów, znasz ją lepiej ode mnie. Nie poznałem literatury średniowiecznej ani nowoczesnej, z którą ciebie zapoznała matka. — Kardynał poklepał hebanowe włosy posagu. — Wszystko, co czytałem, dał mi Kościół, Matka nasza. Święte księgi, dzieła prawnicze, teologiczne, w których każde słowo było wyważone ze względu na swój sens, w których każda litera jest wynikiem czyjejś myśli. Były to teksty niełatwe, bez wdzięku, bez nadziei. Nie zamierzam ci jak Che opowiadać o Duchu Świętym. Pragnę, Jakubie, powiedzieć ci, jak funkcjonuje nasza rodzina. Niektórzy jak ja nie otrzymali odpowiedniej edukacji, by zrozumieć alegorie biblijne i współczesne interpretacje scen z Ewangelii. Tacy ludzie chcą jedynie wiedzieć, dokąd zmierzamy i w co mają wierzyć. Są też inni, którym się wydaje, że wiedzą wszystko, ale faktycznie niczego nie zrozumieli. I tacy, którzy unikają pytań, bo boją się myśleć... Taki jest, Jakubie, lud chrześcijański; lud o twardym karku i twardej głowie. Dlatego proszę cię, wyjaśnij wszystko do końca. Jeśli chcesz, za trzy tygodnie zwołamy sobór. Jeśli wolisz czekać dwa lata

i dopiero potem ogłosić encyklikę, wyznaczą datę... Ale musisz przemówić, wszystko wyjaśnić. I powinieneś zrobić to szybko, żeby ktoś inny cię nie uprzedził.

To długie przemówienie zakończyło się ultimatum. Giuseppe, z powagą w oczach, zwrócił się do Che:

— Jaki sens miałyby encyklika?

— Żadnego, Giuseppe. To ty miałeś ten Sen i ty go przekazałeś, a nie kolegium biskupów. Musisz objaśnić wszystko we własnym imieniu, jeśli oczywiście w ogóle chcesz to zrobić. — Che urwał na moment. — I chyba powinieneś...

— Dietrich, czy sądzi pan, że inne Kościoły również na to czekają?

— Myślę, że tak — potwierdził Froeliger.

— No, dobrze... Poczekamy — powiedział Giuseppe, zwracając się do Paula, który wciąż stał, głaszcząc głowę posągu. — W sprawie soboru nie mogę jeszcze podjąć żadnej decyzji. Niczego nie przyrzekam. A nad encykliką popracujemy razem tego lata.

— My?

— Potrzebne mi są wasze pytania, wasze obiekcje, zwłaszcza twoje, Paul. Co planujecie na sierpień? Czy możemy zorganizować roboczą sesję w Castel Gandolfo?

W ten sposób, przez Assoumou, zostaliśmy tego lata pozbawieni wakacji. A na Boże Narodzenie 2035 roku pojawiło się dziełko Tomasza: *Sen z Jerozolimy. Wyjaśnienie*.

Jednak ani kardynał, ani nawet Tomasz nie przewidzieli, dokąd zaprowadzi ich poszukiwanie klucza do snów.

Podniesienie

Zimnokrwiste stworzenie

Sierpień był pracowitym miesiącem.

Codziennie robiliśmy listę spraw do załatwienia. Ustalaliśmy, które mogą poczekać, a które wymagają decyzji soboru. Niektóre mógł załatwić tylko sam papież.

— To robota dla ciebie, bo to ty jesteś „marzycielem” — przypomniał mi uszczypliwie Assoumou, który tego lata miał gwałtowne napady złości, choć nie wątpił, że Duch Święty przemówił przez usta Tomasza. Jego gniew obracał się właśnie przeciw Duchowi Świętemu, który „wywołał takie zamieszanie w momencie, kiedy już wszystko dobrze się układało”.

Upał był straszliwy. Słońce paliło niemilosiernie. Zapał do pracy zachowaliśmy tylko dzięki basenowi, który wybudowano w ogrodzie na życzenie Jana Pawła Wielkiego, oraz dzięki Che. Ten kulawy chuderlak o słabym głosie okazał się najbardziej wytrzymały na upał, a jego umysł pracował doskonale. Teolog Bartolomeo był zimnokrwistym stworzeniem.

Paul ochrzcił go w tym okresie Zygmuntem Freudem, ponieważ miał pomóc w interpretowaniu snów. Czasami nazywał go także Józefem, kontynuatorem linii Izaaka i Jakuba. [W Biblii Józef, syn Jakuba, został przyjęty przez faraona, ponieważ umiał tłumaczyć sny.]

Wszystkie ranki pracowaliśmy razem, lecz popołudnia były zarezerwowane tylko dla nich dwojga. Ja uczestniczyłem w tych naradach po to, by zrobić notatki, podczas gdy Paul i Jeanne-Marie

załatwiali sprawy bieżące, porządkowali wnioski z naszych porannych spotkań. Simon, siedząc z boku, oddawał się lekturze na temat jakichś zawyłych naukowych problemów.

Wieczorami jezuita i mój papież dyskutowali nad swoimi wizjami. Tworzyli nową „teologię ubóstwa”, a Sen miał być łądem, który się właśnie wynurzał, łądem widzianym z daleka, do którego zmierzali.

Czytali zdania, które zanotowali, myśli rzucone pod wpływem refleksji, pełne dynamiki, narzucające skojarzenie ze zwinnym, zręcznym skokiem pumy.

Przez wszystkie wieczory sierpnia słuchaliśmy takich słów:

„Temat bezsilności i słabości ciągle pojawia się w Piśmie Świętym. Czy ślepy od urodzenia zgrzeszył? Czy ci, których przygniotła waląca się wieża Siloe, zostali ukarani, bo byli winni? Jezus nie zachęca nas, abyśmy się nad tym zastanawiali.

Może istnieć inna teologia, nie tylko pokory i skromności, ale także radykalnego ubóstwa. To idea, która znajduje prawdę w niepowodzeniu. Nie jesteśmy w stanie uchwycić Boga, możemy się jedynie o niego otrzeć.

Mówić, że Bóg jest zbyt wielki, żeby go osiągnąć, to przyznać się do lęku wobec jego wyższości. Wiemy jednak, że cała istniejąca wiedza teologiczna nie dorówna mądrości Boga.

Teologia ubóstwa jest zupełnie inną drogą. Prowadzi śladem Boga, który dzieli z nami nasze porażki. Bóg, którego ukazuje nam Chrystus, to Bóg słabości, wyrzeczenia, który nie rozwiązuje problemu zła, kwestii śmierci, ale stawia im czoło sam, nagi, płaczący, przerażony, opuszczony nawet przez swego Ojca. I w taki właśnie sposób odnosi triumf.

Z radykalnym ubóstwem Boga, jego bezsilnością możemy się zetknąć i zrozumieć je jedynie z pozycji naszego własnego ubóstwa. Możemy je poznać tylko wtedy, gdy sami pozbędziemy się wszystkiego”.

Prawda poznania

Obserwowaliśmy ich, jak krążą wciąż wokół tego problemu. Zacieśniali kręgi niczym myśliwi na tropie zwierzyny. Bardzo szybko

załatwili się z dwiema z trzech sennych wizji. Wizja Emmaus to wezwanie. Tomasz wykonał odpowiedni gest i teraz to sprawa znawców prawa kanonicznego, teologów, eklezjologów, by coś z tym zrobić. Sen o zbożu i chwastach jest jasny—jedynie Bóg w dniu żniw będzie umiał oddzielić w nas myśli i czyny, które oddają mu sprawiedliwość, od tych, które go zniekształcają.

Wciąż jednak zmagali się z pierwszą wizją. Dlaczego Tomasz, wybitny papież, został przedstawiony jako człowiek bogaty? Co to za bogactwo, które przeszkadza Kościołowi naśladować Chrystusa, jakie to wielkie dobra miałyby zgromadzić, służąc wiernie przykazaniom, z szacunkiem odnosząc się do prawa, z oddaniem spełniając wolę Pana? Co mu przeszkadza naśladować swego Pana i dlaczego jest w nim tyle smutku?

Nie ustalali w wysiłkach, uparcie dyskutowali...

„Teologia ubóstwa jest niewdzięczna, kąsa rękę, która ją karmi — rękę rozumu. Niczego nie rozstrzyga się poprzez ubóstwo intelektualne. Teologia ubóstwa nie jest teologią porzeczania, lecz teologią, która pragnie posiadać swój obiekt na zawsze”.

— Wyrzekacie się idei Prawdy? Wyrzekacie się idei, że Bóg może mówić o sobie, określić się poprzez rozum? — przerwał im Paul.

Giuseppe przewrócił trzy strony w swoim notesie i przeczytał, co napisali na ten temat:

„Czy z teologii ubóstwa wynika relatywizm? Nie, bo wierzy ona, że Bóg jest Bogiem, że w Bogu istnieje absolut prawdy, piękna, dobra. Można powiedzieć, że pod tym względem jest obiektywna.

Ale bierze ona pod uwagę w sposób radykalny słabość myśli. Myśl ludzka nie może być absolutyzowana, wryta na stałe; jest omylna, zbliża się jedynie do problemu. Biada nam, jeśli wielbimy nasze idee, nasze dogmaty, nasze teologie. Powinniśmy wielbić tylko Boga, który jest obecny w sakramentach, tajemniczy, nieuchwytny; Bóg stworzył nas dla siebie, a my mamy jego”.

— Nie lubię tego rodzaju skazywania się na niewiedzę — zaoponował Simon. — I to pod pretekstem, że nie jesteśmy w stanie pojąć wszystkiego. Nie podobają mi się tezy zakładające, że nie można nic powiedzieć. Spójrz na to od strony naukowej, Lombardi. Bez przerwy odkrywamy, że poprzednio myliliśmy się, ale nie przeszkadza to pojawianiu się nowych hipotez, teorii, weryfikacji.

— Tyle tylko, że nie opisujemy świata... Nie potrafimy nakreślić obrazu Boga... Czekaj... — Przekartkował ponownie notes. — „Nie jesteśmy skazani na milczenie. Możemy mówić, co wiemy o Bogu, ale w sposób ulotny, zależny od okoliczności. Bo fundamentalna prawda chrześcijaństwa zawiera się w osobie Chrystusa. On sam jest Prawdą, drogą. Jak można więc go posiadać, uchwycić?”.

Wieża

I oto nastąpiła godzina odsłonięcia się — pierwsza wizja, godzina prawdy... Był 20 sierpnia. Tomasz i Bartolomeo potrzebowali trzech tygodni, by w gąszczu wiedzy ustawić swoje punkty orientacyjne i posuwać się w nim do przodu niczym biegacze na bieżni, myśląc jedynie o tym, by dotrzeć do sedna tajemnicy i żeby inni mogli pójść ich śladem, odnaleźć swoją drogę.

Minęły trzy dni, odkąd dyskutowali od świtu do zachodu słońca. Od trzech dni milczeli, a ja, będąc w pogotowiu, robiłem notatki.

Tego wieczoru Giuseppe poczęstował swoich gości koniakiem. Oznajmił, że ma nam coś do powiedzenia, i prosił, żebyśmy mu nie przerywali. Przygotowałem się do notowania, lecz on powiedział:

— Zostaw to, *fratello*... To będzie najważniejsza część książki, którą opublikuję na Boże Narodzenie. Sam ją napiszę. [Wolałem zacytować tutaj fragmenty tej książki, niż próbować z pamięci odtwarzać słowo po słowie to, co nam wówczas powiedział.]

„Długi czas rozmyślałem nad tym, czym są wielkie dobra, wypełniające mnie i Kościół, nad którym opieka przypadła Piotrowi i jego następcom. Rozglądałem się wokół, by odkryć, czym jest ten skarb, ogromne bogactwo, na którym się wspieramy.

I oto co mi się objawiło: skarb ten przypomina wieżę, najpiękniejszą konstrukcję, jaką potrafiła wznieść ludzka ręka, z pokolenia na pokolenie, od dwudziestu wieków. Wieża ta przerasta kultury wszystkich jej budowniczych, góruje ponad lękami i wątpliwościami, ponad czasem i historią, geografiami, ponad wszystkimi zawieruchami nękającymi świat. To wieża jest zbudowana na Chrystusie i Ewangelii, a my nieustannie dodajemy do niej kamienie i dlatego

stale wznosi się coraz wyżej ku niebu, ku Ojcu. Jej budowniczkowie nie byli szaleńcami, nie postawili swojej budowli na piasku, ale na skale, na Chrystusie i na kamieniach, którymi są Ojcowie Kościoła, św. Ireneusz, św. Hieronim, św. Augustyn oraz Doktorowie Kościoła, św. Jan Chryzostom, św. Tomasz z Akwinu, św. Teresa z Avila i Jan Paweł Wielki. Wszystkie te kamienie wznoszą się ku niebu, ku Bogu.

Kto zdoła zniszczyć tę wieżę? Kto może pragnąć ją zniszczyć? To ona jest naszym skarbem, naszą tradycją, jest tym, co zbudowaliśmy, począwszy od naszych najdawniejszych przodków aż do czasów ostatnich, tym, co wznieśliśmy w pojmowaniu Pisma Świętego, w odślonięciu Prawdy objawionej.

Wiem, że nasza wieża nigdy nie pozwoli nam dotknąć Boga, poznać go, ale jakże jest kusząca ta iluzja, ta myśl, iż Bóg pozwoli się uchwycić! Jakże jest łatwe dla tego, który znajduje się tak wysoko, tak blisko nieba, prężony przez słońce, wyobrażać sobie, że zdoła zrozumieć, wszystko pojąc, pochwyć światło i samemu świecić!

Kiedy Bóg przybywa na świat, nie tłumaczy się, oddaje się nam.

Na szczycie naszej konstrukcji, wśród obłoków, między ziemią i niebem, wydaje nam się, że słyszymy śpiew aniołów, że nasza wieża przybliżyła nas do ich chwały.

Nie jesteśmy już z tego świata. Oto znajdujemy się poza światem i z wysoka, już nierealni, możemy spoglądać na świat ludzi — pejzaże zmienione przez wysokość, sprowadzone do zwykłych geometrycznych figur, kwadraty pól, punkty miast i kreski dróg. Jakże kusząca jest iluzja, że świat pozwoli sobą kierować! Że potrafimy objaśnić jego zamęt, opisać historię!

Gdy Bóg przybywa na świat, nie objaśnia go, lecz podąża jego drogami.

Co zrobiliśmy z wieżą zbudowaną bez architekta, której kamienie zostały rozrzucone tu i tam? To konstrukcja stawiana niekiedy samowolnie i stąd jej wielkość i piękno — jej blanki są delikatne niczym nowe pędy, schody prowadzą czasem donikąd, pewne komnaty są ślepe, bez wyjścia... Nikt nie śmiał zabrać z niej choćby najmniejszego kamyka w obawie, żeby cała budowla się nie zawaliła. Czy powinno się ukrywać ten beżład zgromadzonych kamieni, czy trzeba wznieść mury obronne wokół tego lasu kamieni, wokół skał wieży, żeby ukryć przed oczyma wrogów nasze słabości?

Od dwudziestu stuleci wznosiliśmy mury wokół skały, na której stanęły podwaliny tej budowli, po to, aby nikt nie zdołał osiągnąć Boga, nie przechodząc przez nasze drzwi i nasze mosty.

Od dwudziestu wieków spajamy kamienie, wznosimy wokół nich kolejne mury, niezawodne, nie do zdobycia. Myślimy, że uda się nam nasze przedsięwzięcie, że wkrótce sięgniemy nieba. Wróg nie ma prawa pojawić się w naszych murach... Mury obronne zostały dopasowane do budowli. Całą wieżę przekształciliśmy w jeden potężny blok, imponującą fortecę, i odtąd żywa Tradycja jest wryta na kamiennych tablicach z dogmatami wiary. Dzięki temu mamy je w swoim ręku, możemy je czytać, nie umkną nam. To, co zostało wypisane w sercach tych, którzy żyli przed nami, jest teraz wryte w kamieniu.

Od kilku miesięcy uchylamy nasze drzwi, aby nasi bracia z innych Kościołów chrześcijańskich mogli wejść do wieży i, kto wie, może przynieść swoje kamienie... Niech przybywają! Usunąwszy wszystkie środki obronne, przyjmiemy ich i będziemy z nimi rozmawiać.

Czy to wystarczy?

Uważam, że musimy zrobić jeszcze więcej. Myślę, że Pan nakazuje nam porzucić wszystkie wielkie dobra, abyśmy mogli iść za nim. Dopóki pozostaniemy w naszej wieży, tak długo nie będziemy w stanie podążać drogami Chrystusa, chyba że sądzimy, iż udało nam się go zamknąć, że pozostanie zamknięty w naszej budowli... Ale wtedy biada nam! Mylimy się co do nas samych i co do Boga!

Uważam, że powinniśmy teraz zejść z wieży i oddalić się, nie patrząc do tyłu. Pozwólmy historykom, archeologom wejść do niej, przejść przez wszystkie jej pokoje, pogłaskać każdy kamień, podziwiać ją w całości. A my zostawmy te martwe kamienie, zabierzmy ze sobą jedynie żywą Tradycję i Słowo, od dziś wstąpmy na drogę za Synem Człowieczym, który nie ma, jak lis, nory; nie ma kamienia, by złożyć na nim głowę. Pytamy go: »Gdzie mieszkasz?^ A on nas wzywa: »Przybywajcie i zobaczcie...«.

Chodźmy. Zobaczmy.

Przestańmy piąć się ku niebu. Przemierzmy ziemię, uzbrojeni jego Słowem, czytając ponownie to, czego dowiedzieli się o Bogu nasi ojcowie natchnieni przez Ducha Świętego, ale pamiętajmy, że my sami nie wiemy nic.

Zejdźmy z wieży, uczyńmy wszystkie narody naszymi uczniami. A on, tak jak obiecał, będzie z nami zawsze, aż do końca świata”.

„Obawiam się o Kościół, Matkę naszą”

Tego wieczoru, kiedy wypowiedział te słowa, patrzyliśmy na nich dwóch — na Che i na papieża.

— Jakubie — odezwał się Paul — podcinasz gałąź drzewa, na której my, kardynałowie, posadziliśmy ciebie.

— Wiem...

Zapadło milczenie.

— Boję się, że chcesz strącić Kościół z wysokości Świątyni, sądząc, że aniołowie pochwycą go w swe ramiona, aby się nie roztrzaskał. Boję się, że cytujesz Słowa przeciw Słowu... Słuchając ciebie, przypominałem sobie przypowieść o kuszeniu i lękam się... — Paul umilkł.

Po jego policzkach zaczęły płynąć łzy. Ten człowiek, który nie płakał po śmierci Gowona, który nie płakał po śmierci Jeana-Baptiste'a, ten twardy człowiek teraz płakał.

— Obawiam się o Kościół, Matkę naszą, Jakubie. Wierzę, że jesteś rym, którego wybraliśmy, aby był jego Pasterzem, wierzę, że Duch Święty przemawia, kiedy stoisz pośród kolegium biskupów. Ale teraz widzę cię samotnego. — Assoumou nachylił się i wziął ze stołu jedno z kubańskich cygar, które lubił palić jezuita. Nigdy nie widziałem Paula palącego papierosy. Teraz zapalił cygaro. — Kościół, który kochasz tak, jak i ja go kocham, wspiera się na dwóch filarach — na Eucharystii, która łączy nas wszystkich, i na Tradycji, która tworzy więź między wiekami... To, co teraz czynisz, rodzi ryzyko, że podkopujesz je od fundamentów... — Patrzył na biały dym wypuszczany z ust. Po jego krągłej, czarnej twarzy wciąż spływały łzy.

— Nie oplakuj martwych kamieni, Paul. Kościół, który kochasz, który czcisz, jest żywy i każdego dnia pozyskuje nowych synów i nowe córki.

— Czy mogę iść za tobą, Jakubie? Słucham, rozmyślam nad tym, co głosisz od Zielonych Świątek. Stoję u twego boku, pracuję nad tym, aby Kościół powszechny przyjął te słowa jako owoce Ducha Świętego. Ale teraz boję się...

— Ja także się boję, Paul... Nie wiem, co wyniknie z nowego dialogu, jaki nawiązujemy z Pismem Świętym i Tradycją. Książka, którą zamierzam napisać, nie będzie encykliką. Nie chcę angażować swego autorytetu, mogę bowiem powtórzyć jedynie to, co usłyszałem, w co wierzę. Nie jestem jedynym właścicielem Ducha Świętego i przyszłość Kościoła nie leży tylko w moich rękach.

— Co zamierzasz robić? — zapytał Paul.

— Święty Piotr, zanim dopuścił do chrztu nie-Żydów, zwołał Sobór Jerozolimski. Po dwóch tysiącach lat musimy znowu to uczynić.

— Teraz, zaraz? — zaniepokoiła się Jeanne-Marie.

— Nie, nie zaraz. Najpierw napiszę tę książkę. Potem dam moim braciom biskupom czas do namysłu. A my teraz ustalimy porę zwołania soboru.

Sobór ekumeniczny, który zaplanowano na Zielone Świątki 2038 roku, miał dać pierwsze odpowiedzi, wskazać drogi ku przyszłości. Czy uzna, że należy nieustannie budować i przebudowywać wieżę, nawet jeśli nigdy nie osiągniemy nieba? A jeśli sobór wysłucha Tomasza, jakie stanowisko zajmą biskupi, kiedy rozpoczną nowy dialog z Tradycją i Duchem Świętym?

Nie mogliśmy tego przewidzieć. Nic z tego, co usłyszałem w Castel Gandolfo, nie przesądzało o przyszłości.

Ciało i członki

Jesienią 2035 roku i zimą, która po niej nastąpiła, wielka nawa Kościoła stawiała czoło przeróżnym burzom. Od Kurii po najmniejszą parafię rodziły się wszelkiego rodzaju pytania, które osaczyły nas niczym wysokie fale.

Statek kołysał się, przechylał, trzeszczał.

— Płyniemy do przodu — powiedział Paul — bo nasz papież steruje okrętem, uszczelniamy go, by nie dostała się woda, ale jak długo wytrzymamy?

Tomasz wysłuchiwał swego sekretarza stanu, który obawiał się o jedność Kościoła, i mianował najbliższego sobie człowieka,

swego bliźniaka, „młodszego brata”. Kardynał Tomasz Poopaddy w listopadzie opuścił swoją diecezję w Delhi i przybył do Rzymu, aby objąć przewodnictwo Papieskiej Rady Cor Unum, której zadaniem było czuwanie nad tym, żeby wszystkie kongregacje współpracowały ze sobą, a także zapewnienie jedności i spójności w „kościelnej maszynie”. To Paul zaproponował Tomaszowi, aby wyznaczył na to stanowisko Hindusa, w przekonaniu, że doświadczenie zdobyte przez niego w roli „łowcy wampirów” dało mu doskonałą znajomość kulis i wzmocniło troskę o jedność Kościoła. [Poopaddy był arcybiskupem Delhi od 2029 r. Długo trwało, zanim otrzymał kardynalski kapelus, ponieważ podczas „czystki” nie zwoływano konsystorza, pierwsze nominacje otrzymały kobiety w Zielone Świątki 2031 r. Paddy został kardynałem na Boże Narodzenie w 2031 r.]

Mimo dręczących go niepokojów i złego nastroju „afrykański orędownik” znalazł czas, by nadać przydomek nowemu przybyszowi.

— Twoim obowiązkiem jest dbałość o pokój, będziesz się więc nazywał Gandhi.

Publikacja książki *Sen z Jerozolimy* na Boże Narodzenie 2035 roku w prawie stu pięćdziesięciu językach stała się wydarzeniem na rynku wydawniczym i w Kościele. Coraz częściej teologowie pisali, że papież powinien zwołać sobór, że jedynie kolegium biskupów będzie mogło dać odpowiedź na nieuchronne, liczne pytania, które sam papież kieruje pod adresem Tradycji.

31 grudnia Paul jadł z nami śniadanie w rzymskim apartamencie.

— Jakubie, kiedy zamierzasz ogłosić otwarcie soboru? — zapytał bez ogródek Assoumou.

— Nie wiem, może za trzy, cztery lata, kiedy zakończymy nasze badania.

— Tak przypuszczałem. — Paul zrobił pauzę. — Ale dla mnie nadszedł czas, Jakubie, bym odszedł.

— Rezygnujesz?

— Proszę cię, abyś odesłał mnie do mojego kraju... Za kilka tygodni kończę siedemdziesiąt trzy lata. Siedem lat przeżyłem pod panowaniem Meksykanów i czternaście lat w Kurii. Przyszła pora,

abym wrócił do moich stron. — Uśmiechnął się z miną marabuta, jak za każdym razem, kiedy cytował którąś ze swoich mądrości: „Przez całe życie dużo mówiłem, jestem teraz wystarczająco stary i mądry, by słuchać innych”. Giuseppe zamyślił się.

— Będziesz potrzebował — mówił dalej Paul — sekretarza stanu w pełni operatywnego. Żeby zdołał zorganizować sobór. Im szybciej przyjdzie mój następca, tym szybciej będzie gotowy do wprowadzenia w ruch tej maszyny.

— Paul, chciałbym, żebyś mi odpowiedział wyraźnie i jasno na moje pytanie...

Assoumou kiwnął głową przyzwalająco.

— Czy opuszczasz nas, bo uważasz, że nie jesteśmy na dobrej drodze?

— Nie. Uważam, że należy przejść tą drogą. Ale do tego potrzeba ludzi skorych do ryzyka, gotowych żeglować w nieznaną, czasami podczas burzy...

— Z nas wszystkich ty przeżyłeś najwięcej burz.

— Ale bez zmiany miejsca pobytu, Jakubie. Wytrzymałem, bo wspierałem się na Ewangelii i Kościele. — Zniżył głos. — Jednak nie jestem przekonany, czy umiałbym żeglować po głębokich wodach, nie będąc pewnym niczego; nie wiem, czy chcę tego tak samo jak ty...

Giuseppe skinął głową.

— Czy dasz mi pół roku na znalezienie następcy? Czy powróci ci dawna energia? Od kilku miesięcy jesteś taki zrezygnowany.

W lutym dwaj biskupi, Polak i Hiszpan, ogłosili manifest w wielkim międzynarodowym dzienniku „World News Tribune” pod tytułem wziętym z Ewangelii: *I my, którzy porzuciliśmy wszystko, aby pójść za tobą.*

„Zostaliśmy wyświęceni po to, aby odprawiać mszę, wierząc, że Chrystus obecny jest w hostii.

Teraz jesteśmy zaniepokojeni, że nowy wiatr burzy wszystkie nasze pewniki. Kiedy papież udziela komunii, dopuszczając do Stołu Pańskiego innych wyznawców chrześcijaństwa, czy wierzy, że Chrystus jest naprawdę obecny w chlebie, który stał się Jego ciałem?

1. A jeśli tak uważa, to czy sakrament kapłaństwa nie jest już potrzebny do pośrednictwa między Bogiem i jego uczniami?

2. Jeśli zaś tak nie uważa, jeśli tylko udziela komunii innym braciom, dopuszczając ich do katolickiego ołtarza, czy nadal wierzy w realną, uświęconą sakramentem obecność Chrystusa w chlebie eucharystycznym?”

— Giuseppe, oni zastanawiają się, czy wierzysz jeszcze w realną obecność Chrystusa podczas mszy. — Tak Paddy podsumował pokrótce prądy niepokojące katolicyzm.

Tomasz I niebawem miał odpowiedzieć na te pytania, opierając się na *lex orandi* i *lex credenteli*.

Do mszy w czwartek w Wielkim Tygodniu 2036 roku, w dniu sakramentów kapłańskich i tajemnicy eucharystycznej, przygotował się starannie.

Jego strój liturgiczny był bardzo skromny: biała alba, stuła, którą dostał dwadzieścia dwa lata temu z rąk monsignora Morra w dzień swoich święceń kapłańskich, szeroki ornat z białego lnu z haftem przedstawiającym rybę i litery ICTUS. [Iesus Christos Theos Uios Soter — Jezus Chrystus, Syn Boży, Zbawiciel.] My staliśmy za nim, Che po jego prawej ręce, ja po lewej, tak jak nas wcześniej prosił, abyśmy go podtrzymali, gdyby zasłabł.

Bazylika pogrążona była w półcieniu, oświetlono jedynie ołtarz.

Pobłogosławił chleb, owoc ziemi i pracy ludzkiej. Na pamiątkę Ostatniej Wieczerzy przypomniał słowa samego Chrystusa: „Bierzcie i jedzcie, to jest ciało moje, za was wydane”...

Potem podniósł do góry hostię jasno oświetloną jak ołtarz. A wtedy z ciemności rozległo się dziesięć głębokich głosów, śpiewających a cappella jedno słowo: „Jezus”. A dziesięć innych głosów odpowiedziało: „Jezus”.

I pierwszych dziesięć głosów znowu powtórzyło: „Jezus, Jezus”... [Fragment ten, który kazał powtarzać, nie wtajemniczając w to nikogo, to wzruszająca Antyfona na imię Jezusa Giacinta Scelsiego.]

Śpiew nasilał się, cichł, znowu powracał, potężny jak fala
Papież stał jak zwykły kapłan, trzymając w podniesionych do gó-
ry rękach monstrancję. Przez trzynaście długich minut w ciem-
nościach wracały i oddalały się głosy śpiewające jedno słowo: „Je-
zus, Jezus, Jezus”...

I gdy w ten czwartek zaprosił kilku braci z innych Kościołów do
wspólnej uczty przy ołtarzu, nikt już nie wątpił, że papież Tomasz I
naprawdę wierzy, że dzieli z nimi ciało Chrystusa.

Koniec „Klanu Francuzów”

Zmiana

Czerwiec 2036 roku. Minęło sześć miesięcy zwłoki, o które Giuseppe prosił Paula na przygotowanie jego następcy.

W tym czasie papież wydał polecenie szukania młodych kandydatów na przyszłych współpracowników.

Tak więc „pani prefekt” pojawiała się odtąd zawsze w towarzystwie młodej obywatelki wyspy Mauritius, Perpétue Sablé d'Orcheville, która była jej ostatnim odkryciem, i wykonywała niewdzięczny zawód znawcy prawa kanonicznego. „Zimna dziewica” przez lata nabrała nieco cech ludzkich, ale jej młoda czarna perła nie zdradzała „żadnych objawów cielesnej egzystencji”, jak komentował Paul. I dodawał: „Jeanne-Marie nauczy ją zajmować się bardziej Bogiem niż przepisami, a ta Perpétue wygląda na godną zaufania. Można będzie na niej polegać we wszystkich sprawach.

Leah wprowadziła trzydziestoosmioletnią Teresę Deng, którą przywiozła po kryzysie w Pyong Yang. Jako członkini Wysokiego Komisariatu NONZ do spraw Uchodźców, ta pół Chinka, pół Koreańska trzy lata wcześniej odniosła sukces w łączeniu zamieszkałych po obu stronach trzydziestego ósmego równoleżnika rodzin koreańskich, które pragnęły wrócić do siebie i odnaleźć bliskich. Kardynał Nanah powiedziała o niej: „Ma wiarę, nadzieję, dużo ufności, będzie genialna”. Czarna królowa zamierzała odejść, zanim Steven ukończy siedemdziesiąt lat.

Małżeństwo Strecke'ów dopełniło listę czterdziestolatek i pięćdziesięciolatek, których Giuseppe skupił wokół siebie. Był to śmiały wybór, podobnie jak wybór współpracowników na początku

tego pontyfikatu. Wolfgang Strecke[Autor bardzo kontrowersyjnej książki Kim będą pierwsi chrześcijanie?, Monachium 2033.] był niemieckim teologiem określanym jako „kontestator”. Jego nominacja na prefekta Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów oraz nominacja na wiceprefekta jego żony, Brazylijki Cesarii Strecke-Liboa (również teologa), stanowiła jakby wyznanie wiary, że Ewangelia powinna być głoszona na świecie przez ludzi świeckich, w tym przez pary małżeńskie. Przyszłość miała pokazać, czy przykładali się do swojej pracy z takim zapalem, jak powinni...

Jednak najciekawszą nową postacią był sześćdziesięcioletni Enzo Ambroselli, którego Tomasz wybrał na miejsce Paula. Wybór ten wynikał raczej z rozumu niż z serca. Ten Urugwajczyk, wyświęcony na księdza w tym samym roku, kiedy Giuseppe się ożenił, przebywał w Watykanie w okresie Black Decade jako dyskretny, ale godny zaufania rezydent. Zaraz po wstąpieniu na tron papieski Jean-Baptiste mianował go biskupem. I to jego wybrał Sylwester w 2024 roku na przewodniczącego Konferencji Episkopatu Latinoamerykańskiego po triumfalnym synodzie w Puebla.

Mając pięćdziesiąt lat monsignore Ambroselli świetnie się wywiązał z trudnego zadania, jakim było przywrócenie równowagi i pojednanie po epoce templariuszy. Był teologiem z dyplomem ukończenia studiów wyższych w zakresie nauk politycznych i ekonomicznych, znaczącą osobistością, kimś, kogo bardzo rzadko dawało się przyłapać na objawach sentymentalizmu, kimś w rodzaju Ruarda, który wykonałby to, co do niego należało, nawet w oku cyklonu.

Ambroselli znał dobrze „łowców wampirów” — Morra, Dereima i Paddy’ego, bo Ameryka Łacińska była jednym z tych miejsc, gdzie bpozostało wiele do zrobienia. W tej nominacji miał swój udział dawny arcybiskup Bolonii, zawsze umiejący oceniać ludzi.

„Śnieg spadł na Kilimandżaro”, mówił niekiedy stary Afrykańczyk, wciskając czerwoną piuskę na siwą głowę. Rozdawał młodym przydomki, dobre i złe punkty.

W niedzielę 29 czerwca, w dzień jego imienin, zaplanowaliśmy, spotkanie na tarasie w gronie weteranów z „Klanu Francuzów”, zanim „herold z Afryki powróci pod swoje drzewo”, jak często mawiał z uśmiechem.

Deklaracja

Oprócz Paula był oczywiście Jakub, Morro, Jeanne-Marie, Che, Gandhi i ja, Wergiliusz. Przygotowaliśmy coś do picia i zamówiliśmy gotowe dania, by nie sterczeć przy kuchni.

Paddy zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zastąpi drugiego filaru z tercetu z Saint-Germain. A Paul trafnie zauważył, że Gandhi, ten Hindus z rodu Cochinów, byłby niezłym czarnym papieżem.

— Nie ma czego się spodziewać po żółtodziobach, Paddy... Zostali ochrzczeni dopiero dwa tysiące lat temu i niczym źle wychowani spadkobiercy sądzą, że wszystko im wolno.

— Masz rację — odrzekł na to ze śmiechem Giuseppe — trzeba być spadkobiercą, żeby móc prehandlować dziedzictwo.

— No właśnie... pozbyć się tego. Kiedy pomyślę, że Jeanne-Marie w końcu wymusi na nas, żebyśmy wyświęcili kobiety czy coś w tym rodzaju...

Jeanne-Marie uśmiechnęła się, słysząc ten atak.

— Za trzysta lat twój odlegli następcy będą jak etnologowie przyglądać się tej epoce pitekantropusa, usiłując odtworzyć argumenty za wyłącznym kapłaństwem mężczyzn.

— Za trzysta lat?

— Mam nadzieję, że szybciej, ale w każdym razie nie za mojego życia. Ja nadal muszę żyć z typami, którzy twierdzą, że jestem obywatelką gorszej kategorii.

— Obywatelką gorszej kategorii, która jednakże piastuje najpiękniejszy urząd w Kurii — wtrącił Jakub.

Jeanne-Marie roześmiała się szczerze.

— Nie mieszaj się do dyskusji ludzi dyskryminowanych. Tylko Murzyni mogą zrozumieć kobiety. I oni także byli niewolnikami.

Assoumou poprosił „niewolnicę”, aby podała mu kieliszek, po czym niespodzianie z poważną miną powiedział:

— Trzysta lat... Masz rację, Jeanne... My potrafimy się zrozumieć.

Giuseppe zaniepokoił się nieco:

— To jakiś bunt? Powierzyłem wam kierownictwo domu, zawsze zdecydowaliśmy razem, tak mi się wydaje... Więc o co chodzi, Paul? Czy nie zostały zerwane okowy, które miałeś na rękach?

— O tak, te bez wątpienia zostały zerwane.

Głos Paula nagle zadrżał. Wszyscy patrzyliśmy na niego. Jakub zadał pytanie, które w duchu zadawał sobie każdy z nas:

— Czy jeszcze istnieją jakieś resztki niewolnictwa?

Cień smutku przemknął po twarzy olbrzyma.

— Najgorsze jest to, kiedy trzeba zeznawać przeciw sobie samemu — rzekł.

Sądzę, że po tych słowach cała nasza piątka zrozumiała, co dalej nastąpi. Znaliliśmy przecież z bliska tyłu księży, tyłu seminarzystów, przez całe lata mieliśmy do czynienia z tymi, którzy się kryją, którzy milczą, tymi, których się tropi — z tymi wszystkimi, którzy cierpią, usiłując pozostać wierni, z tymi, którzy cierpią, bo stracili wiarę, z tymi, którzy walczą ze sobą, i z takimi, którzy się poddają... Ale wszyscy oni któregoś dnia przyznają w końcu, że najtrudniej jest mówić przeciw sobie.

Tylko Giuseppe nie pojął, o co chodzi. Był przecież szczególnego rodzaju kapłanem, który nie uczęszczał do seminarium, nie żył w żadnej wspólnoty... Nic nie wiedział o tym, z czym mieliśmy do czynienia my, nasi przyjaciele, nasi koledzy, nasi bracia, co każdy z nas w końcu wyznawał, gdy samotność stawała się zbyt ciężka, tajemnica za trudna do utrzymania.

I wtedy Assoumou wyznał:

— Jestem gejem, Jakubie.

Moglibyśmy wyznać to razem z nim, a jednak jeszcze pięć minut wcześniej nikt z nas nawet o tym nie pomyślał, nie podejrzewał go. Byliśmy po prostu przyzwyczajeni żyć wśród duchownych i szeptać do siebie: „Niektórzy pośród nas są homoseksualistami; uważaj, aby nie urazić ich jakimś słowem...”.

Giuseppe osłupiał. Assoumou mówił dalej:

— To, że jestem Murzynem, to nie moja wina... Ale to, że jestem gejem, to moja wina, mój grzech wobec reguły...

— Od kiedy?

493

— Od zawsze. Od czasów, gdy bywałem w szatni klubu futbolowego... Zawsze kochałem, pożądałem mężczyzn, Jakubie. Zawsze o tym wiedziałem i zawsze to ukrywałem...

Uśmiechnął się smutno. Kiedyś wierzył, że można to „wyleczyć”, a potem już wiedział, że musi milczeć.

— Ukrywanie się nie było trudne, gdy ma się taki wygląd... Nikt nie przypuszcza, nikt nie podejrzewa niczego. A potem, kiedy postanowiłem żyć w czystości, wierny przyrzeczeniu celibatu, sprawa zrobiła się prostsza...

— No i?

— Chcesz wiedzieć, Jakubie, czy byłem wierny tej obietnicy? O to pytasz?

— Nie... Kiedy zdecydowałeś się żyć w czystości, zgodnie z wymogami celibatu, do którego wszyscy jesteśmy zmuszeni, musiało być ci jeszcze trudniej... Dlaczego jest to takie trudne dla księdza?

Martwa odnoga rzeki i ocean

Assoumou wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— Dlaczego? — powtórzył pytanie. — No tak... Zalecamy abstynencję księżom kawalerom oraz homoseksualistom, więc ani jedno, ani drugie nie powinno stwarzać większych trudności.

Nikt z nas nie odzywał się słowem. Domyślaliśmy się, że Paul zdecydował się na tę rozmowę wcześniej, że ją wywołał, że wybrał ten moment na swoje wyznanie, a nas na świadków.

— Podobnie jak ja, wiesz, że seksualność to nie tylko stosunki cielesne... Podobnie jak ja wiesz, że seksualność składa się na nasz byt, tak jak na nasz byt składa się kultura, nasza historia, nasza powłoka cielesna, nasza wiara... No cóż, jestem gejem. Całym moim jestestwem, nawet jeśli z nikim nie sypiam. To ubarwia mój byt, dodaje kolorytu moim uczuciom, mojemu sposobowi widzenia przyjaciół, czucia, dotykania, marzeniom, że jestem dotykany... O mojej seksualności mogę powiedzieć, że jest ona wewnętrznym nieładem. Że ja sam jestem wewnętrznym rozregulowany. — Roześmiał się niewesoło. [„Wewnętrznie rozregulowany” — termin ten został użyty ponad czterdzieści lat temu przez autorów Katechizmu Kościoła katolickiego. W Kościele zawsze był używany, kiedy nie chciano urazić takich osób.]

— Nie prosiłem cię, żebyś to mówił...
— Nie prosiłeś mnie też, abym milczał. Moim obowiązkiem jest głoszenie Słowa i Tradycji. Głoszenie z siłą i z zapalem tego, co podaje do wierzenia Kościół, Matka nasza. — Potrzęsnał głową. Jego silny zazwyczaj głos był bardzo cichy, napięty: — Nie prosiłeś mnie, bym nie mówił przeciw sobie. Nie prosiłeś mnie, abym milczał...

— Co powinniśmy teraz zrobić?

— Nie wiem... Nie wiem, czy mój homoseksualizm jest naturalnym nieładem, czy może kłóci się z obrazem Boga. Nie wiem i nie mogę myśleć o tym z taką swobodą wobec Tradycji jak pani prefekt, Che lub ty, Jakubie. — Zamilkł. — A wy wiecie? — Jego ton zrobił się ostry, agresywny. — Ile razy zastanawialiśmy się nad „sprawami ślepego zaułka”, co traktowaliśmy niemal jak zabawę w trakcie naszych spotkań w salonie Jeana-Baptiste'a? Ile razy? Dziesięć? Sto? [Przez kilka miesięcy poprzedzających wielkie reformy Sylwestra, podczas wtorkowych spotkań w jego salonie, często wracał problem, który Paul określił lekceważącym terminem „sprawy ślepego zaułka”. Papież i jego przyjaciele sporządzali listę spraw, z którymi nie wiadomo było, co zrobić. W końcu, w październiku 2025 r., Sylwester zamknął te dyskusje, podjąwszy decyzję, że nic nie opublikuje na ten temat.]

Odpowiedziała mu Jeanne-Marie tonem oschłym jak zawsze, gdy atakowano „jej” papieża:

— Jean-Baptiste dokonał takiego samego wyboru jak Jan XXIV. Nie wiedział, jak miałyby wyglądać oświadczenie, które byłoby jednocześnie liberalne, wierne Tradycji i zrozumiałe.

— Rzeczywiście... Nie wiedział... Mówił, że te historie nikogo już nie interesują. — Assoumou wyprostował się na krześle. — Ale ja ciekaw byłem, co Kościół ma do powiedzenia na temat mojej seksualności... O mnie, który jestem gejem. O tym, co z Boga promieniuje na moich braci, na mnie samego... I o tym, co ukrywam. Twój papież — zwrócił się do Jeanne-Marie — był także moim papieżem, Jeanne... Moim przyjacielem i bratem od ponad czterdziestu lat. Zostawił do mojej decyzji, czy będę zeznawać przeciw sobie samemu.

— To on wiedział?

— Tak, wiedział... Wiedział o mnie, a także o innych, z którymi stykał się w Instytucie Katolickim i w seminariach, o księżach, którzy

ukrywali tę hańbę przed wszystkimi, a zwłaszcza przed samymi sobą. A ty, skoro, jak widać, naprawdę nic o tym nie wiesz, jesteś niewinnym papieżem... To, o czym ci mówię, Jakubie, to nie odnoży martwej rzeki, to ocean nieszczęścia. — Wstał i zaczął chodzić po pokoju. — On wiedział. I mój przełożony w seminarium wiedział. I moi duchowi przywódcy wiedzieli... Ja nie kłamałem, Jakubie, wszystkim o tym mówiłem. I zawsze słyszałem tę samą odpowiedź: „Bądź czysty, Paul”, ale nigdy nie rozmawiano ze mną o istocie problemu: czym byłem, kim byłem, jeśli nawet nikogo nie całowałem. Było nas wielu, bardzo wielu w seminarium w Jaunde, w seminarium w Rzymie, czy w Instytucie Katolickim w Paryżu. Również ci najbardziej złamani, z epoki templariuszy, którzy mieli nadzieję, że jedyną drogą zbawienia jest czystość w umartwianiu się i w kapłaństwie. Chłopcy, którzy zostali księżmi, żeby się ratować, ponieważ ich serca i dusze były udręczone reakcjami ich ciała. — Assoumou patrzył w dal, w ciemność... — Biedni, przerażeni chłopcy. Ja przynajmniej wiedziałem, dlaczego zostałem księdzem; nie przeciw sobie samemu, żeby mieć pancerz, coś w rodzaju pasa cnoty, ale naprawdę dla Chrystusa, dla jego słowa, które wyzwala. Dlatego czułem się uprzywilejowany.

„Powiedz im, żeby milczeli”

Paul znowu usiadł. Popatrzył na Jakuba.

— Milczałem. Trzymałem się. Byłem przez dwadzieścia lat jak skała, bo tego potrzebowano, Tomaszu. — Po raz pierwszy usłyszałem, jak zwraca się do Giuseppe jego papieskim imieniem. — Ale teraz zaklinam cię w imieniu innych i moim. Błagam cię, powiedz im, by nie świadczyli przeciw sobie. Powiedz im, by nic nie mówili, powiedz im, że milczenie i niewiedza są niekiedy najlepszym sposobem, w jaki możemy patrzeć na stworzony przez Boga świat, na naszych braci... — Podniósł się, odwrócił się do Bartolomea. — Che dobrze wie, że możemy opowiadać różne rzeczy o Bogu, a przecież nic o nim nie wiemy... — Znowu spojrzął na papieża: — To wszystko jeden wielki chaos... — Giuseppe pokiwał głową. Paul usiadł i znowu podjął: — Tomaszu, pozwól im powiedzieć: „Nie wiem, czym

jest seksualność mego brata i czy moja seksualność ma znaczenie w obliczu Boga”. Powiedz im, żeby zawsze pamiętali, iż jesteśmy zjednoczeni, że to, co czynimy, pobudza nasze słowo, naszą wiarę, nasze ciało i naszą duszę. Że każdy z nas jest jak tabernakulum. I że to Bóg uczynił nas takimi... Wszystkich... wszystkich... nawet gejów. — Popatrzył na nas, po kolei na każdego, ten niezwykle sługa, latarnia w czasie nocy templariuszy, strażnik Domu, wierny administrator, kardynał Assoumou, który świadczył przeciw sobie przez miłość do Kościoła. — Że Kościół może nie potrafi powiedzieć nam, kim jesteśmy, ale Bóg wszystko widzi. O całą resztę, Tomaszu, nie dbam. Jeśli to powiesz, zdejmiesz z ludzi ogromny ciężar, który ja musiałem nosić.

Zamilkł.

Spoglądaliśmy na Jakuba. Spoglądaliśmy na Tomasza I.

Był trupio blady.

— Teraz już wiem, co to znaczy — powiedział. — Wszystko, co odpuscicie na ziemi, będzie odpuszczone w niebie. — Wstał, chwycił ze stołu ściereczkę do naczyń, zwinął ją.

— Chyba nie zamierzasz, Jakubie, myć stóp twemu staremu murzyńskiemu bratu?

Giuseppe potrząsnął głową. Odłożył ściereczkę.

— Przepraszam... To śmieszne...

Paul wstał. Tomasz także. I to papież pierwszy otworzył ramiona, biorąc w objęcia swego przyjaciela, filar Kościoła. To on zrobił pierwszy krok. W niedźwiedzich łapach czarnego kardynała czuł się tak, jakby ścisnęły go potężne kleszcze.

Powiedział do Paula:

— Twoje drzewo jeszcze na ciebie poczeka. Muszę ci coś powiedzieć, żebyśmy potem mogli milczeć.

Ślub

— Chciałabym, aby mój ślub był podobny do ślubu Mariny... Msza w ogrodzie, w obecności najbliższej rodziny — oznajmiła ojcu Cecilia.

— Ponieważ mam teraz dom z pięknym ogrodem, da się to zrobić.

Jedyne miejsce, gdzie mogła uciec przed wścibskimi dziennikarzami, było właśnie tu, w domu papieża, w Castel Gandolfo z siedemdziesięcioma hektarami ogrodu, zapewniającego spokój, dzięki czujnej straży pułkownika Altobellego.

W sobotę 20 września zjawili się tylko najbliżsi ludzie z Bolonii, Rzymu i z Delhi. Z Francuzów obecni byli wyłącznie ci, których znała Cecilia: Jeanne-Marie, Paddy, Morro i wasz pokorny kronikarz...

Mary przyleciała trzy dni wcześniej, przywożąc w swoim bagażu czerwone haftowane sari i złote sandałki dla panny młodej. Paddy przyjechał z Rzymu i to on miał udzielić ślubu. Kiedy Giuseppe z pewnym zmieszaniem powiadomił o tym Enrica Morra, ten uśmiechnął się i rzekł:

— No cóż, ustępujemy miejsca młodszym... Dla ciebie to zasadnicza zmiana. Będziesz odtąd trochę mniej ojcem, prawda?

Morro nie mylił się. Przez ponad dziesięć lat Cecilia przysparzała ojcu wiele zmartwień swymi kryzysami, fochami, obraźliwym zachowaniem, kończącym się trudnym pojednaniem. Od ich „zniknięcia” w pustelni Cervina stosunki między nimi uległy poprawie, jednak Cecilia nigdy się nie poddała, nie pasowała do roli córki papieża, o której pisano by w podrzędnych pismach. Teraz Giuseppe miał ją powierzyć komuś innemu, Aleksowi. Młodzi już podjęli decyzję, że opuszczą Włochy i wyjadą tam, gdzie nie będą budzić zainteresowania... Może do Londynu. [Alex Sensi był twórcą komiksów i żył w stylu bohemy. Wyglądało na to, że w oczekiwaniu na sukces zamierzał jakiś czas żyć z zarobków żony, która ukończyła studia ekologiczne i techniczne.]

Ponieważ panna młoda wystąpiła w stroju czerwonym według tradycji hinduskiej, Giuseppe włożył białą lnianą marynarkę, białą koszulę ze stójką i spodnie z surowego płótna w kremowym kolorze. Wyglądał wytwornie.

Cecilia przygotowała mu niespodziankę.

Opowiedziała mi to tak: „W chwili gdy znaleźliśmy się sami we

dwoje, z dala od innych, wspięłam się na palce i szepnęłam mu do ucha:

— Tatusiu, chcę żebyś wiedział, że do ołtarza idziemy w trójkę. — Drgnął, nie od razu pojął znaczenie tego, co usłyszał. Dodałam: — Jestem w ciąży od dwóch miesięcy.

Spojrzał na mnie z czułością i rozbawieniem, jakby chciał powiedzieć, że nigdy nie postępuję tak jak należy. Przeszliśmy wolno aleją, po czym pocałował mnie w policzek, zostawił obok Aleksa i odszedł, by zająć swoje miejsce. Wieczorem znów podeszłam do niego. Życzył mi szczęścia i pobłogosławił. Kładąc rękę na brzuchu, zapytałam wprost:

— Co o tym myślisz?

— A według ciebie, Cecilio, co miałbym myśleć? — Ujął moją twarz w dłonie, pocałował w czoło. — Będzie dla mnie wielkim szczęściem oglądać twoje dzieci. Dzieci mojej córki, jak mówi psalm, są niczym owoce w winnicy...

— A co myśli o tym papież Tomasz? Pewnie to, że powinnam była poczekać albo odbyć ceremonię błogosławieństwa małżeńskiego dwa lata przed dzisiejszym sakramentem.

Był naprawdę zaskoczony. Musiał się chwilę zastanowić.

— Pytasz, co myśli o tym Tomasz? — Szukał odpowiednich słów. — Cecilio... Mój przyjaciel powiedział mi kiedyś, że powinien był zaświadczyć w Kościele przeciw sobie. Dziś wieczór Tomasz nie chciałby zakłócać radości twojego ojca. Po prostu milczałby, żeby móc się cieszyć z tego dnia, z tego wieczoru... Mając nadzieję, że od tej pory skończyły się dla ciebie nieprzespane noce”.

NOT – Niezidentyfikowany Obiekt Teologiczny

Pod koniec września, dwa tygodnie po ślubie, ukazał się pewien tekst, którego nie umieliśmy zakwalifikować, taki Niezidentyfikowany Obiekt Teologiczny.

Składał się z dwóch części. Pierwsza krótka, ale bardzo treściwa, mówiła o głębokim sensie seksualności i pełniła rolę potężnej lampy oświetlającej cały problem. Część druga dawała coś w rodzaju znaków nawigacyjnych, punktów odniesienia, kryteriów rozróżnienia.

I. Seksualność, teologia wcielenia.

Życie seksualne człowieka znajduje pełne zaspokojenie w wierności małżeńskiej. Kiedy chrześcijańscy małżonkowie, złączeni sakramentem, łączą się ze sobą, ich miłość wyraża całkowitą jedność ciał, serc i umysłów. Zjednoczenie cielesne jest wzajemnym darem i jednym ze znaków, przez które stają się w Duchu Świętym świadkami obecności i miłości Boga.

Pierwszym dobrem małżeństwa jest miłość. Miłość ludzka pozostaje uświęcona przez miłość Boską. Jest szczęściem, jeśli małżonkowie w jedności fizycznej doświadczają czułości i rozkoszy, ale ani czułość, ani rozkosz nie są najważniejszymi dobrami małżeństwa. Jest szczęściem, jeśli ze zjednoczenia się małżonków rodzą się dzieci, ale seksualność ludzka nie powinna być mieszana z reprodukcją.

W seksualności wyraża się szacunek wobec drugiego człowieka, a także szacunek wobec siebie samego. Ludzka seksualność jest darem Boga i nie wolno jej lekceważyć. Dzięki niej uczymy się jedności ciała i umysłu; seksualność objawia tajemnicę Wcielenia. W miłosnym uścisku, w intymnym zjednoczeniu ciała i umysłu jesteśmy w stanie pojąć najlepiej, co oznacza miłość ucieleśniona.

Wierni Objawieniu, które otrzymaliśmy, wzywamy mężczyzn i kobiety do osiągnięcia pełni miłości w związku małżeńskim. Zdajemy sobie jednak sprawę, że całe ludzkie życie jest drogą. Że każdy ocenia w swoim sumieniu, na którym etapie drogi się znajduje. I jedynie do niego, do nikogo innego, we wzajemnym poszanowaniu obojga partnerów, należy decyzja, czy iść dalej w swym pożądaniu.

II. Punkty odniesienia:

1. Życie seksualne przed formalnym zawarciem związku małżeńskiego jest nieprowadzącą do niczego formą seksualności.

2. Istoty ludzkie nie reprodukują się, lecz się kochają. W tym z pewnością zawiera się kryterium osądu czynnego życia seksualnego.

3. Odpowiedzialne ojcostwo i macierzyństwo zakłada stały dialog między małżonkami, szczerzy i otwarty, zwłaszcza w tym aspekcie, jak traktować tę odpowiedzialność.

4. Mężczyzna nie jest właścicielem kobiety, kobieta nie jest podległa mężczyźnie.

5. Istnienie homoseksualizmu jest faktem potwierdzonym we wszystkich społeczeństwach. Nic o nim nie wiemy; ani o jego genezie,

ani o przyczynach czy naturze; stwierdzamy jedynie, że nie pragniemy osądzać takich zachowań ani samych ludzi. Kolejne punkty na tej liście pozwolą dokonać rozeznania na temat wszelkiej aktywności seksualnej, łącznie z homoseksualizmem.

6. Moje ciało nie jest rzeczą, jak również ciało drugiej osoby nie jest rzeczą.

7. Życie seksualne powinno opierać się na wzajemnym szacunku, zaufaniu i obopólnym przyzwoleniu.

8. Życie seksualne nie powinno odbywać się pod wpływem strachu, szantażu ani poprzez stosunki opłacane według jakiejś taryfy.

9. Życie seksualne ludzi wyraża się poprzez wymianę pewnych gestów, w ujawnionej intymności, ale najpierw powinna mieć miejsce rozmowa.

10. Niedotrzymanie słowa, zerwanie związku, niewierność to poważne grzechy.

Śmierć w Moskwie

Pielgrzym w Rosji

Był to ostatni chrześcijański kraj, który nie uległ jeszcze magii Snu.

Pasterska wizyta w prawosławnej Rosji, o której marzył Giuseppe, spotykała stale opór ze strony moskiewskiego Patriarchatu. Patriarcha Aleksiej nadal zabraniał swoim duchownym, zakonnikom, a także wiernym udziału we wspólnej komunii z katolikami. Jego zdaniem gest Tomasza miał służyć przede wszystkim katolickiej ofensywie na „chrześcijańską ziemię Wszechrosji”.

Wizyta państwowa była niemożliwa z powodu ścisłego powiązania Rosji z Patriarchatem prowadzącym politykę panslawizmu.

Jednak konsulat rosyjski nie mógł odmówić wizy Giuseppe Lombardiemu, obywatelowi włoskiemu, zwykłemu turyście podróżującemu międzynarodowymi liniami, ani jego niewielkiej eskorcie, składającej się z Altobellego i jego czterech ludzi, którym władze rosyjskie zezwoliły w końcu na noszenie broni.

Razem z nami pojechali także Leah i Steven. Za kilka tygodni Leah zamierzała zabrać afiykańsko-irlandzkiego olbrzyma, w którym płynęła także krew Indian Navaho, na długą wyprawę do Nowego Jorku.

Składu delegacji dopełniałem ja i był to mój ostatni wyjazd. Wkrótce miałem zostać tym, który na miejscu pilnuje spraw Domu Papieskiego. W dzień Nowego Roku Maurice spakuje walizki i stanie się dyrektorem gabinetu.

Tak więc była to dla nas podróż pożegnalna.

W formularzu wizowym napisaliśmy: „Pielgrzymka religijna na groby wybitnych świętych prawosławnej Rosji”. Była to wizyta pontyfikalna nowego typu, podróż papieża pielgrzymą; Tomasz prosił jedynie o gościnę.

Nowgorod, Saratów, Zagorsk — przez tydzień jeździliśmy po Rosji słynącej z monasterów, w których wiara oparła się władzy carów, prześladowaniom w epoce radzieckiej, nie do końca jasnej polityce w erze Putina, a wreszcie teokratyzmowi i ksenofobii Protopopowa.

Była to także Rosja ikon, w których malarze ukazywali oblicze Boga i twarze świętych poprzez mistyczne barwy, złocenia, gesty. „Ikona to sztuka najsubtelniejszych wariacji twórczych” — mówił papież, rozmyślając głośno o przyszłym soborze.

Byliśmy pielgrzymami dyskretnymi, pełnymi szacunku, ale nigdzie nie otwarto nam drzwi. Tomasz nie uzyskał tego, na co miał nadzieję. Wierzył, że swoją wizytą w charakterze pielgrzymy osiągnie coś więcej.

Wkrótce zostało nam już tylko trzy dni pobytu w Moskwie.

Wieczór w Operze

Tego wieczoru Giuseppe Lombardi postanowił poczynić pewne ustępstwo od reguły.

— Nie mogę być tutaj — powiedział do mnie — i nie zobaczyć, nowej Opery Moskiewskiej.

W tym stwierdzeniu rozpoznałem nienasyconego melomana i inżyniera, który pracował przy budowie Wielkiej Paryskiej Sali Koncertowej.

— Mamy bilety na *Borysa Godunowa* na dzisiejszy wieczór. Leah i Steven zrobią sobie turę po moskiewskich klubach *under ground*, a ty poświęcisz trzy godziny na słuchanie tego arcydzieła.

Na samą myśl o wizycie w teatrze powstrzymałem ziewanie. *Borys Godunow...* Wiedział, co robi, nie mówiąc mi o tym przed wyjazdem z Rzymu.

Siedzieliśmy w bocznej łoży, do której zaprowadził nas osobiście dyrektor Opery. Ludzie Altobellego usadowili się w pobliżu.

Giuseppe poprosił dyrektora, by nie rozgłaszał jego obecności. Byliśmy ukryci przed ciekawskimi spojrzzeniami, siedząc w jednej z tych łoż, w których prezesi wielkich przedsięwzięciw nieraz negocjowali w sprawie kontraktów z wpływowymi ludźmi z Dumy lub ojcami chrzestnymi moskiewskiej mafii.

Dyrektor powiedział papieżowi, że interesował się w przeszłości jego pracą przy budowie Sali Koncertowej w Paryżu. „Jednak musi pan przyznać — rzekł — że tutaj złoto pasuje znacznie lepiej niż szkło... Przypuszczam, że oglądał pan skarby naszych monasterów; jesteśmy krajem złota i ciemności”.

Czy dyrektor wiedział, co ma się wydarzyć? Czy powiadomił współpracowników zbrodni? Nie dowiemy się tego nigdy...

Zaraz po pierwszym dzwonku zapowiadającym antrakt, powiedziano nam, że jakiś człowiek czeka na dole i pragnie mówić z kimś z „delegacji papieża Tomasza I”. Poszedłem na dół. Towarzyszył mi jeden z ludzi Altobellego. Pułkownik obawiał się akcji ze strony mafii...

Eksplozja

Bomby wybuchły dwadzieścia minut po zakończeniu przerwy. Cztery ładunki o wielkiej sile podczas poloneza zniszczyły doszczętnie cztery główne łoże Opery Moskiewskiej. Zarysowała się ściana pierwszego piętra. Dziesięć sekund potem łoże runęły na siedzących na parterze widzów, wśród których byli prominenci i zdrajcy.

Cały budynek drżał, trzeszczał przez długą minutę, a potem zawałiła się niczym domek z kart jego wewnętrzna konstrukcja, stając

się śmiertelną pułapką dla widzów, którzy nie mieli szczęścia siedzieć przy drzwiach.

Ocalała fasada ze szkła pancernego, zastosowanego tu z myślą o terrorystycznych zamachach islamistów. Wysokie, kute z żelaza ogrodzenie ze słynnym motywem z połączonych przepięknie liści także pozostało nienaruszone, zasłaniając przed oczyma przechodniów moskiewskiej ulicy pole ruin.

Pierwszy oficjalny komunikat pojawił się dopiero po dziesięciu minutach:

„Według źródeł służb bezpieczeństwa katolicki papież Tomasz I uczestniczył w spektaklu *Borys Godunow* w nowej Operze Moskiewskiej, gdzie nastąpiła eksplozja, której przyczyn jeszcze nie ustalono, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był to akt terroru”.

Po niecałej godzinie ogłoszono nowy komunikat:

„Wiadomo już na pewno, że w Operze byli papież Tomasz I i ludzie z jego świty. Ani on, ani nikt z tej grupy nie ocalał.

Papież Tomasz I siedział w jednej z łóż usytuowanych bezpośrednio nad parterem. Świadkowie, którzy przeżyli, twierdzą, iż wszystkie cztery łóż zostały całkowicie zniszczone wskutek eksplozji. Jeśli ta informacja się potwierdzi, niewielka będzie nadzieja na odnalezienie żywego papieża i towarzyszących mu osób.

To, że wybuch miał miejsce w pobliżu łóż, gdzie znajdował się papież, wydaje się wskazywać na to, iż to on mógł być celem”...

Trzy dni potem oglądaliśmy ruiny. Policjanci pokazywali nam miejsce, gdzie znajdowała się łóża, i co z niej zostało. Gdy runęła, zmiażdżyła stojące pod nią fotele.

Władze rosyjskie od samego początku twierdziły, że zamach nosił znamiona islamskiego, kaukaskiego terroryzmu. Nie wspominali o Czeńcach, odkąd ten „antysłowiański” naród został „wykorzeniony

z terytorium Wielkiej Rosji”. Mówili, że rozpoznano metodę, ale laboratoria policyjne nie dokonały jeszcze żadnej analizy.

Ta zbrodnia nigdy nie miała zostać wyjaśniona. Przeprowadzono tylko jedno, pospieszne śledztwo wymierzone przeciw ludziom z Kaukazu. Kilku z nich aresztowano, osądzono przed trybunałami wojskowymi i rozstrzelano.

Jednak okoliczności zamachu pozwalają przypuszczać, że dokonała go inna ręka.

Najpotężniejsze mafie były rzecznikami wielkoruskiej idei, a ich wspólnicy wywodzili się z najbardziej radykalnych skrzydeł słowiańskiego prawosławia...

Nie dowiemy się nigdy, czy patriarcha Aleksiej wiedział, co miało się wydarzyć, czy ogarnięty wyrzutami sumienia w ostatnim momencie postanowił nas uratować, przysyłając swojego człowieka. Zresztą on sam stał się później ofiarą zamachu przy użyciu samochodu pułapki. Czy dlatego, że nas uratował? W Rosji, kraju o brutalnych obyczajach, te pytania pozostają bez odpowiedzi.

Ocalony

Człowiek, z którym spotkałem się w antrakcie, przedstawił się jako sekretarz Aleksieja. Patriarcha zaproponował potajemne spotkanie za godzinę z Tomaszem I.

Wróciłem na górę, przekazałem tę informację Giuseppe.

Pułkownik zdecydował, że papież pojedzie z eskortą trzech samochodów. Tym razem miał być w pierwszym samochodzie z Altabellim. Ja pojechałem w pierwszym z tych wyznaczonych jako przynęta.

Posuwaliśmy się w konwoju za samochodem sekretarza patriarchy. Po kilku kilometrach rozległy się niemal w tym samym czasie cztery wybuchy. Nie słyszeliśmy, jak walił się budynek teatru ani huku spadających łóż i ścian przygniatających tłum.

Spotkanie trwało cztery godziny. Ja siedziałem w salonie obok gabinetu, gdzie się zamknęli. Nadstawiałem ucha i dochodziły do

mnie stłumione głosy. Rozmowa toczyła się po angielsku. Słyszając złą angielszczyznę Aleksieja, zacząłem się trochę niepokoić, że z powodów językowych nie będą mogli się porozumieć.

Zostawiłem telefon komórkowy na siedzeniu w samochodzie. Giuseppe wydał nam przedtem wyraźne polecenie, żebyśmy się dali zrewidować i niczym się nie zdradzili, że jesteśmy związani z Watykanem, choć oni zapewne to wiedzą. Przyjechaliśmy tutaj jako pielgrzymi i będziemy zachowywać się i rozmawiać jak turyści.

Altabelli przekazał rozkaz swoim podwładnym — żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym.

W końcu wyszli z gabinetu. Giuseppe wyglądał na zmęczonego. Pożegnał starego patriarchę słowami:

— Dziękuję za to, że Jego Świątobliwość zechciał mnie przyjąć. Chętnie odwdzięczę się zaproszeniem, jeśli Jego Świątobliwość przyjedzie kiedyś do Rzymu albo wskaże jakieś inne miejsce.

— Zobaczymy...

Gdy schodziliśmy po schodach, Giuseppe szepnął do mnie:

— To było straszne... Prawie cztery godziny wytykał mi wszystko, co nas dzieli, nie wspominając ani słowem o tym, co nas łączy. — Potrząsnął głową. — On nas nienawidzi, *fratello*... I boi się nas.

Wsiadłem do samochodu pierwszy i włączyłem automatycznie telefon. Ukazała się wiadomość. Odczytywałem ją, potem jeszcze dwie następne. Odwróciłem się do papieża.

— Giuseppe, od trzech godzin nie żyjemy.

Pułkownik powtórzył swoim ludziom rozkaz, by z nikim się nie komunikowali.

— Nawet z policją — powiedział. — Nie wiemy, gdzie się kryje wróg.

Trzy samochody pomknęły z dużą szybkością przez pogrążoną w nocnych ciemnościach Moskwę. Pułkownik chciał zawieźć papieża do włoskiej ambasady, gdzie będzie bezpieczny.

W radiu odtwarzano wydarzenia sprzed czterech godzin. Opera zawałała się, wysadzone zostały cztery loże, papież *znalazł* się w środku zwałiska pod tonami gruzu.

Chcieliśmy skontaktować się telefonicznie z naszymi zbawcami, ale Altobelli zaoponował:

— Żadnych rozmów, dopóki nie znajdziemy się w ambasadzie. Wyjął broń, a jeden z ochroniarzy siadł za kierownicą.

Policja zamknęła drogę do ambasady. Pułkownik bez chwili namysłu rozkazał:

— Do hotelu. Zrobimy mały objazd.

Chwilę później samochód jadący na czele konwoju gwałtownie przyspieszył. Altobelli wskazał nam tylne wejście, przed którym stał już pierwszy samochód. W drzwiach dla pracowników hotelu ukazał się młody policjant.

— Można wejść — powiedział.

Pobiegliśmy szybko schodami. Giuseppe zaczął coraz gwałtowniej kaszleć. Musieliśmy stanąć, żeby złapał oddech.

Znowu ruszyliśmy w asyście czterech ochroniarzy. Altobelli biegł tuż za papieżem. Z bronią w rękę, porozumiewali się między sobą, szepcząc cicho do mikrofonów. Biegący na czele ochroniarz cały czas sprawdzał, czy droga jest wolna...

Jeden z ochroniarzy, z bronią przygotowaną do strzału, sprawdził pokój Giuseppe, drugi sprawdził mój.

— Widzę światło w szparze drzwi pokoju pani Nanah i pana Baltimore — powiedział pułkownik.

Policjant stojący najbliżej spojrział na niego, a on wykonał niezrozumiałe dla nas dwóch gest. Tamten skinął głową, podszedł bezszelestnie do drzwi tego pokoju i przyłożył ucho, po czym kciukiem i dwoma palcami dał znowu jakiś znak. Altobelli odpowiedział, podniósłszy prawą dłoń z rozstawionymi pięcioma palcami.

Policjant pchnął ramieniem i otworzył drzwi do pokoju.

Pułkownik, czujnie rozglądając się na wszystkie strony, wpadł

do środka z rewolwerem wymierzonym w parę siedzącą na łóżku, wpatrzoną jeszcze przed sekundą w ekran telewizora.

Duch z Opery

Zapłakana Leah popatrzyła na nas w osłupieniu.

— Giu...Giuseppe... — wyjąkała przez łzy. — Przecież powiedziano, że ty...

Steven, spoglądając na nas, powiedział:

— Giuseppe, zginąłeś tam pod tonami betonu. — Machnął ręką w kierunku okna i widocznych jeszcze kłębow pyłu, unoszących się nad ruinami Opery.

Na ekranie telewizora ukazała się po raz kolejny twarz Tomasza I.

Kiedy rozległ się huk wybuchu i Leah odebrała wiadomość w swoim telefonie komórkowym, oboje opuścili pośpiesznie klub jazzowy.

Natknęli się na kordony policji, która zatrzymywała wszystkich w bezpiecznej odległości od miejsca wypadku. Leah krzyczała, pokazywała dokumenty. Kazano im odejść, wrócić do hotelu i dopiero następnego dnia zasięgnąć informacji u odpowiednich władz. Według relacji Stevena jeden z policjantów zawołał do nich: „Wynoście się z Rosji, wracajcie do siebie, czarnuchy!”.

— Czekamy już od trzech godzin. Połączyliśmy się kilka razy z Paulem i Ambrosellim. Powiedzieliśmy im, Giu, że nie mogłeś wyjść z tego żywy... — Steven popatrzył na mnie. — Ty, Pietro, też nie przeżyłeś... Ale kto by się tym przejmował oprócz mnie. — Wyciągnął do mnie szklankę whisky.

Altobelli, który właśnie wszedł do pokoju, oznajmił:

— Załatwiłem, co trzeba. Skontaktowałem się z bezpieką, gdzie mam zaufanego człowieka. Poprosiłem, aby zorganizowali ochronę hotelu. Za jakies pół godziny będziecie mogli dzwonić. Zapewnił mnie, że nie powiadomią mediów, dopóki cała dzielnica nie będzie pod kontrolą. Wówczas też pojedziemy do włoskiej ambasady.

Czekaliśmy, oglądając w telewizji obrazy śmierci Tomasza, pokazywano jego twarz, słuchaliśmy komentarzy.

Co kwadrans na ekranie pojawiał się Ambroselli. Mówił, że na razie nie ma nowych wiadomości, że trzeba mieć nadzieję, że nie wolno z góry wszystkiego przesądzać, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa papież zginął podobnie jak jego poprzednik Sylwester. Sekretarz stanu zwracał się do chrześcijan, aby czuwali i modlili się o pokój.

Kilka razy pokazał się kardynał Poopaddy. Drżącym głosem powiedział:

— Giuseppe Lombardi był moim przyjacielem. Kiedy w przeszłości naszym kościołom w Indiach groziły ataki terrorystyczne, zwrócił się do napastników, podjął z nimi dialog w duchu sprawiedliwości. Dziś wieczór, w tej chwili niepokoju i oczekiwania, chcę powtórzyć jego słowa. Jeśli autorami tego zamachu są Czeczeńcy, proszę ich: „Porozmawiajmy”. Jeśli to akcja wrogów wiary chrześcijańskiej, którzy ponownie postanowili zagrozić pokojowi na świecie, proszę ich: „Porozmawiajmy”. Jeśli to nacjonałiści rosyjscy albo jakiś odłam ekstremistów czy grupa odstępców wśród naszych prawosławnych braci, proszę ich: „Porozmawiajmy”. Głosimy sprawiedliwość, nie chcemy waszej krwi za krew tego człowieka...

Głos mu się nagle załamał, przeszedł w szloch. Obraz gwałtownie zniknął.

Na twarzy Giuseppe widniało niezwykle napięcie. Analizował błyskawicznie wszystkie szczegóły, słowa, obrazy z ekranu; wszystkie skutki, wszystko, co zostanie powiedziane w dzień jego śmierci. „Teraz i w godzinę śmierci naszej...”. Był jedną z niewielu istot ludzkich, która oglądała swoją śmierć na ekranie telewizora.

Migały światła pędzących samochodów policyjnych, wyły syreny wozów strażackich, do szpitali pędziły karetki pogotowia.

Giuseppe miał łzy w oczach. I wtedy właśnie opowiedział mi o Chiarze.

Znowu zaczął kasłać. Kaszlał coraz silniej, tak jak niedawno na schodach służbowego przejścia.

Jego ciało wstrząsało się przy każdym ataku kaszlu, a oddech stawał się coraz bardziej świszczący.

Przypomniałem sobie Rzym, Cecilie, pierwszy taki atak kaszlu sześć lat wcześniej.

Do pokoju znowu wszedł Altobelli.

— Możecie już zadzwonić do Ambrosellego — powiedział i popatrzył z niepokojem na papieża: — Co się dzieje? Co jadł, co pił?

— Pił tę samą whisky, co my — odrzekł Steven, pokazując szklankę.

— To nie otrucie — powiedziałem z przekonaniem. — Jak do-
trzymamy do ambasady, wezwiemy lekarza. Nie chcę, żeby zabrano go
do szpitala z powodu ataku astmy.

W jednej sekundzie wyobraziłem sobie papieża pośród rannych ludzi, którzy ucierpieli dlatego, że byli razem z nim w Operze. Od tego momentu byłem już gotowy trzymać sprawy Domu w swoim ręku.

13

Testament

Koniec drogi

Nie sędzę, żeby papież postanowił zwołać sobór z powodu ataku astmy czy też trzeciego zamachu. Podjął tę decyzję w listopadzie, gdy wyruszał do Rosji, i była ona wynikiem długiego namysłu, bo przecież o konieczności zwołania soboru mówiliśmy już latem 2035 roku w Castel Gandolfo. A ostatniego lata uznaliśmy, że trzeba to zrobić w* roku następnym...

Jednak patrząc na ruiny Opery Moskiewskiej, papież zrozumiał, że nie ma czasu do stracenia. Przekonany, że Kościołowi jest potrzebny sobór, by zrobić dalsze postępy w sprawie ekumenizmu, nie chciał już dłużej zwlekać.

Decyzję o zwołaniu soboru postanowił ogłosić w wigilię Bożego Narodzenia 2036 roku. Nie wynikało to z żadnych kalkulacji, wybrał po prostu pierwszą nadarzącą się okazję — ważne święto chrześcijańskie.

„Gdybym chciał wprowadzać reformę dziś — powiedział do mnie — gdybym teraz opublikował encyklikę, byłaby ona jakby uświęconą »moim męczeństwem«. Bez wątpienia mógłbym teraz przeprowadzić wszystko. Nie chcę jednak wykorzystywać takiej okazji. W Boże Narodzenie ogłoszę, że biskupi mają ze sobą rozmawiać, że ma zrodzić się dialog między najbardziej światłymi ludźmi świeckimi i odważnymi teologami, aby wspólnie zadecydować, w jaki sposób nasz Kościół ma wejść w nowy wiek...”.

Nie przewidział, że soborowi, który otworzy, przewodniczyć będzie ktoś inny. Miał sześćdziesiąt lat. Był w pełni sił... Chociaż w Moskwie przekonał się, że jest „śmiertelny”, nie przeczuwał, że jest bliski śmierci.

W Rosji lekarz wezwany do włoskiej ambasady stwierdził, że kaszel jest objawem ostrego ataku astmy, wywołanej prawdopodobnie stresem. Nowe symptomy stwierdzone w grudniu, najwyraźniej alergiczne (uczucie zgagi, dziwne dolegliwości skórne w dyskretnych miejscach, bóle brzucha), zostały wyjaśnione w ten sam sposób — przepracowanie, stres po szoku, niepokój. W dodatku zaledwie kilka dni po tym, jak uznano go za zmarłego, szykował się do wykonania ruchu, którego efektów nie był w stanie przewidzieć. Kto zniósłby to wszystko, nie ponosząc uszczerbku na zdrowiu fizycznym?

Wyniki badań lekarskich były uspokajające. Na razie lekarze nie dopatrzili się związku między ujawnionymi objawami. Wszystko poszło na konto stresu somatycznego.

W Boże Narodzenie, kiedy zapowiadał zwołanie soboru, myśl o dymisji wydałaby mu się po prostu śmieszna.

Miecz i pochwa

25 grudnia 2036 roku opublikował jedyną encyklikę swojego pontyfikatu. Była to encyklika ekumeniczna. Biskupi z całego świata, jak również zaproszeni przywódcy innych Kościołów chrześcijańskich dostali ją do ręki kilka dni wcześniej. Pierwszym zadaniem uczestników soboru miało być przyjęcie lub odrzucenie innych wyznań chrześcijańskich. [Greckie słowo oikoumene oznacza świat zaludniony, obszar zamieszkały i zagospodarowany przez człowieka.]

Tekst encykliki Tomasza omawiał pokrótce całość jego przemysłów, które przez półtora roku dyskutował z nami, z innymi chrześcijanami i ekspertami. Każde słowo zostało dokładnie wyważone wspólnie z Jeanne-Marie i Che, ale i tak tekst zdradzał charakter autora. Jak zawsze zaczynał się od refleksji biblijnych.

Ta refleksja dotyczyła pewnego drobnego epizodu podczas aresztowania Jezusa w Ogrodzie Oliwnym, o którym wspominają czterej ewangelіści.

Ewangelia świętego Mateusza przekazuje, że jeden z towarzyszy Chrystusa dobył miecza, by bronić swojego nauczyciela przed tymi, którzy przysli go aresztować. Uderzył mieczem sługę arcykapłana i odciął mu ucho. I wtedy Jezus rzekł do niego: „Schowaj miecz swój do pochwy, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Czy myślisz, że nie mógłbym poprosić Ojca mego, a zaraz wystawiłby mi więcej niż dwanaście zastępów aniołów?”. [Ewangelia wg św. Mateusza 26, 52–53.]

Święty Jan w swojej Ewangelii podaje nazwiska dwóch protagonistów: sługa nazywał się Malchos, a towarzysz Jezusa to sam Szymon-Piotr, pierwszy wśród apostołów.

Tomasz dał swojej encyklice tytuł: *Schowaj miecz do pochwy*.

Zapytywał, czy obrona wiary, obrona Boga jest misją następcy Piotra, misją Kościoła?

„Przez wiele wieków my, chrześcijanie, prowadziliśmy między sobą krwawe wojny, pozbawialiśmy życia w imię Boga... W naszych księgach nawoływaliśmy do zdecydowanej obrony, wytaczaliśmy coraz ostrzejsze argumenty”.

W tej encyklice widoczny jest wielki kaznodziejski talent Tomasa.

„Ileż to razy zabijaliśmy, żeby bronić słusznej doktryny, prawdziwej wiary, żeby bronić Boga przed tymi, którzy chcą zmienić jego obraz. Czy nasz Bóg może być bardziej skrzywdzony przez niedowiarka niż ten ukrzyżowany, będący ofiarą brutalnych żołnierzy, wystawiony na pośmiewisko szyderców? Czy Bóg w ten straszny dzień śmierci swego Syna wysłał legiony aniołów? Czy ogień niebieski zamienił w popiół tych, którzy go lżyli?”

Oto pytanie, które stawiam przed uczestnikami soboru:

Czy Bóg powierzył nam misję bronięcia go, czy głoszenia wszystkim ludziom dobrej nowiny: zbawienia, łaski, przebaczenia, miłosierdzia, nadziei na szczęście?

Czy mamy powołanie budowniczych murów, czy sam Bóg jest naszą opoką, naszą fortecą? Czy jesteśmy budowniczymi wież obronnych, czy budowniczymi miłości, czy jesteśmy strażnikami prawa i zasad, czy twórcami pokoju? Czy mamy wznosić mury obronne i kopać fosy, czy zasypywać doły i wyrównywać góry, aby przybył Pan, przybył i został z nami, został wśród swoich?”

Papież nie pozostawił żadnych wątpliwości: przedmiotem obrad soboru mają być podstawowe dogmaty katolicyzmu, to, co Che określił terminem „wieży Babel”.

Zespół Churga i Straussa

20 lutego doktor Simonetti wezwał ponownie swego dostojnego pacjenta do kliniki Gemelli na trzy dni badań. Przypuszczał, że niektóre symptomy mogą świadczyć o czymś innym niż stres somatyczny.

— Czy mógłbym zwrócić się do szpitala Bikur Holim z prośbą o dokumentację choroby Waszej Świątobliwości, zwłaszcza dotyczącej substancji, które dostały się do płuc Ojca Świętego w chwili zamachu?

Giuseppe zapytał, po co mu to potrzebne.

— Najpierw sprawdzę, a potem porozmawiamy o tym — odrzekł lekarz.

Widząc, że Simonetti nie chce wszystkiego powiedzieć, Giuseppe pojął, że jego życie jest zagrożone. Jeszcze tego wieczoru zadzwonił do ojca, a potem do siostry Anny.

Na podstawie pytań, jakie stawiano mu w trakcie badań, oboje Lombardi, lekarze z zawodu, wysunęli swoją hipotezę. Uznali, iż choroba Giuseppe to zespół Churga i Straussa, spowodowany waziewami, które dostały się do jego płuc w 2029 roku. [Media szeroko informowały na temat SCS, jednostki chorobowej, wyróżniającej się szczególną postacią zapalenia naczyń. Jej najpoważniejsze konsekwencje to zawał mięśnia sercowego, czasami śmiertelny, pewne dolegliwości neurologiczne i ryzyko wylewu krwi do mózgu.]

Kiedy 5 marca doktor Simonetti oznajmił, że wpadnie do niego,

by omówić wyniki badań, Giuseppe domyślił się z tonu jego głosu, że Anna miała rację.

Oszczędził Simonettiemu wyjaśnień. Nie potrzebował ich dzięki siostrze, która przysłała mu przez Internet kilkusetstronicową dokumentację na ten temat. Chciał wiedzieć, na jakim etapie jest jego choroba, i zadał tylko jedno pytanie, które go naprawdę dręczyło:

— Biorąc pod uwagę moje poprzednie i obecne symptomy, czy sądzi pan, że umrę przy pierwszym ataku, czy skończę życie jako roślina?

Doktor Simonetti, nie mając wystarczających danych statystycznych, nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Drzwi się zamykają

Wieczorem w dniu wizyty Simonettiego Giuseppe poinformował mnie o swojej decyzji. Zamierzał zrezygnować z piastowanej funkcji za pięć dni, bez żadnych zapowiedzi, bez przygotowania swego następcy.

— Gdybym umarł jutro, nie mógłbym się tym zająć. Pokładam ufność w Duchu Świętym, że następni papieże pójdą tą samą drogą, a może lepszą, bardziej przemyślaną, jeśli natchnie ich Duch Święty...

Nie wątpił, że każdy następca świętego Piotra zamknie pewien rozdział i rozpocznie następny.

Wiedziałem, że Giuseppe ma przed oczyma obrazy tego, co się działo w Moskwie, że ciągle słyszy słowa Ambrosellego i Paddy'ego. Był pewien, że Kościół został dostatecznie odnowiony po Black Decade, by nie stracić głowy po zniknięciu papieża.

— Z dnia na dzień mogę stać się rośliną... — powiedział do mnie. — Nie chcę stawiać Kościoła w trudnej sytuacji. — Po czym dodał ciszej: — Ze względu na moje córki i wnuki, nie chciałbym, żeby cały świat zajmował się moim przypadkiem, by w końcu orzec, że jestem niezdatny do pełnienia swej funkcji.

Nie wyjaśniał mi nic więcej i nie pytał, co o tym myślę. Sam podjął decyzję.

— Dzwoniłem do Clary i Cecylii. Wiedzą już o mojej chorobie i jej konsekwencjach.

— Powinieneś powiadomić najpierw Francuzów. — Sprzecza-
liśmy się kilka minut na ten temat, po czym dodałem: — Powinieneś
wezwać Maurice'a, który będzie wiedział, co robić w okresie przej-
ściowym przed wyborem twego następcy... Zna wszystkie tajemnice
Domu. Nie odmówi ostatniej przysługi swojemu papieżowi.

— Ty także wiesz wszystko, *fratello*... On nie jest ci już po-
trzebny. Będiesz tak samo użyteczny przy kolejnym papieżu przez
pięć czy dziesięć lat, jak Maurice był przy nas.

Odpowiedziałem na to po prostu:

— Zostanę z tobą. Będę wszędzie twoim przybocznym, Giu-
seppe, to jedyna rzecz, której nauczyłem się przez te wszystkie la-
ta...

9 marca 2037 roku Paddy, don Enrico, Paul, Leah, Che, Jeanne-
Marie, a ponadto Ambroselli, Dereim, Cervin, Maurice i ja zebrali-
śmy się, by spędzić razem wieczór.

Wszystko, co zostało wówczas powiedziane, dotyczyło sukcesji,
obaw i nadziei, jakie żywił każdy z nas. Wielu z tych, którzy uczest-
niczyli w tej długiej kolacji, miało odegrać znaczącą rolę na najbliż-
szym soborze.

Zostało kilka dni do siódmej rocznicy wyboru Tomasza I. Za kil-
ka tygodni miał wyznaczyć datę konsystorza, aby omówić z kardy-
nałami całego świata warunki przygotowania do soboru. Tę datę
zasugerował Ambroselli.

— Siedem lat to cyfra biblijna — powiedział — konsystorz
będzie dla nas okazją do świętowania tej rocznicy.

11 marca, po audyencji publicznej, odbywającej się zawsze we
środy, papież oznajmił kardynałom, że podjął decyzję o dymisji ze
względu na poważną chorobę, „grożącą tym, że nie będzie mógł
pełnić funkcji, do której został wybrany”. Powiadomił ich, że wyco-
fuje się z życia publicznego, rezygnuje ze stanowiska biskupa Rzy-
mu i że zrobi wszystko, aby nie przeszkadzać bratu, który przyjdzie
na jego miejsce, jak również tym, którzy będą pracować nad przy-
gotowywaniem wielkiego soboru, przewidzianego na Zielone
Świątki 2038 roku.

Nazajutrz, w czasie mszy dla uczczenia rocznicy jego wyboru w Bazylice Świętego Piotra, ogłosił swoją decyzję:

„Zwracam się z prośbą do każdego z obecnych, do prasy, do wiernych, do wszystkich, dla których ważne są moje słowa, moje gesty, moja osoba, to wszystko, co starałem się zrobić dla jedności z moimi braćmi biskupami, aby obdarzyli zaufaniem człowieka, którego konklawe wyznaczy na mojego następcę.

Duch Święty, który przyczynił się do powstania tego świata, Duch Święty, który każe nam wzywać słowem »abba« naszego Ojca Niebieskiego, nie da się pokonać. Pozostanie pośród ludu ochrzczonych, pozostanie z tymi wszystkimi, którzy przejęli na siebie zadania następców apostołów...

Jeśli Duch Święty poprzez moje słowa dał wam poznać wolę Boga wobec jego Kościoła, to sprawi on także, że jeszcze bardziej pokochacie tych, którzy przyjdą po mnie. Gdyby nie Duch Święty, byłbym tylko zwykłym nauczycielem... Proszę was usilnie, abyście pamiętali tylko o naszym Boskim Nauczycielu, zapominając o tym, który pragnął być tylko jego sługą”.

Pod koniec mszy złożył na ołtarzu pierścień Rybaka, symbol urzędu papieża.

W ten czwartek Giuseppe Lombardi opuścił pałac. Niewielka furgonetka wystarczyła, by usunąć z Domu Papieskiego wszelkie ślady po człowieku, który mieszkał tu przez siedem lat.

Testament

Co pozostanie po nim, jaki zostawi ślad? Co zapamięta świat, a zwłaszcza nasz Kościół, z tego wszystkiego, co zrobił dla świata, dla Kościoła? Nie od nas zależy decyzja o naszej przyszłości; nie możemy też mieć wpływu na to, aby po wiekach opinia o naszym przyjacielu była taka, jak sobie życzymy.

Dziś minęło sześć miesięcy od jego śmierci, lecz nadal nie wiemy, co pozostanie po Giuseppe Lombardim. Papież, który obecnie rządzi, znalazł już swój własny styl, inny, równie niezwykle — zdaje

on sobie sprawę z tego, co zawdzięcza człowiekowi, po którym przyjął imię Tomasz, człowiekowi, który przez długie lata był jego włoskim bliźniakiem.

Synod, który zacznie się za dwa tygodnie, wytyczy na dziesięciolecie nowe drogi. Niektóre z nich wskazywał Giuseppe Lombardi.

Żeby napisać to wszystko, spotykałem się z wieloma mężczyznami i kobietami, którzy znali, kochali Giuseppe Lombardiego. Dowiedziałem się od nich, jak wyglądała ich współpraca z księdzem, biskupem, a wreszcie papieżem, któremu towarzyszyłem przez ostatnie czternaście lat jego życia.

Bez nich ta książka nie byłaby tym, czym jest. Opowiadali mi o „ich” papieżu, przyjacielu, synu, bracie, szefie, orędowniku, towarzyszu podróży... Dla nich był to Giu, Jakub, Giuseppe, Lombardi, Tomasz...

Ale jedna rzecz mnie dziś uderza, gdy kończę tę książkę, która pozwoliła mi spotkać się jeszcze raz z tym człowiekiem. Niezależnie od tego, co nas z nim łączyło, wszyscy stwierdzamy jedno: był istotą ludzką z krwi i kości.

Żaden z jego towarzyszy nie był zdominowany przez Giuseppe Lombardiego; żaden nie czuł się przytłoczony jego charyzmą.

Wszyscy wspominali chwile walki, nieporozumień, rozczarowań. Wszyscy wspominali wspólne posiłki i wypite wino, chwile muzyki i ciszy, śmiech i łzy. Wszyscy zapamiętali z tych chwil jakiś szczegół...

Giuseppe Lombardi kochał ludzi, był człowiekiem, którego wiara ucieleśniała się w jego życiu i w jego przyjaźniach. Był bratem rodzaju ludzkiego.

Teraz, kiedy kreślę ostatnie słowa tej książki, przypomnę tylko cztery zdania, które wygłosił w dniu, kiedy stał się Tomaszem; zdania, które były jego programem i stały się testamentem:

„Przy was nie będę tym, który prowadzi, ale tym, który towarzyszy. Nie będę tym, który naucza, ale tym, który rozmawia. Nigdy nie będę ojcem, a tym bardziej Ojcem Świętym... Chcę być dla was wszystkich bratem”.

I w tym, bardziej niż w czymkolwiek innym, dotrzymał słowa.

Epilog

Nunc Domitis

Tomasz ponownie stał się Giuseppe.
Wszystko odbyło się szybko, ponieważ kardynałowie i kardynałki byli w Rzymie, zwołani na konsystorz. Konklawe miało się odbyć za dwa tygodnie.

Giuseppe spędził dzień 13 marca w swoim mieszkaniu. Ja udałem się do pałacu, żeby dokonać ostatniej oceny, co należy przekazać do archiwów prywatnych, a co do watykańskich. Robiłem to już od tygodnia...

Kiedy wróciłem do mieszkania, zastałem go na tarasie, a z otwartych szeroko okien salonu płynęła jego ulubiona muzyka.

— Czuję się *zmęczony, fratello* — odezwał się do mnie. — Od dawna nie siedziałem beczynn timer i teraz dopiero widzę, jak bardzo jestem zmęczony.

Nie wiedziałem jeszcze, jakie miał plany na najbliższe dni, tygodnie... Czy chciał czekać tak w fotelu na tarasie w Rzymie?

Powiedział, że zajmie się kolacją. O ile dobrze pamiętam, zamówił coś z kuchni francuskiej. Były papież nie mógł tak po prostu pójść na zakupy, ponieważ dziennikarze natychmiast wytropiliby jego kryjówkę.

Na kolację przyszli goście, o których mnie nie uprzedził. Che, Simon, Steven, ściągnięty po raz ostatni z Nowego Jorku. Leah, zajęta swymi obowiązkami kardynalskimi, trochę się spóźniła. Giuseppe przywitał ją z uśmiechem:

— Tylko nic mi nie mów. Ta część historii już nie należy do mnie.

— Co zamierzasz robić? — zapytała.

— Wysyłam rzeczy do Bolonii i jadę do Mary.

Mary znacznie się już postarzała. Ruszała się wolniej, na jej twarzy malowało się zmęczenie. Pierwszego wieczoru powiedziała do Giuseppe:

— Czy wiesz, że mam już osiemdziesiąt trzy lata? Prawie tyle, ile miał Alan, kiedy nas poznałeś... — Roześmiała się, nie dowierając własnym słowom.

— I ja czuję się zmęczony — odrzekł Giuseppe. — Nie jestem stary, ale dużo przeżyłem.

Polecieliśmy samolotem 18 marca zaraz po złożeniu wizyty na grobie Chiary. Kardynałowie otworzyli konklawe tydzień później, w dzień Zwiastowania. Potrzebowali zaledwie dwóch dni, żeby, po czwartym czy piątym głosowaniu, podjąć decyzję.

W momencie, kiedy nowo obrany papież stanął przed swymi braćmi i wyraził zgodę, byliśmy w ogrodzie Mary i piliśmy herbatę. Zapadał zmrok, zapalano lampy, róże zamknęły swoje płatki...

Ktoś krzyknął z głębi domu:

— Białą dym.

Wstaliśmy bez pośpiechu. Wiedzieliśmy, że jest jeszcze czas przewidziany na Komnatę Płaczu, czas na przebranie się, na przejście ciemnym korytarzem do oświetlonego okna.

Mary zapytała Giuseppe:

— Jak to się odbywa?

Przytaczał anegdotki, scenki z krawcem, ale nie wspomniał nic o Komnacie Płaczu, w której przeżył swoje minuty z Enrikiem i Paullem. Powiedział jedynie:

— Moment, kiedy wychodzi się na balkon, jest cudowny.

Na ekranie odciągano w tej chwili zasłonę, otworzyło się okno.

Habemus papam!

Giuseppe wstał z krzesła i chwycił w ramiona Mary, okręcił ją w kółko, wołając:

— To Paddy! To Paddy!

Mary płakała i śmiała się jednocześnie. On zaczął kasłać, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Cała rodzina padła sobie w objęcia... Thomas Poopaddy, bliźniak, został dwieście sześćdziesiątym papieżem katolickim i przyjął imię Tomasza II.

Gdyby chodziło o kogoś innego niż Paddy, w ogóle by się nad tym nie zastanawiał. Ale teraz, czułem to podczas lotu do Bolonii, wahał się. Bardzo chciał uczestniczyć w mszy na ingresie swego bliźniaka.

— Nie, nie ma tam dla mnie miejsca...

Oglądaliśmy całą ceremonię w telewizji. Giuseppe uśmiechał się szczęśliwy, że los spletał mu takiego figła. Docenił poczucie humoru Ducha Świętego.

Wróciliśmy do Rzymu 1 kwietnia. Paddy wymknął się ochro-niarzom, żeby przyjechać do mieszkania Giuseppe. Ale Altobelli pozostawił swoim następcom odpowiednie wskazówki, tak iż nie potrzebowali wiele czasu, żeby go odnaleźć... Papież przychodzi jeden po drugim, ale w pewnych sprawach wszyscy są czasami do siebie podobni.

Świętowaliśmy w radosnej atmosferze jak za czasów młodości. „Gandhi” przekomarzał się ze swoją „zjawą”, jak mówił... Było nas około dwudziestu osób, najbliżsi przyjaciele Paddy’ego, którzy w większości byli też i naszymi przyjaciółmi.

Stała się też rzecz niewyobrażalna — do mieszkania Giuseppe przysłała Kate Finley. Zauważyliśmy ją podczas ingresowej mszy, z szeroką, purpurową stułą kardynalską, narzuconą na białe sari, obrzeżone niebieską lamówką. Potraktowała bardzo poważnie swoją funkcję kardynała. Tego wieczoru gościliśmy ją u siebie...

Oczywiście była także Mary i kuzyn Joseph z Mariną. Morro i Dereim uzupełniali grupę „łowców wampirów”. Byli również Che i Paul, który nie mógł pozostać pod swym drzewem, gdy wzywał go Kościół, Matka nasza. I jeszcze parę innych osób.

Maurice zgodził się wrócić na kilka miesięcy do swoich obowiązków. Jak zawsze wierny ludziom, którzy byli tego warci. Na stanowiskach pozostali Che i Jeanne-Marie Carrière, „przynajmniej do synodu”, jak powiedział im nowy papież. Miał on zamiar mianować peruwiańskiego jezuitę teologiem Rady Ekumenicznej Watykan III.

Zdażył już poprosić Simona, by dalej pracował w Papieskiej Akademii Nauk.

— Chciałbym, żebyśmy razem odprawili mszę — rzekł Tomasz II do Giuseppe. — Wiem, że potem opuścisz Rzym i że już tu nie wrócisz.

— Nie martw się, będziesz miał okazję odprawić mszę za mnie...

Nastąpiła chwila zażenowania, bo Giuseppe mówił o swojej mszy pogrzebowej. Tomasz II oburzył się:

— Chyba przesadzasz...

Przerwałem im, proponując, aby msza została odprawiona u dominikanów, w kościele Czterech Świętych Koronowanych. Kościół znajduje się na uboczu, a bracia będą dyskretni.

Nazajutrz dwaj papieże spotkali się przy ołtarzu.

Wróciliśmy do Bolonii, tym razem na dobre. Było nas trzech: Giuseppe, ja i nasz anioł stróż Altobelli. Pułkownik aż do końca będzie spał z bronią pod poduszką w pokoju przylegającym do sypialni swego „klienta”... Prawdziwy pitbull.

Zamieszkaliśmy w dużym apartamencie, który Giuseppe kupił w przeszłości, kiedy myślał, że po tygodniu pracy w Rzymie będzie przyjeżdżał na weekendy do Bolonii, by pobyć z córkami. W ciągu minionych lat nocował tu zaledwie kilka razy, nie zdejmując nawet pokrowców z mebli.

Teraz jego czteropokojowe mieszkanie ożyło. Przez kilka miesięcy zakosztował w nim normalnego, spokojnego życia.

Codziennie rano odmawialiśmy razem laudy, przed kawą, tak jak to robiliśmy od piętnastu lat. Giuseppe odprawiał mszę w niewielkiej kaplicy dominikanów, którzy ograniczali liczbę ciekawskich.

Giuseppe cierpiał z powodu swojej sławy. Nie mógł pójść niezauważony do kawiarni na kawę lub lody. On, który zawsze nosił

jasne ubrania, teraz zamówił u swojego hinduskiego krawca kilka par spodni i marynarek w ciemnych barwach. Ale cały świat zbyt dobrze znał jego twarz...

Pojechał na dwa tygodnie do Nowego Jorku do Leah i Stevena. Nie towarzyszyłem mu. Powiedział mi, że tam nikt nikomu się nie przygląda. Wybraliśmy się razem do Paryża na koncert w Wielkiej Paryskiej Sali Koncertowej. Tutaj nie był nieznany, ale przyjmowano go raczej jako inżyniera Lombardiego. Przynajmniej jemu tak się wydawało. Tak potraktowali go prezydent Republiki Francuskiej i premier.

Co wieczór, zanim udawaliśmy się spać, odprawialiśmy wieczorne nabożeństwo. Kończyliśmy pieśnią Symeona, podczas której Giuseppe jak zawsze robił ręką wielki znak krzyża: „Teraz, Najwyższy Nauczycielu, pozwól swemu słudze, aby odszedł w pokoju...”.

Codziennie przychodziła badać Giuseppe młoda lekarka, odelegowana w tym celu przez rząd Republiki Włoskiej i Unię Europejską. Jej wizyta przypominała nam stale, że jego życie lada chwila może się skończyć.

Pod koniec czerwca stan jego zdrowia pogorszył się. Potwierdziły się wcześniejsze prognozy lekarzy. Przebył kilka niewielkich wylewów krwi do mózgu, którym towarzyszyła chwilowa niezdolność ruchów. Zbliżał się koniec... Giuseppe bał się powolnej degradacji, paraliżu, uzależnienia od innych.

Po raz pierwszy mówił o Chiarze w czasie przyszlým.

3 lipca, w dzień świętego Tomasza, udzielono mu sakramentu chorych w ścisłym gronie w kaplicy dominikanów.

Nazajutrz Cecilia i Alex ochrzczili swego trzymiesięcznego synka. Otrzymał imię Pietro zgodnie z rodzinnym zwyczajem. Giuseppe był wyraźnie wzruszony, lejąc wodę na czółko swego wnuczka. Był to piękny dzień, pełen radości i śpiewu. Giuseppe cieszył się, że został dziadkiem, choć fakt ten musiał go zaskoczyć.

Wieczorem dla uczczenia jego pięćdziesiątych siódmych urodzin przyszedli wszyscy przyjaciele. Wiedzieliśmy, że będzie to ostatnie spotkanie.

W niedzielę 12 lipca panował straszliwy upał. Aby odetchnąć świeżym powietrzem, zamierzaliśmy wyjechać za trzy dni do pustelni

Simona. Po śniadaniu Giuseppe nastawił koncert fortepianowy Ravela, który szczególnie lubił. Mawiał, że nie jest w stanie powstrzymać szlochu w trakcie jego słuchania.

Poznałem ten utwór, choć byłem całkowicie głuchy na muzykę, bo słuchałem go już setki razy. Giuseppe siedział tyłem do mnie w fotelu, z filiżanką kawy w ręce. Przeglądałem w roztargnieniu książkę o sztuce, którą właśnie dostał.

Usłyszałem dźwięk filiżanki rozbijającej się o parkiet...

Gdy przyjechało pogotowie, lekarz stwierdził, że zgon nastąpił nagle wskutek pęknięcia tętniaka. W głębi duszy Giuseppe miał nadzieję, że tak to się skończy.

Natychmiast zadzwoniłem do Mafouza, żeby media zostały powiadomione o tym przez Watykan.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 15 lipca na placu Świętego Piotra. Dokładnie trzydzieści dwa lata od jego ślubu z Chiara.

W tłumie przyjaciół i nieznanym, przywódców państw i rządów panowała powaga. Bardziej niż smutek. Wszyscy wiedzieliśmy, że dla Giuseppe był to dopiero początek.

Po błogosławieństwie trumna została przeniesiona do białego helikoptera. Wsiadłem razem z Clara i Cecilia. Reszta bliskich miała lecieć drugim helikopterem. Rotor maszyny zaczął się obracać ze straszliwym hałasem. Widziałem, jak w dole zatłoczony plac Świętego Piotra staje się coraz mniejszy.

Lot nie trwał długo. Wylądowaliśmy przed małym, wiejskim cmentarzem porośniętym cyprysami. Poszliśmy do grobu, w którym miał kiedyś spocząć także kardynał Enrico jako ostatni z linii. Do grobu, w którym Chiara spoczywała już od dwudziestu pięciu lat.

Nad odkrytą trumną przeczytałem ostatnią modlitwę:

„Posłuchaj, mój bracie, głosu ukochanej, która czeka na ciebie, wasza miłość jest silniejsza od śmierci, nie ugasiły jej wielkie wody, rzeki jej nie zalały, biegnijcie razem na górę Pana, ku świętej siedzibie i niech łaska Pana Jezusa będzie z wami. Amen”.

Posłowie

Jeśli jest rzeczą racjonalną marzyć o świętym przyszłości, ośmielę się zaproponować, aby był to święty jedności. Dobrze ważę to słowo: święty, nie filozof ani nie uczony. To nie oznacza, że będzie niewykształcony, ale że będzie nieoczekiwany. Będzie miał uszy, żeby słyszeć, co Duch Święty mówi Kościołom, usta i odwagę, żeby to powtórzyć. Jak każdy święty będzie bezwarunkowo wierny swemu Kościołowi, Matce naszej, ale jego wierność będzie zakorzeniona w miłości, w bliskości z Bogiem, aż znikną wszelkie doktrynalne sprzeczności. Jak każdy święty może mieć kłopoty ze swymi braćmi „integrystami” lub „reformatorami”. Poznacie go po owocach. I jak każdy święty będzie przede wszystkim człowiekiem modlitwy.

Vladimir Zielinsky
Aby świat uwierzył
Paryż 1989

Spis rzeczy

Przedmowa: Święty gniew	7
Prolog	9
JAKUB	23
1. Spotkanie	25
2. Pokrewieństwo	34
3. Saint-Germain-des-Prés	42
CHIARA	49
1. Czerwona księżniczka	51
2. Studenci	58
3. Rozgniewany Szwajcar	64
4. Asuan	73
5. Przybywa szczęście	80
6. Wezwanie	88
7. Powrót Jakuba	93
8. Młoda kobieta i śmierć	102
9. Ostatnie strofy	111
10. Rekonwalescencja	120
11. Zakażenie	129
12. Wrogowie	140
PADDY	153
1. Róże Delhi	155
2. Bliźniacy nuncjusza	164
3. Black Decade	171
4. Niech żyje zaraza!	177
5. Far West	187
6. Hallala?	196
527	

7. Wielki inkwizytor	203
8. Sprawa Mar Thoma	211
9. Krwawa niedziela wielkanocna	222
10. Negocjatorzy	229
JEAN-BAPTISTE	239
1. Elekcja	241
2. Obiad	249
3. Spizowa Brama	258
4. Wakacje w górach	267
5. Monsignore Lombardi	275
6. I teraz ja wchodzę na scenę	286
7. W przeddzień bitwy	292
8. Zakładnicy	301
9. Eksfiltracja	309
10. Leah	317
11. Rok porządków	326
12. „Che”	341
13. Upadek Meksykanów	347
14. Klan Reform	356
15. Jeanne-Marie	362
16. Jeanne-Marie (II)	367
17. Sylwester Wielki	373
18. Purpura	380
19. „Stabat frater”	389
TOMASZ	397
1. Konklawe	399
2. Łowcy wampirów	408
3. Cecilia	417
4. Trzy królowe	423
5. Simon Nauka	435
6. Pasterz niezdecydowany	446
7. Raduj się, Jerozlimo	454
8. Sen Zielonych Świątek	460
9. Po Śnie	470
10. Podniesienie	478
11. Koniec „Klanu Francuzów”	490
12. Śmierć w Moskwie	502
13. Testament	512
Epilog	520
Posłowie	526

PIETRO DE PAOLI

Pod tym pseudonimem ukrywa się wysoki dostojnik watykański, który z racji pełnionych funkcji nie chce ujawniać swojej tożsamości. Jest autorem dwóch powieści - *Watykan 2035* (2005) i *La confession de Castel Gandolfo* (2008).